



# CENNIKIE PROBY

FINALISTKA  
NAGRÓD  
**NEBULA**  
i JOHNA W.  
CAMPBELLA

LINDA  
NAGATA

# CIĘŻKIE PRÓBY

**TRYLOGIA „CZERWIEN”**

**CZERWIEN**

**MISJA „BRZASK”**

**CIĘŻKIE PRÓBY**

**W STRONĘ MROKU**

(w przygotowaniu)

● ● CZERWIEN

# CIEŻKIE PRÓBY

LINDA  
NAGATA

Przełożył Mirosław P. Jabłoński



Dom Wydawniczy **REBIS**

# **PRZECIWKO BESTII**

---

ODCINEK 1:  
CIĘŻKIE PRÓBY

— Chcą, żebyśmy ukrzyżowali pułkownika Kendricka.

Słowa te kieruję do moich żołnierzy — Oddziału Apokalipsy. To nazwa, jaką nadali nam medioci, i mnie ona pasuje. Jest tutaj cała nasza siódemka, która przeżyła misję „Brzask”; siedzimy wokół taniego owalnego stołu, stojącego na środku pustej sali konferencyjnej o białych ścianach w sądzie federalnym w Waszyngtonie. Pierwszy raz od pięciu miesięcy, od chwili, gdy wysiedliśmy z samolotu na lotnisku Dulles, pozwolono nam wspólnie omówić naszą sprawę, bez obecności prawników.

Muszę wiedzieć, czy nadal gramy w jednej drużynie.

Nazywam się James Shelley. Obecnie mam stopień porucznika Sił Lądowych Stanów Zjednoczonych, ale to się zmieni po wyroku sądu wojskowego.

— Nasi adwokaci uznali, że skoro Kendrick nie żyje, to nie będzie krzyczał ani protestował, kiedy będziemy wbijali gwoździe. Chcą więc, żebyśmy zeznali, że pułkownik nadużył władzy i zmusił nas do uczestnictwa w spisku. Chcą, żebyśmy stwierdzili, że nie byliśmy wtedy w pełni władz umysłowych, w związku z czym nie jesteśmy winni niczego, co się stało.

Wróciliśmy do Stanów Zjednoczonych z własnej woli i zostaliśmy powszechnie uznani za bohaterów. Wykorzystałem ten status, żeby załatwić nam przywilej w postaci dziesięciominutowego spotkania poświęconego omówieniu strategii naszej obrony. Nie jest to prywatna narada - obiektywy kamer śledzą nas z rogów pomieszczenia, a moja nakładka, którą noszę jak soczewki kontaktowe, nagrywa wszystko bez przerwy, ale przywykliśmy do tego. Jesteśmy żołnierzami PGB, a w połączonej grupie bojowej liczysz się z tym, że jesteś obserwowany.

- Za dosłownie kilka minut każde z was spotka się indywidualnie z adwokatem, który doradzi wam procedurę obrony pozytywnej w oparciu o niepoczytalność umysłową.

Od Dnia Komy, kiedy siedem prowizorycznych ładunków nuklearnych zostało zdetonowanych w kraju w celu zniszczenia struktur przesyłu informacji, co doprowadziło do rozerwania Chmury i załamania się gospodarki, podróże i łączność stanowią wyzwanie. W związku z tym ustalono, że nasz proces przed sądem wojskowym odbędzie się w dogodnie, centralnie położonym sądzie federalnym w Dystrykcie Kolumbii. Korzystamy z jego zabudowań, nie z personelu. Postępowanie prowadzi armia, ława przysięgłych składa się z wojskowych, przewodniczy sędzia wojskowa.

Proces jeszcze się nie zaczął i nie znajdziemy się dzisiaj na sali sądowej, więc wszyscy nosimy brązowe mundury polowe. Wszyscy oprócz mnie mają neuroskalpy, wyróżniające żołnierzy połączonych grup bojowych.

Neuroskalpy wyglądają jak czepki sportowe, ale mają wszyte siateczki z cienkich drucików, które współpracują z mikroprocesorami neuromodulującymi, wszczepionymi w tkankę mózgową wszystkich żołnierzy PGB. Niektóre mikroprocesory są sensorami chemicznymi, które przekazują informacje o stanie chemicznym mózgu, inne natomiast stymulują

wydzielanie enzymów neurochemicznych. Neuroskalp potrafi zwiększyć bądź zmniejszyć ich produkcję, wpływając na stan naszego samopoczucia.

Nie noszę już neuroskalpu, gdyż zrobiłem krok ku czemuś bardziej permanentnemu. Korzystam z neuronetki: siateczki nici sensorycznych, wszczepionych pod skórę głowy, bezpośrednio na kości czaszki. Podobnie jak neuroskalp, neuronetka jest wyposażona w prymitywną sztuczną inteligencję, która monitoruje i stabilizuje aktywność mózgu. Mogłaby się okazać moją kartą przetargową umożliwiającą wydostanie się z więzienia, gdybym chciał ją wykorzystać w ten sposób.

Klepię się po czarnych włosach przystrzyżonych krótko maszynką.

- Adwokaci chcą, żebym powiedział, że Kendrick kontrolował za pośrednictwem neuronetki moje myśli, uczucia i proces decyzyjny. Chcą, żeby każde z was zeznało, że zhakował was przez neuroskalpy. Chcą, żebyśmy stwierdzili, że nie byliśmy w pełni władz umysłowych i nie rozumieliśmy, co robimy.

Pierwsza odzywa się specjalistka Vanessa Harvey:

- Pieprzyć to, poruczniku.

Krzyżuje ramiona na piersi i patrzy na mnie wzrokiem, który mógłby powstrzymać kule... i stało się tak niemal w Czarnym Krzyżu, gdzie została postrzelona w twarz. Przyłbica przyjęła impet pocisku i Harvey wyszła z tego jedynie ze złamanym nosem, ale na jej obliczu o brązowej karnacji i ostrych rysach nie pozostał żaden ślad tego obrażenia.

Specjalista Samuel Tuttle rozwija opinię Harvey:

- Pieprzyć ich wszystkich.

Krawędź neuroskalpu wzmacnia jego grymas niezadowolenia, gdy przenosi zadumane brązowe oczy z Harvey na sierżanta Aarona Nolana, który w jakimś innym życiu musiał być jego starszym bratem.

Nolan ma metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, szerokie bary i ciemnobrązową skórę. Powiedział mi kiedyś, że w połowie jest Indianinem Nawaho, a w połowie białym. Generalnie jest sympatycznym facetem, ale teraz opuszcza brodę i informuje mnie:

- Niech te gównojady idą do diabła.

Drobna Mandy Flynn o zielonych oczach i jasnej karnacji to jedyna szeregowka, ale jest bardziej elokwentna od pozostałych:

- Nie ma mowy, żebyśmy nasikali na grób pułkownika.

- Zgadza się - potwierdza specjalista Jayden Moon. Jest wysoki, chudy i ciemnooki; wynik zmieszania krwi europejskiej i azjatyckiej według dosyć skomplikowanej formuły. Kiedyś był

opalony, ale na skutek pobytu w więzieniu jego skóra przyjęła odcień bladokremowy. - To bzdura, poruczniku.

Odwracam się do sierżant Jaynie Vasquez, która, całkiem lojalnie, siedzi po mojej prawej ręce. Jaynie to najwyższy stopniem podoficer naszego oddziału. Jest szczupłej budowy ciała i średniego wzrostu, o skórze gładkiej i czarnej. Ma skłonność do postrzegania świata z rezerwą, co odzwierciedla idealnie jej charakter: jest inteligentna, opanowana, zdeterminowana, i nie do końca ufa mojemu osądowi. Na moje pytające spojrzenie odpowiada skinieniem głowy, dając mi do zrozumienia, że będzie mnie popierać, dopóki będę mówił do rzeczy.

Ponownie kieruję wzrok na Moona.

- Oczywiście, że to bzdura, Moon. To te same pierdoły, którymi nas, żołnierzy PGB, karmią cały czas.

W szerokim świecie uważa się członków połączonych grup bojowych za bezduszne automaty, zabójcze, pozbawione uczuć maszyny, kontrolowane przez opiekunów z Nadzoru. Ten mit chcą wykorzystać nasi prawnicy.

- Ta bzdura może ci jednak zapewnić uniewinnienie i zwolnienie z wojska z powodów zdrowotnych.

Moon wygląda na skołowanego. Skacze spojrzeniem ku Jaynie.

- Nie kapuję. Nie po to wróciliśmy.

Patrzy na Jaynie, ale to ja mu odpowiadam:

- Nie, nie po to wróciliśmy. Ukrzyżowanie pułkownika Kendricka to możliwość, którą nam zaoferowano, gdyż zarówno oskarżyciele, jak i obrońcy są poddawani ogromnej presji, żeby ograniczyć zakres naszego procesu wojskowego. Nie chcą się babrać w łańcuchu odpowiedzialności służbowej...

- Nieodpowiedzialności - przerywa Jaynie cichym warknięciem.

Przyznaję jej rację skinieniem głowy.

- Nie chcą się babrać w warstwach korupcji, która zmusiła nas do podjęcia przeprowadzonej akcji. Powinniśmy ujawnić tę korupcję, stawić jej czoło. Dlatego wróciliśmy. Ale to nie jest gra. Stoimy w obliczu dożywocia, bardzo możliwe, że wyroków śmierci. Jeśli chcecie się ponownie zastanowić nad powodami, dla których tutaj jesteście, to teraz jest odpowiednia chwila. Wiedźcie tylko, że obrona pozytywna spełni swoje zadanie jedynie wtedy, gdy wszyscy się na nią zgodzicie. Jeżeli choćby jedno z was będzie miało odmienny pogląd, poda to w wątpliwość linię obrony pozostałych.

Harvey ma nadal skrzyżowane ramiona, a podejrzliwość marszczy jej czoło.



- Co pan ma na myśli, poruczniku, mówiąc, że to my mielibyśmy na to pójść? A co z panem? Sądziłam, że tkwimy w tym wszyscy razem?

- To twoja decyzja, Harvey. Nie ma mowy, kurwa, żebym na to poszedł. Wy jednak możecie oświadczyć, że dowódcy nadużyli waszego zaufania. Powiedzcie, jeśli chcecie, żebym wyszedł, gdy będziecie to omawiać.

Jaynie odzywa się pierwsza, w typowy dla siebie emocjonalny sposób.

- Niech pan nie dramatyzuje, poruczniku. Nie mamy o czym gadać, bo ja się na to nie zgadzam. Nie biorę udziału w tym gównianym sposobie obrony.

- Ja też nie - mówi Harvey.

Tę opinię potwierdzają kiwnięcia głowami i pomruki rozlegające się wokół stołu. Korzystam z nakładki, żeby uruchomić narzędzie analizy emocjonalnej, zwane FaceValue, które ocenia każdego członka oddziału. Aplikacja nie wykrywa na twarzach moich żołnierzy obłudy ani istotnych wątpliwości. Jaynie marszczy brwi - FaceValue potwierdza zaniepokojenie, które widzę w jej oczach, ale ostrożność z jej strony nie martwi mnie. Zawsze była najrozsądniejsza z nas wszystkich.

Standardowy sposób rozwoju podobnej historii jest taki, że przynajmniej jeden albo dwoje moich żołnierzy powinno się okazać sprzedawczykami i dobić potajemnie targu z przedstawicielami procesowymi, żeby nas zdradzić, ocalając jednocześnie własne tyłki, ale pułkownik Kendrick rozbroił to wysłużone narzędzie intrygi, kiedy osobiście wybrał wszystkich członków oddziału ze względu na spektrum ich cech osobowościowych, między innymi nieodparte poczucie sprawiedliwości oraz na tyle silną więź jedności grupowej, że spajała nas w czasie dwóch wyczerpujących operacji. Kiedy wodzę wzrokiem wokół stołu, wiem, że wszyscy pozostają wierni naszej obecnej misji.

- No to co robimy, kurwa? - pyta Harvey, patrząc ostro na Jaynie, gdyż zwraca się do mojej sierżant, nie do mnie.

Walę głośno pięścią w stół, zwracając na siebie uwagę wszystkich obecnych w pomieszczeniu.

Nie mamy wielu możliwości. Wysunięte przeciwko nam oskarżenia obejmują uczestnictwo w spisku, wielokrotne przypadki morderstwa, czynną napaść z użyciem niebezpiecznego narzędzia, kradzież wartości przekraczającej kwotę pięciuset dolarów i porwanie, wraz z ogólnym zarzutem naruszenia porządku i dyscypliny w siłach zbrojnych. Mnie dodatkowo oskarżono o zniszczenie mienia wojskowego, gdyż w mojej obecności pułkownik Kendrick świadomie rozwalił helikopter.

Ponadto każdy z zarzucanych nam czynów popełniliśmy w czasie wykonywania rebelianckiej misji o kryptonimie „Brzask”, podczas której pojмалиśmy obywatelkę amerykańską, żeby postawić ją przed sądem obcego kraju za zbrodnie popełnione na terenie Stanów Zjednoczonych i przeciwko nim. Wszystkie zdarzenia i rozmowy w czasie operacji zostały

nagrane przez mnóstwo urzędów rejestrujących, w tym moją nakładkę oczną. Nie brakuje dowodów, które mogą zostać wykorzystane w celu skazania nas. Pozostaje jedynie pytanie, czy okoliczności usprawiedliwiają to, co zrobiliśmy.

To kwestia, której rozważania sąd chce rozpaczliwie uniknąć, i tylko dlatego zaoferowano nam możliwość powołania się podczas procesu na ograniczoną poczytalność... ale to mamy już za sobą.

- Ponieważ w grę wchodzi wyrok śmierci, nasza obrona polega siłą rzeczy na nieprzyznaniu się do winy. Co oznacza, że oskarżenie musi nam ją dowieść krok po kroku na oczach publiczności. Chcemy tego. Chcemy, żeby opinia publiczna dowiedziała się, kim jesteśmy i co uczyniliśmy, ale przede wszystkim pragniemy, żeby ludzie wiedzieli, dlaczego to zrobiliśmy.

Znam się teraz na prawie dużo lepiej niż wtedy, gdy to zaczęliśmy. Przedstawiam swoją strategię w sposób, który każdy wykwalifikowany prawnik z pewnością uznałby za amatorski i optymistyczny.

- Jedyna przekonująca linia obrony, jaką możemy forsować, opiera się na złożonej przez nas przysiędze wspierania i ochrony konstytucji przed każdym wrogiem, zewnętrznym i wewnętrznym. Zatem ujawnimy owych wrogów - naszych wewnętrznych wrogów - rzucimy na nich światło i wskażemy w łańcuchu dowódczym każdego, kto przyłożył rękę do chronienia Thelmy Sheridan przed zarzutami wskazującymi na jej związek z rebelią Dnia Komy. Podsadzimy sędzię na każdy szczebel drabiny służbowej. Wymusimy rozszerzenie zakresu dochodzenia. Jeśli obejmie ono ostatecznie prezydenta, to niech tak będzie, mam to w dupie. Jeśli to zainicjuje rewoltę przeciwko skorumpowanej elicie politycznej naszego kraju, to nie będę płakał z tego powodu.

- Wypalić to do korzeni? - pyta cicho Jaynie.

Odwracam się do niej, zastanawiając się nad nutą podejrzliwości, brzmiącą w jej głosie.

- Nie, nie tego chcę.

Przygląda mi się badawczo, jakby chciała przeniknąć do mojego wnętrza.

- Niech się pan tylko nie zagalopuje, sir. Może się panu nie spodobać to, co jest po drugiej stronie.

\*

Już się rozdzieliliśmy, bo każde z nas musi się spotkać indywidualnie z adwokatem. Czekam w małym pomieszczeniu konferencyjnym, wyposażonym w stół i cztery wygodne fotele, gdzie mam się naradzić z naszym głównym obrońcą, majorem Kelsem Ogawą, oraz z cywilnym adwokatem, Brandonem Shelleyem, moim wujem, który pomaga pro bono przy naszej sprawie, bo należy do rodziny, ale także dlatego, że - jak wszyscy - jest wściekły z powodu tuszowania wydarzeń Dnia Komy.

Pomieszczenie jest dźwiękoszczelne, więc nie docierają do niego żadne odgłosy z zewnątrz, nie słyhać żadnego ostrzeżenia, że drzwi za moment się otworzą. Podskakuję gwałtownie, gdy tak się dzieje, ale wchodzi jedynie wuj Brandon. Wsuwa się do środka i głośno zatrzaskuje za sobą drzwi, żeby dać mi poznać, że jest niezadowolony.

- Dałeś niezłe przedstawienie.

Ma imponującą powierzchowność: wysoki, silny krzepkością wieku średniego, maskowaną przez drogi, szary, trzyczęściowy garnitur. Jego mieszane pochodzenie dało mu gęste brwi i orli nos - zdecydowane rysy, które wzbudzają zaufanie, jeśli masz go po swojej stronie, i niepokoją, gdy tak nie jest. Srebro zaczyna się wdzierać do jego porządnie ostrzyżonych czarnych włosów.

- Prokurator... - Urywa, pojawiając się, że się przejęczył. - Cholera. To znaczy, rzeczniczka procesowa - ciągnie, posługując się terminem wojskowym - ciska gromy i, szczerze mówiąc, ma do tego pełne prawo. Zgodziłeś się, Jimmy, przedstawić im linię obrony w postaci ograniczonej poczytalności...

-I zrobiłem to.

- A także ich urobiłeś. Ukrzyżowanie pułkownika Kendricka? Poważnie?

- To tylko metafora.

- Jezu! Jimmy, w ogóle nie wiem, kim ty teraz jesteś. Masz. - Wręcza mi tablet, który przyniósł. Biorę go i stukam natychmiast w ekran, budząc urządzenie do życia; pochylam się nad wyświetlaczem jak ćpun nad kolejną działką. -Jest tam folder z twoim imieniem - informuje mnie wuj.

- Widzę. - W dupie mam jednak folder. Chcę się połączyć z Chmurą... z tym, co z niej zostało.

- Nie trać czasu - mówi wuj Brandon. - Mam się stawić w gabinecie sędzi, gdzie będę musiał wysłuchać skarg rzeczniczki procesowej na to, jak skrzywdziłeś swoich współoskarżonych, przekonując ich do działania wbrew ich najlepszym interesom.

Wyciąga rękę do gałki drzwi.

- Zaczekaj! W tym urządzeniu odcięto łączność z siecią.

- Oczywiście, że tak. Wiesz, że nie masz prawa do kontaktów ze światem zewnętrznym.

Patrzę na niego wilkiem.

- Wiem, że nie mam prawa do połączeń z komórki, ale Nadzór ma dostęp cały czas. - Klepię się po głowie. -Sprawdzają mnie codziennie.

- To znaczy? - pyta z zaniepokojoną miną.

Moja nakładka jest zawsze aktywna. Wszystko, co widzę, jest nagrywane przez soczewki w oczach, a to, co słyszę, rejestrują małe mikrofony wszczepione w uszy. Złota linia wytatuowana wzdłuż linii szczęki to antena, która łączy mnie z Chmurą, kiedy nie jestem od niej odcięty - a wojsko wszystko zapisuje.

Mówię wujowi prawdę:

- Przynajmniej raz dziennie Nadzór łączy się z moją nakładką i pobiera dane.

Materiał jest przesyłany... dokądś. Nie mam pojęcia dokąd. Do reżysera, który montuje obrazy z mojego życia, łącząc je z innymi zapisami, żeby tworzyć odcinki reality show zatytułowanego *Połączona grupa bojowa*, który stał się dosyć popularny.

- Nie powinieneś mieć żadnej łączności - upiera się wuj Brandon. - Żadnej. Tak to rozumiem. To element zasad bezpieczeństwa, gdyż Nadzór niepokoi się możliwością zhakowania... o cholera.

Patrzmy na siebie, myśląc dokładnie to samo.

- Nic nie mów, wujku. Proszę.

Tam, w Chmurze, aktywna na milionie serwerów, ale zazwyczaj niewidzialna i niewykrywalna, działa samodzielna AI, program, który nazwałem Czerwień. Nikt naprawdę nie wie, skąd się wzięła. Spekuluje się, że powstała jako marketingowa sztuczna inteligencja, być może wyposażona w wynaleziony potajemnie przez amerykańskiego przedsiębiorcę wojennego kod, który daje jej nieograniczony dostęp do ukrytych danych, gdyż jeśli Czerwień ma dość czasu, potrafi dotrzeć wszędzie - do wszystkiego, co jest połączone z Chmurą. Włamała się do mojej głowy i przepisała scenariusz mojego życia. To dlatego znajduję się tutaj.

- Jimmy, jeśli Czerwień...

- Nie. To nie ma znaczenia. Nie krzywdzi mnie. Niczemu nie szkodzi.

Nie powinienem był wspominać o ściąganiu ode mnie danych. Dlaczego to zrobiłem? Dlaczego podniosłem ten temat? To jedna z ujemnych stron bycia nawiedzonym przez Czerwień. Kwestionuję nawet własne motywy, choć wiem, że od miesięcy nie ujawniła się w mojej głowie. Ściąganie plików to proces automatyczny.

Wlepiając oczy w sufit, pozostaję z pozoru spokojny, ale w środku buzuje adrenalina.

- Nie ma tutaj kamer, co?

- Stanowiłoby to naruszenie zasady poufności w relacjach klienta z adwokatem.

- Więc nic nie mów. Skoro Nadzór o tym nie wie, to nie będą szperać w nagraniach, przynajmniej przez jakiś czas.

- Trzeba to zgłosić...
- Nie. Gdyby Nadzór uznał, że doszło do infiltracji, pozbawiliby mnie neuronetki i nakładki.
- Lepiej by ci było...
- Nie byłoby mi lepiej.

Spojrzenie ma twarde. Nie podobają mu się decyzje, do których podjęcia go zmuszam.

- Muszę lecieć. Jestem już spóźniony. Przyjrzyj się temu, co jest w folderze. Pogadamy o tym, kiedy wrócę.

Ponownie sięga do gałki.

- Rzeczniczka procesowa ma rację - mówię mu.

Odwraca się wściekły.

- O czym ty, kurwa, mówisz?
- Ma rację, twierdząc, że działamy wbrew naszym najlepszym interesom, bo nie chodzi o nas. Nigdy nie chodziło. Idzie o większe sprawy.
- Wiesz co, Jimmy, podobałeś mi się bardziej jako cyniczny dzieciak. Te bzdury bezkompromisowego wyznawcy starzeją się bardzo szybko.

Mierzymy się wzrokiem. Potem otwiera szarpnięciem drzwi i wychodzi, zamykając je za sobą z siłą, która wstrząsa framugą. Mam nadzieję, że nic nikomu nie powie.

Dociera do mnie coś innego: jeśli rzeczniczka procesowa dowie się o infiltracji, może się posunąć do tego, iż ogłosi mnie umyślowo upośledzonym, gdyż zhakowano mi głowę - diagnoza, którą można rozciągnąć na cały mój oddział i zapewnić w ten sposób doskonały pretekst do odwołania procesu i zamknięcia nas wszystkich w jakimś anonimowym psychiatryku. Amerykański gułag. Jezu.

Jednak mój wujek jest od bardzo dawna adwokatem w sprawach karnych, głównie urzędniczych. Umie trzymać język za zębami i mimo że często go wkurzam, ufam, że dochowa tajemnicy.

Spoglądam ponownie na tablet.

Jest sterowany wzrokiem, ma dziesięciocalowy ekran ukazujący w rogu datę i godzinę, wraz z czerwonym krzyżykiem, świadczącym o braku połączenia z siecią, a pośrodku znajduje się tylko jeden folder, o nazwie „Jimmy”. Za tym niemal pustym wyświetlaczem może się ukrywać cała biblioteka danych, ale nigdy do nich nie dotrę. Tablet wie, kto go trzyma, a ja mam prawo widzieć tylko ten jeden folder.

Otwieram go mrugnięciem oka. Zawiera cztery nagrania wideo. Trzy są oznaczone jako klipy z wiadomościami, stworzone przez kanały propagandowe. Czwarte jest zatytułowane *Połączona grupa bojowa - Odcinek 3: Misja „Brzask”*. Kiedy to czytam, czuję napływ adrenaliny. Stary dobry odruch: „uciekaj albo walcz”.

Gdybym mógł, wybrałbym ucieczkę, ale nie jestem w stanie uciec od samego siebie.

Odzywa się zespół stresu pourazowego; drżą mi ręce. Boję się, że upuszczę tablet, więc kładę go ostrożnie na stole. Na skraju pola widzenia zapala się ikona neuronetki, sygnalizując aktywność zainstalowanej w niej AI, która automatycznie balansuje neurochemię mojego mózgu, kierując nastrój ku spokojniejszym rejonom i tępiąc ostrze emocji.

Nie mam ochoty oglądać trzeciego odcinka *Połączonej grupy bojowej*. Wiem, co tam jest, bo to przeżyłem, i nie chcę ponownie widzieć rozbryzganego po strzale mózgu specjalisty Matta Ransoma, być świadkiem powolnego konania w męczarniach pułkownika Kendricka ani słuchać przerażenia brzmiącego w głosie Lissy na chwilę przed tym, gdy zostanie złożona w ofierze podczas tej niekończącej się nocy nad Atlantykiem. Wystarczająco często słyszę Lisę w snach.

Misja „Brzask” z założenia nie miała przynieść nam osobistych korzyści. W najmniejszym stopniu.

Wstaję i zaczynam chodzić, dając neuronetce czas na działanie. Słysząc ciche szcęknięcie, kiedy moje robocze stopy stykają się z podłogą. Prawdziwe nogi urwał mi wybuch. Wojsko zastąpiło je eksperymentalnymi protezami, połączonymi z moim systemem nerwowym. Wystarczająco cztery kroki, że przejść pokój wzdłuż. Zawracam i ruszam z powrotem. Po kilku nawrotach siadam i uważnie oglądam klipy.

Pierwszy ukazuje potężny marsz protestacyjny na National Mall, kilka przecznic od miejsca, w którym się znajduję. Między rzędami drzew, które zaczynają dopiero wypuszczać wiosenne liście, idą dziesiątki tysięcy skandujących manifestantów. Siadam nieco prościej, przypominając sobie, jakie to uczucie być częścią podobnego tłumu - inspirujące, odurzające - oraz to, jak bardzo byłem pewien w związku z taką masą ludzi domagających się zmian, że te zmiany muszą zajść.

Niestety, świat jest dużo bardziej skomplikowany.

Wykrzykiwane hasła są trudno zrozumiałe z powodu zagłuszającej je mediotki, która mówi widzom, co mają myśleć, ale jasny przekaz transparentów powiewających nad tłumem nie pozostawia wątpliwości co do celu marszu.

**UWOLNIĆ POR. SHELLEYA -  
AMERYKAŃSKIEGO BOHATERA  
UWOLNIĆ ODDZIAŁ APOKALIPSY**

# NARÓD POPIERA LWA Z CZARNEGO KRZYŻA

Lew z Czarnego Krzyża to ja.

Niedługo po eksplozjach bomb w Dniu Komy odkryto kolejne prowizoryczne ładunki nuklearne w amerykańskich metropoliach - zaprogramowane tak, żeby wybuchły, gdyby przy nich majstrować. Można je było rozbroić jedynie dzięki kodom przechowywanym przez wroga w schronie z okresu zimnej wojny, zwanym Czarnym Krzyżem. Rozkazano nam je zdobyć. To było kurewskie piekło w podziemiach, ale udało się. Po tych wydarzeniach medioci nazwali mnie Lwem z Czarnego Krzyża, a jeśli nie tak, to królem Dawidem, gdyż Bóg powinien stać po mojej stronie.

„Brzask” to zmienił.

Miedioci od kilku miesięcy starali się odmalować nas jako zdrajców. Nie udało się do końca. Mnóstwo ludzi popiera to, co zrobiliśmy, ale nie miałem pojęcia, że wyzwoliliśmy taki zapal, jaki widzę w tym marszu.

Prowadząca narrację mediotka stara się opisać obraz jako coś przeciwnego. Krytycznym, pogardliwym tonem informuje widzów, że odpowiedzialni obywatele pomagają krajowi, pozostając w domach, wykonując swoją pracę i odbudowując swoje lepsze życie, natomiast protestujący przybyli do stolicy, żeby sprawiać kłopoty i domagać się pomocy ze strony rządu.

Wielu maszerujących stara się przedstawiać swoje żądania anonimowo. Twarze około dwudziestu procent obecnych kryją maski, i to nie tanie pozostałości po Halloween. Te widziane przeze mnie to dzieła sztuki, jak karnawałowe maski europejskie, tyle że zasłaniają całe twarze, a zamiast otworów na oczy mają szczeliny pozwalające nosić wizory. Mimo to nie sądzę, żeby maski pozwoliły komukolwiek ukryć tożsamość - nie w obliczu specjalistycznej inwigilacji. Dobry skaner na podczerwień powinien być w stanie przejrzeć maski na wylot. Może to jednak nie ma znaczenia. Nawet jeśli agencja rządowa zarejestruje czyjąś obecność, będzie to tylko jeden z bilionów bitów zebranych dzisiaj informacji. Prawdziwe zagrożenie dla tych ludzi kryje się w tym, że zostaną rozpoznani przez ich pracodawców, a maski powinny ich przed tym ustrzec.

Dwa kolejne klipy są różnymi wersjami tej samej historii. Po zapoznaniu się z nimi zastanawiam się ponownie, czy nie obejrzeć odcinka trzeciego. *Połączona grupa bojowa* jest dziełem zręcznego montażysty, który wie, jak się opowiada poruszającą emocjonalnie historię. Czy w epizodzie trzecim jest coś, co zainspirowało tamtych ludzi, skłoniło ich do opuszczenia domów, porzucenia dotychczasowego życia i wzięcia udziału w popierającej nas manifestacji?

Wuj Brandon dołączył go, gdyż uważa, że powinienem poznać treść filmu.

Biorę się w garść i otwieram plik.

\*\*\*

Gdy drzwi się otwierają, jest później, dużo później. Tężeję, ale nie podskakuję tym razem ani

nie podnoszę wzroku. Garbię się nad tabletem, trzymając go w obu dłoniach. Odcinek trzeci trwa nadal i duchem nie przebywam tak naprawdę w tym pokoju. Znowu jestem na pokładzie C-17. Zakończyliśmy właśnie tankowanie w powietrzu. Mój oddział wiwatuje.

- Zniszczone miasto - mówi ponuro Brandon. - Wyłącz się i zablokuj.

Zwraca się do cholernego tabletu, który go słucha. Ekran urządzenia pustoszeje. Mój uścisk wzmagą się do tego stopnia, że łamię je niemal na pół.

- Kurwa mać! - szepczę, starając się poskromić złość, gdyż za wujem wchodzi do pokoju nasz główny obrońca, major Kelso Ogawa.

- Nie musisz oglądać do końca, Jimmy - stwierdza Brandon.

Ma rację. Nie muszę tego oglądać, bo to się rozgrywa w mojej głowie. Słyszę ponownie powitanie najemnika wynajętego przez Carla Vandę. Poleca mi, żebym włączył telefon, a ja to robię. Dzwoni do mnie Lissa, która mówi, że najemnik uprowadził ją, żeby wyrzucić na mnie nacisk, ale ten plan się nie powiódł. Lissa już nie żyje. Tak jak i najemnik. Ja wciąż jestem żywy.

Wujek obchodzi stół i odsuwa krzesło stojące obok mnie.

- Chciałem tylko, żebyś zobaczył wielką polityczną zmianę, jaka zachodzi w odcinku trzecim - mówi, siadając.

Zmuszam się do delikatnego odłożenia tabletu na blat stołu. Przesuwam ku wujowi urządzenie, jakby to była naładowana broń.

- Kiedy wyemitowano odcinek trzeci?

Odpowiada major Ogawa, zajmując miejsce naprzeciwko mnie:

- Przedwczoraj wieczorem.

Major ma pod pięćdziesiątkę, mieszane euroazjatyckie pochodzenie i wąską twarz ujawniającą ślady godnego starzenia się, a jego kręcone brązowe włosy przeplatają pierwsze pasma siwizny. Patrzy na mnie przez półprzezroczysty, zabarwiony na szaro pasek wizora tak cienkiego i lekkiego, że zdaje się unosić przed jego oczami.

- Wygląda pan na mocno wstrząśniętego. Będzie pan w stanie rozmawiać?

Biorę głęboki wdech, prostuję plecy i ściągam barki. Lissa nie żyje, a ja nie potrafię jej wskrzesić, ale jeśli ten proces potoczy się tak, jak na to liczę, to mnóstwo ludzi może w końcu zapłacić za to, co się stało. Mam nadzieję, że jednym z nich będzie Carl Vanda.

- Co się wydarzyło u sędzi?

- Pułkownik Monteiro wyraziła zrozumienie dla obaw rzeczniczki procesowej - odpowiada



wuj - ale nie zgodziła się oddzielić sprawy twojej i twoich podwładnych. Polecono jej zakończyć szybko postępowanie, a prowadzenie osobnych procesów nie służy temu. Poza tym sprawy sądowe kosztują, a zważywszy na panujący stan nadzwyczajny, nie sędzę, żeby istniał budżet pozwalający na oddzielne postępowania.

- Więc posuwamy się naprzód?
- Osiągnęliśmy tymczasowe porozumienie - odpowiada Ogawa. - Posiedzenie sądu wojskowego jest zaplanowane na poniedziałek.

Poniedziałek.

To szok. Ogawa ostrzegął, że może chodzić o całe miesiące, ale dzisiaj jest piątek. Jeszcze tylko dwa dni. W porządku, jeśli o mnie chodzi.

- Tymczasowe porozumienie? - pytam go. - Co trzeba jeszcze ustalić?
- Rzeczniczka procesowa poprosiła sędziego Monteiro o zakaz używania neuroskalpów podczas posiedzeń sądu, twierdząc, że zakłócają osobniczą wolną wolę.

Chcę wierzyć, że żartuje, ale moja apka FaceValue nie wykrywa żadnej wesołości ani wybiegu z jego strony.

- Neuroskalpy nie działają w ten sposób.
- Monteiro zastanawia się nad tym postulatem. Zdecyduje pod koniec dnia. W pańskiej profesjonalnej opinii, jako oficera PGB, jak to wpłynie na sprawę, jeśli sędzia wypowie się przeciwko neuroskalpom i pańskiej neuronetce?

Stukam się w czoło.

- Nie mam tam wyłącznika. Jeśli nie chce mnie wysłać do chirurga, to nie może jej wykluczyć. A jeśli zakaze neuroskalpów? To rozmyślnie działanie w celu osłabienia mojego oddziału. To ruch, który narazi ich zdrowie psychiczne. Niech pan zapyta Nadzór.
- Zapytałem. Przygotowują oficjalną odpowiedź.
- Dawniej kazali nam oddawać neuroskalpy, zanim wyszliśmy na przepustkę. Już tego nie robią.
- Mówi pan więc, że to zaszkodzi naszej sprawie, jeśli sędzia zakaze używania neuroskalpów?
- Nie, to w ogóle nie wpłynie na proces, ponieważ korzystanie z nich nie ma nic wspólnego ze sprawą.
- Uważa pan jednak, że istnieje ryzyko załamania psychicznego...

- Nie. - Zastanawiam się nad tym głębiej. - Nie od razu. Moi żołnierze będą zeznawać w każdej sytuacji, ale zabierzcie im neuroskalpy, a narazicie ich na ryzyko ostrej depresji.
- W porządku. Nadzór powiedział mniej więcej to samo.
- Mniej więcej?
- Były przypadki... aktów przemocy ze strony żołnierzy pozbawionych neuroskalpów.
- O czym pan, kurwa, mówi? - Pochylam się, przyglądając mu się badawczo. To bzdury, o jakich lubią gadać medioci.
- To jak uzależnienie, prawda? - pyta Ogawa. - Im dłużej się używa neuroskalpu, tym bardziej się go potrzebuje. Mózg zapomina, jak się regulować samoczynnie.
- Jakie akty przemocy?
- Takie jak zwykle. Zamordowani członkowie rodziny, sterroryzowane sąsiedztwo, rozwalone na kawałki centra handlowe. Powiązania z żołnierzami PGB były bagatelizowane.

Gapię się w blat stołu, chcąc temu zaprzeczyć, ale prawda jest taka, że uznaję to za aż nazbyt wiarygodne.

- Nic nam nie jest, póki mamy neuroskalpy.
- Powiem sędzi. Wojsko was uzależniło. To nie w porządku, żeby wymagać od was funkcjonowania bez protez emocjonalnych w czasie tak ciężkiego doświadczenia, jakim jest proces przed sądem wojskowym.

Proteza emocjonalna? To dla mnie nowy termin, ale nie mogę oponować. Moja neuronetka to inteligentne urządzenie pomocnicze, które niweluje najgorsze ekstrema nastrojów i łagodzi traumę wspomnień, utrzymując mnie w szczytowej formie przed następną rundą.

- Uważa pan, że posuwamy się naprzód?
- Oczywiście - potwierdza Ogawa. - Rząd chce, żeby wyrok zapadł, zanim sytuacja się zaogni wskutek odbioru odcinka trzeciego.

Patrzę na wujka, a potem z powrotem na Ogawę.

- Dlaczego nie wstrzymali po prostu emisji? Od operacji „Brzask” minęło pięć miesięcy. Dlaczego pokazano odcinek teraz?
- Dlaczego w ogóle go emitowano? - pyta wuj Brandon. - Pewne jak wszyscy diabli, że zarówno wojsko, jak i prezydent byli temu przeciwni, ale ktoś tam na zewnątrz interesuje się waszą historią i jest po waszej stronie.

Drażni mnie, owijając kwestię Czerwieni w bawełnę, gdyż nie może mówić o niej otwarcie w

obecności majora Ogawy.

- Powinieneś się cieszyć - ciągnie. - Chciałeś, żeby oczy całego świata były zwrócone na ten proces. Nie widzę lepszego sposobu na zrealizowanie tego planu, jak wyemitować propagandowy film w przeddzień procesu.

- To, co się dzieje na ulicach, to jedynie przygrywka -zapewnia mnie Ogawa. — Wyreżyserował pan sensację medialną jak się patrzy. Jestem pod wrażeniem.

- Nie zorganizowałem tego.

Ogawa najwyraźniej mi nie wierzy.

- Powiedzieliśmy o tym sędzi. Jest pan tutaj izolowany. Nie ma mowy, żeby mógł pan być zamieszany w emisję „Brzasku”.

- Oczywiście, że nie. - Odwracam się do wujka. - Zmiana polityczna, którą miałem zobaczyć. Chodziło ci o Czerwień. Tym razem jest częścią programu.

Potwierdza skinieniem głowy.

- Nie wspomniano o niej w odcinku drugim. Nigdy nie mówiono o niej publicznie... aż do teraz.

To prawda. W odcinku pierwszym nie wiedzieliśmy nawet o jej istnieniu. W trakcie wydarzeń składających się na epizod drugi byliśmy jej świadomi, nadaliśmy jej nazwę, a mnie dano do zrozumienia, że zhakowani zostali także inni żołnierze, ale nic z tego nie przedostało się do programu. Teraz, w odcinku trzecim, tajemnica wyszła na jaw. Przebitki z przeszłości ukazują odkrycie Czerwieni i spekulacje na temat jej zamiarów: że wprowadza w życie pojedynczych ludzi przypadki i zbiegi okoliczności, żeby ich wykoleić bądź zmotywować, na co nikt z nas nie jest odporny. Mówi o niej Thelma Sheridan, sprzeczą się o nią z Jaynie i twierdzi się, że nuklearny terroryzm Dnia Komy był czymś więcej od rebelii - że miał na celu zniszczenie środowiska Czerwieni.

Ale sąd wie już o tym.

- To niczego nie zmieni, prawda? - mówię. - Nie wpłynie na postępowanie procesowe?

Ogawa odpowiada mi pytaniem:

- Czy jest jakiś powód, żeby uważać, że na decyzje, które podjął pan w związku ze swoją obroną, wywarła wpływ, wbrew pańskiej woli, Czerwień, jako czynnik zewnętrzny?

Odwracam się do wujka, szukając potwierdzenia, że dochował naszej tajemnicy. Kręci nieznacznie głową: „Nie puściłem pary z gęby”. Patrzę na Ogawę. Przygląda mi się badawczo; jestem pewny, że używa wizora do uruchomienia własnej aplikacji analizującej emocje, która mierzy cały czas moją prawdomość.

- Żaden zewnętrzny czynnik nie miał wpływu na podejmowane przeze mnie decyzje.

- Podczas prezentacji dowodów oskarżeniu została przedstawiona historia poprzednich wtargnięć - wyjaśnia mi Ogawa - zatem nie mogą użyć przeciwko panu wcześniejszych interwencji Czerwieni. Do dokumentacji przedprocesowej włączono także zaprzysiężone oświadczenie Nadzoru, które potwierdza, że pańska neuronetka jest wyłączona.

Kiwam głową. Nie odzywam się.

- Jeśli tak jest - ciągnie Ogawa, nie odrywając ode mnie wzroku - to jako pański obrońca radzę, żeby pan to powiedział.

- Tak jest, sir.

Czeka, żebym dodał coś więcej. Kiedy wciąż milczę, kiwa głową.

- Zatem do poniedziałku.

Wstajemy i ściskamy sobie nawzajem dłonie, a potem idę za nimi dwoma do drzwi.

O moje bezpieczeństwo nie dbają strażnicy cywilni. Wojsko zawarło z biurem szeryfa umowę pozwalającą specjalnemu oddziałowi żandarmerii wojskowej strzec Oddziału Apokalipsy. Tak więc w korytarzu przed malutkim pokojem narad czeka na mnie dwoje strażników, zawodowych żołnierzy - sierżant Kerry Omer i specjalista Darren Vitali.

Zakłada się, że mamy mnóstwo wrogów, zatem chronienie nas uważa się za niebezpieczną służbę. Omer i Vitali są odpowiednio wyekwipowani, mają na sobie kamizelki kuloodporne i tytanowe gnaty zwinnych egzoszkieleatów tego samego modelu, jakiego używamy w połączonych grupach bojowych, zwanych „martwymi siostrami”. Szare wsporniki, połączone czarną ramą, biegną po zewnętrznych stronach nóg i ramion żandarmów. Nasi strażnicy noszą także takie same hełmy jak my, chociaż przyłbice pozostają przezroczyste, widać więc wyraźnie ich twarze. Biuro szeryfa pozwala żandarmom nosić broń przyboczną, ale nie karabiny szturmowe, granaty czy inne środki wybuchowe.

Oboje salutują, gdy wychodzimy na korytarz. Major Ogawa i ja oddajemy honory.

Kiwam głową wujowi Brandonowi, salutuję majorowi, a potem odwracam się do Omer.

- Jest pan gotów, sir? - pyta.

- Gotów, sierżancie.

Wyciągam nadgarstki w stronę kajdanek, które muszę nosić w drodze między blokiem więziennym a biurami sądu. Omer nakłada mi je szybko i zręcznie. Staram się nie myśleć o tym.

Wychodzimy razem, żandarmi u moich boków. Nasza droga wiedzie przez służbowy korytarz,

po którego jednej stronie znajdują się gabinety sędziów federalnych, a po drugiej sale sądowe, na tym piętrze są cztery. Sekretarki i asystentki usuwają się nam z drogi. Jedna kobieta umyka do gabinetu sędziego. Gdy mijam uchylone drzwi, przelotnie widzę wysokie okno w przeciwległej ścianie pomieszczenia, a potem perspektywę obejmującą staw zwierciadlany. Z lewej strony, w otoczeniu drzew okrytych jasnozielonym, wczesnowiosennym listowiem i lśniącymi różowymi kwiatami wiśni, widać zwieńczony kopułą gmach Kapitolu. Na marmurowych schodach i na trawniku przed nim nie ma nikogo, turyści nie wędrują wokół pomnika Granta, gdyż ze względów bezpieczeństwa obszar ten został zamknięty. Ale po drugiej stronie lustrzanego stawu, gdzie zaczyna się rozległy trawnik National Mall, widzę na własne oczy tłumy manifestantów, które zaledwie kilka minut temu oglądałem z zapisu wideo.

Drzwi się zamykają. Idziemy na koniec korytarza, gdzie czeka na nas winda z otwartymi drzwiami. Wchodzimy do niej, robimy w tył zwrot, jak nas uczyli na unitarce, i stajemy twarzami do drzwi. Omer dotyka grzbietem lewej dłoni płytkę sensoryczną, która odczytuje dane z wszczepionego czipa. Gdy tożsamość zostaje potwierdzona, drzwi się zasuwają.

Z tej windy korzystają sędziowie i ich personel, żeby się dostać do podziemnego parkingu. My mamy dotrzeć do podziemnego przejścia prowadzącego z budynku sądu do bloku więziennego.

Kiedy winda opada, Omer odzywa się cicho:

- Zeszłej nocy oglądaliśmy odcinek trzeci, sir. Chcę panu powiedzieć, że bardzo wielu z nas uważa, że postąpiliście słusznie.
- Niech pani nie mówi tego swojemu dowódcy, sierżancie.
- Tak jest, sir.

I miejmy nadzieję, że ta rozmowa nie znajdzie się w odcinku czwartym.

Zjeżdżamy do piwnicy. Drzwi się rozsuwają.

- Głucho - melduje specjalista Vitali. - Przekaznik musiał znowu wysiąść.

To nieustanny problem. W całym budynku powinny się znajdować węzły sieci, ale w tym korytarzu nie działają co najmniej podczas połowy okazji, kiedy przez niego przechodzimy, a w okresie po Komie nikt się nie spodziewa, że zostaną szybko wymienione. Działająca sieć pozwoliłaby Omer i Vitaliemu usłyszeć od ich opiekunów, że wszystko jest w porządku. Tak jak jest, muszą sprawdzić sytuację w korytarzu na własną rękę.

Zostają więc w windzie, podczas gdy Vitali wychodzi, żeby zbadać tunel. To wymaga czegoś więcej niż tylko pobieżnego rozejrzenia się. Pod względem bezpieczeństwa przestrzeń jest kiepsko zaprojektowana. Prostokątne pilastry wystają na korytarz, łamiąc monotonię ścian, ale zapewniając jednocześnie osłonę ewentualnym zamachowcom. Omer przytrzymuje windę, a Vitali upewnia się, zanim wejdziemy do korytarza, że prowadzące do podziemnego garażu

drzwi dla personelu są zamknięte na klucz. Słuchamy jego oddalających się kroków. Po chwili woła do nas:

- Łączność nawiązana. Wszędzie czysto.

Spoglądam na Omer. Skinieniem głowy pozwala mi iść i podążamy za Vitalim w głąb holu, mijając drzwi personelu, a następnie te, przez które wprowadza się więźniów. Tuż za nimi znajduje się pierwsza stalowa szara brama, odcinająca areszt. Sworznie się obracają, gdy się zbliżamy. Brzęczy dzwonek alarmu, drzwi się otwierają, a my wchodzimy do strzeżonego foyer i czekamy. Drzwi za nami zatrzasują się i zostają zaryglowane, a potem przed nami otwierają się kolejne wrota. Po drugiej stronie znajdują się gabinety, pokoje konferencyjne i dyspozytornia. Powiedziano mi, że boczne przejście prowadzi do sypialni i kuchni strażników. Idziemy dalej, do skrzyżowania na końcu korytarza, gdzie znajdują się kolejne trzy pary drzwi wychodzących na biegnący równoległe blok więzienny.

Zazwyczaj w budynku sądu przetrzymuje się przez noc jedynie tych aresztantów, których procesy właśnie trwają, ale ze względu na panujący stan wyjątkowy większość postępowań sądowych zawieszono. W związku z tym pod-sądni są nieliczni, co pozwala wojsku dzierżawić blok B, który jest obecnie kwaterą Oddziału Apokalipsy. Środkowe drzwi otwierają się do wtóru brzęczenia elektromagnesu, po czym wkraczamy do korytarza z celami o frontowych ścianach ze szkła - sześć cel po jednej stronie i pięć po drugiej. Moja jest pierwsza z prawej. Zatrzymujemy się przed nią. Vitali otwiera drzwi.

Naprzeciwko mojej celi znajduje się kabina prysznicowa, a obok niej pusta cela. Sierżant Nolan przebywa w celi sąsiedniej, ale ściany boczne są betonowe, więc go nie widzę - nie z wnętrza pomieszczenia, ani z miejsca, w którym teraz stoję. Nie widzę żadnego członka mojego oddziału. Tuttle i Moon powinni się znajdować w środku długości bloku więziennego, a kobiety na jego końcu, ale nie potrafię w żaden sposób stwierdzić, czy są tam teraz, czy nie. Nakazałbym odliczanie, ale z powodu wygłuszenia nie możemy się porozumiewać. Możemy rozmawiać z kimś na zewnątrz celi tylko wtedy, gdy stoi na wprost szklanej tafli.

- Proszę stanąć twarzą do drzwi, sir - mówi Omer.

Nie ruszam się.

- Czy wszyscy są na miejscu? - pytam ją.

- Wszyscy obecni, sir.

W przytłaczającej ciszy, w której uwagę zwraca każde najsłabsze skrzypnięcie i sapnięcie egzoszkieleatów żandarmów, łatwo jest uwierzyć w coś wręcz przeciwnego. Wiem, że jeśli nie przekonam się o obecności mojego oddziału, wątpliwości będą mnie żarły przez cały wieczór.

- Mogę się przejść po bloku więziennym, sierżancie?

Omer porozumiewa się ze swoim opiekunem. Po chwili odpowiada:

- Nie wolno panu rozmawiać ani w żaden inny sposób porozumiewać się ze współaresztantami, sir.

- Rozumiem.

- Może pan pójść do końca bloku i z powrotem.

Z rękoma skutymi nadal z przodu przechodzę obok swojej celi. Robię dwa kroki, zanim jestem w stanie zajrzeć do następnej. Jest tam Nolan, tak jak powinno być. Robi pompki na podłodze. Gdy go mijam, odprowadza mnie intensywnym spojrzeniem. W następnej celi śpi Tuttle. Dokładnie po drugiej stronie korytarza jest cela Moona. Siedzi na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, czytając książkę w miękkiej oprawie. Kiedy mnie zauważa, patrzy na mnie z przestachem. Kolejne cele po obu stronach korytarza są puste. Potem docieram do Jaynie. Spozstrzega mnie, wstaje z łóżka, na którym siedziała, i podchodzi do szklanej przegrody. Chcę jej powiedzieć, że nasza sprawa się zaczyna, ale nie mogę złamać obietnicy danej Omer. Flynn także podchodzi do przezroczystej ściany, tak jak i Harvey.

- Nikt nie zmienił zdania, sir - mówi.

Kiwam głową, wracam do moich strażników i wyciągam nadgarstki w stronę Omer, żeby mogła zdjąć mi kajdanki.

- Sierzancie, mogłaby pani dopilnować, żeby wszyscy więźniowie się dowiedzieli, że proces zaczyna się w poniedziałek?

- Załatwię to.

Kajdanki opadają, a ja wchodzę do celi. Vitali zamyka za mną drzwi. Odwracam się i obserwuję przez szklane przepierzenie Omer, która znika z pola widzenia, wchodząc w głąb bloku więziennego, żeby przekazać pozostałym moją wiadomość. Kiedy wraca, zatrzymuje się przed moją celą, staje na wprost mnie i salutuje. Oddaję honory, a potem ona i Vitali wychodzą. Stalowe drzwi zamykają się za nimi i zostaję sam.

Nikogo nie widzę, nikogo nie słyszę.

To będzie kurewsko długi weekend.

\*

Cela liczy dwa metry na trzy, ma trzy ściany z solidnego betonu i jedną szklaną. Wyposażona jest w wąskie posłanie i aluminiowy komplet sanitarny w postaci sedesu i umywalki w tylnym rogu. Posiłki nam przynoszą i jemy w samotności. Nie ma dziedzińca ani biblioteki, bo to jest arest sądowy, przeznaczony do przetrzymywania ludzi na czas od kilku godzin do kilku dni. My siedzimy tutaj od pięciu miesięcy. Żandarmi robią, co mogą, przynosząc książki, gdy o nie poprosimy, a poza tym wykonujemy w celach ćwiczenia fizyczne.

Ja mam własny wyjątkowy zestaw ćwiczeń.

Pośrodku betonowego sufitu znajduje się wylot klimatyzacji o wyglądzie plastra miodu z hartowanej stali. To kwadrat o bokach długości osiemnastu cali, przymocowany śrubami. Wyobrażam sobie przetrzymywanych tutaj przede mną więźniów leżących na prycy, gapiących się w tę kratkę i zastanawiających się, czy dałoby się uciec przewodami wentylacyjnymi. Do diabła, sam się nad tym zastanawiałem, ale kiedy podskakuję i zaczepiam palce o stalowe pręty, to nie próbuję zwiać.

Wiszenie na czubkach palców boli jak wszyscy diabli, więc najszybciej jak się da podrzucam w górę robocie nogi i zaczepiam je o kratkę. Protezy też bolą - dzięki temu wiem, że je mam - ale neuronetka pomaga mi zniwelować ból i utrzymywać go na przyzwoitym poziomie.

Tytanowe palce stóp owijają się wokół prętów stalowej kratki i trzymają mocno. Palce dłoni ześlizgują się i rozkładam powoli ciało, aż wiszę głową w dół jak nietoperz, patrząc przez szklane drzwi na pustą kabinę prysznicową po przeciwnej stronie korytarza. Splatam za głową dłonie, składam się wpół, aż dotykam niemal nosem nogawek spodni w pobliżu mechanicznych kolan. A potem powoli pozwalam mojemu ciału się rozprostować. W górę i w dół, w górę i w dół, w stylu odwróconych skłonów tułowia, po których wyginam się na boki i do tyłu.

Jak zawsze zaczyna boleć mnie głowa, więc się uwalniam wierzgnięciem, wykonuję pół salta i ląduję z hukiem na betonowej posadzce. Następnie przystępuję do ćwiczeń z zakresu aerobiku: intensywne przebieżki w miejscu, pa-jacyki i pompki, aż opadam z sił, a potem przechodzę do tai chi lub jogi, do wszystkiego, co mi przychodzi na myśl, żeby uchronić ciało - to, co z niego pozostało - od spadku formy. Wydałem rozkaz żołnierzom, żeby ćwiczyli co najmniej godzinę dziennie, więc robię to równie długo.

Dowodzę, świecąc przykładem, nawet jeśli nikt nie może mnie widzieć. To nudne jak jasna cholera, ale neuronetka pomaga mi na tym się skupiać.

Jutro muszę wziąć tusz.

O dziewiętnastej Vitali przynosi kolację: makaron z mikrofalówki, z dodatkiem jarzyn. Tak naprawdę nie jest to wcale takie złe. Danie jest gotowym posiłkiem, takim samym, jakie jadaliśmy w forcie Dassari i w CLIIS. Prawie jak w domu.

Więzienny wolny czas poświęcam na podnoszenie stopnia mojej cyborgizacji. FaceValue to część oprogramowania nowej nakładki, które zainstalowałam tuż przed „Brzaskiem”. Od tamtej pory korzystanie z aplikacji w celu poznania bezstronnej oceny stanu emocjonalnego otaczających mnie ludzi stało się moją drugą naturą. Jestem w celi sam, więc zajmuję się neuronetką, integrując ją lepiej z nakładką.

Używam teraz wypraktykowanego działania, skupiając się na słowie „encyklopedia”. Neuronetką wychwytuje polecenie i sygnalizuje nakładce, żeby uruchomiła program szybciej, niż mógłbym to zrobić wzrokiem. Czytam przez chwilę; literatura faktu.

Dwa miesiące temu próbowałam czytać powieść, ale rozbiłam się na wątku romansowym —



coś, z czym sobie obecnie nie radzę - i w odruchu złości skasowałem całą beletrystykę, którą wcześniej załadowałem.

Trudno jest się czasem nie załamać, ale przez większość czasu dzięki neuronetce jakoś się trzymam, a kiedy robi się zbyt ciężko, kładę się na pryczy i myślę „Sen”, a neuronet-ka spełnia to żądanie.

Sypiam chyba po dwanaście godzin na dobę, co według artykułu w encyklopedii wpływa niekorzystnie na zdrowie, ale lepsze to, kurwa, od walenia głową w betonową ścianę, aż zaleję się krwią.

\*

Nadchodzi niedziela. Dzień odwiedzin. Każdy z nas może przyjąć jednego gościa, ale zwykle tylko ja jestem odprowadzany do pokoju widzeń. Ojciec mieszka na Manhattanie, a ponieważ przywrócenie połączenia kolejowego między Nowym Jorkiem a Waszyngtonem było po Dniu Komy priorytetem, więc ojciec może przyjechać porannym pociągiem do stolicy, a potem taksówką do aresztu więziennego. Jest zamożny, więc dla niego inflacyjne koszty podróży w okresie po Komie nie stanowią obciążenia.

Co innego z resztą żołnierzy mojego oddziału. Zarówno Jaynie, jak i Flynn są skłócone z rodzinami, a Nolan, Tuttle i Moon pochodzą z Zachodu, więc ich rodziny mieszkają zbyt daleko, żeby móc wpaść na weekend. Matka

Harvey przyjechała dwukrotnie z Pittsburgha, ale dzisiaj tylko ja opuszczam blok więzienny.

Przed szklanymi drzwiami mojej celi zjawia się osobiście najstarszy rangą żandarm na służbie, sierżant Colton Haffey, a mnie od razu dopada złe przecucie. Nie ma broni przybocznej ani nie nosi martwej siostry. Nie ma nawet hełmu na głowie, tylko pętlę audio. Za nim stoi szeregowy Dominie Pasco, również pozbawiony ekwipunku.

- Co się dzieje, do diabła? - pytam Haffeya.

- Specjalne okoliczności, sir. - Moja nakładka potwierdza napięcie nerwowe, jakie widzę na jego twarzy. Nie podoba mu się to, co się dzieje. Jest niespokojny. - Proszę podejść na przód celi, sir.

Robię to. Haffey otwiera drzwi.

- Proszę wyciągnąć ręce, sir.

To także robię, a on zakłada mi kajdanki.

- Jakie szczególne okoliczności? - pytam, wyobrażając sobie czekający na zewnątrz pluton egzekucyjny.

Dlaczego nie zastrzela mnie po prostu w celi?

Może chcą, żeby wyglądało na to, że wpadłem w szal i próbowałem uciec.

- Ma pan gościa, sir.
- To nie mój ojciec?
- Nie, sir.

Stalowe drzwi aresztu otwierają się do wtóru brzęczy-ka. Po drugiej stronie stoją dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach, a ich oczy zasłaniają nieprzezrocyste wizory. W głębi korytarza, przed pierwszą salką konferencyjną, stoją podobnie ubrani mężczyzna i kobieta.

- Naprzód - mówi Haffey.

Wtrąca się jeden z garniaków:

- Najpierw go obszukamy.

Haffey spogląda na mnie przepaszającym wzrokiem, ale się odsuwa. Niższy z cywili poleca mi:

- W tył zwrot, poruczniku. Ręce na ścianę.

Robię to, a on mnie obmacuje, podczas gdy drugi omiata mnie skanerem. Urządzenie wychwytuje neuronetkę, wytatuowaną antenę, wszczepione słuchawki, czip identyfikacyjny w nadgarstku i tytanowe nogi.

- Dlaczego nie ma skutych nóg? - pyta ten niższy.
- Nie ma takiej procedury - odpowiada Haffey - a porucznik przez cały czas w pełni współpracuje.
- Niedopuszczalne. Chcę, żeby miał bransoletki na tych nogach cyborga, albo żeby mu je odczepiono.
- Nie, sir! - warczy Haffey. - Nie pozwolę panu poniżyć oficera wojska.
- Przykujcie mnie, kurwa, do fotela - mówię.

Garniak kiwa głową i odprowadzają mnie do pokoju narad. Stół został usunięty. Jest tylko jeden fotel, umieszczony w rogu pomieszczenia, z dala od drzwi.

- Siadać - poleca mi garniak.

Każą Haffeyowi przykuć mnie za kostki do nóg fotela, obawiając się być może, że jeśli oni się do tego zaborą, to kopniakami zmiażdżą im gęby. Haffey kończy swoje zadanie, a potem staje obok mnie, twarzą do drzwi. Jeden z garniaków zajmuje pozycję obok nich, a drugi ustawia się pośrodku pokoju.

Czekamy w milczeniu przez niemal trzy minuty, podczas których przerzucam w głowie różne możliwości. Kiedy drzwi się otwierają i wchodzi prezydent, nie jestem nawet zaskoczony.

Jak większość cieszących się popularnością polityków jest wysoki; ma ponad metr osiemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu. Jest zadbany i dobrze wygląda w ciemnym garniturze, ale w gęstych falujących włosach ma więcej srebrnych nitek, niż dwa i pół roku temu, kiedy został wybrany na urząd.

Spotkałem go raz, tej nocy, kiedy ewakuowano nas z Czarnego Krzyża.

Stoi z surową miną, przyglądając mi się badawczo ciemnymi, latynoskimi oczami. Odzywa się tym miarowym, dodającym otuchy, charakterystycznym tonem, który komicy próbują cały czas naśladować, ale nigdy nie wychodzi im to do końca:

- Powiedziano mi, poruczniku Shelley, że wszystko, co pan widzi i słyszy, jest nagrywane.
- To prawda, panie prezydencie.

Broda mu opada, a w głosie pojawia się tłumiona wściekłość.

- Niech to zostanie zatem zapisane dla potomności. Gdyby to zależało ode mnie, to bym pana powiesił. Dziś w nocy, poruczniku Shelley. Pańskie bohaterstwo w Czarnym Krzyżu nie usprawiedliwia tego, co pan zrobił. W nadzwyczajnej sytuacji, jakiej ten kraj nigdy wcześniej nie doświadczył, zdecydował się pan uderzyć w samo serce obywatelskiego zaufania do rządu, podminowując wysiłki niezliczonych rzesz oddanych ludzi, którzy starają się codziennie budować naszą przyszłość. Powiesiłbym pana, poruczniku. Ale przysięgłem zachować, chronić i przestrzegać konstytucji Stanów Zjednoczonych. Szanuję amerykański wymiar sprawiedliwości i wierzę, że ten system uzna pana za winnego. Musi uznać. I uzna.

Jego wściekłość jest tak zimna i realna, że mną to wstrząsa. W tym momencie przekonuję się z absolutną pewnością, że spisek chroniący Thelmę Sheridan sięga samych szczytów władzy. Chcę mu powiedzieć, że wiem, iż należy do tej konspiracji, że oczekuję niecierpliwie jego upadku, ale w mojej głowie gości duch pułkownika Kendricka, który mówi mi, żebym trzymał niewyparzoną gębę zamkniętą na kłódkę. Milczę więc.

Co nie ma znaczenia, bo przedstawienie jest skończone. Prezydent wykonuje gest w stronę garniaka stojącego pośrodku pokoju i moja nakładka się wyłącza. Półprzezroczyste ikony polatujące na obrzeżach pola widzenia znikają, pozostawiając jedynie czerwone mikroskopijne światełko w lewym rogu, wskazujące, że nakładka w ogóle istnieje.

Od tej chwili nikt z zewnątrz się nie dowie, co się tutaj dzieje.

Moje spojrzenie wędruje z małego czerwonego światełka ku drzwiom. Jestem pewny, że się otworzą, wpuszczając żołnierzy osobistej, tajnej gwardii prezydenta. Zastanawiam się, czy zabiją też Haffeya, i uznają, że tak. Prawdopodobnie obwiną go o zamordowanie mnie. Czekam na śmierć przez jedną sekundę, potem drugą, ale drzwi pozostają zamknięte.

Spoglądam ponownie na prezydenta, zaczynając rozumieć, że rozgrywa intrygę dużo bardziej skomplikowaną od tych, do jakich jestem przyzwyczajony.

- Sierżancie Haffey - mówi prezydent.

- Tak jest, sir!

- Zechce pan opuścić pokój?

Niemal słyszę, jak Haffey się poci.

- Sir, moje rozkazy polecają, żebym pozostawał cały czas z więźniem.

- Uchylam pańskie rozkazy, sierżancie. Wynocha.

- Tak jest, sir.

Wpatruję się w prezydenta, kiedy Haffey przechodzi przez pomieszczenie. Ktoś na korytarzu otwiera przed nim drzwi. Kiedy się zamykają, prezydent mówi:

- Został pan wprowadzony w błąd, poruczniku Shelley. Został pan źle poinformowany. Wierzę, że był pan przekonany, że służy jakiejś abstrakcyjnej sprawiedliwości, kiedy pomógł pan porwać obywatelkę amerykańską. Nie znał pan jednak wszystkich faktów i nie zna pan reperkusji. Dla dobra kraju chcę, żeby pan ustąpił.

- To niemożliwe, panie prezydencie. To gardłowa sprawa. Nawet gdybym chciał, to nie mogę się przyznać do winy.

- Wiem o tym - warczy, dając mi znać, że nie jest idiotą. - Proszę pana, żeby się pan wycofał, zaniechał obrony. Jeśli pan musi, niech pan wygłosi oświadczenie - nie zazdrozczę panu tego - niech pan nam powie, że czuł się zmuszony uczynić to, co pan zrobił, a potem niech pan stwierdzi, że się pan pomylił! Niech się pan rzuci na własny miecz. Zgodzi z zarzutami oskarżenia przeciwko panu bez rozszerzania zakresu postępowania dowodowego, a kiedy zostanie pan uznany za winnego i skazany, ulaskawię pana i kraj będzie mógł zacząć leczyć rany.

Pułkownik Kendrick nazwał go kiedyś performerem. To musi być prawda, bo mu wierzę. Wierzę, że mówi ze szczerego serca, że miał na uwadze najwyższe dobro kraju we wszystkim, co zrobił, i że jeśli uczynię, o co prosi, to on dotrzyma swojej obietnicy.

- Nie tylko mnie sądzą - przypominam mu.

Mruży oczy.

- Pański oddział zrobi to, co im pan każe.

Jest tego pewniejszy, niż ja.

Nieważne.

- Nie mogę przyjąć pańskiej propozycji, sir.

Nie chcę umrzeć. Jaynie uważa, że w głębi duszy chciałbym wpakować sobie kulę w łeb. Nie chcę tego i nie pragnę być męczennikiem za cudzą sprawę, ale nie zamierzam się także wycofać. Matt Ransom zginął za to, żeby sprawiedliwości stało się zadość, żeby Thelma Sheridan zdała rachunek ze swojego zaangażowania w rebelię Dnia Komy. Za to samo umarł Steven Kendrick. I to nie jest koniec.

- Zrobiliśmy to, bo republika została zawłaszczona, sprawiedliwość jest na sprzedaż...

- Nie wdawaj się ze mną w patriotyczne gierki, Shelley. Obaj wiemy, że żyjemy w skomplikowanym świecie, w którym nie sprawdzają się już osiemnastowieczne filozofie.

- Komu pan służy?

- Niech pan uważa, poruczniku. Jestem pańskim najwyższym dowódcą. Ode mnie zależy pańskie życie. Pańskie oraz pańskich podwładnych. Jak był pan skory mi przypomnieć, to gardłowa sprawa. Musi pan bardzo dokładnie rozważyć, za co jest pan gotów umrzeć.

Na rozmyślanii o tym spędziłem już sporo czasu.

- Idę na całość, panie prezydencie. Ani kroku wstecz, tylko naprzód. A pan?

Nie odpowiada. Gapi się na mnie przez ponad pół minuty. Potem odwraca się i rusza do drzwi. Otwierają się przed nim i wychodzi bez słowa. Dwa garniaki podążają jego śladem.

Wciąż jestem przykuty do fotela. Moja nakładka jest nadal nieaktywna. Po dwóch minutach wraca Haffey z przerażoną miną.

- Kurewsko go pan wkurzył - szepcze.

Tak działał na ludzi.

Haffey uwalnia mi nogi.

- Muszę pana odprowadzić do celi, sir.

- A co z moim ojcem? Przyjechał dzisiaj?

- Tak, sir. Zgłosił się na górze, ale przyszły rozkazy. Żadnych gości.

- Prezydent musiał już odjechać.

- Tak, sir.

- Dzieje się więc coś jeszcze?

- Nie wolno mi o tym mówić, sir. Proszę ze mną.

Odprowadza mnie z powrotem do bloku B i zdejmuje mi kajdanki z rąk.

Kiedy drzwi za mną zostają zamknięte, moja nakładka jest nadal wyłączona, ale nie martwię się tym zbyt. Prędzej czy później Czerwień na pewno mnie włączy.

\*

Nad drzwiami bloku więziennego znajduje się węzeł sieci. Żandarmi zainstalowali go w dniu, w którym nas tutaj przywieźli. Pod ziemią potrzebują przekaźników, żeby ich hełmy miały zawsze połączenie.

Mnóstwo razy stałem nocą przed szklaną ścianą, w ponurym mroku bloku więziennego, gapiąc się na bursztynowe światelko diody routera umieszczonego kilka stóp nad słabym, odbitym blaskiem małego prostokątnego okienka drzwi. Okienko wygląda na kolejną część aresztu, tak samo ograniczoną, zamkniętą i niemożliwą do przeniknięcia jak moja cela, ale ten blask to łącznik ze światem zewnętrznym. Za nim są ludzie, na których mi zależy: rodzina, przyjaciele, opiekunowie z Nadzoru, a zwłaszcza Delphi.

Żołnierze nie powinni mieć kontaktu ze swoimi opiekunami ani znać ich inaczej niż jako głosy, które przekazują im rady i rozkazy przez system radiowy hełmów, ale raz spotkałem Delphi, gdy uczestniczyła wraz z pułkownikiem Kendrickiem w spotkaniu informacyjnym. Kiedy ją ujrzałem, nie miałem pojęcia, kim jest. Podziwiałem ją: drobna, ale wysportowana, najwyżej trzydziestoletnia, z blond włosami zebranymi w koński ogon, o niebieskich oczach. Obca, dopóki się nie odezwała.

Chciałbym być teraz połączony z Delphi. Chciałbym, żeby mi przekazała raport sytuacyjny, powiedziała, co zdaniem Wywiadu dzieje się poza murami bloku więziennego, bo podejrzewam, że coś tam idzie nie tak. Pierwszy raz, odkąd siedzę w tej celi, nie widzę światelka diody przekaźnika. Został wyłączony, co nas tutaj odizolowało, i chcę wiedzieć dlaczego.

Nocne oświetlenie jest nadal włączone - ośmiocentymetrowej średnicy panele w suficie, które emitują ciemnoczerwone światło z końca widzialnego pasma widma, ale jedynym punktem świetlnym, jaki widzę, jest czerwona kropka na nakładce, informująca mnie, że jestem nadal odłączony. Bez działającego routera Nadzór nie może tutaj dotrzeć, żeby mnie włączyć. Co mam robić, do kurwy nędzy, bez mojej cholерnej nakładki?

Sen.

Powinienem spać.

Spałem jednak już wiele godzin; zasnąłem na długo przed tym, zanim zgasły światła, gdyż nie ma co robić, kurwa, w klatce dwa na trzy metry, kiedy zdycha ci nakładka. Nie mam nawet bloku listowego ani jebanego pojęcia, która jest godzina.

Jakiś czas później - dużo później — za okienkiem w drzwiach korytarza dostrzegam ruch, a potem otwierają się one, wpuszczając postać w gnatach, która podchodzi i staje naprzeciwko mnie, tuż po drugiej stronie szklanej ściany. Jest zbyt ciemno, żebym poznał, kto to jest, ale potem przybyły się odzywa:

- Od dawna pan nie śpi, poruczniku.

Starsza sierżant sztabowa Mary Chudhuri.

- Router sieci jest wyłączony - informuję ją.

- Zauważył pan to?

- Owszem. Co się dzieje, do diabła?

- Oficjalnie? Zostaliśmy odcięci. Działanie zapobiegawcze w celu wyeliminowania ewentualnej luki w zabezpieczeniach naszej lokalnej sieci, co oznacza, że jesteśmy pozbawieni łączności z Nadzorem. Ustawiłam Phelpsę w głębi korytarza, obok linii naziemnej, ale nie czuję się zbyt pewnie. A co z panem, królu Dawidzie? Jakies przeczucia? Jakies szczególne zagrożenie, na które powinniśmy być przygotowani?

Kręcę głową.

- Bóg nie przemawia już do mnie.

Miałem szósty zmysł, gdy szło o nadciągające niebezpieczeństwo. Matt Ransom chciał wierzyć, że prowadzący mnie głos jest głosem Boga. Okazało się, że to Bóg w postaci Czerwieni, ale nawet ona nie jest w stanie do mnie dotrzeć, gdy sieć lokalna jest wyłączona. Jestem wróblem, który zniknął z boskiego pola widzenia. Co nie znaczy, że nie mogę niekiedy wyczuć tych rzeczy sam z siebie.

- Instynktowne przeczucie? - zwracam się do sierżant sztabowej. - Jasne, kurwa, coś nadciąga. Jutro zaczyna się sąd wojskowy. Jeśli stado rekinów chce nam zamknąć usta - jeśli chce tego prezydent - to teraz jest odpowiednia pora, żeby nam przywalić. Wobec braku dostępu do sieci to będzie łatwe. Nikt nie usłyszy żadnego wołania o pomoc.

Chudhuri stanowi sylwetkę obwiedzioną ciemną czerwienią, ale widzę, że kiwa głową w hełmie.

- Być może. Albo możliwe, że siły uderzeniowe pańskiego rekina znalazły sobie łatwiejszy cel. Medioci donoszą, że Thelma Sheridan nie żyje. Mówią, że została zamordowana w swojej celi.

Przestaję oddychać. Nie mrugam. Przez trzy sekundy jestem absolutnie nieruchomy, jak złapane w pułapkę zwierzę, posłuszny instynktowi, który mi mówi, że jeśli nie drgnę, to nikt mnie nie zauważy, a potem być może zdołam się ukryć przed prawdą — bo jeśli to prawda, to jesteśmy straceni.

Cała istota naszej misji o kryptonimie „Brzask” zasadzała się na postawieniu Thelmy Sheridan przed sądem, na ujawnieniu tego, co zrobiła, a także na powiązaniu z nią osób, które pomagały jej i pozwoliły, żeby uszło jej to na sucho. Jedynym przywódcą państwowym, który był gotów przeprowadzić ten proces, okazał się Ahab Matugo, który aresztował Thelmę Sheridan po tym, gdy nasz samolot wylądował w Niameju. Obiecał postawić ją przed sądem całą i zdrową, ale jeśli mu się to nie udało, jeśli jest prawdą, że Sheridan nie żyje, to „Brzask” poszedł na marne. Okażemy się ludźmi, którzy przekazali obywatelkę amerykańską w ręce buszmeńskiego sądu, i wszyscy będą mieli w dupie, dlaczego to zrobiliśmy.

- Jest jakieś oficjalne potwierdzenie? - pytam. - Czy Matugo wydał oświadczenie?
- Wiadomość została dopiero co podana.

Zastanawiam się nad sytuacją, a ponieważ potrzebuję jakiegoś promyka nadziei, mówię:

- Matugo jest bardzo dobrym strategiem. Może chce, żeby taka pogłoska żyła przez jakiś czas w tym celu, żeby zmniejszyć szanse, że ktoś inny spróbuje zabić Sheridan.
- Martwię się tym, poruczniku, jak podobna plotka wpłynie na szanse, że ktoś będzie chciał zabić pana.

Zerkam na router; dioda nadal się nie świeci.

- Tak w ogóle to która jest godzina?
- Czwarta siedem.

Proces ma się zacząć o dziesiątej. Jeszcze sześć godzin.

- Nie sędzę, żeby musiała się pani tym martwić, sierzancie. Uważam, że załatwienie nas było zawsze planem zapasowymi. Lepiej usunąć Sheridan niż nas. Do diabła, nawet spodziewała się tego! Wyeliminowanie ewentualności, że mogłaby zeznawać, z jednoczesnym uczynieniem z niej amerykańskiej bohaterki zamordowanej w pierdlu w Trzecim Świecie, sprawi, że staniemy się złymi facetami, którzy ją tam wpakowali.
- Przykro mi, poruczniku.
- Dziękuję, sierzancie, że mi pani to powiedziała.
- Tak jest, sir. - Salutuje, potem robi zręcznie w tył zwrot i opuszcza blok więzienny.

Trwam na warcie, stojąc przed szybą, obserwując router, przypisując zgasłej diodzie większe znaczenie, niż na to zasługuje. Wyobrażam sobie, że jeśli blokada łączności zostanie zdjęta, jeśli światełko pojawi się ponownie, to dlatego, że śmierć Sheridan zostanie potwierdzona, a nasz proces przed sądem wojskowym okaże się postępowaniem krótkim i zdecydowanym.

Jednak dioda się nie zapala.



O dziewiątej trzydzieści gromadzimy się w korytarzu aresztu, wszyscy z kajdankami na rękach. Mamy na sobie mundury wyjściowe, z tym, że ja nie noszę butów; nie mogę ich nosić. Nie dostarczono mi wkładek, dzięki którym stopy pasowałyby do galowego obuwia, stoję więc na gołych tytanowych stopach, tak jak każdego innego dnia.

Mam nadzieję, że sędzia nie usunie mnie z sali sądowej z powodu braków w regulaminowym stroju.

Major Ogawa zajrzał wcześniej do aresztu, żeby przekazać ostatnie instrukcje dotyczące postępowania sądowego. Skorzystałem z okazji, żeby poinformować pozostałych członków oddziału o wczorajszej wizycie prezydenta oraz o doniesieniach o śmierci Thelmy Sheridan. Rozumieją znaczenie tych faktów i są wściekli, ale nie mamy odwrotu. Możemy jedynie przeć przed siebie, rozszerzając zakres postępowania sądowego najbardziej jak się da, jak dalece nam pozwolą.

Stoję na czele oddziału, z Jaynie u boku. Tworzymy dwa rzędy. Sierżant sztabowa Chudhuri została po służbie, chcąc się upewnić, że dotrzemy do sądu. Ona i sierżant Omer stoją twarzami do nas, po obu stronach drzwi bloku więziennego. Mają hełmy, kamizelki kuloodporne i gnaty, a także broń osobistą. Ich twarze za przezroczystymi wyświetlaczami przyłbic są poważne.

- Nasza lokalna sieć pozostaje wyłączona - odzywa się Chudhuri. - Zatem specjaliści Vitali i Phelps będą szli przed nami i zajmą pozycję przed drzwiami podziemnego garażu i windy, zapewniając nam bezpieczeństwo w korytarzu piwnicy. Kiedy dadzą znać, że wszystko jest w porządku, opuścimy areszt i podążymy niezwłocznie ku klatce schodowej. Nie mam ochoty jechać dzisiaj windą. Sądzę, że wszystkim przyda się odrobina ruchu.

Patrzy na mnie w oczekiwaniu na zgodę - zbędne, bo to ona teraz dowodzi - ale mimo to kiwam głową.

- Dziękuję, sierżancie.

Maszerujemy w szyku przez teren bloku więziennego, z Chudhuri na szpicy, a Omer w ariergardzie. Denerwuję się jak wszyscy diabli. Może sieć jest wyłączona tylko wskutek zaniedbania; może ktoś zapomniał ją włączyć. A może nie jest aktywna z istotnego powodu.

Docieramy do zewnętrznych drzwi. Chudhuri wygląda na zewnątrz przez małe okienko. Odzywa się brzęczyk i drzwi się otwierają. Wchodzimy do podziemnego korytarza; sięgam wzrokiem do samego jego końca. Anonimowy żandarm w kamizelce i gnatach stoi na straży w połowie jego długości, a kolejny daleko w głębi. Idziemy, buty o twardych podeszwach uderzają o podłogę w równym rytmie. Słyszę, że drzwi za nami się zamykają. Rygle wskakują na miejsca z głośnym stukotem.

Chudhuri przechodzi przez drzwi, przez które wprowadza się aresztantów. Ja i Jaynie postępujemy krok za nią. Wtedy budzi się w końcu do życia moja nakładka. Znajome ikony

tlącą się w dole mojego pola widzenia, a ja myślę krok, starając się stwierdzić, czy mam połączenie z siecią zewnętrzną. Nikt jednak nie zauważa zgubienia przeze mnie rytmu, bo następna chwila zostaje wymazana przez potężną eksplozję. Fala uderzeniowa ogłusza mnie i wyłamuje drzwi wejściowe, wyrывая rygle i zawiasy. Oszołomiony zataczam się na Jaynie, a dym kłębi się wokół stalowych odrzwi.

Z początku drzwi stoją nadal. Potem drugi, słabszy wybuch przewraca je do wnętrza. Biegnę za Jaynie, krzycząc, żeby się wszyscy usunęli z drogi.

- Padnij! Padnij! - wrzeszczy Chudhuri.

Granat hukowo-błyskowy eksploduje tak blisko, że czuję, jakby mi wybuchł w głowie. Tracę orientację. Kiedy świadomość wraca, siedzę na podłodze i gównu widzę. Przed oczami mam boskie zmagania dryfujących czarnych cieni i oszalałymi jaskrawych błysków. Także słuch mam przytępiony. W uszach mi dzwoni i wszystkie dźwięki są stłumione - krzyki i strzały.

Kiedy jednak nad moją głową odzywa się broń dużego kalibru, słyszę to. To nie Chudhuri czy Omer, bo one mają tylko pistolety, co oznacza, że dysponują mniejszą siłą ognia.

Nie chcę, żeby umierały za mnie.

Odepchnąwszy się wierzgnięciem od ściany, walę barkiem w ledwo widoczne kolana.

Bark trzeszczy w zderzeniu z tytanowym wspornikiem.

Kurwa mać. Martwa siostra?

Strzelec się chwieje, ale nie przewraca. Logicznie rzecz biorąc, następnym jego krokiem powinno być wpakowanie mi kuli w łeb, ale nic takiego się nie dzieje. Zamiast tego wokół mojego bicepsa zamyka się w miażdżącym uścisku tytanowy hak, po czym zaczynam być częściowo niesiony, a częściowo wleczony w stronę wywalonych wybuchem drzwi.

Mam wrażenie, że ramię mi pęknie w tym uścisku, ale mogę je zgiąć, więc sięgam w tył obiema rękami, gdyż nadal są skute razem, i chwytam rozporę. Chociaż nie mogę tego potwierdzić wzrokiem, bo nic nie widzę, to przypuszczam, że strzelec jest w pełny m rynsztunku, w kamizelce, gnatach i w hełmie na głowie, co pozostawia mi tylko jeden czuły punkt do zadania ciosu, a mianowicie krtań. W nią celuję. Wspierając się na zastrzale, wyrzucam robocie stopy prosto w górę. Gdy wymierzam palce stóp mniej więcej w stronę gardła zamachowca i wbijam je tam, oplacają się wszystkie te skłony w zwisie, które wykonywałem w celi.

Trafiam.

Skutek jest spektakularny, bardziej dramatyczny, niż się tego spodziewałem. Ciało się poddaje i tryska krew, gorący deszcz spryskuje mi twarz. Próbuję stanąć ponownie na równych nogach, ale zamachowiec zatacza się, cofa, wiosłując ramionami w powietrzu, i wchodzi tyłem do garażu. A skoro hak ramieniowy jest wciąż zaciśnięty, również i ja jestem tam wleczony.

Potem hak mnie uwalnia. Puszczam rozporę i zwalam się na betonowe podłoże. Napastnik pada obok mnie, upuszczając karabin szturmowy w rozbryźniętą krew. Przetaczam się i sięgam po broń, ale ktoś jest szybszy ode mnie i odrzuca kopniakiem karabin poza zasięg moich rąk, a potem obrywam w tułów płytą stopy martwej siostry. Mam wrażenie, że klatka piersiowa mi się zapada. Zwijam się z bólu, ale jedynie przez chwilę, gdyż potem ktoś bierze mnie pod pachy i podrywa do pozycji klęczącej.

- Nie opieraj się! - warczy mi do ucha jakiś facet, podczas gdy jego wspomagane przez siłowniki ramię ściska mi gardło. - Wyciągniemy cię stąd.

Wzmacnia chwyt, a ja tracę oddech; klęczę, więc nie mogę kopać. Tamten czeka, aż zemdleję.

- Tango! - woła. - Zjeżdżamy.

Tango, w gnatach martwej siostry, pojawia się na skraju prostokąta światła, które obejmuje framuga wywalonych wybuchem drzwi. Z powodu zmętniałego wzroku nie rozróżniam szczegółów, ale mogę dostrzec karabin trzymany na wysokości barku i wycelowany w moją stronę. Mam jedynie ułamek sekundy na zastanowienie się, czy w korytarzu ktoś jeszcze żyje, a potem karabin strzela: trzy pociski, szybko jeden po drugim, uderzają głucho w przyłbicę tego, który mnie trzyma! Pada w tył, tym samym uwalniając mnie. Słyszę trzy kolejne strzały. Żaden pocisk nie trafia we mnie, ale wyzwala się chór alarmów samochodowych. Gramoląc się za betonowy filar, biorę bolesny wdech przez zaciśnięte zęby. Tylko jedna myśl kołacze mi się w głowie: Co się dzieje, kurwa?

Gdybym był połączony z moją opiekunką, z Delphi, nie musiałbym pytać. Miałaby gotowy raport sytuacyjny.

- Shelley!

Słuch mam nadal przytępiony, a ów głos współzawodniczy z alarmami samochodowymi, ale klnę się na Boga, że należy do Chudhuri. Ogarnia mnie nagła podejrzliwość. Została po służbie. Uczestniczy w tym?

- Poruczniku Shelley, jest pan ranny?

Nie odpowiadam.

- Jest pan uzbrojony?

Jakim cudem Chudhuri nadal żyje?

Nie odpowiadam, czekając na przybycie kawalerii. W końcu, kurwa, to jest budynek sądu federalnego, podlegającego jurysdykcji agencji Departamentu Sprawiedliwości. Znajdujemy się o jedną przecznicę od Kapitolu, w dzielnicy zaludnionej przez funkcjonariuszy Secret Service, FBI i cholernej Służby Parków Narodowych. Nie będę tutaj długo sam.

- Idę po pana - ostrzega Chudhuri.

- Po czyjej jesteście stronie?

Mija kilka sekund. Potem sierżant się odzywa:

- Niech się pan pieprzy, sir. Poruczniku, jeśli nie jest pan ranny, to niech pan wstanie i wyjdzie na otwartą przestrzeń, zanim oskarżę pana o próbę ucieczki.

Wychylam się zza filaru. Wzrok poprawił mi się na tyle, że widzę postać rozciągniętą na podłożu obok białej furgonetki. Obok ciała kuca z bronią w ręce jeden z naszych żandarmów, odpinając szybko złącza, żeby uwolnić poległego zamachowca od osprzętu.

Inny żandarm góruje nad tą scenką, celując z karabinu mniej więcej w moją stronę. Przypuszczam, że to Chudhuri, chociaż przyłbice ma czarną i nie widzę jej twarzy.

- Jakim cudem żyjesz?! - wołam, przekrzykując alarmy samochodowe.

- A pan? - pyta mnie.

- Nie wiem, kurwa.

- Jest pan uzbrojony?

- Nie.

- No to niech pan włazi, cholera, do środka.

Kajdanki na rękach utrudniają mi ruchy, ale podciągam pod siebie robocie nogi i wstaję powoli.

- Kto oberwał?

\*

Wszyscy jesteśmy poturbowani, ale zginęła jedynie najemniczka... którą zabiłem kopem w gardło. Stoję pod natryskiem, zmywając z siebie jej krew i czując odrazę z powodu tego, co zrobiłem. Może to było usprawiedliwione, ale nieludzkie.

Doznanie jest dużo gorsze, gdyż dowiedziałem się, że najemnicy nie używali ostrej broni, tylko plastikowych kul, które mogą powalić żandarma nawet w kamizelce, ale raczej nikogo nie zabijają. Napastników było tylko czworo -troje żołnierzy w rynsztunku bojowym i kierowca czekający w białej furgonetce z oznaczeniami FBI.

Myślałem, że zjawili się, żeby nas zabić.

Kiedy wybuch wywalił drzwi, spodziewałem się żołnierzy sił specjalnych, wysłanych przez prezydenta lub Carla Vandę, ale z perspektywy czasu jest dla mnie jasne, że to byli amatorzy.

Oraz że chcieli wyciągnąć mnie stąd żywego.

Nolan bierze prysznic obok mnie; myjąc skórę głowy, trzyma neuroskalp w dłoni. Opuchlizna i czarny siniak na jego klatce piersiowej wskazują miejsce trafienia pociskiem plastikowym. Mój tułów także jest posiniaczony na skutek kopniaka, jakiego zarobiłem. Boli przy oddychaniu. A tam, gdzie najemniczka chwyciła mnie za ramię, biceps otacza czarny siniak niczym pijacki, amatorski tatuaż.

- Jak pan myśli, kto ich nasłał? - pyta Nolan, nasuwając neuroskalp na głowę. - Uważa pan, że to Rawlings?

- Nie. - Pułkownik Rawlings jest emerytowanym żołnierzem. W trakcie misji „Brzask” był naszym zewnętrznym kontaktem. Próbował zwrócić mój oddział przeciwko mnie. - Rawlings chce, żeby doszło do tego procesu. A jeśli zmienił zdanie? Nie kazałby najemnikom, żeby mnie uwolnili, a was zostawili. Diabła tam. Kazałby wpakować mi kulę w łeb, zanim wyciągnęliby wszystkich innych.

Nolan zastanawia się nad tym i kiwa głową.

- Zatem kto?

Zakręcam wodę i sięgam po ręcznik. Sierżant Haffey stoi na straży u wejścia do wąskiego pomieszczenia natryskowego. Teoretycznie powinien nam powiedzieć, żebyśmy trzymali, kurwa, mordy w kubel, bo nie było jeszcze odprawy, więc nie powinniśmy omawiać tego, co się stało, ale milczy. Podobnie jak my, żandarmi są na środku sceny. Blask reflektora pada na nas, sugerując, że jesteśmy kluczowymi postaciami akcji, ale w cieniu, poza zasięgiem światła, krążą rekiny. Żandarmi czują taką samą presję, jak my - cholera, Haffey musiał stawić czoło prezydentowi i niewątpliwie myśli o tym, co mogłoby się stać, gdyby był obecny podczas strzelaniny - ale ta presja zmotywowała jedynie bardziej naszych żandarmów. Wiedzą, że zadanie, które im powierzono, nie polega na trzymaniu nas w więzieniu, ale na utrzymaniu nas przy życiu, i zjednoczyli się z nami. Staliśmy się zwartym oddziałem, jak każda inna jednostka w terenie. Haffey nie każe się nam zamknąć, bo jest po naszej stronie.

Jeśli o mnie chodzi, to uczestniczy w tej rozmowie.

- Nie wiem, kto przysłał najemników - mówię Nolanowi. - Nic w tej operacji nie ma dla mnie sensu. Carl Vanda mógłby chcieć wziąć mnie żywcem, ale posłużyłby się ostrą amunicją i załatwił was wszystkich.

Nolan sięga po swój ręcznik.

- Taa, ktokolwiek to był, chciał pana schwytać, nie wkurzając przy tym na maksa.

Patrzemy na siebie ponuro i wiem, że obaj myślimy o martwej najemniczce.

- Myślę, że to spierdolili - dodaje Nolan.

\*

Mój mundur wyjściowy jest zniszczony, a poza tym sędzę, że badający zamach agenci FBI i tak zabrali go jako dowód, wkładam więc mundur połowy. Potem prowadzą mnie do tego samego pokoju narad, w którym rozmawiałem z prezydentem. Następne półtorej godziny muszę spędzić w towarzystwie dwóch agentów FBI, którzy upierają się przy tym, żebym opowiedział, sekunda po sekundzie, wszystkie okropne szczegóły zajścia, pomimo tego, że dysponują materiałem wideo z kamer hełmowych naszych czterech żandarmów i kamer bezpieczeństwa w podziemnym parkingu. Nie pytają o moją nakładkę, a ja nie wyrywam się z wiadomością, że włączyła się na moment przed eksplozją. Moim zdaniem udająca pojazd FBI furgonetka była wyposażona w przekaźnik, zhakowany już przez Czerwień, która zlokalizowała mnie, gdy przeszedłem przez drzwi, i automatycznie uczyniła węzłem swojej sieci - kolejnym ponownie aktywnym urządzeniem inwigilacyjnym wśród miliona innych.

Także agenci FBI nie mówią niczego z własnej woli. Pytam o napastników: kim byli, dla kogo pracowali, o co im chodziło, ale nie otrzymuję żadnych odpowiedzi, więc kiedy staje się jasne, że wszyscy postanowiliśmy nic nie mówić, sierżant Haffey odprowadza mnie do celi.

- Sieć lokalna została przywrócona - informuje mnie. -Nadzór pozwolił korzystać z łączności, nie jesteśmy więc już izolowani tutaj na dole.

Sprawdzam nakładkę. Jest nadal aktywna, ale jak zawsze jestem odłączony, pozbawiony dostępu do Chmury.

- Jakies potwierdzenie w związku z Thelmą Sheridan?

Unosi rudą brew.

- Słyszał pan o tym? To nie jest dla was dobra wiadomość, co?

- Nie, nie jest. To prawda?

- Mediodzi zachowują się tak, jakby była, ale od kiedy to oni coś wiedzą?

To samo pytanie zadaję majorowi Ogawie, kiedy się zjawia wczesnym popołudniem. Haffey wpuszcza go na teren bloku więziennego, ale każe mu stać przed szklaną ścianą. Na widok obrońcy zrywam się na równe nogi i staję na wprost niego po drugiej stronie szyby, czekając na odpowiedź.

- Nie słyszałem żadnego oficjalnego potwierdzenia na temat sytuacji Thelmy Sheridan, ale to nie jest pańskie największe zmartwienie.

Nie zgadzam się z nim, ale mam inne pytanie.

- Co więc zaszło dzisiaj rano? Kto, do diabła, zorganizował to fiasko? Czego chcieli?

Patrzy mi prosto w oczy.

- Dzisiaj rano nic nie zaszło. Nic takiego, o czym kiedykolwiek będzie pan mógł opowiedzieć.

Incydent został utajniony.

Tak samo jak nuklearny terroryzm Dnia Komy. Mamy do czynienia z powtarzającym się wzorem.

- Dobra - mówię. - Ale dlaczego? Zamiatają to pod dywan, bo FBI jest zażenowane, że w ogóle do tego doszło? Czy też dlatego, że wiedzą, kto za tym stoi?

Kręci głową.

- Wiem tylko, że chcą to wyciszyć. Pułkownik Monteiro zażądała informacji, czy którekolwiek z was ma obrażenia na twarzy. Gdyby tak było, nie zgodziłaby się na postępowanie. W obecnej sytuacji bezpieczniej jest posuwać się naprzód. Dzisiejszy tłum na Mall jest oceniany na dwieście tysięcy ludzi, a ich nastrój się pogorszył, kiedy rozeszła się wieść o opóźnieniu procesu. Pachnie awanturą, wie pan? A nikt nie chce rozruchów. Więc jutro startujemy ponownie. Wystąpienia wstępne o dziesiątej...

- Zakładając, że dotrzemy do sądu.

- Dotrzecie. Wojsko nie może się doczekać, żeby mieć tę sprawę z głowy.

Major Ogawa nie żartuje. O siedemnastej dwadzieścia jeden sierżant Omer przynosi wiadomość, że dostarczono nowe mundury, po jednym dla każdego. Są nawet wkładki do butów dla mnie, żeby moje robocie stopy były właściwie obute. To cud skuteczności działania w celu przyśpieszenia godziny, w której Oddział Apokalipsy zniknie z codziennych wiadomości rozprzestrzeniających się w sieci.

\*

Po zgaszeniu światel drzemię na pryczy, kiedy na nakładce otwiera się link przesyłu danych. Informacje wypływają w świat zewnętrzny. Trwa to kilka sekund, a potem połączenie się urywa. Jak zawsze. Procedura kończy się skasowaniem wczorajszych nagrań wideo.

To standardowe postępowanie, polegające na monitorowaniu przez AI bezpieczeństwa przesyłu danych w każdej sieci wojskowej. Ta AI powinna zapisywać ściągane nocami materiały. Powinna je oznaczyć, jeśli nie są autoryzowane przez Nadzór, ale nigdy nie padają żadne pytania. Mam wrażenie, że nie będzie ich także w sprawie aktywności dzisiejszej nocy.

Muszę przyznać: po zesłonocej izolacji ulgą jest znowu się znaleźć w sieci Czerwieni.

\*

Następnego dnia robimy ponownie zbiórkę na polecenie starszej sierżant sztabowej Chudhuri. Tym razem umundurowani żołnierze w kamizelkach kuloodpornych i z karabinami szturmowymi stoją na całej trasie naszego przemarszu. Chudhuri mówi, że są na wszystkich piętrach, a także w garażu. Dzięki temu ma takie poczucie bezpieczeństwa, że tym razem nie proponuje wędrowki schodami, tylko pozwala nam pojechać windą na trzecie piętro. Po

zdjęciu kajdanków siedzimy wokół stołu w sali konferencyjnej i czekamy.

Słucham z zainteresowaniem opinii moich żołnierzy o wczorajszym incydencie.

- Kiedy Chudhuri kazała nam paść, wszyscy jej posłuchaliśmy - mówi Harvey. - Potrzebowała czystego pola ostrzału, prawda? Ale najemnicy powalili ją plastikowymi pociskami.

- Powalili wszystkich żandarmów - dodaje Tuttle. - Myśleliśmy, że będziemy następni. Nie było nic do stracenia.

Jaynie porusza się, przeszywając mnie ostrym spojrzeniem.

- Tak pan sądził, kiedy zaatakował pan najemniczkę?

- Coś w tym rodzaju.

- Kiedy ją pan załatwił - odzywa się Nolan - kiedy połała się krew, jej partner zmarł. Więc Harvey i ja unieruchomiliśmy go, a Vasquez sięgnęła po jego broń.

- Nadepnęłam mu na palce - potwierdza Jaynie. - Pewnie mu je połamałam. W każdym razie puścił giwerę, ale Chudhuri była już na nogach. Wzięła karabin, zanim zdążyłam go dotknąć.

- Była cholernie wkurwiona - wtrąca Moon, wybałuszając oczy na to wspomnienie. - Pakowała w kamizelkę najemnika pocisk za pociskiem...

- Żeby go uciszyć - mówi Harvey. - To wszystko. - Kiwa głową w moim kierunku. - Potem wyszła za panem do garażu.

- To wszystko działo się tak szybko - dodaje Flynn. - Nie wiedzieliśmy nawet, że strzelają plastikowymi kulami, póki nie było po sprawie.

- Mieliśmy szczęście - mówię.

Harvey opiera się w fotelu, uśmiechając się do mnie sceptycznie.

- Nie wiem, czy chodziło o szczęście, poruczniku, ale jasne jak cholera, że byliśmy w lepszej sytuacji niż najemniczka, którą pan pogruchotał. Nie wiedziałam, że jest pan do tego zdolny.

Flynn zaczyna wyrażać podziw dla tego, co zrobiłem, ale milknie w pół zdania, kiedy się otwierają drzwi.

Do pokoju zagląda Chudhuri z ponurą miną za przezroczystą przyłbicą.

- Już czas.

\*



Wchodzimy na salę sądową bocznymi drzwiami. Idę pierwszy, za mną Jaynie, a następni podążają rzędem. Według oceny stanu zabezpieczeń Chudhuri kilka lat temu pomieszczenie zostało lepiej ekranowane, żeby uniemożliwić łączność radiową i komórkową, co odcięło je od Chmury. Usprawnienia nie rzucają się w oczy. Ściany pokrywa błyszcząca boazeria z klonowego drewna, z którego wykonane jest całe umeblowanie. Stół sędziowski, ze stanowiskiem dla świadków, znajduje się w głębi, na tle wysokiej, obłej ściany. Na prawo od stołu sędziowskiego jest pusta jeszcze ława sędziów przysięgłych. W jej sąsiedztwie, blisko barierki, stoi mały stół, za którym siedzą rzeczniczki procesowe: major Adrienne Fong i kapitan Elise Bowen, oficerowie wyznaczeni przez wojsko na oskarżycielki w naszej sprawie. Na blacie przed sobą mają dwa żółte notatniki prawnicze i dwa tablety.

Stół obrony znajduje się po lewej stronie pomieszczenia. W istocie to dwa długie, połączone ze sobą stoły, tworzące literę „L”. Przy końcu bliższym środka sali stoją major Ogawa i mój wuj, Brandon Shelley. Dwaj asystujący adwokaci wojskowi stoją u przeciwległego końca „L”, bliżej stołu sędzi.

Wszystkie miejsca dla widzów są zajęte. W pierwszym rzędzie za barierką, zaraz za stanowiskiem obrony, widzę tatę. Jest przystojnym mężczyzną, który za kilka miesięcy będzie obchodził pięćdziesiąte trzecie urodziny i który zawsze lubił się dobrze ubierać. Obecnie jednak jego twarz jest bardziej zmizerowana niż dawniej, a włosy szybko mu siwieją. Kiedy wchodzę, skupia na mnie nawiedzone spojrzenie, jakbym był już duchem.

Doznaję wstrząsu, gdy zauważam, kto siedzi obok niego: rodzice Lissy, Joe i Amy Dalgaard. Nie chcę na nich patrzeć, ale zmuszam się do tego. Spotykamy się wzrokiem. Wiem, co stracili. Odczuwam ten sam ból, jaki widzę na ich twarzach. Oni są jednak niewinni. Ja - nie.

Major Ogawa nakazuje mi stanąć z boku, po czym kieruje pozostałymi, żeby przededefilowali wzdłuż długiego stołu obrony. Wyciągam z szeregu Jaynie, bo chcę ją mieć obok siebie, więc Nolan prowadzi pozostałych na miejsca -wszystkich oprócz Harvey, która się ociąga z tyłu. Z mrocznym spojrzeniem posyła przodem Tuttle'a, Flynn i Moona. Harvey lubi być blisko jądra wydarzeń, więc zajmuje miejsce obok Jaynie. Potem jestem ja, a następnie nasi obrońcy. Nie wolno mi rozmawiać z nikim za barierką... ale słyszę szept pani Dalgaard:

- Załatw tych drani, Jimmy. Każ im zapłacić za wszystko, co zrobili, i za wszystko, czego zaniechali. Dla Lissy.

Oglądam się, żeby spojrzeć na nią, zdumiony, że może być po mojej stronie. Kiedy kiwa głową, w jej oczach błyszczą łzy.

- Odwróć się i patrz na sąd - mówi wuj pod nosem.

Robię to w chwili, gdy woźny sądowy woła:

- Proszę wstać! Sąd idzie!

\*

Grupa dwunastu oficerów, znanych jako członkowie sądu, zajmuje miejsca w ławie przysięgłych. Następnie wchodzi pułkownik Susan Monteiro w sędziowskiej tozde. Monteiro jest biała, po pięćdziesiątce, ma rumieńce na policzkach, a blond włosy obcięte krótko, ale kobieco. Siada za stołem. Po prawej stronie ma wielką amerykańską flagę, udrapowaną wokół pionowego drzewca. Do ściany nad jej głową przymocowany jest metrowej średnicy medalion z brązu, przedstawiający amerykańskiego orła. Sędzia Monteiro, z uprzejmą miną, omiata wzrokiem salę. Potem skłania w bok głowę i pyta członków sądu:

- Możemy zacząć?

Kiedy zapanowuje zgoda, że jesteśmy gotowi, jej spojrzenie dryfuje ku stołowi rzeczników procesowych.

- Czy rząd może przedstawić sądowi wystąpienie wstępne?

Major Fong wstaje.

- Tak jest, wysoki sędzie.

- To proszę je wygłosić.

Major Fong wychodzi zza stołu oskarżycielek. Jest średniego wzrostu, o sylwetce zdradzającej rosnącą tuszę wieku średniego, która przydaje jej dystyngowanej stanowczości, kiedy w swoim nieskazitelnym mundurze wyjściowym zwraca się w stronę członków sądu.

Ich zadanie jest takie same, jak w sądzie cywilnym: ustalić werdykt. Wszyscy są majorami lub kapitanami. Major Fong zaczyna od zdania, które mnie zaskakuje:

- Znajdujemy się tutaj w towarzystwie bohaterów - mówi ściszym, pełnym szacunku głosem. Odwraca się lekko, z wnętrzem dłoni zwróconym w geście wdzięczności, który obejmuje mnie i pozostałych podsądnych. - Wszyscy obecni dziś oskarżeni - szeregowca Mandy Flynn, specjalista Jayden Moon, specjalista Samuel Tuttle, specjalistka Vanessa Harvey, sierżant Aaron Nolan, sierżant Jaynie Vasquez oraz porucznik James Shelley - są bohaterami, słusznie szanowanymi przez wdzięczny naród za ich służbę i nadzwyczajną akcję, którą podjęli nocą jedenastego listopada, kiedy kraj stanął w obliczu nieznanego nam wcześniej kryzysu. Każde z tej siódemki jest bohaterskim uczestnikiem ataku na Czarny Krzyż.

Odwraca się od nas, żeby przemawiać bezpośrednio do grupy oficerów w ławie przysięgłych.

- To tragedia ludzkiego charakteru, że bohaterowie mogą się niekiedy wydawać nadnaturalni, nawet w ich własnych oczach. Obecne postępowanie nie dotyczy korupcji czy chciwości. Nie, ten proces wynika z arogancji bohaterów, którzy zbyt uwierzyli w cnotę własnej praworządności. Ta sprawa dotyczy tego, co się dzieje, kiedy dobrzy żołnierze, działając w oparciu o ograniczone informacje, zostają skłonieni do wzięcia prawa w swoje ręce. Wykażemy, że wspólnie spiskowali i dopuścili się brutalnego uprowadzenia oraz nielegalnego uwięzienia Thelmy Sheridan, obywatelki amerykańskiej, nieoskarżonej ani nieskazanej za żadne przestępstwo; wykażemy również, że w trakcie tej akcji zamordowali czterech

pracowników firmy Vanda-Sheridan oraz zmusili do współpracy pilotkę Ilimę LaSalle. Była to operacja znana pod kryptonimem „Brzask”, która trwała od osiemnastego do dwudziestego listopada. Dowody zgromadzone przez rząd wykażą, że każde z oskarżonych wiedziało ponad wszelką wątpliwość, że akcja podjęta przeciwko pani Sheridan i jej pracownikom jest nielegalna, że działania w czasie misji „Brzask” naruszają suwerenność Stanów Zjednoczonych oraz że oskarżeni spodziewali się, że za swoje działania zostaną postawieni przed sądem wojskowym. Rząd wykaże również, w jaki sposób działania nieżyjącego już pułkownika Stevena Kendricka zainicjowały wydarzenia, które doprowadziły do tego procesu wojskowego. Podstawowym dowodem, jaki zaprezentuje rząd, jest zestaw nagrań wideo, zgromadzonych przez samych oskarżonych, a dokumentujących zdarzenia z dni od osiemnastego do dwudziestego listopada, i zgłoszonych jako dowód przez obronę. Innym kluczowym dowodem jest nagranie wideo zeznania Thelmy Sheridan, która nie może wystąpić w roli świadka podczas tego procesu ze względu na pobyt w areszcie.

Czuję, że Jaynie tężeje obok mnie. Odwracam się i napotykam jej wzrok. Oboje zastanawiamy się nad tym samym: czy oskarżycielka powiedziała właśnie, że Sheridan nadal żyje? Jaynie unosi brew, jakby mówiła „możliwe, możliwe”, a major Fong kontynuuje:

- Rząd chciałby zgłosić dwóch kluczowych świadków, których powołamy podczas procesu. Pierwszym jest Blaise „Blue” Parker, przebywający obecnie w więzieniu federalnym z powodu uczestnictwa w aktach terroru nuklearnego, do jakich doszło jedenastego listopada. Pan Parker złoży zeznania dotyczące wydarzeń, które rozegrały się w Czarnym Krzyżu, a które w sposób bezpośredni doprowadziły do interesujących nas działań. Innym kluczowym świadkiem jest agentka specjalna Eve England, która złoży zeznania w sprawie rozmów, które przeprowadziła z pułkownikiem Kendrickiem w następstwie wydarzeń w Czarnym Krzyżu. Wysłuchamy także biegłych, w tym wykładowców prawa, których zeznania będą dotyczyły znaczenia i skutków złożenia przysięgi żołnierskiej oraz ograniczeń działań, które z niej wynikają. Rząd jest przekonany, że po przedstawieniu tych dowodów wy, członkowie składu sędziowskiego, uznacie, że cała siódemka oskarżonych popełniła przestępstwa, o które są oskarżeni.

To oczywiście jest swego rodzaju teatr, a my jesteśmy aktorami w sztuce, którą pomogliśmy napisać. Dowody są już zarejestrowane i zapoznano się z nimi. Znani są zarówno świadkowie, jak i zeznania, które złożą. Niczego nie ukryto. Niczego nie zatajono. Nieznany jest jedynie końcowy werdykt, ale nawet on jest niemal pewny.

Major Fong kiwa głową w stronę współoskarżycielki. Obie są zadowolone z jej wystąpienia. Siada na swoim miejscu, a sędzia zwraca się do majora Ogawy:

- Czy obrona przedstawi teraz swoją mowę wstępną?

- Tak, wysoki sędzie. - Ogawa wstaje, odchodzi od stołu i obraca się w stronę członków sądu, tej grupy oficerów w ławie przysięgłych. Przygląda się im długo i uważnie. Potem mówi: - „Uroczycie przysięgam, że będę stał na straży konstytucji Stanów Zjednoczonych przeciwko wszelkim wrogom, tak zewnętrznym, jak i wewnętrznym”. - Obejmuje nas wzrokiem. - Wszyscy siedzący przed wami oskarżeni składali to samo ślubowanie. Wykażemy, że działania

podjęte przez oskarżonych podczas misji „Brzask” zostały podyktowane wymogami tej przysięgi. Wykażemy, że przypadek terroryzmu nuklearnego z jedenastego listopada doprowadził do przestępczego tuszowania działań zarówno przez przedstawicieli rządu, jak i dowództwa wojskowego. Oskarżeni, za sprawą ich bohaterskich wysiłków w Czarnym Krzyżu, poznali prawnie uzasadniony dowód zdecydowanie sugerujący, że Thelma Sheridan jest główną uczestniczką spisku terrorystycznego. Porucznikowi Shelleyowi, oddanemu żołnierzowi, który ponownie zaryzykował życie w obronie kraju, pozostawiło to tylko jeden sposób dotrzymania przysięgi wojskowej. - Ogawa wskazuje skinieniem głowy mnie, a potem każdego po kolei żołnierza, wymieniając ich z nazwiska. - Vasquez, Harvey, Moon, Flynn, Tuttle i Nolan. Słyszeliście o nich. Wszyscy są bohaterami z Czarnego Krzyża, żołnierzami, których ślubowanie zobowiązało do tego, co uczynili podczas operacji „Brzask”. To nie było zadanie, którego chcieli. Spadło na ich barki, gdy przedstawiciele władzy, funkcjonariusze rządu i oficerowie w strukturach dowódczych wojska zaniechali obowiązku obrony konstytucji naszego kraju. „Brzask” stanowił desperacką próbę wymierzenia sprawiedliwości, zagwarantowanej przez naszą konstytucję, dokument, który nie dopuszcza wyjątkowych uprawnień dla uprzywilejowanych i bogatych. Wykażemy, że korupcja przedstawicieli wojska i rządu zmusiła tych lojalnych patriotów do szukania sprawiedliwości w sądzie obcego kraju, sprawiedliwości obiecanej nam przez system konstytucyjny, ale już niedostępnej.

Mówi prawdę. Byliśmy zmuszeni zwrócić się do obcego sądu, ale jeśli ten obcy sąd pozwolił zamordować Thelmę Sheridan, to nie uda się nam postawić jej przed obliczem sprawiedliwości - a w związku z tym jaka obrona nam została?

Major Ogawa wraca na swoje miejsce. Przyglądam się członkom ławy przysięgłych. Na twarzach kilku z nich maluje się wyraz zamyślenia, ale większość prezentuje kamienne oblicza. Wszyscy są świadomi obecności kamer rejestrujących postępowanie i wiedzą, że zarówno prawnicy, jak i media będą analizowały wyrazy ich twarzy, chcąc ocenić skuteczność argumentów. Większość ujawnia zatem najmniej, jak to możliwe.

Media będą się także przyglądać nam, oskarżonym, polując na oznaki strachu, wściekłości, zaprzeczenia lub aprobaty - ślady jakichkolwiek ludzkich uczuć. Dlaczego nie dać im tego, czego chcą? To byłoby mądre. Mogłoby nam zjednać sympatię widzów, przeciągnąć na naszą stronę opinię publiczną. Ale nikt z nas tego nie robi. To nie nasza metoda. Słuchamy, przedstawiając światu oblicza pozbawione wyrazu, tak jak dwie trzecie składu sądu.

Sędzia Monteiro jest jedyną osobą po tej stronie barierki, która wygląda na odprężoną. Splata palce dłoni, opiera na nich podbródek i spogląda na salę sądową.

- Cóż, już prawie pora lunchu. Zrobimy przerwę do popołudnia?

\*

Kapitan Elise Bowen, asystentka rzeczniczki procesowej, poświęca pierwszą godzinę posiedzenia na odczytanie ustaleń do protokołu sądowego. Owe dokumenty przedstawiają zasadniczy ciąg zdarzeń, które zaszły w trakcie początkowych godzin operacji „Brzask”, do pierwszej trzydziestki dwie w nocy dziewiętnastego listopada, kiedy nasz C-17 wystartował z

Alaski.

Wszyscy widzieliśmy te ustalenia; przestudiowaliśmy je, wprowadziliśmy do nich zmiany i zaaprobowaliśmy je wiele tygodni temu. Kiedy Bowen kończy odczytywać każde z nich, sędzia żąda, żeby wszyscy oskarżeni kolejno wstali i potwierdzili osobiście, iż przyjmują stwierdzenia za fakty i nie będą chcieli ich obalić.

To nudne jak flaki z olejem, ale przynajmniej nie będziemy marnować czasu oraz pieniędzy podatników na zaprzeczanie najdrobniejszym szczegółom misji. Pod koniec swojego wystąpienia kapitan Bowen każe woźnemu opuścić spod sufitu ekran projekcyjny. Znajduje się on za urzędnikiem sądowym, na prawo od sędzi Monteiro, co lokuje go w sporej odległości od ławy przysięgłych, ale ekran jest tak duży, że nie ma to żadnego znaczenia.

Bowen wyświetla na nim drabinkę zdarzeń. Potem poświęca kolejne piętnaście minut na jej omówienie, linijka po linijce, żeby się upewnić, że wszyscy dobrze rozumieją sekwencję wypadków podczas naszej alaskańskiej przygody. Dociera do ostatniej pozycji i zwraca się do sądu:

- Szesnaście godzin po opuszczeniu Alaski C-17 wylądował na spornym terenie kontynentu afrykańskiego, na lotnisku w mieście Niamej, gdzie Thelma Sheridan została aresztowana przez tymczasowy rząd kierowany przez Ahaba Matugo i gdzie nadal przebywa.

Kapitan Bowen nie jest gawędziarką. Pomięła wszystkie ekscytujące zdarzenia związane z naszym lotem do Niameju. Skrobie notatkę - „Co z myśliwcami?” - i przekazuje ją Ogawie. Patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym był opóźnionym w rozwoju dzieckiem poddającym próbę jego cierpliwość.

- Sądzę, że obrona zechce odpowiedzieć? - mówi sędzia.

Ogawa wstaje.

- Tak jest. - Daje znak woźnemu sądowemu i na ekranie pokazuje się nowa tabela. Ta wyszczególnia zdarzenia, do jakich doszło podczas lotu. - O dwunastej czternaście UTC - uniwersalnego czasu koordynowanego - do C-17 zbliżyły się dwa myśliwce, które towarzyszyły potem samolotowi przez wiele godzin. Przedstawimy dowody na to, że owe odrzutowce należały do Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Sześć i pół godziny po tym, gdy się pojawiły, pilot jednego z nich nakazał C-17 lądowanie. Kiedy zignorowano ten rozkaz, odrzutowce podjęły działania nękające i zastraszające, narażając życie ludzi znajdujących się na pokładzie C-17, w tym trojga cywilów. Agresywne działania myśliwców osiągnęły kulminację dwie minuty po północy, dwudziestego listopada, kiedy jeden z odrzutowców wystrzelił pocisk, co - jak wykażemy - stanowiło próbę zestrzelenia nieuzbrojonego C-17 wraz z oskarżonymi i cywilnymi pasażerami. Kiedy ta próba się nie powiodła, odrzutowce się wycofały, a nieniekójony C-17 doleciał do Niameju.

Czekam, żeby major powiedział coś więcej, żeby zadał istotne dla naszej obrony pytania: Na podstawie czyich rozkazów operowały te myśliwce? Kto wydał polecenie zestrzelenia nas? Ale

Ogawa skończył. Wraca na miejsce, a sędzia ogłasza półgodzinną przerwę.

\*

Kiedy czekamy w sali konferencyjnej, nastrój jest ponury.

- Wyglądamy na winnych jak cholera - zrzędzi Tuttle. -Do diabła, sam bym nas skazał.
- Jesteśmy winni - warczy Harvey. - Jeśli spojrzeć tylko na to, co zrobiliśmy, to faktycznie to uczyniliśmy, kurwa. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, dlaczego musieliśmy tak postąpić.
- A my mamy szansę powiedzieć o tym - dodaje - kiedy oskarżenie skończy zanudzać nas faktami, które wszyscy już znają. Kiedy więc tam wrócisz, Tuttle, to nie wyglądamy na przerażonego ani zmartwionego. Jeśli ma się nam udać, to musimy wierzyć w to, co robimy.

Gdyby Matt Ransom nadal żył, ta mała przemowa zapewniłaby mi entuzjastyczny okrzyk: „Hoo-yah!” Jednak jedyną reakcją jest coś w rodzaju przeprosin ze strony Tuttle’a.

- Nie musi się pan o mnie martwić, sir. Zrobię swoje.

Kiedy znajdujemy się ponownie na sali sądowej, pałeczkę przejmuje major Fong, rzeczniczka procesowa.

- Wysoki sędzie - mówi, zwrócona twarzą do sędzi Monteiro. - Chciałabym włączyć do dowodów nagranie wideo, otrzymane w tej sprawie od świadka, którego obecna sytuacja nie pozwala na stawiennictwo osobiste.

Zatem pierwszym świadkiem na naszym procesie ma być Thelma Sheridan.

Wiem o istnieniu tego zeznania, chociaż nie widziałem go jeszcze. Pochyliam się, żeby szepnąć coś majorowi Oga-wie, ale on już stoi i wyraża moje wątpliwości:

- Wysoki sędzie, rząd oświadczył, że zeznanie zostało nagrane siedem dni temu. Proszę, żeby rząd określił do protokołu sądowego, jaka jest obecna sytuacja i stan Thelmy Sheridan.

Monteiro nie sprawia wrażenia, jakby aprobowała to wszystko. Jeśli jednak Sheridan nie żyje, to lepiej, żeby członkowie ławy przysięgłych dowiedzieli się o tym teraz, zamiast pod koniec naszej obrony.

- W porządku - mówi. - Zwraca się do Fong: - Majorze, jest pani w stanie spełnić postulat obrony?
- Zanim udzielę odpowiedzi, chciałabym poprosić o krótką przerwę w obradach - mówi Fong.
- Ile czasu pani potrzebuje?
- Kwadrans.

- Zgoda.

Wychodzimy więc ponownie rządkiem, żeby w kamiennym milczeniu zasiąść dookoła stołu w sali konferencyjnej. Kiedy wracamy, Fong wstaje z ponurą miną.

- Wysoki sędzie, rząd nie jest w stanie przedstawić informacji o obecnej sytuacji i kondycji Thelmy Sheridan. Prosimy, żeby wolno nam było zaprezentować zeznanie wideo, które obrona obejrzała już i zaakceptowała.

- Zgoda - mówi Monteiro. - Proszę kontynuować.

Thelma Sheridan nie straciła nic ze swojej srogości. Ubrana w szary jedwabny szlafrok i spodnie od piżamy, siedzi na metalowym krześle w bezokiennym betonowym pomieszczeniu o poplamionych ścianach. Światło w celi ma żółty kolor. Sheridan patrzy spode łba, brodę ma cofniętą -wojowniczką, zapędzona do rogu drapieżniczka, gotowa do skoku.

- Proszę podać swoje nazwisko do protokołu - rozlega się szorstki kobiecy głos o brytyjskim akcencie. Usta Sheridan się wykrzywiają, jakby to było coś, o co należy się kłócić, ale czyni zadość prośbie.

- Thelma Han Sheridan. Jestem obywatelką amerykańską, ofiarą porwania, przetrzymywaną nielegalnie...

- Przypominam pani, pani Sheridan, że to jest filmowane zeznanie, którego celem jest przedstawienie wydarzeń z okresu od osiemnastego do dwudziestego listopada. Pani relacja uzupełni obszerny materiał wideo i zostanie wykorzystana podczas postępowania sądu wojkowego w Stanach Zjednoczonych.

- Tak, proszę pani. I chciałabym osobiście uczestniczyć w tych posiedzeniach sądu wojkowego. Mam do tego prawo, jako ofiara w tej sprawie.

Głos nie należy do Brytyjki, ale odzwierciedla brytyjskie wykształcenie przesłuchującej - każde słowo wypowiedziane elegancko, gdy kobieta oświadcza rzeczowym tonem:

- Proszę pani, nie jest obecnie możliwe, żeby uczestniczyła pani w tamtym postępowaniu, gdyż jest pani uwikłana we własny proces sądowy. Jednak dla Stanów Zjednoczonych pani zeznanie jest cenne. Mogłaby więc pani opisać z łaski swojej, co się dokładnie wydarzyło w nocy z osiemnastego na dziewiętnasty listopada?

Brwi Sheridan nie są tak zadbane jak wcześniej, włosy straciły błyszczący metaliczny połysk, ale sposób, w jaki nad sobą panuje, nadal ujawnia ogromne poczucie władzy. Opiera się na krześle, prostuje barki i mówi:

- Nocą z osiemnastego na dziewiętnasty listopada oddział zbuntowanych żołnierzy amerykańskich pod dowództwem porucznika Jamesa Shelleya, wraz z nieżyjącym już wyższym oficerem, wkroczył nielegalnie na mój prywatny teren, porwał mnie oraz dwoje moich pracowników, ukradł warty dwieście dwadzieścia milionów dolarów samolot

transportowy i użył go do przewiezienia mnie na drugi koniec świata, wielokrotnie narażając w czasie lotu moje życie, zanim w końcu dostarczył mnie tutaj, gdzie jestem od tamtej pory przetrzymywana bezprawnie w niehumanitarnych warunkach. Żądam natychmiastowego uwolnienia mnie i przetransportowania do ojczystego kraju, żebym mogła dochodzić osobiście sprawiedliwości, do czego mam prawo jako obywatelka Stanów Zjednoczonych.

- Pani Sheridan - odzywa się przesłuchująca tonem anielskiej cierpliwości - powiedziała pani „oddział zbuntowanych żołnierzy amerykańskich”. W jaki sposób pani ich zidentyfikowała?

Uśmiech Sheridan jest wątry i drapieżny.

- Porucznik Shelley nie jest mi obcy. Spotkaliśmy się i rozmawialiśmy ze sobą, zanim doszło do nocnej napaści. Poznałam go po głosie, mimo że nosił hełm PGB.

- PGB?

- Połączona grupa bojowa. Scyborgizowani żołnierze. Ich sprzęt łączy ich ze sobą nawzajem. Jeśli znalazło się jednego, znajdzie się kolejnych. Porucznik Shelley miał ze sobą swój oddział. Dowodził nimi w kryminalnym przedsięwzięciu. To się chyba nazywa wywieranie bezprawnego nacisku.

Harvey mruczy pod nosem:

- Bo reszta z nas nie potrafi samodzielnie myśleć?

Przysięgam, że Jaynie kopie ją pod stołem.

Dyscyplina w moim oddziale zdecydowanie podupada.

Jest późne popołudnie, ale sędzia otrzymała rozkaz, żeby uporać się z tym procesem jak najszybciej, nie ma więc mowy o odroczeniu postępowania. Przeciwnie, Monteiro zwraca się do rzeczniczki procesowej:

- Czy rząd jest gotowy do powołania pierwszego świadka?

- Tak, wysoki sędzie - odpowiada major Fong. - Stany Zjednoczone wzywają Blaise'a Matthew Parkera.

Przez chwilę się zastanawiam: Kogo? Potem dociera do mnie. Blue Parker, przystojny blond terrorysta, który wysadził w powietrze Amerykę. Kozioł ofiarny Thelmy Sheridan.

Rozlega się gniewny pomruk, gdy dwaj szeryfowie wprowadzają między sobą Parkera przez boczne drzwi. Ubrany jest w koszulę z kołnierzykiem w kolorze złamanej bieli, spodnie i wyjściowe buty. Mógłby być w drodze do biura, gdyby nie kajdany na rękach i nogach.

Pierwszy raz widzę go na własne oczy. W Czarnym Krzyżu widziałem go jedynie przelotnie na przekazie wideo, kiedy Jaynie i Tuttle wyciągnęli go z jego kryjówki. Teraz wygląda inaczej.



Głowę ma ogoloną do szczeciny tak jasnej, że włosy wydają się białe. Twarz wychudła, koścista. Patrzy pod nogi, usta ma rozchylone, jakby się koncentrował usilnie na każdym szurającym kroku w drodze na miejsce dla świadków. Sprawia na mnie wrażenie, jakby szedł na spotkanie z Bogiem, i zastanawiam się, czy przeszedł wylew. Przyznał się do długiej listy przedstawionych mu zarzutów i oczekuje obecnie na wyrok sądu federalnego.

Jeden z szeryfów pomaga mu usiąść. Niebieskie oczy Parkera nie są już tak jasne, jak je zapamiętałem. Zerka na sędziego, a potem na stół podsądnych, gdy woźny wygłasza przysięgę:

- Ślubuje pan mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę?

Blue Parker zwraca się ku niemu i kiwa głową.

- Tak, proszę pana. Tak mi dopomóż Bóg i Jezus.

Brzmi to szczerze.

Oczywiście poświęcił około dziewięćdziesięciu trzech tysięcy ludzi, spowodował obrażenia u kilkakrotnie większej ich liczby i pogrążył w chaosie cały kraj. Sądzę, że bardzo długo rozmawiał o tym wszystkim z Bogiem.

Major Fong zaczyna przesłuchanie.

- Do protokołu: nazywa się pan Blaise Matthew Parker, zamieszkały w Dallas w Teksasie?

- Tak, proszę pani.

-I obecnie przebywa pan w areszcie federalnym, oczekując na wyrok?

- Tak. Zgadza się, proszę pani.

- Jakiego wyroku się pan spodziewa?

- Spodziewam się kary śmierci, proszę pani.

- Czy zaoferowano panu złagodzenie wyroku w zamian za zeznawanie przed sądem wojskowym w tym procesie?

- Nie, proszę pani, niczego mi nie zaoferowano.

- Gdzie się pan znajdował dwunastego listopada zeszłego roku o zero cztery piętnaście... to znaczy o czwartej piętnaście nad ranem według cywilnej miary czasu?

Parker opuszcza wzrok na swoje dłonie.

- Byłem w Czarnym Krzyżu. - Zdaje sobie sprawę, że mówi zbyt cicho, odchyła się, podnosi głowę i dodaje głośniej: - W pomieszczeniu kontrolnym.

Major Fong wraca do stołu, z którego podnosi zdjęcie.

- Wysoki sędzie, rząd chciałby włączyć do materiałów dowód numer trzydzieści siedem celem identyfikacji.

- Mogę go zobaczyć?

Fong podchodzi i podaje zdjęcie Monteiro, która przygląda się mu przelotnie i oddaje oskarżycielce. Potem Fong pokazuje dowód Blue Parkerowi.

- Widział pan wcześniej tego człowieka?

Parker szarpie się wstecz. Zaciska mocno powieki.

- Tak jest, proszę pani - szepcze. Potem powtarza głośniej: - Tak, widziałem go wcześniej.

- Gdzie?

- W Czarnym Krzyżu. To jest pułkownik Kendrick. Był dowódcą.

- Mówi pan o pułkowniku Stevenie Kendricku, dowodzącym żołnierzami amerykańskimi, którzy aresztowali pana w Czarnym Krzyżu?

- Tak.

- Panie Parker, czy kiedykolwiek widział pan, rozmawiał lub w jakikolwiek inny sposób komunikował się z pułkownikiem Kendrickiem w innym czasie niż dwunastego listopada?

- Nie, proszę pani.

- A czy tamtego ranka pułkownik Kendrick pytał pana o pańskich współników uczestniczących w aktach terroryzmu nuklearnego, do których się pan już przyznał?

- Tak, proszę pani. Chciał wiedzieć, czy jednym z nich jest Vanda-Sheridan.

- Mówi pan o korporacji Vanda-Sheridan?

- Chciał wiedzieć, czy Thelma Sheridan i Carl Vanda należeli do tego.

- Czy uczestniczyli w waszym spisku?

- Tak.

- I co pan mu powiedział?

- Powiedziałem mu, że... że Thelma Sheridan dostarczyła... ładunki jądrowe, ale... powiedziałem tak tylko ze strachu. Groził, że mnie zabije. A ja się bałem.

FaceValue wskazuje, że Parker mówi prawdę, i wiem, że się bał. Był, kurwa, przerażony.

Fong pyta dalej:

- Czy powiedział pan prawdę, kiedy oznajmił pułkownikowi Kendrickowi, że to Thelma Sheridan dostarczyła ładunki nuklearne?

Parker ma otwarte usta; jego barki unoszą się i opadają w widoczny sposób, gdy wciąga płytkie, urywane oddechy. FaceValue oznacza go na czerwono, kiedy mówi:

- Nie, proszę pani. Nie mówiłem prawdy.

- Skłamał pan pułkownikowi Kendrickowi na temat zaangażowania Thelmy Sheridan?

- Tak. Skłamałem. Thelma Sheridan nie dostarczyła ładunków. Nie była w to zamieszana.

Kłamie teraz.

Patrzę na oficerów siedzących w ławie przysięgłych. Większość z nich patrzy na Blue Parkera jak na glistę, którą chcieliby rozdeptać, ale żaden z nich nie ma wizora, a na podstawie wynegocjowanych ustaleń wiem, że żaden nie ma też nakładki. Nie dysponują niczym oprócz przecucia, żeby stwierdzić, czy świadek kłamie.

- Panie Parker, jaka firma dostarczyła ochroniarzy, których wykorzystał pan do obrony Czarnego Krzyża?

- Służba Ochrony Uther-Fen, proszę pani.

Fong zbliża się do stołu oskarżenia, podnosi dokument w przezroczystej plastikowej koszulce i podchodzi z nim do stołu sędzi.

- Wysoki sędzie, oskarżenie wnosi o dołączenie do dowodów dokumentu numer czterdzieści dziewięć.

Dokument numer czterdzieści dziewięć potwierdza, że Uther-Fen jest firmą zależną od Vanda-Sheridan. Wygląda to tak, jakby Fong próbowała bronić naszej sprawy, wiem jednak, że tak nie jest.

- Panie Parker, kiedy kontraktował pan Służbę Ochrony Uther-Fen w celu zapewnienia bezpieczeństwa Czarnego Krzyża, to czy wiedział pan, że ta firma należy do Vanda-Sheridan?

Blue jest teraz spokojniejszy, ale nadal oznaczony na czerwono, gdy odpowiada:

- Nie, proszę pani. Nie wiedziałem.

- Czy poinformował pan pracowników Uther-Fen, że zamierza się pan dopuścić aktu terroru?

- Nie, proszę pani. Nie zrobiłem tego.
- Czy zasugerował pan lub w jakikolwiek inny sposób dał do zrozumienia, że zamierza się pan dopuścić przestępczej działalności?
- Nie. Nie zrobiłem tego. Zapisy umowy nie pozwalały na to. Pracownicy Uther-Fen nie popełniliby przestępstwa ani nie uczestniczyliby w żadnym przedsięwzięciu naruszającym prawo.

Fong zgłasza do protokołu kolejny dowód - kopię umowy z Uther-Fen, opatrzonej elektronicznym podpisem Blue Parkera.

- Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie.
- Świadek do dyspozycji obrony - mówi sędzia.

Major Ogawa już stoi.

- Dziękuję, wysoki sędzie. Panie Parker, czy ma pan jakichś krewnych, którzy przeżyli atak na Czarny Krzyż?

Parker spogląda na Fong. Jeśli ma nadzieję, że ta zgłosi sprzeciw, to doznaje rozczarowania.

- Tak, proszę pana. Mam.
- Może nam pan powiedzieć, kim oni są?
- Żona i dwoje dzieci, proszę pana.
- Ile lat mają pańskie dzieci?
- Garrett ma cztery lata, a Josh dwa.
- A gdzie jest ich matka?
- W więzieniu federalnym.
- A dzieci? Gdzie one są?
- Są u... u siostry żony. - Odwraca się do sędzi. - Czy muszę mówić, gdzie się dokładnie znajdują?
- Proszę powiedzieć na jakim kontynencie - poleca mu Monteiro.
- Przebywają anonimowo w Europie. Ludzie chcą je zabić.

Ogawa kiwa głową. To stwierdzenie, o jakie mu chodziło.

- Psinie Parker, czy w celu ochrony rodziny przed odwetem zgodził się pan skłamać w trakcie zeznawania pod przysięgą na temat tego, co pan powiedział pułkownikowi Kendrickowi?

Parkerowi opada szczęka. Wygląda na przerażonego.

- Nie, proszę pana. Nie zrobiłem tego.

Na mojej nakładce otacza go czerwień.

Ale, do diabła, facet już zamordował dziewięćdziesiąt trzy tysiące ludzi. Kilka więcej kłamstw nie pogorszy jego sytuacji w piekle.

- Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie.

\*\*\*

- Dobrze - mówi Monteiro. - Jest siedemnaście siedemnaście, czyli piąta siedemnaście po południu w cywilnym języku. Czy coś jeszcze musimy dzisiaj zrobić?

Fong wstaje.

- Wysoki sędzie, oskarżenie wnosi o krótkie osiem zero dwa.

Wśród publiczności za nami rozlega się szmer zaskoczenia. Odwracam się do wuja. Skrobie już w swoim notatniku: „802 - narada”.

- W porządku - mówi Monteiro, chociaż nie wygląda na zadowoloną. — Czy obrona zgłasza sprzeciw?

- Nie, wysoki sędzie.

- Zatem ogłaszam przerwę do siedemnaście trzydzieści pięć.

Po wyjściu sędzi i składu sądu zostajemy odprowadzeni do naszej salki konferencyjnej. Siedziałem cały dzień, zatem teraz spaceruję. Flynn jest w toalecie, a Harvey czeka na swoją kolejkę. Jaynie stoi w kącie z ramionami skrzyżowanymi na piersi i patrzy na drzwi. Nolan, Tuttle i Moon rozsiedli się wokół stołu.

- Kiedy wprowadzili Parkera - odzywa się cicho Tuttle - włoski stanęły mi dęba na karku. Nie żyje dziewięćdziesiąt trzy tysiące ludzi. Bałem się, że ktoś z publiczności będzie chciał go zabić. Zdetonować bombę albo coś takiego.

- Ochrona sądu skanuje wszystkich w poszukiwaniu broni lub materiałów wybuchowych - mówię. - A po wczorajszych wydarzeniach będą dwa razy bardziej czujni.

- Tak, sir.

Docieram do końca pomieszczenia, zawracam i mijam Jaynie. Pomimo miesięcy spędzonych

w ciasnocie celi nadal jest szczupła i muskularna. Przenoszę się myślami do fortu Dassari. Wspominam, jak świeżo wyglądała po wzięciu prysznic, ubrana jedynie w figi i cienki T-shirt, który mało co ukrywał. A potem się opamiętuję. Co ze mną nie tak, kurwa?

Flynn wychodzi z toalety. Opada przy stole na miejsce obok Moona, opiera się o jego bark i wydaje dramatyczne westchnienie.

- Nie mogę się, kurwa, doczekać urlopu.
- Przypuszczalnie stałego - mruczy Moon. Spogląda na mnie. - Tak czy inaczej, wywalą nas z armii, prawda, poruczniku? Bez względu na to, czy zostaniemy uznani za winnych, czy nie?

Robię kolejny zwrot.

- Tak.
- Kurwa mać - szepcze Flynn, pierwszy raz wyglądając na przestraszoną. - Nawet jeśli się okazemy niewinni? To niesprawiedliwe.

Nie chodzi o sprawiedliwość, więc nie kłopotuję się odpowiedzią, ale Moon owszem.

- Hej - mówi cicho. - Ułoży się tak czy inaczej.

Zerkam ponownie na Jaynie, zastanawiając się, jak wygląda pod galowym mundurem. Patrzy na mnie wilkiem i przez chwilę czuję się jak dzieciak, który wpadł w kłopoty. Ale Jaynie nie obserwuje mnie, tylko Flynn.

Odwracam się i widzę, że Flynn tuli się do Moona, muskając wargami jego usta, jakby byli licealną parą.

Jaynie i Nolan reagują jednocześnie.

- Szeregowo Flynn!
- Specjalista Moon!
- Baczość!

Krzesła zgrzytają o podłogę. Flynn i Moon są zdumieni, gdy zrywają się na równe nogi i zastygają w pozycji zasadniczej, z wyprostowanymi barkami i wzrokiem wbitym przed siebie.

Moi sierżanci są odpowiedzialni za rozwiązywanie bezpośrednich problemów z podwładnymi, za co jestem ogromnie wdzięczny, gdyż nie całkiem nadaję się do tego, żeby zająć się tą konkretną sytuacją. Przybieram standardowy kamienny wyraz twarzy i liczę na to, że nikt nie przejrzy mnie na wylot, podczas gdy Jaynie zabiera głos. Okrąża stół i staje tuż obok Moona i Flynn.

- Chcecie się pieprzyć? - krzyczy. - Bo to jakaś pokręcona bzdura. Jesteśmy tutaj braćmi i

siostrami. Braćmi i siostrami! A bracia i siostry nie pieprzą się ze sobą! Czy to jasne?

Harvey wyłania się z toalety, usta ma rozwarte ze strachu. W tej samej chwili otwierają się prowadzące na korytarz drzwi, zza których wygląda sierżant sztabowa Chudhuri. Jednocześnie Flynn i Moon warczą zgodnie:

- Tak jest, sierżancie!
- To było nieporozumienie, sierżancie - dodaje Moon zmieszonym tonem.
- W moim oddziale nieporozumienia się nie zdarzają, Moon.

Chudhuri wycofuje się, zamykając za sobą drzwi.

Biedna Flynn jest przerażona.

- Co mi jest, kurwa?
- Nic - warczę.
- Poruczniku - mówi gwałtownie Jaynie.
- To nie jej wina! - Klepię się po głowie, nie patrząc Vasquez w oczy. - To przez ten czas, który spędzamy samotnie w celach.

Neuronetki i neuroskalpy funkcjonują bez przerwy. Nikt o tym wiele nie mówi, ale jeden ze skutków ich działania polega na tym, że traktujemy się jak rodzeństwo. Potem włącza się odraza do kazirodztwa, nie pozostawiając wiele zachęt, żeby próbować wleźć komuś do łóżka.

To jednak działa w ten sposób, gdy mieszkamy, trenujemy i patrolujemy razem jako oddział.

- Teraz, kiedy jesteśmy tego świadomi - dodaję, mówiąc częściowo do siebie - bądźcie czujni i nie pozwólcie, żeby się to powtórzyło.

Przez dwie minuty siedzimy w milczeniu nacechowanym poczuciem winy, a potem wraca Chudhuri.

- Chodźmy. Macie stawić się w sądzie.
- Przybierzcie opanowany wyraz twarzy - ostrzegam ich. — Nie zdradzajcie niczego.

Wracamy na nasze miejsca za stołem obrony. Kiedy wuj Brandon stada obok mnie, pytam go:

- Czego dotyczyła narada?

Pochyliła się, jakby chciał mi coś mi szepnąć, ale zmienia zdanie i zamiast tego pisze w rogu notatnika prawniczego małutkimi czarnymi literami: „Carl Vanda”.

Zjawia się sędzia, woźny woła:

- Proszę wstać!

Wstajemy, chociaż ja patrzę nadal na to nazwisko, gdy Monteiro zajmuje swoje miejsce za stołem sędziowskim.

Gdy tylko siadamy, Jaynie sięga po notatnik i przysuwa go bliżej siebie, żeby móc odcyfrować małe literki. Potem odsuwa blok, jakby był toksyczny.

- Spokój na sali - mówi obcesowo Monteiro, a ja odnoszę wrażenie, że jest niezadowolona.

- Czy oskarżenie jest gotowe wezwać następnego świadka?

- Tak jest, wysoki sędzie. - Major Fong wstaje. - Stany Zjednoczone wzywają Carla Reeda Vandę.

\*

Pierwszy raz widzę go na własne oczy. Jest wysoki i żylasty, o siwych, ostrzyżonych na jeża włosach, twarzy bliznowatej, jakby uczestniczył w walce na noże, krzywym nosie i wstrząsająco bladoniebieskich oczach, które są tak jasne, że musi chyba nosić szkła kontaktowe albo stosować sztuczny pigment tęczówkowy. Barki ma proste, kręgosłup - po katastrofie samolotu w Afryce przed niecałym rokiem - zdecydowanie zbyt sztywny: złamany i może ponownie ustawiony. Utyka lekko, oszczędzając prawe biodro.

Zajmując miejsce dla świadków, spogląda na salę sądową, a kiedy identyfikuje mnie, kiedy wzrok jego niebieskich oczu spotyka się z moim spojrzeniem, to przekazuje obietnicę. Mówi, że będzie się przyglądał tymi oczami, kiedy mój świat będzie się palił wokół mnie.

Nie jestem pewny, ale wydaje mi się, że mój wzrok obiecuje mu to samo.

Wuj kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Przestań.

Ten człowiek zamordował moją Lissę. Carl Vanda. Jest winny jej śmierci tak samo, jakby przystawił jej broń do skroni i pociągnął za spust.

- Jimmy.

Ikona na nakładce, sygnalizująca aktywność neuronetki, żarzy się w rogu mojego pola widzenia, a wraz z tym, jak siateczka skłania mózg do pompowania do mojego systemu nerwowego kojących substancji chemicznych, wściekłość zamienia się w coś chłodniejszego i bardziej cierpliwego. Spoglądam na wuja Brandona.

„W porządku?” - pyta bezgłośnie, podczas gdy Carl Van-da ślubuje mówić prawdę.



Kiwam głową.

Porwałem żonę Carla Vandy. Z tego powodu umarła Lissa, przeze mnie, bo wciągnąłem ją w to gówna, gdyż chciałem załatwić rekina.

Major Fong rozpoczyna:

- Do protokołu: nazywa się pan Carl Reed Vanda i jest pan prezesem oraz właścicielem Służby Ochrony Uther--Fen?

- Tak.

Prosi go o zidentyfikowanie i przejrzanie kontraktu na działania w Czarnym Krzyżu, a także o potwierdzenie jego znajomości z Blue Parkerem.

- Czy umowa wymienia konkretnych pracowników, którzy mieli zostać oddelegowani do Czarnego Krzyża?

- Nie. Nie ma takiej potrzeby. Cały nasz personel jest w pełni wyszkolony i wykwalifikowany.

- Czy pracownicy Uther-Fen zatrudnieni w Czarnym Krzyżu znali angielski?

- Tak. Może nie najlepiej, ale wystarczająco dobrze.

- Czy Blue Parker prosił, żeby przydzieleni mu pracownicy Uther-Fen byli obcokrajowcami o kiepskiej znajomości angielskiego?

- Tak, prosił. Ten mały gówna...

- Proszę się wyrażać z większą godnością, panie Vanda - ostrzega go sędzia - albo oskarżę pana o obrazę sądu.

- Tak jest, wysoki sędzie - odpowiada, przeciągając z sarkazmem dwa ostatnie słowa. - Pan Parker poinformował mnie, że obiekty Czarnego Krzyża są wykorzystywane w związku z rozwojem nowej technologii, dlatego chciał zminimalizować ryzyko szpiegostwa przemysłowego.

- Czy takie mgliste wyjaśnienie wydało się panu podejrzanym? - pyta major Fong.

- Wszystkich moich klientów uważam za podejrzanym. Każdy toczy własną grę.

- Ale zrobił pan to, o co proszono, i dostarczył panu Parkerowi niemówiących po angielsku pracowników...

Fong przerywa, gdy za moimi plecami rozlega się ciche brzęczenie. Dochodzi z miejsc dla publiczności, skądś na lewo ode mnie. Wszyscy na sali się obracają, żeby coś zobaczyć, ale nie ma co oglądać.

- Woźny - mówi sędzia - natychmiast wezwać ochronę.

Wstaję z miejsca. Nie potrafię się pohamować. Jestem żołnierzem PGB, wyszkolonym do myślenia na stojąco. Mój oddział także się podrywa, gdy brzęczeniu zaczyna towarzyszyć nowy dźwięk, przypominający odgłos szybkiego wirowania jakiejś nakręcanej zabawki na drewnianej powierzchni.

- Co, do diabła? - woła jakiś mężczyzna, kuląc się przy siedzącej obok niego kobiecie.

Krzyczy kilkoro innych ludzi, a potem z brzękiem wznosi się na skrzydłach ważki mechaniczny błyszczący owad o cylindrycznym kadłubie mniejszym od mojego małego palca. Sterczą pod nim cztery odnóża cienkie jak igły i zakrzywione niczym kleszcze. Przez sekundę wisi nad zgromadzoną w sali publicznością, obracając się, żeby się przyjrzeć pomieszczeniu malutkim, błyszczącym, szklanym okiem.

Błyskawicznie dociera do mnie, że sala sądowa jest ekranowana radiowo, więc dron jest sterowany z wnętrza pomieszczenia albo urządzenie jest autonomiczne.

Stawiam na autonomiczność. Zakładam, że program rozpoznawania wzorców analizuje dane zebrane przez to szklane oczko.

Mój tata i rodzice Lissy znajdują się na odległość ramienia, po drugiej stronie barierki. Ze wzrokiem skupionym na zabawkowej wielkości dronie wołam:

- Na ziemię, wszyscy!

Padają, a ja sięgam za siebie i chwytam prawniczy notatnik z napisanym w rogu nazwiskiem Carla Vandy.

Wygląda, jakby mały dron czekał na ten ruch. Śmiga w moją stronę z taką szybkością, że niemal nie można nadążyć za nim wzrokiem.

- Cofnij się! - woła Jaynie, kiedy zamierzam się blokiem prawniczym.

Ma dużą powierzchnię, ale i tak niemal chybiam, gdyż roboowad nie poluje na mnie. Wpada między mnie i Jaynie. Ledwo zaczepiam o skrzydło, ale to wystarcza, żeby wytrącić go z trajektorii lotu. Odwracam się w porę, żeby zobaczyć, jak wiruje spiralnie przed stołem sędziowskim. Rozlega się głośny trzask, gdy zderza się z drewnem. Brzęczenie ustaje i urządzenie pada na podłogę.

Sędzia ze wściekłą miną wstaje zza stołu.

- Nikt nie opuszcza tego pomieszczenia bez mojego pozwolenia! - Wpada oddział żandarmów. Monteiro gestykuje w stronę dowodzącego nimi sierżanta. - Zabezpieczyć wejście dla publiczności. Wyznaczyć kogoś do ochrony świadka. - Potem odwraca się do oficerów wchodzących w skład sądu. Wszyscy stoją. - Członkowie sądu, otoczcie widzów. Dopilnujcie, żeby wszyscy pozostali na swoich miejscach, aż zostaną przeszukani i

przesłuchani.

W bocznym wejściu ukazuje się sierżant sztabowa Chudhuri w pełnym rynsztunku, wpadając w oko wściekłej sędzi.

- Sierżant sztabowa! Jest pani oddelegowana do opieki nad więźniami?
- Tak jest, wysoki sędzie.
- Dopilnujcie, żeby straż stała po drodze do aresztu a potem odprowadźcie tam podsądnych.

Wychodzimy więc. Zanim nasz rząddek opuszcza salę sądową, moje spojrzenie spotyka się ze wzrokiem ojca. Jest wściekły z powodu krzyków żandarmów, każących wszystkim pozostać na miejscach, zachować milczenie - „Żadnych rozmów!” - i położyć ręce na głowach. Kiwa mi jednak głową i mówi samymi ustami: „Uważaj na siebie”.

Potem wychodzimy bocznymi drzwiami. Chudhuri nie zawraca sobie głowy kajdankami. Omer, Vitali i Phelps otaczają nas, gdy mijamy szybko gabinety sędziowskie. Wsiadamy do windy i drzwi się zamykają.

- Niech cię szlag, Shelley - odzywa się Jaynie głosem stłumionym przez wściekłość. - Ten robał celował w Carla Vandę. - Za sprawą jakiegoś wstrząsająco surrealistycznego doznania wiem, że Jaynie ma rację. - Dorwali już Sheridan, a dzisiaj przyszli po Vandę. Ten dron musiał nieść ładunek trucizny. Ocalił mu pan życie, kurwa.

- Milczeć w szeregu, Vasquez - ostrzega Chudhuri.

Ale nie ma nic więcej do powiedzenia.

Mam zbytnią paranoję?

Pewien stopień paranoiczności jest zdrowy, ale odkąd wróciliśmy z misji „Brzask”, spodziewam się, że zostanę zamordowany... lub, używając bardziej adekwatnego określenia, że dokonają na mnie zamachu.

W niedzielę byłem pewny, że po odwiedzinach prezydenta wpadną z wizytą jego żołnierze sił specjalnych, ale nie doszło do tego.

W poniedziałek nie przyszło mi w ogóle do głowy podawać w wątpliwość tego, że najemnicy, którzy nas zaatakowali, zjawili się, żeby zabić mnie, ale się myliłem.

Dzisiaj byłem pewny, że ja jestem celem miniaturowego drona, gdyż przywykłem uważać za moją historię wszystko, co się wokół mnie dzieje, ale w tym dramacie jest obecnych mnóstwo innych wątków i frakcji, których istnienia nie jestem nawet świadomy. Jedna z tych frakcji chciała dzisiaj zamordować Carla Vandę. To byłby dobry uczynek, ale przeszkodziłem temu.

Dziwię się, że Czerwień nie ostrzegła mnie. Nie jest po mojej stronie, wiem o tym. I nie

zawsze jest obecna. Operuje na całym świecie, rozdzielając zasoby, żeby wpłynąć na życie milionów, może nawet miliardów ludzi, wkraczając w nie w krytycznych momentach, a potem znikając.

Gdyby Czerwień dobrała się do mojej głowy, zanim wszedłem do sali sądowej, gdyby dała jakąś wskazówkę, zasugerowała, żebym nie wpierdalał się w działania, wtedy Carl Vanda byłby już trupem.

Ale nic nie wyczułem. Od wielu miesięcy już Czerwień nie wchodziła mi do głowy, nie kierowała mną, nie udzielała rad. Wszystko ogranicza się teraz do automatycznego ściągania w nocy moich doświadczeń. Pozostałem sam. Muszę pogodzić się z tym, że tak już pozostanie.

A co do Carla Vandy, to nie miałbym nic przeciwko jego zamordowaniu. Resztki sumienia próbują mnie od tego odstręczyć, ale nic z tego nie wychodzi.

\*

Rano major Ogawa przynosi wiadomość, że w sprawie ro-boowada nikogo nie aresztowano.

- Nikt nie wszedł do sali sądowej, nie zostawszy wcześniej gruntownie sprawdzonym, nie przeszedłszy skanowania całego ciała oraz nie zweryfikowawszy powodu obecności. Później wszystkich przeszukano i przesłuchano ponownie, ale na podstawie analizy emocjonalnej nie wytypowano żadnego podejrzanego.

Znajdujemy się w bloku więziennym. Jest wcześnie, więc nikt nie włożył jeszcze munduru galowego, ale Chudhuri otworzyła na prośbę majora drzwi wszystkich cel, więc możemy wspólnie wysłuchać tego, co Ogawa ma do powiedzenia

- Ktoś podłożył zatem to urządzenie - mówię. - Ktokolwiek to był, wiedział, że Carl Vanda będzie w sali sądowej, pomimo tego, że został powołany na świadka w ostatniej chwili.

Ogawa nie zgadza się ze mną.

- Wystarczyło, żeby się domyślano, że się zjawi. Mikro-dron jest jak mina lądowa - tani i łatwy w użyciu. Nawet coś tak skomplikowanego jak roboowad nie mogło tutaj kosztować więcej niż kilka tysięcy dolarów. Wystarczy upodobnić go do szminki albo strzykawki insulinowej i wrzucić komuś do torebki lub kieszeni; potencjalnie jest bardzo skuteczny.

Rozlega się szydercze prychnięcie ze strony Nolana. Harvey chichocze. Jaynie krzyżuje tyko ramiona na piersi i patrzy na mnie wilkiem. Jasne - roboowad mógł się okazać skuteczny, gdybym się nie wtrącił.

- Uczestniczymy dzisiaj w rozprawie? - pytam, żeby zmienić temat.

- O dziewiątej rano. Sędzia Monteiro chce zakończyć ten cyrk.

- A Vanda? Dokończy zeznania?

- Moim zdaniem? Nie zobaczymy go już. Fong powołała go na świadka dla wywołania sensacji, ale to był błąd. Nie wypada dobrze razem z innymi. Dowiemy się jednak na pewno, gdy zacznie się posiedzenie sądu.

Flynn ma nadal na sobie jedynie szorty i T-shirt, kiedy wspina się na palce, żeby zerknąć ponad ramieniem Nolana.

- Kiedy dojdziemy do przedstawiania naszej wersji? -pyta.
- W piątek, jeśli będziemy mieli szczęście. W przeciwnym wypadku w przyszłym tygodniu.
- Chcę to, kurwa, mieć za sobą. Przysięgam, że zabiję kogoś, jeśli mnie ktoś nie przeleci.

Ogawa ma rację. Carl Vanda nie pojawia się ponownie na miejscu dla świadków, a sędzia przyjmuje jego wcześniejsze zeznanie.

Pomimo wczorajszego naruszenia rygorów bezpieczeństwa wszystkie miejsca dla publiczności są zajęte. Nie widzę rodziców Lissy, ale mój tata jest obecny, siedzi tuż za stołem obrony, obok ponadpięćdziesięcioletniej kobiety, która wygląda jak starsza i bardziej ciemnoskóra wersja Harvey - jeśli Harvey przybierze piętnaście kilo, zapuści włosy i zafunduje sobie porządną trwałą. Kiedy Harvey wita kobietę skinieniem głowy, pojmuję, że to jej matka, która przyjechała z Pittsburgha.

Poranna dyskusja dotyczy neuroskalpów i neurologicznych udoskonaleń żołnierzy PGB. Przed weekendem rzeczniczka procesowa była gotowa pozwolić nam spierać się o to, że neuroskalpy wpływały na nasze procesy umysłowe w takim stopniu, który czynił nas nieodpowiedzialnymi za nasze działania. Ta wersja ulega zmianie. Trzech biegłych daje z siebie wszystko, żeby przedstawić nas jako skutecznych, działających racjonalnie żołnierzy, w pełni odpowiedzialnych za podejmowane decyzje. Ogawa zadaje kilka pytań podczas krzyżowego przesłuchania, wszystkie zamierzone na wzmocnienie tego stwierdzenia.

Zatem przed południem drugiego dnia procesu przyznajemy, że zrobiliśmy to, o co jesteśmy oskarżeni, i że w pełni odpowiadamy za nasze czyny.

To musi być najłatwiejsza sprawa, w jakiej major Fong kiedykolwiek oskarżała.

\*

Popołudnie jest bardziej interesujące.

Miejsce dla świadków zajmuje generał major Brittney Ahmet z wydziału wywiadu w Pentagonie. Jest wysoka, chuda jak szczapa - ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, metalicznie siwe włosy oraz ciemne oczy, a także ponurą minę.

Major Fong przedkłada sądowi dokument w plastikowej koszulce.

- Wysoki sędzie, rząd przedstawia dowód numer pięćdziesiąt sześć w celu włączenia do

materiałów.

- Dowód oskarżenia numer pięćdziesiąt sześć zostaje dopuszczony.

Fong pokazuje dokument generał Ahmet.

- Może nam pani powiedzieć, co to jest?

- To drukowana kopia raportu utajnienia.

- Może pani wytłumaczyć, co to znaczy?

- Tak. Kiedy dokument zostaje zakwalifikowany jako informacja tajna ze względu na bezpieczeństwo narodowe, wydawany jest raport określający poziom, powód oraz okres jego utajnienia. Raport przybiera postać dokumentu elektronicznego, ale może zostać sporządzony w formie papierowej, jak w tym wypadku.

- Zgodnie z tym raportem określiła pani ów dokument jako ściśle tajny. Zgadza się?

- Tak.

- Dlaczego?

- Jak stwierdza raport, dokument zawiera fakty i informacje, które już są objęte klauzulą ścisłej tajności. Ponadto większość dowodów przytoczonych w dokumencie nie została zweryfikowana, w związku z czym może zostać błędnie zinterpretowana. Jak powiedziałam, jest to dokument wstępny, i jako taki zawiera liczne błędy. Stwierdziłam, że ujawnienie takich wrażliwych, a błędnych informacji doprowadziłoby do poważnego wyłomu w strukturach bezpieczeństwa.

- Pani generał Ahmet, czy zakwalifikowała pani ten dokument jako ściśle tajny, żeby zatuszować pogwałcenie prawa?

- Nie.

- Czy zakwalifikowała pani ten dokument jako ściśle tajny, żeby oszczędzić kłopotów jakiejś osobie lub organizacji?

- Nie, nie zrobiłam tego. Zakwalifikowałam ten dokument jako ściśle tajny wyłącznie ze względu na bezpieczeństwo narodowe.

Major Ogawa zaczyna krzyżowy ogień pytań, jak zawsze uprzejmy, ale nie okazuje śladu onieśmienia stopniem wojskowym świadka.

- Pani generał Ahmet, co panią skłoniło do stwierdzenia, że dokument zawiera liczne błędy?

- Nie wolno mi o tym mówić, majorze.

- Czy pani sama doszła do takiego wniosku, czy też przekonano panią, że dokument zawiera błędy?

- Ponownie, majorze, nie wolno mi omawiać tajnych spraw.

Major Ogawa zwraca się do sędzi Monteiro.

- Wysoki sędzie, rola hierarchii służbowej jest istotna dla naszej obrony. Z całym należnym szacunkiem dla pani generał Ahmet stwierdzenie, że dokument zawierał „liczne błędy”, jest niewystarczające, jeśli się nie wskaże, w jaki sposób to ustalono.

Na korzyść Monteiro trzeba powiedzieć, że przyjmuje ten argument skinieniem głowy.

- Pani generał Ahmet, proszę odpowiedzieć na pytanie majora Ogawy. Czy powiedziano pani, że dokument zawiera błędy?

Generał marszczy brwi. Być może nie chce brać tego wszystkiego na własne barki, gdyż przystaje na prośbę Monteiro.

- Tak, wysoki sędzie, powiadomiono mnie o tym.

- Dziękuję, pani generał.

Ogawa jest zbyt cwany, żeby triumfować. Pyta z obojętnym wyrazem twarzy:

- Kto panią poinformował, że dokument zawiera nie-ścisłości?

- Nie wolno mi tego ujawnić.

Ogawa odwraca się ponownie do sędzi, ale Monteiro oponuje:

- Tym razem nie zmuszę świadka do odpowiedzi. Może pan powołać ponownie tego świadka w charakterze świadka obrony i wtedy się zastanowimy, czy istnieje wystarczający powód do odbycia zamkniętego posiedzenia sądu.

- Tak jest, wysoki sędzie - mówi Ogawa. - Dziękuję, pani generał. Nie mam więcej pytań.

\*

- Stany Zjednoczone wzywają agentkę specjalną Eve England.

Widziałem jej nazwisko na liście świadków - agentka FBI, która prowadziła początkowe dochodzenie w Czarnym Krzyżu. Ma zapewne trzydzieści parę lat. Czarny spodniem leży idealnie na jej szczupłej, sportowej sylwetce. Wszedłszy, przystaje i omiata wzrokiem salę sądową, po czym zatrzymuje dłużej spojrzenie na osobach siedzących za stołem obrony. Prawdopodobnie ma czysto europejskie korzenie; jej jasną cerę pokrywają nieliczne piegi, a ciemnorude włosy są gładko zaczesane i zebrane w krótki koński ogon.

Eve England była kontaktem Kendricka w FBI; to agentka, która ostrzegła go, że wszystkie dowody wskazujące na Thelmę Sheridan zostały utajnione.

Kendrick ją znał. Skąd? Czy wykorzystał swoją siatkę kontaktów, żeby dotrzeć do niej? Czy znali się już wcześniej? Czy była - jest - członkinią organizacji, sieci anonimowych spiskowców, którzy zaplanowali i sfinansowali przeprowadzoną przez mój oddział misję „Brzask”?

Kendrick nie powiedział mi o organizacji niemal nic. Nie winię go za to. Wiedział, że w mojej głowie gości Czerwień, więc żaden sekret nie jest u mnie bezpieczny. Bardzo bym jednak chciał, żeby był nadal z nami. Wiedział sto razy więcej o ludziach, niż ja o nich wiem - o dystrybucji władzy, o tym, kto dotrzymuje ślubowania na swoim urzędzie, a kto uprawia tylko grę, żeby się wspiąć po trupach ponad rzeź.

Eve England jest świadkiem oskarżenia. Zastanawiam się, co by na to powiedział Kendrick.

\*

- Agentko England - mówi major Fong - czy mogłaby pani opisać swoje zadanie w Czarnym Krzyżu?

- Nigdy nie byłam w Czarnym Krzyżu. - Głos ma cichy i łagodny, każde słowo jest wyraźnie oddzielone. - Wstępne dochodzenie w Czarnym Krzyżu przeprowadził wywiad wojskowy. Moja rola polegała na skatalogowaniu dowodów na potrzeby FBI.

-I gdzie pani prowadziła swoją działalność?

- W tajnym ośrodku pod San Antonio.

- Do jakich dowodów miała pani dostęp? To znaczy, w jakiej były one postaci?

- Na dowody składały się dokumenty, zdjęcia, nagrania dźwiękowe, w tym zarejestrowane przesłuchania ocalałych. Odciski palców. Biologiczne próbki pobrane od zabitych. Próbki powietrza. Spis uzbrojenia...

- Czy można stwierdzić z przekonaniem, że w Czarnym Krzyżu zebrano przytłaczającą liczbę potencjalnych dowodów?

- Nie. Zebrano bardzo dużo dowodów, ale nie nazwałabym tej ilości przytłaczającą.

- Jaka relacja łączyła panią z pułkownikiem Stevenem Kendrickiem?

- Pułkownik Kendrick odwiedził mnie w miejscu mojej pracy czternastego listopada. Miał certyfikat bezpieczeństwa, pozwalający na pełen dostęp do informacji, a mój przełożony polecił mi odpowiedzieć na wszelkie jego pytania. Pułkownik Kendrick chciał poznać, w oparciu o zbadane przeze mnie dowody, moją interpretację zdarzeń, które doprowadziły do aktu terroryzmu nuklearnego z jedenastego listopada. Przedstawiłam mu słowne



podsumowanie, a piętnastego listopada skorzystałam z bezpiecznego łącza w celu przekazania mu wstępnego raportu w formie elektronicznej, zawierającego kluczowe dowody, protokoły przesłuchań oraz wypływające z tego moje wnioski.

- Czy była pani świadoma, pani England, że w tym czasie prowadzono równoległe dochodzenia dotyczące wydarzeń z jedenastego listopada?

- Tak, oczywiście, że o tym wiedziałam.

- Czy „wstępny raport”, dostarczony przez panią pułkownikowi Kendrickowi, zawierał wystarczające wytłumaczenie dla zdarzeń, które prowadziły do wypadków z jedenastego listopada?

- Wystarczające?

- Wystarczające dla udowodnienia winy uczestnikom spisku, pani England. Czy raport zawierał dowód pozwalający określić ponad wszelką wątpliwość tożsamość oraz role odegrane przez tych, którzy uczestniczyli w akcji terroru z jedenastego listopada, dowód tak przekonujący, że nie istniała możliwość, żeby pani wnioskiem zaprzeczyły późniejsze dowody, które mogły wyjść na jaw za sprawą setek innych toczących się śledztw?

England opuszcza brodę. Pochyla się nieznacznie.

- Czuję, że tak właśnie jest.

Eve England nie jest łatwo wstrząsnąć; to mocno irytuje Fong. Robi kilka kroków wstecz, a potem pyta:

- Jaka jest pani obecna sytuacja w FBI?

- Jestem zawieszona w związku z przesłuchaniami dotyczącymi wydalenia mnie ze służby.

- Dlaczego FBI chce panią zwolnić?

- Mój przełożony uważa, że przekroczyłam uprawnienia, dostarczając pułkownikowi Kendrickowi raport, o który prosił.

Kiedy sędzia pozwala obronie przesłuchać świadka, major Ogawa jest tak chętny, że od razu zrywa się na równe nogi i wychodzi na środek pomieszczenia.

- Pani England, czy poinformowała pani przełożonego, że pułkownik Kendrick poprosił o ten raport?

Jej blade usta wykrzywia drobny uśmiech.

- Nie od razu.

- Może to pani wyjaśnić?

- Zgromadziłam dla pułkownika Kendricka szereg dowodów. Zaczęłam nad tym pracować krótko po jego odjeździe i zajmowałam się tym przez całą noc. Piętnastego listopada o czwartej pięćdziesiąt dwie nad ranem przekazałam raport do bezpiecznej skrzynki mailowej, do której dostęp mieliśmy tylko ja i pułkownik Kendrick. Później tego dnia rozmawiałam z przełożonym. Wtedy poinformowałam go o raporcie. Był wyraźnie wściekły. Powiedział mi, że dopiero co otrzymał ostrzeżenie, że wiele dowodów zebranych w Czarnym Krzyżu zostało sfalszowanych.
- Czy powiedział, w jakiej formie przyszło to ostrzeżenie albo od kogo?
- Nie. Odmówił podania mi jakichkolwiek dalszych informacji.
- Co się stało potem?
- Zostałam natychmiast zawieszona, moje uprawnienia bezpieczeństwa anulowano, a mnie wyprowadzono z ośrodka.
- A raport, który zostawiła pani w „bezpiecznej skrzynce mailowej”? Co się z nim stało?
- Nie wiem, gdyż nie mogłam się już zalogować.
- Ale pułkownik Kendrick mógł mieć nadal dostęp do tego raportu?
- Uważam, że tak było.
- Dziękuję pani, agentko England.

Jej spojrzenie wędruje ponownie w moim kierunku, ale nie potrafię powiedzieć, czy jest zła, czy jedynie ciekawa. Analiza emocjonalna wskazuje, że w grę może wchodzić jedno i drugie.

Oczywiście Kendrick odebrał przesyłkę z dokumentami, którą dla niego przygotowała. Przekazał dowody Ahabowi Matugo w celu wykorzystania ich podczas procesu Thelmy Sheridan, chociaż teraz się wydaje, że nigdy do niego nie dojdzie, co czyni z Eve England tylko jeszcze jedną pozbawioną znaczenia ofiarę tajnej wojny, której celem jest ograniczenie politycznych skutków wydarzeń z jedenastego listopada.

\*

Jest wczesny wieczór. Siedzę w celi na pryczy, myślę o Eve England oraz o tym, co ona wie, i żywię nadzieję, że nikt na nią nie poluje, gdy szklane drzwi się odblokowują i odskakują na kilkanaście centymetrów. Schylam się, żeby podnieść z podłogi opakowanie po niedawno zjedzonej kolacji, gdyż spodziewam się, że przyszedł po nie jeden z żandarmów. Ale po drugiej stronie szyby pojawia się mój wujek, nadal w garniturze, który miał na sobie w sądzie.

Prawie się nie zatrzymując, przywołuje mnie zgiętym palcem i zamasyście kroczy korytarzem aresztu. Zostawiam tacę, podchodzę do drzwi i otwieram je szerzej. Cele są otwarte. Nolan, Moon i Tuttle wychylają się ostrożnie na zewnątrz, żeby się rozejrzeć. Potem, przywołane

przez wuja Brandona, pojawiają się także Harvey, Flynn i Jaynie. Wuj zawraca i rusza z powrotem. Właściwie się nie uśmiecha, ale na jego twarzy maluje się zadowolenie - spogląda jak wojownik, który odniósł ciężko wywalczone zwycięstwo.

- Mam wieści - ogłasza. - Nie odnoszą się bezpośrednio do waszej sprawy i być może nie mają znaczenia, ale chcieliście rozniecić ludzkie namiętności. Pragnęliście wymusić zadawanie pytań. Chcieliście doprowadzić do oficjalnych dochodzeń. No cóż, moje gratulacje, odnieśliście pierwsze zwycięstwo. Kilka minut temu na wspólnej konferencji prasowej z prezydentem prokurator generalny ogłosił, że przygląda się postępowaniu z dowodami śledztwa dotyczącego

Czarnego Krzyża, żeby stwierdzić, czy ingerowano w nie, fałszowano je lub manipulowano nimi w celu ochrony tożsamości niektórych spiskowców. Tylko czas pokaże, czy to będzie uczciwe i prawidłowe dochodzenie, ale to w końcu jakiś początek.

Potrzebujemy kilku sekund na przetrwanie tego, co powiedział. Potem łapię spojrzenie Jaynie i wymieniamy uśmiechy.

- Hoo-yah! - wykrzykuje Flynn, jakby natchniona przez Ransoma, a reszta powtarza okrzyk: - Hoo-yah!

Wuj Brandon mówi nam, że podobny aplauz rozlega się na National Mall. Jest tam około czterystu tysięcy ludzi, domagających się tego samego, czego żądamy my - pełnego i uczciwego rozliczenia. Wyobrażam sobie niedole, jakie znoszą podczas manifestacji: brak toalet, pryszniców, jedzenia i odpowiedniego transportu; zagrożenie ze strony przestępców, terrorystów i nadgorliwych sił porządkowych. Ale wytrwali na Mall w wystarczającej sile, żeby strach zmusił prezydenta do działania. To jest ich zwycięstwo.

\*

W sali sądowej nikt nie potwierdza zmiany politycznej.

Trzeci dzień procesu poszerza naszą wiedzę prawniczą, gdyż major Fong wzywa na miejsce dla świadków biegłych sądowych, żeby ci pouczyli oficerów składu sądu w sprawie znaczenia ich przysięgi, jako członków sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych, przedstawiając skutki ślubowania oficerów oraz żołnierzy pozostających pod ich komendą.

Ostatnim świadkiem jest brodaty profesor, wykładowca akademicki, zaimpregnowany w naukach politycznych. Ubrany jest w drogi garnitur, którym mój ojciec byłby zachwycony, i ma złote spinki przy mankietach, bo go na nie stać. Zwraca się do sądu z pewnością siebie człowieka przywykłego do tego, że jest słuchany.

- Na naszych żołnierzach spoczywa ogromna odpowiedzialność. Do ich codziennego obowiązku należy stanie na straży najbardziej śmiertelnej techniki, jaką zna ludzkość. Każdego dnia mają pod ręką broń, która może zniszczyć miasta, państwa, samą Ziemię, od której zależy życie nas wszystkich, ale my mamy zaufanie do pełnionej przez nich służby, gdyż

są podporządkowani hierarchii służbowej. Nie dajemy prawa poszczególnym żołnierzom do decydowania o tym, kiedy należy podjąć atak - kiedy czołgi powinny przetoczyć się przez miasto, kiedy artyleria ma zacząć ostrzelać, kiedy trzeba odpalić pocisk jądrowy. Takie decyzje muszą przejść drogę służbową. Kiedy żołnierz wyłamuje się z tego systemu zależności, żeby w oparciu o ograniczoną wiedzę podjąć samowolną akcję spod znaku straży obywatelskiej, to pogwałca prawo. Kiedy żołnierz zmawia się z obcą siłą, działając na przekór legalnym rozkazom wydanym przez jego przełożonych, to pogwałca prawo, a poza tym jest winny zdrady. Istnieją legalne sposoby wyrażania przez żołnierzy obiekcji wobec polityki. Samowolna akcja nie należy do nich.

Podczas swojej tury zadawania pytań major Ogawa sprawia wrażenie zadumanego.

- Jak wiem, występował pan jako biegły w senacie Stanów Zjednoczonych, gdzie wyraził pan swoją opinię na temat konfliktu w Boliwii i orzekł, że USA powinny się do niego włączyć.
- Wymagały tego cele strategiczne.
- Wiem także, że oświadczył pan później, że interwencja militarna Stanów Zjednoczonych w Sahelu była niezbędna z powodów humanitarnych.
- Tak jest nadal. Obecne zawieszenie broni się nie utrzyma.
- Jak wiem, na swoim uniwersytecie zajmuje pan subwencionowane stanowisko. Skąd pochodzą te fundusze?
- Nie wiem, co to ma wspólnego z moją naukową opinią-
- Proszę odpowiedzieć na pytanie. Skąd pochodzą dotacje?
- Z firmy Niall i Jenkins.
- A jaką działalność prowadzi Niall i Jenkins?
- To grono ekspertów zajmujących się problemami obronności.
- Czy jest to także firma lobbystyczna?
- Nie znam w wystarczającym stopniu wszystkich dziedzin działalności biznesowej Niall i Jenkins, żeby móc odpowiedzieć na to pytanie.

Ogawa kiwa głową.

- Dziękuję panu. Nie mam więcej pytań.

Major Fong nie ma więcej świadków. Oskarżenie kończy na tym i mamy przerwę na lunch. Jest dopiero czwartek, ale na popołudniowym posiedzeniu sądu major Ogawa rozpoczyna naszą obronę, powołując swojego pierwszego świadka, czyli mnie.

\*

-Poruczniku Shelley, od osiemnastego do dwudziestego listopada uczestniczył pan w akcji uprowadzenia Thelmy Sheridan, obywatelki amerykańskiej, oraz przekazania jej w ręce rządu obcego państwa. Czy to prawda?

- Tak, sir. Zgadza się.

- Dlaczego uznał pan takie działanie za niezbędne?

- Kiedy zdobyliśmy Czarny Krzyż, aresztowaliśmy Blue Parkera. Dowiedzieliśmy się od niego, że Thelma Sheridan jest główną postacią spisku Dnia Komy oraz że to ona dostarczyła PŁN...

- PŁN? - przerywa mi Ogawa.

- Prowizoryczne ładunki nuklearne, wykorzystane do złożenia w ofierze i zranienia...

- Sprzeciw - rzuca major Fong, wstając.

Mówię dalej:

- ..setek tysięcy ludzi oraz zniszczenia systemu łączności Stanów Zjednoczonych...

- Sprzeciw!

Sędzia chce po prostu mieć to z głowy.

- Oddalam.

Kontynuuję:

- Przeciwno Thelmie Sheridan nie wniesiono żadnych oskarżeń. Nie została zatrzymana. Nigdy oficjalnie o nic jej nie podejrzewano. Wszystko zostało zatuszowane. Zamiecione pod dywan przez skorumpowane struktury dowódcze i polityczne, zdecydowane chronić osobę, która od bardzo dawna była ich sponsorką...

- To pogłoska, wysoki sędzie! Zwykła plotka! Świadek nie ma wiedzy z pierwszej ręki na temat związków Thelmy Sheridan z nieznanymi osobami w strukturze dowódczej.

- Są nieznani - odparowuję - gdyż nikt nie ma odwagi ich wskazać ani przeprowadzić śledztwa w celu ich ujawnienia.

- Wysoki sędzie!

- Major Fong - mówi sędzia zmęczonym tonem - porucznik opowiada o kierujących nim motywach. Jego przekonania są kluczowe dla wyjaśnianej kwestii bez względu na to, czy miały one oparcie w faktach, czy też nie. Proszę pozwolić świadkowi kontynuować. Później

przyjdzie pora na poddanie analizie zasadności jego przekonań, jeśli będzie pani sobie życzyła zbadać dokładniej tę linię argumentacji.

Mówi to w taki sposób, jakby prowokowała Fong do zrobienia tego, do rozszerzenia zasięgu naszej sprawy, do zmuszenia świadków, żeby wymienili tych, którzy przekazali rozkaz milczenia, i do wyśledzenia źródła tego rozkazu.

Przysięgam, że Fong patrzy tęsknie na sędzię, jak gdyby się zastanawiała nad tym, jakby to było rzucić światło w mrok, być rycerzem w lśniącej zbroi, stającym do walki ze smokiem.

- Tak jest, wysoki sędzie - mówi cicho i wraca na miejsce.

Odwracam się ponownie w stronę ławy przysięgłych i próbuję wyjaśnić kolegom oficerom motywy naszego postępowania:

- Znaliśmy prawdę, ale z upływem dni stawało się jasne, że Thelma Sheridan wykorzystwała wpływy, żeby uniknąć dochodzenia i kupić sobie niewinność — kupić sobie czyste ręce. Wiedzieliśmy, że jest winna masowych morderstw i wywołania powstania, widzieliśmy dowody na to, ale wszyscy ludzie u władzy mieli w dupie...

- Poruczniku Shelley - ostrzega mnie sędzia - będzie się pan zachowywał przyzwoicie, gdy jest pan w mojej sali sądowej.

- Tak jest, wysoki sędzie. - Zwracam się ponownie ku ławie przysięgłych. - Milczenie jest zgodą. Mogliśmy byli nic nie zrobić. Mogliśmy byli współuczestniczyć w zмовie milczenia, wtedy jednak bylibyśmy tak samo winni, jak ludzie zaangażowani w spisek chroniący Thelmę Sheridan. Naszym obowiązkiem było bronić konstytucji Stanów Zjednoczonych. Jedyne sposoby, w jaki mogliśmy to uczynić, to pominąć hierarchię służbową i szukać sprawiedliwości tam, gdzie mogliśmy ją znaleźć - i tak zrobiliśmy.

Wuj Brandon nazywa to pieprzeniem fanatyka.

No i chuj. Naprawdę w to wierzę.

\*

Major Fong jednak nie skończyła ze mną. Kiedy przychodzi kolej na krzyżowy ogień pytań, bierze się w garść.

- Poruczniku Shelley, słyszeliśmy zeznania agentki specjalnej Eve England oraz generała Brittney Ahmet na temat dokumentu, który rzekomo łączy Thelmę Sheridan z nuklearnym terroryzmem z jedenastego listopada, ale ze względu na bezpieczeństwo narodowe materiał ten nie został przedstawiony jako dowód. Pytam: czy pan widział osobiście ten dokument?

- Nie. Nie widziałem.

- Wiedział pan o jego istnieniu przed podjęciem przez was misji „Brzask”?

-Tak. Pułkownik Kendrick powiedział mi o nim. Stwierdził, że zawiera niezaprzeczalne dowody.

- Czy to potwierdził? Podzielił się z panem treścią raportu?

- Nie. Nie prosiłem, żeby mi go pokazał. Nie było czasu.

- Ponieważ natychmiast rozpoczynaliście misję „Brzask”?

Waham się, bo wiem do czego to zmierza.

- Kiedy pułkownik Kendrick poinformował pana o istnieniu tego dokumentu, poruczniku Shelley?

- Siedemnastego listopada, kiedy odebrał mnie z Kelly Army Medical Center.

- O której to było?

- Koło południa.

- Wysoki sędzie, chciałabym dołączyć do materiałów dowód rzeczowy numer sześćdziesiąt dziewięć, zaświadczenie z Kelly AMC, które wskazuje, że porucznik Shelley wypisał się ze szpitala o jedenastej czterdzieści osiem. - Odwraca się do mnie. - O której godzinie pułkownik Kendrick poinformował pana o tym raporcie?

- Kilka minut po odebraniu mnie ze szpitala. Rozmawialiśmy w samochodzie.

- Zatem od chwili, w której usłyszał pan o istnieniu raportu, do momentu wymarszu na akcję miał pan z grubsza dwanaście godzin, ale nie poprosił pan nigdy o pokazanie mu dowodu winy Thelmy Sheridan?

Trwam w stanie kamiennego spokoju i odpowiadam jak robot:

- Nie poprosiłem o pokazanie mi go, ma'am.

- Czy było tak dlatego, że tamtej nocy, gdy w Czarnym Krzyżu aresztowano pana Parkera, usłyszał pan na własne uszy jego zarzuty pod adresem Thelmy Sheridan i uznał pan jego oświadczenie za wystarczający powód do podjęcia waszej operacji?

- Nie to było powodem, ma'am.

- Poruczniku Shelley, czy był pan w ogóle obecny przy tym, gdy Blue Parker wygłosił te zarzuty?

- Nie.

- Więc jak się pan o nich dowiedział?

- Od pułkownika Kendricka.

- Poruczniku, co pan robił przez owe mniej więcej dwanaście godzin, które upłynęły od czasu, gdy pułkownik

Kendrick powiedział panu o istnieniu wspomnianego dokumentu, a momentem, kiedy wyruszył pan z nim na misję „Brzask”?

- Spędziłem ten czas z moją dziewczyną, Lissą Dalgaard. Wiedziałem, że mogę jej nie zobaczyć nigdy więcej, i miałem rację...

- Dwanaście godzin, poruczniku! Podczas których nawet nie spróbował pan zweryfikować dowodów przeciwko Thelmie Sheridan! Chciał pan wierzyć w jej winę. Nie poprosił pan o pokazanie dokumentu, gdyż nie chciał pan żywić najmniejszych wątpliwości co do pańskiej kolejnej heroicznej wyprawy. Czy nie tak, poruczniku?

- Nie, to nieprawda...

- Dziękuję, poruczniku Shelley. Nie mam więcej pytań.

Ma je natomiast major Ogawa. W reakcji na przesłuchanie pyta:

- Dlaczego nie poprosił pan o pokazanie tego dokumentu, poruczniku?

- Nie musiałem tego robić, sir. Pułkownik Kendrick był moim dowódcą. Obaj uczestniczyliśmy w ataku na Czarny Krzyż. Ufałem mu, i to zaufanie nie było błędnie ulokowane. Dowody zawarte w owym raporcie okazały się wystarczające, żeby przekonać trybunał międzynarodowy do przyjęcia sprawy. Wystarczyłyby także do przekonania każdego amerykańskiego sądu, ale żadnemu amerykańskiemu trybunałowi nie pozwolono by nigdy, żeby się z nimi zapoznał.

\*

Przez całe popołudnie sąd wysłuchuje relacji wszystkich Po kolei członków Oddziału Apokalipsy. Przedstawiają motywacje swoich działań. Nikt nie okazuje żadnych wątpliwości ani żalu z powodu tego, co zrobiliśmy. Ostatnia zeznaje Flynn, a kiedy siedzi na miejscu dla świadków, szczerść jej zeznań przyprawia mnie o gęsią skórkę. Nawet dla mojego przychylnego ucha każdy z nas brzmi jak robozołnierz o wypranym mózgu - niewolniczy wyznawca kultu pułkownika Kendricka. Prawdziwi fanatycy, wszyscy z nas.

Co nie znaczy, że się myliliśmy.

\*

W piątek rano ubieramy się przed wyjściem do sądu, ale sierżant sztabowa daje nam znać, że jest opóźnienie. Zostajemy w celach. Jest jedenasta trzynaście, kiedy biorą nas w końcu na górę. Wprowadzają nas do pokoju konferencyjnego, gdzie siadamy wokół stołu. Po kilku



minutach wchodzi major Ogawa, zamykając za sobą drzwi.

- Jakiś problem? - pytam go.
- Nie. - Przechodzi przez pomieszczenie, jest wcieleniem stłumionej agresji. - Rzeczniczka procesowa chciała usunąć z naszej listy dwóch świadków, twierdząc, że ich zeznania nie mają związku z rozważaną sprawą, to znaczy z kwestią waszej winy bądź niewinności. Argumentowaliśmy, że ich uczestnictwo w wydarzeniach z dziewiętnastego i dwudziestego listopada stanowi bezpośredni dowód na istnienie zмовы między dowództwem wojskowym i firmą Vanda-Sheridan.

Pojmuję, kim muszą być nasi dwaj świadkowie.

- Piloci myśliwców. Ci, którzy próbowali nas zestrzelić... na rozkaz najemnika.

Ogawa kiwa głową.

- Sędzia odrzuciła wniosek rzeczniczki. Porozmawiamy z nimi dziś po południu.

\*

Pierwszy zostaje zaprzysiężony kapitan Aaron Gilroy z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Ma między trzydziestką a czterdziestką, biały, krzepko zbudowany, z blond szpeciną na głowie. Jak większość oficerów ławy przysięgłych oraz wszyscy za stołem obrony, ma dobrze wypraktykowany kamienny wyraz twarzy.

Major Ogawa zadaje kilka pytań w celu ustalenia tożsamości kapitana Gilroya i jego uprawnień. Potem pyta:

- Dwudziestego listopada uczestniczył pan w akcji w okolicy zachodniego wybrzeża Afryki, zgadza się?

- Tak, panie majorze. Działanie stanowiło część trwającej operacji. Przez wiele godzin towarzyszyłem samolotowi C-17, konkretnie Globemaster 8-7-Z, należącemu do Vanda-Sheridan.

- Kto przydzielił panu to zadanie, kapitanie?

- Mój bezpośredni przełożony, sir.

-I jak brzmiały pańskie rozkazy?

- Zmieniały się w czasie trwania misji. Początkowo miałem eskortować samolot i bronić go przed atakiem. Później miałem przekonać pilota C-17 do lądowania w bezpiecznej bazie.

- Czy ta perswazja podziałała, kapitanie?

- Nie, sir, nie podziałała.

- Kiedy pańskie dowództwo wydało rozkaz zestrzelenia samolotu?
- Moje dowództwo nie wydało takiego rozkazu, sir. Rozkaz przyszedł od innego wojskowego. Miałem strzelać na jego polecenie.
- Wiedział pan, kim jest ten wojskowy?
- Nie, nie wiedziałem. Jego tożsamość była zakodowana. Przypuszczałem, że należy do sił specjalnych.
- Co się stało, kiedy wystrzelił pan pocisk, kapitanie Gilroy?
- Sygnał zakłócający z obcego myśliwca przekierował raketę wymierzoną w C-17. W następstwie tego system naprowadzania pocisku wziął na cel cywilny odrzutowiec. Został on zniszczony, a wszyscy na jego pokładzie zginęli.

Mówi to głosem wypranym z emocji, ale na jego twarzy maluje się napięcie, ma puste spojrzenie i mocno zaciśnięte usta, co sugeruje skrywane uczucia. Poczucie winy? Gniewu? Wstydu? Zdrady? Chcę w to wierzyć. Kapitan Gilroy wystrzelił pocisk, który pozbawił Lisę życia. Chcę, żeby nienawidził tej świadomości. Pragnę, żeby wiedział, że został wykorzystany.

Następnie major Ogawa prezentuje nagranie wideo, żeby pokazać, że członek „sił specjalnych” był w istocie najemnikiem na żołdzie Vanda-Sheridan. Na mojej nakładce jarzy się ikona neuronetki, gdy ponownie słucham przymilnego głosu, zdecydowanego i sączącego jad:

„Ach, Lisso. Twój Jimmy nie kocha cię tak mocno, jak się nam zdawało. Chyba to okablowanie zmieniło mu serce w kamień”.

Może i tak.

Pieprzyć to.

\*

Następuje krótka przerwa, podczas której prawnicy odbywają naradę z sędzią. Potem Monteiro zwraca się do członków sądu:

- Jeśli państwo słuchacie uważnie, to zadacie sobie pytanie, kto polecił kapitanowi Gilroyowi przyjmowanie rozkazów od osób trzecich. Ta kwestia pozostaje poza zakresem dociekań tego sądu wojskowego i będzie przedmiotem odrębnego postępowania. Musicie jedynie rozważyć, czy obrona udowodniła ponad wszelką wątpliwość, że doszło do naruszenia hierarchii służbowej obowiązującej kapitana Gilroya, oraz ustalić związek, w jakim to pozostaje do argumentacji podniesionej przez obronę.

Od drugiego pilota wysłuchujemy tej samej historii. Potem robi się późno i spodziewam się, że sędzia ogłosi przerwę w postępowaniu do poniedziałku - kolejne dwa dni samotności w celi - ale nie doceniam hartu ducha Monteiro.

- Nadzwyczajne czasy wymagają nadzwyczajnych środków - oświadcza. - Spotykamy się jutro na sobotniej sesji sądu. Spodziewam się, że obrona będzie w stanie dokończyć swoje wystąpienie podczas posiedzenia porannego.

Ogawa jest zaskoczony.

- Jedną chwilę, wysoki sędzie. - Sprawdza coś na tablecie, a potem zerka na mojego wuja, który zaniepokojony kiwa głową. — Tak, wysoki sędzie, powinno się udać.

- Zatem po południu wysłuchamy mów końcowych. Czy to satysfakcjonuje wszystkich?

Prawnicy wyglądają na oszołomionych, ale się zgadzają. Jutro skończymy.

\*

Tej nocy leżę na pryczy w ciemnoczerwonym nocnym oświetleniu, malującym betonowe ściany bloku więziennego, i się zastanawiam:

Czy osiągnęliśmy to, co zamierzeliśmy? Czy rzuciliśmy wystarczająco jasne światło na korupcję i znowę, chroniące Thelmę Sheridan, żeby doprowadzić do dodatkowego śledztwa, do prawdziwego dochodzenia, któremu nikt nie ukreśli łba?

Możliwe.

Prokurator generalny złożył obietnicę.

Sędzia Monteiro zasugerowała, że dojdzie do śledztwa w sprawie źródła, z jakiego pochodziły rozkazy kapitana Gilroya.

Ale czy ktokolwiek zostanie kiedykolwiek rozliczony? Czy naprawdę cokolwiek się zmieniło?

Ludziom musi na tym zależeć albo to nie będzie miało znaczenia.

Jeśli Thelma Sheridan została naprawdę zabita w więzieniu w Trzecim Świecie, to jest bardzo prawdopodobne, że dowody przeciwko niej nie ujrzą nigdy światła dziennego, a zbiorowa pamięć o tym incydencie zostanie zatarta przez nowy skandal lub wyreżyserowany akt terrorystyczny, żeby - gdy kolejne dochodzenia zakończą się bez rezultatu - nikt tego nie zauważył.

Nikt nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności.

Jak zwykle.

\*

Sobotni poranek zaczyna się od zeznań eksperta, doprecyzowującego szczegóły naszej sprawy, a kończą go wystąpienia legalistów próbujących uzasadnić prawnie nasze czyny.

Mówiąc szczerze, ich argumenty nie przekonują nawet mnie.

\*

Monteiro ogłasza przedłużoną przerwę na lunch. Spotkamy się nie wcześniej niż o czternastej. Chudhuri czuje się bezpieczniej, gdy jesteśmy w areszcie, a nie na trzecim piętrze sądu, więc po naradzie z Nadzorem postanawia odprowadzić nas na dół. Zakładają nam kajdanki, a my tworzymy zwyczajową formację, otoczeni przez Chudhuri, Omer, Vitaliego i Phelpsa. Szybko i cicho idziemy służbowym korytarzem obok gabinetów sędziowskich. Pragnę, żeby któreś drzwi otworzyły się ponownie, żebym mógł zerknąć przez wysokie okna na zewnętrzny świat: na Mall i budynek Kapitolu.

Nie dzieje się tak. Docieramy do czekającej na nas windy, wchodzimy do niej i robimy w tył zwrot. Drzwi zaczynają się zamykać, gdy na drugim końcu korytarza pojawia się mój wujek.

- Starsza sierżant Chudhuri! - z ożywieniem woła teatralnym szeptem, śpiesząc w naszą stronę. - Proszę zaczekać! Zatrzymajcie windę.

Chudhuri wyciąga ramię, żeby przytrzymać drzwi, ale jest spięta. Wszystko, co odbiega od rutyny, budzi jej podejrzliwość.

- Omer, Vitali, na zewnątrz. Osłaniać korytarz.

Wychodzą i stają po obu stronach windy. Nie wyciągnęli pistoletów, ale ich dłonie spoczywają na kolbach.

- Panie Shelley - mówi Chudhuri zimnym, rozkazującym tonem - proszę się zatrzymać. Proszę nie podchodzić.

Nie chcę, żeby ten tydzień zakończył się widokiem wuja Brandona zastrzelonego w korytarzu sądowym.

- To nasz obrońca, sierżancie! Nie wróg!

Ignoruje mnie.

Wuj stoi jakieś dziesięć metrów przed windą, ze zmieszaną, a potem zirytowaną miną. Nigdy nie dawał się łatwo onieśmielić.

- Jimmy, mamy wiadomości. Chcemy, żeby wszyscy wrócili do sali konferencyjnej. Polecenie majora Ogawy.

- Muszę mieć potwierdzenie tego rozkazu - mówi Chudhuri. Potem słyszę, że porozumiewa się cicho ze swoim opiekunem. - Co się dzieje, do diabła? Co z procedurami? Tak, cholera, rozumiem! Naprzód marsz! - warczy. - Mamy wrócić do sali konferencyjnej.

\*

Major Ogawa chodzi tam i z powrotem przed drzwiami pomieszczenia, czekając, żebyśmy wszyscy do niego weszli.

- Zdejmijcie im kajdanki - zwraca się do Chudhuri.

Siadamy. Czując się jak opiekun, siadam obok wujka.

- Co się dzieje? - pytam go.

- Dobre wieści. - Kiwa głową Ogawie, gdy ten wchodzi do pomieszczenia.

Major idzie ku szczytowi stołu.

- Dowództwo wydało oficjalne oświadczenie - mówi, stojąc. - Thelma Sheridan żyje.

Rozlega się powszechne westchnienie ulgi, siedzący wokół stołu się uśmiechają. Tylko ja się martwię.

- Przebywa nadal w areszcie? Jest w Niameju?

- Tak.

Teraz moja kolej na wydanie westchnienia ulgi i kręcenie głową, podczas gdy wujek klepie mnie po ramieniu.

- Wyluzuj, Jimmy. Mówiłem ci, że to dobre wieści.

- Co się więc za tym kryło? Co się stało?

Odpowiada major Ogawa:

- W Niameju doszło do próby zamachu stanu. Sądzę, że Dowództwo wiedziało o tym przez cały tydzień, ale siedzieli cicho. Komunikat, który w końcu dzisiaj opublikowali, sugeruje, że doszło do zawiązania lokalnego spisku, ale pierwsza faza przewrotu była prowadzona przez obcych najemników, finansowanych z zagranicznych źródeł. Na początku działań zaatakowano więzienie, w którym przetrzymywana jest Thelma Sheridan, rozeszła się wieść, że została zabita. Być może Dowództwo wiedziało, że to nieprawda. Nigdy się nie dowiemy. Jednak siły lojalne wobec Matugo musiały być dużo lepiej zorganizowane, niż najemnicy się tego spodziewali, gdyż przewrót został stłumiony, a wszyscy jego uczestnicy zabici bądź aresztowani przed upływem dwunastu godzin. Gdy to się stało, Matugo dobrze się przyjrzał swoim strukturom dowódczym.

- A Sheridan? - pyta Jaynie. - Jaka jest jej sytuacja? Nadal ma dojść do jej procesu?

- Komunikat stwierdza, że próbowała uciec w czasie ataku na więzienie...

- Zatem zamach stanu to była przykrywka? — wybucha Harvey. - Vanda to zorganizował, co? Żeby ją stamtąd wyciągnąć?

Ogawa marszczy brwi, niezadowolony, że mu przerwano.

- Nic o tym nie wiem, specjalistko. - Potem uśmiecha się zimno. - Chociaż wygląda mi to na wiarygodne przypuszczenie.

- W jakim ona jest stanie? - powtarza Jaynie. - Jest ranna?

- Według oficjalnego komunikatu ma siniaki i ślady brutalnego traktowania. Pozwolono ją zobaczyć francuskiemu dyplomacie, który potwierdza, że Thelma Sheridan żyje, jest zdrowa i może stanąć przed sądem. Pomimo dramatycznych wydarzeń minionego tygodnia Matugo jest zdecydowany działać dalej, a międzynarodowy panel sędziowski zgodził się zebrać w poniedziałek, żeby rozpocząć proces.

- Hoo-yah!

Okrzyk wznosi się samorzutnie, przez nikogo niekoordynowany.

Thelma Sheridan stanie jednak przed sądem, a dotyczące jej dowody nie będą dłużej ukrywane za klauzulą najwyższej tajności.

\*\*\*

Gdy tylko sędzia Monteiro otwiera posiedzenie sądu, major Ogawa wstaje.

- Wysoki sędzie, na jaw wyszły nowe informacje, które odpowiedzą na pytanie zgłoszone wcześniej w tym procesie przez obronę. Chcielibyśmy prosić, żeby rząd przedstawił teraz te fakty sądowi.

Kwestie wypowiediane przez prawników i sąd zostały ustalone w trakcie wcześniejszej narady. Teraz przychodzi kolej na Monteiro, żeby odegrała swoją rolę:

- Proszę zgłosić do protokołu szczegółową prośbę obrony.

- Obrona wnosi, żeby rząd odczytał sądowi raport o obecnym stanie i sytuacji Thelmy Sheridan.

Fong ma dokument na blacie przed sobą. Obrona i rzeczniczka procesowa potwierdzają, że zapoznali się z najnowszym dowodem i zaaprobowali go; dokument zostaje dołączony do dowodów. Potem Fong odczytuje na głos wydane przez Dowództwo oświadczenie i jest po wszystkim.

Następują mowy końcowe. Są pełne pasji, ale twarze dwunastu oficerów tworzących skład sądu nie zdradzają niczego. O czternastej pięćdziesiąt wracamy do pomieszczenia konferencyjnego w oczekiwaniu na ich werdykt.

\*

Przez pierwsze pół godziny panuje nieustanny ruch. Nolan parzy kawę, której nikt nie pije. Chodzimy na zmianę do toalety. Łażę w kółko, aż Jaynie prosi mnie, żebym usiadł, kurwa, na dupie. Wszyscy zasiadamy wokół stołu. Harvey próbuje nas rozbawić kilkoma wisielczymi dowcipami, ale zbyt dosłownie odpowiadają sytuacji, więc rezygnuje. Pod koniec pierwszej godziny siedzimy w milczeniu, porażeni strachem, co do którego udajemy, że go nie czujemy.

To czekanie jest gorsze od każdej misji, w jakiej brałem udział. Moja neuronetka miga słabo. Marszczę brwi z tego powodu, a potem odczuwam dziecienną radość, kiedy blednie i znika, zadowolony, że sam daję sobie z tym radę.

Mija kolejne pół godziny. Potem otwierają się drzwi Wychyła się zza nich Chudhuri.

- Macie wrócić na salę sądową.

Serce mi wali, gdy podrywam się zbyt szybko; nogi krzesła zgrzytają. Powstrzymuję Chudhuri gestem dłoni.

- Daj nam minutkę.

Kiwa głową za przezroczystą przyłbicą.

- Jedna minuta, sir.

Cofa się i zamyka za sobą drzwi.

Odwracam się do moich żołnierzy siedzących nadal wokół stołu. Milczą, przyglądając mi się niespokojnym wzrokiem. Co mogę im powiedzieć? Mamy zrobić krok w przepaść, a ja nie mogę nic na to poradzić.

Niemniej próbuję znaleźć odpowiednie słowa. Mam nadzieję, że coś znaczą.

- Chcę, żebyście pamiętali, że wróciliśmy z Niameju z konkretnego powodu. Mogliśmy byli tam zostać, otrzymać azyl, stworzyć sobie nowe życie, ale postanowiliśmy wrócić nie dlatego, że oczekiwaliśmy nagrody, tylko dlatego, że taki był nasz obowiązek. Bez względu na to, co się stanie na sali sądowej, bez względu na wyrok, wiedzcie, że wracając, postąpiliśmy słusznie. Bądźcie z tego dumni dzisiaj i w przyszłości, bez względu na wszystko, co się jeszcze stanie.

Nolan wstaje i obciąga na sobie mundur.

- Jasne, poruczniku - mówi ponurym głosem.

Tuttle powtarza to samo, a reszta oddziału podnosi się z miejsc. Moon i Flynn wyglądają na przerażonych, ale mruczą:

- Tak jest, sir.

A potem ku mojemu zaskoczeniu Harvey odchodzi od stołu, prostuje się i salutuje z szacunkiem.

- To był zaszczyt, sir.

Oddaję honory.

Zauważam, że Jaynie obserwuje mnie zamyślonym wzrokiem.

- Dziwne, nie? - pyta. - Że Czerwień nie była częścią tego procesu, że nie została nigdy wspomniana w trakcie wystąpień?

- To nic dziwnego. Mieli pułkownika Kendricka, żeby zrobić z niego kozła ofiarnego. Po co komplikować sprawy, mieszając do tego Czerwień?

- Więc uważa pan, że ona wciąż tam jest?

- Wiem, że tak, Jaynie. Nie zniknie.

- Mam nadzieję, że się pan myli, sir, ale cokolwiek będzie, zrobiliśmy to, co musieliśmy. - Ona też salutuje. - Bez żalu.

Chór zrezygnowanych pomruków powtarza opinię; wszyscy oprócz mnie:

- Bez żalu.

Bez żalu.

Odwracam się i otwieram drzwi. Tuż za nimi stoi Chudhuri, oparta plecami o ścianę i jakby obojętna, w kamizelce i gnatach, ale kiedy obraca się do mnie, na jej twarzy za przezroczystą przyłbicą widać wyraz niepokoju.

- Dziękuję za dany nam czas, sierżancie. Możemy iść.

\*

Mój ojciec jest na miejscu, w pierwszym rzędzie, jak każdego innego dnia. Obok niego siedzi matka Harvey, przybyła z Pittsburgha. Wchodzimy rządkiem za stół obrony i zajmujemy miejsca po to tylko, żeby wstać ponownie, gdy wchodzi sędzia, a po niej grupa oficerów obarczonych zadaniem wydania werdyktu w naszej sprawie.

Przyglądam się uważnie ich twarzom, gdy zajmują miejsca w ławie przysięgłych. Widzę mieszane uczucia, żal, urazę, długotrwały gniew. Nie patrzą na siebie ani na nas.

Wolno nam usiąść, a potem sędzia Monteiro zwraca się do oficerów:

- Czy sędziowie uzgodnili werdykt oraz uzasadnienia odnośnie do każdego punktu oskarżenia?

Wstaje major, siedzący w rogu ławy przysięgłych, najbliższym stołu sędzi.



- Tak jest, wysoki sędzie.
- Jest pan gotowy odczytać sądowi ustalenia?
- Tak, wysoki sędzie.
- Oskarżeni i obrońcy, proszę wstać.

Rozlega się szuranie, gdy się podnosimy. Poza tym, pomimo licznie zgromadzonej publiczności, w sali sądowej panuje dziwna cisza. Major czyta z tabletu trzymanego w dłoniach:

- Uznajemy, że w dniach od osiemnastego do dwudziestego listopada porucznik James Shelley uczestniczył w spisku mającym na celu porwanie Thelmy Sheridan oraz że spisek ten był nielegalny.

Za moimi plecami wybucha osobliwy chór cichych okrzyków zaskoczenia. Jedne są triumfalne, inne nacechowane udawaną rozpaczą. Wszystkie mnie irytują. Nie ma powodu do oburzenia czy zaskoczenia. Mój ojciec o tym wie. Milczy jak głaz, gdy major wbija kolejne gwoździe do trumny:

- Fakty w tej sprawie zostały potwierdzone przez oskarżonego, w związku z czym uznajemy porucznika Shelleya winnym spiskowania, zgodnie z artykułem osiemdziesiątym pierwszym; winnym zniszczenia mienia wojskowego, zgodnie z artykułem sto ósmym; winnym czterech zabójstw, zgodnie z paragrafem trzecim artykułu sto osiemnastego, dotyczącym aktu sprowadzenia bezpośredniego zagrożenia dla osób trzecich; winnym kradzieży w obecności poszkodowanego, z użyciem siły bądź przemocy, mienia o wartości przekraczającej dwieście dwadzieścia milionów dolarów, zgodnie z artykułem sto dwudziestym drugim; winnym czynnej napaści z użyciem niebezpiecznego narzędzia, zgodnie z artykułem sto dwudziestym ósmym; winnym porwania Thelmy Sheridan i Ilimy LaSalle oraz naruszenia właściwego porządku i dyscypliny sił zbrojnych, zgodnie z ogólnym artykułem sto trzydziestym czwartym.

Major przerywa. Na jego policzkach lśni pot. Przelyka kilka razy ślinę, a potem czyta dalej, nie podnosząc wzroku znad tabletu:

- Uznajemy, że w dniach od osiemnastego do dwudziestego listopada sierżant Jaynie Vasquez uczestniczyła w spisku mającym na celu porwanie Thelmy Sheridan i że ten spisek był nielegalny...

Czyta te same oskarżenia i uzasadnienia, które odczytał już w moim wypadku, pomijając jedynie zniszczenie mienia wojskowego. Następnie odczytywany jest werdykt w sprawie sierżanta Nolana, a potem Harvey, Tuttle'a i Moona, zgodnie z malejącymi stopniami wojskowymi. Ostatnia jest Flynn. Patrzą na nią, stojącą naprzeciwko mnie, po przekątnej stołu w kształcie litery L. Jest spokojna, ale spojrzenie ma nieobecne. Myślę, że już odjechała.

Major kończy. Podnosi wreszcie wzrok, ale nie patrzy na nas. Spogląda na sędziego. Monteiro kiwa współczująco głową w jego stronę.

- Dziękuję, majorze. Czy werdykt był jednomyślny?

- Nie, wysoki sędzie, nie był.

Wśród widzów rozlega się kolejny pomruk zaskoczenia. Sędzia nie wygląda na zadowoloną.

- Co do werdyktu w sprawie spisku, czy sędziowie zgodzili się jednogłośnie, że był on nielegalny?

- Nie, wysoki sędzie, nie było tak.

Monteiro patrzy wilkiem na przysięgłych.

- Wracając do waszego werdyktu odnośnie do spisku, czy przynajmniej trzy czwarte składu sędziowskiego zgodziło się, że spisek był nielegalny?

- Tak, wysoki sędzie, tak było.

- Dziękuję za orzeczenie. Oskarżeni mogą usiąść. Sąd wojskowy zbierze się ponownie w poniedziałek o dziesiątej rano w celu ogłoszenia wyroku. Proszę, żeby publiczność pozostała na miejscach, aż woźny pozwoli jej opuścić salę. Sąd ogłasza przerwę.

- Wszyscy wstać!

Sędzia Monteiro opuszcza swoje miejsce, a toga faluje wokół jej nóg, gdy wychodzi ze złością.

Odwracam się. Ojciec stoi za mną. Twarz ma mizerną: stał się postarzałym, wyczerpanym człowiekiem. Bez słowa wyciąga ramiona ponad barierką; obejmujemy się.

Potem pora się rozstać.

\*

Kiedy wychodzimy, nie czeka na nas Chudhuri i jej oddział żandarmów; zastąpiło ich czworo nieznajomych: dwóch mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy w ciemnych garniturach, z wizorami na pozbawionych wyrazu twarzach. Stojąc parami, tworzą przejście, na którego przeciwległym końcu znajdują się drzwi gabinetu sędzi Monteiro. Zbijamy się w splątaną grupę oskarżonych i ich obrońców, a wtedy dwie najbliższe nam osoby pokazują odznaki, z których wynika, że są agentami Secret Service.

Wcale się tego nie spodziewałem i nie jestem w nastroju na niespodzianki. Ogarnia mnie złość i przepycham się obok Nolana, gotowy... sam nie wiem na co. Jaynie podąża za mną, dotykając lekko palcami mojego ramienia, ale nie wiem, czy chce mnie ostrzec, czy też dać mi znak, że mnie wesprze. Nie mam jednak okazji się o tym przekonać, gdyż ster spraw przejmuje major Ogawa.

- Co się dzieje, do diabła? - pyta, przepychając się obok mnie.

Drzwi gabinetu Monteiro otwierają się; wychodzi stamtąd kobieta w wojskowym mundurze. Plakietka identyfikacyjna ujawnia, że mamy przyjemność z major Perkins. Otwiera drzwi na oścież.

- Niech wszyscy wejdą.
- O co chodzi? - nalega Ogawa.
- Obrońcy mogą być obecni - przyzwala Perkins. - Proszę wejść i zająć miejsca.

Jaki mamy wybór? Wracać do celu na cały weekend? Postanawiam nie rezygnować z kolejnej okazji wysłuchania gróźb ze strony prezydenta, idę więc za Ogawą i wchodzę do gabinetu, tuż przed Jaynie.

Na ścianach wiszą obrazy: niesamowicie piękne motywy kwiatów i liści. Na regałach zbudowanych przypuszczalnie dla pomieszczenia książek stoją pamiątki i rośliny doniczkowe. Tuż za drzwiami znajduje się owalny stół konferencyjny, zabójczony tak, żeby udawał palisander, a na wprost nas wielkie, pasujące do niego biurko, ustawione bokiem do okna, żeby Monteiro miała widok na Kapitol, kiedy żaluzje są podniesione. Teraz są opuszczone, popołudniowe słońce sączy się przez otwory, przez które przeciągnięte są linki, oraz wokół krawędzi zasłon. Monteiro wiesza togę w szafie za biurkiem. Zamyka z trzaskiem drzwi i odwraca się do nas.

Jej gościem nie jest prezydent.

Obok zawieszono na ścianie monitora, w skromnej części klubowej przed biurkiem, stoi sekretarz obrony. Jest mężczyzną średniego wzrostu, szczupłym, dobrze ubranym, o siwych, krótko ostrzyżonych włosach. Na nasz widok ściąga gęste brwi z ponurą dezaprobatą.

- Siadać - rozkazuje.

Major Perkins pokazuje gestem, żebyśmy zajęli miejsca wokół stołu.

Idę na przeciwległy kraniec, skąd widzę monitor. Przekaz z audytorium prasowego Białego Domu. Są tam blogerzy i medioci, ale mównica jest pusta.

Siadam, a obok mnie zajmuje miejsce Jaynie. Wuj ściska mnie za ramię, a potem siada z mojej drugiej strony, natomiast sędzia Monteiro podnosi z biurka plik dokumentów. Papierowych. Sekretarz obrony przygląda się w milczeniu, gdy Monteiro mówi:

- Czas jest bardzo ważny. Mamy najwyżej dziesięć minut. Słuchajcie zatem uważnie i nie każcie mi niczego powtarzać.

Przechodzi przez gabinet. Major Perkins wychodzi jej na spotkanie i odbiera od niej dokumenty.

Prezydent udzielił wam wszystkim natychmiastowego ulaskawienia, warunkowanego waszą

zgodą na zapisy umów, które major Perkins teraz rozdaje.

Szok i nadzieja zderzają się, skutkując milczeniem. Słysząc jedynie szelest papieru, gdy Perkins kładzie przede mną dwukartkowy dokument. Mój wujek podnosi go, zanim jestem w stanie przeczytać choćby pierwszą linijkę. Następne kartki lądują przed Jaynie. Kolejne przed Nolanem, Tuttle'em i Harvey. Major Ogawa podprowadza dokument Moonowi. Ostatni egzemplarz otrzymuje Flynn. Siedzi naprzeciwko mnie i sprawia takie wrażenie, jakby nie całkiem rozumiała, co się dzieje; podnosi jednak papiery i czyta, marszcząc brwi.

Sekretarz obrony wysuwa się naprzód.

- Należy podkreślić - mówi, a każdą sylabę rzeźbi jego gniew - że prezydent nie udziela wam ułaskawienia, kierując się waszym dobrem, ani w żaden sposób nie sugeruje to jego aprobaty dla tego, co uczyniliście. Kieruje się wyłącznie dobrem kraju. Przeczytajcie dokumenty i podpiszcie je. Takie, jakie są. Nie będzie żadnego negocjowania warunków. - Kłania się sztywno Monteiro. - Pani pułkownik... -Po czym wychodzi.

Sędzia patrzy za nim z grymasem irytacji na twarzy. Kiedy drzwi za sekretarzem obrony się zamykają, odwraca się do nas.

- Prezydent istotnie działa dla dobra kraju.

Kieruje małego pilota w stronę okien, przez co żaluzje podnoszą się z cichym elektrycznym szumem. Wstaję, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Na trotuarach Constitution Avenue

i dalej, na Trzeciej Ulicy i trawnikach przed stawem zwierciadlanym, znajduje się tłum, złożony z dziesiątków tysięcy ludzi. Nie sięgam wzrokiem w głąb Mall, ale nie wątpię, że widzę jedynie skraj dużo większego zgromadzenia. Monteiro potwierdza moje przypuszczenie.

- Siedemset tysięcy ludzi. Większość z nich to zajadli zwolennicy waszej sprawy, domagający się waszego uwolnienia. Biometryka tłumu sugeruje wysokie prawdopodobieństwo wybuchu zamieszek, jeśli zostaniecie skazani. Jeżeli dojdzie do rozruchów, istnieje duża szansa, że zginą setki, może tysiące ludzi. Waszym obowiązkiem jest temu zapobiec.

Opuszcza żaluzje. Jaynie szturcha mnie w ramię, przypominając mi, żebym usiadł.

Monteiro mówi dalej:

- Publiczność, która przysłuchiwała się dzisiejszemu posiedzeniu sądu, jest obecnie przetrzymywana w sali sądowej, żeby - w oczekiwaniu na wynik tej narady - zapobiec upublicznieniu wyroków w waszej sprawie. Gdy tylko podpiszecie zgody, prezydent ogłosi wyroki skazujące jednocześnie z ułaskawieniem was, co powinno zadowolić waszych stronników. Zostało wam siedem minut.

- Czy te dokumenty są jednobrzmiące? - pyta wuj Brandon, nie podnosząc znad nich wzroku.

- Są identyczne z wyjątkiem nazwisk poszczególnych osób, stopni wojskowych oraz

paragrafu dziewiątego, na temat mienia wojskowego, co dotyczy pana Shelleya.

Pan Shelley.

To ja. Już nie oficer. Wiedziałem, że do tego dojdzie, ale mimo to mam wrażenie, jakby rzeczywistość dostała wymówienie... a ja kopa prosto w brzuch. Podnoszę wzrok i widzę Flynn, która ze strachem w zielonych oczach patrzy na mnie przez szerokość stołu.

- Będzie dobrze - szepczę do niej.

Kiwa głową, po czym spogląda ponownie na leżący przed nią dokument. Wuj przesuwa ku mnie pierwszą kartkę, zabierając się do czytania drugiej.

Wtedy włącza się podejrzliwość i słyszę ponownie w głowie głos Monteiro: „Paragraf dziewiąty, na temat mienia wojskowego”. To dotyczy moich protez. Odbiorą mi je.

Skaczę spojrzeniem na dół strony, ale nie ma na niej paragrafu dziewiątego. Pochyliłam się do wujka i szepczę: -Co w nim jest?

Przechyliła nieznacznie głowę.

- Dużo rzeczy, ale nic nieuczciwego. Daj mi skończyć czytać.

- Zabiorą mi nogi? - dociekam.

Jego usta wykrzywia drobny, wilczy uśmiech.

- To byłaby bardzo zła reklama, Jimmy. - Nie szepcze, nie stara się niczego ukryć. - Ten dokument ma na celu ograniczenie szkód. Prezydent nie chce zrobić z ciebie większego męczennika, niż już nim jesteś.

- Nie chce się także wydać słaby - dodaje major Ogawa z drugiej strony stołu. Przekłada trzymane przez siebie papiery. - Tutaj jest podsumowanie warunków.

Wszyscy patrzą na niego, żeby wytłumaczył, co oznaczają.

- Po podpisaniu umów zostaniecie wydalen z wojska ze skutkiem natychmiastowym. W waszych aktach będzie odnotowane honorowe odejście. Będziecie musieli przejść instruktaż, tutaj, w budynku sądu, podczas którego zostaniecie poinformowani o tajnym charakterze tego, co wiecie. Potem będziecie musieli wziąć udział w dwudziestominutowej konferencji prasowej, niewątpliwie po to, żeby udowodnić światu, że nadal żyjecie, i że rząd was po cichu nie usunął. Zostaniecie pozbawieni żołdu, licząc od osiemnastego listopada. Będzie wam wolno zatrzymać neuroskalpy, które zostają uznane za medyczne urządzenia terapeutyczne. ..

- A ty- przerywa mój wujek, patrząc na mnie - zatrzymasz wszelkie urządzenia, które znajdują się obecnie na tobie lub stanowią część ciebie.

Czuję ulgę, jasne, ale jest tak, jakbym uczestniczył w walce. Mózg przeskakuje po prostu do

następnej kwestii.

- Wojsko zrezygnuje z dostępu do mojej nakładki?

Potakuje.

- Raz na zawsze znikną z twojej głowy.

Lissa byłaby szczęśliwa z tego powodu.

- Czy to załatwia sprawę mojego pierwszego przestępstwa? - Wuj wie, o co mi chodzi: mój kontrakt wojskowy zawieszał wyrok za dokonanie nielegalnego nagrania wideo.

- Było, minęło.

- Trzy minuty - zauważa pułkownik Monteiro.

Niezmieszany Ogawa przekazuje Moonowi trzymany przez siebie dokument.

- Radzę wam to podpisać.

Gdy pióra zaczynają skrobać, odsuwam pierwszą kartkę mojej umowy. Robię swoje, udając, że czytam drugą stronę. W końcu skarcono mnie publicznie za nieczytanie dokumentów, ale słowa, które widzę, nic dla mnie nie znaczą. Szkoda, że nie mam w głowie lapidarnego głosu mojej opiekunki Delphi, która przeczytałaby mi głośno kontrakt.

Wuj Brandon wyciąga do mnie pióro.

- Podpisz to, Jimmy.

- Zrób to, Shelley - mówi Jaynie. - Jedyne, z czego rezygnujesz, to męczeństwo.

Sądzę, że Jaynie i ja będziemy musieli załatwić między sobą kilka spraw, najlepiej w walce wręcz.

Biorę pióro.

Po drugiej stronie stołu Flynn przygryza wargę, koncentrując się na złożeniu podpisu; prawdopodobnie nie podpisywała niczego od czasu, gdy została zwerbowana.

Wszyscy już podpisali. Patrzą na mnie.

Kładę swój autograf.

Moja kariera w wojsku Stanów Zjednoczonych dobiegła końca.

**OKRES  
PRZEJŚCIOWY**

---

REPERKUSJE

Głos dobiega z monitora zawieszzonego na ścianie w części klubowej gabinetu sędzi Monteiro.

Jestem teraz cywilem, przeciwko któremu nie toczy się żadne postępowanie, nie muszę więc nikogo pytać o pozwolenie. Po prostu podnoszę się, zanim milkną oklaski, i stoję przed ekranem. Oddział naśladuje mnie, gromadząc się za mną, z wyjątkiem Harvey, która woli nadal siedzieć w jednym z tapicerowanych foteli.

Jest młodym prezydentem, ale i tak udaje mu się wyglądać srogo i po ojcowsku, gdy stoi na podium w objęciach jaskrawej czerwieni, bieli i błękitu dwóch amerykańskich flag.

- W sprawie Oddziału Apokalipsy zapadł wyrok skazujący...

Rozlega się zbiorowe westchnienie zgromadzonych dziennikarzy, szmer pomruków. Prezydent mówi dalej swoim wyrazistym głosem:

- ...ale przywilejem prezydenta jest udzielanie ułaskawień i dzisiaj skorzystałem z tego prawa wobec wszystkich siedmiorga członków Oddziału Apokalipsy, zważywszy na ich wzorową służbę podczas akcji w Czarnym Krzyżu, a także w uznaniu ich patriotyzmu. Nie rozgrzeszam — nie mogę tego uczynić - tej tak zwanej misji „Brzask”, ale w niezwykłych czasach trzeba niekiedy sięgnąć po nadzwyczajne środki, i to właśnie dzisiaj uczyniłem.

Odwraca się i wychodzi. Wstrząśnięci dziennikarze zrywają się na równe nogi, wykrzykując pytania w stronę oddalających się pleców prezydenta, ale on nie wraca.

Na Mall wybuchają okrzyki entuzjazmu; grzmiący dźwięk, niesiony przez wibrację grubych szyb okien, sięgających od sufitu do podłogi. Ktoś musiał wziąć pilota, gdyż żaluzje się podnoszą i patrzymy na feerię radości - pompujące w powietrzu pięści, obejmujących się ludzi, z których wielu jest w maskach.

To powinno dotyczyć nas, ale jesteśmy jedynie symbolem. To sięga głębiej. Chodzi o wolę narodu; o wolę tych ludzi, żeby odzyskać drobną część władzy, która z prawa im się należy, i żeby zażądać zmian.

\*

Major Perkins stara się przyśpieszyć bieg spraw.

- Nie macie już prawa nosić mundurów - informuje nas. - Dostarczono wam cywilne ubrania.

Zwala na stół białe koszule i czarne spodnie, po komplecie dla każdego.

- Pieprzyć to - mówi Harvey, rozpinając guziki bluzy mundurowej. - Wyjdę w T-shircie, ale nie włożę tych szmat.

Jaynie z ponurą miną podnosi koszulę z jej nazwiskiem i trzyma ciuch na wyciągnięcie ręki,



jakby to był niestabilny ładunek wybuchowy.

- Zostaw to, Jaynie. - Zwracam się do Perkins. - Niech pani zatrzyma te rzeczy. Podpisaliśmy wasze umowy. Chcę zwrotu naszych ruchomości, w tym ubrań, które mieliśmy na sobie, kiedy pozwoliliśmy się aresztować.

Perkins zerka na Monteiro, ale nie znajduje u niej zrozumienia.

- Proszę nie patrzeć na mnie wzrokiem zranionej major Perkins. Jest pani prawnie zobowiązana do zwrotu wszystkich rzeczy osobistych odebranych podczas zatrzymania.

-Tak jest, ma'am.

Odsuwa się. Korzystając z wizora, naradza się z kimś ściszym głosem, po czym informuje nas:

- Rzeczy będą tutaj za kilka minut.

Monteiro wraca za biurko i opada na fotel.

- Rozgoście się - mówi. - To i tak nie jest mój gabinet. Należał do sędziego Kohna, który miał pecha znaleźć się w Dniu Komy pod drugiej stronie rzeki, w Alexandrii.

Monteiro jest pułkownikiem. Zaledwie kilka minut temu znaczyło to dla mnie dużo więcej. Teraz już nie. Podchodzę do biurka i pytam ją:

- Gdybyśmy w poniedziałek wrócili na salę sądową, skazałaby nas pani na dożywocie, prawda?

Przez chwilę przygląda mi się uważnie, a potem potwierdza skinieniem głowy.

- Nie miałabym wyboru, panie Shelley.

- Kiedy zapadł werdykt, nie była pani zadowolona z jego niejednomyslności.

- Pomimo moich instrukcji dwójka sędziów nie zagłosowała za tym, żeby was skazać. Mylili się. Nie mieliście podstaw prawnych dla tego, co zrobiliście. Tamtych dwoje kierowało się emocjami, nie zważając na przepisy. Taka była strategia Ogawy: odwołać się do emocji, do czystego patriotyzmu. - Podnosi głos. - Mam rację, majorze?

- Tak, pani sędzio - woła ze swojego miejsca pod oknem.

-I niemal się udało. — Monteiro bębni palcami po blacie biurka. - Ludzie mają dość, ale musimy ufać naszym oficerom. To powinien być jednomyslny werdykt, co przydałoby większego znaczenia ułaskawieniu was przez prezydenta.

- Pani sędzio? - odzywam się, przekonany, że błędnie zrozumiałem. - Zdawało mi się, że jest pani przeciwna idei ułaskawienia?

- Nie, panie Shelley. Wasz czyn dał nadzieję zszokowanym ludziom. W głębi duszy wszyscy jesteście rewolucjonistami albo chcielibyśmy nimi być. Mit kulturowy głosi, że kilka jednostek może doprowadzić do zmiany. Oddział Apokalipsy to zrobił. Nie wiem, czy to będzie trwała zmiana. Mam nadzieję, że tak. Jednak w grze uczestniczy wiele sił. Prezydent nie jest niewinny, ale wierzę głęboko, że dobro kraju leży mu naprawdę na sercu. I wierzę, że miał rację, ulaskawiając was ze względu na waszą służbę oraz w uznaniu powodujących wami motywów... chociaż już nie dlatego, żeby uniknąć scen ulicznych ze wzburzonym tłumem na Mall.

Nie ma scen ze wzburzonym tłumem. Za oknem rzeka ludzi, z których połowa nosi maski, płynie Trzecią Ulicą, może w stronę metra lub przystanków autobusowych. Wszyscy są zdyscyplinowani i cierpliwi. W okolicy widać jedynie kilka aut i panuje dziwny spokój.

Budzi się podejrzliwość.

To się wydaje niemal... wyreżyserowane.

Ale w końcu, po tygodniu demonstrowania, manifestanci są być może zwyczajnie zadowoleni ze zwycięskiego powrotu do domów.

- Kiedy zaczęła się ta moda na maski? - pytam, nie zwracając się do nikogo konkretnie.

- Parę miesięcy po Komie - odpowiada Ogawa z przebiegłym uśmiechem. - Środki bezpieczeństwa były... no cóż, raczej surowe, więc grupka patriotów zaczęła nosić maski w akcie symbolicznego protestu przeciwko monitoringowi ulicznemu i identyfikowaniu ludzi dzięki programom rozpoznawania twarzy. Pomysł rozszedł się w sieci i domowej roboty maski stały się modne, przynajmniej tutaj, w Dystrykcie Kolumbii. Także w Nowym Jorku. I w kilku innych wielkich miastach. Oczywiście Departamentowi Bezpieczeństwa Krajowego to się nie podoba. Spowalnia proces identyfikacji, starają się więc zdelegalizować publiczne zasłanianie twarzy, Ale pokażę wam, co naprawdę ich wkurza.

Bierze teczkę, z której wyjmuje coś przypominającego szorstką, opalizującą tkaninę. Po jej powierzchni przemykają tęcze wzory.

- Najnowszy model. Niemiecka robota.

Naciska włącznik na krawędzi i nagle to już nie jest tkanina. Przybiera solidny kształt ludzkiej twarzy. Wszyscy zbierają się wokół nas, gdy Ogawa podaje mi maskę. Przesuwam po niej czubkami palców. Jest wykonana z malutkich łusek, po których przepływają obłoki barw.

- Moment... czy te łuski się ruszają?

Przysięgam, że czuję, jak ich krawędzie kłują mnie w koniuszki palców.

- Mogę zobaczyć? - pyta Jaynie.

Podaję jej maskę, a Ogawa wyjaśnia:

- Łuski poruszają się cały czas, zmieniając barwy i kształt twarzy. To utrudnia także identyfikację w podczerwieni.

Jaynie trzyma maskę w górze, patrząc na nią podejrzliwie.

- W Sahelu nie musieliśmy widzieć twarzy, żeby dokonać pozytywnej identyfikacji. Wystarczyły dane kinetyczne i biometryczne całej sylwetki.

Podaje maskę Harvey, która zauważa:

- Biometryka ciała wystarcza jedynie wtedy, gdy wcześniej masz odpowiednie dane. Uważacie, że gliny przechowują tego rodzaju informacje?

- Nie wiem.

- Gliny nie - mówi Ogawa. - Albo przynajmniej nie powinni. Departament Bezpieczeństwa Krajowego ma bazę danych biometrycznych, ale jej wykorzystanie jest ograniczone przez prawo. Zatem identyfikacja twarzy jest wciąż istotna.

Harvey nakłada maskę, przez co wygląda, jakby opuściła na twarz woalkę, i patrzy przez szczelinę na wizor.

- Myślę, że powinieneś sprawić sobie taką, Shelley. Chodzi mi o to, że ludzie na ulicy na pewno rozpoznają i obstąpią Lwa z Czarnego Krzyża.

Cholera, chyba ma rację.

Nie mam jednak czasu tym się martwić. Drzwi się otwierają, a ja podskakuję - zespół stresu pourazowego -ale to tylko Chudhuri w towarzystwie Phlepsa, Omer i Vitaliego. Przynoszą nasze rzeczy, nie tylko mundury. Nolan chichocze na widok tego, co niosą. Flynn wydaje cichy okrzyk zwycięstwa.

W Niameju zostawiliśmy broń, ale przywieźliśmy plecaki, a także martwe siostry i hełmy używane podczas misji „Brzask” - cały sprzęt dostarczony nam przez prywatną organizację, nie wojsko. Zatem żandarmi spełniają polecenie Monteiro i oddają nam wszystko - hełmy w wyściełanych workach, a gnaty złożone w zwarte tobołki, łatwe do niesienia.

- Używanie egzoszkieleatów jest nielegalne w okręgu stołecznym - informuje nas major Perkins. - Jakakolwiek próba użycia ich spotka się z surowymi reperkusjami.

- Mam nadzieję, że nie będziemy ich potrzebowali - odpowiadam.

Musimy przeprowadzić inwentaryzację otrzymanych rzeczy, ale na koniec mamy na sobie szare, anonimowe, letnie mundury polowe, które nosiliśmy w Niameju, bez żadnych dystynkcji czy oznak przynależności wojskowej.

Podczas rozwlekłej odprawy zapoznajemy się z oczywistościami. Nie wolno nam rozmawiać o żadnych tajnych sprawach. Zwłaszcza nie wolno nam opowiadać o tajnym raporcie pułkownika Kendricka, którego to dokumentu żadne z nas nie widziało na oczy. Nie wolno nam rozmawiać o akcji w Czarnym Krzyżu, póki nie zostanie opublikowany oficjalny raport w tej sprawie, a później wszelkie komentarze, na jakie możemy sobie pozwolić, muszą się ograniczać do treści owego raportu. Nie wolno nam mówić o żadnych elektronicznych naruszeniach systemu bezpieczeństwa, których doświadczyliśmy w czasie naszej służby albo których zajście podejrzewaliśmy.

To tyle.

- A co z Czerwienią? — Jaynie pyta major Perkins. — Nie jest utajniona? Shelley twierdzi, że to powszechnie wiadome.

- Nie będziecie mówić o żadnych elektronicznych naruszeniach systemu bezpieczeństwa — powtarza Perkins. — Wojsko nie nadaje statusu tajności mitom miejskim.

Jayne patrzy na mnie pytającym wzrokiem, niezdeto-nowana protekcyjnym tonem pani major.

- Zatem wojsko woli zaprzeczenie, ale nam wolno o tym mówić... albo to ścigać.

Wzruszam ramionami. To nie jest odpowiednia pora na omawianie wendetty na Czerwieni.

- Zrozumiałe jest - dodaje major Perkins - że chociaż wasze ułaskawienie obejmuje wszelkie minione przestępstwa, to z całą pewnością możecie być oskarżeni o każde nowe naruszenie prawa. Pytania?

Nie mam pytań, ale żądanie.

- Chcę przywrócenia pełnej kontroli nad moją nakładką, z pełnym dostępem do Chmury.

- Rozumie pan ograniczenia, które panu wyjaśniłam?

- Tak, ma'am, rozumiem.

- Połączcie go - mówi. - I przekazcie mu kontrolę nad nakładką.

Na nakładce zaświeca się zielone kółko, symbol dostępu do sieci ogólnej. Pierwsze pojawiają się konta poczty wojskowej, więc poniekąd spodziewam się usłyszeć powitanie ze strony Delphi, ale oczywiście nie jest już moją opiekunką. Nie zamieniłem z nią nawet słowa, odkąd mój osprzęt usmażył się w Czarnym Krzyżu. Obiecuję sobie, że odszukam ją, gdy będzie po wszystkim, żeby podziękować za to, co dla mnie zrobiła, utrzymując mnie przy życiu więcej razy, niż Jestem w stanie to zliczyć, jednak poszukiwania jej byłyby dużo łatwiejsze, gdybym wiedział, jak się naprawdę nazywa.

Wiadomości poczty wojskowej znikają, a potem skasowaniu ulega całe konto pocztowe.

Pokazuje się menu wyszczególniające inne programy i pliki wojskowe w chwili, gdy każdy z nich jest kasowany. Kiedy jest po wszystkim, zagłębiam się w moje aplikacje i sprawdzam funkcję nagrywania. Jest wyłączona. Zastanawiam się, czy tak zostanie.

\*

Konferencja prasowa to mieszanka wnikliwych pytań i idiotyzmu, podczas której nasz status cywilny jest zręcznie pomijany.

- Co pan czuł, poruczniku Shelley, gdy pułkownik Kendrick zaproponował panu udział w misji „Brzask”?
- Czy nadal pani uważa, sierżant Vasquez, że Czerwień stanowi zagrożenie dla ludzkości?
- Szeregową Flynn, podczas lotu do Niameju próbowała pani odebrać pistolet porucznikowi Shelleyowi. Żałuje pani, że go zdradziła?

Jak można sądzić po jej minie, Flynn zastrzeliłaby pytającego, gdyby miała broń. Harvey bierze na siebie obowiązek udzielenia odpowiedzi, sugerując obojętnym tonem:

- Pierdol się pan.

Po konferencji prasowej zasiadamy ponownie przy stole w gabinecie sędzi Monteiro, chociaż ona sama poszła już do domu.

- Dla mnie to koniec - zwraca się do nas major Ogawa. — Teraz jesteście zdani na siebie. Powodzenia. Każde z was musi zdecydować, dokąd się udać i co robić. - Rozdaje nam swoje wizytówki. — Spodziewajcie się tego, że będziecie zasypywani prośbami o wywiady i wystąpienia publiczne. Bądźcie ostrożni, podpisując cokolwiek, a jeśli będziecie potrzebowali prawnika, dzwońcie do mnie, a ja pomogę wam takiego znaleźć. - Cofa się, kiwa głową i się uśmiecha. — To był zaszczyt i satysfakcja.

Ściskamy mu dłoń i dziękujemy, po czym major wychodzi. Mój wujek jest na miejscu, ale nie spieszy się z żadnymi radami; czeka po prostu, żeby zabrać mnie do domu. Zastanawiam się, gdzie jest ojciec; nagle chcę go zobaczyć, ale nie zamierzam zostawić oddziału. Wróciliśmy z piekła. Co nie znaczy, że to koniec.

- Co chcecie robić? - pytam, martwiąc się o ich bezpieczeństwo, zdolność przystosowania się do życia w cywilu, o to, co może się stać.

Rozmawiają cicho, poważnie. Harvey i Moon zastanawiają się nad powrotem do domu. O ile wiem, Jaynie i Flynn nie mają domów, do których mogłyby wrócić.

- Jedź pan do domu, poruczniku? - pyta Nolan.

- Na jakiś czas.

- A co potem? - chce wiedzieć Jaynie.

Spoglądam na wuja Brandona.

- Poszedłbyś poszukać mojego taty? Powiesz mu, co się dzieje?

Wuj Brandon mruży oczy.

- Ojciec cię potrzebuje, Jimmy. Chce, żebyś wrócił do domu.

- Wiem, i jadę tam. Tylko... potrzebujemy kilku minut.

Kiedy drzwi za nim się zamykają, wszyscy patrzą na mnie wyczekująco. Dotykam palcem okolicy kącika oka. Wiedzą, że chodzi mi o nakładkę.

- Przeglądałem pocztę cywilną. Mam wiadomość od Anne Shimy.

- Anne Shima? - pyta Moon. - Przyjaciółka Rawlingsa? Z organizacji?

- Tak. - Podczas pobytu w areszcie sprawdziłem Anne Shimę w encyklopedii i znalazłem jedynie krótki biogram, który stwierdzał, że po dwudziestopięcioletniej służbie w wojsku amerykańskim odeszła na emeryturę w stopniu podpułkownika. Tylko tyle. Ją i pułkownika Rawlingsa czeka osobny proces, cywilny, podczas którego stawia czoło oskarżeniom o konspirację, zdradę i Bóg wie co jeszcze. Zważywszy na sytuację w kraju, lata miną, zanim postępowanie się rozpocznie. Do tego czasu pozostają na wolności za kaucją.

- Shima chce, żebyście wiedzieli, że organizacja zdeponowała na waszych kontach równowartość żołdu, który wojsko dopiero co wam odebrało. Chce, żebyście wiedzieli, że bez względu na to, kim, kurwa, są członkowie organizacji, to dziękują za waszą służbę i cenią sobie wasze umiejętności do tego stopnia, że proponują zatrudnienie wam wszystkim. Jeśli więc chcecie być najemnikami, Shima przyjmuje do pracy.

- Kurwa mać - mówi cicho Jaynie. Nie wiem, czy jest obrażona, czy zadowolona.

Flynn jest mniej skomplikowana.

- Biorę to!

- Chcę się dowiedzieć czegoś więcej - stwierdza Harvey - ale jestem zainteresowana.

Moon rozgląda się niepewnie.

- Wiecie, przeżyliśmy już piekielnie dużo. To znaczy, jak długo możemy mieć szczęście?

To najmądrzejsze pytanie, jakie kiedykolwiek słyszałem z ust Moona, ale nikt nie zwraca na niego uwagi.

Tuttle jak zwykle patrzy na Nolana w oczekiwaniu na wskazówki, a Nolan patrzy na mnie. Po

chwili pyta:

- A co pan zrobi, poruczniku?
- Jadę do domu. Przynajmniej na trochę.
- Ale nie odmawia pan?
- Prawdopodobnie odmawiam. Moon dobrze to ujął. Zastanówcie się dobrze, zanim cokolwiek podpiszecie. — Wstaję. - Macie na kontach pięciomiesięczny żołąd. Wynajmijcie pokój, pieprzcie się, upijcie, cokolwiek. Załatwcie sobie telefony lub wizory... i zadzwońcie do mnie. Zatelefonujcie za kilka dni. Coś wymyślimy.

Upewniam się, że wszyscy wiedzą, jak się ze mną skontaktować. Potem zarzucamy plecaki. Bierzymy hełmy do rąk.

- Zapoczątkowaliśmy pewien proces - ostrzegam ich -po którym nastąpią nieprzewidywalne reperkusje. Pewni ludzie popierają Thelmę Sheridan, popierają to, co zrobiła w Dniu Komy, ponieważ boją się Czerwieni. Ci ludzie to nasi wrogowie. Uważajcie więc, w którym towarzystwie jesteście i dokąd zmierzacie... i nie zdziwcie się, gdy dojdzie do szalonych rzeczy, kiedy w poniedziałek rozpocznie się jej proces. - Podnoszę złożoną martwą siostrę. — Chodźmy.

\*

Siedzę przy oknie w wieczornym pociągu do Nowego Jorku, mając u boku ojca, a wuja po drugiej stronie przejścia. Jestem spięty, gdy obserwuję w szybie ciemne odbicia pozostałych pasażerów. Obserwuję odbicie ojca obserwującego mnie.

- Dużo przeszedłeś, Jimmy - odzywa się. - Trochę potrwa, zanim to przetrawisz. Trzeba czasu na znalezienie nowego kierunku.

- Tak jest, sir.

Odpowiadam obojętnie, gdyż myślę o moim oddziale, już kwestionując decyzję o opuszczeniu Dystryktu Kolumbii i pozostawieniu ich samym sobie.

- Jimmy.

Odwracam się, żeby spojrzeć na niego.

Obdarza mnie półuśmiechem.

- Nigdy nie wymagałem, żebyś zwracał się do mnie „sir”, więc nie zaczynaj robić tego teraz.

Uśmiecham się także, chociaż nie jest mi wesoło.

- Jak pan powiedział, sir, trzeba czasu, żeby się przystosować.

- Mądrała.

Po drugiej stronie przejścia wuj zapada w drzemkę.

Ojciec mówi mi, że nie jest zmęczony, że adrenalina nie pozwoli mu spać, ale po kilku minutach także zasypia.

Nie śpię i czuwam. Jedziemy w wagonie pierwszej klasy, w towarzystwie kilku zaledwie pasażerów, i chodzą po nim jedynie konduktorzy, więc potencjalne niebezpieczeństwo wydaje się niewielkie, ale i tak pozostaję czujny.

Tata się budzi. Korzysta z tabletu, żeby odpowiedzieć na Emaila. Sprawdzam swoją nakładkę. Jest niemal pora na codzienne ściągnięcie materiału wideo z przygodami mojego życia, więc oczekuję z niepokojem na to, co się stanie teraz, gdy programy wojskowe zniknęły z mojej głowy.

Nic się jednak nie dzieje. Nie ma żadnej aktywności, co oznacza, że bez względu na to, jaką historię opowiadała dzięki mnie Czerwień, już tego nie robi.

Powinienem czuć ulgę, ale tak nie jest. Jestem przerażony.

Kiedy wjeżdżamy na stację, ojciec podnosi wzrok znad tabletu. Oczy mu błyszczą; jest szczęśliwy.

- Prawie na miejscu - zapewnia mnie.

- Nie tęsknię za tłumami.

Jak powiedziałem moim żołnierzom, mamy przeciwko sobie prawdziwych wrogów, a nie jedynie przypadkowych szaleńców. Wiem, że Carl Vanda chce mojej śmierci, a może także pragnie tego i prezydent, a jeśli Czerwień istotnie zniknęła, to muszę sobie dawać z tym radę sam, bez wcześniejszego ostrzeżenia, które w przeszłości ratowało mi życie.

Nigdy nie sądziłem, że zatęsknię za fuchą króla Dawida.

- Będzie dobrze, Jimmy. Daj sobie tydzień, a poczujesz się ponownie jak w domu.

Myślę, że to może potrwać trochę dłużej.

Serce mi wali, gdy wysiadamy z pociągu. Stacja nie jest zatłoczona, ale ludzie przemierzają się w tyłu różnych kierunkach, że trudno jest ocenić zagrożenie. Staram się więc, żebyśmy szli szybko, i po kilku minutach siedzimy w wynajętym samochodzie, który wiezie nas ulicami Manhattanu.

Miasto się zmieniło. Przepadła elektryzująca energia sobotniej nocy, jaką pamiętam. Na zewnątrz jest niewielu ludzi i jeździ więcej rowerów niż samochodów.



- Godzina policyjna? — pytam.

- Nie - odpowiada tata. - Ale gospodarka mocno ucierpiała w Dniu Komy.

Żegnamy się z wujem, a potem jedziemy do siebie, gdzie przed drzwiami budynku czeka na nas tłum mediotów i łowców nagrań wideo.

Ojciec widzi moją minę i wzrusza ramionami.

- Nie przejmuj się tym zbyt. Sława nie trwa długo.

Ma rację, ale i tak muszę przejść między nimi. Robię więc to samo, co w Dystrykcie Kolumbii - udaję, że ich tutaj nie ma. Idę przez ciżbę z hełmem w jednej ręce, a martwą siostrą w drugiej, posługując się bagażem do torowania sobie drogi i ignorując jednocześnie padające zewsząd pytania. Wiem, że muszę być na to przygotowany. Przez jakiś czas będę stale otoczony przez rojących się wokół mnie obcych, a nie znoszę tego. Nie wiadomo, czy ktoś z nich nie ma broni palnej albo noża, a ja nie mam kamizelki kuloodpornej.

Powinienem coś zrobić w tej sprawie.

Docieramy do lobby.

W górze wisi plastikowy transparent: „Witaj w domu, Jamesie Shelley! Podziękowania od wdzięcznego narodu”. Na szczęście w pobliżu nie ma nikogo, nie muszę więc wymyślać czegoś, co musiałbym powiedzieć.

Naciskam przycisk windy, ale nic się nie dzieje. Najwyraźniej moich odcisków palców nie ma już w systemie.

- Jutro reaktywujemy twoje dane biometryczne — obiecuje tata, przywołując windę.

- Chcę wejść do mieszkania pierwszy - mówię, gdy jedziemy do góry. - Sam.

- Po co?

- Żeby coś sprawdzić.

Coś takiego, jak obecność bomb nastawionych na nasze przybycie albo czekających na nas zamachowców.

- Nie masz się czego bać, Jimmy.

Wiem, że się myli.

Wjeżdżamy na trzecie piętro. Chcę nałożyć martwą siostrę, zanim zrobimy choćby krok dalej.

- Popatrz, chcę ci coś pokazać - mówi ojciec. Stawia teczkę i wyjmuje z niej tablet. Na ekranie widać przekaz z kamer bezpieczeństwa w mieszkaniu. Oczywiście w żadnym pomieszczeniu

nikogo nie ma. — AI monitoruje cały czas mieszkanie. Nikogo w nim nie było.

- A jeśli AI została zhakowana?

Obdarza mnie ponurym spojrzeniem.

- Nie możesz całe życie trwać w paranoi...

Podnosi teczkę i idzie w głąb korytarza. Drzwi mieszkania identyfikują go i się otwierają. Nie wybucha żadna bomba.

- Chodź - woła przez ramię. - Jesteś w domu.

Ojciec nie jest sentymentalny. Po moim wyjeździe wyremontował mój pokój i wstawił nowe meble. Pozostało jednak łóżko, które dzieliłem z Lissą, kiedy zostawała u mnie w sobotnie noce. Leżąc tam w ciemności i wspominając dawne czasy, czuję się, jakbym wkraczał w życie kogoś obcego. Melancholijne wrażenie potęguje się, aż moją uwagę zwraca migająca ikona neuronetki, przypominając mi, że nie ma sensu się temu poddawać. Po co myśleć o przeszłości? Nic nie mogę w niej zmienić. Po co w ogóle myśleć? Lepiej spać. Neuronetka pomaga mi w tym. Śpię, aż mija południe.

Budzę się w stanie paniki, zlany potem, z dudniącym sercem. Zanim się orientuję, gdzie jestem, zrywam się z łóżka na równe, tytanowe nogi.

Słyszę z salonu rozmawiającego ojca, zadowolonego i rozluźnionego, a w głowie brzmi mi głos ducha nakazującego natarczywym krzykiem: „Nakładać osprzęt! Kamizelka i gnaty!”.

Co ze mną nie tak?

Podchodzę do okna, odsuwam ostrożnie ciężką kotarę i mrużę oczy przed jasnym słonecznym blaskiem; przyglądam się budynkom po drugiej stronie ulicy i zastanawiam, czy skądś wypatruje mnie snajper. Chcę całkowicie odsunąć story, gdyż nienawidzę się bać, a poza tym strzelec z odpowiednim sprzętem może mnie namierzyć przez zasłonę i przyciemniane szyby okienne.

Odsuwam kotary i zalewam pokój światłem dnia.

Trzymam się jednak z daleka od okna.

\*\*\*

Tego popołudnia, w niedzielę, sprawdzam pocztę elektroniczną i spis połączeń telefonicznych. Ustawiłem telefon tak, że bezpośrednio odbieram rozmowy jedynie od wybranej grupy ludzi. Wszystko inne się zapisuje. Oczyszczam spis połączeń i po pobieżnym przejrzeniu kasuję większość e-maili, wiedząc, że nigdy na nie nie odpowiem. Kiedy sprawdzam ponownie rejestr połączeń, są już dwadzieścia cztery nowe. Znam tylko jedno nazwisko - Joby'ego Nakagawy, smarkatego inżyniera, który skonstruował moje nogi.

Ciekawość bierze górę, więc oddzwaniam do niego.

Odbiera natychmiast. W obrzeże pola widzenia wpływa mała podobizna bladej twarzy Joby'ego, otoczonej blond włosami.

- Cześć, Joby. - A potem, ponieważ jest drażliwy na punkcie swojej pracy, a ja mam zwyczaj mu dokuczać, dodaję: - Nie udało mi się jeszcze zepsuć nóg. Wciąż nad tym pracuję.

- Nie dasz rady, kurwa, ich uszkodzić!

Mam cholerną nadzieję, że się nie myli.

- Nie mogę uwierzyć, że pierdolone wojsko dało ci je, nie konsultując się ze mną - ciągnie.

- Przykro mi z tego powodu.

- Powiedziałem im, że mam w twojej nakładce zainstalowany program...

- Masz?

- Oczywiście, że tak. Muszę otrzymywać dane dotyczące działania protez. Nie skasowałeś go, co?

- Nie sądzę, ale wojsko usunęło wszystkie swoje programy.

- Nie gromadzę danych tam, gdzie Dowództwo ma dostęp.

Przeprowadza mnie przez drzewko plików. Okazuje się, że Joby orientuje się w funkcjonowaniu mojej nakładki lepiej niż ja.

- Widzisz to? - pyta.

- „Danse macabre”?

Słyszę westchnienie ulgi.

- A więc nadal tam są. Dobra. Wejdź w ustawienia.

- Po co? Co chcesz zrobić?

- Chcę moich danych. Nie dało się ich ściągnąć przez całe miesiące, a teraz wojsko odcięło mi dostęp.

Miło jest usłyszeć potwierdzenie, że armia naprawdę się wyniosła z mojej głowy.

Joby'ego i mnie sporo dzieli, ale znakomicie się spisał z moimi nogami, nie widzę więc żadnego powodu, żeby odmówić mu dostępu do jego danych.

- Powiedz mi, co mam robić.

Aktywujemy jego dostęp i pierwszy plik się ściąga.

- Dostałem - potwierdza. - Dobra, ustawiam program, żeby przekazywał dane raz dziennie...

Budzi się podejrzliwość.

- Czekał. Czy będzie do nich należała moja lokalizacja?

- Czy jest coś, na co się nie skarżysz?

- Nie narzekam. Pytam.

Musi mu naprawdę na tym zależeć, bo powstrzymuje gniew.

- Żeby dane coś znaczyły, muszę wiedzieć, w jakich warunkach funkcjonujesz.

- Taa? A jeśli nie chcę, żeby mnie śledzono bez przerwy po całym świecie?

- Dlaczego? Co masz do ukrycia? Zamierzasz pracować dla Carla Vandy?

To tak od czapy, że brak mi słów.

- Bo obilo mi się o uszy, że zgrywałeś bohatera i uratowałeś mu życie...

- O cholera.

- ...że wlałeś w paradę komuś, kto miał go już na widelcu.

- Komuś?

- Taa.

Przeglądam w pamięci menażerię robotycznych zabawek Joby'ego... i postanawiam nie zdawać więcej pytań.

- Masz rację, Joby. Wtrąciłem się i przykro mi z tego powodu. Naprawdę.

Upływa chwila w milczeniu, gdy Joby stara się stwierdzić, czy moje przeprosiny są szczerze.

Są absolutnie szczerze.

- Taa, w porządku. Jeśli będziesz uczestniczył w jakiejś tajnej misji, możesz wyłączyć geolokalizację. To tylko jedno kliknięcie.

- Dobra, zrobię tak, jeśli będę tego potrzebował.

- Nie zapomnij włączyć potem ponownie.

- Taa.

- Albo włamię się i zrobię to za ciebie. A jeśli protezy kiedykolwiek nawalą? Nikt oprócz mnie nie zajmuje się nimi. Kapujesz?

- Tak.

\*

Przekopuję szafę i szuflady, po czym wyjmuję stare cywilne ciuchy - artefakty z innego życia, z czasów, zanim poszedłem do wojska. Wszystkie spodnie układam w stos, żeby je oddać, bo robocie nogi są o pięć centymetrów dłuższe od moich dawnych kończyn. Większość koszul pasuje nadal, chociaż odrzucam kilka, które musiałem kupić w stanie młodzieńczej euforii.

Potem postanawiam wyjść.

Wkładam sięgające kolan spodnie sportowe i koszulkę do biegania, ale nie nakładam butów, bo tytanowe stopy nie wymagają żadnego obuwia. Na myśl o wyjściu na zewnątrz wali mi serce i dlatego muszę wyjść.

- Tato!

- Taa?

Znajduję go w salonie.

- Idę pobiegać.

Zmierzam prosto do drzwi, nie dając mu okazji do zaprotestowania.

Nawet nie próbuje oponować. Tak jak zeszłego wieczoru, jest odważniejszy ode mnie.

- Nie podepcz mediotów - radzi mi, gdy wychodzę na korytarz.

To nie mediotów się boję. Przywykłem do bycia obserwowanym. O bicie serca przyprawia mnie myśl o kuli w łeb.

Winda zatrzymuje się dwukrotnie, żeby zabrać innych pasażerów. Za każdym razem wsiadający patrzą przez kilka sekund na moje nogi, zanim dociera do nich, kim jestem. Potem rozplývają się w uśmiechach i serdecznych powitaniach. Chcę być uprzejmy, ale potrafię wydukać jedynie: „Dziękuję”.

Kiedy przechodzę przez lobby, ikona neuronetki żarzy się cały czas, ale nadal odczuwam strach. Za drzwiami wyjściowymi czeka ścieżka zdrowia, utworzona przez co najmniej piętnaścioro mediotów. Zauważyli mnie już i ich wizory błyskają diodami trybu nagrywania.

Trzeba stawić czoło strachom, zgadza się? Wychodzę na zewnątrz. Tłum obcych zamyka się wokół mnie, wykrzykując pytania. Przepycham się między nieznanymi. Sygnał zwrotny z

nóg jest gmatwaniną silnych doznań, trudnych do rozwikłania, ale wydaje mi się, że depczę po stopach i kopię w kostki. Nie przejmuję się tym, bo jestem na skraju paniki, sędzę, że ktoś w tym tłumie nie jest tym, na kogo wygląda, i że zarobię zaraz nożem pod żebra albo poczuję zimny wylot lufy na potylicy - moje ostatnie doznanie. Potem przede mną rozpościera się trotuar i ruszam szybkim biegiem.

Światła na rogu pomagają mi w ucieczce, pozwalając przebiec na drugą stronę ulicy. Skręcam w prawo, potem w lewo, przebiegam przez kolejną jezdnię i zostawiam za sobą następny kwartał domów, po czym zwalniam do tempa chodu. Dyszę, serce wali mi młotem. Pomimo codziennych ćwiczeń pięciomiesięczny pobyt w areszcie zrujnował moją wydolność oddechową. Muszę zacząć znowu ćwiczyć, jeszcze dzisiaj. Ale na razie zwyczajnie idę.

Chodnik nie jest zatłoczony, ale ludzie łażą tam i sam, niektórzy w maskach. Niepokoi mnie, że nie widzę ich twarzy. Bycie anonimowym daje ci przewagę i to dlatego na patrolach zawsze mieliśmy nieprzezroczyste przyłbice.

Staram się nie patrzeć nikomu w oczy, ale i tak widzę spojrzenia obcych, rzucające na moje nogi. Niektórzy zatrzymują się nawet i gapią, a ich wizory nagrywają. Kilkoro próbuje mnie zatrzymać i zagadać, ale ja po prostu idę dalej.

Logicznie rzecz biorąc, wiem, że jest piękne popołudnie, słoneczne i chłodne, lecz nie powoduje mną logika i nienawidzę wszystkiego, co jest związane z przebywaniem na ulicy. Nienawidzę doznania powiewu na skórze oraz absurdalnej lekkości stroju, który nie chroni przed niczym z wyjątkiem oparzenia słonecznego; nienawidzę braku wsparcia ze strony oddziałowego drona oraz tego, że nie mogę się podłączyć do jego przekazu, żeby z punktu widzenia anioła sprawdzić, co się kryje za rogami ulic i ocenić pobliskie zagrożenia. Nienawidzę tego, że muszę się obrócić, żeby sprawdzić, kto jest za moimi plecami.

Pomyśleć, że kiedyś żyłem tak cały czas, bezbronny, nawet o tym nie myśląc.

Patrzę na ruch uliczny, przyglądam się badawczo oknom po obu stronach ulicy, obserwuję mijane wejścia do budynków i zaułki. Oceniam pieszych, zamaskowanych i nie, i gdy tylko mogę, trzymam się od nich z daleka. Chcę mieć na sobie mundur, być anonimowym za czarną przyłbicą, połączonym z oddziałem, gotowym i zdolnym przyjść mi na pomoc. Pragnę porad i informacji ze strony mojej opiekunki Delphi.

W oddali przed sobą dostrzegam kolejne zagrożenie -rusztowanie nad trotuarem, które podtrzymuje paskudne zadaszenie chroniące przechodniów przed skutkami trwającego w górze remontu budynku. Odcinek chodnika pod Prowizorycznym sklepieniem jest ciemny i wąski. Nie chcę tam wchodzić, ale i tak to robię. Rusztowanie ścieśnia ruch pieszych i utykam za dwoma starszymi kobietami, które wyszły właśnie ze sklepu. Na jezdni szary dostawczak toczy się powoli wzdłuż krawężnika, zostając tak bardzo w tyle za sznurem samochodów, że taksówkarz trąbi na niego nieprzerwanie. Przywodzi mi to na myśl fałszywą furgonetkę FBI w podziemnym garażu sądu federalnego... i najemniczkę, której rozszarpałem gardło.

Wycofuję się pod ścianę budynku, obserwując kierowcę furgonetki, który przygląda mi się

przez otwarte okienko. To duży muskularny facet, ostrzyżony krótko na wojskową modłę. Nie ma maski, więc mogę mu się dobrze przyjrzeć. Encyklopedia wyczuwa moje zainteresowanie jego osobą i uruchamia program identyfikacji twarzy, ale nie znajduje danych na temat jego tożsamości, więc oznacza go jako „nieznany”.

Moja paranoja jest bardziej kreatywna i uznaje go za najemnika Uther-Fen.

Wpadam do narożnej drogerii, przemykam między stelażami i wychodzę innymi drzwiami, na ulicę, na której nie ma rusztowania; czekam tam, aż furgonetka przejedzie przez skrzyżowanie i zniknie.

Ulicę rozświetla późnopołudniowe słońce, które błyszczy w lusterkach wstecznych i odbija się od odblaskowych znaków drogowych. Ujawnia także obecność klucza małych obiektów zawieszonych ponad ruchem ulicznym - trzy mikrodrony unoszą się jakieś sześć metrów nad linią środka jezdni. Wyglądają na szperacze powietrzne, jakich wojsko używa do inwigilacji w miastach - drony w kształcie helikoptera i wielkości dłoni, wyposażone w kamery, mikrofony i sensory chemiczne.

Słyszę ciche brzęczenie; odwracam się i widzę kolejnego mikrodrona, który wisi nad jezdnią na tyle wysoko, żeby nie zahaczyć o żadną ciężarówkę. Podniósłszy wzrok, widzę kolejne - szare obiekty unoszące się między budynkami. Próbuje policzyć; siedem, osiem?

- Więcej niż zwykle — zauważa jakiś mężczyzna.

Obracam się gwałtownie, szacując zagrożenie, określając położenie ewentualnych wrogów, ale to tylko samotny facet. Nie nosi wyrafinowanej maski na twarzy; w ogóle jej nie zasłania. Ma może trzydzieści lat i sztywną protezę ręki: jest chudy jak ćpun, w obcisłych džinsach i jeszcze bardziej obcisłej koszuli. Patrzy w niebo przez pasek wizora.

- Od kiedy są tak powszechne?

- Od Dnia Komy. Teraz to całkiem nowy świat. - Kieruje wzrok z powrotem ku ziemi, patrzy na mnie i zostaje oznaczony tak samo, jak poprzedni facet: „nieznany”. - To ty, co? - Wykonuje gest sztuczną ręką. - Byłem w Boliwii. Dostałeś lepszy sprzęt niż ja.

- Parę lat różnicy. Kto kontroluje drony?

- Policja. Prywatne firmy ochroniarskie. Medioci. Podglądacze.

- To legalne?

Wzrusza ramionami.

- Powinny latać ponad budynkami. Ale wiesz, jak to jest w praktyce.

W rogu jego wizora miga malutkie zielone światełko. Nagrywa mnie. Odwzajemniam grzeczność, rejestrując jego twarz, żeby mój system poznał go, jeśli się jeszcze kiedyś

spotkamy. Kiedy odchodzę, drony rozpierchają się przede mną jak stado wrózek.

W dali miga mi widok potężnego cielska transportera opancerzonego, przetaczającego się w otoczeniu cywilnych aut przez następne skrzyżowanie. To miejski transporter, czterokołowy i czterodrzwiowy, z policyjnymi oznaczeniami. A więc do tego doszło? Gliniarze poruszają się wojskowymi pojazdami w piękny, spokojny, wiosenny dzień?

Przechodzę przez ulicę i biegnę do następnej przecznicy, Potem znowu idę, na zmianę, ale zawsze rozglądam się wokoło, oceniając zagrożenie. Tyle się dzieje, tyle rzeczy jest w ruchu: samochody, piesi, drony i rowerzyści, w otoczeniu niezliczonych okien i dachów, dogodnych dla snajperów. Potrzebuję AI, żeby śledzić ich wszystkich.

„Uspokój się - myślę. - Uspokój”. Kiepsko, że moja neuronetka nie zna tego polecenia. Ikona się żarzy, ale siateczka przytępia jedynie doznanie, gdyż w moim zawodzie -w moim byłym zawodzie - zdrowy strach mógł stanowić o życiu lub śmierci... ale to nie jest zdrowy strach. Gdyby Delphi była przy mnie, wyregulowałyby biometrikę, ale ja nie mam jak tego zrobić.

Przestaję tego żałować, kiedy słyszę strzał - bach! - którego pogłos odbija się od budynków. Rzucam się w poszukiwaniu kryjówki i pchnięciem ramienia otwieram drzwi delikatesów. Trzymając się z dala od okna wystawowego, staram się ustalić, skąd padł strzał i w co trafił. Bach! Kurczę się, gdy rozlega się kolejny huk, tyle że to nie jest strzał. Po drugiej stronie ulicy dwóch zbyt entuzjastycznych małolatów, pomagających w remoncie, wrzuca płyty starej sklejki na platformę ciężarówki.

Ręce mi drżą, ale zmuszam się do wyjścia na zewnątrz. Przy krawężniku parkuje z włączonymi światłami awaryjnymi szara furgonetka, którą widziałem wcześniej. Przesuwne boczne drzwi są uchylone. Obok nich stoi na trotuarze dwóch muskularnych facetów sprzecających się po rosyjsku. Są ubrani po cywilnemu, ale ostrzyżeni po wojskowemu. Obaj patrzą na mnie.

- Cześć - mówi jeden, przechodząc na angielski, gdy sterowane pilotem drzwi otwierają się szerzej.

Nie zatrzymuję się, żeby się przekonać, co ma do powiedzenia albo co się znajduje wewnątrz pojazdu. Ruch w północnej części miasta utknął na dobre, szukam więc drogi ucieczki i przechodzę przed maską pojazdu, a potem lawiruję między samochodami, aż docieram na środek jezdni. Przecnicę dalej na północ rozlega się dźwięk syreny. Oglądam się przez ramię. Jeden z Rosjan jest na ulicy, patrzy na mnie groźnie, ale ręce ma puste. Nie nosi broni. Może jednak nie jest z Uther-Fen. Może jest zwykłym cywilem, który chce opowiedzieć kumplom, że spotkał pierdolonego Lwa z Czarnego Krzyża.

Dźwięk syreny przybiera na sile. Rosjanin patrzy w tamtą stronę, marszczy brwi, a potem się wycofuje i wskakuje do furgonetki, kiedy policyjny wóz pancerny, podobny do widzianego przeze mnie wcześniej, zmierza w naszą stronę Jadąc ociążale przez skrzyżowanie, z włączonymi światłami i syreną. Odwracam się i szybko idę w stronę kolejnego rogu. Chcę skręcić zań i zniknąć z pola widzenia, ale gliniarze mają inne plany.



Pancerka podjeżdża do krawężnika w miejscu zakazu parkowania i zatrzymuje się tuż przede mną. Drzwiczki się otwierają. Gliniarz zajmujący miejsce pasażera wyskakuje na zewnątrz w towarzystwie dwóch innych z tylnych siedzeń. Idą prosto do mnie i wiem, że znowu mam kłopoty z powodu nieprawidłowego przejścia przez jezdnię.

Pierwszy gliniarz szczyrzy się do kolegów.

- Mówiłem wam, że to on. Poruczniku Shelley, to zaszczyt pana poznać...

Zerkam wstecz na furgonetkę w samą porę, żeby zobaczyć, że pojazd skręca za róg.

- ...ale muszę pana ostrzec, że nie wolno w ten sposób przechodzić przez ulicę. Obecnie mandaty za wykroczenia pieszych są wystawiane automatycznie i w żaden sposób nie mogę panu pomóc w tej sprawie.

- Co?

- No, wie pan, kamery uliczne. Identyfikują pana i mandat pojawia się na pańskim koncie miejskim, jeśli jest pan mieszkańcem, a w innym wypadku w miejscu pana ostatniego zameldowania. - Na jego plakietce widnieje nazwisko Sutherland. Wyciąga dłoń. - Witamy w domu.

Funkcjonariusz Sutherland jest uzbrojony, ale szanse na to, że mnie zastrzeli, oceniam jako niskie, a poza tym nie chcę wkurzać nowojorskiej policji, więc ściskam mu rękę, a potem dłonie pozostałych gliniarzy, starając się nie zdradzić, w jakiej jestem rozsypce. Sądzę, że domyślają się tego.

- To musi być dla pana szok, znaleźć się ponownie w mieście - stwierdza Sutherland.

Pytam o mikrodrony.

- Zawsze tak jest?

Odwracają się, żeby spojrzeć na flotyllę towarzyszących mi wrózek, a kiedy to robią, drony wzlatają wyżej między budynkami.

- Cholera — mówi Sutherland. - Niech no wezmę miernik.

Kiedy wraca do samochodu pancernego, jeden z pozostałych policjantów wyjaśnia:

- Wszystkie drony emitują sygnał identyfikacyjny, więc możemy ukarać ich właścicieli za nękanie oraz zająć sprzęt, jeśli to się powtórzy.

Kiedy Sutherland wraca z miernikiem, dronów nie ma już w polu widzenia.

- Wprowadzimy pana do systemu - obiecuje policjant. - Wtedy nasze drony będą mogły monitorować sytuację.

To chyba oznacza, że od tej pory będą mi towarzyszyć jedynie drony policyjne, ale nie pytam o to.

Pozwalają mi iść dalej, ale mam dosyć. Muszę zniknąć z ulicy.

Zaczynam machać na taksówkę, ale potem wpadam na lepszy pomysł. Jeszcze tylko kilka przecznic, a dotrę do budynku, w którym mieszka Elliot Weber. To dziennikarz i mój przyjaciel sprzed wojska, kiedy jednak teraz o tym myślę, to się przekonuję, że nie mam jego numeru w spisie telefonów. Możliwe, że nie będzie chciał mnie widzieć. W czasie naszego ostatniego spotkania pragnął powiedzieć mi coś ważnego, ale nie słuchałem go. Nie rozstaliśmy się w zgodzie.

Byłoby mądrze zadzwonić wcześniej, ale nie robię tego.

Może nawet nie ma go w domu.

Wchodzę do lobby i dopiero wtedy telefonuję.

Wzdrygam się, gdy odbiera od razu.

- Shelley? Gdzie jesteś?

- Na dole.

- Zostań tam. Schodzę.

Jego mieszkanie nie zmieniło się zbyt wiele. Notatki i papierzyska na wszystkich poziomych powierzchniach; sterta starych tabletów; wielki telewizor na ścianie; zestaw teleobiektywów do cyfrowej lustrzanki, której nigdy nie używa. Leży wyciągnięty na sofie, długi i żyłasty; mocno kręcone włosy ma krótko ostrzyżone, a oczy przesłania woal przyciemnianego wizora. Stoję obok jednego z okien, przyglądając się tym po drugiej stronie ulicy oraz samochodom i ludziom w dole. Uniósłszy głowę, dostrzegam mikrodrona fruującego na tle błękitu nieba.

- Nie zrozum mnie źle - mówi Eliot - ale muszę to powiedzieć na początku, żebyśmy się dobrze rozumieli. Doceniam twoje intencje związane z misją „Brzask”, ale to, co zrobiliście, uważam za absolutne szaleństwo. Za zło. Nie ma dla tego wytłumaczenia. Zginęli ludzie.

Lissa zginęła.

Ci zabici z Uther-Fen? Nie obchodzą mnie. Byli wrogami i stali nam na drodze.

Niemniej, ponieważ od chwili ułaskawienia traktują mnie jak bohatera, odczuwam niemal ulgę, gdy słyszę odmienne zdanie.

- Cieszę się, że wywinąłeś się z tego - dodaje Elliot.

Ulicą w dole toczy się wolno szara furgonetka, ale teraz nie jestem pewny, czy Rosjanin, który próbował do mnie zagadać, pracuje dla Carla Vandy.

Elliot wstaje, podchodzi do okna i spogląda na ruch uliczny.

- Co jest, Shelley?

- Szedłem tutaj i to było szaleństwo. Ja byłem szalony. Przerażony, że tam jestem. Zdawało mi się, że mi przejdzie, jeśli będę szedł dalej, ale było tylko gorzej.

- Jak w sytuacji z królem Dawidem? Ostrzeżenie ze strony Czerwieni?

- Nie. ~ Próbuję zbyć to śmiechem, ale prawda jest taka, że czuję się, jakbym został porzucony. - Odkąd wróciłem z misji, nie mieszała mi we łbie. Teraz jestem zdany wyłącznie na siebie. Moja postać została chyba usunięta z przedstawienia.

- Shelley...

- Brzmi to idiotycznie, co? - Furgonetka jedzie dalej, nie ma w niej nic podejrzanego. - To tylko stres pourazo wy. Wiesz, nie jestem już przerażającym skurwielem, kryjącym twarz za czarną przyłbicą, tylko czuję przerażenie, że wpadnę na tamtego faceta. Ale to głupie. Nikt mnie nie ściga.

- Przykro mi, że ci o tym przypominam - mówi Elliot -ale to nie jest głupie. Masz wrogów. Musisz o tym pamiętać.

Tężeję na widok kogoś poruszającego się w pomieszczeniu za oknem po drugiej stronie ulicy.

- Mam sąsiadów - przypomina Elliot. - Nie wszyscy są zabójcami.

- Przepraszam.

Mówię sobie, że na zewnątrz nie ma nic, czego powinienem się bać, ale nie jestem o tym przekonany.

- Może byś usiadł? - proponuje Elliot, wskazując gestem kanapę.

Nie. Chcę obserwować ulicę i wiedzieć, co się dzieje wokół mnie. Dociera do mnie, że Elliot także lubi wiedzieć, co się dzieje. Dzięki temu jest dobrym dziennikarzem. Kiedy raz zafiksuje się na jakimś temacie, trudno go od niego odwieść, a teraz zainteresowany jest mną.

- Dowiedziałeś się, czy jest ktoś taki jak ja? - pytam.

- Jak ty? Inny król Dawid?

- Taa. Tuż przed Dniem Komy mówiłeś mi, że słyszałeś pogłoski o Czerwieni, o tym, że istnieją zhakowani żołnierze połączonych grup bojowych.

- A tak. Pamiętam. W tamtym czasie badałem mnóstwo rzeczy — takich niewiarygodnych, szalonych spekulacji dotyczących peryferii zjawisk.

- Więc naprawdę tak było? Byli inni tacy jak ja?

- Nie wiem. Nie poznałem nigdy żadnych nazwisk, ani szczegółów, jeśli o to ci chodzi. Ale wiesz co? Mam coś lepszego. Chciałbyś poznać producentkę, która zmontowała twój reality show?

Odwracam się do niego ze zdumieniem.

- To pytanie retoryczne?

- Nie. Poznałem ją. Mieszka tutaj, w Nowym Jorku, prawdopodobnie mógłbym umówić na jutro spotkanie z nią. Jeśli dasz radę.

- Jasne. W jaki sposób zdobyła kontrakt? Kto stworzył scenariusz?

Elliot wdaje się w zawiłe wyjaśnienia, w jaki sposób dostała ten program, ale widzę na nakładce, że ktoś do mnie telefonuje. Numer jest nieznanym, ale rozmówca zna mój kod wewnętrzny, więc połączenie dociera do mnie.

- Poczekaj - powstrzymuję Elliota i odbieram spojrzeniem połączenie.

- Poruczniku?

- Flynn? - Odwracam się od okna. - To ty, Flynn? Wszystko w porządku?

- Kiedy pan wraca, poruczniku? - Nie mówi tego tak, jakby wszystko było w porządku; raczej jakby płakała. - Bo nie chcę już dłużej tutaj być.

- A gdzie jesteś, Flynn?

- W hotelu.

Wyobrażam sobie, że stłukł ją jakiś dupek, którego poderwała w barze, ale potem się reflektuję. To jest Flynn. Próbuje naśladować Harveya. Gdyby jakiś facet nią pomiatał, przypuszczalnie wybebeszyłaby go. Kurwa, może to zrobiła.

- Jesteś sama, Flynn?

- Mniej więcej. Sierżant Vasquez mieszka w sąsiednim Pokoju.

- Nie biłaś się z nikim?

-Nie.

-Dobrze. Trzymaj się z dala od kłopotów. Wiem, że zmiana jest trudna, ale wszystko się ułoży.

-Tylko że... cholernie się boję za każdym razem, gdy wychodzę na zewnątrz. Wydaje mi się, że mnie załatwią za każdym rogiem. Nienawidzę tego miasta. Nienawidzę

- To tylko pierwszy dzień. Będzie lepiej. - Słyszę jej mywany oddech. - Flynn?

- Nie wraca pan, co?

- Wracam. Spotkamy się za dzień czy dwa. Będzie dobrze.

Po mojej rozmowie Elliot wychodzi z kuchni, do której się wycofał przez grzeczność.

- Flynn z Oddziału Apokalipsy? - pyta, podając mi szklanekę wody. - Flynn, która wzięła cię na muszkę?

- To nie była jej wina, tylko Rawlingsa. - Wypijam duszkiem wodę. - Powinienem wracać do domu.

- Pojedziesz taksówką, co?

- Nie. - To dziwne, ale po rozmowie z Flynn jestem nieco mniej przerażony. - Wrócę piechotą. Nic się nie stało w drodze tutaj. Nic się nie stanie, jeśli pójdę do domu.

Kręci głową.

- To niebezpieczne założenie. Nie odzyskasz dawnego życia, Shelley. To nie jest kwestia woli. Twój świat się zmienił.

Idę do drzwi.

- Daj mi znać, o której jutro.

- Uparty jak zawsze. Czekać chwilę. Zejdę z tobą i pokażę ci zapasowe wyjście.

Schodzimy na parter. Idę za nim do drzwi przeciwpożarowych z boku budynku.

- To nie takie oczywiste, jak wyjście od frontu... to znaczy, jeśli uważasz za możliwe, że źli ludzie szli tutaj tobą?

- Nie mam pojęcia.

Nie wiem, co jest realne, a co paranoją, ale stosuję się do jego reguł. Uchylam drzwi jedynie na tyle, żeby się wyślizgnąć na zewnątrz.

- Do zobaczenia jutro — mówię, a potem wybiegam za róg wprost na czerwone światło. Rozglądam się na wszystkie strony, szukam kogoś, kogokolwiek, kto chce mnie zabić, ale nikogo takiego nie ma. Nie widzę już nawet mikrofonów. Może jednak gliniarze pozbyli się ich. Światło się zmienia, a ja przechodzę przez ulicę.

\*

Dwadzieścia pięć minut później od domu dzielą mnie dwie przecznice i nikt jeszcze nie

próbował mnie załatwić. Chyba mi się uda.

Słońce zaszło, ale gdy zbliżam się do rogu, jest nadal jasno. Mam czerwone światło, zwalniam więc tempo, czekając, aż się zmieni na zielone. Po przeciwnej stronie czeka na to samo czworo ludzi. Jeden z nich to starszawy gość. Gawędzi z dwoma kobietami noszącymi ładne białe maski, ozdobione złotym filigranem. Trzecia kobieta stoi metr dalej, na wprost odwrócona, patrząc w stronę apartamentow-ca z mieszkaniem mojego ojca. Kobieta jest szczupła, ma blond włosy do ramion, a na sobie wysokie buty, ciemne spodnie i szarą kurtkę. Podążam za jej spojrzeniem tam, gdzie na chodniku wałkoni się nadal czworo czy pięcioro mediotów.

Gdybym miał zorganizować zasadzkę, zrobiłbym to tutaj, gdzie mój cel pokazałby się wcześniej czy później.

Zmieniam zdanie i uznaję, że nie jestem jeszcze gotowy na powrót do domu. Wchodzę w cień za rogiem; stoję i obserwuję.

Światło się zmienia. Piesi po drugiej stronie ulicy wchodzą na przejście przez jezdnię. Mężczyzna i dwie kobiety w maskach idą razem i rozmawiają ze sobą, ale trzecia kobieta, ta blondynka bez maski, idzie sama. Wstrzymuję oddech, gdy nakładka ją identyfikuje.

W zamierającym świetle jej oczy są szare. Ma za sobą trzy czwarte drogi, kiedy mnie zauważa. Przystaje, rozchylając usta w wyrazie niedowierzania. Nadal na jezdni, odwraca się, żeby spojrzeć na mediotów. Potem śpieszy do krawężnika. Twarz ma łagodną, bez śladu uśmiechu.

- Delphi. - Serce ponownie mi bije mocno, ale tym razem to skutek pozytywnych emocji.
- Cześć, Shelley.

Głos ma magiczny. Niesie pocieszenie. Rozsądna opieka Delphi uratowała mi życie więcej razy niż Czerwień. Zadziiera głowę; nadal się nie uśmiecha. Chcę podejść, wziąć ją w ramiona, dać jej znać, jak bardzo się cieszę na jej widok, ale nie bardzo mam śmiałość. Nie wiem, jakie są nasze relacje.

Blady rumieniec na jej policzkach wskazuje, że ona także czuje się niezręcznie.

- Czekałam razem z paparazzimi na okazję, żeby cię zobaczyć, ale zaczęło mi się to wydawać złym pomysłem... -mówi. - Nie nagrywasz nadal wszystkiego, co?
- Nie. Nie, odkąd wojsko skasowało programy z mojej nakładki. Chcesz pójść ze mną na kolację?

Obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów, przyglądając się moim tytanowym nogom i strojowi sportowemu.

- Nie jesteś odpowiednio ubrany.

Nie chcę, żeby odeszła.

- Możemy się przejść?

Zadzierając brodę, wskazuje przecznice; idziemy w tamtą stronę. Po drodze przygląda się badawczo ulicy, szczytom budynków, ruchowi ulicznemu. Co kilka kroków ogląda się za siebie. Kiedy mijamy pierwszy kwartał domów, pytam:

- Widziałaś jakieś mikrodrony?

- Tak.

Przechodzimy w milczeniu pół przecznicy. Potem się odzywa:

- Pewnie nie wiesz o tym, ale po Czarnym Krzyżu złożyłam rezygnację.

Zaskakuje mnie to. Myślę o innych żołnierzach, którymi się zajmowała; żal mi ich.

- Wróciłam do domu w Madison, ale kiedy usłyszałam o waszym ułaskawieniu, cóż... - Podnosi na mnie wzrok i po raz pierwszy obdarza mnie uśmiechem; sięga mi zaledwie do ramienia. - Martwię się o ciebie i po prostu... bardzo chciałam zobaczyć cię jeszcze raz. Dlatego przyjechałam.

- Jezu, Delphi, gdybym mógł wybrać jednego człowieka, jedną jedyną żyjącą osobę, która powinna w zaczarowany sposób pojawić się dziś wieczorem przede mną na ulicy, to byłabyś ty.

Nie zwraca uwagi na moją radość, ale reaguje na żal.

- Przykro mi z powodu twojej dziewczyny, Shelley. I z powodu Ransoma. Był cholernie dobrym żołnierzem. Także pułkownik Kendrick.

- Zrobisz coś dla mnie?

Ogląda się przez ramię.

- Spróbuję. O co chodzi?

- Jak się nazywasz?

Karin Larsen. Nazwisko tak eleganckie i poważne, jak ona sama. Idąc z nią, czuję, że moja nerwowość się ulatnia. Przestaję patrzeć na wszystko podejrzliwie. Zaczynam się rozluźniać.

Trafiamy na jeden z tych kilkosekundowych okresów spokoju, gdy trotuar jest pusty. Jezdnia wolna. Delphi wskazuje w głąb ulicy.

- Tam na rogu stoi mój hotel.

Nie chcę, żeby odeszła.

- Jest tam bar? Może usiedlibyśmy na chwilę?

- Pijesz? - pyta zaskoczona.

- Nie.

Śmieje się, patrząc w górę na budynki po drugiej stronie oglądając się przez ramię.

- Miło mi to słyszeć, bo właśnie coś takiego pamiętam z twoich akt personal...

Zatyka ją.

Padnij!

Słucham jej, jakbym był na patrolu, Kiedy padam na beton, ona stoi nadal, patrząc na coś za naszymi plecami. W terenie przyjąłbym zderzenie z podłożem na rozpory martwej siostry, ale tutaj dysponuję tylko swoimi przedramionami. Mam ledwie tyle czasu, żeby zarejestrować, jak to bardzo boli, gdy metr przede mną wykwita w betonie niewielki krater. Twarz kaleczą mi kamienne odpryski i odłamki gorącego metalu. Przetaczam się pod ścianę domu, kiedy kolejny pocisk kąsa chodnik tam, gdzie znajdowałem się ułamek sekundy wcześniej. Zrywam się na równe nogi.

- Tutaj, Shelley!

Delphi cofnęła się w głąb portalu ze szklanymi drzwiami. Otworzyła je. Wpadam za nią i oboje wtaczamy się do budynku. Patrzy na mnie.

- Krwawisz.

Jesteśmy w lobby hotelowym, w pobliżu windy. Po przeciwnej stronie holu recepcjonista zajęty jest meldowaniem dwojga gości i nie zauważa nas. W polu widzenia nie widać nikogo więcej. Odciągam Delphi od drzwi.

- Mogą strzelać przez nie.

- Mogą przez nie wejść. Wzywam gliny.

- Nie, czekaj. - Mój ojciec przeszedł już dosyć. Nie musi o tym wiedzieć. - Nie chcę mieć do czynienia z policją. Będą mówić o „areszcie ochronnym”. A poza tym nie mogą nic zrobić. Strzelec już dawno zniknie. Takie rzeczy załatwia się potajemnie albo wcale. Nikt tędy nie wejdzie.

Czuję na twarzy coś ciepłego; wycieram to.

Delphi sprawia takie wrażenie, jakby chciała oponować, ale zamiast tego chwyta mnie za ramię i ciągnie w stronę windy, która otwiera się pod jej dotykiem.

- Jakby ktoś pytał, upadłeś.



Nikt nie pyta. Docieramy na trzynaste piętro do jej pokoju, nie spotykając po drodze nikogo.

To standardowy pokój hotelowy, z podwójnym dużym łóżkiem, dwoma stolikami nocnymi, małym biurkiem i telewizorem na ścianie nad komodą. Zasłony są rozsunięte, ale okno wychodzi na przecznicę, a nie na ulicę, na której czychał na nas snajper.

Oczywiście drugi strzelec może się znajdować po tej stronie hotelu.

Za pomocą pilota Delphi zasuwam zasłony i pokój ciemnieje. Dopiero po chwili zauważam padający z łazienki zielony blask nocnego oświetlenia.

- Nawet przy zasuniętych zasłonach musimy się trzymać z dala od okien - ostrzegam Delphi.  
- Dobry dron inwigilacyjny może widzieć przez... - Urywam gwałtownie, zdając sobie sprawę z tego, że ona doskonale wie, przez co potrafi widzieć dobry dron inwigilacyjny. - Przepraszam, ty jesteś ekspertką.

Jej głos dochodzi z ciemności, cichy i strapiiony.

- Weź prysznic i zmyj z siebie krew. Zaraz wracam.

\*

Wraca z hotelowego sklepiku z żelowym opatrunkiem.

Wstawiamy do łazienki krzesło, a ja siadam na nim w szortach i patrzę w jasne światła toaletki, podczas gdy Delphi opatruje mi skaleczenia twarzy, posługując się kosmetyczną pęsetką w celu wydobycia odłamków betonu, które umknęły mi w trakcie brania tuszu.

To boli, co pozwala zachować pustkę w głowie.

Mój T-shirt, schnąc po spraniu z niego krwi, wisi na Prysznicy. W światłach, z powodu pary w pomieszczeniu, na moim nagim tułowiu lśni obfity pot. Delphi zdjęła kurtkę i wysokie buty. Pochyliła się nade mną w jedwabnej bluzce bez rękawów, tak przejrzystej, że przy każdym oddechu widzę stanik obejmujący drobne piersi. Zapach jej skóry hipnotyzuje mnie, mój mózg jest nim przesiąknięty. Patrzę na nią z bardzo bliska, naruszając wzrokiem jej nietykalność cielesną, wkraczając spojrzeniem na cudzy teren w postaci jasnokremowej cery, rozchylonych w skupieniu różowych warg, blond włosów zaczesanych za drobne uszy, błyszczących brązowych rzęs, jasnoniebieskich oczu skupionych na tym, żeby moje blizny były jak najmniej widoczne.

- Przestań - mówi, nie odwracając wzroku - gapić się na mnie.

- Nie mogę się opanować.

Uśmiecha się, co nie poprawia mojej kłopotliwej sytuacji. To wszystko, co mogę zrobić, żeby trzymać ręce przy sobie.

Kończy zdecydowanie za szybko. Spoglądam w lustro i widzę, że wszystkie małe rozcięcia są porządnie złączone.

- Dobra jesteś - mówię, będąc naprawdę pod wrażeniem.

Spojrzenia naszych oczu, jej niebieskich i moich brązowych, spotykają się w lustrze.

- Wszyscy opiekunowie przechodzą trzytygodniowe szkolenie z udzielania pierwszej pomocy i radzenia sobie z urazami. Nie moglibyśmy was instruować, gdybyśmy sami nie wiedzieli, jak się to robi.

- Szkolenie, co? Wydawałaś mi się zawsze magicznym dżinem, który zjawia się za każdym razem, kiedy wymienię jego imię. - Uśmiecham się do odbicia jej oczu. - Chyba nadal tak o tobie myślę.

Jej blade policzki okrywa lekki rumieniec; odwraca wzrok.

- Za gorąco tutaj dla mnie - szepcze i wychodzi do pokoju.

Myślę o niej oraz o tym wielkim łóżku z kremową pościelą, chociaż powinienem myśleć o snajperze za oknem albo o szwadronie śmierci za drzwiami... ale chyba każdy facet ma swoje priorytety.

W pokoju jest ciemno, jedynie z łazienki pada blask. Delphi ze skrzyżowanymi ramionami na wpół siedzi, na wpół się opiera o blat toaletki, patrząc na mnie ponuro.

- Nie wiedziałaś o tym strzale, co? Zawsze byłeś świadom takich rzeczy, Shelley. Co się stało z królem Dawidem?

- Odszedł. - Gdyby nie Delphi, już bym nie żył. - To już nie moja bajka.

Gdyby nie Delphi, nie szedłbym ulicą obok jej hotelu, prosto w zasadzkę. Patrzę na nią zaintrygowany, z szybko bijącym sercem.

- Skąd wiedzieli, do diabła, że się tutaj znajdę?

Ręce ma skrzyżowane mocno tuż pod biustem.

- Myślę, że to był plan zapasowy. - Marszczy brwi, wpatrzona w podłogę. - Mój domysł? Pierwszego Strzelca mieli przed budynkiem, w którym mieszkasz. Potem jakiś analityk zidentyfikował mnie, gdy czekałam na ciebie, i uznał, że mogę posłużyć za przynętę.

Ludzie są przewidywalni, a im więcej o nich wiadomo, tym łatwiej określić ich następny ruch. Moje życie to otwarta księga, więc zdolny analityk nie miałby trudności ze zdefiniowaniem moich uczuć do Delphi.

- Jeśli taki był plan, to omal się nie powiodł. - Siadam na łóżku. - Spodziewałem się snajpera w okolicy mieszkania, cholera, spodziewałem się go przez cały dzień, ale kiedy wreszcie się

ujawnił, miałem rozproszoną uwagę. - Wstaję i podchodzę do niej. Dotykam jej policzka. Podnosi głowę, zaskakując mnie gniewnym błyskiem w oczach. Nie rozumiem, co się dzieje, czego ona chce, a czego nie. - Delphi... Karin... żałujesz, że tutaj jestem? Chcesz, żebym sobie poszedł?

Śmieje się cicho, z irytacją, kiedy odpowiada:

- Nie.

- To powiedz mi, co myślisz, bo jeśli każesz mi zgadywać, to popełnię błąd.

-Przez cały dzień spodziewałeś się zamachu ze strony snajpera, ale łąziłeś po ulicach. Dlaczego, Shelley? Pragniesz umrzeć?

To nie jest rozmowa, którą chciałbym toczyć.

- Słuchaj, wszystko zrozumiałem na opak. Idę.

Koszulka jest nadal mokra, ale do diabła z tym.

- Sądziłam, że zginąłeś w Czarnym Krzyżu - mówi, zatrzymując mnie w drodze do łazienki.

Odwracam się, pewny, że coś mi umyka, że za jej słowami kryje się coś, do czego zrozumienia nie jestem odpowiednio okablowany.

Wzrok i głos ma spokojne.

- Robisz szalone rzeczy, Shelley, a ja nie wiem, do jakiego stopnia to jesteś ty, a do jakiego pogrywa tobą Czerwień. W Czarnym Krzyżu byłam przy tobie, kiedy wyszedłeś na zewnątrz, pamiętasz? Patrzyłam twoimi oczami. Widziałam atomowy blask. Widziałam dane analityczne, na których podstawie wiedziałam, że jest po wszystkim. Byłeś martwy. Musiało tak być i to nie miało dla mnie żadnego sensu. - Odwraca spojrzenie. - Podczas całej misji byłam okropnie przerażona. A potem zwyciężyliśmy... na to wyglądało... aż bez najmniejszego powodu wyszedłeś na zewnątrz i przestałeś istnieć. Cała łączność padła.

Zaczęła drzeć, chociaż stara się tego nie okazywać. Ramiona ma nadal skrzyżowane, barki skulone. Nie spojrzysz na mnie. Podchodzę do niej i dotykam jej ramienia. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Czarny Krzyż był w innym życiu.

Patrzy na mnie z powagą.

- Nie mogłam sobie z tym poradzić. - Odwraca wzrok. -Poszłam do domu i płakałam całymi godzinami. Złożyłam rezygnację. I nikt nie zadał sobie trudu, żeby mi powiedzieć, że przeżyłeś. Kiedy wyemitowano drugi odcinek, sądziłam, że to zwykła propaganda. Dopiero kiedy wróciłeś z misji „Brzask”, zaczęłam myśleć, że to może być prawda, że istotnie ocalałeś. To głupie, ale dlatego tutaj przyjechałam. Żeby się po prostu przekonać, że nie jesteś elementem rządowej propagandy ani postacią wygenerowaną przez Czerwień.

- Strasznie mi przykro. Nie wiedziałem.
- Nie chodzi mi o przeprosiny. To nie woja wina. Niczego nie jesteś mi winien...
- Owszem, jestem.

Patrzy na mnie ponownie.

- To przestań się wystawiać na strzał. Przestań prowokować Boga, Czerwień czy cokolwiek to jest. Już raz wisiałam, jak umierasz bez powodu. Wystarczy.

Obejmuję ją. Nadal ma skrzyżowane ramiona, ale opiera się o mnie lekko.

- Cywilne życie to trudna sprawa - wyjaśniam jej.
- Już do tego doszedłeś? - mówi z ironią.

- Taa, cholera. Nie chciałem dzisiaj wyjść na ulicę. Nigdy w życiu nie czułem się taki bezbronny. Nie chcę wychodzić bez kamizelki i gnatów, broni i wzroku anioła. Bez ciebie oglądającej się za mnie przez ramię. W Dassari tropiliśmy ludzi, którzy chcieli nas zabić, i to my zabijaliśmy ich... Nowojorscy gliniarze okazali się dla mnie mili, ale nie sądzę, żeby pozwolili mi to robić bezkarnie tutaj.

- Przypuszczalnie nie. Co więc zrobisz?

Mówię jej o e-mailu od Anne Shimy.

- Nie rozmawiałem z nią, ale większość mojego oddziału jest tym zainteresowana, a Flynn chce tego z całego serca. Ma już dość cywilnego życia. Trudno się jej dostosować. Mnie też.

- Jesteś na wolności jeden dzień.

- Jeden dzień, a już ktoś chciał mi rozwalić łeb. Chcę móc kontratakować.

- O to chodzi. - Wzdycha, porusza się i w końcu ulega. Obejmuje mnie ramieniem w pasie i opiera głowę na mojej piersi, jakby słuchała bicia serca. - A więc postanowiłeś już?

- Chyba tak. Sądzę, że to najlepsza decyzja. I chciałbym, żebyś w tym uczestniczyła. To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko temu, żeby ponownie pracować ze mną, a potrzebujesz pracy - która może być legalna lub nie.

- Och, szansa na to, żeby zobaczyć, jak znowu umierasz?

- Cóż, nie taki jest cel.

Śmieje się, cicho i cynicznie, gardłowo. Jakby widziała już wszystko to, co się ma zdarzyć między nami, i zdawała sobie sprawę, jakim się okaże idiotą.

A ja jej pragnę.

Ogromnie.

Daję więc sobie spokój z dżentelmeństwem. Biorę ją w ramiona, co zapiera jej dech, a potem opadam z nią na łóżko, całując jej twarz i szyję, czekając na protest z jej strony, czekając, żeby kazała mi wypierdalać stąd w cholere, ale nie robi tego, więc rozpinam perłowy guziczek z tyłu jej bluzki, a ona pomaga mi ją zdjąć z siebie, a później to samo robię ze stanikiem, po czym całuję jej różowe sutki, a moje dłonie odcinają się ciemnym brązem na jej jasnej skórze. Wydaje cichy, kwilący dźwięk, kiedy rozpiną swoje spodnie. Odsuwam się na tyle, żeby pomóc jej je zdjąć, pozbyć się majteczek, pozbyć się moich szortów, a potem jestem na niej, skóra na skórze, wpychając się do niej powoli, zmuszając się do powolności, gdyż nie chcę sprawić jej bólu. Przyciąga do siebie moją głowę, usta do swoich ust; całujemy się, głęboko, namiętnie, i jestem już cały w niej i nie sądzę, żebym mógł teraz przestać, gdyby kazała mi się powstrzymać, ale nie robi tego. Odrzuca w tył w głowę i się pieprzamy, a ja powstrzymuję się najdłużej, jak mogę, po czym ona dochodzi, ja dochodzę, dochodzimy razem.

\*

W środku nocy jesteśmy wyczerpani i podejrzliwi. Obawa przed szwadronem śmierci każe nam wynająć inny pokój.

\*

- Cześć, Shelley. Sądzę, że nadal żyjesz.

Nie pamiętam, żebym odebrał rozmowę, ale dzwoni Elliot, który mówi do mnie przez moje implanty audio. Mrugam, starając się obudzić, skupić na wyświetlonej na nakładce godzinie: dziewięć trzydzieści dwie. Jezu.

Mam mgliste wspomnienie, że telefonowałem zeszłej nocy do ojca, żeby mu powiedzieć, że spotkałem kogoś, więc niech się nie martwi. Próbuję zrozumieć, kiedy włączył się w Elliot. Delphi leży skulona obok mnie, śpi nadal, oddychają cicho, ale otwiera gwałtownie oczy, kiedy mówię do Elliota:

— Hmm... taa, co jest?

Wydaje się zirytowany.

- Pamiętasz, że idziemy się spotkać z realizatorką *Połączonej grupy bojowej*?

- Pamiętam doskonale.

- Co z tobą, Shelley?

- Nic. Dopiero się obudziłem. O której to spotkanie?

- Dziesiąta trzydzieści. Zdażysz?

- Taa. Przyprawdżę kogoś.

- Kogo?

Wymieniam spojrzenia z Delphi.

- Gdzie mamy się spotkać? - pytam Elliota.

- Prześlę ci adres. Przyjdź na pewno. - Potem dodaje: -Dzisiaj rozpoczął się proces Thelmy Sheridan; mówię na wypadek, gdybyś o tym także zapomniał.

Koniec połączenia.

Marszczę brwi, sięgając obok Delphi po pilota telewizyjnego, leżącego na stoliku nocnym.

- Dokąd idziemy? - pyta, przeciągając się rozkosznie, z ramionami wzniesionymi za głowę.

Rezygnuję z pilota i wyciągam rękę do jej piersi.

- Na spotkanie z filmowcem.

Łapie mnie za nadgarstek i spogląda ponuro.

- Z filmowcem? Nie masz dość popularności?

Kiedy wychodzę spod prysznic, doprowadzona do plastikowej perfekcji blond mediotka, siedząca za pulpitem, czyta w telewizorze wiadomości:

- ...dzisiaj rozpoczął się tak zwany proces porwanej Amerykanki Thelmy Sheridan. Jest oskarżona o zbrodnie przeciwko ludzkości w związku z jej rzekomym zaangażowaniem w zbrodnie Dnia Komy w Stanach Zjednoczonych.

Delphi, w białym hotelowym płaszczu kąpielowym, pakuje walizkę. Gdy siadam w nogach łóżka, spogląda na mnie podejrzliwie, jakby widziała ikonę neuronetki mrugającą w rogu mojego pola widzenia.

- Sheridan nie zgodziła się być reprezentowana przez obrońcę i stanęła dziś rano we wrogo nastawionej sali sądowej, żeby wygłosić poruszającą mowę wstępną.

W Niameju jest już popołudnie.

Obraz przenosi się do sali sądu. Kamera ukazuje grupę siedmiu sędziów w średnim i starszym wieku - cztery kobiety i trzech mężczyzn z Azji, Europy i Afryki - którzy mają za sobą tło w postaci różnych flag narodowych, wiszących na drzewcach.

Później widzę Thelmę Sheridan. To zbliżenie, na którym ma wyglądać szlachetnie i dzielnie.

Nie patrzy w kamerę, minę ma zawziętą. Jej włosy zostały niedawno przystrzyżone, ale nieufarbowane; odrosty są siwe. Na policzku widać cień, który może być siniakiem. Wracam w myślach do obrazu jej twarzy obryzganej krwią Ransoma. Jeżą mi się włoski na karku.

Cięcie na środek jej zdania:

- ...nie chciałam korzystać z instytucji zastępstwa procesowego. Nie będę się bronić. Coś takiego legitymizowałoby jedynie to bezprawne postępowanie. Jestem tutaj przetrzymywana wbrew mej woli, karana za zbrodnię, której nie popełniłam. Moim prawdziwym przestępstwem, które uczyniło ze mnie wyrzutka w oczach potężnych frakcji w amerykańskim rządzie, jest sprzeciwianie się przede mną inwazyjnej sztucznej inteligencji znanej jako Czerwień. Wskutek wydanych pozakonstytucyjnie tajnych rozkazów tak zwany Oddział Apokalipsy otrzymał zadanie porwania mnie z domu i przewiezienia tutaj, żebym pod fałszywymi zarzutami uczestniczyła w parodii procesu. Nie dam się jednak uciszyć. Świat stoi w obliczu zagrożenia, jakiego dotąd nie było. Czerwień istnieje. To inwazyjne jestestwo zrodzone z aroganckiej dumy przejmuje obecnie kontrolę nad wszystkimi systemami stworzonymi przez ludzi. Naszym obowiązkiem jest przeciwstawiać się jej.

Niezwykłe słowa, ale nie do końca nieprawdziwe. Jaynie mogłaby powiedzieć to samo. Podobnie jak Sheridan prowadzi krucjatę przeciwko Czerwieni. Obraża ją myśl, że jej życie jest sterowane i manipulowane. Gdyby mogła wyeliminować AI, zrobiłaby to, ale nie kosztem spalania świata.

Thelma Sheridan nie ma takich oporów.

- Każda akcja podjęta w celu ograniczenia bądź zniszczenia Czerwieni jest usprawiedliwiona ze względu na obronę dalszego istnienia i autonomii ludzkości.

- Zatem to, co zrobiła, jest usprawiedliwione - zwracam się do Delphi.

Patrzy mi w oczy, marszcząc niespokojnie brwi.

- Tak mówi - upieram się.

- Tak.

To nie Czerwień mnie przeraża.

Wstawka filmowa się kończy i patrzymy ponownie na blond mediotkę, pochylającą idealną twarz pod wpływem współczucia dla oskarżonej.

- Oskarżenie rozpoczęło dzisiaj prezentowanie dowodów, ale nasi eksperci prawni twierdzą, że z punktu widzenia amerykańskich standardów sądowniczych są one naciągane...

Telewizor gaśnie. Delphi rzuca pilota na łóżko.

- Wyglądasz, jakbyś chciał komuś przywalić.

- Przepraszam. - Kładę się i patrzę w sufit.

- Dziesiąta trzydzieści - przypomina mi.

Wstaję.

Delphi idzie do łazienki.

- Wezmę prysznic - mówi przez ramię - a potem musimy wpaść do ciebie, żebyś się przebrał.

Wszystko, co teraz mam, to ciuchy do biegania.

- Na dole jest sklep. Kupię coś.

Czekam, aż drzwi łazienki zamkną się za nią, a potem telefonuję do ojca. Najwyraźniej czuje ulgę, że mnie słyszy.

- Nic ci nie jest, Jimmy?

- Nie. Wpadnę później do domu.

- Zadzwoń, jak przyjdiesz. Jestem w pracy, ale możemy zjeść razem lunch.

- Jasne, brzmi nieźle.

Następuje chwila niezręcznego milczenia. Chcę dodać mu otuchy, ale nie mam wiele do powiedzenia.

- Pogadamy później - obiecuję i tak to zostawiamy.

Delphi jest wciąż pod prysznicem, gdy zjeżdżam na dół.

W lobby hotelowym jest samoobsługowy butik, w którym kupuję koszulę i spodnie. Skanuję metki przy kasie. Potem, korzystając z nakładki, wywołuję numer konta bankowego - nigdy go nie pamiętam - i wklepuję cyfry na dotykowym ekranie. Kwota wyświetla się na mojej nakładce. Akceptuję ją i transakcja jest zakończona.

Usiłuję wrócić na górę, ale pokój został wynajęty na nazwisko Karin Larsen. Winda mnie nie zna i nie otworzy się pod moim dotknięciem, więc przebieram się na dole w toalecie. Kiedy wynurzam się z niej w ubraniu szanowanego cywila, Delphi wymeldowuje się w recepcji. Dzisiaj nosi wizor. Przygląda mi się od góry do dołu przez jego przezroczysty pasek, zatrzymując na moment spojrzenie na gołych tytanowych stopach, a potem patrzy mi w twarz.

- Ujdzie - mówi, błyskając uśmiechem.

Od tej chwili przejmuje kontrolę nad operacją i poleca mi zostać w środku. Sama sprawdza sytuację na ulicy i przywołuje taksówkę. Nie wolno mi nawet nieść jej walizki.



- Spowolni cię.

Przywołuje mnie zgiętym palcem, siedząc już na tylnym siedzeniu taryfy. Otwieram pchnięciem drzwi hotelu, rzucam się do środka pojazdu, opadam na siedzenie obok Delphi i zatrząskuję za sobą drzwiczki, wprowadzając samochód w kołysanie.

- Połóż się! - poleca, zmuszając mnie do tego, żebym oparł głowę na jej kolanach. Piorunuje wzrokiem kierowcę, drobną, czarnoskórą kobietę, która patrzy na nas ponuro ponad oparciem fotela.

- Jedźmy — mówi Delphi — zanim dopadną nas medioci.

Taksówkarka przygląda mi się podejrzliwie, a potem w jej oczach pojawia się błysk rozpoznania.

-Hej, ty jesteś...

Delphi nie jest z tych, które traciłyby czas na głupstwa.

- Jedźmy.

\*

Adres, który podał mi Elliot, opiewa na biurowiec przy Zachodniej Pięćdziesiątej Czwartej. Po drodze sprawdzamy informacje o nim i studiujemy spis najemców. Delphi jest zirytowana, że nie znam nazwy firmy, do której jedziemy, ale jest tylko jeden prawdopodobny kandydat: Koi Reisman Productions. Większość filmów robią dla organizacji charytatywnych, obrabiając surowy cyfrowy materiał w celu stworzenia dokudramy o największym ładunku emocjonalnym. Na ich profilu nie jest nigdzie wspomniane, że zajmowali się *Połączoną grupą bojową*.

Elliot czeka na nas w lobby i jest najwyraźniej zaskoczony moim wyglądem.

- Co się stało z twoją twarzą?

Zapomniałem o skaleczeniach.

- Nic nie krwawi, co?

- Nie.

Postanawiam nie odpowiadać na jego pytanie, a zamiast tego odwracam się do Delphi i dokonuję prezentacji.

- Elliot, to jest Karin Larsen. Karin, Elliot Weber.

Delphi przygląda się badawczo otaczającym nas ludziom i korzystając z wizora, rejestruje w bazie danych ich twarze, zamaskowane czy nie, żeby mieć zapis wszystkich obecnych,

gdybyśmy wpadli w tarapaty. To ją absorbuje, nie ma więc czasu na pogawędki. Zerkając na Elliota, pyta:

- Co cię doprowadziło do Koi Reisman Productions?

Elliot oglądał *Połączoną grupę bojową* tyle razy, że rozpoznaje jej głos.

- Ty jesteś Delphi!

- Chodźmy, Shelley - mówi ona. - Nie chcę być na otwartej przestrzeni, zwłaszcza gdy nie mogę zidentyfikować wszystkich obecnych.

Idzie w stronę biurka ochrony, ciągnąc za sobą małą walizkę na kółkach. Nad stanowiskiem widnieje spory napis: „Względy bezpieczeństwa wymagają zdjęcia masek”. Spoko, jeśli o mnie chodzi.

Przedstawiamy się, po czym skanują nam twarze i potwierdzają spotkanie. W trakcie tego Elliot spogląda na mnie pytająco.

- Czy ona nie pracuje dla Nadzoru?

Uśmiecham się.

- Już nie.

Przepuszczają nas przez bramkę bezpieczeństwa i idziemy w stronę wind. Jedna stoi otworem. Wsiadamy, Delphi przyciska guzik osiemnastego piętra.

- To na dziewiętnastym - mówi Elliot, gdy drzwi się zamykają.

Delphi obdarza go łobuzerskim spojrzeniem.

- Shelley zaczeka piętro niżej, aż ocenię sytuację na dziewiętnastym. Mówiłeś komukolwiek o tym spotkaniu?

- Nie. Nie sądzę. - Elliot patrzy na mnie. - Co się dzieje?

- Nie zachowywałem się wczoraj paranoicznie - odpowiadam.

- Ktoś polował na ciebie?

Kiwam głową.

- Kto?

- Nie wiem. Chociaż jest mnóstwo kandydatów. Carl Vanda. Złowrogie Uther-Fen. Natywiści, urażeni pogwałceniem przeze mnie suwerenności kraju. Każdy rekin, który żałuje utraconych przywilejów. Prezydent?

- Co się więc stało? Wezwałeś policję?

Nie chcę przerażać go szczegółową relacją, więc mówi? jedynie:

- Policja nie może mi pomóc.

Winda zatrzymuje się na osiemnastym piętrze. W pobliżu nikogo nie widać, więc wysiadam. Elliot rusza za mną, a potem zmienia zdanie i zostaje z Delphi. Czeka przy oknie, spoglądając na miasto w dole. Delphi telefonuje po minucie.

- Czysto.

Idę w górę schodami.

\*

Koi Reisman Productions to mała firma, zatrudniająca trzy osoby. Sama Koi jest starszą, drobną kobietą o figurze tancerki. Jej gęste siwe włosy są splecione w warkocz, przerzucony przez ramię; mówi cicho, wyraża się precyzyjnie.

- Muszę wam powiedzieć, że istnieje klauzula poufności. Wiem, dlaczego tutaj przyszliście, ale nie mogę wiele ujawnić.

FaceValue wskazuje, że jest zdenerwowana. Robię zrzut obrazu i przesyłam go Delphi.

- To wszystko jest nieoficjalne - zapewnia ją Elliot. -Tak jak poprzednio.

Siedzimy w klubowej części przestrzeni recepcyjnej, w której stoją sofa i fotele. Jej dwaj pomocnicy i kierownik biura zniknęli w pomieszczeniach firmy.

Koi spogląda na drzwi, po czym wraca spojrzeniem do mnie.

- Elliot wykorzystał moją próżność. Nikt nie powinien wiedzieć, że to my zajmowaliśmy się tą produkcją, i odpowiadało mi to, kiedy zaczęliśmy pracę. Pieniądze były... są dobre. - Wzdycha i kręci głową. - W swojej karierze pracowałam przy wielu istotnych przedsięwzięciach, ale *Połączona grupa bojowa* jest absolutnie moim najlepszym dokonaniem, a nikt nie wie, że to zrobiłam, z wyjątkiem moich pracowników i Elliota, który pozwoliwszy mi wierzyć - spogląda na niego nieprzyjaźnie — że wie już, co jest grane, skłonił mnie do powiedzenia więcej, niż powinnam była ujawnić.

Elliot jest zaniepokojony.

- Czy ktoś odkrył, że rozmawiałaś ze mną?

- To musiało się wydać — mówi ostrożnie.

Najwyraźniej czuje się niezręcznie, martwiąc się tym, co może powiedzieć, więc zanim postanowi nic nie mówić, pytam o to, co interesuje mnie najbardziej:

- Ile odcinków zaplanowano? Czy tylko czwarty?

Koi marszczy brwi, nie patrząc mi w oczy.

- Nie będzie odcinka czwartego. *Połączona grupa bojowa* się skończyła. Doniosły o tym wszystkie media.

Nie wierzę jej. Siedząc przez pięć miesięcy w celi, widziałem, że moja nakładka przesyła noc w noc zarejestrowany materiał.

- To nie koniec - upieram się. - Jest więcej nagrań filmowych. Widziała je pani, prawda? Z sali sądowej?

Przygryza wargę, po czym szepcze:

- Och, pieprzyć klauzulę poufności. Ze wszystkich ludzi pan zasługuje na to, żeby wiedzieć. To nie jest czwarty odcinek, tylko nowy serial. Kontrakt opiewa na trzy epizody...

- Trzy? - Zaczynam się pocić, zastanawiając się, skąd może pochodzić materiał na trzy odcinki oraz czy zostanę w to znowu wplątany.

Koi czujnie obserwuje mnie szeroko otwartymi oczyma.

- Pierwszy epizod skończyliśmy w czasie weekendu. Zostanie wyemitowany dzisiaj wieczorem jako pokaz specjalny. Serial jest zatytułowany *Przeciwko bestii*. Ja i mój personel uważamy, że ma to podwójne znaczenie - odnosi się do rekinów pokroju Thelmy Sheridan, które narażają świat na niebezpieczeństwo, oraz do Objawienia świętego Jana, w którym smok przyzywa bestie Apokalipsy - to metafora broni jądrowej. Przynajmniej my tak to interpretujemy. -Wzdycha, a potem uśmiecha się przeprasza. - Żyjemy w wariackim patchworku tradycji kulturalnych. Nasze mitologie się mieszają tak samo jak my. Nie ma w istocie znaczenia, czy nasza interpretacja jest właściwa. Liczy się tylko to, że tytuł znajduje oddźwięk wśród widzów.

Chcę wiedzieć wszystko o nowym cyklu: kto w nim uczestniczy i jak idzie praca? Bo być może zrozumieć wtedy cel tych programów i domyślę się, co nas czeka.

- Kto się z panią kontaktuje?

- Jedynie urzędniczka obsługująca państwowe kontrakty, ale tylko w kwestiach finansowych. Rozmawiałam z nią. Nie ma pojęcia, co tutaj robimy. Otrzymuje polecenia zaaprobowania przelewów i je akceptuje.

- Nie ma więc bezpośredniego nadzoru?

- Żadnego.

- A jak dużo materiału filmowego otrzymujecie? Musicie oglądać na szybkim przewijaniu

dwudziestoczworogodzinny zapis z każdego dnia?

- Nie! Nie, nie, nie. Nigdy byśmy sobie z tym nie poradzili w czasie, jaki nam dano. Otrzymujemy dłuższe fragmenty, które opracowujemy. Nie oglądamy nudnych rzeczy - milczenia, snu i higieny osobistej - których nikt nie jest ciekawy.

- Nie wie pani, kto wybiera owe fragmenty?

- Nie.

- Dostajecie codzienne uaktualnienia?

- Nie, przychodzą co kilka dni; katalog plików z ujęciami z różnych kamer. Zapis z pańskiej nakładki stanowi tylko część materiału. Mnóstwo się dzieje, zwłaszcza w nowym odcinku. Nosi tytuł *Ciężkie próby*, liczba mnoga, gdyż próbom poddawana jest uczciwość wszystkich głównych postaci.

- A co z dwoma kolejnymi odcinkami? Widziała pani scenariusz, zarys fabuły, cokolwiek takiego?

- Nie. Nie ma nigdy scenariusza. Zmontowanie spójnej fabuły z otrzymanego materiału należy do mnie.

- Z mojego życia?

- W wypadku *Połączonej grupy bojowej* tak.

- Dlaczego uważa pani *Połączoną grupę bojową* za swoje największe osiągnięcie? - odzywa się pierwszy raz Delphi. Dla mnie to osobliwe pytanie, ale Koi tak nie uważa.

- Bo opowiada ważną historię, która przemawia do bardzo wielu różnych ludzi. W dzisiejszych czasach większość programów skierowana jest do wąskiego kręgu odbiorców.

*PGB* była inna. Docierała do całego szeregu małych grup widzów. Zawierała uniwersalne przesłania, które przekraczały granice podziałów demograficznych; przesłania, które wpłynęły na mnóstwo ludzi, zainspirowały ich i zjednoczyły... pokazały im, że jednostki mogą coś zmienić, nawet jeśli trzeba za to zapłacić wysoką cenę.

- Manifestacja na National Mall - mówi Elliot. - Doszło do niej wyłącznie dzięki temu programowi.

Koi pochyła się, opierając łokcie na kolanach; jej warkocz się kołysze. Mówi konspiracyjnym szeptem:

- To cel tego programu - zmienić kierunek, w jakim zmierza kultura. Tak to widzę. Historia się rozwija, poruczniku Shelley. Oczywiście wasz proces przed sądem wojskowym to część nowego odcinka, ale jedynie niewielka. Nie sądzę, żeby musiał się pan przejmować dwoma

kolejnymi epizodami, gdyż pańska rola kończy się wraz z waszym ułaskawieniem.

Miałem więc rację.

- Czy w nowym cyklu występują inni żołnierze? - pytam. - Ktoś taki jak ja?

Czuję, że Delphi sztywnieje obok mnie. Kładzie mi dłoń na ramieniu, co sprawia, że się zastanawiam, co ona wie, ale o to mogę zapytać później. Na razie patrzę na Koi, która mówi:

- Nie, nie ma innych żołnierzy. Są jednak nowe przygody i nowe postaci - na Mall, na ulicach, wśród przygodnych świadków. Bohaterowie, którzy przechodzą własne ciężkie próby, własne procesy, którzy chronili was bez pańskiej wiedzy, poruczniku Shelley, i przeszkadzili w powtórce Dnia Komy.

Zastanawia mnie, co powiedziała.

- Co to znaczy „powtórce”? Mówi pani, że była jeszcze jedna bomba nuklearna? Blisko nas? Blisko sądu w Dystrykcie Kolumbii?

Zaciska usta, jakby chciała dochować tajemnicy, ale potwierdza to skinieniem głowy. Jakby nie potrafiła się powstrzymać, dodaje:

- Uważani, że tytuł zdradza nam temat nowego serialu.

- Bomby atomowe?

Koi odchyła się i przyciska kłykcie do warg, najwyraźniej się zastanawiając, jak wiele może ujawnić.

- To tylko mój domysł. - Potem wstaje gwałtownie. -I nie powiem już nic więcej, bo nie chcę, żeby mi odebrali ten projekt. Chcę w tym uczestniczyć. Chcę zrobić dwa kolejne odcinki, a to oznacza, że musicie wyjść.

Nikt nie protestuje. Ruszamy do drzwi. To dziwne uczucie, mieszanka ulgi i silnej nostalgii, że to oficjalnie skończone, zostałem uwolniony - koniec z królem Dawidem, bo Czerwień nie opowiada już mojej historii. Jakiemukolwiek zwrotowi fabuły muszę stawić czoło w przyszłości, zrobię to na własną rękę.

\*

- Nie podoba mi się to - mówi Elliot, kiedy tłoczmy się wszyscy na tylnym siedzeniu taksówki, przy czym ja tkwię w środku. - Jeśli Koi ma rację, to twoje przygody powinny się skończyć. Dlaczego zatem ktoś próbuje cię zabić?

- Bo „żyli długo i szczęśliwie” to zawsze bajka.

- Hm. To co zamierzasz?

- Iść do domu.
- Czy to bezpieczne?
- Pewnie nie, ale potrzebny mi sprzęt. Śniadanie. Muszę zadzwonić w kilka miejsc.

Muszę także pogadać z tatą, ale nie śpieszy mi się do odbycia tej rozmowy.

Spoglądam na Delphi.

- Muszę wiedzieć, co zrobisz.

Delphi patrzy ostro na Elliota.

- Co? - pyta Weber z obrażoną miną.

Biorę ją za rękę.

- Delphi i ja musimy omówić kilka spraw.
- Na przykład to, jak zamierzasz nie dać się zabić?

- Chyba tak.

- Jednak żadnych więcej tajnych misji? To nie o tym chcesz rozmawiać, co?

Nie bardzo wiem, co na to odpowiedzieć. Moje wahanie budzi podejrzliwość Elliota.

- Niech cię szlag, Shelley! Jest dokładnie tak samo jak ostatnim razem w San Antonio, kiedy powiedziałaś, że nie zrobisz nic głupiego.

- Nie wiem, co zrobić. Muszę się nad tym zastanowić.

- W towarzystwie współuczestniczki działań wojennych? - Patrzy wilkiem na Delphi.

Ta odwraca się w stronę okienka.

- Wyłącz z tego Delphi - ostrzegam go. - Jest tak, jak wczoraj powiedziałaś, Elliot. Nie mogę odzyskać dawnego życia, więc muszę się przystosować.

Taksówka zajeżdża przed mój apartamentowiec. Tłum mediotów stopniał do trzech osób. Śledzą podejrzliwym wzrokiem taryfę, czekając na to, kto się wynurzy zza jej przyciemnianych szyb. Delphi przygląda się mediotom.

- Byli tutaj wczoraj. Wolni strzelcy. Mają duże dossier.

- Więc przypuszczalnie nie będą próbowali mnie zabić? - pytam, płacąc taksówkarzowi.

Delphi spogląda na mnie ponurym wzrokiem zza paska przezroczystego wizora.

- Nigdy nie wiadomo. Wsiądę pierwsza, wyjmę walizkę z bagażnika. Kiedy się odwróca, żeby mi się przyjrzeć, masz ruszyć z kopyta... prosto do budynku.

Wysiada. Tak jak kierowca. Odwracam się do Elliota.

- Dzięki, że zabrałeś mnie na spotkanie z Koi.

- Znikasz, co?

Jest zły. Nie winię go.

- Trzymaj się, dobra?

- Niezła rada, Shelley. Taka, której sam powinieneś posłuchać.

Otwieram drzwiczki, wysiadam z taksówki pod osłoną markizy i w trzech krokach docieram do drzwi wejściowych, a medioci wykrzykują za mną pytania. Sięgam do panelu i przypominam sobie zbyt późno, że nie sprawdziłem, czy ojciec odnowił mi dostęp, ale to nie są rzeczy, o jakich zapomina. Zamek szczeka i wpadam do wnętrza, ignorując mediotów. Kiedy jest jasne, że udało mi się im uciec, medioci skupiają uwagę na Delphi, ale ona znajduje się tylko o krok za mną i przechodzi obok nich nienagabywana.

Obejmuję ją w windzie, gdzie jesteśmy sami. Całuję ją we włosy.

- Ojciec jest w pracy - szepczę - ale ma w mieszkaniu kamery bezpieczeństwa.

- Kiepsko - mówi z żalem. - Będę cię musiała pocałować teraz.

I robi to.

\*

Rozmawiam przez telefon z Anne Shimą, gdy ojciec zjawia się w mieszkaniu, tak wściekły, że aż się trzęsie ze złości.

- Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć? - pyta.

Oboje wstajemy z sofy. Delphi obchodzi mojego tatę i zmierza do drzwi, a ja mówię Shimie, że oddzwonię później.

- O co chodzi, tato? - pytam.

- Twój przyjaciel Elliot Weber odwiedził mnie w biurze. Powiedział, że wczoraj wieczorem miałeś kłopoty. Jak widzę po twojej twarzy, nie kłamał. Odniósł wrażenie, że zamierzasz zrobić coś głupiego. Wyruszyć na kolejną tajną misję? Zaryzykować ponownie życie?

Zdawało mi się, że mogę ufać dyskrecji Elliota. Teraz znam prawdę.



- Nie chciałem cię martwić, tato, ale zamierzałem ci posiedzieć. Wyjeżdżam z Nowego Jorku. Muszę.
- Nie musisz.
- Wczoraj próbowano mnie zabić.
- A ty nie wezwałeś nawet policji, bo chcesz się zatroszczyć sam o siebie? Skąd ci przyszło do głowy, do diabła, że to dobry pomysł, żeby należeć do straży obywatelskiej?
- Nie o to chodzi. Ja też chcę, żeby się to skończyło, ale tak nie jest. Musisz to zrozumieć.
- Nie. Rozumiem tylko to, że ponownie marnujesz sobie życie. Spójrz na siebie! Stoisz tutaj na sztucznych nogach. O włos uniknąłeś dożywocia. Lissa nie żyje. Nie żyje z powodu twojej awanturniczości, a ty już ją zastąpiłeś? -Wskazuje gestem Delphi, która stoi przy drzwiach, gotowa się wymknąć.
- Tato, to jest Karin Larsen.
- Elliot powiedział mi, kim ona jest.
- Nie jest niczemu winna. Nie uczestniczyła w „Brzasku”.
- Wyjeżdżasz już? Tak?
- Tak.
- Więc nie wracaj.

Z początku nie dociera to do mnie, bo jestem zbyt oszołomiony słowami, których nie spodziewałem się kiedykolwiek usłyszeć. Potem instynktownie ruszam ku niemu.

- Tato...

Powstrzymuje mnie wyciągniętą dłonią.

- Nie. Kocham cię najbardziej na świecie, Jimmy, ale nie mogę przechodzić tego jeszcze raz. Nie wiem, gdzie popełniłem błąd. Nie wiem, co się, cholera, stało, co uczyniło cię takim. Winiłbym o to okablowanie w twojej głowie, ale byłeś już taki, gdy miałeś dziewiętnaście lat. - Patrzy na mnie, stary i siwy, ale nie słaby; w żadnym wypadku. -Nie przejdę przez to ponownie, nie chcę czekać na wiadomość, czy przeżyjesz, czy umrzesz. Jeśli wyjdiesz teraz, wyjdiesz na zawsze.

Zapada milczenie. Ikona neuronetki mruga. W głowie rozbłyskują mi i giną załączki planów. Ale wiem już, co muszę powiedzieć.

- Chcę, tato, żebyś wyjechał ze mną. Ty także nie jesteś tutaj bezpieczny. - Podchodzę krok bliżej. - Wyjedź ze mną. Proszę.

- Żeby twoi przyjaciele strzegli mnie w ten sam sposób, w jaki chronili Lissę? Nie, dziękuję. Mam własne zabezpieczenia. Zaryzykuję tutaj.

To koniec. Odwraca się i wychodzi. Delphi go obserwuje z twarzą skupioną, pozbawioną wyrazu, nieobecną, aż drzwi się za nim zamykają. Potem opiera się o ścianę, zaciskając powieki.

- Jesteś pewny? - pyta szeptem.

Nie.

Ale nie mogę tutaj zostać.

\*

Z wojska wyniosłem jedną ważną lekcję: skup się na tym, co trzeba zrobić w danej chwili.

Dzwonię więc ponownie do Shimy.

Typowy amerykański mężczyzna powinien być niezależny i zdolny dawać sobie radę z własnym bałaganem, ale ja? Byłem pod ochroną wielkiej i onieśmielającej maszyny. Moje codzienne życie w wojsku bywało niebezpieczne, ale mieszkałem w chronionych ośrodkach, miałem dostęp do broni i byłem w stanie strzec siebie oraz tych, na których mi zależało. Po zaledwie czterdziestu godzinach samodzielności nie mogłem się doczekać, żeby dostać się ponownie pod skrzydła podobnej organizacji.

Próbuję omówić z Shimą szczegóły - czego ona chce, do czego dąży jej związek tajemniczych dupków, co z tego będę miał, ale rozmowa rwie się raz po raz, głos Anne przedzielają długie okresy ciszy, a po minucie połączenie zanika kompletnie.

Nie minęło jeszcze pół roku od Dnia Komy; nie dość, żeby odbudować to, co zostało zniszczone. W końcu przysłała mi e-mail, zapraszając na spotkanie; bez zobowiązań.

Delphi siedzi na końcu sofy z tabletem na kolanach, pogrążona w jakimś działaniu, jej palce tańczą na wyświetlaczu; gdy się jej przyglądam, przez niemal minutę jest niewiadoma mojego spojrzenia. Myślę o niej, myślę o Lissie, ważąc słowa ojca - i wiem, że się myli. Związek z Delphi jest zbyt świeży, żeby go definiować. Nie da się powiedzieć, dokąd zmierza. Wiem jednak tyle: bez względu na to, co zajdzie między mną i Delphi, Lissa stanowi część mojego życia i zawsze tak będzie; nic na tej relacji nie zostanie nadpisane.

Gdyby żyła...

Nie.

Nie będę udawał.

Lissy nie ma. Nigdy jej nie odzyskam.

Kiedy jednak przyglądam się Delphi, której kontury twarzy otula padające z okna światło, serce wypełnia mi uczucie wdzięczności, że jest tutaj ze mną.

- Delphi?

- Uhum?

- Sprawy między nami posuwają się dosyć szybko...

Jej palce nieruchomieją nad wirtualną klawiaturą. Potem zdejmuje wizor i patrzy na mnie taksująco.

- Naszły cię wątpliwości, Shelley?

Uczciwszy mężczyzna odpowiedziałby twierdząco.

- Chciałem zapytać, czy jesteś gotowa pójść za mną na koniec świata.

Zadziiera brodę.

- A dokąd dokładnie?

Przesyłam jej e-mail od Shimy.

- Północny Wyoming.

- Kawał drogi. - Zanim spojrzy na mnie ponownie, przygląda się uważnie wyświetlaczowi tabletu. - Będzie nam potrzebny samochód.

- Czy w twoich ustach oznacza to zgodę?

- Tak.

Wymieniamy uśmiechy.

Elliot nazwał ją współuczestniczką działań wojennych i to prawda. Ja i Delphi jesteśmy od dawna razem. Uważam, że poznałem ją całkiem dobrze, a ona wie wszystko, co można wiedzieć o mnie - kim jestem, przez co przeszedłem - i sama przeszła wiele ze mną. Wiemy, jak współdziałać ze sobą.

Wraca do opracowywania planu, który pozwoli opuścić nam miasto; ja zajmuję się nawiązaniem ponownego kontaktu z oddziałem. Jedyne numer, jak mam, należy do Flynn, więc go wybieram. Zaskakuje mnie, że zgłasza się Jaynie.

Żadnych powitań; Shima musiała dać jej znać, gdyż Jaynie przechodzi wprost do sedna.

- Zdecydowałaś się, Shelley? Jedziesz do Wyomingu?

- Tak.
- Miałeś jakieś kłopoty?
- Snajpera...
- Cholera. Oberwałeś?
- Nie.
- Czerwień czuwała nad tobą?
- Nie. Nie było ostrzeżenia. Miałem po prostu szczęście. - Patrzę na Delphi; wyszczerza się do mnie. - A co z tobą? - zwracam się do Jaynie. - Coś cię spotkało?
- W porównaniu z twoją przygodą same drobiazgi.
- Zaufaj mi, że wszystkie dramatyczne sceny będą moim udziałem.
- Zauważyłam. Jesteś tam bezpieczny?
- Na razie, ale...
- Żadnych „ale”. Zostań tam, gdzie jesteś. W ukryciu. Przyjedziemy po ciebie.

Czuję prawdziwą ulgę. Bez względu na to, jak mądry się okaże nasz następny ruch, zdani z Delphi na siebie jesteśmy bezbronni. Wyciągam do niej rękę, a ona ujmuje ją, Patrząc na mnie pytająco.

- Musimy zdobyć dla ciebie kamizelkę - mówię.
- Mam ją - odpowiada Jaynie, nieświadoma obecności przy mnie Delphi. - A także naszego anioła. Chudhuri wydarła go z jakiegoś magazynu i oddała nam.

Nasz oddziałowy dron - chciałbym go mieć tutaj.

- Kto w to wchodzi?
- Wszyscy.
- Nawet Moon? Uważałem, że jest mądrzejszy od was.
- To nie wytrzymało próby czasu. Wrócił na dawne tory. Zaplanowałam przystanek, żeby załatwić broń...
- Nie możesz przywieźć broni do miasta, Jaynie.
- Mam to w dupie, Shelley. Przywożę broń.

W porządku. Mam nadzieję, że policyjne drony także będą miały to w dupie.

- Przyślij swój adres. Ustalę przewidywany czas przybycia za półtorej godziny.

To mnie zaskakuje.

- Półtorej godziny? Z Dystryktu Kolumbii jedzie się niemal cztery.

- Wyjechaliśmy już jakiś czas temu.

- A gdybym powiedział, że nie jadę?

Przysięgam, że słyszę, jak się uśmiecha.

- Jesteś przewidywalny, Shelley. Shima stworzyła twój profil psychologiczny. Przewidziała twoją decyzję.

Shima nie jest pierwszą osobą, której się to udało.

- Jaynie, jest ze mną Delphi. Ona także jedzie z nami do Wyomingu.

Krótkie milczenie. Potem:

- Chwila... Delphi? Twoja opiekunka?

- Taa. Odeszła z Nadzoru.

-I przyjechała do Nowego Jorku, żeby cię odszukać? Słyszę w jej głosie podejrzliwość, która mi się nie podoba.

- Ufam jej, Jaynie. Całkowicie.

- Miło mi to słyszeć - mówi, nie zmieniając podejrzliwego tonu - ale potrzebuję trochę czasu, zanim się z tym oswoję. Jesteśmy w sklepie z bronią. Muszę kończyć. Przyślij adres.

Rozłącza się. Delphi patrzy na mnie.

- Przyjeżdżają - wyjaśniam jej.

- Domyśliłam się. Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości w związku z moim uczestnictwem...

- Nie. Nie mam, a ty i tak należysz do oddziału, nawet jeśli Jaynie cię nie zna. - Wyciągam do niej ramiona. Odkłada tablet oraz wizor i pada w moje objęcia. - Ale muszę zapytać, dlaczego chcesz to zrobić.

Opiera się o mnie i zastanawia nad tym.

- Nie mam istotnego powodu, z wyjątkiem tego, że żyjesz, a ja chciałabym, żeby tak zostało.

Poza tym nie pracuję od miesiący i nudzę się jak jasna cholera.

To pochlebiające.

- Idziesz zatem ze mną na samowolną akcję i zostajesz najemniczką z nudów?
- Kto powiedział, że mam być najemniczką? Nie słyszałam o żadnej ofercie pracy.
- Jest praca. Ja ci ją proponuję.
- Ty? - Podnosi na mnie wzrok, brwi ma wygięte pytająco. - A co to za robota?

Jej niebieskie oczy prowokują mnie. Muszę odwrócić spojrzenie.

- Jest tutaj kamera bezpieczeństwa.

Mimo to wchodzi mi na kolana i całuje mnie w usta. Chociaż musimy się przygotować do wyjazdu, to i tak poświęcamy na karesy kilka minut. Przerwywamy dopiero wtedy, gdy budynek się trzęsie. Delphi odsuwa się i rozgląda. Chwilę później słyszymy grzmot eksplozji.

Zsuwam się z kanapy na podłogę, z Delphi w ramionach. W jej oczach zapala się błysk zaskoczenia, a potem leży obok mnie na dywanie, trzymając delikatnie dłoń na moim policzku.

- Spokojnie. To gdzieś daleko.
- Nie tak bardzo - warczę.

Przez izolację akustyczną mieszkania przesącza się zawodzenie syren i wściekły ryk klaksonów samochodowych. Delphi przechyla głowę, żeby wyjrzeć przez okno. Podążam za jej wzrokiem. Kilka przecznic dalej kipi gęsty obłok czarnego dymu, wzbijając się pod niebo. Podnosimy się i stajemy ostrożnie z boku okna, żeby się przyjrzeć. Dym wznosi się w pobliżu Penn Station. Włączam funkcję nagrywania nakładki, bo chcę to zarejestrować. Delphi bierze swój wizor i robi to samo.

- To nic niezwykłego — mówi cicho. — Niemal codziennie gdzieś w kraju wybuchają bomby, chociaż ta jest duża.
- Sądziłem, że kraj dochodzi do siebie.
- W areszcie nie miałeś swobodnego dostępu do informacji, co?
- Nie.

- Oficjalna wersja, o której prawdziwość modli się większość mediotów, brzmi tak, że Czerwień nie istnieje. Jednak typy paranoidalne wiedzą, że to kłamstwo. Thelma Sheridan jest ich guru. Chcą się pozbyć Czerwieni bez oglądania się na koszty. Istotne cele, takie jak pozostałe serwerownie i kable podmorskie, są teraz mocno strzeżone, więc terroryści biorą na

cel mniejsze obiekty, na przykład wieże telefonii komórkowej i pojedyncze serwery, które są zdolni zaatakować. Coraz częściej jednak to przypadkowe działania.

- Jak ładunek jądrowy w Dystrykcie Kolumbii?

- Nietrudno mi w to uwierzyć. Ani trochę.

Za oknem na dole ruch uliczny utyka, co wywołuje stłumiony chór beczących klaksonów. Kierowca na końcu przecznicy nie ma ochoty czekać. Odrapana stara furgonetka z plamami rdzy na dachu wjeżdża gwałtownie na trotuar, zmuszając dwóch przestraszonych przechodniów do uskokzenia jej z drogi. Jadąc dwoma kołami w rynsztoku, pojazd gna po chodniku, a ja wiem, że zbliża się uderzenie. Gdy furgonetka zatrzymuje się dokładnie pod nami, chwytam Delphi za ramię i odciągam ją od okna.

- Uciekaj! Na korytarz!

Chciałbym móc ostrzec pozostałych mieszkańców budynku i wszystkich ludzi, którzy utknęli w korku.

Delphi jest opiekunką, i to cholernie dobrą. Nie traci czasu na zadawanie pytań czy protesty, gdy pędzimy przez salon i foyer. Otwierani z rozmachem drzwi i wypycham ją na korytarz, po czym zatrzaszukuję je za sobą dokładnie w chwili wybuchu.

Podmuch eksplozji toczy mnie bezwładnie wzdłuż korytarza. Ciśnienie jest jak szklane drzazgi w uszach. Nie mogę złapać oddechu. Leżę na podłodze, która drży pode mną; nienaturalny ruch, któremu towarzyszy odgłos schodzącej lawiny. Wszędzie unosi się kurz tak gęsty, że nic nie widzę. Ogarnia mnie betonowy pył, zimny wiar i stłumione krzyki na tle ogłuszającego dzwonienia w uszach. Podłoga przestaje wibrować, a kurz się przerzedza; część opada, a większość unosi wiatr.

Obie ściany korytarza są nietknięte, ale drzwi mieszkania wiszą na wyłamanych zawiasach, a z framugi sterczą rozerwane czarne kable. Samo mieszkanie jest rozświetlone wiosennym słońcem, którego promienie rozprasza obłok pyłu osiadającego na poprzewracanych meblach. Zewnętrzna ściana zniknęła, okna w budynku po drugiej stronie ulicy są wybite.

Odwracam się, żeby spojrzeć na Delphi. Leży na podłodze - przewrócony posąg, odcisnięty w szarym pyłe. Powraca z wolna do życia, unosi głowę, zdejmuje wizor i kaszle gwałtownie, wstając na czworaki.

Po co, kurwa, sprowadziłem ją tutaj? Nigdy nie powinienem był się do niej zbliżać. Nie powinienem był wracać do domu. Powinienem był zerwać stosunki z ojcem w sobotę wieczorem i pojechać prosto do Anne Shimy, uzbroić się we wszystko, co mogłaby mi zaoferować, i ruszyć na polowanie na Carla Vandę.

Ruszam za nim teraz. Przysięgam.

Kurwa mać.

Wstaję - przynajmniej protezy działają nadal - i pomagam podnieść się Delphi. Ma wszystkie kończyny, żadnych złamań. Nie widzę krwi.



Obejmuję ją. Muszę ją wyprowadzić z budynku.

- Chodź - mówię; głos w moich nadwerężonych uszach brzmi głucho.

Kiedy idziemy w stronę schodów, w korytarzu otwierają się drzwi. Na zewnątrz wychodzi zataczająca się kobieta tak gruntownie pokryta pyłem, że nie wiem, w jakim jest wieku. Z innego mieszkania wyłania się starszy mężczyzna.

- O mój Boże - zawodzi. - O mój Boże.

Wszyscy docieramy do klatki schodowej i dołączamy do exodusu zmierzających na dół ludzi.

- Rury gazowe! - wykrzykuje jakaś kobieta. - Co będzie, jak wybuchną?

Wydostajemy się na ulicę. Panuje chaos. Samochody stoją nadal zderzak w zderzak. Ludzie wołają o pomoc. Tam, gdzie wznosiła się fasada mojego apartamentowca, znajduje się teraz hałda gruzu. Potrzaskany beton, suche tynki, drewniane boazerie, połamane meble i popękane rury, z których tryska na to woda. Bóg jeden wie, kto tam jest pogrzebany pod spodem. Pozostała część chodnika jest zasłana odpryskami szkła.

Z sąsiednich ulic nadbiegają przerażeni ludzie, szukający pomocy; inni uciekają. W oddali wyją syreny, ale policja nie może tutaj dotrzeć z powodu zatoru ulicznego. Na końcu przecznicy pojawia się samotny gliniarz na motocyklu; jedzie przeciwnym chodnikiem.

Po drugiej stronie ulicy wszystkie okna niższych pięter trzydziestosiedmiopiętrowego kondominium są wybite, a drzwi zredukowane do postaci wygiętych stalowych framug. Obok rumowiska idzie mężczyzna w garniturze, porusza się czujnie, ale spokojnie. Obserwuję go poprzez dym, płomień i opadający w powietrzu pył.

Nakładka nie identyfikuje go z powodu staromodnej fedory na głowie, przyciemnianego wizora i błyszczącej maski, podobnej do tej, jaką pokazał mi major Ogawa.

Nie muszę jednak widzieć jego twarzy. I tak go znam. Jego krótki pobyt w sali sądowej wywarł na mnie niezatarte wrażenie. Rozpoznaję go na podstawie cech biometrycznych - wzrostu oraz wychudłej sylwetki o zbyt prostych plecach. A także za sprawą kinetyki, szczególnego rodzaju chodu, oszczędzającego prawe biodro.

Carl Vanda.

Ściska ciemnoszary twardy futerał, wystarczająco długi, żeby zmieścić w nim rozłożony na części karabin snajperski. Mija połamane drzwi i przystaje, nie zważając na niebezpieczeństwo w postaci spadającego szkła, po czym zwraca zamaskowaną twarz ku przeciwległej stronie ulicy i patrzy... prosto na mnie.

Vanda wsuwa prawą dłoń pod marynarkę; dokładnie w chwili, gdy jego broń strzela, chwytam Delphi i pociągam ją za sobą na ziemię, za osłonę płonących samochodów. Srebrne pszczoły - cały magazynek stalowych strzałek -przeszywają z wizgiem powietrze w miejscu, gdzie

staliśmy jeszcze przed chwilą, po czym w samobójczym amoku kłusują zrujnowany apartamentowiec.

Delphi wyrywa się z moich objęć. Stara się uwolnić.

- Zostań na ziemi! — proszę.

Ktoś, zapewne policjant na motocyklu, woła:

- Rzuć broń!

Jest jak w filmie.

Nie widzę, co się dzieje, ale słyszę drugi wystrzał broni Vandy. Ktoś zaczyna krzyczeć; napędzane adrenaliną wycie bólu. Włoski stają mi dęba na ramionach, gdy przypominam sobie innych rannych, w innych sytuacjach, krzyczących w ten sam sposób.

Kłękam i unoszę głowę tylko na tyle, żeby móc zerknąć ponad maską najbliższego auta. Żar płomieni sprawia, że powietrze błyszczy i faluje, co zniekształca sylwetkę ubranego w szary garnitur Vandy, ale nie maskuje jej, gdy oddala się on truchtem.

Za nim, na rogu, stoi mężczyzna: nieruchomy punkt w ulicznym chaosie.

Chowam się ponownie, starając się zrozumieć, co właśnie widziałem. Facet na rogu to obcy; znajduje się zbyt daleko, żeby moja nakładka go zidentyfikowała. Ma metr osiemdziesiąt wzrostu i atletyczną budowę ciała. Ubrany w roboczą koszulę, spodnie i brązową kurtkę. Siwe włosy, ostrzyżone po wojskowemu. Obserwował mnie? Nie. Patrzył na Carla Vandę; poza tym trzymał taką samą szarą walizeczkę jak tamten. To zwróciło moją uwagę.

Spoglądam ponownie. Człowiek w brązowej kurtce zniknął z rogu, a Vanda idzie nadal w tę samą stronę, omijając w drodze do następnej przecznicy unieruchomione pojazdy

- Strzelec jest tam nadal? - pyta Delphi wysokim głosem.

- Nie, odchodzi. To Carl Vanda...

- Carl Vanda? Wiesz to na pewno?

- Tak.

- Miał na twarzy maskę.

- To był on. Jesteś ranna? Możesz wstać?

- Nic mi nie jest.

Podnosimy się razem i patrzymy na drugą stronę ulicy.

- Czy Vanda postrzelił policjanta?

- Taa.

Policjant już nie krzyczy.

Mając za plecami Delphi, przechodzę między płonącymi samochodami.

Znajdujemy gliniarza na przeciwległym chodniku. Leży na boku, jęcząc i ściskając krwawą papkę twarzy, poszarpanej przez stalowe strzałki. Obok leży jego służbowa broń. Zatrzymuję się i podnoszę ją.

- Zrób dla niego, co możesz, Delphi.

Patrzy na mnie z czystą, zimną furją, gdyż wie równie dobrze jak ja, że policjant może umrzeć za minutę, ale znikam, zanim udaje się jej powiedzieć: „Zostań”.

To moja szansa. Carl Vanda nie jest sam, ale porusza się na piechotę, i to niezbyt sprawnie. Wiem, że mogę go dopaść.

\*

Syreny zawodzą. Helikoptery kreślą nad budynkami maniackie pętle. Mikrodrony śmigają obok mnie, gnając na miejsce wybuchu, żeby zebrać żniwo cyfrowego zapisu. Idę w przeciwną stronę.

Ludzie opuszczają budynki wzdłuż całej ulicy. Stoją w małych grupkach na trotuarach i wśród unieruchomionych aut; obserwują kłęby wznoszącego się dymu, opowiadają sobie przeżycia, rozważają stopień zagrożenia. Kilku śmiazków rusza ku miejscu katastrofy. Przemykam między nimi z bronią trzymaną blisko przy boku. Nikt jej nie zauważa. Zbyt wiele jest do oglądania, zbyt wiele się dzieje.

Nie widzę faceta w brązach, ale w połowie następnego kwartału domów miga mi postać Vandy. Zwolnił do normalnego kroku, ale to jest tempo nowojorskie, którym pokonuje się dystans ze wściekłą szybkością. Nie ogląda się. Nie sędzę, żeby wiedział, że idę za nim. Znika za rogiem...

To się dzieje po raz trzeci. Powietrze się rusza, a potem przez miasto przetacza się grzmot kolejnej potężnej eksplozji. Dochodzi do niej gdzieś na północy miasta, odgłos wybuchu dudni między wieżowcami. Ludzie krzyczą. Znikają z chodników, chowając się do wnętrza, dzięki czemu nic mnie nie spowalnia.

Biegnę do rogu budynku i wyglądam zza jego olicowania z czarnego marmuru.

Następna ulica wygląda dokładnie tak samo jak poprzednia, jest zablokowana przez samochody, które jadą donikąd. Pomiedzy nimi kręci się kilkoro ludzi. Słychać klaksony. W moją stronę biegnie niezdarnie na wysokich obcasach kobieta w średnim wieku. Vanda jest za

nią, niemal na końcu kwartału domów. Wychodzę za róg.

Może czuwa nad nim opiekun obsługujący mikrodrona. Może facet w brązach jest przyczajony gdzieś, gdzie go nie widzę, i pilnuje, czy nikt nie podąża za jego szefem. Nie wiem. Jestem jednak w połowie długości przecznicy, gdy Vanda zostaje powiadomiony, że się zbliżam.

Kiedy przechodzi przez jezdnię, odwraca się do mnie, otoczony przez zamarłe samochody. Upuszcza na ziemię walizkę z karabinem i wycelowuje we mnie potężny pistolet, który trzyma obiema rękoma. Ze względu na postronnych na trotuarze i w samochodach nie mogę odpowiedzieć ogniem. Niektórzy widzą jego broń i krzyczą. Nurkuję w zagłębione wejście do cukierni, modląc się, żeby Vanda nie strzelał, nie widząc celu.

Nie słysząc strzału.

Czeka na mnie? Ucieka?

Przyglądam się autom, ich kierowcom, pierzchającym przez ulicę pieszym, szukając faceta w brązach, bo nie chcę mieć go za plecami.

Żałuję, że nie mam ze sobą ztkh - zintegrowany taktyczny karabin Harkina M-CL1a jest wyposażony w kamery celownicze, które pozwalają widzieć zza rogu - ale dysponuję tylko policyjnym pistoletem bez żadnych celowników elektronicznych. To zabytek muzealny. Cały budżet nowojorskiej policji musiał pójść na pojazdy pancerne, ale przynajmniej broń się nie blokuje, gdy posługuje się nią niezarejestrowany użytkownik.

Mija dziesięć sekund. Jedenaście. Dwanaście. Wychylam się, aż nazbyt świadomy, że nie mam hełmu, który wraz z moją martwą siostrą został w zrujnowanym mieszkaniu ojca. Szkoda, że nie miałem okazji nałożyć sprzętu. Zerkam zza krawędzi betonu, wyobrażając sobie, jak moje czoło się roztrzaskuje, ale nic się nie dzieje. Vandy nie widać, a jedyni pozostali cywile kulą się w swoich samochodach, przy czym większość z nich nawija wrzaskliwie przez telefony.

Chciałbym mieć naszego oddziałowego anioła.

Marnuję trzy kolejne sekundy na rozważanie, co robić. Jeżeli dla Vandy najważniejsze jest mnie zabić, to zaczeka gdzieś i zaatakuje z zaskoczenia, a ja nawet się nie zorientuję, że coś się dzieje. Nie wydaje mi się jednak, żeby to był jego główny cel. Postrzelił gliniarza. Nowojorska policja zrobi wszystko, żeby się dowiedzieć, kogo skrywa maska. Obecny chaos i rzeź nie powstrzymają ich od nieustępliwego pościgu za nim, a on o tym wie. Przypuszczalnie już śledzą go za pomocą mikrodrona.

Przypuszczalnie śledzą także i mnie.

Pieprzyć to.

Podaję decyzję i ruszam szybkim biegiem, żeby ponownie dogonić Vandę; szacuję, że skoro zniknął tak szybko, to musiał skręcić w przecznicę, ale gdy docieram do rogu, nie widać go nigdzie.

- Dokąd poszedł? - wołam do taksówkarza, który popełnił ten błąd, że zostawił opuszczone szyby. - W którą stronę?

Facet kuli się jeszcze bardziej na swoim miejscu, ale wskazuje gestem w głąb ulicy.

- Za róg.

To krótka przecznica.

Śmigam między samochodami, wpadam na chodnik i szybko biegnę. Niemal docieram do rogu, gdy miastem wstrząsa czwarta eksplozja. Ten wybuch następuje gdzieś daleko, ale na moment wszystkie dźwięki znikają, zagłuszone przez grzmiący ryk, który zbiera żniwo kolejnych istnień.

Wobec tego, że zagłusza odgłos moich kroków, wypadam zza rogu... i przekonuję się, że moja ocena priorytetów Carla Vandy jest błędna. Czeka na mnie zaledwie parę metrów dalej wraz z facetem w brązach.

Vanda stoi na wpół ukryty za fryzowanym pilastrem stanowiącym element fasady nowego kondominium. Trzyma wyciągniętą broń, ale nie patrzy na mnie, tylko na swojego towarzysza, który kuca za betonową donicą stojącą przy krawężniku. Ten brązowy unosi dłoń do wizora. Wygląda na faceta, który nadal szacuje swoje zasoby. Może stracił kontakt z dronem. Może z opiekunem. Jest jednak pewne, że nie spodziewał się mnie tak szybko. Kiedy się pojawia w jego polu widzenia, cofa się zaskoczony.

Vanda się nie cofa. Wychodzi zza występu muru i celuje we mnie ze swojej broni strzałkowej.

Nie mogę się zatrzymać. Biegnę zbyt szybko. Więc gnam dalej i rzucam się ku jego kolanom.

Vanda strzela. Strzałki lecą wachlarzem, ale za sprawą mojej robinsonady usuwam się z ich trajektorii. Jedno żądło kaleczy mi bark. Inne rykoszetuje z gwizdem od tytanowej stopy. Obejmuję ramieniem nogi Vandy i zwalam go na ziemię.

Uderza w trotuar barkiem, co ratuje go przed rozbiciem głowy, a broń przygniata własnym ciałem. Nadal trzymam policyjny pistolet. Próbuje wrazić mu go pod brodę, ale chwyta wolną ręką mój nadgarstek. Mocujemy się, tocząc się po chodniku. Spada mu kapelusz, a wraz z nim maska, ale ręka z pistoletem strzałkowym jest wolna.

Twarz Vandy dzieli od mojej centymetry: obnażone zęby, zmrużone oczy, napięte wszystkie mięśnie. Rzucam swój pistolet, sięgam obiema rękami po jego broń i walę grzbietem uzbrojonej dłoni Vandy o beton. Jego uchwyt słabnie, pistolet strzałkowy wypada, a ja sięgam po niego, ale facetowi w brązach udaje się interweniować. Kopniakiem odsuwa pistolet. Kopie mnie w żebra. Potem w brzuch. Może i w głowę, bo umyka mi sekunda czy dwie. Kiedy wmeldowuję się ponownie, Vanda stoi i mówi cichym, burkliwym głosem:

- Ona oszalała.

Nie mówi do mnie. Jeśli o niego chodzi, to jestem już martwy.

- Kończę z tym chaosem. Niamej to szkło.

Jakimś cudem leżę na plecach. Miga mi potężna lufa pistoletu strzałkowego, wycelowanego w moją twarz. Widzę broń na tle zadymionego, jasnoniebieskiego nieba, jak w stopklatce, zamrożoną w czasie, zaciśniętą w wielkiej dłoni o skórze ciemniejszej od karnacji Vandy. Kopię w tę dłoń. Wyrzucam stopę w górę niczym gimnastyk inicjujący salto w tył; tytan zderza się z ciałem w momencie wyrzucenia małych stalowych strzałek. Śmiertelne pociski lecą z warkotem pod niebo, wirująca broń spada na ulicę w deszczu krwi, a facet w brzoisie ucieka, klnąc:

- Kurwa mać, kurwa mać.

Robię przewrót przez bark, a potem pełnę na czworakach między zaparkowanymi samochodami w poszukiwaniu osłony, spodziewając się w każdej chwili śmierci, ale kiedy się oglądam, tamtych nie ma. Obu. Trotuar jest pusty.

Przez chwilę kucam przy krawężniku, zgarbiony, z posiniaczonymi żebrami, krwawiącym barkiem i puchnącym okiem. Widzę jednak na tyle dobrze, żeby dostrzec na betonie krwawy ślad, który prowadzi do eleganckich mosiężnych drzwi wejściowych drapacza chmur.

Gdzie jest, kurwa, mój pistolet?

Może go zabrali, ale jeśli tak, to dlaczego nie zostali na tyle długo, żeby mnie z niego zastrzelić?

Wychylam się zza osłaniającego mnie samochodu i wypatruję pistoletu na ulicy. Potem zaglądam pod auto -i tam go widzę. Żeby dosięgnąć broni, muszę się położyć na brzuchu, starając się nie oddychać zbyt głęboko, bo żebra kurewsko bołą.

Ponownie uzbrojony, przyglądam się wieżowcowi, ale to luksusowy budynek, którego system bezpieczeństwa nie wpuści mnie, a w tej chwili jestem łatwym celem z każdego okna wychodzącego na ulicę.

Wraca mi rozum i wycofuję się za róg. Czekam tam, obserwując, a po chwili z dachu sto pięćdziesiąt metrów nad moją głową startuje helikopter.

To musi być on. Cofam się głębiej na wypadek, gdyby chciał strzelać do mnie na oślep, ale śmigłowiec przyśpiesza, odlatując w stronę rzeki Hudson.

I przypominam sobie jego wściekłą groźbę: „Niamej to szkło”.

To właśnie pamiętam. Ale czy dobrze usłyszałem? Bo zrobienie czegoś takiego... nie ma dla mnie, kurwa, najmniejszego sensu.

\*

Próbuję się dodzwonić do Delphi, ale sieć miejska jest tak Przeciążona, że nie mogę się połączyć. Piszę więc do niej „Wracam” - licząc na to, że dotarcie esemesa do celu nie Potrwa długo.

T-shirt mam podarty i zakrwawiony tam, gdzie zaczepiła mnie strzałka, ale krwawienie w większości ustało.

Raną zajmę się później. Póki co wciskam pistolet do kieszeni spodenek, ale nie jest dość głęboka, żeby broń się tam utrzymała. Próbuję więc wsunąć pistolet za pasek na plecach, jak to widziałem w filmach. Jest cholernie niewygod, nie, ale przynajmniej pistoletu nie widać pod koszulką, kiedy się przeciskam między unieruchomionymi pojazdami.

Ludzie wyszli ponownie na chodniki; zamyśleni, stoją w grupach. Kiedy je mijam, docierają do mnie fragmenty rozmów odcinających się od akompaniamentu syren i niskiego dudnienia silników helikopterów:

- ...łączność padła przy drugim wybuchu...
- Ile ich naliczyłeś? Cztery?
- Co wyleciało w powietrze?
- ...siedem bomb w Dniu Komy.

Tuż za mną dźwięk syren narasta do natężenia przeszywającego uszy. Odwracam się i widzę konwój wozów strażackich, pełnących przez skrzyżowanie, przez które dopiero co przeszedłem. Wozy poprzedzają dwaj policjanci na motocyklach, którzy bębnią kłykciami w okienka samochodów, każąc kierowcom zjechać do krawędzi jezdni, albo nawet na chodniki, jeśli muszą. Środkowy pas otwiera się powoli na tyle szeroko, żeby przepuścić samochód straży pożarnej. Za nim podążają kolejne jednostki gaśnicze, zawodząc syrenami.

Wciskam palce do uszu i idę dalej, myśląc o tym, co powiedział Vanda: „Ona oszalała”.

Ona.

Jego żona, Thelma Sheridan?

Chociaż przebywa w więzieniu w Niameju, jest także idolką paranoików, którzy za wszelką cenę chcą się pozbyć Czerwieni. Delphi powiedziała, że bomby wybuchają gdzieś w kraju niemal codziennie, ale dzisiaj jest inaczej. To pierwszy dzień procesu Thelmy Sheridan. Dzień ogłoszenia oświadczenia. Vanda musiał dojść do wniosku, że bomba, która nieomal go zabiła, została podłożona przez stronników jego żony. Nie mógł być w to zamieszany. Nie mógł wiedzieć, że do tego dojdzie, gdyż inaczej nie znajdowałby się w budynku po drugiej stronie ulicy. Zjawił się, żeby zabić mnie osobiście, ale został zaskoczony.

„Ona oszalała”.

Zdetonowanie bomby w samochodzie na ulicy okazało się głupim sposobem na pozabawienie mnie życia. Terrorysty, którzy tego dokonali, nie mogli wiedzieć, czy siła eksplozji będzie wystarczająca, czy podmuch będzie skierowany w odpowiednią stronę ani nawet czy będę w mieszkaniu. Jednak terrorizm nie należy do nauk ścisłych. Nie musi być mądry ani logiczny. Musi tylko popierdolić ci w głowie.

Moja głowa mówi mi, że jestem zagrożeniem dla wszystkich, którzy mnie otaczają, że niewinni ludzie giną, gdy się do mnie zbliżą. Lissa zginęła. Delphi nieomalże umarła. Zastanawiam się, ilu postronnych cywilów leży pod rumowiskiem, którym był nasz apartamentowiec.

Nie wygląda nawet na to, żeby ataki były wymierzone we mnie. Ekspłodowały cztery bomby. Ja byłem niemal na dokładkę.

Oddalam się truchtem od samochodu strażackiego, żeby uwolnić się od dźwięku syren. Kiedy docieram do mojego kwartału, słyszę kolejny łoskot na północy miasta.

Liczba wybuchów wzrasta do pięciu.

\*

Samochody palą się nadal, wypełniając wąwóz ulicy cuchnącym, toksycznym dymem. Ktoś narzucił kurtkę na twarz zabitego policjanta. Przechodzę przez jezdnię i znajduję kolejnych siedem ciał leżących przed zrujnowaną fasadą mojego budynku. Te nie są przykryte; niektóre są nadpalone. Na miejscu znajdują się karetki, błyskając światłami, ich syreny jednak miłosiernie milczą. Szukam Delphi, ale w połowie wysokości rumowiska widzę ojca, który ma sobie brudną teraz koszulę oraz spodnie i współpracuje z trzema innymi ludźmi podczas wydobywania kogoś spod ruin.

Przychodzi wiadomość od Jaynie: „Zakaz wjazdu do miasta. Tunele Hollanda i Lincolna zamknięte. Ruch na moście tylko w jednym kierunku: z miasta”.

- Shelley.

Obracam się gwałtownie. To Delphi. Twarz ma w smugach brudu, włosy matowe od kurzu, palce ociekające krwią, a ubranie brudne. Przygląda się mojej posiniaczonej twarzy i na wpół zamkniętemu przez opuchliznę oku.

- Zabiłeś go?

- Nie. Uciekł.

Jej spojrzenie wędruje ku mojemu ojcu, który wraz z innym mężczyzną unosi betonową płytę i zsuwa ją niżej po rumowisku; Delphi zaczyna drżeć.

- Przynajmniej on nie zabił ciebie... chociaż realnie rzecz biorąc, to jedynie kwestia czasu.



- Delphi... - Wyciągam do niej ręce, a ona obejmuje mnie i ściska mocno, kiedy mówię jej prawdę. - Tak już będzie. Byłaś przy nas w Czarnym Krzyżu. Wiesz, do czego są zdolni ludzie Vanda-Sheridan, a także co my musimy zrobić. A będzie tylko gorzej. Vanda ma więcej ładunków jądrowych.

Podnosi na mnie wzrok; jej niebieskie oczy, w otaczających je smugach brudu, wydają się jeszcze jaśniejsze.

- Wiesz to na pewno?

Kiwam głową.

- Słyszałem go. Chce zbombardować Niamej. Zakończyć proces. Załatwić swoją żonę oraz szaleńców, którzy dopuszczają się w jej imieniu tych jatek. Ruszam za nim, ale najpierw odwiozę cię do domu, jeśli chcesz.

To przywołuje cierpki uśmiech na jej twarz.

- Nie potrzebuję pomocy, żeby wrócić do domu, ale tobie może się ona przydać, żeby dotrzeć w jednym kawałku do Wyomingu. - Obraca się nieco w moich ramionach. - Twój sprzęt jest tam. Wyniosłam go z mieszkania.

- Cholera, wróciłaś na górę?

Wzrusza ramionami.

- Zrobiłam kilka wycieczek, bo ekwipunek jest ciężki, ale chciałam wynieść twoje rzeczy, zanim policja zamknie dostęp do budynku.

- Jesteś niesamowita.

Pomagała w poszukiwaniach i udzielaniu pomocy. To dlatego jej ręce wyglądają tak, jak wyglądają, ale wraz z przybyciem wozów strażackich cywilom poleca się opuścić miejsce katastrofy. Ojciec schodzi z rumowiska; przez półtorej sekundy patrzymy na siebie wilkiem, a potem padamy sobie w ramiona.

- Dlaczego wciąż tutaj jesteś? - pyta.

- Wyruszam. Jedziesz ze mną?

Nie zaskakuje mnie, kiedy kręci głową.

- To mój dom. Chcę się dowiedzieć, kto to zrobił. Chcę dopilnować, żeby sprawcy sześli.

Kiwam głową. Ma teraz własną misję, własny cel, własną historię.

Zatem zostajemy tylko Delphi i ja.

Piszę do Jaynie: „Możeszcie dotrzeć na Brooklyn?”.

Czekając na odpowiedź, wyjmuję z plecaka apteczkę pierwszej pomocy i oczyszczamy i opatrujemy sobie nawzajem skaleczenia oraz stłuczenia. Delphi skleja ranę na moim barku, po czym wkładam czysty, ale zalatujący stęchli-zną T-shirt, znaleziony na dnie plecaka.

Po kilku minutach przychodzi odpowiedź od Jaynie: „Most Verrazano jest otwarty”.

Odpisuję: „Przejdziemy przez most Manhattański. Do zobaczenia”.

Do tej pory policja zorganizowała się już. Zjawiają się gliniarze i wydają warkliwe rozkazy, żeby odejść, odsunąć się od zrujnowanego budynku. Odwracam się do ojca, ale co można powiedzieć? Nic, co by cokolwiek zmieniło. Wymieniamy skinienia głową. Zostawmy to tak. W żadnym razie nie powinienem był wracać do domu.

Podnoszę sprzęt, odwracam się plecami do ruin życia ojca i odchodzę z Delphi u boku, ciągnącą za sobą poobijaną walizkę.

Przechodzę jednak dystans tylko dwóch i pół przecznicy, kiedy uznaję, że martwa siostra jest za ciężka, żeby ją nieść.

- Delphi, daj mi chwilę. Muszę nałożyć rynsztunek.

Patrzy niepewnie.

- Czy to legalne nosić go na ulicy?

Prawdę powiedziawszy, nie wiem, ale nie sędzę, żeby miało to znaczenie w taki dzień jak dziś.

- Gliniarze będą zbyt zajęci, żeby się mną przejmować.

Poziom zasilania martwej siostry jest dobry, więc przypinam się, a potem ruszamy w dalszą drogę. Nie mam munduru ani nie noszę hełmu, więc nikt nie zwraca uwagi na mój osprzęt. Niebawem się okazuje, że jesteśmy jedynie małą częścią wielkiego exodu.su ludzi opuszczających miasto. To zorganizowany chaos, a pierwszy raz od czasu powrotu do domu czuję się bezpieczny. Wszędzie wokół mnie są obcy, ale mają własne problemy. Tylko kilka osób zadaje sobie trud skomentowania mojego rynsztunku i są to jedynie wyczerpani piechurzy, którzy żałują, że sami nie mają podobnego wspomaganie. Nikogo nie obchodzi, kim jestem, i nikt nie próbuje mnie zabić.

\*

Dopiero późnym popołudniem spotykamy się w końcu z resztą oddziału. Czekają w Trinity Park w dwóch SUV-ach i obok nich - jeden jest metalicznie szary, a drugi jasnobrązowy - i chociaż mają na sobie cywilki, nie sędzę, żeby kogokolwiek to zmyliło. Ich brązowe, przylegające dokładnie neuroskalpy wyraźnie wskazują, że nie wszystko jest tutaj całkiem normalne. Mają także wyjęte z hełmów pętle audio, co pozwala im się porozumiewać między

samochodami podczas jazdy.

- Wyglądacie jak banda najemników - mówię, gdy wraz z Delphi wychodzimy spod drzew okrytych skąpą wiosenną zielenią.

Jaynie błyska ku mnie uśmiechem spod krawędzi neuroskalpu.

- Tylko ty masz na sobie martwą siostrę. Gliniarze nie próbowali cię zatrzymać z powodu jej noszenia?

- Są zajęci.

Podziwia moje spuchnięte oko.

- Wyglądasz, jakby skopano ci tyłek.

- Dwóch na jednego.

Ma na sobie obcisłą, sportową, niebieską bluzę z długimi rękawami, która podkreśla jej umięśnienie i przyciąga wzrok do zgrabnego, ponętnego biustu. Czarne obcisłe dżinsy są równie rozprasające. To jakby patrzeć na własną siostrę i dojść do wniosku, że jest cholernie seksowna. Zenada.

Przedstawiam Delphi. Później Karin wsuwa się na tylne siedzenie SUV-a, żeby się przebrać w czyste ciuchy, a ja zdejmuję rynsztunek i pakuję nasze graty. W przestrzeni ładunkowej nie ma wiele miejsca. Nolan wylicza, co tam już jest: martwe siostry, hełmy i plecaki; nasz dron zwany aniołem; karabiny szturmowe M-CL1a, dopiero kupione; amunicja i granaty do nich; granaty ręczne; rozmaite wyposażenie oraz tyle racji żywnościowych, żebyśmy przetrwali pierwsze dwa tygodnie apokalipsy. Broń jest z całą pewnością nielegalna we wszystkich stanach, łącznie z Wyomingiem.

- W jaki sposób Jaynie to zdobyła?

- Shima to załatwiła — wyjaśnia Nolan. — Jesteśmy teraz zatrudnieni przez licencjonowaną firmę ochroniarską. Na legalnych papierach.

- Chcesz powiedzieć, że macie pozwolenie na to wszystko?

- Z wyjątkiem tego, co pan nosi.

Wyjmuję zza paska broń zabitego policjanta i pokazuję mu ją.

- Prymitywne dziadostwo. - Obraca pistolet w dłoniach. -Żadnej elektroniki. Skąd pan to ma?

- To długa historia, ale muszę się go pozbyć.

- Połamię i porozrzucam części. - Sprawdza magazynek, a potem chowa gnata do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Jaynie rzuca mi opatrunek chłodzący. Nie jest jeszcze aktywowany.

- Wskakuj. Musimy ruszać.

Harvey siada za kierownicą metalicznie szarego SUV-a. Jaynie zajmuje miejsce obok niej. Siadam z tyłu obok Delphi. Ku mojemu zaskoczeniu Nolan pakuje się za mną, pozostawiając w drugim pojeździe jedynie Tuttle'a, Moona i Flynn. Jest wielkim facetem, więc czuję się ściśnięty. Dociera do mnie, że to jest celowe.

- Co jest grane? - pytam, kiedy ruszamy, a SUV prowadzony przez Flynn jedzie za nami.

Jaynie obraca się do mnie.

- Musimy załatwić pewne sprawy - mówi, a ja rozumiem, że wkraczamy na grząski grunt.

- Mówisz o mnie i o sobie czy o oddziale?

- O nas wszystkich.

- No to niech wszyscy w tym uczestniczą. - Nadal mam programy łączności, który Anne Shima załadowała do mojej nakładki przed misją „Brzask”, więc się loguję do gen--komu.

- Odliczyć - mówię, żeby zirytować wszystkich.

Jaynie kiwa głową i dokładnie wymawia swoje nazwisko.

- Vasquez.

Kolejni zgłaszają się według stopni.

- Nolan.

- Harvey.

I z drugiego pojazdu:

- Moon.

- Tuttle.

- Flynn.

- Jest też Delphi - dodaję. - Chociaż nie jest podłączona.

Obserwuję Jaynie czujnym wzrokiem; ona obserwuje mnie. Chyba wiem, o co chodzi, ale chcę to usłyszeć od niej.

Przechodzi prosto do rzeczy.

- Shelley, jesteś zbyt impulsywny, żeby być dowódcą tego oddziału. Jeśli mamy to zrobić, musimy ustanowić nową strukturę dowodzenia.

Odwracam się do Nolana, żeby poznać jego opinię w tej kwestii. Kiwa głową.

- Gdyby pułkownik Kendrick był z nami, byłoby inaczej.

Harvey ogląda się przez ramię.

- Nikt nie jest lepszy od pana podczas ataku - zapewnia mnie. - Nikt nie zamierza puścić w niepamięć Czarnego Krzyża, ale dowódca musi mieć na względzie całą operację.

-I działać w oparciu o znane parametry - dodaje Jaynie.

- A więc chodzi o Czerwień? Uważasz, że podejmuje za mnie decyzje.

- Chodzi o Czerwień i o ciebie.

Zerkam na Delphi, ale wygląda przez okno. Trzyma się na uboczu? Czy też nie oponuje, bo się z tym zgadza?

- Jaka jest proponowana przez was struktura dowodzenia? - pytam Jaynie.

- Głosowaliśmy nad tym - mówi Nolan

- To jakaś pierdolona demokracja?

Pięknie ukształtowane brwi Jaynie ściągają się przelotnie w groźny węzeł.

- Była. Czasowo. Ale teraz ja jestem dowódcą, a ty moim zastępcą. Dasz radę?

Przyjmować rozkazy od Jaynie? Przerabiałem to już i nie podobało mi się to.

- Nie wiem — odpowiadam szczerze. — Wydawało mi się, że będę ustalał priorytety misji.

- To nie jest oddział Uther-Fen. Sami wybieramy misje. Nikt mi nie mówi, kurwa, jakie mam priorytety, nie wysłuchawszy mojej opinii.

- Taa? No to może mógłbym poznać twoje zdanie o tym, że naszym priorytetem powinno być zlokalizowanie reszty ładunków nuklearnych Carla Vandy, zanim użyje ich przeciwko ludności cywilnej - przeciwko naszym sojusznikom, ludziom, którzy nam pomogli.

Jaynie odpuszcza nieco. Mruży oczy.

- Raport - mówi. - Powiedz, co wiesz.

Robi z tego rozkaz. Poddaję się i podsumowuję najważniejsze punkty mojego spotkania z Vandą, bo chcę, żeby wiedziała, co zaszło. Kiedy wspomynam o gliniarzu, Nolan klnie:

- O kurwa, to jego broń mi dałeś?

Harvey uśmiecha się do mnie przez ramię.

- Wcale nie jest pan impulsywny, sir! Uzbroić się w pistolet zabitego policjanta. Hoo-yah! Król Dawid! Poszłabym za panem na koniec świata.

- Harvey - ostrzegają Jaynie głosem równie złowróżbnym jak kij bejsbolowy. - Patrz, kurwa, na drogę!

- Tak jest, ma'am. - Nadal się jednak szczerzy, kiedy kieruje uwagę na ruch uliczny.

- Nie działałem impulsywnie - mówię obronnym tonem. - To była decyzja podjęta w ułamku sekundy. Nadarzyła się okazja załatwienia Carla Vandy i podjąłem ją.

Jaynie unosi brew.

- Zabiłeś go?

Takie samo pytanie, jakie zadała mi Delphi. Taka sama odpowiedź:

- Nie.

Relacjonuję walkę uliczną; to, co usłyszałem.

Jaynie robi sceptyczną minę, co jest jej popisowym grymasem, ilekroć jestem tylko w coś zamieszany.

- Byłeś prawie nieprzytomny. Jesteś pewny, że zrozumiałeś, co się dzieje?

Wkurza mnie.

- Czekał. Mam nagranie wideo.

Odwracam wzrok i przesuwam menu na nakładce.

- Znowu wszystko rejestrujesz? Kiedy cię włączyli?

- Nie włączono mnie. Sam to zrobiłem po wybuchu pierwszej bomby, kiedy byliśmy nadal w mieszkaniu. Po prostu kolejny z moich pierdolonych impulsywnych odruchów.

Upewniam się, że wyłączyłem funkcję nagrywania. Potem przeglądam wrywkowo wideo na nakładce, wybieram fragment z mówiącym Vandą i wycinam go.

- Kto ma tablet?

Kiedy Delphi odtwarza nagranie na swoim wizorze, dźwięk dociera jedynie do jej uszu, ale Jaynie ma podkręcony dźwięk w swoim tablecie, więc słyszymy wszyscy. Głównie stęknienia,

odgłosy razów i dyszenie, kiedy zmagam się z Wandą; potem dostaję kopa w żebra i on się odzywa. Dyszy ciężko między słowami, ale mówi więcej, niż zapamiętałem; głos ma ochryply i oschły: „Wcięła się w moją operację. Ona oszalała”. Kiedy odchodzi, słysząc go mniej wyraźnie: „Kończę z tym chaosem. Niamej to szkło”.

Wideo ukazuje zbliżającą się lufę pistoletu strzałkowego, widocznego na tle wieżowców i błękitnego nieba. Potem przez ułamek sekundy na samej krawędzi obrazu miga nam postać partnera Vandy, faceta w brązach. Ma mocno opaloną, wąską twarz - ostry nos, wystające kości policzkowe. Oczy zasłania mu nieprzezroczysty wizor, wzmacniając wrażenie opanowania, które pryska, kiedy jego wąskie usta rozdziela krzyk, którego nie pamiętam. Urywek nagrania kończy się rozpryskiem krwi, gdy go rozbijam.

- Cholera - rzuca Nolan, opierając się na swoim miejscu. - Było blisko.

Delphi milczy, ale siedzi przygarbiona, obejmując się mocno ramionami.

- Vanda ma broń jądrową — wracam do tematu.

Moja neuronetka stłumiła większość bólu, ale jego wspomnienie pozwala mu się przedrzeć. Tracę przez to cierpliwość. Kiedy Jaynie obraca się ponownie, żeby spojrzeć na mnie, pochylam się ku niej, blisko jej twarzy.

- Kapujesz, Jaynie? Ma broń jądrową i zachowuje się tak, jakby transportowanie jej po całym świecie nie stanowiło najmniejszego problemu. Być może już ją przemieszcza.

- Rozumiem, Shelley.

Ostrzega mnie wzrokiem, żebym się cofnął, ale nie robię tego.

- To nasza misja - upieram się.

- To nie jest wasza misja - odzywa się Delphi głosem opiekunki: chłodnym i stanowczym. - To zadanie prezydenta. Trzeba przesłać mu to wideo drogą służbową.

- Nie należymy do niej.

- Nadal mam kontakty w Nadzorze. Wyślę tam materiał.

Nie sprzeciwiam się. Warto spróbować, ale nie sędzę, żeby zadziałało.

- Ktoś po drodze sprawi, że to nagranie zniknie, albo zatrzyma je do czasu, aż straci znaczenie.

Jaynie ma taką minę, jakby chciała mi przywalić, ale jest mniej impulsywna ode mnie.

- Zadzwoń do Anne i zapytam, czy organizacja zechce się temu przyjrzeć.

To mogłoby pomóc, bo nie możemy zrobić ani jednego cholernego kroku, póki się nie

dowiemy, gdzie są przechowywane bomby.

- Dobrze by było, gdybyś zasugerowała Anne przesłanie tego wideo Ahabowi Matugo. Niech wie, co go czeka.
- Pracuję nad tym, Shelley.

Zgniatam opatrunek chłodzący, uwalniając chemikalia. Potem opieram się wygodnie i przykładam go do spuchniętego oka. Po chwili uruchamiam ponownie wideo. Oglądam nagranie od samego początku. Chcę wiedzieć, czy był tam jakiś znak ostrzegawczy, coś, co powinienem był zauważyć, wyczuć, co powiedziałyby mi, że na ulicy wybuchnie niebawem potężna bomba, zabijając niewinnych ludzi... ale nic takiego nie ma. Bóg nie przemówił do mnie.

Koi Reisman powiedziała, że to nie jest już moja historia. Milczenie w mojej głowie sprawia, że jej wierzę. Ale jeśli to prawda i Czerwień mnie odłączyła, to dlaczego fabuła wraca do mnie nieustannie?

\*\*\*

Wyjeżdżamy z Brooklynu, a potem jedziemy przez New Jersey autostradą 1-80. Nikt nie próbuje nas zatrzymać. Patrząc na ruch na drodze, przyglądam się poszczególnym pojazdom i zastanawiam, czy ktokolwiek jadący w nich ma zadanie śledzenia nas.

Nic oczywistego nie rzuca się w oczy.

Zasięg sieci jest dobry, korzystam więc z nakładki, żeby poszukać najświeższych wiadomości na temat wybuchów na Manhattanie. Łatwo znaleźć informacje. Na żer publiczności rzucane są wszelkie szczegóły akcji ratunkowej, za to analiz dotyczących tożsamości, pochodzenia i motywacji terrorystów brak niemal zupełnie. Potem przeglądam stenogram pierwszego dnia procesu Thelmy Sheridan, ale po mowach wstępnych większość zapisów to prawnicze wykręty. W końcu podążam śladem twierdzenia Koi Reisman, że w stolicy odkryto podrzucony ładunek nuklearny. Nie znajduję nic pewnego, tylko plotki i spekulacje, które głoszą, że tuż przed rozpoczęciem naszego procesu przed sądem wojskowym udaremniono poważny zamach terrorystyczny.

- Delphi?

Odwraca wzrok od okna. Oczy ma zaczerwienione; nie wiem, czy od kurzu, czy z niepokoju.

- Kiedy rozmawialiśmy z Koi, a ja zapytałem ją o innych żołnierzy, to ty coś wiedziałaś, prawda?

Po jej ustach przemyka rzadko obecny, blady uśmiech.

- To tajne.



Zerkam na Nolana. Usnął obok mnie. Spoglądam przed siebie. Jaynie i Harvey patrzą na drogę. Licząc na to, że hałas jazdy zagłuszy moje słowa, szepczę Delphi na ucho:

- Powiedz.

Opiera się wygodnie i wzdycha.

- Nie ma wiele do opowiadania. Kilka razy przesłuchiwał mnie śledczy. Sugerował, że nie jesteś jedyny, ale nie powiedział, ilu jest innych żołnierzy ani jak bardzo są w to zaangażowani. Jesteś jedynym znanym z nazwiska.

- Może warto byłoby się dowiedzieć, kim są pozostali.

- Próbowałam. Po odejściu z Nadzoru poświęciłam na to sporo czasu. Zadałam sobie pytanie, co cię wyróżnia, i oczywistym wnioskiem okazała się twoja nakładka. Szukałam więc żołnierzy, którzy też je mają. - Kręci nieznacznie głową. - Miałam jedynie dostęp cywilny. Do niczego nie doszłam.

- To jednak dobry trop.

Opieram się wygodnie i zastanawiam się nad tym. Jeśli Delphi ma rację i kluczem jest nakładka, to ten fakt zawęży poszukiwania. Moja nakładka, ta pierwsza, była prototypem. Dostałem ją bardzo wcześnie, bo mój kuzyn pracował w zespole wynalazców urzędnika; jest jednym z właścicieli firmy. Postanawiam, że gdy sytuacja się uspokoi nieco, to zatelefonuję do niego i poproszę go, żeby sprawdził to dla mnie.

Kiedy jedziemy przez Pensylwanię, ruch na drodze słabnie, a łączność się rwie. Kilometr za kilometrem wzdłuż autostrady międzystanowej ciągną się parki biurowe, hurtownie i salony samochodowe - wiele wygląda na porzucone, a parkingi większości z nich są puste.

Nolan nie śpi już i wygląda przez okno, a zasnęła Delphi. Prawdopodobnie setny raz oglądam się do tyłu. Nie mam wątpliwości, że jesteśmy śledzeni. Odjechaliśmy zbyt daleko i poruszamy się zbyt szybko, żeby nadażył za nami jakikolwiek mikrodron, ale to nie oznacza, że nie jesteśmy inwigilowani. W dzisiejszych czasach nikt temu nie umyka. Zasadnicze pytanie brzmi: kto patrzy i jakie ma zamiary?

Bardzo prawdopodobne, że monitoruje nas agencja rządowa - być może nawet więcej niż jedna - za pośrednictwem drona lub satelity. To ich zadanie. Co nie znaczy, że stanowią zagrożenie. Nie znaczy nawet, że jakiś człowiek zwraca na to uwagę - federalni mają ograniczony budżet, za to długą listę celów do nadzorowania, dużo bardziej niebezpiecznych od nas.

Możliwe także, że obserwują nas terroryści, którzy zaatakowali Manhattan. Jeśli tak, to są wielką groźbą, ale wątpię, żeby byli tak liczni i sprawni organizacyjnie, by prowadzić wyrefinowaną akcję inwigilacyjną.

Ludzie z Vanda-Sheridan są z pewnością nami zainteresowani - i dobrze wyposażeni - ale

miałem zginąć na Manhattanie. Jeśli Carl Vanda nie planował śledzić mnie w wypadku, gdybym się wydostał z miasta, to tak szybko nie wpadnie na mój ślad.

Możliwość, że podążają za nami medioci, nie martwi mnie wcale, gdyż nie śledzą rozwoju historii; wolą, żeby ich ofiary były obnażone i bezbronne.

Uważnie się przyglądam rozciągniętemu za nami na drodze sznurowi samochodów, ale jeżeli jest tam jakiś podejrzany pojazd, to nie potrafię go zidentyfikować. Odwracam się więc, żeby patrzeć na drogę przed nami. I zastanawiam się: Czy organizacja obserwuje nas? Mają takie możliwości? Chciałbym, żeby tak było.

Chciałbym, żeby inwigilowali Carla Vandę.

Zastanawiam się, czy wycofał się do swojej alaskiej warowni. Ciekawe, czy to tam trzyma broń jądrową. Forteca Apokalipsy sięga w głąb ziemi, podwajając swoją objętość jako schron przeciwbombowy... ale jak bardzo musiałby być szalony, żeby trzymać ładunki nuklearne w piwnicy?

Nie będzie ich tam, Carl Vanda nie jest głupi.

Niemniej jeśli chce się coś ukryć, to zejście pod ziemię jest dobrym pomysłem. Schowane pod wieloma metrami gleby i skał tajemnice pozostaną tajemnicami, zabezpieczone przed wykryciem promieniowania elektromagnetycznego przez satelity szpiegowskie. Trzeba by wprowadzić kamerę do wnętrza podobnych zabudowań, żeby wiedzieć, co się dzieje w środku. Jeśli kamery byłyby wyłączone, pozbawione bezpośredniego kontaktu z powierzchnią, twoje sekrety pozostałyby bezpieczne, nawet przed Czerwienią.

Tam będą ładunki nuklearne - gdzieś, dokąd Czerwień nie sięga.

Tej nocy zatrzymujemy się przy zachodniej granicy Pensylwanii, w starym dwupiętrowym hotelu o dwóch długich skrzydłach, ciągnących się wzdłuż niemal pustego parkingu. Interesy idą tutaj kiepsko, ale to miejsce ma się przynajmniej czym pochwalić - teren jest idealnie utrzymany w tym żywopłoty wokół parkingu, oświetlonego lampami na wysokość kolan. Świta mi, że właściciel mógł oddać hotel w dzierżawę w zamian za opiekę nad nim.

- Zaparkujmy z dala od drzwi - mówi Jaynie przez gen-kom. - Zostawcie między samochodami jedno wolne miejsce i zaparkujcie tyłem.

Dzięki temu w razie potrzeby możemy szybko odjechać.

Przed opuszczeniem SUV-a przeglądam się we wstecznym lusterku. Ze spuchniętym, sinym okiem wyglądam jak przestępca, ale dzięki Delphi, która nalegała, żebyśmy przystanęli przy jakimś centrum handlowym, mam na sobie nową koszulę. Poszła sama i kupiła mi zwykłe koszule, T-shirty, spodnie, szorty i lekką kurtkę na tyle długą, żeby zakryła kamizelkę kuloodporną. Nie poszedłem z nią, bo nowa pani dowódca jest upierdliwa i mam rozkaz trzymać się z dala od osób postronnych.

Przez ostatnich parę godzin prowadziła Delphi. Parkuje terenówkę i wysuwa się zza kierownicy. Wsiadam jednocześnie z nią i łapię ją za łokieć. Prawie nie rozmawialiśmy, odkąd dołączyliśmy do oddziału.

- Jak będzie? - pytam szeptem. - Chcesz osobny pokój czy ze mną?

Spogląda na mnie nieśmiało, a potem wspina się na palce i mówi mi do ucha:

- Jeśli to nie zniszczy spójności oddziału, to nie miałabym nic przeciwko powtórce ostatniej nocy.

To szkodzi jedności oddziału. Wiem o tym. Ale nie podpisałem jeszcze kontraktu. Całuję ją w kącik ust.

- Załatwione.

W recepcji okazujemy prawa jazdy nastolatкови za kontuarem, żeby je przeskanował. Obserwuje pojawiające się dane, widzi nasze nazwiska, ale nic mu one nie mówią. Idę ostatni. Jestem jedynym z chipem, zamiast więc szukać portfela, przykładam nadgarstek do płytki sensora. Recepcjonista przygląda się mojemu podbitemu oku, a potem zawiesza wzrok na informacjach widocznych na ekranie.

- Jest pan z Teksasu? - nerwowo pyta cichym głosem.

- Tylko prawo jazdy. Pochodzę z Nowego Jorku.

Wygląda, jakby mu ulżyło.

Zdecydowana większość Teksasńczyków nie miała nic wspólnego z powstaniem, ale trudno o tym pamiętać i od Dnia Komy mnóstwo ludzi żywi urazę do mieszkańców stanu samotnej gwiazdy.

Dostajemy sąsiadujące ze sobą pokoje na pierwszym piętrze, z oknami wychodzącymi na parking. Jaynie ustala kolejność wart, żeby okolica naszych SUV-ów była cały czas patrolowana. Tuttle dostaje pierwszą zmianę, a reszta wtlacza się do windy.

- Żadnego wychodzenia w nocy - ostrzega Jaynie. Stuka się w ucho. - I wszyscy noszą pętle audio. Cały czas pozostajemy podłączeni do gen-komu. Harvey i Moon, wymyślcie, co zamówić na kolację.

- Jak płacimy za to wszystko? - pytam, gdy drzwi windy otwierają się na pusty korytarz.

- Organizacja przysłała kartę płatniczą. Dostarczono w niedzielę przez kuriera.

Chciałbym wiedzieć więcej o tej organizacji. Wiem, że mają głębokie kieszenie i możliwość przeprowadzania skomplikowanych operacji. Rawlings powiedział, że są finansowani całkowicie z darowizn prywatnych osób, które wierzą w rządy ludzi dla ludzi - a nie dla

rekinów finansjery. Mam nadzieję, że to prawda.

Pokój jest skromny, ale czysty. Wyposażony w łóżko, komodę, biurko i telewizor. Gdy tylko drzwi się za nami zamykają, obejmuję Delphi.

- Weźmy prysznic - mruczę jej do ucha.
- Tak - mówi, okrywając się gęsią skórką.

\*\*\*

Czterdzieści minut później Moon daje mi znać przez gen -kom, że dostarczono jedzenie. Ubieram się i wychodzę na korytarz. To dania z grilla. Pachną smakowicie. Jako deser Nolan wręcza mi pistolet - dziewięćmilimetrowego SIG sauera w plastikowej kaburze, wraz z pudełkiem amunicji.

- Na wszelki wypadek.

Kiedy wracam do pokoju, Delphi ma na sobie koszulkę bez rękawów i majteczki; klęczy na łóżku, walcząc z pilotem do telewizora.

- Nie włączaj kablówki - proszę.

Patrzy na mnie z irytacją.

- Pamiętasz, że Koi Reisman powiedziała, że dzisiaj w nocy emitują nowy program? *Przeciwko bestii*. Chcę wiedzieć o której.

- To sprawdź w Chmurze.
- Moje połączenie z siecią jest w stanie śpiączki. A twoje?
- Wolne - przyznaję.

Włącza telewizor.

Emisja odcinka zaplanowana jest na późniejszą porę, więc Delphi ogląda programy informacyjne. Siedzimy na podłodze, jemy grillowane potrawy i słuchamy pseudo-dziennikarstwa. Za każdym razem, gdy temat schodzi na dzieci celebrytów lub skandale seksualne, Delphi zmienia kanał.

- Nie wierzę, że normalni ludzie oglądają to gówno -psioczę, idąc do łazienki się umyć.

Kiedy wracam, dwoje tak zwanych komentatorów prawnych dyskutuje o tym, do jakiego stopnia sprawa przeciwko Thelmie Sheridan opiera się na raporcie wstępnym FBI, który powinien być niedostępny, gdyż został utajniony, oraz czy pułkownik Kendrick dopuścił się aktu zdrady, kiedy zwrócił się do Ahaba Matugo.

Odruchowo chcę udusić ich oboje.

- Delphi, możesz to, kurwa, wyłączyć? Proszę.
- Nie. Musimy wiedzieć, co mówi przeciwnik. Jeśli nie chcesz tego słuchać, to włącz sobie głośno muzykę.

Ikona neuronetki miga i wiem, że powinienem posłuchać rady Delphi, ale nie robię tego. Siadam na łóżku i oglądam z nią program, bo chcę się przekonać, o ile może być gorzej.

Przez kolejne półtorej minuty dwójka pseudointelektualistów szkoli widzów w pogardzie, a potem słyszymy ponownie mediotkę:

- Do aktów przemocy, które dotyczą kraju, dołączyła dzisiaj na Manhattanie seria wybuchów samochodów pułapek. W ciągu dwudziestu dwóch minut nastąpiły eksplozje pięciu bomb, powodując rozległe zniszczenia w infrastrukturze transportowej i łącznościowej, a także szkody materialne. Liczba ofiar ciągle rośnie, ale ocenia się ją na czterysta osób zabitych i tysiąc dwieście rannych w ataku, który większość analityków przypisuje stronnikom Armii Niepodległego Teksasu, organizacji odpowiedzialnej za zbrodnię Dnia Komy.

- Pierdoleni kłamcy - mruczę. - ANT nie istnieje.
- Rekiny potrzebują kozła ofiarnego, który nie jest jednym z nich.
- Jeśli prezydent chce być dobrym facetem, to musi powstrzymać falę kłamstw.
- Cicho, słuchaj.

Teraz mediotka mówi o mnie.

-...niszcząc mieszkanie byłego porucznika Jamesa Shelleya, powszechnie znanego jako Lew z Czarnego Krzyża. Nie wiadomo, czy pan Shelley przeżył atak bombowy. Władze mówią jedynie, że jego obecne miejsce pobytu nie jest znane.

- Dalej łąą, ale może lepiej dla mnie, żeby ludzie uważali, że nie żyję.
- Nie, to oznacza jedynie, że łatwiej będzie sprawić, żebyś zniknął.

Zastanawiam się nad tym, podczas gdy mediotka czyta moje kwestie:

- Najprawdopodobniej nieprzypadkowo ostatnie ataki terrorystyczne zbiegły się w czasie z rozpoczęciem procesu Thelmy Sheridan. Analitycy postrzegają je jako wyraz protestu wobec ustępliwości rządu Stanów Zjednoczonych które rezygnują z suwerenności, pozwalając na proces Sheridan. - Mediotka recytuje to tak, jakby cała sprawa zaczęła ją nudzić. - Na sekundy przed tym, zanim doszło do wybuchów bomb, kamery uliczne zdołały zarejestrować i przekazać obrazy dwóch zamachowców.

Patrzę ponownie na ulicę, przy której mieszkam; nagranie ukazuje stan sprzed wybuchu. Do

krawężnika podjeżdża furgonetka, którą wtedy widziałem. Kierowca wyskakuje z samochodu. Pod miękkim kapeluszem widać taką samą maskę, jaką miał Carl Vanda, ale to go nie ocali. Nagranie zawiera jego pełne dane biometryczne oraz sporą próbkę kinetyki ciała. Scena urywa się nagle w momencie wybuchu.

- Dzięki temu nagraniu można go zidentyfikować -stwierdzam. - To tylko kwestia czasu.
- Jeśli nie zginął w eksplozji.

Cóż, taa. To możliwe.

- Ciekaw jestem, czy kamery uliczne zarejestrowały moją walkę z Vandą.

Delphi wzrusza ramionami.

- Kamery przypuszczalnie nie ucierpiały, ale kto wie, czy sieć przetrwała?

\*

Podczas gdy Delphi nasiąka nadal propagandą, ja siadam na dywanie i opróżniam plecak pierwszy raz od wylotu z Niameju. Jest tam apteczka, zimowy strój maskujący, hermetyczne racje żywnościowe, zestaw do czyszczenia broni, kamizelka kuloodporna, której używałem podczas misji „Brzask”...

Kamizelkę czuć stęchlizną i tkwi w niej pocisk, ale i tak nakładam ją na T-shirt, który kupiła mi Delphi. Kaburę nowego pistoletu przymocowuję na środku tułowia. To wszystko ukrywam pod nową kurtką.

Delphi przygląda się mojej zwałistej postaci.

- Zadziwiające, jak żołnierze przybierają szybko na wadze, kiedy tylko odejdą z czynnej służby.
- Później możesz mi pomóc w zrzuceniu tego.
- Stoi.

Idę na dół zmienić Tuttle'a i objąć wartę. Dużo myślałem o Carlu Vandzie i zasobach, jakie ma do swojej dyspozycji. Vanda-Sheridan specjalizuje się w szpiegostwie satelitarnym. Większość sprzętu produkują na użytek rządu, ale część ich zobowiązań kontraktowych polega na przetwarzaniu i analizie danych, co pozwala Vandzie przeglądać materiały zebrane przez jego satelity.

Światła w lobby są przyćmione, w recepcji nie ma nikogo. Drzwi się rozsuwają, gdy się do nich zbliżam. Noc na zewnątrz jest chłodna i cicha; chociaż autostrada międzystanowa przebiega w odległości zaledwie stu metrów od hotelu, to dociera do mnie jedynie odległy szum opon pojedynczego elektrycznego samochodu. Zerkam na mocno rozgwieżdżone niebo, chociaż blask gwiazd przyćmiewa wilgoć w powietrzu. To nie jest idealna noc na prowadzenie

obserwacji, ale zaawansowany satelita nie potrzebuje idealnych warunków, żeby rozpoznać z kosmosu nasze twarze.

Nisko umieszczone latarnie oświetlają nieliczne samochody na parkingu. Muszę poskromić pragnienie zbesztania Tuttle'a, kiedy widzę, że opiera się o kratę wlotu powietrza brązowego SUV-a, trzymając ręce w kieszeniach kangurki. „Co ty, kurwa, robisz, żołnierzu? Stój prosto!”

Ma wzmacniający wzrok wizor, więc kiedy idę ku niemu przez parking, z łatwością mnie rozpoznaje pomimo panującej ciemności.

- Spokojnie - szepcze. - Celowo zachowuję się luzacko. Vasquez mówi, że powinniśmy wyglądać jak cywile.

- Cholernie dobrze ci to wychodzi. Muszę coś wiedzieć?

Kiwa głową w stronę autostrady.

- Słyszysz pan, jak cicho? Nie zawsze tak jest. Od czasu do czasu słychać przejazd konwoju ciężarówek. Dwadzieścia lub więcej razem - chyba mają problem z porwaniami - ale kiedy jadą, to brzmi to jak siły inwazyjne.

Przed odejściem zostawia mi kluczyki. Najpierw otwieram szarego SUV-a, w którym znajduje się mój ekwipunek, Przepakowuję wszystko, żeby na wszelki wypadek mieć pod ręką hełm i martwą siostrę. Potem otwieram brązową terenówkę, wydaję anioła i rozkładam jego metrowej rozpiętości półksiężycowe skrzydło.

Nadal dysponuję oprogramowaniem, które załadowano do mojej nakładki, gdy zaczęła się misja „Brzask”. Pozwala mi to wysłać sygnał uruchamiający anioła. Normalnie dron jest w stanie zmagazynować dość energii słonecznej, żeby latać bez przerwy, ale od miesiąca leżał w magazynie, więc się martwię, że nie będzie się nadawał do użytku z powodu kompletnie rozładowanych akumulatorów. Nie doceniam jednak swojego oddziały. Ktoś pomyślał, żeby przygotować drona, i naładował baterie.

Wypuszczam go z parkingu, posyłając lotem spiralnym nad hotel, a potem jeszcze wyżej, nad autostradę, i po raz pierwszy od bytności w Lesie Apokalipsy dysponuję widokiem otaczającego mnie terenu z lotu ptaka. To elektryzujące doznanie, jakbym odzyskał jakiś brakujący zmysł, pokonał upośledzenie.

Ale AI anioła reaguje nerwowo. Została zaprogramowana do działania nad Lasem Apokalipsy, gdzie każdy ruch sygnalizował przypuszczalne zagrożenie, więc najpierw wyświetla alarm z powodu samochodu na autostradzie, a potem ponownie, na widok radiowozu policyjnego, toczącego się wolno drogą dojazdową. Sprawdzam ustawienia programów domyślnych, znajduję protokoły dla obszaru Ameryki Północnej i zaczynam reedukację AI na temat tego, co może być uznane za normalne.

Jeśli „normalność” nadal da się zdefiniować.

Anioł ogłasza ponownie czerwony alarm, podświetlając obiekt wiszący nisko na zachodnim niebie. Najbardziej przypomina to odbicie światła: siedem malutkich, słabo żarzących się perełek, ustawionych w pionowym szyku, bez widocznych łączników między nimi. Widziane przez parne powietrze, wymykają się identyfikacji - mrugają, błyszczą, znikają z nieba, żeby po chwili pokazać się ponownie. Nie mam pojęcia, co to jest, nie potrafię ocenić ich wielkości ani wysokości, na jakiej się znajdują - mogą wznosić się wysoko na niebie i być bardzo daleko albo dużo niżej i jedynie kilka kilometrów dalej wzdłuż autostrady. Na pewno wiem tylko tyle, że znajdują się zbyt nisko w stosunku do mnie, żebym widział je z ziemi.

Przytrzymuję obraz na nakładce i przeszukuję encyklopedię, która po kilku sekundach udziela wyjaśnienia słownego: „Obiekt jest punktem węzłowym eksperymentalnego, napowietrznego, labiryntowego systemu łączności EXALT, rządowego projektu stymulującego gospodarkę, zapoczątkowanego w styczniu tego roku. Ma to być odporny, rozproszony system komunikacji, który będzie wykorzystywał przekaźniki napowietrzne w celu ominięcia...”.

Przerywam wyjaśnienia i instruuję anioła, żeby w przyszłości ignorował wszelkie zauważone napowietrzne punkty węzłowe EXALT. Dobrze wiedzieć, że rząd pracuje nad nową infrastrukturą komunikacyjną, ale jak można sądzić po moim dostępie do sieci, system jeszcze nie działa.

Imponujące jednak, że projekt sfinansowano i zaczęto realizować w czasie chaosu pierwszych pięciu miesięcy po Dniu Komy. Amerykańska gospodarka załamała się po tym, gdy bomby jądrowe rozwały istotne składniki systemu łączności. Stracono wiele miejsc pracy, ceny żywności i paliwa poszybowały w górę i poprawa nie nastąpi szybko, ale byłoby dużo gorzej, gdyby nie niezmordowane wysiłki ludzi w strukturach rządowych i poza nimi, zmierzające do budowania na tym, co pozostało. To anonimowi bohaterowie toczącej się historii, ale istnieją także złoczyńcy.

W jaki sposób Carl Vanda zdobył ładunki nuklearne?

Zastanawiam się nad tym, wyobrażając sobie hipotetycznego osobnika: pozbawione twarzy i nazwiska ogniwo w łańcuchu zabezpieczeń systemów jądrowych, w tym kraju lub jakimś innym; ktoś, kto w zamian za grubą kasę umożliwił złożenie w ofierze tysięcy ludzi.

Piekiło powstało dla podobnych osobników.

Piekiło rozszalało się w punkcie zero w San Diego, Chicago i Alexandrii.

Niamej będzie miał własny punkt zero, jeśli nie zostaną znalezione pozostałe ładunki Carla Vandy.

Spoglądam w górę i zastanawiam się, czy satelita szpiegowski ustalił już miejsce mojego pobytu. Jeśli Vanda poluje na mnie, to musi przeskanować cholernie duży obszar, przeprocesować ogromną liczbę danych. Czy jego system jest w stanie temu podołać?

Rozprasza mnie cichy pomruk silników, gdzieś daleko na zachodzie. Z początku uważam, że to



odrzutowiec, ale potem anioł ogłasza ponownie czerwony alarm, tym razem podświetlając długi rząd ciężarówek zmierzających na wschód, wciąż w odległości kilku kilometrów: jeden z konwojów, o których mówił Tuttle.

Miał rację. Zdumiewające jest je słyszeć. Narastający z wolna ryk, towarzyszący ich zbliżaniu się, brzmi w nocnej ciszy jak preludium końca świata.

Ale to nie jest koniec świata. Jeszcze nie. Redukuję status alarmu z czerwonego na niebieski, a potem idę na koniec parkingu, skąd mam widok na rampy wjazdowe na autostradę oraz na kładkę dla pieszych ponad jej jezdniami. Reflektory ciężarówek lśnią w oddali. Obserwuję, jak się zbliżają, a potem liczę je, kiedy mnie mijają - jedna, dwie, trzy, cztery - a to zaledwie początek.

Anioł kontynuuje lot patrolowy. Kiedy z łoskotem przetacza się dwunasta ciężarówka, dron przelatuje nad parkingiem i zgłasza czerwony alarm. Odwracam się gwałtownie w stronę naszych SUV-ów.

Nie widzę niczego.

Przestawiam się na widok z anioła i patrzę w dół na pojazdy, zielonkawe w noktowizji. Ktoś się znajduje na wolnej przestrzeni między obu samochodami. Mężczyzna? Kobieta? Nie potrafię powiedzieć, ale intruz jest chudy i niezbyt wysoki - być może niedożywiony nastolatek, trzymający w ręce coś, co wygląda jak łom.

Gnam z powrotem przez parking, zdecydowany interweniować, zanim się posypie szkło. Joby zaopatrzył moje stopy w elastyczną wyściółkę, żeby nie robiły hałasu, więc warkot czyniony przez konwój - niewątpliwie czynnik decydujący o wyborze czasu tego drobnego przedsięwzięcia - zagłusza moje kroki.

Rzut okiem na obraz przekazywany przez anioła upewnia mnie, że intruz nie ma żadnych towarzyszy.

Z pistoletem w dłoni ukazuję się w dramatyczny sposób między maskami obu SUV-ów, zamykając wroga między nimi, gdyż porządnie przystrzyżony żywopełt odcina mu drogę ucieczki od tyłu, ale konwój wciąż się toczy, więc intruz mnie jeszcze nie zauważył.

To dziewczyna, jestem tego całkiem pewny. Światło latami nadaje jej sylwetce miedziany odcień, a gładkie włosy zebrała w krótki koński ogon. Mierzy może sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i ma na sobie długie, brudne spodnie, sportowe buty oraz zapewne mocno zniszczoną wzmacnianą kurtkę, jakich używają motocykliści. Gdy zbiera się na odwagę i podnosi ramię, żeby rąbnąć łodem w okienko pasażera szarego SUV-a, widzę słaby blask wyświetlacza na wąskim pasku jej wizora.

- Nie radzę - odzywam się na tyle głośno, żeby mnie usłyszała pomimo hałasujących ciężarówek.

- Kurwa! - Obraca się gwałtownie i bierze świszczący zamach łodem. - Spróbuj mnie tknąć,

a cię zabiję!

Zdecydowanie dziewczyna.

Odsuwam się, umożliwiając jej ucieczkę.

- Wypierdalaj stąd.

Ujmuje łom oboma rękami.

- Nie dotykaj mnie!

- Nie dotknę.

Skrada się bokiem, obserwując mnie przez wizor, a zielony punkcik w jego rogu wskazuje, że nagrywa wszystko. Spodziewam się, że obróci się na pięcie i czmychnie, gdy tylko znajdzie się na otwartej przestrzeni, ale zamiast tego zatrzymuje się i pyta:

- Co z twoimi oczami? Migają w nich iskierki światła.

Przekaz z anioła wciąż trwa na obrzeżach mojego pola widzenia, gdy dron rejestruje - wraz z naszym drobnym starciem na parkingu - błyszczące światła reflektorów konwoju. Jestem pod wrażeniem, że ma tak dobry wzrok, żeby to zauważyć.

- To implanty.

- Jesteś żołnierzem, co?

- Już nie.

- Tym, którego nazywają królem Dawidem.

- Już nie.

Zastanawia się nad tym przez chwilę, obserwując mnie niespokojnie.

- Przepraszam - mówi szeptem, odchodząc ostrożnie. -Przepraszam, że dobierałam się do twojego sprzętu.

- Jesteś głodna?

Zwykle pytanie, sugestia, że może dostać jedzenie, a wygląda na onieśmiałoną.

Nie chcę jednak jej łomu w pobliżu siebie ani terenówek.

- Idź na drugi koniec parkingu. Zaczekaj tam. Coś ci przyniosę.

Dziewczyna się wycofuje.

Otwieram szarego SUV-a, znajduję skrzynkę z gotowymi posiłkami, o której pamiętam, że ją tam widziałem, i wyjmuję tuzin racji żywnościowych, obserwując dziewczynę oczami anioła. Odeszła dziesięć metrów, na przeciwległy koniec parkingu, skąd obserwowałem przejeżdżący konwój ciężarówek. Za nią rozciąga się pusta przestrzeń parkingu, zarośnięta przez patykowate młode drzewka. Kładę opakowania na asfalcie między nami i wracam do pojazdów. Ostatnia ciężarówka konwoju przejechała już i noc jest ponownie cicha. Dziewczyna podbiega do jedzenia i odkłada łom tylko na czas niezbędny do wypychania kieszeni pakietami. Potem odwraca się i biegnie sprintem w stronę drzew.

Niepokoi mnie, że anioł przeoczył jej obecność podczas pierwszego przelotu. Chcę znaleźć jej kryjówkę, więc wysyłam drona, żeby podążał za nią, ale po dziewczynie nie ma śladu; musi się kryć pod betonowym stropem kładki nad autostradą.

Postanawiam pozostać blisko terenówek, gdzie zabijam czas warty, przyglądając się ruchowi satelitów.

Są widoczne, gdy odbijają światło Słońca, więc najłatwiej zauważyć je na początku nocy lub tuż przed świtem. Jest niemal dwudziesta druga, ale i tak widzę jednego sunącego statecznie z zachodu, w ciszy, tak wielkiego i jasnego, że mnie zaciekawia.

Wracam do szarego SUV-a, pewny, że widziałem wśród naszych rzeczy lornetkę. Znajduję ją i wyjmuję na czas, żeby przyjrzeć się dokładnie obiektowi, zanim zniknie w cieniu. Lornetka ma elektroniczne powiększenie obrazu i stabilizację, więc to, co mi pokazuje, nie jest jedynie punktem - ma długość i szerokość, świecące ziarenko ryżu, które musi być stacją kosmiczną. Przesyłam jego obraz do encyklopedii, a w odpowiedzi otrzymuję wyjaśnienie słowne. Patrzę na zabawkę wartą miliard dolarów. Firma Sunrise 15 produkuje habitaty orbitalne - prywatne siedziby, supernowoczesne chaty, leża rekinów. Obsługują je samoloty kosmiczne. Jeden habitat został sprzedany ekscentrycznemu hipochondrykowi, a inny dziedzicowi bajecznej fortuny, bo mógł sobie na to pozwolić. Kwoty zainwestowane w to przedsięwzięcie są oszałamiające - miliardy dolarów - podczas gdy na wiejskich terenach Pensylwanii głodują dzieci.

Ruch w westybulu hotelowym sprawia, że sięgam po broń, ale kiedy szklane drzwi się rozsuwają, widzę Nolana, który przychodzi mnie zmienić. Ma wizor i kurtkę ukrywającą kamizelkę kuloodporną.

Przeszukuję ponownie wzrokiem niebo i zastanawiam się, ile satelitów przyglądało się temu parkingowi, odkąd wyszedłem na zewnątrz.

- Szuka pan tam czegoś, poruczniku? - pyta Nolan.

- Nie mam już stopnia.

Chrząka cicho, sceptycznie.

- Zatem Shelley. Liczysz satelity?

Patrzę na niego. Wizor rzuca słaby blask na jego oczy.

- Wiedziałaś, że istnieje firma, która sprzedaje rekinom stacje orbitalne? Do tej pory wystrzelili sześć.

- Bez jaj? - Spogląda w górę.

Podaję mu lornetkę.

- Patrzą na nas.

- Zawsze to robią. - Przykłada szkła do oczu. - Oglądaliśmy najnowszy reality show.

- Taa? Jaki był?

- Taki, jak powiedziałeś, że będzie... skupiony na ludziach, którzy nas chronili. Na gliniarzach i agentach FBI, ale głównie na tych nastolatkach z Dystryktu Kolumbii, które wiedziały, że coś się dzieje, i wskazywały to palcem. -Opuszcza lornetkę i marszczy brwi. - Niemal zginęli, ale znaleźli ładunek jądrowy, taki sam, jak te z Dnia Komy. Bomba nuklearna w jakimś rzęchu. FBI wyłączyło mechanizm detonujący mniej niż dwie godziny przed planowanym wybuchem. Miał nastąpić w sobotę w nocy, zanim rozpoczął się nasz proces.

- Zanim prezydent przyszedł się ze mną zobaczyć. Kiedy rozmawiał ze mną, wiedział już o tym. Wiedział, jak niewiele brakowało, żebyśmy wszyscy oberwali.

- Łącznie z nim - przyznaje Nolan.

Zastanawiam się nad tym. Czy kraj by przetrwał, gdyby ten ładunek wybuchł? Gdyby zginął prezydent? Gdyby rząd ogarnął chaos? Chcę wierzyć, że dalibyśmy sobie jakoś radę dzięki wojsku lojalnemu wobec narodu, dzięki ludziom, którzy zjednoczyliby się wokół konstytucji... chcę w to wierzyć.

Ale nawet po tym, gdy bomba jądrowa została rozbrojona, prezydent trzymał wszystko w tajemnicy. Wiedział, jak blisko była katastrofa, ale nie podzielił się tą wiedzą z ludźmi. Nie podzielił się nią ze mną. Przyszedł do mnie zaledwie kilka godzin później, prosił o położenie kresu niepokojom i chaosowi i nie zająknął się nawet słówkiem o tym, do czego nieomal doszło.

Teraz wszyscy o tym wiedzą.

- Cholera - sapię. - Wiesz, jakie mamy szczęście? Nie tylko my. Cały kraj, kurwa.

Dzięki tym małolatom. Są bohaterami. Nie tylko oni, także agenci FBI.

- Oraz siedemset tysięcy manifestantów na Mall.

Gdyby nie oni, dzisiaj byłby dzień ogłoszenia wyroków.

Mnóstwo ludzi ratowało mi ostatnio tyłek.

- Patrz - odzywa się Nolan. - Czy to jedna z kryjówek rekinów?

Podnoszę wzrok i widzę kolejnego jasnego satelitę. Przez chwilę Nolan przygląda mu się przez lornetkę. Potem odwraca się do mnie, marszcząc brwi.

- Jesteśmy na zewnątrz bez hełmów.

- Chcemy wyglądać jak cywile.

- Jasne, ale stoimy na otwartej przestrzeni. Dobry satelita szpiegowski może nas rozpoznać, skanując nasze twarze.

Kiwam głową.

- Vanda-Sheridan specjalizuje się w satelitach szpiegowskich.

- Cholera. Myślisz, że on ruszy naszym tropem?

- Znalazł mnie w Nowym Jorku. Zjawił się osobiście. Nie wynajął nikogo do tej roboty.

- Jakby chodziło o prywatną zemstę.

- Nie jest taki jak inne rekiny. Osiągnął swoją pozycję, pnąc się po szczeblach. Jest praktyczny. A w tej chwili to niezakończona sprawa. Robota nie została wykonana.

Nolan patrzy nadal w gwiazdy.

- Poznałem takich dupków. Facetów, którzy zбочą ze swojej ścieżki, żeby wyrównać rachunki.

Założę się, że Carl Vanda jest jednym z takich gości i że jest równie przewidywalny jak ja.

- Jeśli nas znajdzie, musimy to wykorzystać przeciwko niemu. Wziąć go żywcem.

- Schwytać go?

- Przekonać go, żeby zdradził nam, gdzie są ładunki jądrowe. Wtedy nie będziemy musieli się oglądać na organizację ani polegać na przeciekach ze strony skorumpowanych rządowych kretów.

- Ty chcesz, żeby on przyszedł - mówi Nolan oskarżycielskim tonem.

Nie zaprzeczam.

- Myślisz, że to będzie niebawem? - pyta.

- Tak. Jeśli w ogóle, to wkrótce. Jednak jeszcze nie dzisiejszej nocy.

- A jeśli?

- Jeżeli masz jakieś podejrzenia, zgłoś to przez gen-kom.

- Jasne.

Mówię mu o dziewczynie w zaroślach, a potem łączę anioła z jego wizorem. Być może Czerwień nie opowiada już mojej historii, nie oznacza to jednak, że sam nie mogę jej opowiedzieć.

\*

Wracając do hotelu, planuję wykupić powtórkę nowego odcinka, ale po dotarciu do pokoju zmieniam zdanie, gdyż Delphi jest nieobecna. Nie zostawiła kartki, dokąd poszła. Nie ma nic. Ogarnia mnie strach. Porwano ją? Nic nie słyszałem. To nie wydaje się prawdopodobne... poza tym nikt nie wychodził z hotelu. Wiem to. Patrzyłem oczami anioła.

Dzwonię do niej.

Sieć padła, więc do połączenia nie dochodzi.

Przysięgam na Boga, że słyszę ducha Lissy, który szepcze: „To nie jest twoja wina”.

Spanikowany wybiegam na korytarz. Wizualizuję połączenie z Jaynie. Neuronetka wychwytuje polecenie i usiłuje mnie połączyć nawet wtedy, gdy walę już do jej drzwi.

- Potrzebna mi twoja pomoc! Delphi zniknęła!

Drzwi się otwierają, a na progu stoi Delphi. Ma na sobie podkoszulek bez rękawów i spodnie od piżamy.

Za nią widzę Jaynie w podobnym podkoszulku i w majtkach, z pistoletem w ręce.

- Kurwa, Shelley, co jest? - pyta.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

Delphi wygląda na zaskoczoną.

- W porządku?

- Nie, kurwa. - Serce mi wali, ręce drżą, a ikona neuronetki się żarzy.

- Nie wiedziałem, gdzie jesteś, Delphi. Dlaczego, do diabła, nie...

- Przestań - mówi, opierając mi dłoń na piersi. - Po prostu przestań.

Cofam się, kręcąc głową.

- Nie patrz na mnie jak na wariata. On porwał Lissę ze strzeżonego ośrodka! A to tylko pierdolony hotel.

- Delphi nic nie jest, a ty się uspokój - warczy Jaynie. Ma rację, ale nie jestem na to gotowy. Wracam do pokoju, trzaskając drzwiami.

\*

Mówię neuronetce „sen”, ale budzę się, kiedy wraca Delphi.

Wślizguje się do łóżka obok mnie, kładzie głowę na moim ramieniu, a dłoń na klatce piersiowej. Nie reaguję.

- Sam to powiedziałaś — szepcze. — Tak będzie. Będziemy się bali o siebie nawzajem.

„Bać się” to nie jest odpowiednie określenie.

- Nie może się o tobie dowiedzieć - mówię cicho. - Nie możemy do tego dopuścić.

- Wiedział, zanim my wiedzieliśmy. To dlatego miał snajpera przed moim hotelem.

Chodzi jej o to, że jestem przewidywalny. Przewidywalnie impulsywny.

- O czym rozmawiałaś z Jaynie?

- O mojej pozycji w oddziale.

- Będziesz naszą opiekunką, co?

- Jeśli możemy to zorganizować.

- Bylebyś tylko była bezpieczna.

- Nikt z nas nie jest bezpieczny, Shelley.

Ma rację, a zanim to się poprawi, to się pogorszy.

\*

O piątej rano wszyscy jesteśmy z powrotem na parkingu; pakujemy się.

- Chowamy broń osobistą? - pyta Moon.

- Nie - odpowiadam. - Chcę, żebyście mieli ją przy sobie, tylko nie trzymajcie jej na widoku, i starajmy się nie dać policji pretekstu do zatrzymania nas.

Wolę zaryzykować spotkanie na autostradzie z drogówką niż być nieuzbrojonym, jeśli

wpakujemy się w kłopoty.

Moon się waha, zwracając zaniepokojone spojrzenie w stronę Jaynie. Stoi kilka kroków dalej, ze skrzyżowanymi ramionami na piersi, i patrzy na mnie krytycznym wzrokiem. Orientuję się – pytanie Moona nie było skierowane do mnie, tylko do dowódcy.

- Ma'am? - pyta Moon.
- Jak powiedział Shelley. - Rozkłada ręce i kiwa na mnie zagiętym palcem.

Patrzę za nią z wściekłością, nienawidząc sytuacji, w jakiej mnie stawia, ale zachowywanie się jak gniewny dzieciak nic mi nie pomoże. Idę więc za nią. Spotykamy się przy żywopłocie, poza zasięgiem słuchu pozostałych.

Przejmuję inicjatywę i przypominam jej:

- Na nic się nie zgodziłem.
- Powątpiewasz w moją zdolność dowodzenia tym oddziałem?

Zastanawiam się przez chwilę nad jej pytaniem, a potem kręcę głową.

- Nie. Co nie oznacza, że to będzie działać.
- Określiłeś wczoraj naszą misję - mówi. - Jeśli stanie się ona naszym pierwszym przydziałem, jeśli będziemy musieli się tym zająć, to chcę, żebyś w tym uczestniczył. Potrzebuję cię, zwłaszcza teraz, gdy nie ma Ransoma. Jeśli jednak nie będziesz lojalny, to staniesz się dla mnie bezużyteczny.
- Awansowałaś się na moją zwierzchniczkę i chcesz mojej lojalności?
- Jeśli nie ja, to kto? - Zadziera brodę, wskazując członków oddziału, kręcących się wokół pojazdów. - Wybierz kogoś, kto się nadaje na dowódcę.

To podchwytliwe pytanie.

- Tylko ty się nadajesz.
- Nie podoba ci się to - stwierdza. - Rozumiem. Nie jesteś jednak w stanie podołać obowiązkowi dowódcy. Nie dowodzisz cały czas.
- Jeśli mówisz o ostatniej nocy...
- To trwa od dawna, i ty o tym wiesz. Pomyśl o Czarnym Krzyżu. Zastanów się, dlaczego wyszedłeś na zewnątrz.

Moja wściekłość nie słabnie, ale pewność siebie już tak. Wyszedłem z Czarnego Krzyża, gdyż Czerwień dostała się do mojej głowy i kazała wyleźć na zewnątrz jak pieprzonej marionetce.



Jayne kiwa głową, dając mi znać, że z łatwością odczytuje moje myśli.

- Tak będzie najlepiej — mówi. — A teraz ruszajmy w drogę. - Idzie w stronę pojazdów, ale po kilku krokach odwraca się ponownie. - Przy okazji - ty teraz kierujesz.

- Nie, do diabła. - Ruszam za nią. - To zły pomysł.

Teraz wszyscy się gapią.

- Dlaczego? Masz wstrząs mózgu?

- Nie sędzę.

- Opuchlizna wokół oka niemal zniknęła. Dobrze widzisz?

- Tak.

- Więc w czym problem?

Nie patrzę na nią. Patrzę na Delphi, która obserwuje mnie z troską, na Harvey, która uśmiecha się ironicznie na Nolana, który przygląda mi się z zakłopotaniem.

- Nie umiem prowadzić.

- Daj spokój. Masz prawo jazdy.

- Wojsko zmusiło mnie, żebym je zrobił. Od tamtej pory nie siedziałem za kółkiem.

- Kierowałeś quadami w Dassari.

- To był quad. Nie potężna terenówka, pełna żywych ludzi i amunicji, prowadzona na wariackiej autostradzie z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Marszczy mocno brwi, starając się to ogarnąć.

- Jako pierwszy zszedłeś w głąb Czarnego Krzyża, ale boisz się prowadzić na autostradzie?

- Nie powiedziałem, że się boję. Stwierdziłem, że to kiepski pomysł.

Który bez ingerencji ze strony Carla Vandy może wykończyć połowę Oddziału Apokalipsy.

- Kierujesz - stwierdza. - Wygląda na to, że potrzebujesz praktyki.

\*

Moon prowadzi pierwszego SUV-a. Udaje mi się wjechać za nim na międzystanówkę, nie powodując poważnego wypadku. Jayne siedzi w fotelu pasażera, pouczając mnie, jak mam zmieniać pasy ruchu, a samotna Delphi tkwi z tyłu. Pozostali jadą z Moonem, co ma

zmniejszyć liczbę ofiar, jeśli naprawdę coś spierdołę.

Denerwuję się jak cholera, zwłaszcza gdy doganiamy długi sznur ciężarówek i muszę je wszystkie wyprzedzić.

- Jedź po prostu za Moonem - poleca mi Jaynie. -Ale nie za blisko.

Mijamy ciężarówki powoli, jedną po drugiej, a ja wyobrażam sobie, że wielkie naczepy się kołyszą, skręcają w naszą stronę, butle z gazem wybuchają... Serce bije mi szybko, ale wyprzedzamy pojazdy bez wypadku. Zjeżdżam na prawy pas. Przed nami pusta droga.

Przelatujemy przez małe miasteczko, którego nazwa nie dociera do mnie, bo moja nakładka nawiązuje połączenie z siecią. Na wyświetlaczu pojawia się ikona ściągania plików. Wiem, że to nie jest mój program archiwizacyjny, gdyż ten działa jedynie wtedy, gdy śpię. Zastanawiam się nad tym i dochodzę do wniosku, że to musi być program Joby'ego, przekazujący dane na temat działania moich protez. Jednak link pozostaje otwarty. Mijają sekundy.

- Shelley! - krzyczy Jaynie.

Spoglądam przed siebie i stwierdzam, że zjechałem na pas awaryjny.

- Wyłącz wyświetlacz nakładki - warczy.

Staram się, ale muszę patrzeć na drogę, więc przy każdej próbie wyłączenia proces ulega przerwaniu.

- Mamy za sobą migające światła - informuje Delphi z tylnego siedzenia.

Sprawdzam w lusterku wstecznym; ma rację.

- Kurwa.

Jaynie sięga pod moją kurtkę, wyjmuje pistolet i wraz ze swoim przekazuje Delphi.

- Schowaj to. - Potem zwraca się do mnie. - Zjedź na pobocze. A kiedy się zatrzymasz, wyjmij prawo jazdy. -Przełącza się na gen-kom. - Moon, jedź do następnego zjazdu z autostrady i zaczekaj tam.

-Tak jest, ma'am.

Zatrzymuję się. Link przesyłu danych na nakładce jest nadal otwarty. Kiedy wóz patrolowy zatrzymuje się za nami, sprawdzam rejestr logowania do systemu. To nie jest program Joby'ego. Na adres, który jest przypadkowym ciągiem znaków, ściąga się moje nagranie wybuchów na Manhattanie.

Nie zostałem zapomniany. Tak uważam. I jestem zły, że to wróciło, teraz, po nieobecności w Nowym Jorku, ale, niech mnie szlag, czuję także ulgę.

Jaynie jest skupiona na gliniarzu.

- Wyciągaj prawo jazdy, Shelley!
- Nie muszę - odpowiadam, gdy kończy się ładowanie filmu. - Mam czip.
- Kolejne mechaniczne części? - pyta z nutą obrzydzenia w głosie.
- Często gubiłem portfel.

Przyglądamy się radiowozowi, korzystając z tylnej kamery. Obserwuję także ruch na autostradzie, ale odwracam wzrok, kiedy samochody przemykają obok nas. Nie chcę reklamować swojej twarzy.

- Spójrzcie na drugą stronę szosy - mówi Delphi. - Jest tam dron policji autostradowej.

Widzę go. To stary model - biały, w kształcie krzyża, lecący wolno na niewielkiej wysokości; obserwuje nas.

Policjant wysiada z samochodu.

- Opuść szybę - poleca mi Jaynie. - A potem oprzyj dłonie na kierownicy.

Kiedy szyba opada, napływa gorące wiosenne powietrze. Obserwuję na monitorze tylnej kamery podchodzącego gliniarza. Jest średniego wzrostu, krępy, w mundurze khaki, a na biodrach dźwiga cały arsenał. Nieprzezroczysty szary wizor wygląda jak oczy robota.

Włączam funkcję nagrywania, a potem odwracam się, żeby na niego spojrzeć. Malutkie zielone światełko w rogu jego wizora wskazuje, że on także nagrywa zajście. Przez chwilę gapimy się na siebie. Na plakietce identyfikacyjnej ma nazwisko Munroe. Jest wystarczająco publiczną osobą, żeby moja encyklopedia zidentyfikowała go jako Terence'a B. Munroe.

Oczywiście on także przeprowadza rozpoznanie twarzy.

- Cholera - szepcze, kiedy dowiaduje się dzięki temu, kim jestem. Potem ogarnia się i mówi oficjalnym tonem: -Proszę pokazać prawo jazdy, panie Shelley.
- Mam implant — informuję go.

Powinienem był się domyślić. - Wzdycha i sięga do kieszeni bluzy, z której wyjmuje ośmiocentymetrowej długości pałeczkę. - Proszę położyć powoli dłoń na drzwiczkach.

Stosuję się do jego polecenia. Trzyma wałek nad moim nadgarstkiem, marszcząc brwi na widok danych pojawiających się na wyświetlaczu jego wizora. Potem spogląda ponownie na mnie.

- Ma pan w samochodzie broń?

- Tak, proszę pana. Mam.

To nie jest odpowiedź, na jaką liczył. Policzki czerwienieją mu i cofa się o krok od auta.

- Jest schowana w bagażniku z tyłu samochodu.

Jaynie przechyla się nade mną.

- Broń jest dopuszczona do przewozu autostradą międzystanową. Mam wymagane dokumenty.

Policjant marszczy czoło.

- Bronią, o którą mi chodzi, jest policyjny pistolet, którego zaginięcie zgłoszono w Nowym Jorku. Czy jest w pańskim posiadaniu, panie Shelley? Pani Vasquez?

- Nie - odpowiadam. - Nie mamy go.

Gliniarz kiwa głową.

- Słyszałem, że próbował pan ścigać zabójcę policjanta. Nowojorska policja chce z panem o tym porozmawiać. - Czekam na moją reakcję. Kiedy milczę, wzrusza ramionami. - Nie ma nakazu. Nie ciąży na panu obowiązek powrotu.

- Tak, proszę pana.

- Zamierza pan pozostać w okolicy?

- Nie, proszę pana.

Na jego twarzy pojawia się wyraz ulgi; uśmiecha się do mnie drętwo.

- To dobrze. Bóg mi świadkiem, że od Dnia Komy mamy tutaj dosyć kłopotów. Udzielę panu pouczenia z powodu nieostrożnej jazdy i niech jedzie pan w swoją drogę.

- Dziękuję panu. Jestem wdzięczny.

Jednym z urządzeń na jego pasie jest miniaturowa drukarka, która wypluwa z siebie żółty pasek papieru; policjant odrywa go i wręcza mi.

- To pańskie ostrzeżenie. Jest na nim także numer kontaktowy nowojorskiej policji, jeśli chciałby pan z nimi pogadać. - Robi krok wstecz. Potem w widoczny sposób zbiera się w sobie, prostuje barki i zaciska z determinacją usta w wąską kreskę. - Jeszcze jedna rzecz.

To brzmi jak kwestia z kiepskiego filmu, padająca tuż przed tym, gdy uśmiechający się zamachowiec wyciągnie broń. Oblatuje mnie strach i tężeję ze wzrokiem utkwionym w jego rękę po stronie kabury, zastanawiając się jednocześnie, co zrobię, jeśli do niej sięgnie.

Jaynie opiera mi dłoń na barku.

- Spokojnie - szepcze.
- Dla jasności, panie Shelley... Czerwień... to bzdura? Czy prawda?

To nie jest pytanie, jakiego się spodziewałem, ale łatwo na nie odpowiedzieć.

- Prawda.

Kiwa głową.

- Wielu tutejszych ludzi pragnie, żeby tak było. Woleliby raczej, żeby biegiem spraw kierował kontrolowana AI, a nie popaprańcy, którzy pozwolili na wybuch bomby w Chicago. Gdyby pan mnie zapytał, powiedziałbym, że nie odpowiada mi ani jedno, ani drugie.

Nie sądzę, żeby to było możliwe, ale zachowuję tę opinię dla siebie.

Policjant kiwa ponownie głową.

- Może pan jechać.

Kiedy wraca do swojego krążownika szos, przerywam rejestrację wideo i uruchamiam silnik.

- Wszystkie posterunki policji stąd do Wyomingu każą dronom nas wypatrywać - mówi Delphi z tylnego siedzenia.

Jaynie wzrusza ramionami.

- To dobrze. Skoro gliny będą czuwać, zaatakowanie nas stanie się nieco bardziej ryzykowne.
- Nie możemy zakładać, że wszystkie posterunki będą miały na względzie nasze dobro.
- Masz rację. Podaj z powrotem pistolety.

Wracam na drogę, włączając się do rzadkiego ruchu pojazdów zmierzających na zachód. Po kilku minutach nawiązujemy łączność z Moonem, a potem przejeżdżamy piętnaście kilometrów, zanim Jaynie zadaje nieuchronne pytanie:

- Co rozproszyło wtedy twoją uwagę?

Zasługuje na prawdę. Całą.

Dotykam kącika oka.

- Sądziłem, że moja rola jest skończona, ale nagrany przeze mnie materiał wideo z wybuchami bomb w Nowym Jorku został ściągnięty.

- Dokąd?
- Na jakiś anonimowy przekaźnik.
- Masz nadal jakieś resztki oprogramowania wojskowego? - pyta bez specjalnej nadziei.
- O ile wiem, wynieśli się z mojej głowy.

Opowiadam jej o zapisie cyfrowym, który był ściągany każdej nocy, kiedy rzekomo powinienem być odłączony, oraz o rozmowie z Jobym, który twierdził, że wojsko nie ma już dostępu do mojej nakładki. Jaynie wie już o naszym spotkaniu z Koi Reisman.

- Oglądałaś zeszłej nocy ostatni odcinek, prawda? -pytam.
- Taa, wszyscy oglądaliśmy. Emitowali go, kiedy byłeś na warcie.
- Koi Reisman powiedziała, że nasza rola w opowieści się skończyła. Czy wyglądało na to?

Zastanawia się chwilę, a potem kiwa głową.

- Taa, wyglądało. Ale odkąd wyjechałeś z Dystryktu Kolumbii, wokół ciebie sporo się działo, a jeśli Czerwień skończyła z tobą, jeśli nie jesteś już królem Dawidem, to co jest, kurwa, grane?

Nie wiem, ale dla mnie istotne jest to, że będą dwa kolejne odcinki.

- Może to tylko jakieś przetworzone ścinki? - poddaje Delphi z tylnego siedzenia.

Zerkam w lusterko wsteczne, w którym spotykamy się przelotnie wzrokiem; zastanawiam się, czy naprawdę w to wierzy, czy tylko chciałaby wierzyć.

- Zamierzamy szukać ładunków nuklearnych Carla Vandy - przypominam.
- Ty zamierzasz - sprzeciwia się Jaynie. - Jesteś jedynym, który chce to zrobić. Musisz się nad tym zastanowić,
- To nie jest nasze zadanie - przypomina mi Delphi. -Przekazałam raport na temat tego, co wiemy. Zajmie się tym oficjalna agencja rządowa.
- Manipulowano tobą, Shelley - mówi Jaynie ze szczerością w głosie i w wyrazie twarzy, obracając się do mnie. -Musisz się pozbyć tych drutów z głowy.

Wpatruję się w tył terenówki Moona, sześćdziesiąt metrów przed nami.

- Nie, nie ma mowy.

Delphi odgrywa rolę adwokata Jaynie.

- Mógłbyś wrócić do używania neuroskalpu. Wiesz, że działanie jest w sumie takie samo, ale jeśli Czerwień narazi cię na niebezpieczeństwo, tak jak to się stało w Czarnym Krzyżu, to nie trzeba ci będzie operacyjnie zdejmować czapki z głowy.

- Daj spokój, Delphi. Jesteś moją opiekunką. Jasne, ryzyko istnieje, ale wiesz doskonale, że neuronetka jest dużo bardziej zaawansowana od neuroskalpu.

Jaynie zahacza łokieć za oparcie fotela i odwraca się do Delphi.

- On nie chce mieć możliwości zdjęcia neuroskalpu. Nie chce, żeby ktokolwiek inny mógł to zrobić. - Patrzy ponownie na mnie. - Tym się przejmujesz, prawda, Shelley? Że neuroskalp można by ci zabrać?

Wpatruję się w drogę.

- Nie poprosiłabyś mnie, żebym oddał nogi, co? To są protezy, które pozwalają mi chodzić. Neuronetka to proteza, dzięki której mogę nadal działać, kiedy obok mnie giną moi ukochani, a różne dupki usiłują wysadzić moje życie w powietrze. Odbierz mi jedno albo drugie, Jaynie, a stanę się kaleką. Bezużytecznym dla ciebie. Więc, taa, bardziej się martwię utratą tej funkcjonalności niż możliwością zhakowania mi głowy przez Czerwień.

Moja tyrada nie robi na niej wrażenia.

- Prawda jest taka, że nie masz nic przeciwko temu, żeby Czerwień włamywała ci się do łba. W Czarnym Krzyżu zabiła cię niemal, ale ty i tak jej ufasz.

- Nieprawda. Po prostu żyję z tym. To element rzeczywistości. Czerwień nie zniknie, Jaynie. Sheridan udowodniła to w Dniu Komy. Albo nauczysz się żyć z Czerwienią, albo bądź jak Thelma i zbuduj sobie Fortecę Apokalipsy, odcinając się od Czerwieni.

Jaynie siada prosto i znowu patrzy na drogę.

- Myślałam o tym - przyznaje. - Trzeba kupy forsy, żeby kupić sobie taką prywatność. Więcej, niż przyniesie ta praca.

-I tak nie chciałabyś mieszkać w dziurze w ziemi.

Nie odpowiada, więc jadę dalej.

W Ohio na otaczających autostradę polach kukurydzy jej młode pędy mają kilkanaście centymetrów wysokości, ale większość areału jest nieuprawiana. Po obu stronach międzystanówki, kilometr za kilometrem, ziemia wydaje dorodne plony w postaci jasnozielonych chwastów.

- Co. do diabła? - nie wytrzymuję w końcu. - Czy ludzie nie muszą już jeść?

- Byłeś kiedykolwiek głodny, Shelley? - pyta Jaynie. -Nie miałeś nic w ustach przez trzy dni?

- Nie.

Czekam, żeby powiedziała coś więcej. Nie mówi. Kiedy zerkam na nią, patrzy wprost przed siebie, plecy ma wyprostowane, barki ściągnięte. Wracam spojrzeniem na drogę.

To Delphi przerywa milczenie.

- Takie farmy potrzebują paliwa, nawozów sztucznych, części zamiennych do maszyn i pożyczek bankowych. Gotówki. Dostarczający to wszystko system załamał się w Dniu Komy.

Nie chodzi tylko o pola. Także stacje benzynowe są opuszczone. Tankujemy do pełna za każdym razem, gdy tylko znajdujemy którąś z niewielu czynnych. Wszystkie są automatyczne. Nie ma z kim zamienić słowa.

W trakcie jednego z postojów zauważam węzeł EXALT unoszący się nisko nad nieuprawianym polem, na północ od autostrady. Z początku nie bardzo wiem, co widzę. Wygląda jak zbiór niebieskich, wygiętych refleksów, nieco tylko jaśniejszych od błękitnego tła. Kiedy patrzę przez lornetkę, krzywizny stają się wyraźnymi krawędziami szeregu małych sfer. W ich gładkiej powierzchni odbija się barwa nieba, przez co trudno je dostrzec nawet w powiększeniu. Z artykułu z encyklopedii wiem, że kule są ze sobą połączone przewodami, ale nie widzę ich. Kiedy opuszczam lornetkę, na szczycie najwyższej sfery błyska jasne białe światło. Niczym gwiazda rozpalająca się krótko do życia na dziennym niebie. Ostrzegawcze światło nawigacyjne? Możliwe. Flynn zauważa obiekt i chce wiedzieć, co to takiego, więc podaję jej lornetkę i opowiadam o projekcie EXALT.

- To ma być nowa sieć komunikacyjna, ale albo jeszcze nie działa, albo trzeba mieć konto - dotykam kącika oka -bo nie mam połączenia.

Kiedy jedziemy na zachód, tylko sporadycznie mamy zasięg, ale na tyle często, że co najmniej raz na godzinę przychodzi e-mail od Shimy. Zawsze to samo: Żadnych nowych wiadomości na temat poszukiwanych ładunków jądrowych Carla Vandy, którego obecne miejsce pobytu jest nieznane. Być może działają ci sami gracze, którzy próbowali ukryć prawdę na temat wydarzeń w Czarnym Krzyżu.

Docieramy do Iowy i jedziemy wzdłuż kolejnych pól leżących odłogiem.

Dzień Komy rzuca cholernie długi cień.

\*\*\*

Na noc zatrzymujemy się o godzinę jazdy przed Des Moines, w małym centrum handlowo-usługowym tuż przy zjeździe z autostrady, zbudowanym na użytek zmęczonych podróżnych. Składa się ono ze stacji benzynowej, baru z fast foodem i dwupiętrowego hotelu, należącego do taniej sieci. Konkurencyjny hotel stoi sto metrów dalej na zachód, przy drodze dojazdowej, oddzielającej autostradę od opuszczonych pól. W pobliżu nie ma innych zabudowań. Jaynie postanawia, że przenocujemy w tym drugim hotelu, gdyż podoba się jej jego odosobnienie, ale



najpierw napełniamy zbiorniki paliwem i zamawiamy jedzenie na wynos.

Żeby ją uszczęśliwić, siedzę w samochodzie, a Delphi, Tuttle i Moon wchodzą do środka, żeby zamówić kolację. Z wizora Tuttle'a otrzymuję przekaz, który wyświetla mi się na nakładce. Dzielę uwagę między ten obraz a ruch na międzystanówce.

Bar jest czysty i jasno oświetlony, ale to znak obecnego czasu, że połowa pozycji elektronicznego menu nad kontuarem się nie świeci, a wszystkie stoliki są wolne. Jest tylko dwoje klientów, młodziaków po dwudziestce, może brat i siostra. Czekając przy ladzie, patrzą nerwowo na Moona i Tuttle'a. Myślę, że gdyby towarzyszyła im Delphi, stanowiąca pewien kobiecy element równowagi, tamci by uciekli.

- Wyglądacie jak zbiry - szepczę Tuttle'owi do ucha.
- To lepsze, niż wyglądać na ofiary - odpowiada cicho.

Kiedy młodzi dostają w końcu to, co zamówili, znikają pośpiesznie.

Moon podchodzi do lady, przy której wita go przepraszającym uśmiechem kobieta w średnim wieku, blondynka o krótko ostrzyżonych, kręconych włosach.

- Przykro mi, że musiał pan czekać. To ani trochę nie ruch, jaki mieliśmy, i mam tylko jednego pracownika w kuchni.
- Żaden problem, proszę pani.

Po czym Moon recytuje zamówienie, które na następny kwadrans daje zajęcie kierownicze i jej pomocnikowi.

\*

Toczymy się wolno drogą dojazdową do hotelu wybranego przez Jaynie. Ma dwa piętra, pudełkowaty kształt, a pod dachem świeci się jasno logo sieci, zwrócone w stronę autostrady. W kilku pokojach światła są zapalone, ale kiedy skręcamy na rozległy parking za budynkiem, widzimy tam jedynie dwa auta, oba w pobliżu głównego wejścia. Zastanawiam się, czy zarządca włączył światła w pustych pokojach, żeby hotel wyglądał na bardziej obłożony, niż jest.

Parkujemy w pobliżu budynku, dzięki czemu nasze pojazdy nie są widoczne z autostrady. Otoczenie hotelu jest porządnie utrzymane, ale pola wokół zdziczały. W blasku latarni widać za parkingiem wysoką trawę i sięgające pasa krzaki - zbyt dużo tego, jak na pominięcie jednego sezonu upraw. Domyślam się, że ten obszar leży odłogiem od ponad roku. Być może przed Dniem Komy teren był przeznaczony pod zabudowę, ale teraz jest domem dla milionów świergoczących i szeleszczących w nocy cykad.

- Wypuść anioła, Tuttle - mówi Jaynie. - Flynn, warta.

Na moim wyświetlaczu miga ikona neuronetki. Ogarnia mnie niejasne wrażenie niepokoju. Po kilku sekundach ikonka gaśnie, ale uczucie zaniepokojenia pozostaje. To jak przypomnienie, żeby pozostać czujnym. Rozglądam się wokół.

Ku wschodowi latarnie oświetlają drogę dojazdową aż do mostu nad autostradą, gdzie w utworzonych przez rozjazdy trójkątach gruntu widać niewysokie zarośla środkowego Zachodu. W drugą stronę drogę dojazdową oświetlają jedynie reflektory aut przejeżdżających sporadycznie autostradą.

Flynn przygląda mi się z ciekawością przez słabo błyszczący wizor, podczas gdy reszta oddziału znika w hotelu.

— Jesteś połączona z aniołem? - pytam.

- Tak, sir.

Także podłączam się do obrazu z drona i obserwuję okolicę w noktowizji. Na autostradzie ruch panuje niewielki, ale upewniam się, że widziana z lotu ptaka droga do hotelu jest równie pusta, jak wydaje się z powierzchni ziemi. Na zachodzie, w odległości może stu dwudziestu metrów i poza zasięgiem światła latarni, krajobraz staje się jeszcze dziksz, teren porastają młode drzewka, których gałęzie wyrastają nad samą ziemią. Nikogo tam nie ma - nie, żeby anioł był w stanie tam zajrzeć - ale tak samo było zeszłej nocy, gdy tamta dziewczyna pojawiła się znikąd.

- Idę się zameldować - mówię Flynn - ale potem wrócę.

- Sir?

Ikona neuronetki miga ponownie. Jej blask jest słaby, ale stały, a ja jestem spięty.

- Wszędzie panuje spokój. Chcę się tylko co do tego upewnić.

\*

W recepcji urzęduje biały mężczyzna po pięćdziesiątce, o metalicznie siwych włosach. W przeciwieństwie do młodziaka z zeszłej nocy ten wie, kim jestem, i chce, żebyśmy wiedzieli, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie. Gada, skanując nasze dokumenty tożsamości i meldując nas w pokojach.

- Dzień Komy zrujnował mnie. Miałem dobrze prosperujący interes; ten hotel i jeszcze dwa inne. Teraz otwarty jest tylko ten, ale to jedynie kwestia czasu. Wiecie, co mi zrobił Dzień Komy? Zapełnił wszystkie pokoje. Przez trzy dni po wybuchach bomb, kiedy ludzie opuścili Chicago, miałem zajęte wszystkie łóżka, ale od tamtej pory nie ma nawet ćwierci tego obłożenia. Okoliczni mieszkańcy są w rozpacz, a najbogatsi z najbogatszych kupują sobie domki na orbicie. Słyszeliście o Sunrise 15? Ta firma wytrzeluje małe, prefabrykowane stacje kosmiczne, za jakiś miliard sztuka. Możecie sobie wyobrazić, że macie na zbyciu taką forszę? A mówi się o kurorcie, który ma zostać zbudowany na Księżycu, ale nie dla takich jak

my. Wielkie ryby stać teraz na wszystko. Wszystko, co warto mieć. Ale wy kazaliście przynajmniej jednej z nich zapłacić.

\*

W pokoju Delphi przygląda mi się podejrzliwie, gdy nakładam kamizelkę kuloodporną na cywilki.

- Nie rozumiem, dlaczego musisz wyjść. Wartę masz później.
- Chcę tylko mieć oko na sytuację.
- Masz jakieś przeczucie, Shelley?

Chce wiedzieć, czy jestem znowu królem Dawidem, ostrzegany przez Czerwień o grożącym niebezpieczeństwie. Zerkam na ikonę neuronetki; jej nieustanne żarzenie się jest wskaźnikiem nienaturalnej aktywności w mojej głowie.

Tak, mam przeczucie. Pierwszy raz od wielu miesięcy.

Jednak nie mówię jej tego. Źle to zrozumie. Zada pytania, na które nie mogę odpowiedzieć.

Nie ma jednak mowy, żebym zignorował ostrzeżenie.

- Zostań w hotelu, dobrze? Jeśli będziesz mnie potrzebowała, użyj gen-komu.

\*

Na parkingu otwieram tylną klapę szarego SUV-a i wydaję jeden z nowych karabinów ztkh M-CL1a, spoczywający nadal w futerale. Przekładam broń na tylne siedzenie, włączam i uruchamiam wstępną procedurę bezpieczeństwa, która rejestruje ją jako moją. Flynn z wyrazem powątpiewania na twarzy przygląda mi się przez uchylone drzwiczki auta.

- Poruczniku...
- Daj mi amunicję, Flynn.
- Jeśli coś się dzieje, poruczniku, to niech mi pan lepiej o tym powie.
- Nic nie wiem, żeby się coś działo. Chcę się tylko przejść po okolicy.

Przypinam martwą siostrę, kryjąc się za SUV-em przed czuwającą nad wejściem do hotelu kamerą bezpieczeństwa.

- Nie wygląda pan na cywila, poruczniku.
- Nie ma sprawy, Flynn. Nikt mnie tutaj nie zobaczy.

Nakładam hełm, żeby móc się posłużyć noktowizją, a potem ruszam szybko w stronę osłony w postaci zarośniętego pola, uciszając swoją obecnością świerszcze.

\*

Kiedy skradam się ku gęstszej osłonie, młodniakowi na zachodnim skraju pola, pochylam się nisko, więc dzięki zaroślom i wysokiej trawie jestem niewidoczny z drogi dojazdowej. Ztkh trzymam przy boku, żeby jego kształt nie był tak oczywisty dla satelitów szpiegowskich. Anioł poinformuje mnie niebieskim alarmem w wypadku pojawienia się w pobliżu obcych dronów, ale chcę dotrzeć do lasu, zanim do tego dojdzie. Kiedy przechodzę przez pole, zamieram kilka razy pośród zielska i czekam, aż przejadą samochody na autostradzie.

Zajmuję pozycję dwadzieścia pięć metrów w głębi lasu, daleko poza trasą patrolową anioła, w otoczeniu młodych drzewek o wiotkich pniach, podtrzymujących gęste kopuły wiosennych liści. Światła hotelu prześwitują między nimi, ale Flynn widzę jedynie wzrokiem anioła.

O dwudziestej drugiej luzuje ją Tuttle.

O dwudziestej drugiej czterdzieści osiem głośniki hełmu odfiltrowują z szelestu poruszanych wiatrem liści ciche brzęczenie. Nienaturalny dźwięk dobiega z prawej strony i z tyłu. Nie obracam się. Poruszając jedynie gałkami ocznymi, przywołuję obraz z tylnej kamery hełmowej. Po kilku sekundach zauważam powietrznego szperacza - minidron szpiegowski, jak jeden z tych, które śledziły mnie na Manhattanie. Znajduje się co najmniej osiem metrów ode i jedynie półtora metra nad powierzchnią ziemi, lecąc wolno między drzewami, równoległe do drogi dojazdowej.

Nic nie wskazuje na to, że mnie zauważył, ale kiedy zbliża się do skraju zagajnika, nurkuje nagle ku ziemi. Sprawdzam przekaz. Anioł dociera do zachodniej granicy zaplanowanej trasy, przelatuje nad pozycją szperacza, po czym zawraca ku hotelowi. Czekam i obserwuję, czy zauważy obce urządzenie, ale nie udaje mu się to, a kiedy odlatuje szperacz unosi się z ziemi i wzlatuje na taką wysokość, żeby mieć swobodny widok na hotel po drugiej stronie pola.

Być może został wysłany przez jakąś agencję rządową, ale działanie szperacza wymaga nadzoru ze strony operatora, a nie sądzę, żeby którakolwiek agencja oddelegowała do tego ludzi, skoro naszą pozycję może z łatwością monitorować dzięki kamerom drogowym, dronom policyjnym i satelitom szpiegowskim. Dużo bardziej prawdopodobne, że szperacz należy do kogoś, kto szczególnym zainteresowaniem obdarza Oddział Apokalipsy. Spodziewam się, że to Carl Vanda, ale muszę się co do tego upewnić, a nie mogę wysłać w tym celu anioła, gdyż jeśli tylko zboczy z dotychczasowej trasy, będzie to ostrzeżeniem dla Vandy, że podejrzewamy jego obecność tutaj.

Sam będę musiał pójść.

Ale nie zostawię bezbronny oddziału. Otwieram łącze do Tuttle'a, a potem koncentruję się na myśli: „Nie ruszaj się”. Prymitywna AI mojej neuronetki wyczuwa intencję, odbiera myśl, przekłada ją na słowa, syntetyzuje werbalną wiadomość, po czym wysyła Tuttle'owi, który ma

pętlę audio.

- Gdzie pan jest, poruczniku?

Świadom mikrofonów szperacza, odpowiadam ledwo słyszalnym szeptem:

- Na zachód od ciebie. Nie oglądaj się. Nie ruszaj. Nie zmieniaj trasy anioła. Tylko słuchaj. Jesteś obserwowany.

- Dobra. Przez kogo?

- Chcę, żebyś ogłosił ogólny alarm. Obudź wszystkich. Każ im się ewakuować pieszo z hotelu, po jego wschodniej stronie. Nie może być ich widać. Zrozumiałeś?

- Tak, sir?

Wcale nie brzmi pewnie.

- Twoje zadanie jest inne. Masz zostać tam, gdzie jesteś, i zachowywać się tak, jakby nic się nie działo.

- A co się dzieje, sir?

- Wykonać, Tuttle.

Słyszę, jak ogłasza alarm. Dobrze się spisuje, powtarzając z naciskiem dokładnie to, co mu powiedziałem:

- Ewakuujcie się, ale nie dajcie się zauważyć... Nie wiem, co się dzieje, po prostu zróbcie to.

Zadowolony z tego, że mój oddział jest w ruchu, także ruszam przez zagajnik na zachód, najciszej jak potrafię; wilgotne liście tłumią moje kroki, a wszystko wokół mnie jaśniej w noktowizji.

Grunt pod stopami zaczyna opadać. Dodaje mi to otuchy, gdyż będę mógł się zakraść do wroga, zajmując wyższą pozycję. Idę tak szybko, jak tylko mam na to odwagę. Pokonuję ponad dwieście metrów między drzewami, kiedy dostrzegam jednopiętrowy budynek, nad którym zwieszają się drzewa. Biała farba nosi znamiona upływu czasu i zaniedbania. Brakuje części dachówek, a na pozostałych rośnie mech. Dom wygląda na opuszczony. Jediną oznaką życia jest słaby blask padający z okna na piętrze, widoczny tylko dlatego, że używam noktowizora.

Nasłuchuję rozmów, odgłosów ruchu, ale niczego nie słyszę. Tylko szelest liści w sklepieniu drzew i cykanie świerszczy.

Okrażam budynek. Drzewa zaanektowały trawnik, ale na podjeździe rośnie jedynie kilka kepek trawy, co oznacza, że ktoś odwiedza od czasu do czasu to miejsce.

Ktoś jest tam teraz.

W pobliżu ganku stoi zaparkowany elektryczny sedan. Frontowe drzwi są otwarte.

Na obrzeżach mojego pola widzenia rozjaśnia się ikona Pojedynczego połączenia: to Jaynie. Ale nic nie mówi. Chce mi jedynie dać znać, że obserwuje wszystko za pośrednictwem kamer mojego hełmu.

Wchodzę na schody ganku i zaglądam do domu. W noktowizji widzę wewnętrzne schody pozbawione balustrady Cicho przechodzę przez werandę i kiedy docieram do drzwi wejściowych, słyszę wreszcie głos wzmocniony przez system audio hełmu. Znam mówcę.

- Załatwione - odzywa się Carl Vanda. - Dane pozycyjne trzeciego szperacza wprowadzone.

Odpowiada mu inny głos, też męski, ale młodszy, mniej donośny, zaciągający nieco z wiejska.

- Triangulacja.

Na Manhattanie Vanda polował na mnie z karabinem snajperskim, ale tutaj prowadzi większą operację.

Korzystam z napędu egzozszkieletu i w trzech susach wskakuję na szczyt schodów. Ztkh jest gotowy do użycia, ale chcę Vandę wziąć żywcem.

Oczywiście tamci słyszą, że nadchodzę.

W otwartych drzwiach w pobliżu podestu schodów pojawia się postać. Noktowizja ukazuje mi wąską twarz faceta w brązach - przybocznego Carla Vandy, który omal mnie nie zabił na nowojorskim chodniku. Dłoń i nadgarstek obejmuje mu lekka ażurowa szyna wzmacniająca (chyba połamałem mu kości kopniakiem), ale facet pracuje mimo obrażeń. Wizor pomaga mu widzieć w ciemności, a ma karabin szturmowy, który szykuje do użycia przeciwko mnie.

Chcę dostać Carla Vandę żywcem, ale tego faceta mam w dupie. Więc to sprowadza się jedynie do tego, kto pierwszy naciśnie spust. Rolę przejmuje moja taktyczna AI, wystrzeliwując trzypociskową serię w jego krtań. Głowa spada mu w tył, a ja przeskakuję nad jego przewracającym się ciałem.

Poświęcam pół sekundy na omiecenie wzrokiem pomieszczenia: żadnych mebli, staromodna tapeta, poplamiony sufit, otwarte angielskie okno, a z nim las. Gęsta kopuła liści zasłania światła hotelu, ale dzięki danym celowniczym ze szperaczy Vanda nie musi widzieć budynku, żeby trafić w niego zaprogramowanym pociskiem z przenośnej wyrzutni raketowej, którą ustawił pod oknem. Urządzenie jest na samojezdnym trójnogu przyśrubowanym do podłogi. Domyślam się, że Carl zamierza odjechać i odpalić raketę zdalnie, być może z drugiego końca stanu.

Jest już za późno, żeby zrealizować ten plan, ale Vanda jest elastyczny.

Ciska we mnie świecącym tabletem, prawdopodobnie tym, który steruje wyrzutnią. Blask wyświetlacza oślepia mnie w noktowizji. Rzucam się na podłogę. Rozlega się strzał z pistoletu.

Tablet wiruje, rozsiewając po pokoju jasnozielone lśnienie; pocisk, z siłą minigranatu, uderza w ścianę za mną. Kiedy spadam na podłogę, trzymam zadartą głowę, ztkh jest gotowy. Moja taktyczna AI także. Plasuje kółko celownicze na tułowi Carla Vandy.

Jest pękaty za sprawą kamizelki kuloodpornej, przyjmuję więc radę AI i wystrzeluję dwa pociski, które rzucają go na ścianę. Jest oszołomiony, nie może oddychać i piorunuje mnie wzrokiem przez wizor, pistolet zaś nadal ściska w dłoni, ale tylko dlatego, że nie jest w stanie rozluźnić uchwytu i go wypuścić.

Zrywam się na równe nogi, wykręcam mu broń z ręki i wyrzucam za okno. Potem zrywam wizor z jego twarzy i ciskam w stronę drzwi. Vanda zaczyna odzyskiwać wolę walki i zamierza się na mnie niemrawo, chwytam go więc za kurtkę i przewracam twarzą na podłogę. Przerzuciwszy ztkh przez ramię, klękam i wciskam Vandzie kolano martwej siostry między łopatki tak mocno, żeby uniemożliwić mu oddychanie. Gmeram w kieszeniach mojej kamizelki kuloodpornej i zdarza się cud: znajduję pasek zaciskowy, pozostały po misji „Brzask”. Krępuję nim Vandzie ręce za plecami i podrywam go do pionu. Wciąga ze świstem powietrze, zewnątrz słyszę warkot silnika, zagłuszający szelest liści. Najpierw wydaje mi się, że dźwięk dobiega z autostrady, ale później dociera do mnie trzeszczenie liści i odgłos pęknięcia gałązek pod oponami pojazdu. Ktoś zbliża się drogą dojazdową. Tknięty myślą, rozwijam mapę oddziału, ale jedynym zaznaczonym na niej żołnierzem jestem ja. Nikt inny nie nosi hełmu.

- Mam nadzieję, że to ty nadjeżdżasz, Jaynie.
- Zgadza się. Panujesz nad sytuacją?
- Potwierdzam. Wyprowadzam jeńca na zewnątrz.

Vanda cierpi. Słyszę to w cichym, zgrzytliwym tonie wściekłości w jego głosie, gdy mi grozi:

- Zgnijesz w piekle, Shelley. Dopilnuję tego.
- Dzięki tobie już tam byłem, dupku.

Kieruję go pchnięciami przed sobą, idąc przez pokój, a potem obok czarnej kałuży krwi, sączącej się z jego towarzysza, po czym zmuszam go do ukłęknięcia, kiedy podnoszę wizory należące do niego i jego martwego kumpla. Przypuszczalnie urządzenia są zabezpieczone tak dobrze, że nie wydostaniemy z nich żadnych informacji, ale nie chcę ich zostawiać, bo może się do nich włamać ktoś inny.

Potem na wpół ściągamy, a na wpół znoszę Carla Vandę po schodach i wywlekamy go na zewnątrz.

- Prowadzę go do drogi dojazdowej, Jaynie.
- Rozumiem. - Głos ma rzeczowy i chłodny. Świta mi, że jest wściekła, ale nie pozwoli, żeby to przeszkodziło operacji. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Podjeżdża z wyłączonymi światłami. Kiedy hamuje, Nolan wyskakuje z miejsca pasażera.

- Przeszukaj go - rozkazuję.

Trzymam Vandę, podczas gdy Nolan rewiduje Carla i znajduje nóż, niezbędnik i mały pistolet.

- Sprawdź mu oczy. Upewnij się, że nie ma nakładek.

- Nie mam - warczy Vanda. - Ani czipa. Tylko idiota by się okablowywał i podłączał do Chmury.

Niemniej Nolan zadziera mu głowę i świeci w oczy, żeby się przekonać, czy nic tam nie ma.

- Czysty. Wykrywasz jakieś promieniowanie elektromagnetyczne?

Mój hełm namierza pobliskie źródła, ale nie wychwytuje niczego, co by pochodziło od Vandy.

- Nie.

- Ruszajcie! — mówi Jaynie. — Do środka z nim.

Zwalamy jeńca na tylne siedzenie. Pakuję się za nim, niezdarny w martwej siostrze. Nolan wsiada z drugiej strony. Gdy tylko zamykamy drzwiczki, Jaynie rusza. Przez pobocze, druciane ogrodzenie i na autostradę, kierując się na zachód.

Oglądam się, ale nie widzę żadnych aut; opieram ztkh o drzwiczki.

- Masz jakiejś opaski zaciskowe, Nolan?

Krępiemy Vandzie nogi w kostkach. Zamierzam zdjąć z niego kamizelkę kuloodporną, bo gdybym musiał strzelać do niego ponownie, to chcę, żeby to odniosło skutek.

- Wytnij jakiś numer, a nabawisz się wstrząsu mózgu -ostrzegam go, gdy Nolan przecina opaskę na jego rękach.

Vanda nie jest głupi. Wie, że póki noszę kamizelkę, gnaty i hełm, nie może mnie skrzywdzić w żaden sposób. Nawet gdyby się dorwał do mojego ztkh, to karabin nie wystrzeli, bo jest dostosowany do mnie. Mógłby się zamachnąć na Nolana, zanim zdążyłbym mu rozwalić czaszkę albo skrócić kark, ale to wszystko.

Jedyne, co mu zostało, to gadanie. Kiedy zdejmujemy z niego kamizelkę, pyta:

- Żyje jeszcze ktoś, na kim ci zależy, Shelley?

- Zamknij mordę - radzi mu Nolan.

- Powinieneś skorzystać z okazji i zadzwonić do nich, żeby się z nimi pożegnać.



Nolan czeka, aż Vanda straci kamizelkę, a potem wali go pięścią w żebra z takim skutkiem, że tamten chrząka.

- Nie bij go, Nolan - mówię. - W zeszłym roku Czerwień doprowadziła do katastrofy jego samolotu. W środku jest pogruchotany. Nie chcę doprowadzić do krwotoku wewnętrznego.
- Niech cię szlag - szepcze Vanda.

Ponownie krępujemy mu ręce za plecami, a potem narzucamy na głowę jego kurtkę, żeby nie widział, dokąd jedziemy.

\*\*\*

Kiedy z dokładnie dozwoloną prędkością zmierzamy na zachód, zastanawiam się nad tym, co dopiero co zaszło i myślę: Dlaczego teraz? Na Manhattanie czułem się opuszczony, przeżyłem jedynie za sprawą łutu szczęścia, ale dzisiaj wkroczyła Czerwień. Czy może to też było tylko szczęście? To jedynie zbuntowana AI. Nie jest Bogiem, nie jest wszechwiedząca. Nie może być. Nie może się znajdować wszędzie jednocześnie. Musi rozłokowywać swoje środki, a więc przychodzi i odchodzi.

Harvey odzywa się przez gen-kom:

- Druga jednostka zapakowana i gotowa. Wyjeżdżamy.

Jaynie i ja zadajemy jednocześnie to samo pytanie:

- Masz anioła?
- Tak - odpowiada Harvey z nutką ironii w głosie.
- Zabraliście Delphi? - pytam.
- Tak jest, sir. Wszyscy obecni. Vasquez?
- Jestem.
- Shima mówi, żeby zjechać z autostrady międzystano-wej. Jedźcie czterystapiętnastką na północ i utrzymujcie dozwoloną prędkość. Przygotowuje kryjówkę.
- Zrozumiałam.

Przed nami majaczą światła Des Moines.

Zdejmuję hełm i kładę go na podłodze auta, obok stóp. Chcę także zdjąć martwą siostrę, gdyż trudno jest w niej siedzieć, ale do tego trzeba mieć więcej miejsca.

To była pomyślna operacja, ale nie słychać wiwatów ani gratulacji. Nikt nic nie mówi. Trwa milczenie, przez wiele kilometrów.

# PRZECIWKO BESTII

---

## ODCINEK 2: AGENCJA CIENI

Do kryjówki dojeżdżamy o trzeciej czterdzieści jeden nad ranem. To stojący na odludziu

budynek farmerski z dwoma przybudówkami, w otoczeniu całych kilometrów pszenicy. Kiedy tam podjeżdżamy, nie świecą w nim żadne światła, a w zasięgu wzroku nie widać żadnych pojazdów.

Jayne zabiera ze sobą Harvey w celu sprawdzenia sytuacji. Nic nie wybucha, a komandosi nie spadają z nieba, więc przecinamy Vandzie więzy na kostkach nóg i wyciągamy go z samochodu, z kurtką wciąż na głowie. Zdrętwiały mu nogi. Ja i Nolan musimy go wnieść przez frontowe drzwi, a potem do piwnicy. Jest tam toaleta. Przecinamy mu więzy na nadgarstkach, żeby mógł z niej skorzystać przy otwartych drzwiach.

Flynn i Harvey wkładają sprzęt i schodzą na dół, żeby pilnować więźnia. Jestem gotów iść spać, ale Jaynie chce się ze mną zobaczyć.

\*

W domu jest małe pomieszczenie pełniące rolę gabinetu, a w nim komputer i półki dźwigające książki o rolnictwie, biznesie, filozofii politycznej i historii wojen. Jaynie przypadła na krawędzi biurka; przygląda mi się przez wizor, gdy wchodzę.

- Zamknij drzwi.

Robię to, a potem wydostaję się w końcu z martwej siostry, odpinając złącza, żeby się oswobodzić. Jaynie czeka póki nie złożę gnatów. Nie była nigdy w szkole dla kandydatów na oficerów, ale poznała ich całe mnóstwo. Wie, jak odgrywać swoją rolę.

- Jesteśmy połączoną grupą bojową. Najważniejsza jest komunikacja. Jeśli nie działamy jak oddział, przegrywamy.

- To nie była operacja. Miałem tylko przeczucie.

- Jeśli miałeś jakikolwiek powód, żeby przypuszczać...

- Nie miałem żadnego powodu!

- Tylko „wrażenie”?

- Tak - przyznaję. - Bardzo silne wrażenie, że dobrze byłoby się rozejrzeć po okolicy.

- Tak silne, że nałożyłeś rynecznik, wziąłeś karabin...

- Cholera, Jaynie, patrzyłaś moimi oczami. Gdybym tam wtedy nie poszedł...

- Gdyby Czerwień cię tam nie wysłała.

- Tak. Gdyby mnie tam nie wysłała, to wszyscy bylibyśmy teraz martwi, wraz z garstką cywilów, którzy mieszkali w tamtym hotelu. Ja w każdym razie jestem kurewsko wdzięczny.

-A gdybyś mnie powiadomił o swoich niepokojach? Moglibyśmy byli powstrzymać operację

Vandy, zanim się w ogóle zaczęła. Zamordowałaś człowieka, Shelley. Wszyscy uczestniczyliśmy w uprowadzeniu. To są działania nielegalne - na wypadek, gdybyś o tym zapomniał - a Vanda ma mnóstwo przyjaciół. Z tego, co wiem od Anne, wynika, że może mieć powiązania z prezydentem.

- Vanda jest skończony - mówię uparcie. - Żywy nie opuści tej piwnicy. A jeśli prezydent jest winny osłaniania go, to tylko jeszcze jeden powód, dla którego musi zostać usunięty z urzędu.

- Vanda jest skończony — zgadza się Jaynie. — Tak jak i ty. Anne może mieć dla ciebie robotę, ale ja nie. Nie mogę ci ufać. Nie mam sposobu, żeby cię zdyscyplinować. Wylatujesz z oddziału.

Myślę, że oboje wiedzieliśmy, że do tego dojdzie - od momentu, kiedy poinformowała mnie o nowej strukturze dowodzenia. Nie podoba mi się pomysł, że muszę się usunąć, przekazać moich żołnierzy innemu dowódcy, ale w wojsku to się zdarza. U najemników chyba także. Lepiej, żeby się dobrze o nich troszczyła...

Ale wiem, że tak będzie.

Gdzie zatem jest moje miejsce w świecie? To dla mnie tajemnica. Nie wiem, czy jest gdzieś takie. Jestem zbyt zmęczony, żeby się nad tym zastanawiać. Biorę więc hełm, złożoną martwą siostrę, i idę na górę wziąć prysznic i się przespać.

\*

Delphi budzi mnie parę godzin później, okrywając moją twarz pocałunkami, aż otwieram oczy. Nie śpieszę się z tym.

Przez żaluzje sączy się światło słońca, rzucając ciepły blask na bladą twarz Delphi. Uśmiecha się, chociaż jedynie nieznacznie.

- Anne Shima jest tutaj.

- Taa? - siadam prosto, ożywiony pragnieniem zobaczenia się z nią.

-I Trevor Rawlings.

- o kurwa.

Nienawidzę Rawlingsa. Próbował ukryć przede mną, że porwano Lisę, a kiedy to się nie udało, chciał zwrócić przeciwko mnie mój oddział.

Gdzieś głęboko w zacienionym zakątku mojego umysłu znajduje się krypta, w której zamknąłem swoją świadomość. W tych rzadkich wypadkach, kiedy wypuszczam ją na wolność, przyznaję czasami, że być może Rawlings postąpił słusznie, jeśli zważyć na okoliczności.

Ale i tak go nienawidzę.

Delphi siada z powrotem na łóżku i mi się przygląda.

- Wiedziałaś, że uczestniczysz w porwaniu? - pytam. — Jesteś teraz kryminalistką.

- Wolę to uważać za zatrzymanie obywatelskie.

Zastanawiam się nad tym.

- Wiesz, może udałoby ci się to sprzedać, gdybyś trafiła na odpowiedniego sędziego, a ja bym zeznał, że trzy maliśmy cię tutaj wbrew twojej woli. - To nie jest jednak zabawne. To samosąd; dokładnie tak, jak powiedział mój ojciec. - Popełniłaś wielki błąd, Delphi, wiążąc się ze mną

- Zaczynam to rozumieć... ale w końcu nie wiem, która ścieżka jest właściwa. Anne przywiozła ze sobą lekarza specjalistę. - Stuka się w skroń. - Zamierzają wstrzyknąć do czaszki Vandy mikroczipy...

- Co takiego?

Kiwa głową.

- Nie wiem, czy to taka sama mieszanka, jaka steruje twoim mózgiem. W wypadku żołnierzy PGB celem jest stabilizacja emocji przy jednoczesnej możliwości eskalowania ich w razie potrzeby. Co do Vandy...

- Chcą go po prostu zmusić do mówienia.

Kiwa głową; obserwuje mnie uważnie, czekając, jak zareaguję.

Przesuwam dłonie po skórze czaszki i czuję szczecinę, która zbyt urosła.

- To mądre posunięcie.

- Uhum.

- Założę się, że od jakiegoś czasu Wywiad przeprowadza w ten sposób przesłuchania.

- Nie wiem. Możliwe.

Istnieje wiele rodzajów organicznych mikroczipów. Niektóre są sensorami chemicznymi, inne stymulują wydzielanie neurochemiczne. Nigdy wcześniej nie myślałem o tym, ale to logiczne, że istnieje wzór, formuła stymulacji mózgu, która zmusi Carla Vandę do wyznania wszystkiego, co wie.

Niewątpliwie to samo można zrobić ze mną.

Wzruszam ramionami. Pomysł przeraziłby mnie bardziej, gdyby do ukrycia zostały mi

jakikolwiek tajemnice.

Wkładam czystą koszulę i spodnie, po czym schodzę na dół.

Zajmowany przez nas dom ma wystrój nowoczesnej wiejskiej posiadłości: przeciętny, o regularnych liniach i podstawowym wyposażeniu. Anne Shima jest w salonie, gdzie rozmawia z Jaynie, która wygląda tak, jakby w ogóle nie spała tej nocy.

- Poruczniku - wita mnie Shima.

Ma na sobie oliwkowobury pulower i szare bojówki, z pistoletem w kaburze na biodrze. Patrząc na mnie, uśmiecha się serdecznie. Shima być może jest po sześćdziesiątce. Gęste białe włosy nosi w postaci warkocza upiętego z tyłu głowy. Japońskie pochodzenie ujawnia się w jej drobnej budowie ciała. Pomimo wieku jest szczupła i wysportowana, nosi się po wojskowemu. Podoba mi się. Wygląda na osobę rozsądną, pozbawioną chęci dominacji, widocznej u Rawlingsa.

- Gratuluję jeńca - mówi, spotykając się ze mną u podstawy schodów. Wymieniamy uścisk dłoni, a potem patrzę na Jaynie, której twarz nie zdradza niczego. Shima marszczy brwi. - Mamy wiele do omówienia.

- Tak, ma'am. Zaczęliście już z Wandą?

- Jest przygotowywany. Za kilka minut zacznie się przesłuchanie.

Kiedy to mówi, z kuchni wychodzi pułkownik Rawlings, który jest na emeryturze, ale lubi, żeby zwracano się do niego jego dawnym stopniem. Wygląda mniej więcej tak samo jak wtedy, gdy widziałem go na Alasce: wielki barczysty facet, chociaż teraz pochylony nieco przez wiek. Siwe włosy ma ostrzyżone krótko, po wojskowemu.

Mierzymy się wzrokiem. Zaciska wargi, a potem, darując sobie wszystkie oskarżenia, całą gorycz i wspomnienia o zmarłych, mówi:

- Do południa dowiemy się nie tylko tego, gdzie są zmagazynowane ładunki jądrowe Carla Vandy, ale także gdzie możemy znaleźć dowody, że prezydent przyłożył rękę do ochrony Vandy-Sheridan. Dobrze się spisałeś, Shelley.

Nienawidzę Rawlingsa, ale może odrobinę mniej niż przedtem.

\*

Jaynie, Delphi i Shima znikają w piwnicy. Moon jest na służbie w centrum operacji taktycznych tuż obok salonu gdzie ma oko na dane z peryferyjnych kamer bezpieczeństwa. stwa rozmieszczonych wokół domu i na otaczających go polach. Reszta oddziału nie ma służby i przypuszczalnie śpi.

Jem samotnie śniadanie w kuchni - jajka, bekon, smaźone ziemniaki - przygotowane przez

Rawlingsa, zanim dołączył do Shimy i Delphi w piwnicy. Staram się nie myśleć o tym, co się dzieje na dole.

Zajmowany przez nas dom ma sterowaną komputerowo kontrolę środowiska. Panoramiczne okno wychodzi na drogę dojazdową i pola zielonej pszenicy. Błędem jest pozostawienie tak odsłoniętego okna. Ale może to wcale nie jest okno. Może to monitor przekazujący obraz z zewnątrz. Może nawet nie pokazuje wcale tego, co się tam dzieje obecnie. Mogę patrzeć na wczoraj lub przedwczoraj.

Boże, potrzebuję więcej snu.

Oczywiście dzięki neuronetce i jej współdziałaniu z mikroczipami neuromodelującymi wszczepionymi w mój mózg sen to łatwizna.

Kiedy przyszedłem do wojska, zgłosiłem się do służby w PGB. To była awangarda sił zbrojnych, obietnica ekscytującego życia i okazja do szybkiego awansowania, więc pomyślałem: Dlaczego nie? Wstąpiłem do armii z urazą, pragnąc pokazać wszystkim, którzy wątpili we mnie-pragnąc udowodnić samemu sobie - że dam radę. Dajcie mi wymagające zadanie, bo mogę je wykonać tak samo dobrze jak każdy.

Byłem ochotnikiem. Wiedziałem, co mnie czeka, ale to nie sprawiło, że się nie bałem. W dniu, w którym musiałem się oddać w ręce neurochirurga, żeby zasiali mi w mózgu sztuczne synapsy, mikroczipy neuromodelujące, mało się nie posrałem ze strachu. Samo myślenie o tym podnosi mi teraz poziom adrenaliny... Zgłoszenie się o czwartej nad ranem do centrum chirurgicznego w bazie szkoleniowej, wędrówka pod prysznic z depilatorem, a potem konieczność nałożenia papierowych gaci, zimne szpitalne powietrze, szczypiące skórę tułowia i pleców.

Wszedłem do ambulatorium. W trakcie zabiegu musiałem być świadomy, więc zamiast stołu operacyjnego czekał na mnie fotel z pasami do unieruchomienia rąk i nóg. Usiadłem w nim, kwestionując własne zdrowie psychiczne. Dlaczego tutaj jestem? Dlaczego pozwalam, żeby mi to zrobiono?

Pielęgniarka zapiął pasy. Uśmiechnął się do mnie, unosząc brwi.

- Dobrze się czujesz?

Kiwnąłem głową. Nie chciałem mu pokazać, jak bardzo się boję, ale on wiedział.

Rozprowadził mi na skórze głowy środek znieczulający. Z początku wydawał się chłodny, ale po chwili nie czułem już nic.

- Koniecznie trzymaj głowę nieruchomo - przypomniał mi. - Im bardziej będziesz się wiercił, tym dłużej będzie to trwało.

Potaknąłem.

- Nie kiwaj głową. Jeśli lekarz zada ci pytanie, odpowiedz słowami. Dobra?

- Tak.

Potem nastąpiło dwudziestominutowe oczekiwanie, aż wreszcie przyszła lekarka. Nazywała się Kam. Cywilna, po czterdziestce. Codziennie wprowadzała implanty do mózgow żołnierzy.

- Będzie pan czuł ból, gdy igła iniekcyjna przebije kość czaszki - ostrzegła mnie - ale nic gorszego od ukłucia.

Miała rację: to było ukłucie, ale utrzymując się przez cały czas powolnego przechodzenia ultracienkich igieł przez mój czerep. Było ich mnóstwo. Dostyc, żeby lekarka była zajęta przez następne półtorej godziny. Po każdej intruzji mówiła:

- Pozycja pierwsza, iniekcja; pozycja druga, iniekcja pozycja trzecia...

A ja zadawałem sobie w duchu pytanie: Czujesz to? Coś się zmieniło?

Nic.

Co kilka minut doktor Kam pytała mnie, czy się dobrze czuję, a ja odpowiadałem, że tak.

Cały zabieg wykonywała spoza moich pleców, mając obok siebie tackę z narzędziami.

Ani razu nie pozwoliła mi zobaczyć tych igieł.

Wspomnienie tamtego dnia jest wyraźne, gdyż wypaliło się w mojej pamięci, zanim wyposażono mnie w neuroskalp, który nosiłem do września ubiegłego roku, kiedy armia zmodernizowała mnie, dając mi neuronetkę. Mikroczipy same z siebie nie wpływają w żaden sposób na mózg. Dopiero neuronetka albo neuroskalp wprawia je w działanie. Od dnia zabiegu każde moje traumatyczne wspomnienie jest detoksykowane przez precyzyjnie dobraną sekwencję związków neurochemicznych. Pamiętam wyraźnie wydarzenia z przeszłości, nie odczuwam jedynie całej głębi towarzyszących im emocji, jak by to czuł każdy normalny człowiek.

To dlatego tak łatwo jest mi wyłączyć sumienie.

To dlatego mogę tak spokojnie siedzieć tutaj i jeść jajka na bekonie, podczas gdy w piwnicy lekarz instaluje przymusowo synapsy kontrolne w mózgu Carla Vandy. Częścią tego procesu jest ból, ale nie taki, jakiego nie mógłby znieść. To nie jest ból, który zmieniłby zabieg w torturę? Niekiedy tortura to coś, co cię spotyka bez twojej zgody-

\*

Nadal gapię się w okno, które może nie być wcale oknem, kiedy do kuchni wraca Rawlings. Siada przy stole naprzeciwko mnie, zasłaniając mi widok na hipotetyczny zewnętrzny.

- Nie żywisz urazy, co?



Marszczę brwi, a potem kręcę głową. Wymiotłem talerz, więc odsuwam go na bok. A potem postanawiam zapytać:

- Wydano za mną nakaz aresztowania?
- Z powodu zastrzelenia najemnika?
- Taa. I porwania Vandy.

Rawlings wydaje się ponuro rozbawiony.

- Nikt nie doniósł o strzelaninie. Incydent nie został zgłoszony policji. Ale w opuszczonym domu znajduje się teraz oddział Uther-Fen, który poszukuje dowodów.
- Zatem to prywatna wojna?
- Nie chcesz się ponownie znaleźć w sali sądowej, co?
- Nie, sir.
- Niemniej ty, my, jesteśmy w trudnym położeniu. W oczach prawa nikt z nas nie jest czysty.
- Rozumiem to, sir.
- Za późno, żebyś odszedł. To także rozumiesz?

To początek wsiąkania. Upijam łyk wystygłej kawy.

- Nie zamierzam ci wciskać ciemnoty, Shelley. Już należysz do organizacji. Jesteś jej częścią. To decyzja, którą już podjąłeś.

Odstawiam kubek, patrzę Rawlingsowi w oczy i pytam:

- Czego pan ode mnie oczekuje?
- Przysięgi służby.
- Jedną już złożyłem.
- Że będziesz stał na straży konstytucji Stanów Zjednoczonych. Wiem.

I próbowałem to zrobić, ale system jest poważnie zjebany, a sprawy nie ułożyły się dobrze.

- Wszyscy złożyliśmy to ślubowanie, Shelley. Wszyscy tutaj obecni, z wyjątkiem więźnia. I nadal nas ono obowiązuje, nawet jeśli nasza działalność stała się pozakonstytucyjna. Jesteśmy jednak organizacją militarną, w związku z czym musimy być pewni, że jesteś wobec nas lojalny i akceptujesz swoją pozycję w szeregu.

- A jeśli nie? Jeśli nie zgadzam się z tym, co robimy, to co wtedy?

- Robisz to i tak, dokładnie jak w wojsku.

To oznacza, że muszę ufać tym nade mną. Doszło do tego z powodu Kendricka, bo mu wierzyłem, ale pułkownik nie żyje.

Rawlings obserwuje mnie. Nie ma wizora. Nie potrzebuje go, żeby we mnie czytać.

- Przysięga służby sformalizuje nasze relacje i wzmocni więzy zaufania, które zadzierzgnęliśmy w czasie trwania operacji „Brzask”.

- Jest pan moim oficerem dowodzącym?

To wywołuje drobny uśmiech na jego zaciśniętych ustach.

- Oddziałami w terenie dowodzi Shima. Jestem jej doradcą.

To dobrze.

- Organizacja jest znana naszym sojusznikom jako Tajna Strzała.

- Tajna Strzała?

- Tak.

-I mamy sprzymierzeńców?

- Tak, poruczniku. Nie jesteśmy sami. Tajna Strzała to siła pozakonstytucyjna, ale w rządzie i w wojsku są ludzie, którzy będą wspierać nasze misje, nawet jeśli oznacza to jedynie przymknięcie na nie oka.

Pierwszy raz słyszę cokolwiek o organizacji, naciskam więc nieco mocniej, póki Rawlings jest w nastroju do rozmowy.

- Powiedział pan, że Shima dowodzi oddziałami. Są inne oprócz naszego?

- Od czasu misji „Brzask” skompletowaliśmy jeszcze jedną grupę. Drugi pluton. Rzeczywistość jest jednak taka, że nie będziemy mieli nigdy dużo ludzi w terenie. To wynika z charakteru prowadzonych przez nas działań. Nie możemy rywalizować zakresem działań, więc nasze akcje będą zawsze mocno nagłaśniane.

- W tym znaczeniu, że celem są raczej akcje propagandowe, jak „Brzask”?

- Nie. „Brzask” nie był propagandą. To była istotna operacja. Właśnie takie rzeczy robimy. Szukanie ładunków nuklearnych Vandy to ważna misja. To ty ją zaproponowałeś, Shelley. Zamierzasz w niej uczestniczyć?

- Tak jest, sir.

Mówię to bez wahania, bo Rawlings ma rację. Już w tym tkwię. Nie mam odwrotu. To jest gra, którą będę toczył, aż opuści mnie szczęście.

- Kto dowodzi drugim plutonem, sir?

- Nie musisz tego wiedzieć.

Coś mi umknęło.

- Nie zamierza pan przydzielić mnie do drugiego plutonu?

- Jesteś dowódcą szturmowym plutonu pierwszego, Oddziału Apokalipsy, pod dowództwem kapitan Vasquez.

Unoszę brwi.

- Kapitan Vasquez? Sir, kapitan Vasquez wykopała mnie z oddziału.

- Vasquez musi sobie radzić z przydzielonymi jej ludźmi, poruczniku. Ma pecha, że musi sobie radzić z panem.

Rawlings wzywa z piwnicy Shimę i Jaynie. Są świadkami złożenia przeze mnie przysięgi. Jej słowa są proste. Nie ujawnię, co wiem na temat Tajnej Strzały, ani nie zdradzę żadnego lojalnego członka oddziału.

Kiedy kończę ślubowanie, salutuję Jaynie Vasquez, mojemu byłemu sierżantowi, a obecnie dowódcy.

Shima zwalnia nas oboje, mówiąc nam, żebyśmy się przespali, póki możemy.

Jaynie wychodzi bez słowa.

Zostaję, żeby zapytać:

- Gdzie jest Delphi?

- Na dole - odpowiada Shima. - Pomaga w przesłuchaniu. Nikt jednak nie ma tam wstępu poza niezbędnym personelem.

- Nie ma sprawy. Nie chcę wiedzieć, co tam robicie. -A potem przypominam sobie, że należy dodać: - Ma'am

Wracam do łóżka.

Sen przychodzi na zaproszenie, jak zawsze.

\*

Budzę się gwałtownie na odgłos strzału. Powtarza się, a jego huk tłumią ściany, ale towarzyszy mu wstrząs, którego drżenie przenosi się przez ściany domu.

Chwytam pistolet, rzucam się do drzwi, otwieram je i biegnę ku schodom. Delphi jest w salonie na dole i stoi obok Rawlingsa. Podnosi na mnie szeroko otwarte oczy.

- Co się stało, kurwa?

Wyjaśnienie Rawlingsa jest lapidarne:

- Dowiedzieliśmy się od Vandy wszystkiego, o co nam chodziło.

\*

Shima chce, żebyśmy obejrzel nagranie zeznania. Nie długiego przesłuchania, ale podsumowania od chwili, gdy zmapowali mu mózg i wiedzieli, jak sprawić, żeby gadał bez przerwy, wyznając jedynie prawdę. Wszyscy zbierają się w pokoju telewizyjnym.

Kamera jest ustawiona naprzeciwko Vandy. Siedzi na podłodze, na czymś, co wygląda jak materac, w otoczeniu poduszek, które podtrzymują go, opartego o ścianę. Nogi ma unieruchomione bandażem, a nadgarstki przy biodrach. Jego szary T-shirt jest pociemniały od potu. Na głowie ma brązowy neuroskalp.

Patrzy w bok, wzrok ma rozbiegany. Wygląda na nieprzytomnego z wyczerpania, oszołomionego, goniącego resztkami sił; głowę ma przechyloną, oczy przymknięte, oddech przyspieszony, a na skórze błyszczą mu pot.

Kobieta o miłym głosie, którego nie rozpoznaję, pyta zza kamery:

- Akt terroryzmu nuklearnego, do którego doszło w dniu Komy...

- Mówiłem wam - przerywa Vanda ochrypłym szeptem. Widzę, że przenosi spojrzenie na kamerę, chociaż nie porusza głową. - Nie miałem z tym nic wspólnego. Nic.

- Rozumiem, ale opowiedz mi jeszcze raz, co zaszło, własnymi słowami, żebym mogła ci uwierzyć.

- Taa? A co potem? Wpakujecie mi kulę w łeb?

Delphi ściska mi dłoń. Nikt z obecnych w pokoju nic nie mówi.

- Co się stało w Dniu Komy? - pyta przesłuchująca. - Jaki był w nim twój udział?

Vanda kręci nieznacznie głową.

- To wszystko ona. Pękła. Cała ta sprawa to było szaleństwo...

- Kto pękł?

- Królowa. Ta, której wszyscy służymy. Moja żona, pani Thelma Sheridan. - Odwraca głowę, żeby spojrzeć poza kamerę. - Przystosowywanie się do sytuacji to nie jej styl. Jeśli coś się jej nie podobało, zmieniała to. Jeśli oberwała, oddawała jeszcze mocniej. Taa, no więc oberwała. Firma, główna firma, Vanda-Sheridan - umieściła moje nazwisko jako pierwsze, ale to było jej dzieło - traciła forszę. Nie wiedziała jednak, kto zadał cios. To ją doprowadzało do szaleństwa. Potem spadł mój samolot. Niemal umarłem, wyłączony na całe tygodnie. W tym czasie coś zwróciło jej uwagę. Uznała, że jej wrogiem jest ten pierdolony niewidzialny potwór, którego nazwała Czerwienią. Kiedy się o tym dowiedziałem, uznała to za swoją prawdę. Powiedziałem jej, że zwariowała. Odparła, że nic nie wiem, nic nie widziałem. Powiedziała, że to Czerwień próbowała mnie zabić. W każdym razie miała teraz na celowniku wroga, więc mu oddała.

Przesłuchująca odczekuje chwilę. Kiedy Vanda nic nie mówi, zachęca go:

- Zatem Dzień Komy to był odwet ze strony Thelmy?

- Taa. Żadnych półśrodków, jak chodzi o Królową. Nie wiedziałem, co zamierza. Nie wiedziałem, że ma pierdolone bomby jądrowe. Królowa ma swoje tajemnice, rozumiecie?

- Powiedziała ci, że jest odpowiedzialna za Dzień Komy?

- Nie. Musicie wiedzieć, co? Przekonałem się dopiero po tym, gdy ją porwali.

- W jaki sposób to odkryłeś?

- Wzmocnione techniki przesłuchań, zastosowane wobec jej personelu. „Wszelkie dostępne środki”. Tak mówili. Mieli prawo użyć wszelkich środków, żeby załatwić Czerwień. - Vanda kręci głową. - Wszyscy to pierdoleni fanatycy, słudzy Boga walczący z diabłem, gotowi zniszczyć naszą cywilizację, jeśli będą musieli to zrobić, żeby się pozbyć Czerwieni.

Opuszcza brodę i pierwszy raz wydaje się w pełni przytomny - i wściekły.

- Kurwa mać! Zawsze byliśmy za pan brat z diabłem!

I co z tego, kurwa? Przystosowujesz się. Nie spalasz doszczętnie własnego domu. W Czarnym Krzyżu zginęli moi ludzie. Porządni faceci. Bo Królowa oszalała.

Dyszy, gapiąc się w pustkę. Kiedy staje się oczywiste, że jego tyrada się skończyła, śledcza pyta dalej:

- Kiedy przesłuchiwałeś ludzi Thelmy, dowiedziałeś się, w jaki sposób weszła w posiadanie ładunków nuklearnych?

- Nie.

- A ile miała bomb?

- Myślałem, że rozmieściła je wszystkie w Dniu Komy. Potem te dzieciaki w Waszyngtonie znalazły kolejny ładunek. Taki sam, a pierdolony prezydent się posrał. - Uśmiecha się ponownie, gorzko. - Taa, nie był zbyt szczęśliwy, kiedy się dowiedział, że zabrakło dwóch godzin, żeby wyleciał w powietrze. Zabrał się do mnie.

- Prezydent Stanów Zjednoczonych?

- Ten drań, taa. Powiedział, że to ja się musiałem za tym kryć, bo ona siedzi w więzieniu. Powiedziałem że nie rozumie Królowej. Ma orszak lojalnych rycerzy, nie tylko mnie. Kazał mi ich wytropić. Więc to zrobiłem.

- Działałeś na rozkaz prezydenta?

- Bezpośredni. Zgadza się. Trochę pozakonstytucyjnych porządków domowych.

Krzywię się, słysząc, że posługuje się tym samym określeniem, jakiego użył Rawlings, opisując działalność Tajnej Strzały i Oddziału Apokalipsy. Jesteśmy teraz tacy sami jak Carl Vanda.

Przesłuchująca kontynuuje swoje dociekania:

- Znalazłeś odpowiedzialnych za podłożenie tej bomby?

- Tak.

- Opowiedz mi o tym.

- A co tu opowiadać? Znaleźliśmy ich, przesłuchaliśmy i wyeliminowaliśmy.

- Co chcieli osiągnąć, doprowadzając do wybuchu w Dystrykcie Kolumbii?

- Już o tym rozmawialiśmy - charczy.

- Powtórz. Co chcieli osiągnąć?

- Wysadzić w cholere prezydenta. Ukarać go za to, że dopuścił do porwania Królowej. Wysadzić w diabły Oddział Apokalipsy. Za to samo.

- Istnieją kolejne bomby?

-Taa, taa, mówiłem już wcześniej. Odzyskaliśmy dwa ładunki, wraz z inżynierem, który złożył je do kupy, bo, wiecie, nie jest łatwo zmajstrować bombę atomową. Trzeba do tego umiejętności, specjalnego sprzętu i pieniędzy. Mnóstwa pieniędzy.

- Co zrobiłeś ze znalezionymi urządzeniami?

- Zamknąłem w kryjówce.

- Powiadomiłeś prezydenta o ich istnieniu?

- To nie jest coś, co chciałby wiedzieć. Wygodne wyparcie, co? Powiedziałem mu po prostu, że już po wszystkim. Potem pojechałem na Manhattan, żeby się zająć niedokończoną sprawą, a jej pierdoleni szaleńcy nieomal mnie zabili. „Zajmij się nią” - powiedział. Odparłem, że zamierzam to zrobić.

Nagranie się kończy. Milczenie się przeciąga. Nie podoba mi się, że Delphi była w piwnicy i asystowała podczas przesłuchania. Została przez to zbrukana. Jedna z torturujących. Obejmuję ją ramieniem, wypierając to wrażenie.

Jaynie przerywa ciszę:

- No więc gdzie są te bomby?

\*

Czas gra istotną rolę. Musimy zabezpieczyć ładunki nuklearne Vandy, póki nasze informacje są aktualne. Wkrótce ktoś w jego organizacji, jakiś starszy oficer Uther-Fen, uzna nieobecność szefa za zagrożenie, które wymaga przeniesienia najważniejszych zasobów w nowe miejsce.

Anne Shima stoi przed nami, barki ma proste, a spojrzenie nieugięte.

- To nasza operacja. Nasi informatorzy donoszą, że stosowane przed misją „Brzask” praktyki zatajania i tuszowania faktów są znowu aktualne. Nie dojdzie do żadnego oficjalnego działania, póki nie wymusimy go dzięki odzyskaniu bomb Carla Vandy. Nazwaliśmy tę misję „Cicha Przecinka”. W tej chwili sprawdzany jest wstępny plan, który niebawem dostaniecie. Macie czterdzieści pięć minut na posiłek i zebranie sprzętu. Shelley!

Wstaję.

- Tak jest, ma'am.

- Podczas tej misji nie chcę cię widzieć boso. Masz nosić buty, żeby chronić swoją tożsamość.

- Daj spokój, Anne. Buty nie ukryją tego, kim jestem. „Brzask” tego dowiódł. - Nosilem buty w Lesie Apokahp sy, ale Carl Vanda zidentyfikował mnie dzięki odmierzonej temperaturze protez.

- Buty uniemożliwią identyfikację wzrokową.

- I pozbawią mnie zwinności.

- Poradź sobie.

Jestem więc już w złym humorze, gdy świeżo upieczona kapitan Jaynie Vasquez zatrzymuje mnie w pomieszczeniu medialnym.

- Czekaj chwilę - mówi, podczas gdy wszyscy inni wychodzą.

Delphi spotyka mój wzrok.

- Będę w kuchni.

Kiedy zostajemy sami, Jaynie zamyka drzwi. Chcę uprzedzić spodziewany wykład, więc odzywam się pierwszy:

- Nie chodzi o mnie ani o panią, tylko o misję. Zamierzam wypełnić swoją część i dopilnować, żeby się nam udało.

Ignoruje to.

- Nie chcę, żeby Czerwień decydowała o przebiegu operacji. Jeśli zaczniesz odgrywać w twojej głowie władcę marionetek, mam się natychmiast o tym dowiedzieć. A jeśli każę ci się wycofać, zrobisz to.

- Nie, ma'am, to się nie uda. Jeśli będę miał przeczucie, że ktoś rozwali mi za chwilę łeb, to nie zamierzam marnować czasu na meldowanie o tym, zanim zareaguję. Zważywszy na to, że Czerwień była zawsze po naszej stronie i wspierała nasze działania, sugeruję, żeby uznała to pani za korzyść.

- Ty tak mówisz.

- Nawet Kendrick...

- Nie jestem Kendrickiem.

- Tak jest, ma'am. Wiem, że pani nim nie jest.

- Muszę wiedzieć, co się dzieje w twojej głowie, Shelley. Będziesz mnie informował o wszelkich podejrzanych aktach infiltracji. Czy to jasne?

- Tak jest, ma'am. Postaram się.

Jeśli nie narazi to na szwank naszej misji.

\*

Żegnam się z Delphi w pokoju, w którym spałem. Zostaje z Rawlingsem i być może będzie bezpieczna.

Całuję jej twarz, żałując wszystkiego. Trzymam ją w ramionach i strofuję się w duchu za to, że się z nią związałem. To był głupi, samolubny pomysł. Wiedziałem o tym od samego początku, i tak jednak zdecydowałem się na to, bo jestem impulsywny.



Ale ona także tego chciała.

- Przykro mi, że cię w to wciągnąłem - mówię.

Odsuwa się w moich objęciach i patrzy na mnie ponuro.

- Nie traktuj mnie protekcjonalnie, Shelley. Jestem opiekunką. Trzy lata pracowałam w Nadzorze. Wiedziałam w co się pakuję. - Dotyka dłonią mojego policzka i przeszywa mnie spojrzeniem swoich pięknych, niebieskich oczu. - Nie jestem tutaj jedynie dla twojej ładnej buźki.

Przytulam ją ponownie, myśląc o tym, jak wyjeżdżałem ostatni raz na misję i żegnałem się z Lissą.

Modłę się: Jeśli jedno z nas musi umrzeć tym razem, niech to będę ja.

Niech to będę ja.

\*

Wstępny plan misji „Cicha Przecinka” przychodzi mailem, kiedy opuszczamy kryjówkę, ale Jaynie wyznacza mnie do prowadzenia jednego z SUV-ów, więc nie mogę przeczytać wiadomości, co mnie kurewsko irytuje. Jednak od prywatnego lotniska dzieli nas tylko pół godziny jazdy. Zostawiamy samochody w hangarze, zajmujemy miejsca w pasażerskim odrzutowcu i przed upływem kwadransa jesteśmy w powietrzu, w drodze do Georgii. Naszym pilotem jest Shima.

Otwieram na nakładce plan misji i czytam go.

Ładunki nuklearne zostały oznaczone kryptonimami Niebieski Diabeł i Żółty Diabeł, zgodnie z kolorem furgonetek, w których się znajdują. Pojazdy stoją w podziemnym garażu odległego ośrodka badawczego, należącego do my biotechnologicznej o nazwie Reyvik Biosystems, będącej jednym z hobbystycznych przedsięwzięć Thelmy Sheridan. To lśniący budynek o czarnych szybach, otoczony przez przesadzony młodniak. Ponad ziemię wystaje tylko jedna kondygnacja, a pod nią znajdują się dwa piętra pomieszczeń biurowych i piwnice. System komunikacyjny ośrodka ogranicza się do prywatnej sieci łączności, odciętej od Chmury. Kontakt ze światem zewnętrznym dozwolony jest jedynie z dźwiękoszczelnego pomieszczenia na poziomie gruntu, poza zabezpieczonym obszarem. Po przybyciu wszyscy pracownicy muszą oddać telefony, tablety, wizory i wszelkie prywatne urządzenia komputerowe, a przed wejściem skanuje się ich w poszukiwaniu implantów.

Atak rozpoczniemy o czwartej nad ranem, kiedy spodziewamy się obecności jedynie nielicznych pracowników -tych niewielu naukowców, którzy prowadzą eksperymenty w nocy.

Zgodnie z rozkazami mamy unikać ofiar wśród cywili i pracowników ochrony. Odnoszę wrażenie, że to ostatnie nie będzie łatwe.

Na zewnątrz budynku znajdują się czujniki ciepła i ruchu, patrolujące teren szperacze, oraz trzech ochroniarze Uther-Fen, przepytujący gości odwiedzających ośrodek. W środku nie ma straży. Wewnętrzne środki bezpieczeństwa Reyvik Biosystems są całkowicie zautomatyzowane i polegają głównie na identyfikacji zaufanego personelu oraz wykorzystaniu zamków z zakodowanymi danymi biometrycznymi.

Dotarcie do drzwi wejściowych powinno być stosunkowo proste. Podjedziemy główną drogą, jakbyśmy przybywali na umówione spotkanie.

To jest operacja, którą powinny były wykonać siły prezydenta, ale wydział wywiadu Tajnej Strzały uważa, że raport o istnieniu bomb nie dotarł nigdy na jego biurko.

Więc misja jest nasza.

Nie jesteśmy do niej gotowi.

Od miesięcy nie ćwiczyliśmy wspólnie, nie jesteśmy w dobrej kondycji i nikt nie ma pojęcia, jak powinna funkcjonować nasza nowa struktura dowódcza. Jestem zdumiony, że Shima nie przydzieliła tej misji drugiemu plutonowi Tajnej Strzały. Jedyne wnioski, do jakiego dochodzę, jest taki, że nam ufa bardziej.

\*\*\*

Zimna, wiosenna noc w Georgii. Nakładamy rynsztunek a potem, z hełmami pod pachą i ztkh na ramieniu, zbiera my się na ostatnią odprawę.

Znajdujemy się w hangarze oświetlonym jedynie słabym blaskiem czerwonych świateł bezpieczeństwa. Składane drzwi są uchylone. Z zewnątrz dobiega odgłos deszczu bębniącego o asfalt. Za nami stoją dwie furgonetki tych samych marek, modeli i kolorów, jak te, w których znajdują się Niebieski i Złoty Diabeł. Pojazdy mają w obu burtach odsuwane drzwi, za to w przestrzeni ładunkowej brak okien.

Pojedziemy nimi do kampusu Reyvik Biosystems i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zamienimy je na te z urządzeniami jądrowymi, licząc, że dla wszelkich śledzących nas satelitów będzie wyglądało to tak, jakbyśmy opuścili ośrodek w tych samych pojazdach.

Shima, ze zdecydowanym wyrazem twarzy, stoi przed nami wyprostowana, z rękami założonymi za plecy.

- Miejcie na uwadze - mówi jedynie na tyle głośno, żeby dało się ją słyszeć ponad szumem deszczu - że to, co powiedział nam Carl Vanda, było prawdą, jaką znał na temat sytuacji w Reyvik Biosystems. Nie wiemy jednak, czy wyznał nam całą prawdę, nieaktualną prawdę czy prawdę podlegającą zmianie... Jak podczas każdej misji spodziewajcie się niespodzianek. I informujcie nas stale o postępach, żebyśmy mogli w porę was wesprzeć. Utrzymujcie łączność, jeśli to w ogóle możliwe. Powodzenia, i nie wątpcie nigdy, że służycie dobrej sprawie.

Rozlega się chór szeptanych „hoo-yah” i „tak jest, ma'am”.

Potem Jaynie mruczy:

- Moon, Flynn, nakładajcie okrycia.

Są wyznaczeni na kierowców furgonetek, co oznacza, że będą widoczni dla kamer bezpieczeństwa, oboje nałożą zwykłe szare narzuty, które mają ukryć martwe siostry. Będą tak samo nie rzucać się w oczy jak gracze futbolu amerykańskiego za liniami bocznymi boiska, okryci pelerynami w chłodny dzień, ale musimy oszukać strażników jedynie na chwilę.

- Pozostali, hełmy włóż. Zająć pozycje. Załatwmy to.

Wchodzimy w tryb bojowy, więc przyłbica mojego hełmu jest z zewnątrz czarna i nieprzezroczysta, ale kiedy nakładam hełm, rozjaśnia się wyświetlacz wewnętrzny. Na obrzeżach pola widzenia gromadzą się przejrzyste ikony, potwierdzając moje połączenie z neuronetką, karabinem szturmowym M-CL1a, czyli ztkh, oraz ze wszystkimi żołnierzami oddziału.

Kiedy wchodzę za Harvey do pozbawionej okien budy prowadzącej furgonetki, włącza się noktowizja. Klękam, zwrócony do prawych drzwi ładunkowych, które zamyka silnik elektryczny. Ztkh, w którym ostrą amunicję zastąpiliśmy pociskami gumowymi, a granaty rozpryskowe hu-kowo-błyskowymi, trzymam w poprzek ud. Jakby przyszło co do czego, mamy też normalną amunicję, ale nie chcemy nikogo zabijać.

Obok mnie klęka Harvey, a potem Flynn nakrywa nas osłoną termiczną. Słyszę skrzypienie fotela, kiedy sadowi się za kierownicą.

- Pierwsza drużyna gotowa - melduje przez gen-kom.

- Druga drużyna gotowa - zgłasza po niej Moon.

Potem odzywa się Jaynie:

- Rozpocząć operację.

Jest czwarta szesnaście nad ranem. Włączam w nakładce funkcję nagrywania. Kiedy furgonetka wyjeżdża z hangaru, słychać ciche bębnienie deszczu o jej dach.

Anioł został już wypuszczony. Żeby nie zaalarmował żadnych czujników i żebyśmy mieli możliwość szybkiego wycofania go, dron będzie utrzymywał pozycję stacjonarną między lotniskiem a perymetrem Reyvik Biosystems. Nie będziemy więc dysponowali widokiem z anioła, Tajna Strzała jednak ponownie uruchomiła bezpieczny link satelitarny, którym posługiwaliśmy się w czasie „Brzasku”. Dzięki dronowi, działającemu jako przekaźnik sygnału satelitarnego, będziemy mieli łączność - przynajmniej do momentu wejścia do budynku. Delphi jest naszą opiekunką. Będzie śledziła nasze postępy z zabudowań farmy, ale dowódcą operacji jest Jaynie, która będzie główną podopieczną Delphi.

Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, Flynn prowadzi leniwie, z dozwoloną prędkością. Po siedemnastu minutach od opuszczenia hangaru skręcamy na podjazd Reyvik Biosystems i podjeżdżamy do znaku stop. Pocę się pod namiotem termoizolacyjnym. Tak jak Harvey.

- Dotarliśmy do bramy - mówi Flynn. - Próbuję użyć karty.

Słyszę dźwięk opuszczanej szyby, a potem kapanie, ciurkanie i bębnienie deszczu w listowiu drzew. Karta nie działa, ale jest na tyle podobna do prawdziwej, że mężczyzna - młody i lekko zaniepokojony, jak można sądzić po głosie - poleca Flynn:

- Czekaj.

Liczę mijające sekundy. Musimy przejechać przez bramę, nie wywołując alarmu. Za nią musimy pokonać prawie kilometr krętym podjazdem, zanim dotrzemy do zabudowań. Jeśli zostaniemy do tego zmuszeni, wywalimy wrota, wjeżdżając w nie z impetem, albo wyjdziemy i wysadzimy je, ale każda z tych możliwości pozwoli się przygotować strażnikom Uther-Fen.

Po dwudziestu dwóch sekundach męski głos rozlega się ponownie:

- Otwieram bramę. Kody dostawców zostały zresetowane o drugiej nad ranem. Wcześniej czy później twoja karta się zaktualizuje.

Słyszę, że brama szumi, zamek się odblokowuje. Potem jedziemy.

- Oba zespoły w środku — mówi Jaynie.

- Słuchaj — odzywa się do mnie Harvey. — Minęło sporo czasu. Jesteś gotowy na zabawę?

- Nie gadaj. Zdejmijmy ten pierdolony namiot.

- Widzę budynek - odzywa się Flynn przez gen-kom. -Na zewnątrz czekają dwaj nieprzyjaciele. Mają karabiny i kamizelki kuloodporne. Szklane drzwi za nimi są rozsunięte.

Wygląda na łatwiznę.

Na wyświetlaczu przyłbicy otwiera się nowy link. Pojedynczy, od kapitan Vasquez.

- Gotów?

- Tak jest, ma'am.

- Twoja kolej.

- Odebrałem. - Przełączam się na gen-kom. — Flynn, potrzebuję danych o sytuacji. Jak daleko od siebie stoją strażnicy, których widzisz?

- Półtora metra.

- Zatrzymaj furgonetkę tak, żebym się znalazł pomiędzy nimi. Widać trzeciego ochroniarza?
- Nie, sir.
- Kiedy ci dwaj padną, Harvey, walisz w wartownię.
- Z rozkoszą, sir.
- Tuttle, dajesz jej wsparcie.
- Jasne, poruczniku.

Furgonetka się zatrzymuje. Podnoszę broń do ramienia, gdy Flynn zwalnia przesuwne drzwi. Kiedy tylko zauważam postać z lewej, posyłam szybko trzy pociski, a potem obracam się, żeby strzelić w prawo. Zanim drzwi się usuwają, zapewniając jej czystą pozycję strzelecką, Harvey ma półtorasekundowe spóźnienie, oboje więc strzelamy jednocześnie. Gumowe kule uderzają w kamizelkę chudego młodziaka i przewracają go; jego pocisk przechodzi przez zadanie wejścia do budynku. Ochroniarz pada, głowa odskakuje mu od betonu.

Flynn wytacza się zza kierowcy, zdzierając z siebie pałatkę, a Harvey wyskakuje z samochodu i gna w stronę wartowni. Drugi van zajeżdża od tyłu z rykiem silnika, boczne drzwi są już odsunięte. Jaynie, Nolan i Tuttle wyskakują na zewnątrz, zanim pojazd się zatrzymuje. Tuttle gna obok nas, do Harvey, a Flynn pomaga mi okiełznać jednego ze strażników. Opiera się trochę, ale cios w zębra przekonuje go do współpracy, a my unieruchamiamy mu plastikowymi opaskami nadgarstki i kostki nóg. Nolan i Moon związują drugiego ochroniarza. Jaynie wkracza do wnętrza budynku, niosąc strzelbę do wywalania drzwi w kaburze na plecach, a w rękach ztkh, gotowa powalić każdego, kto mógłby mieć obiekcje przeciwko jej wtargnięciu.

- Lobby puste - przekazuje przez gen-kom.

Wzdrygam się, gdy przy wartowni rozlegają się strzały.

- Zabarykadował się w środku, poruczniku - mówi Harvey.
- Wywal drzwi. Nolan, pomóż im.

Nolan odbiega, zostawiając Moona własnemu losowi.

- Pomieszczenie łączności zewnętrznej jest puste - donosi Jaynie.

Obszukuję mojego jeńca, zabieram mu nóż, pistolet i wizor.

- Wrzuć to wszystko do furgonetki - polecam Flynn.
- Drzwi prowadzące do chronionej części budynku są zamknięte - zauważa Jaynie. - Przygotowuję się do ich wywalenia. Shelley, Flynn, natychmiast do mnie. Wy jesteście

zespołem szturmowym.

- Idziemy, ma'am.

Hakiem ramiennym martwej siostry chwytam mojego jeńca i wciągam do budynku, gdzie porzucam go na środku lobby.

Rozglądam się. To rozległy hol, dziesięć na dziesięć metrów, o imponującym szklanym świetliku, drogiej posadzce, z troskliwie pielęgnowanymi roślinami i obrazami na ścianach - pokaz na rzecz odwiedzających inwestorów, który ma ich zapewnić, że można tutaj zarobić pieniądze. Oświetlenie jest przygaszone, przypuszczalnie bardziej ze względu na porę nocną niż z oszczędności. Po prawej stronie ciągnie się długi pulpit, przypominający recepcję hotelową. Po lewej dwuskrzydłowe drzwi stoją otworem do pomieszczenia z szafkami, biurkami i monitorami; to pokój łączności, sprawdzony już przez Jaynie. Według naszego wywiadu to jedyne pomieszczenie, które pozwala na kontakt ze światem zewnętrznym.

W głębi holu znajdują się bezokienne stalowe drzwi na niewidocznych zawiasach, pomalowane na kolor ściany. Jaynie stoi obok, sprawdzając pociski załadowane do strzelby szturmowej. Dogania mnie Flynn. Stajemy za Jaynie, z ztkh w gotowości.

- Na trzy - mówi Jaynie, opierając wylot lufy o drzwi powyżej miejsca, w którym spodziewamy się rygla.

- Raz, dwa, trzy.

Hełm tłumi odgłos wystrzału. W drzwiach pojawia się dziura i rozlega się dźwięk alarmu, ale drzwi są nadal zablokowane.

- Jeszcze raz - mówi Jaynie, przesuwając lufę o kilkanaście centymetrów. - Na trzy. Raz, dwa, trzy.

Bum!

Tym razem drzwi się uchylają. Jaynie odsuwa się, a wkraczam ja, otwierając je szeroko kopniakiem. Po drugiej stronie znajduje się słabo oświetlony korytarz, który biegnie na boki w dwie strony. Nikogo tam nie ma, ale w powietrzu słychać gniewne, mechaniczne brzęczenie roju małych dronów, co najmniej piętnastu, gnających na mnie w formacji odwróconego V. Unoszą się na pszczelo-podobnych skrzydłach, mają parę centymetrów długości i czarne kadłuby w kształcie ściętych stożków.

Nie wiadomo, jak bardzo są groźne. Zakładam po prostu, że są.

Podnoszę ztkh. Moja taktyczna AI nie wie, jak się zachować wobec roju i nie podsuwa kółka celowniczego, kiedy opadają mnie małe czarne drony. Strzelam i tak, trzy krótkie serie, licząc na fart. Flynn kuca obok drzwi, strzelając wraz ze mną. Jedna z mechanicznych pszczół się rozlatuje. Odłamek strąca kolejną i spowalnia lot roju, ale nie na długo.

Potrzebne nam skuteczniejsze rozwiązanie.

- Cofnij się, Flynn! Wynocha z korytarza!

Przenoszę ztkh do jednej ręki. Nurkują ku mnie dwie pszczoły. Biorę wściekły zamach karabinem i trafiam jednego mechaowada, rzucając go na drugiego. Jednocześnie usiłuję wydobyć z kieszeni kamizelki granat hukowo-błyskowy, ale Jaynie uprzedza mnie.

- Uwaga, wybuch! - ostrzega, posyłając granat lobem spoza moich pleców.

Robię w tył zwrot, zmywam się z korytarza i przyklejam plecami do ściany.

Flynn krzyczy, granat wybucha, mój hełm tłumi huk. Przyłbica ciemnieje, osłaniając mi oczy przed blaskiem. Ciemny ekran ułatwia widzenie ikony Flynn. Kolor przeszedł z standardowej, przejrzystej, słabej zieleni w ostrą żółć. Opis stanu: „Spadające tętno, podwyższona temperatura ciała, utrata przytomności”.

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć. Leży rozciągnięta bezwładnie za progiem, nieruchoma, z ztkh u boku. Mały czarny kadłub jednego z dronów jest wbity w rękaw jej lewego przedramienia. Inny utknął pośrodku rękawicy. Jaynie przysuwa się do leżącej i kuca obok niej.

Obracam się dalej, aż mogę zerknąć w głąb korytarza.

Wszystkie drony spadły. Między mechanicznymi odwołkami wielkości napastrka, z których część brzęczy nadal cicho i kręci się chaotycznie, leżą rozrzucone wąskie czarne skrzydła oraz błyszczące odłamki szkła. Kiedy ruch dronów właściwie ustaje, ujawniają się szczegóły. Każdy mechaniczny owad ma z przodu obiektyw kamery, otoczony wianuszkiem szklanych, połamanych igieł.

Kiedy mechapszczoła trafiła Flynn, igły musiały przebić ubranie i rękawicę. Aplikowały lek obezwładniający? sądzę, żeby był śmiertelny, gdyż wyświetlacz informuje, stan Flynn jest stabilny.

- Korytarz czysty? - pyta Jaynie, strącając hakiem ramiennym znieruchomiłe pszczoły z Flynn.

- Potwierdzam. Ruszamy.

Wchodzę do korytarza, miażdżąc mikrodrony płytami podeszew.

Irytującemu mechanicznemu buczeniu alarmu towarzyszy miganie świateł podsufitowych, które wyławiają z mroku zagłębione w ścianach stalowe drzwi, umieszczone w dużych odstępach od siebie po obu stronach holu.

- Winda towarowa po lewej - melduję. - Sprawdzę.

- Dobra - odpowiada Jaynie.

Truchtam w głąb korytarza, podczas gdy Jaynie kieruje oddziałem:

- Moon, zajmij się Flynn i nie pozwól się uządlić tym owadzim dronom. Sytuacja, Nolan?

- Właśnie zajęliśmy wartownię, ma'am - dyszy. - Cholera, ruchy, Tuttle! Trzeci jeniec w drodze.

Docieram do pierwszych drzwi, zaglądam przez małe okienko i widzę w ciemności jarzące się światełka czuwania. Łapię za klamkę. Drzwi są zamknięte na klucz. Przełączam się na noktowizję, żeby zajrzeć do mrocznego wnętrza. To pomieszczenie laboratoryjne, ale nie widzę w nim nikogo. Ktoś może się tam ukrywać, skulony pod długim stołem albo wciśnięty do szafki, ale nie mamy czasu, żeby wywalać wszystkie drzwi.

Zaglądam do laboratorium po drugiej stronie. Także jest zamknięte, a światła są wyłączone. Idę dalej.

Jaynie zaczyna sprawdzać pierwsze drzwi w korytarzu ciągnącym się w drugą stronę od dokonanego przez nas wyłomu.

- Znasz swoje zadanie, Nolan - mówi przez gen-kom.

- Tak jest, ma'am, Utrzymać wejście. Strzec jeńców. Utrzymać łączność.

-I wyłączyć ten alarm.

- Tak jest, ma'am. Moon, idziesz ze mną.

Znowu słyszę Jaynie:

- Harvey, Tuttle, czas przybycia?

Harvey wpada do korytarza.

- Jestem, ma'am!

Dobrze. Sprawdź pomieszczenia z tej strony korytarza. Czy wszystkie są zamknięte i puste.

Alarm cichnie, światła przestają migać. W zapadłej nagle ciszy kroki Jaynie, biegnącej za mną truchtem mrocznym holem, brzmią głośno.

Docieram do windy towarowej i naciskam guzik, żeby sprawdzić, co się stanie. Nic się nie dzieje. Podobnie jak winda w apartamentowcu ojca, jest dostrojona do zarejestrowanych użytkowników.

- Winda nie reaguje.



Nasz wywiad stwierdził, że strażnicy Uther-Fen są jedynie na zewnątrz, ale w nocy należy się zwykle spodziewać obecności od jednego do trzech naukowców. Musimy znaleźć któregoś z nich, gdyż są spore szanse, iż mają uprawnienia do korzystania z windy.

Do przeszukania pozostały dwie kondygnacje pomieszczeń laboratoryjnych i biurowych, ale najpierw musimy się dostać do podziemia.

Sprawdzam drzwi na schody.

- Klatka schodowa zamknięta.

Możemy wysadzić wszystkie drzwi stojące nam na drodze do piwnicy, ale żeby skorzystać z windy, potrzebujemy uprawnionego użytkownika - nie ma mowy, żebyśmy byli w stanie wydostać spod ziemi dwie furgonetki z ładunkami nuklearnymi, jeśli nie będziemy mogli użyć dźwigu towarowego.

- Wywalmy je - mówi Jaynie, dołączając do mnie.

- Rozkaz.

System audio mojego hełmu wychwytuje głośnie szczęknięcie odblokowywanych drzwi na drugim końcu korytarza. Obracam się gwałtownie, z ztkh gotowym do strzału. Jaynie reaguje tak samo. Potem oboje opuszczamy karabiny, bo na linii naszego ognia znajduje się Harvey.

Zaledwie kilka kroków od niej, ostrożnie, do wnętrza uchylają się drzwi. Harvey rzuca się ku nim i kopie w nie płytą stopy martwej siostry, co sprawia, że się otwierają.

- Co do..?— krzyczy jakaś kobieta. - O Boże, to się dzieje naprawdę!

Harvey wbiega do pomieszczenia i po trzech sekundach kobieta zostaje wypchnięta stamtąd na korytarz. Uprawniony użytkownik.

Jest starszym pracownikiem naukowym, po pięćdziesiątce, ubrana w brązowe spodnie i szary sweter. Ma azjatyckie rysy twarzy i srebrne pasma w krótkich czarnych włosach. Szok wywołuje u niej słowotok, a mój hełm wychwytuje każde jej słowo, gdy Harvey pogania ją korytarzem.

- O mój Boże, o mój Boże. Nie sądziłam, że to prawda. Alarm włącza się ciągle. Mamy pozostać w laboratoriach, ale to zawsze są fałszywe alarmy, symulowany atak, jakieś głupie ćwiczenia. Czego tutaj chcecie? Wszystko jest zastrzeżone, lata badań...

- Niech mnie pani posłucha - przerywa jej Jaynie, prowadząc ją ku windzie towarowej. - Musimy się dostać na dół, a do tego potrzebna jest nam pani pomoc.

Nadbiega Tuttle. Dudnienie płyt jego stóp wprawia kobietę w popłoch. Wykręca się w uchwycie Harvey, usta ma otwarte, oddech szybki i płytki, ale zważywszy na to, że jest otoczona przez czwórkę wrogich najemników w kamizelkach, gnatach i z nieprzeniknionymi

czarnymi przyłbicami, uważam, że się trzyma całkiem nieźle.

- Winda, ma'am - ponagla ją Jaynie.

Kobieta kiwa głową i dotyka drżącym palcem przycisku windy. Urządzenie odpowiada pomrukiem, a po chwili rozsuwają się podwójne drzwi.

Kabina windy to stalowa klatka. Naprzeciwko wejścia są drugie drzwi, a winda jest wystarczająco duża, żeby zmieściła się w niej furgonetka.

Wsiadamy. Pod nami są trzy kondygnacje. Jaynie naciska guzik piwnicy. Nic się nie dzieje.

- Uruchom to - poleca pojmanej, która dysponuje magicznym palcem. Pod jego wpływem drzwi się zamykają a my opadamy.

Kobieta zaczyna dociekać naszych racji:

- Nie mam pojęcia, co spodziewacie się znaleźć.

- Według pani, ma'am, ilu ludzi jest w budynku? - pyta Jaynie.

- Nie wiem. Zależy od tego, kto prowadzi eksperymenty w nocy. Zwykle tylko dwie lub trzy osoby. Pozostali zaczną się zjawiać... - Zerka na nadgarstek. Nosi zegarek z tarczą i wskazówkami, jak te widywane na starych filmach. Tak chyba sprawdza się czas, kiedy nie wolno ci nosić wizora. - O Boże, nie przed upływem czterech godzin. Zabiliście strażników?

- Co jest na najniższym piętrze, ma'am? - pyta Jaynie.

Kobieta bierze urywany oddech.

- Nie zabijajcie mnie, proszę. Mam dzieci, wnuki...

- Niech pani współpracuje, to nic pani nie będzie. Co jest na najniższym poziomie?

- Magazyn! I urządzenia gospodarcze. Laboratoria znajdują się wyłącznie na trzech górnych poziomach.

Drzwi windy się rozsuwają. Patrzymy na przepaściste wnętrze, pachnące betonem, o betonowej podłodze, betonowych ścianach, którego sufit wspierają betonowe filary. Światła panelowe w górze rzucają równomierny blask na owinięte folią palety z tajemniczymi oznaczeniami, butle gazowe, mruczący agregat klimatyzacji oraz sześć wstawionych w ścianę roletowych drzwi do pomieszczeń magazynowych wielkości pokoiów.

Nie widać żadnych pojazdów. Wychodzę z windy.

- Ślady opon na podłożu.

- Widzę - potwierdza Jaynie.

- Wygląda na to, że samochód wyjechał z windy, a potem jechał na wstecznym. - Idę wzdłuż śladów i wskazuję pierwszy boks magazynowy. - Tam.

Jaynie podchodzi do mnie, trzymając karabin w dłoniach.

- Harvey, trzymaj jeńca w windzie. Tuttle, drużyna włamaniowa.

- Tak jest, ma'am!

Prawie dotarliśmy na miejsce. Niebieski i Złoty Diabeł są niemal w naszych rękach.

Nie ma mowy, żeby drzwi nie były zablokowane - obok przełącznika uruchamiającego ich mechanizm widnieje dziurka od klucza - lecz mimo to przerzucam włącznik tylko po to, żeby się przekonać, co się stanie, ale ku mojemu zaskoczeniu mechanizm startuje i roletowe drzwi jadą w górę.

Odskakuję, unosząc broń, ale wewnątrz jest puste. Jedyne dwa podwójne czarne ślady opon na gładkim betonie wskazują, że pojazdy kiedykolwiek znajdowały się tutaj.

- Kurwa mać! Już zniknęły, Jaynie!

- Następny magazyn - warczy.

Przerzucam włącznik, ale nic się nie dzieje.

- Zamknięty.

- Harvey - mówi Jaynie przez gen-kom. - Zapytaj jeńca, czy ma klucze do tych drzwi.

Po chwili przychodzi odpowiedź:

- Nie, ma'am. Nie ma.

Ja i Tuttle stanowimy wsparcie, gdy Jaynie używa strzelby, żeby wywalić drzwi. Dwa wystrzały, których odgłos dudni w betonowej komorze. Podnoszę roletę. Magazyn jest zastawiony paletami.

Przechodzimy do następnego boksu. Odstrzelujemy zamek. Podnosimy roletę. Kolejne palety.

I następne.

Otwarcie każdych drzwi trwa ponad minutę i to jest czas stracony. Musimy wrócić na górę i poinformować wywiad Tajnej Strzały, że nie znaleźliśmy ładunków nuklearnych i że trzeba zacząć je namierzać, ale najpierw należy sprawdzić ten poziom do końca i przekonać się z absolutną pewnością, że nie przeoczyliśmy bomb.

Piąte drzwi nie są zablokowane. Tuttle podnosi roletę kolejnego pustego pomieszczenia.

Jaynie przeładowuje broń i przechodzi do ostatniego magazynu.

- Na trzy. Raz, dwa, trzy.

Bum!

Od razu wiemy, że coś jest inaczej, gdyż z wybitego otworu wylewa się światło. Jaynie odstępkuje od wejścia, pozwalając, żeby strzelba opadła na pasie, a zamiast niej bierze do ręki ztkh. Oboje zajmujemy pozycje po obu stronach wielkich drzwi.

- Dobra, Tuttle - mruczy Jaynie.

Roletowe drzwi skrzypią i grzechoczą, kiedy podnosi je na siłę.

W środku znajduje się kontener mieszkalny. Podobny do tych z fortów granicznych, używanych przez wojsko w Sahelu - kompletny przenośny dom - ale ten jest mały, wykorzystywany w sytuacjach nadzwyczajnych. Jest niewiele większy od furgonetki dostawczej, ale i tak musiał się ledwo zmieścić do windy towarowej.

Moduł stoi pośrodku pomieszczenia, wypełniając większość przestrzeni. Ściany zewnętrzne są pomalowane na radosny, jasnożółty kolor; jeden schodek prowadzi do brązowych drzwi wejściowych, obok których znajduje się panoramiczne okno z udrapowanymi zasłonami. Za nimi świeci się światło.

- Co to jest, kurwa? - pyta szeptem Tuttle.

Myślę, że doskonale to wiem; Jaynie także.

- Znaleźliśmy naszego inżyniera.

- Mogę go zachęcić do wyjścia.

- Do dzieła - mówi uprzejmie.

Podchodzę z boku, trzymając ztkh przyciśnięty do barku i wycelowany w panoramiczne okno.

- Ty, w pudle! - wołam rozkazującym tonem, którego echo dudni w piwnicy. - Wyłaż z rękami na głowie albo wpakuję granat przez to okno!

To oczywiście kłamstwo. Jeśli to naprawdę jest inżynier nuklearny, który pomógł doprowadzić do Dnia Komy, to chcę go żywego, ale mam nadzieję, że nie otworzy drzwi, gdyż pragnę pretekstu, żeby móc tam iść po niego. Nie byłoby wielkiego ryzyka. Vanda nie zostawiłby broni w rękach trzymanego w niewoli technika... Jednak facet jest inżynierem. Może w swoim niewielkim habitacie skleił jakąś odpalaną elektrycznie bombę.

- Masz dziesięć sekund - ostrzegam go i zaczynam odliczać.

Na „siedem” drzwi się uchylają nieznacznie.

- Osiem. - Nie rezygnuję.

Otwiera drzwi szerzej, dzięki czemu widzę, że na zewnątrz wygląda chudy, wysoki mężczyzna, dużo młodszy, niż się spodziewałem, przypuszczalnie w moim niemal wieku. Ma kasztanowe włosy zebrane w porządną harcap i brązowe oczy. Cerę bladą, ale ze śladami opalenizny, która sugeruje, że opaliłby się ponownie, gdyby wyjrzał na słońce.

- Dziewięć - odliczam.

Pamięta, żeby położyć ręce na głowie.

- Wyłaź.

Maca stopą w poszukiwaniu stopnia, a potem schodzi na beton. Cienkim głosem z europejskim akcentem, którego nie rozpoznaję, pyta:

- Zamierzacie mnie zabić?

Nie pójdzie ci tak łatwo, koleś.

Zaczynamy przesłuchanie, prowadząc go — z unieruchomionymi za plecami rękami - do windy.

- Gdzie są pozostałe ładunki jądrowe? - pytam.

Wygląda na skonsternowanego. Jego spojrzenie wędruje po otwartych drzwiach magazynów i odległych kątach piwnicy.

- Były tutaj. - Patrzy na ślady opon. - Teraz ich nie ma.

- Ile ich było? - pyta Jaynie.

- Dwa! Tylko dwa.

Popędzamy go do windy, w której zatrzymana przez nas kobieta patrzy na niego, jakby ujrzała ducha.

- Co się dzieje? Czy dobrze słyszałam, że powiedzieliście „ładunki jądrowe”?

Jaynie kieruje kolejne pytanie do inżyniera:

- W jakich były pojazdach?

Kręci głową, jakby zamierzał odmówić odpowiedzi. Jaynie łapie go za ramię hakiem ramiennym i ścisną lekko.

- Jakie pojazdy?

Ten facet nie jest jednym z fanatycznych zwolenników Thelmy Sheridan. Widzę zmianę w jego wzroku i wyobrażam sobie, że ocenia sytuację i dochodzi do wniosku, że równie dobrze może zacząć mówić teraz, bo na pewno zaczniesz gadać, zanim z nim skończymy.

Cichym głosem opisuje markę, model i kolory furgonetek; dokładnie te same szczegóły, jakie podał Carl Vanda. Niebieski i Złoty Diabeł.

- To jest jak Dzień Komy - odzywa się kobieta. - Bomby atomowe... w furgonetkach.
- Widziała pani tutaj jakieś pojazdy? - pyta Jaynie, nadal trzymając inżyniera hakiem ramiennym.
- Nie, nie. Nie wiem, co ten facet tutaj robi, ani jak się tu dostał. Kim on jest?
- Powiedz jej, kim jesteś - poleca Jaynie z nutą złości w głosie.

Odpowiada, zwracając się do pozbawionej wyrazu czarnej przyłbicy Jaynie:

- Nazywam się...
- Nie nazwisko!

Twarz ma ściągniętą strachem; czuję smród jego potu. Jąka się:

- Nie... nie chcę... mówić nic więcej. Mam prawo do...

Jaynie puszcza jego ramię, wyciąga pistolet i przystawia mu go do skroni. Inżynier szarpie się wstecz, zaciskając powieki. Kobieta się odwraca, kryjąc twarz w dłoniach.

- Powiedz jej, kim jesteś — powtarza rozkaz Jaynie.
- Ja... ja... ja... zaprojektowałem broń użytą w Dniu Komy.

Kobieta odsuwa dłonie od twarzy, żeby spojrzeć na niego z przerażeniem w oczach.

- Broń? - pyta Jaynie.
- Ładunki.
- Bomby jądrowe?
- Tak.
- Ty je zaprojektowałeś. A kto je skonstruował?
- Nadzorowałem... montaż.
- Zatem zbudowałeś je.

Kobieta sprawia takie wrażenie, jakby chciała poderżnąć mu gardło.

- To ty? - pyta szeptem. - Ty pierdolony sukinsynu! Miałam przyjaciół, którzy zginęli w San Diego! Kto mógł zrobić coś takiego? Dlaczego?

Muszę przyznać, że podziwiam strategię Jaynie. Ma teraz żarliwego świadka, który może zeznać, po co tutaj przybyliśmy i co odkryliśmy.

- Może byś odpowiedział na pytanie tej pani? - sugeruje Jaynie, wciskając mu nieco mocniej w skroń lufę pistoletu. - Dlaczego to zrobiłeś?

Facet drży teraz, oczy ma nadal zamknięte.

- To była praca!

- Praca? A dla kogóż to pracowałeś?

- Wicie już! Wicie!

- Dla kogo?

- Dla Thelmy Sheridan! Thelmy... Sheridan. Proszę. Mam pieniądze. Dobrze mi zapłacono. Oddam wam wszystko. Tylko nie zabijajcie mnie, proszę.

- Kto zabrał dwie ostatnie bomby? - pyta Jaynie.

- Nie wiem. Przysięgam. Były na miejscu, kiedy mnie tutaj przywieziono, ale jestem zamknięty od wielu dni.

Postanawiam zadać własne pytanie:

- Kto cię tu przywiózł?

Otwiera oczy. Rozgląda się, jakby próbował odgadnąć, która z anonimowych postaci zadała to pytanie.

- Ochroniarze.

- Z jakiej firmy?

- Uther-Fen.

Jaynie opuszcza pistolet, obiecując jeńcowi:

- Później pogadamy szerzej.

Włożywszy broń do kabury, odwraca się do kobiety.

- Proszę nas zawieźć na górę.
- Chcę, żebyśmy się zatrzymywali po drodze na każdym piętrze - mówię. - Żeby się upewnić, że to istotnie wyłącznie pomieszczenia laboratoryjne.
- Rozumiem.

Następne piętro jest dokładnie takie same jak parter, przez który weszliśmy. Korytarz jest na tyle szeroki, że mogłaby nim przejechać furgonetka, ale wszystkie drzwi mają standardowe wymiary, więc są zbyt małe, żeby pojazd się w nich zmieścił.

Wjeżdżamy piętro wyżej. Tym razem drzwi windy otwierają się po obu jej stronach. Po jednej jest przestrzeń laboratoryjna. Po drugiej parking. Wchodzę tam. Stoi w nim pięć aut, ale żadne z nich nie jest dostawczakiem.

- Spierdalajmy stąd - mówi Jaynie.

Na parterze, w drodze na zewnątrz, podnoszę w korytarzu jednego drona i trzymam go ostrożnie za ocalałe skrzydełko.

- Co zamierzasz z tym zrobić, do cholery? - pyta Harvey.
- Wysłać przyjacielowi.

Wiem, że Joby będzie chciał zobaczyć urządzenie.

Kobieta ma ręce związane za plecami, ale po tym, czego się dowiedziała, jest po naszej stronie i się nie skarży. Zamykamy ją w lobby wraz z trzema ochroniarzami Uther-Fen, ale inżyniera zabieramy ze sobą.

Od chwili pierwszego wystrzału minęło trzynaście minut i czterdzieści sekund.

Kiedy wsiadam do furgonetki, na mojej nakładce zapala się ikona i materiał wideo z naszej operacji zostaje ściągnięty poprzez lokalną, cywilną sieć komórkową.

Nie wspominam o tym Jaynie.

\* \* \*

Na autostradzie panuje spokój. Nie ma policji, FBI ani nikogo innego, bo jeśli najemnicy Uther-Fen wzywają pomoc, to nie dzwonią do władz, tylko do swoich.

Przesłuchanie jeńca trwa nadal w furgonetce. Dron naszego oddziału leci nadal nad nami, dzięki czemu Jaynie jest połączona z kontem satelitarnym Tajnej Strzały, a przez to z Delphi, która przekazuje pytania pochodzące od naszego wywiadu.

Jaynie kuca obok więźnia, trzymając anonimową czarną przyłbicę o centymetry od jego twarzy, i pyta cichym, szorstkim głosem:



- Kiedy personel Uther-Fen objął w posiadanie ładunki jądrowe?

Jeniec pali się do współpracy:

- To było... dwudziestego czwartego. Dwudziestego czwartego kwietnia. - Siedzi po turecku na podłodze furgonetki, zgarbiony, z dłońmi skrępowanymi za plecami. Rozumie swoją sytuację; wie, że na całym świecie nie ma ani jednej osoby, która byłaby po jego stronie, i że jego jedyna nadzieja polega na przyprochlebianiu się nam. - Przyjechali rano. Nie było ostrzeżenia. Zabili ludzi.

- Ty żyjesz.

- Powiedziałem im, kim... kim jestem. Oni... potrzebowali mnie.

- Po co?

- Wiecie... jeśli chcieli... użyć bomb.

- Czy sugerowali, że o to chodzi? Że chcą je zdetonować?

- Nie! Nie. Zabezpieczenie. Tak powiedzieli. „Przywieźcie go. To jest polisa”.

- To prawda? - pyta Jaynie. - Jesteś niezbędny?

Jeniec się waha.

- Czy ładunki mogą zostać zdetonowane bez twojego nadzoru? - docieka Jaynie.

Facet wpatruje się w podłogę. Drżą mu skrępowane ręce. Odpowiada szeptem, ale mój hełm odfiltruje i wzmacnia jego głos.

- Wyjaśniłem im, jak to zrobić. Nie chciałem! Ale grozili, że mnie zabiją.

Dziwię się, że nie zrobili tego.

Podaje nam numery rejestracyjne furgonetek, ale nie zna numerów VIN.

Przesłuchanie schodzi na procedury wewnętrzne Uther--Fen oraz sposoby postępowania z ładunkami jądrowymi w przeszłości. Jeniec powtarza raz za razem, że nie ma pojęcia, dokąd zabrano Niebieskiego i Żółtego Diabła, a Face Value potwierdza, że mówi prawdę, my wiemy jednak, że Vanda zamierzał przetransportować je do Niameju.

Moim zdaniem musimy zakładać, że są w drodze... a może już tam dotarły. Od czasu, gdy inżynier widział je ostatni raz, minęło wiele dni. Bomby mogą być gdziekolwiek.

Furgonetki zostawiamy na lotnisku w hangarze. Odrzutowiec Silimy jest gotowy do startu. Nasze plecaki i martwe siostry wędrują do luku towarowego, a potem wprowadzamy pośpiesznie jeńca na pokład. Flynn jest przytomna, ale ma mdłości z powodu jadu

wstrzykniętego jej przez pszczelego drona. Zataczając się, dociera do tylnego fotela, po czym pada na niego. Moon idzie za nią z apteczką pierwszej pomocy.

Trzy minuty później jesteśmy w powietrzu, chociaż nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek z nas wiedział, dokąd lecimy. Potem, po zaledwie dwudziestu minutach od startu, Shima ogłasza przez interkom:

- Nasz wywiad twierdzi, że namierzył ładunki nuklearne.

Wraz z przekazaniem obietnicy, że opracowywany jest plan drugiego etapu misji „Cicha Przecinka”, zostajemy skierowani na cywilne lotnisko w Brunswicku w Georgii.

- Zjedźcie coś teraz - poleca Shima. - I wysikajcie się, bo operacja zaczyna się zaraz po wylądowaniu.

Plan nowej misji wyświetla mi się na nakładce, kiedy odrzutowiec schodzi do lądowania. Początkowy akapit nie brzmi tak, jak się tego spodziewałem:

„Uważa się, że Niebieski i Złoty Diabeł znajdują się na pokładzie statku handlowego *Niezbywalny*, należącego do Kai-Stratford Ultrafast, wyleasingowanego przez firmę ochroniarską Uther-Fen i wykorzystywanego przez nią do transportu ciężkiego sprzętu”.

Spoglądam na Jaynie siedzącą po drugiej stronie przejścia.

- Są, kurwa, na statku?

Jaynie nosi wizor. Oświetlenie w kabinie jest na tyle słabe, że widzę miganie jego wyświetlacza.

- Taa, myślałam, że będą w samolocie.

W jej głosie brzmi takie samo zaniepokojenie, jakie ja odczuwam. Jesteśmy piechotą. Nie atakujemy statków.

- Dlaczego transportuje je na okręcie? - pyta. - Czemu nie samolotem?

- Bo mu go zabraliśmy? - Doszło do tego podczas misji „Brzask”, kiedy wprowadziliśmy C-17 należący do Vanda-Sheridan, po czym zostawiliśmy go w Niameju.

Jaynie naprawdę nie podoba się akcja na statku.

- Mógł wynająć inny samolot. Dlaczego, kurwa, tego nie zrobił?

Zastanawiam się nad tym, po czym kręcę głową.

- Razem z nim musiałby wynająć i załogę. Moim zdaniem ani Vanda, ani pracownicy Uther-Fen nie pozwoliliby na to, żeby ktoś obcy uczestniczył w ich operacji.

Jaynie wzrusza ramionami, po czym oboje wracamy do lektury planu.

*Niezbywalny* to katamaran transportowy typu ro-ro, przeznaczony do transportu osób i sprzętu. Ma sto metrów długości i skonstruowano go tak, żeby osiągał prędkość ponad czterdzieści węzłów. Wczoraj wieczorem, mniej więcej wtedy, gdy Carl Vanda został stracony w piwnicy bezpiecznego domu Tajnej Strzały, rorowiec zakończył krajowy rejs z Wirginii do Brunswicku. Kiedy zacumował, kamera na bramie portu zarejestrowała przejazd dwóch furgonetek o wyglądzie odpowiadającym opisowi samochodów, w których mają się znajdować Niebieski i Żółty Diabeł, chociaż tablice rejestracyjne pojazdów były inne. Pewien doker stwierdził, że widział, jak furgonetki wjeżdżają na pokład *Niezbywalnego*. Rejestry wyjść z portu oraz zapisy z kamer bezpieczeństwa są zgodne co do tego, że statek wypłynął z Brunswicku czterdzieści cztery minuty po północy - ponad pięć godzin temu. Nadzór straży przybrzeżnej śledził przez pierwsze trzy godziny rejsu jednostkę, która zmierzała na pełne morze.

Przestaję czytać i się zastanawiam: Kto z organizacji ma dostęp do kamer bezpieczeństwa w porcie? Kto przepytał dokera? Kto miał prawo zbadać rejestry straży przybrzeżnej? Oczywiście raport tego nie wyjaśnia.

Plan misji każe się nam przygotować, gdy tylko wylądujemy, a potem wsiąść do wynajętego śmigłowca, wyposażanego w tej chwili w zewnętrzne zbiorniki paliwa w celu zwiększenia zasięgu jego lotu. Polecimy nad ocean, oczekując, że w trakcie naszego lotu satelity szpiegowskie ustalą dokładnie pozycję *Niezbywalnego*.

Dostaniemy się na jego pokład. (Raport nie wspomina o tym, jak to zrobimy ani z jakim oporem możemy się spotkać).

Obezwładnimy załogę i ochroniarzy. (Ani słowa o ich liczbie, wyszkoleniu, doświadczeniu czy posiadanej przez nich broni).

Opanujemy statek i zawrócimy go do portu. (Czułbym się pewniej, gdyby była z nami Flynn. Pilotowała C-17 i chciałbym ją zobaczyć za sterem okrętu, ale Flynn jest niedysponowana. Nie poleci z nami).

Raport kończy się uwagą, że plan operacji „Cicha Przecinka” będzie aktualizowany w miarę zbliżania się przez nas do celu. Pocieszające.

Nieostra amunicja, Anne? Daj spokój. To statek Uther-Fen. Będzie się roilo na nim od najemników.

Shima patrzy na mnie z irytacją.

- Nasz wywiad nie potwierdza tego.

Znajdujemy się w hangarze w Brunswicku, wciśnięci między odrzutowiec a ubogą wersję śmigłowca Bell, przystosowanego do prac przemysłowych. Jeniec jest na pokładzie odrzutowca. Do pilnowania go wyznaczono Flynn, która czuje się nadal gównianie.

Nałożyłem już wcześniej ryszstunek i wsadziłem do plecaka dodatkowy sprzęt, w tym przekaźnik satelitalny, wzmacniający sygnały odbierane i wysyłane przez mój hełm, gdyż będziemy działać bez anioła. Chociaż załadowałem mnóstwo ostrej amunicji, plan misji każe nam użyć tej stosowanej do rozpraszania tłumów, co mi się nie podoba.

Shima uważa, że dramatyzuję.

- Uther-Fen to dobrze zarządzana firma - mówi, sprawdzając listę w tablecie trzymanym w zgięciu ramienia. - Nie każe jeździć personelowi po świecie dla zabawy. Zadaniem tego statku jest przetransportowanie Niebieskiego i Złotego Diabła. Będzie tam oddział pilnujący ładunku. Nie znamy ich dokładnej liczby, ale rozsądne szacunki każą zakładać obecność najwyżej dziesięciu do piętnastu ochroniarzy.

- Dziesięciu do piętnastu najemników przeciwko naszej szóstce? Zapewniam cię, że strażnicy Uther-Fen nie będą używali nieostrej amunicji.

- Nie, ale załoga statku nie będzie miała żadnej broni. To marynarze floty handlowej i jest bardzo prawdopodobne, że zapewnicie sobie współpracę z ich strony, jeśli nie zabijecie żadnego z nich. A jeśli wdacie się w walkę z ochroniarzami Uther-Fen, możecie użyć ostrej amunicji, ale wasze główne zadanie sprowadza się do zajęcia mostka bez rozlewu krwi cywilów i do zawrócenia statku.

- Nie zostaliśmy do tego wyszkoleni.

Shima patrzy na mnie wilkiem.

- Wiem o tym. I nie nalegałabym, żebyście to zrobili, gdyby nie stan najwyższej konieczności i gdybym nie wierzyła w adaptacyjne i innowacyjne możliwości tego oddziału. Poza tym to misja ochotnicza. Kto nie chce w niej uczestniczyć, niech się teraz wycofa.

Zapada cisza, gdy wszyscy obecni w hangarze przerywają swoje czynności i się oglądają - na mnie. Jaynie podnosi wzrok znad plecaka, do którego pakowała amunicję,

- To jak będzie, Shelley?

Nolan wkłada magazynek z nieostrą amunicją do kieszeni kamizelki i marszczy brwi.

- Skoro tablice rejestracyjne furgonetek nie odpowiadają wcześniejszemu opisowi, to czy na pewno ładunki nuklearne znajdują się na statku?

- Tablice łatwo zmienić - odpowiada Shima.

Prawda. Ale mamy się dopuścić aktu piractwa.

- Nie wiemy tego ze stuprocentową pewnością - ciągnie Shima, przenosząc wzrok ze mnie na Nolana, a potem na Harvey, Tuttle'a, Moona i kapitan Vasquez. - To prawda, że poszukiwane przez nas furgonetki są pospolite, i jest możliwe, że te załadowane na *Niezbywalnego* nie są

tymi samymi, które opisał schwytyany inżynier. Jednak rozsądek podpowiada coś przeciwnego, a łańcuch poszlak jest na tyle przekonujący, że mamy sojuszników w tej operacji. Nie jesteśmy sami. Podczas misji funkcjonujemy jak agencja cieni, ale nasze działania są znane i wspierane.

- Dowiedzmy się zatem! - warczy Jaynie. - Wchodzisz w to, Shelley?

Zastanawiam się, czy kieruje mną Czerwień, i zerkam na ikonę neuronetki, ale nie widzę jej. Dociera do mnie, że nie widziałem jej w trakcie całej misji - być może dlatego, że nie potrzebuję pomocy w podejmowaniu decyzji.

- Tak, wchodzę.

- Nolan? - pyta Jaynie.

Jego grymas niezadowolenia się pogłębia i martwię się że powie „nie”, ale to jest Nolan.

- Ja też.

Gdzie Nolan, tam i Tuttle; szaleńcze misje są całym życiem Harvey, a Moon się przyłącza, gdyż taka jest dynamika naszej grupy.

Misja postanowiona.

- Mamy nosić kamizelki ratunkowe? - zastanawia się Moon.

- Sprawdź w helikopterze - odpowiada Shima. - Powinny być na pokładzie.

Pilot śmigłowca wyjmuje je dla nas. Są cywilne, jaskrawożółte i odblaskowe, żeby się odcinały od rozległej, pomarszczonej powierzchni oceanu. Nie ma mowy, żebym nałożył coś takiego, czyniąc z siebie łatwy cel.

- Nie możemy ich nosić - stwierdza Jaynie, po czym porządnie złożone kamizelki wracają do schowka.

Tuż przed wejściem na pokład helikoptera przypominam sobie pszczelego drona, którego zabrałem z ośrodka Reyvik Biosystems. Wsadziłem go do plastikowego pojemnika, wyszperanego w apteczce pierwszej pomocy. Wręczam pudełko Shimie.

- Zrobisz coś dla mnie? Jest pewien facet, inżynier z San Antonio, który skonstruował moje nogi...

- Joby Nakagawa.

- Taa. Mogłabyś mu to przekazać? Zapytaj, czy może stworzyć coś podobnego. Powiedz mu, że uważam, że ten jest lepszy.

- Od czego?

- Po prostu powtórz mu, co powiedziałem, dobra?

\*

Z przodu maszyny siedzi samotny pilot. Z tyłu zamocowano dwie twarde ławki, naprzeciwko siebie, rozdzielone na szerokość odsuwanych z obu stron drzwi. Siedzę między Jaynie i Moonem, niezdarny w niewygodnym rynsztunku.

Startujemy po wschodzie słońca, ale nie jest nam dane go widzieć. Nad morzem szaleje wiosenny sztorm i w okienka wali deszcz. Lecimy nisko, pod strzępiastymi brzuchami szarych chmur, miotani przez wichry, który zamienia lot w przerażające doświadczenie, wywracające żołądek na lewą stronę.

Przez interkom pilot zapewnia nas cały czas, że wszystko jest w porządku, latał już w gorszych warunkach, nie ma powodu się martwić, ani trochę. Potem trafiamy w prąd wstępujący z samego piekła, który wystrzeliwuje nas w górę na rozrywającą bębni uszne wysokość trzystu pięćdziesięciu metrów, a pilot klnie przez cały czas, odczytując naszą wysokość i doświadczając ekstazy religijnej:

- Wielki Boże! Wszyscy święci!

Jestem przekonany, że skończymy w wodzie, wciągnięci w jej otchłań przez stelaże martwych siostr.

Ale żyjemy.

A niezaplanowany wzlot ma pozytywny skutek uboczny, jakim jest milczenie naszego aeronauty. Zaprzestaje uspokajającego trajkotania i koncentruje się na pilotowaniu. Możliwe, że się modli.

Myślę o miłych rzeczach, świadom, że nie mogę być wyczerpany przez strach, gdy - i jeśli - znajdziemy *Niezbywalnego*.

Co za kurewsko głupia nazwa.

\*

Lecimy nad morzem przez niemal dwie godziny.

Czuję się tak, jakbyśmy opuścili świat i mieli nigdy więcej nie ujrzeć lądu.

Co kilka minut obracam się, zerkam przez okno i wpatruję się w gnające nad nami szare chmury oraz przetaczające się pod nami gigantyczne fale, ozdobione białymi grzywaczami.

Nawet dzięki zewnętrznym zbiornikom śmigłowiec nie może mieć dosyć paliwa, żebyśmy przelecieli z powrotem przez tę burzę. Prawda?

Nikt nie odzywał się od tak dawna, że głos pilota w interkomie nas zaskakuje:

- Jeszcze trzy minuty.

Odwracam się znowu do okna, ale nie widzę statku, tylko pusty ocean.

- Pokład będzie się kołysał - ostrzega pilot. - Nie ma mowy, żebym posadził maszynę.

- No to plan zapasowy - mówi ponuro Jaynie. - To misja bez odwrotu. Zjeżdżamy na linach.

To jest prawdopodobnie misja straceńcza, ale zatrzymuję tę opinię dla siebie, bo Jaynie ma racje. Nie mamy wyboru. Ładunki nuklearne nie mogą się nam wymknąć. To nasz obowiązek wobec wszystkich tych, którzy zginęli w Dniu Komy, żeby dopilnować tego, że nie zostaną nigdy użyte.

- Szkoda, że na tym ptaszku nie mamy zamontowanych wyrzutni rakiet - odzywa się Harvey.  
- Dużo łatwiej byłoby po prostu zatopić ten statek.

Też bym tak zrobił.

Ale nie ma wyboru.

Odpinam uprząż bezpieczeństwa.

- Harvey?

- Taa?

Dowódcą jest Jaynie, ale atak prowadzę ja. Wkraczam pierwszy i do mnie należą początkowe decyzje taktyczne.

- Masz być przy mnie podczas rozpoczęcia szturmu.

- Tak jest, poruczniku! Powiedziałam, że pójdę za panem wszędzie, tylko proszę przyrzec, że tym razem nie każe mi się pan opiekować żadnym jeńcem.

- Postaram się. Nie odczepiaj liny, póki nie staniesz pewnie na pokładzie. Kapujesz?

- Tak jest, sir! Załatwmy paru najemników Uther-Fen, Hoo-yah!

\*

Z całą pewnością *Niezbywalny* używa radaru, żeby uniknąć kolizji z innymi jednostkami oraz spotkań z piratami. Stawiamy na to, że ich systemy bezpieczeństwa nie są nastawione na wykrycie korsarskiego ataku z powietrza, zwłaszcza w czasie srożącej się nawałnicy.

Zatrzymuję się na chwilę w odsuniętych drzwiach luku patrzę w dół na szare fale i zastanawiam się, czy głębokość wody pod mną mierzona jest w kilometrach. Nie sprawdzam jednak tego w encyklopedii. Tak naprawdę to nie chcę wiedzieć.

Mój hełm jest zintegrowany. Ztkh mam na ramieniu. Pistolet w kaburze napierśnej, przy pasie garść granatów oraz nóż na wszelki wypadek. Jedno jest pewne - jeśli wpadnę do wody, to pójde szybko na dno.

Łączę się poprzez przekaźnik satelitarny, który mam w plecaku.

- Jesteś tam, Delphi?
- Słyszę cię, Shelley.
- Ruszamy — mówię.

I wychodzę z luku prosto w sztorm.

\*

Wiatr szarpie rękawami i nogawkami. Obraca mnie na linie. Dzięki temu widzę po raz pierwszy *Niezbywalnego*. Statek pojawia się pode mną, gdy kręcę się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. To szary prostokąt - dziób ma równie tępy jak rufę. Jego przednia jedna trzecia to gładki i niemal pozbawiony wszelkich cech górny pokład, który kończy się mostkiem. Po obu jego stronach ciągną się przez szerokość kadłuba wąskie pokłady obserwacyjne. Z wyjątkiem anten mostek jest najwyższym elementem jednostki. Podobnie jak szczytowy poziom wieży kontrolnej lotniska, ma okna wychodzące na wszystkie strony, tylko nie w górę.

Póki co nikt do nas nie strzela.

Za mostkiem szare baterie słoneczne tworzą dach na otwartą przestrzeń pokładu kontenerowego. Według zdjęć z kamer bezpieczeństwa w porcie pod dachem jest pusto. Poniżej pokładu kontenerowego znajduje się zamknięta ładownia. To tam powinny być bomby atomowe -to znaczy, jeśli znaleźliśmy właściwy statek, jeżeli nasz wywiad ma rację, a my szczęście. Tak czy inaczej, jesteśmy piratami.

Może Jaynie ma rację, że Czerwień rzeczywiście zabawia się w mojej głowie we władzę marionetek.

Może w głowach nas wszystkich.

Bo to jest pierdolone szaleństwo.

Zanim pokonuję połowę drogi w dół, jestem przemoczony do suchej nitki. W porywach wichury powinienem marznąć, ale w żyłach płynie mi tyle adrenaliny, że nie czuję nic oprócz fatalistycznej ekscytacji. Lecę szybko jak super-bohater, zaledwie kilka metrów od Harvey. Oboje spadamy ku pomostowi obserwacyjnemu na bakburcie. Pomimo sztormu naszemu pilotowi udaje się na krótko zawiesić helikopter nad *Niezbywalnym*.

- Przygotuj się, Harvey!



- Przyjęłam!

Statek wznosi się i opada, lina jest wydawana, a czas dzielący mnie od zderzenia z pokładem zmniejsza się przerażająco szybko. Postanawiam zwolnić zaczep wcześniej i spaść ostatni metr, żeby spotkać się z pokładem z dźwięcznym uderzeniem metalu o metal, po czym robię to dokładnie w chwili, gdy dziób statku się zapada po przewaleniu się *Niezbywalnego* przez grzbiet fali.

Nie spodziewałem się tego.

Toczę się z łoskotem do przodu na trzylinowy reling, który powstrzymuje mnie przed upadkiem na fordek. Dziób wbija się w kolejną falę, gejzer białej piany tryska w górę. Spada na mnie ulewa słonej wody i deszczu.

Obracam się, kiedy statek wspina się na grzbiet kolejnego grzywacza. Sześć metrów dzieli mnie od mostka, z którego przez grube niebieskozielone szyby patrzą na mnie trzej zszokowani ludzie w mundurach khaki. Trzymając się dla równowagi relingu, podrzucam ztkh i strzelam jednorącz w ich kierunku. Trzeba sześciu pocisków, żeby gumowa amunicja rozbiła okno. Obok mnie pojawia się Harvey i wspólnie gruchoczemy szybę, aż się rozpada na duże kostki. Do tego czasu załoga mostka znika z pola widzenia, a statek nurkuje w kolejną falę.

- Za mną, Harvey!

- Tak jest!

Jednym skokiem w martwej siostrze pokonuję większość odległości. Po drugim susie kucam przy ramie wybitego okna. Statek zapada się w dolinę między falami. Przechył wrzuca mnie do przybudówki. Ślizgam się, sunąc przegubem biodrowym martwej siostry po konsoli sterowniczej i rozbijając Bóg jeden wie ile przełączników, ale przynajmniej usuwam się z drogi Harvey. Uchwycenie się jedną ręką podłokietnika fotela pozwala mi się utrzymać na nogach, gdy pokład przechyla się w drugą stronę.

Nasza kanonada oczyściła najbliższe otoczenie. Załoga mostka wycofała się - nie wiem, czy w głąb metalowej klatki schodowej od strony rufy, czy za wielką konsolę sterową. Widać tylko jednego marynarza przykucniętego za pulpitem kontrolnym od strony rufy i oznaczonego przez moją AI jako cel. Nie dociekam dlaczego. Palec napina się na spuście, gdy mózg przetwarza nadal obraz białej kobiety w mundurze khaki, o brązowych włosach zebranych w ciasny kok, liczącej może czterdzieści pięć lat i trzymającej oburącz pistolet, wycelowany mniej więcej w moim kierunku.

Nie ma kamizelki kuloodpornej.

Mój pocisk trafia ją w mostek z niecałych dwóch metrów. Kiedy uderzenie ją powala, jej pistolet strzela w powietrze. Kobieta wali głową w krawędź panelu sterowniczego. Za konsolą wybuchają okrzyki wściekłości i przerażenia, kiedy trafiona pada bezwładnie na podłogę, ale pozostali nie pokazują się ani nie próbują przyjść jej z pomocą.

Delphi milczy, jako zbyt zręczna opiekunka, żeby się wtrącać do tak błyskawicznie rozwijającej się akcji. Musiała wyciszyć także gen-kom, gdyż nie słyszę żadnej gadaniny z helikoptera.

Zwalniam śmiertelny uchwyt, jakim trzymam się fotela, i obchodzę koniec konsoli w chwili, gdy za moimi plecami zjawia się Harvey. Opada z większą gracją niż ja, robi celowo salto przez okno, po czym z łoskotem ląduje obok mnie na pokrytym gumą podłożu. Woda kapie z jej kombinezonu i szarych wsporników martwej siostry. Pomimo nachylenia pokładu trzyma ztkh w obu dłoniach, zataczając karabinem łuk z prawa na lewo w poszukiwaniu celów.

Z ztkh przy ramieniu obchodzę konsolę. Znajduję za nią przytulonych do siebie dwóch kolejnych członków załogi - kobietę i mężczyznę. Żadne z nich nie ma broni. Gdy statek zapada się w kolejną dolinę między falami, obejmuję ramieniem oparcie fotela, żeby się utrzymać na nogach.

- Potwierdzam tożsamość: to cywilni członkowie załogi - odzywa się Delphi. - Facet jest nawigatorem, a ona sternikiem.

Coś się nie zgadza.

- Zgodnie z planem misji, Delphi, na mostku mieliśmy zastać czworo członków załogi - żeby nasi jeńcy nie słyszeli mnie, mówię niemal szeptem, pozostawiając gen-komowi zadanie wzmocnienia mojego głosu. - Brakuje kogoś.

- Sprawdzam... Kiedy wylądowaliście, widzieliśmy tylko trzy osoby.

Był ktoś czwarty? Czmychnął w dół schodów, kiedy spadłem z nieba?

Domyślałam się, że tak.

- Uważamy, że czwarta osoba zawiadomiła ochroniarzy Uther-Fen - mówię. - Harvey, pilnuj wyjścia na schody.

- Tak jest, sir.

Drzwi za moimi plecami zatrząskują się z głuchym szczęknięciem. Nie są stalowe. To kompozyt kuloodporny.

- Mostek zabezpieczony - melduje Harvey. - Przynajmniej na razie. Przydałoby się nam wsparcie, kapitan Vasquez.

- Za tobą, Harvey - odpowiada Jaynie.

Mam kurewską nadzieję, że to prawda, bo mamy ze dwadzieścia sekund, zanim ochrona *Niezbywalnego* zorientuje się w sytuacji.

Jest też problem polegający na tym, że nikt nie steruje w tej chwili statkiem.

Przenoszę spojrzenie na ikonę syntezy mowy i wyrażam swoje zaniepokojenie pod adresem kobiety, którą Delphi zidentyfikowała jako sterniczkę; pamiętam przy tym, żeby mówić szeptem w celu uniemożliwienia zdemaskowania mnie na podstawie analizy głosu.

- Jesteś sterniczką, tak? Musisz wrócić na stanowisko. Wstawaj.

Następuje krótka pauza, po czym syntezy powtarza moje słowa grzmiącym, władczym tonem: „Jesteś sterniczką, tak? Musisz wrócić na stanowisko. Wstawaj!”.

Tamci dwoje tylko patrzą na mnie, zbyt wstrząśnięci mechanicznym głosem, żeby się zdobyć na odpowiedź.

- Wstawaj!

- „Wstawaj!”

Nienawidzę tego pierdolonego syntezy.

- Nie zabijaj mnie - szepcze kobieta. - Będę współpracowała.

Słyszę to jedynie dlatego, że mój hełm wzmacnia jej głos.

Podnosi się niepewnie. Cofam się, żeby mogła obejść konsolę.

- Wróć na kurs - mówi drżącym głosem.

- Nie. Zawracaj do brzegu.

- Co? - Patrzy na mnie wielkimi oczami. Widzę myśli, które się kłębią w jej głowie. Nie ma pojęcia, jaki ładunek wiezie statek. Uważa, że jeśli zawrócimy, będą mogli liczyć na pomoc ze strony straży przybrzeżnej, marynarki amerykańskiej, władz portu. Kiwa głową. - Podczas nawrotu będzie mocno kiwało.

- Rozumiem. - Odwracam się do nawigatora. - Kładź się twarzą do podłogi.

Podłoga jest mokra od deszczu i morskiej piany, która wdarła się przez rozbite okno, ale mężczyzna słucha bez wahania. Klękam obok niego i krępuję mu ręce za plecami plastikową opaską zaciskową.

- Ilu ludzi jest na statku? - pytam.

- Ośmioro członków załogi. Może dwunastu ochroniarzy.

- Najemnicy nie zawsze się ujawniają, co?

- Jesteśmy firmą ochroniarską. To nie jest okręt...

- Jesteś nawigatorem. Być może będziesz nam potrzebny, ale póki co nie ruszaj się.

Zaczynam wstawać.

- Kim wy jesteście, kurwa? - pyta. - Czego szukacie?
- Ładunków nuklearnych w waszej ładowni.

Patrząc na mnie, przewraca oczami.

- Zwariowałeś!

Można o tym dyskutować, ale nie w kwestii broni jądrowej, i chcę, żeby tamten to wiedział. Jeśli mielibyśmy zginąć, to wołałbym, żeby ktoś wiedział, co przewozi ten statek. Pytam więc:

- Co przyjęliście na pokład w Brunswicku?
- Niewiele. Ludzi. Pojazdy.
- Jakie?
- Zwykle furgonetki. Nie wiem.
- Sprawdzaliście, co w nich jest?
- Załadunkiem zajmowała się ochrona.
- Dla twojej informacji - w furgonetkach znajdują się ładunki nuklearne. Wieziecie do Afryki niewykorzystane bomby z Dnia Komy. Mam nadzieję, że dobrze wam za to zapłacono.
- To zwykły towar! Zabiłeś kapitan z powodu ładunku! Odwracam się, żeby na nią zerknąć. Leży nieprzytomna na podłodze, ale widzę, że oddycha.
- Wasza kapitan żyje. Postrzeliłem ją gumowym pociskiem, ale zmieniam magazynek. Następny człowiek, którego trafię, zginie, a ty nie chcesz umierać za Carla Vandę.

Harvey bierze to za przyzwolenie i także zamienia magazynek z gumowymi pociskami na zawierający ostrą amunicję, po czym pochyla głowę w kierunku okien od strony dziobu.

- Przybywa wsparcie.

Wstaję i widzę Jaynie oraz Nolana, którzy kołyszą się szaleńczo na linach poza dziobem statku, podczas gdy helikopter walczy z nawałnicą, żeby dostarczyć ich na mostek. Jednak *Niezbymalny* zaczął już skręcać na kolejnym wypiętrzeniu fali, więc pokład pod nimi przechyla się pod wariackim kątem, a na zewnątrz rozlegają się strzały.

- Ruszaj, Harvey! Zlokalizuj to!
- Tak jest, sir!

Harvey skacze ku oknu, łapie się jedną ręką jego framugi, po czym kuca pod nim, z ztkh trzymanym w zagięciu ramienia, starając się zlokalizować Strzelca.

Sterniczka patrzy na mnie czujnym wzrokiem, a kapitan porusza się w końcu na podłodze. Harvey znika z mojego pola widzenia, a chwilę później słyszę jej strzały.

Stoimy teraz bokiem do fali, statek kołysze się mocno, Harvey klnie w gen-komie, a pokład dziobowy, widoczny przez przednie okna, wznosi się na spotkanie Jaynie i Nolana. Podobnie jak pomost obserwacyjny, fordek zabezpieczony jest przez trzylinowy reling. Huśtając się w powietrzu, Jaynie mija go o włos. Wie, że nie będzie miała lepszej okazji, więc zwalnia zatrask upręży. Nolan tak samo. Spadają na pokład, ale ten ma czterdzieści stopni przechyłu bocznego, więc oboje ześlizgują się po nim.

Nolan znajduje się w połowie szerokości pokładu dziobowego, kiedy udaje mu się zaczepić hak ramienny o taśmę mocującą i zatrzymuje się z gwałtownym szarpnięciem.

Jaynie nie znajduje żadnego uchwytu. Sunie na plecach przez całą szerokość fordeku i spada pod olinowaniem barierki poza jego krawędź, zaczepiając w ostatniej chwili hak ramienny o najniższą linę, zanim znika z pola widzenia. Wisi tam, kiedy wpadamy w kolejną dolinę między falami. Biała, spieniona woda wznosi się z rykiem wokół niej zalewa pokład i przez trzy sekundy nie mam pojęcia, czy

Vasquez trzyma się nadal. Potem dziób zaczyna się podnosić, woda spływa, a ja widzę ponownie, że Jaynie, z ztkh przerzuconym przez ramię, zaczepiona drugim hakiem za najwyższą linę relingu, podciąga się na niej.

- Ja pierdołę, Vasquez! - krzyczy Harvey przez gen--kom.

Myślę, że mówi za nas wszystkich.

Muszę jednak przywrócić porządek.

- Potrzebuje pani pomocy, kapitan Vasquez?

- Nie - warczy Jaynie. - Nolan, zapierdalaj na mostek. Twoja sytuacja, Harvey?

- Jestem obok mostka, czekam, żeby nasz strzelec...

Rozlegają się strzały. Potem Harvey mówi:

- Oberwał. Nie wiem, czy śmiertelnie.

Statek już niemal zawrócił. Fale uderzają teraz od rufy i mniej kiwa. Nolan korzysta z tego i przechodzi przez fordek, znikając pod mostkiem z mojego pola widzenia.

- Wchodzisz na górę, Nolan?

- Potwierdzam, sir.

- Nie postrzel go, Harvey.
- Mam lepszy cel, poruczniku.

Sprawdzam widok z jej kamery hełmowej. Pod dachem z paneli fotowoltaicznych Harvey patrzy na kogoś kulącego się w zagłębieniu drzwi windy pokładu kontenerowego na bakburcie. Harvey zaczyna strzelać poprzez aluminiowy narożnik osłaniający cel. Widzę wierzgające nogi w wysokich butach, a potem przeciwnik się odczołguje.

- Cholera - szepcze Harvey.

Nolan dociera na pomost obserwacyjny. Jaynie jest nadal na dole; trzymając się liny, wędruje skrajem pokładu dziobowego, a pod nią przesuwa się spieniony ocean.

Wypatruję helikoptera na niebie.

- Tuttle, Moon, szacunkowy czas przybycia?
- Nie zjeżdżają - odpowiada Delphi.
- Co? Dlaczego? Nie możemy przeprowadzić tej operacji we czwórkę!
- Przeprowadzimy tę operację we czwórkę - wtrąca się Jaynie. - Nie mamy wyboru.
- Co się stało, kurwa?
- Pilot odwołał desant - wyjaśnia Delphi. - Uznał, że kolejne podejście do statku jest zbyt ryzykowne, i stwierdził, że zabraknie mu paliwa.

*Niezbywalny* kończy skręt. Płyniemy z powrotem do brzegu. W wybitym oknie wyje wiatr, biały pył wodny wiruje nad grzywaczami fal, ale deszcz zelżał na tyle, że na zachód od nas widzę odległy obiekt lecący poniżej chmur. Śmigłowiec. Znika chwilę później.

Nolan wpada przez wybite okno.

- Pilot chciał się wycofać po opuszczeniu pana i Harvey, ale Vasquez mu powiedziała, że nie ma mowy.

Zastanawiam się, jak bardzo była przekonująca, ale nie pytam, bo to nie ma żadnego znaczenia. Nie odbierzemy Tuttle'a i Moona. Będzie tylko czworo nas przeciwko dwunastu najemnikom, którzy znają statek lepiej niż my i są z pewnością lepiej uzbrojeni, ale Jaynie ma rację. To nadal jest misja bez odwrotu.

Jakiś dźwięk zwraca moją uwagę. System audio hełmu wzmacnia szelest i skrzypienie towarzyszące ruchowi po drugiej stronie zamkniętych drzwi prowadzących na schody. Widzę, że klamka się porusza.

- Cofnij się! - ostrzegam Nolana, popierając słowa gestem. - Cofnij się, bo zamierzają wywalić drzwi!

Odwracam się plecami i obejmuję sterniczkę, żeby osłonić, kiedy eksploduje granat. Wybuch uderza z dużą siłą. Jakiś odłamek wali mnie w hełm, wprawiając w wibrację kości czaszki; otacza mnie wściekły żar. Rzucam sterniczkę na podłogę, odwracam się i przykładam ztkh do ramienia, oceniając sytuację.

Drzwi zabezpieczające mostek wiszą na zawiasach, są osmalone, zamek wyrwany. Aluminiowe schody za nimi świecą pustką, ale u ich podstawy znajdują się dwaj żołnierze w kamizelkach kuloodpornych, celujący do mnie z karabinów. Mogliby posłać lobem przez wywalone drzwi drugi granat i załatwić nas, ale to zabiłoby także załogę mostka i zniszczyło urządzenia sterowe. Dobrze wiedzieć, że mają pewne zahamowania.

Ja nie mam.

Naciskam drugi spust mojego M-CLLa, posyłając granat dokładnie między nich. Blask i huk eksplozji zostają stłumione przez hełm.

Gdy przyłbica się oczyszcza, zaglądam w głąb klatki schodowej. Ściany są poczerniałe, ale nie widzę żadnych ciał.

- Z tyłu - ostrzega mnie Nolan.

Odwracam się gwałtownie i widzę kapitan leżącą na brzuchu. Podążając za jej wzrokiem, dostrzegam pistolet obok niej na pokładzie. Kiedy stoję przed nią, kobieta nieruchomieje. Płacząca sterniczka kuli się na podłodze obok swojego stanowiska, z dłońmi przyciśniętymi do uszu, a na zewnątrz trwa strzelanina. Chcę wysłać Nolana na pomoc. Chcę zbiec po schodach i ścigać wroga. Muszę jednak zostać z jeńcami. Musimy utrzymać mostek.

Podnoszę bezpieczny pistolet, sprawdzam bezpiecznik, po czym wrzucam broń do kieszeni kamizelki, a Nolan podchodzi do okna. Trzyma ztkh w gotowości, ale nie strzela.

Pomagam wstać sterniczkę i prowadzę ją na jej stanowisko. Potem unieruchamiam ręce pani kapitan za jej plecami, kończąc pchnięciem między łopatkami, żeby zachęcić ją do pozostania na podłodze.

Hełm filtruje to, co słyszę - tłumi huk wymiany ognia, a wzmacnia dochodzące z dołu dźwięki, które sugerują, że ktoś tam coś ciągnie. Podejmuję decyzję.

- Schodzę na dół, Nolan.

- Co jest na dole, Shelley? - pyta zwięźle Jaynie.

- Chyba trafiony najemnik. Poza tym Niebieski i Złoty. Przynajmniej taką mam, kurwa, nadzieję. Musimy to sprawdzić, Jaynie. Musimy dopilnować, żeby ładunki jądrowe nie wylądowały w powrotnej drodze za burta.

Strzelanina przybiera na sile, a Jaynie nie odpowiada.

Potem strzały milkną. Przyglądam się ikonom członków oddziału. Moona i Tuttle'a nie ma na wyświetlaczu. Stan Harvey i Nolana jest normalny, ale ikona Jaynie świeci się na żółto. Ona sama ma przyspieszone tętno i spada jej ciśnienie krwi.

- Cholera, oberwałaś, Jaynie?
- Potwierdzam - mówi napiętym szeptem, wzmocnionym przez moje audio.
- Idę po ciebie.
- Nie, ja wchodzę.
- Jestem z nią, poruczniku - mówi Harvey.
- Zajmij się drzwiami - poleca Delphi.

Uchylam drzwi na pomost obserwacyjny tylko na tyle, żeby Jaynie i Harvey wślizgnęły się do środka.

Chociaż Jaynie porusza się pod wpływem własnego impetu, jej prawe ramię to krwawa miazga.

- Mam nadzieję, że twój przeciwnik wygląda gorzej - odzywa się Nolan.
- Masz cholerną rację - odpowiada Harvey, zamykając kopniakiem drzwi.
- Harvey, Nolan - mówię - pilnujcie, żeby nikt się stąd nie wydostał.

Pokład się kołysze i Jaynie się zatacza. Łapię ją za wspornik ramienia, zanim się przewróci.

- Chodź tutaj i siadaj.
- Kurwa, sama mogę się sobą zająć!
- Poziom endorfin wzrasta, co?
- Pierdol się, Shelley.
- Siadaj - nalegam.

Ku mojej uldze robi to.

Wyjmuję apteczkę i zabieram się do opatrywania Jaynie, a Harvey i Nolan trzymają straż. Kość ramieniowa Jaynie jest złamana. Podłączam sztuczną krew i antybiotyki. Potem oczyszczam ranę i unieruchamiam kość szyną pneumatyczną.



- Nie zemdlejesz mi, co, Jaynie?

- Jak powiedziałam, pierdol się, Shelley.

- Też cię kocham. - Pacnięciem przyklejam na jej karku plaster stymulujący. - Musisz jednak wracać do roboty. Spróbuj wstać.

- Potrafię, kurwa, wstać!

I wstaje. Obraca głowę, przyglądając się rufowej części statku. Rynsztunek utrzymają w pozycji pionowej; pomoże jej utrzymać broń, a taktyczna AI pomoże celować. Będzie nawet za nią strzelała, jeśli Jaynie pozwoli jej na to. Przez jakiś czas będzie funkcjonowała.

- Shelley - mówi. Gen-kom wzmacnia jej słowa, ale wiem, że szepcze przez zaciśnięte zęby. - Musisz ruszać. Jak powiedziałeś. Zabezpiecz Niebieskiego i Złotego.

- Tak jest, ma'am. Biorę ze sobą Harvey.

- Idźcie. Załatwcie to.

- Byłoby super, Jaynie, gdybyś nie zemdląła podczas mojej nieobecności. Nie chcę wrócić i znaleźć tutaj Nolana pozostawionego sobie samemu.

- Po prostu znajdź Niebieskiego i Złotego.

- Znajdę.

- Nie pozwól, żeby wywalili ładunki za burtę albo zabili Harvey.

\*

Do ładowni prowadzą trzy drogi.

Pierwsza wiedzie z mostka wewnętrznymi schodami na dół i wymaga przebicia się w walce przez pokład załogi -teren, który jest w rękach nieprzyjaciela.

Druga biegnie na zewnątrz, po drabinie z pomostu obserwacyjnego na dach pokładu załogowego, a potem w dół kolejnej drabiny. Później trzeba przebiec pół pokładu kontenerowego do windy, którą także zajmuje wróg; dodatkowa niedogodność polega na tym, że nawet jeśli wsiądziemy do windy, to w drodze na dół musimy minąć pokład załogi.

Trzecia droga omija windę. Trzeba przebiec cały pokład kontenerowy do miejsca, skąd zewnętrzna klatka schodowa opada przy burcie dwie kondygnacje w głąb statku, ku drzwiom rufowym, które się otwierają bezpośrednio na ładownię.

Optuję za trzecią trasą, zakładając, że zapewni nam największą szansę na dotarcie do Niebieskiego i Złotego zanim ochroniarze Uther-Fen mnie dopadną. Żeby jednak pokonać biegiem pokład kontenerowy, będziemy potrzebowali z Harvey osłony ogniowej. Z mostku

widać niemal cały pokład, więc jest on dobrym stanowiskiem strzeleckim, tyle że sprawę utrudniają okna o grubych szybach. Nolan ma strzelbę. Korzysta z niej, żeby wywalić dwie kolejne szklane tafle.

Mroźny wiatr wyje, gdy przeładowuje broń i podaje mi ją.

- Może się przydać.
- Dzięki.

Nasi jeńcy drżą z zimna, poświęcam więc minutę na wyjęcie z plecaka pledu ratunkowego i okrycie nim pani kapitan, potem wręczam sterniczce opończę termiczną, a Harvey troszczy się o nawigatora. Lepsze to niż nic.

- Ruszaj, Shelley - mówi Jaynie, zajmując z Nolanem pozycje przy wybitych oknach.
- Tak jest, ma'am.

Wsuwam strzelbę do kabury na plecaku i zarzucam go na ramiona. Ztkh trzymam w obu rękach.

- Jesteś tam, Delphi?
- Tak - odpowiada rzeczowym tonem opiekunki.

Odwracam się do Harvey.

- Gotowa?
- Taka się urodziłam, sir.
- To jazda.

Kucamy przy drzwiach od sterburty.

- Na trzy - szepcze Jaynie. - Raz, dwa, trzy.

Pchnięciem otwieram drzwi. Potem biegnę pochylony ku pierwszej drabinie. Od dachu pokładu załogowego dzieli mnie dwumetrowy skok. Łąduję z głośnym hałasem a potem przebiegam dach w trzech susach. Harvey ląduje z hukiem za mną, kiedy zeskakuję na pokład kontenerowy. Strzelanina wybucha, gdy jeszcze lecę. Nie wiem, skąd padają strzały, ale nie ma gdzie się przed nimi ukryć. Amortyzatory martwej siostry pochłaniają część energii lądowania, a potem pędzę z całych sił pod panelami słonecznymi, dudniąc płytami stóp o aluminiowy pokład. Słyszę, że Harvey tupie tak samo za moimi plecami.

- Jeden trafiony - oświadcza spokojnie Delphi, gdy ktoś zaczyna krzyczeć. Nie oglądam się, żeby sprawdzić, kto to jest.

Kiedy jestem w połowie pokładu, zauważam u szczytu schodów jakąś postać. Tym razem słyszę za sobą świst, tuż nad barkiem; strzał musiał paść z mostka. Nigdy w życiu nie chcę oberwać od swoich.

Kanonada spełnia swoje zadanie, zmuszając przeciwnika do wycofania się w głąb schodów, poza zasięg wzroku. Po chwili jestem już tam i omiatam klatkę schodową lufą ztkh. Pierwsza kondygnacja stopni opada ku podestowi, części kładki, która prowadzi wzdłuż burty statku. Pomost prowadzi z powrotem do drugiej kondygnacji schodów biegnących równolegle pod pierwszą. Na widok nieprzyjaciela, który się obraca, żeby zeskoczyć z tej dolnej kondygnacji schodów, wystrzeliwuję trzy pociski. Kule przebijają wyższą kondygnację, obalając przeciwnika. Kiedy jednak zerkam między stopniami w dół, widzę, że tamten wciąż się rusza, więc strzelam ponownie. Ruch zamiera.

- Jeden załatwiony - melduję.
- Schody czyste? - pyta Harvey, podbiegając do mnie.
- Nie widać wroga.
- Ten jest mój.
- Nie, Harvey!

Za późno. Chwyta się hakiem ramiennym relingu i wykorzystuje go do obrotu przy skoku, który przenosi ją z pokładu kontenerowego na pierwszą platformę. Fala zadziera rufę, zalewając wodnym pyłem Harvey, kiedy ta spada z głośnym hukiem, który wstrząsa całą klatką schodową.

Obraca się i gna sprintem po kładce ku szczytowi następnej kondygnacji. Podążam jej śladem, klnąc w duchu, bo to moje zadanie iść przodem, a Harvey cholernie dobrze o tym wie.

Kiedy docieram na podest, przypadam skulony do burty statku. Zerkam w dół i widzę bezwładne ciało w czarnym mundurze Uther-Fen, leżące poniżej na stopniach. Harvey zeskakuje z nich. Ma wylądować u ich podstawy, kiedy ktoś niewidoczny dla mnie, wyznaczony niewątpliwie do strzeżenia drzwi ładowni, wystrzeliwuje krótką serię, która trafia Harvey jeszcze w locie.

Od morza oddziela ją jedynie rurowa poręcz.

Pociski uderzają w kamizelkę na piersi Harvey i obracają ją w chwili, gdy rufa statku opada. Harvey spada na najwyższą poprzeczkę relingu, przyjmuje uderzenie na wsporniki lędźwiowe martwej siostry, przelatuje nad barierką i niemal bez rozprysku wpada głową w dół do morza, przy czym płyty stóp znikają pod nieprzezroczystą powierzchnią szarej wody jako ostatek - i już jej nie ma.

Statek płynie dalej, a ikona stanu Harvey na wyświetlaczu mojej przyłbicy aktualizuje się, przyjmując kolor pomarańczowy - „zaginiona”. Nie „zmarła”. Po prostu zaginiona - jest zbyt

głęboko, żeby dotarł do mnie jej przekaz.

Ale ona nadal żyje.

Musi żyć. Pociski nie przebiłyby kamizelki. Siła ich uderzenia mogła jednak zatrzymać akcję jej serca. Na pewno straciła na jakiś czas oddech.

Może być nieprzytomna.

Jeśli straciła przytomność, nie będzie w stanie wypiąć się z rynsztunku. A ten ciągnie ją na samo dno.

Jeśli rzucę się jej na ratunek, mój sprzęt także pociągnie mnie na dno.

Ale ona żyje.

Wszystko to dzieje się w przerażającym ułamku sekundy.

- Wyłącz silniki, Jaynie!

Jeszcze kiedy to mówię, sprawa jest załatwiona: silniki pracują na biegu jałowym, kilwater przestaje się burzyć, a statek zamiera na wodzie, unosząc się na wzburzonych falach w rytm wolnego dyszenia oceanu.

- Pół minuty - mówi Jaynie. - Jeśli nie wynurzy się przed upływem trzydziestu sekund, to po niej.

Przyklejony plecami do burty statku posuwam się ostrożnie wzdłuż kładki, aż mogę zerknąć w dół i omieść wzrokiem całą rufę. Nikogo nie widać. To rampa ro-ro. Zamknięte drzwi ładowni znajdują się w zagłębieniu. Ten, kto postrzelił Harveya, kryje się tam, gdzie nie mogę go dostrzec, jeśli się nie odsłonię.

Rozglądam się po oceanie, szukam jakiegoś śladu Harveya, czegokolwiek, ciemnej plamy unoszącej się na wzbierającej fali.

- Delphi? Widzisz ją?

- Nie.

Nie ma nic prócz pyłu wodnego.

Podłączam się do przekazu z kamery na lufie mojego ztkh. Opieram się barkiem o ścianę statku, wysuwam karabin za róg i szybko omiatam nim teren - szybciej, niż jestem w stanie zanalizować widok, ale moja AI nadała. Namierza cel. Wyrównuję, a AI wystrzeliwuje granat.

Kiedy wybuch się przetacza, spoglądam na ocean.

Nic.

Ponownie korzystam z ztkh, żeby wyrzucić za róg. Tym razem AI nie znajduje żadnego celu. Wychylam się, żeby samemu to sprawdzić. O drzwi ładowni bezwładnie opierają się spalone zwłoki.

Zerkam ponownie na powierzchnię oceanu. Niczego tam nie ma. Zastanawiam się, czy Harvey już utonęła, czy też walczy nadal o życie, trzydzieści metrów pod powierzchnią wody.

- Nie żyje - mówi Jaynie tonem stłumionej wściekłości. Silniki statku podejmują pracę. - Shelley?

- Jestem.

Jaynie szepcze, ale gen-kom wzmacnia jej głos:

- Przyszpilili nas tutaj. Nie możemy ci pomóc. Ale to wciąż jest misja bez odwrotu.
- Przyjąłem.
- Muszę mieć dowód, że Niebieski i Złoty są tutaj naprawdę. Chcę przynajmniej tyle.
- Rozumiem, Jaynie. Idę.
- Za Harvey - mówi.
- Za Harvey.

Przysiadam bokiem na relingu, obracam się na poręczy i opadam na wąski pomost rufowy, a burzący się za statkiem biały kilwater tłumi wywołany tym hałas.

- Jesteś ze mną, Delphi?
- Jestem, Shelley. - Głos ma cichy, ale opanowany.

Przechodzę nad zwłokami, żeby dotrzeć do drzwi wejściowych, a potem naciskam ostrożnie klamkę. Drzwi są zablokowane. Zastanawiam się nad użyciem strzelby, ale kiedy drzwi staną otworem, chcę mieć w rękach ztkh. Stosuję więc strategię ochroniarzy Uther-Fen, mocuję granat na klamce i cofam się za róg, chroniąc się przed wybuchem. Kiedy wyglądam z ukrycia, drzwi są uchylone.

- Wróg na schodach wewnętrznych - informuje spokojnie Nolan przez gen-kom.
- Nieprzyjaciel na pokładzie - odpowiada Jaynie.

Szturm trwa.

Zagłuszana przez hałas silników strzelanina, która wybucha, brzmi jak odległe fajerwerki. Ruszam szybko i wsuwam lufę ztkh w szczelinę dymiących drzwi, żeby AI zajrzała do środka. Nie oznacza żadnych celów i nikt do mnie nie strzela.

- Czysto, możesz iść - mówi Delphi.

Otwieram szerzej drzwi i wchodzę do wnętrza.

Światła są zgaszone, więc włącza się noktowizja.

W zielonym blasku widzę niemal pustą ładownię. Dwa rzędy podpór dzielą pomieszczenie na trzy części. Metalowe zaczepy w pokładzie biegną wzdłuż równoległych linii.

Na przeciwległym końcu pomieszczenia, w pobliżu drzwi windy, znajduje się stos palet transportowych. Obok nich przymocowany do podłoża wózek widłowy. Bliżej środka stoją trzy transportery opancerzone, model miejski, takie jak te, które widziałem na Manhattanie. A bliżej mnie, cofnięte pod bakburtę i zabezpieczone płataniną łańcuchów, stoją dwie furgonetki. Nie wiem, jakiego są koloru, gdyż w noktowizji widzę jedynie odmienne odcienie zieleni i bieli.

Jaynie i Nolan wymieniają się rzeczowymi informacjami:

- Trzech kolejnych w cieniu.
- Widzę.
- Uwaga, granat.
- Zdejmuję was z gen-komu - mówi Delphi, która nie chce, żeby mnie to rozpraszało.

Ikony połączenia gasną i nie słyszę już bitewnej narracji.

Rozglądam się ponownie we wnętrzu ładowni. Moja AI nadal nie znajduje żadnych wrogów, dochodzę więc do wniosku, że do pilnowania rufy pozostawiono jedynie dwóch żołnierzy, już zabitych, podczas gdy wszyscy inni - wszyscy żywi najemnicy - uczestniczą w trwającej na górze wymianie ognia.

Póki ochroniarze Uther-Fen nie wrzucą na mostek granatów, Jaynie i Nolan mają sporą szansę na powstrzymanie napastników.

- Wchodzę, Delphi.
- Przyjęłam. Droga czysta.

Biegnę do furgonetek, dudniąc płytami stóp o podłoże. Nic się nie dzieje. Nikt do mnie nie strzela.

Docieram do pierwszego pojazdu. Wydaje mi się, że ten jest niebieski. Łapię klamkę bocznych drzwi i szarpię. Zamknięte. Zamieniam ztkh na strzelbę. Strzelam, trzymając broń równolegle do burty furgonetki i pod kątem do zamka. Gdy drzwi odskakują na kilkanaście centymetrów, włącza się alarm samochodowy, rozbrzmiewając echem w ładowni. Odsuwam drzwi. Kamery hełmowe rejestrują wszystko. Materiał wideo płynie do przekaźnika satelitarne w moim

plecaku, który wzmacnia sygnał i przesyła na konto Tajnej Strzały, a stamtąd dookoła świata i do Delphi Moja nakładka także nagrywa.

- Kurwa - szepczę, zaglądam do przestrzeni ładunkowej furgonetki. - To jest to, Delphi?

Hełm wycisza zawroźenie alarmu, wzmacniając jednocześnie jej głos.

- Czekaj.

W pojeździe znajduje się masywny szary cylinder metrowej niemal średnicy i tej samej mniej więcej wysokości, przykręcony do podłogi. Jest tam klawiatura numeryczna - według mnie zamka cyfrowego - umieszczona w pobliżu spoiny wyznaczającej przypuszczalnie krawędzie klapki dostępu.

- Mam potwierdzenie — odzywa się Delphi, która bardzo się stara mówić ze spokojem opiekunki, ale słyszę drzenie w jej głosie. - Pojemnik, który widzisz, to ołowiana osłona, mająca zmniejszyć wykrywalny wyciek promieniowania. Ta sama konstrukcja co bomb użytych w Dniu Komy. Ładunek jądrowy jest w środku. Nie próbuj tego otworzyć.

- Ani mi się śni.

- Chcą, żebyś sprawdził drugą furgonetkę.

- Przyjąłem.

- Uważaj, proszę.

Nie chcę przebywać w ciasnej przestrzeni między pojazdami, więc obchodzę je z drugiej strony. Po drodze przyglądam się transporterom opancerzonym i wózkowi widłowemu; patrzę ponuro na windę... ale nie dostrzegam żadnego ruchu, jeśli nie liczyć kołysania się statku na falach. Ponownie używam strzelby i uruchamiam kolejny alarm.

W drugiej furgonetce znajduje się identyczny szary walec.

Cokolwiek się jeszcze stanie, słusznie zrobiliśmy, zjawiając się tutaj. Tak sobie mówię. A potem znowu myślę o Harvey opadającej głową w dół w pozbawionej światła, mroźnej wodzie.

Naprawdę słusznie?

Zdekoncentrowałem się. Delphi przywołuje mnie do porządku:

- Co to za dźwięk? Słyszysz, Shelley?

Hełm przynosi pomruk silnika elektrycznego. Odwracam się i widzę, że drzwi windy się rozsuwają. Kontrolę przejmuje instynkt. Podnoszę broń, gotowy posłać tam granat, ale to nie ztkh, tylko strzelba. Nieznajomy kształt broni sprawia, że się waham.

- Strzelaj! - rozkazuje Delphi.

Naciskam spust, ale zbyt późno. W moją przyłbicę trafia seria pocisków - cios, który obala mnie na pokład. Słyszę, że Delphi wrzeszczy do mnie:

- Wstawaj, Shelley! Natychmiast. Już. Wstawaj! Chciałbym.

Nie pamiętam tylko, jak się to robi.

- Nie widzę - odpowiadam szeptem.

- Masz strzaskaną przyłbicę. Zdejmij hełm!

Nie powinienem tego robić. Poza tym nie pamiętam, jak się go pozbyć.

- Masz poważny wstrząs mózgu, Shelley.

Coś słyszę. Ktoś biegnie. Ciężkie kroki. Co najmniej dwoje ludzi.

- Ogłuszony - rozlega się nade mną męski głos.

Czuję na gardle nacisk zimnej stali, co wywiera pozytywny wpływ na przyszpilenie mojej świadomości z powrotem do ciała. Leżę na boku, podparty cielskiem własnego plecaka.

- Nie - mówi facet. - Nie zabijaj go. Jeszcze nie. Ponownie czuję swoje dłonie. Zginam palce.

Nacisk stali znika, ale nie presja ze strony Delphi:

- Cholera, Shelley! Działaj! W kaburze na piersi masz pistolet.

Słusznie. Sięgam po niego. Ktoś wykręca mi rękę w nadgarstku - kiepski pomysł z ich strony, gdyż nadal mam na sobie martwą siostrę. Uderzam z całych sił i z satysfakcją czuję, że trafiłem do celu, i słyszę sapnięcie, jęk. Walę ponownie, w cokolwiek to jest, i jęk milknie.

Strzał z broni. Sygnał sprzężenia zwrotnego z sensorów nóg strzela mi w górę lewego uda i do kręgosłupa; to szczególnego rodzaju ból pochodzący od moich robocich nóg. Siadam, zrzucam hełm i wydaję trwający pięć sekund ryk udręki. Moje protezy nie powinny generować bólu o takim natężeniu. Przekracza maksimum. Patrząc na ikonę suwaka u dołu nakładki, kontrolującego poziom doznań z protez, i przesuwam go do pierdolonego zera...

Kolejny strzał. Tym razem widzę napastnika - strzela mi w prawe kolano.

Nie powinienem nic czuć.

Jednak nerwy ogarnia płomień. Przysięgam, że się topią, palą na popiół wewnątrz ciała. Wiję się i sięgam do protez, żeby się ich pozbyć, odjąć je, sprawić, żeby przestały mówić mi to, czego nie chcę wiedzieć - że są złomem. Skręconym, zepsutym szmelcem o spalonych obwodach...

- Ty jesteś Shelley, co? - mówi mężczyzna. Ma amerykański akcent. - Król Dawid we własnej osobie. Te nogi zdradzają cię cały czas.



Moje barki unoszą się ciężko, trzęsę się, ale ból zelżał. Oceniam swoje położenie. Jedyne światło pada z drzwi, przez które wszedłem, ale jest go dość, bym widział, że leżę na pokładzie obok drugiej furgonetki. Najemnik, którego rąbnąłem, jest kupą nieprzytomnego mięsa. Kiepsko wygląda: ma złamany nos, wybite przednie zęby, a w otwartych ustach gromadzi się krew.

Patrzę na napastnika z bronią. Nigdy dotąd go nie widziałem. Ma co najmniej metr osiemdziesiąt, szerokie bary i ciemną karnację; Latynos albo Grek. Nie wiem, nie obchodzi mnie to.

— Ściągaj plecak — mówi.

Robię to.

- A teraz egzozkielet, spokojnie i powoli, bo rozwalę ci łokieć, a to będzie bolało jeszcze bardziej.

Kiwam głową.

- Zaczynj od ramion.

Robię, co mi każe, rozpinając zaczepy i myśląc: „Widzisz, Jaynie? Nie chcę umierać”.

Górna część gnatów nie opada na pokład, ale nie podąża także za mną, kiedy się schylam, żeby odpiąć martwą siostrę od robocich nóg. Próbuję ocenić uszkodzenia. Nie ma wiele do oglądania, po prostu dziury w nogawkach. Oczywiście żadnej krwi. Ani części mechanicznych. Wyciągam się jeszcze bardziej, żeby odpiąć zaczepy przy kostkach. To wtedy przekonuję się, że moje nogi są zepsute. Ich dolne fragmenty latają luźno w portkach, niepołączone z częściami udowymi.

Zbyt długo zwlekam. Tamten uderza mnie lufą broni w potylicę, wywołując w czaszce tak osłepiającą falę bólu, że niemal wymiotuję. Usiłuję usiąść ponownie prosto, ale facet nie pozwala mi na to. Kładzie dłoń na mojej potylicy, a lufę broni wciska mi w ucho. Jeśli naciśnie spust, to może przerwie tę dudniącą męczarnię w mojej głowie.

- Wyjmij pistolet. Bardzo powoli. Dwoma palcami. I odrzuć go.

Niepokoi go broń w kaburze na mojej piersi. Robię dokładnie to, co powiedział. Pistolet, grzechocząc, znika pod furgonetką.

- A teraz nóż.

Wyciągam majcher, który mam przy pasie. I tak nigdy dotąd nie użyłem noża w walce. Odrzucam go, ale tamten nadal nie pozwala mi usiąść. Chce pogadać. Nie ma sprawy, jeśli o mnie chodzi.

- Znałem ludzi, których zabiłeś w Czarnym Krzyżu, a także tych, którzy zginęli na Alasce.

Lewą rękę mam wciąż podwinętą pod tułowiem. Sięgam nią do kamizelki; powoli, bardzo powoli.

- Już byś nie żył, Shelley, gdyby nie paskudna plotka, że twoi przyjaciele mają mojego szefa.

W kieszeni kamizelki wyciągam kolbę pistoletu, który odebrałem kapitan statku.

- Myślisz, że wymieniliby Vandę za ciebie? Niewątpliwie trochę dla nich znaczysz. Wielki bohater. Lew z Czarnego Krzyża.

Jestem całkiem pewny, że ten układ by nie przeszedł. Przesuwam dłoń po pistolecie, aż znajduję bezpiecznik; naciskam odrobinę mocniej i przesuwam go.

- Pozwolę ci usiąść, a kiedy to zrobisz, to chcę, żebyś się wytoczył z osprzętu na brzuch, twarzą w dół, z rękami za plecami. Zrozumiano?

Kiwam głową, a kiedy się odsuwa, wyciągam broń.

Facet klnie i strzela mi w bok. Ja jemu w krtań. Ponieważ obaj mamy kamizelki kuloodporne, wygrywam.

Oczywiście to kurewsko boli. Nie tylko żebra, ale i głowa, w której tętno dudni z siłą artylerii. Ból mnie wkurza. Wprawia w lekkie szaleństwo, skłania do odpłacenia za to tamtemu facetowi, odpłacenia komukolwiek, i po chwili przekonuję się, że przyciskam lufę pistoletu do czoła najemnika, któremu zdefasonowałem twarz; nie strzelam jednak. Przypominam sobie, kim byłem, i nie pociągam za spust. Kutas przypuszczalnie i tak umrze, tonąc we własnej krwi. Postanawiam przetoczyć go na bok, żeby krew mogła odpływać.

Może przeżyje.

Pora ocenić własne obrażenia.

Pochyliam się ponownie i podciągam prawą nogawkę, bojąc się widoku tego, co zostało z mojego kolana.

I myślę:

„Jasny gwint”.

I:

„Joby jest kurewskim geniuszem”.

Ponieważ moje kolano wcale nie wygląda na uszkodzone. To znaczy, nie jest tak, żebym mógł chodzić. Podudzie odłączyło się od kolana, ale przegub wygląda na sprawny. Nie jest strzaskany ani przebity.

Dolna część protezy była od początku zaprojektowana tak, żeby można ją było odczepić. Tak to

wykombinował Joby. Na skutek uderzenia pocisku goleń musiała się odłączyć, odpadając gładko, reagując szybciej od poduszki powietrznej. A ból, który czułem? To musiało być gorąco wywołane uderzeniem kuli i gnające wzdłuż kręgosłupa.

Joby przyrzekł mi, że nie zdołam uszkodzić tych protez.

Podnoszę podudzie, które wraz z butem wydaje się ciężkie, i dopasowuję uważnie do przegubu kolana. Złącze zaskakuje i mogę poruszyć stopą w bucie. W pokładzie, tam, gdzie spoczywało kolano, jest dziura.

Podciągam drugą nogawkę. Lewe gniazdo jest pokieroszowane, ale podudzie wskakuje na miejsce. Nadal działa. Przesuwam ponownie w górę pasek sygnału zwrotnego z protez, żeby mieć czucie w nogach - tyle, żebym wiedział, gdzie są i co robią.

Czuję, że Joby mnie opieprzy, kiedy zerknie na ten zestaw danych.

Łeb rwie mnie nadal jak wszyscy diabli, mam zawroty głowy i mdłości, ale mimo to przypinam się ponownie do martwej siostry i wstaję. Kołyszący się pokład wygrywa niemal z moim zmysłem równowagi; trzymam się na nogach jedynie dzięki zastrzałom gnatów. Udaje mi się podnieść ztkh i strzelbę. Potem muszę uklęknąć, żeby spętać ręce i nogi najemnika z rozbitą gębą. Kiedy się nad nim pochylam, tętno wali mi w skroniach, ale daję radę. Później szukam w ciemnościach hełmu. Znalazłszy go, nakładam na głowę, ale chuj widzę. Delphi powiedziała, że przyłbica jest rozbita. Zdejmuję go ponownie, wyciągam pętlę audio i zaczepiam za ucho.

- Delphi?

- O mój Boże, Shelley!

- Czy Jaynie i Nolan żyją?

- Tak, przeciwnik wycofał się kolejny raz. Shelley...

Głos się jej załamuje. Uważała oczywiście, że nie żyję.

Co innego mogła pomyśleć?

- Kocham cię, Delphi.

Niewłaściwe słowa i nieodpowiednia chwila, żeby je wypowiedzieć. Delphi zaczyna płakać.

- Mam inny problem, Delphi.

- Dalej, Shelley - wtrąca się Shima.

- Tutaj na dole muszą być kamery. To znaczy, że istnieją nagrania zdradzające moją tożsamość.

- Nie przejmuj się tym. Dobiliśmy targu. Nadlatują śmigłowce marynarki. Ewakuują was, a

wszystkie dotyczące ciebie nagrania zostaną skasowane. Nadal jesteś przy Niebieskim i Złotym?

- Tak.
- Musisz tam zostać i ich strzec. Na statku utrzymuje się nadal opór.
- Szacunkowy czas przybycia helikopterów?
- Siedemdziesiąt minut.

Połowa wieczności.

- Czy Jaynie to przeżyje?
- Zrobimy, co w naszej mocy.

Nie to chciałem usłyszeć.

- Możesz mnie podłączyć z powrotem do gen-komu?
- Czekać... Gotowe.
- Nolan? - mówię. - Jesteś tam?
- Niech mnie szlag - odpowiada zdumionym szeptem. - Shelley? Myślałem, że zginąłeś.
- Ile żyć zamierzasz wykorzystać, Shelley? - mruczy Jaynie.
- Nie wiem, ale oddaję ci jedno z nich. Dobra, Jaynie? Nie zawieź mnie.
- To jeszcze nie koniec historii, co?
- Jeszcze nie. Ale kiedy wrócimy na ląd? Odchodzę, Jaynie. Przysięgam, że kończę z tym.

Wiatr, huk fal i hałas silników zagłuszają zbliżające się śmigłowce. Nie słyszę ich z mojej pozycji w zagłębieniu drzwi ładowni. Wiem, że się zjawily, gdyż Nolan opisuje żołnierzy oddziału specjalnego, desantujących się na linach tak samo, jak my to zrobiliśmy. Po ich przybyciu strzelanina przybiera na sile. Kilka minut później Jaynie zostaje ewakuowana, a pokłady statku opanowane. Potem każą mi iść na fordek. Nolan i ja zostajemy zabrani w taki sam sposób, w jaki tu przybyliśmy - bujając się na linach w sztormowym wietrze. Na czas długiego lotu do wybrzeża dostajemy hełmy załogi. Mamy interkom, ale piloci nic nie mówią. My też nie. Im mniej słów, tym lepiej, bo oficjalnie nie ma nas tu, a to, co zrobiliśmy na pokładzie *Niezbywalnego*, nigdy nie zaszło. Zdarzenia zastąpi alternatywna historia, według której marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych, działając na podstawie wiarygodnego, anonimowego doniesienia przeprowadziła przejęcie, w którego wyniku odzyskano dwa ładunki nuklearne.

A nieoficjalnie?

Na nakładce miga ikona ściągania plików.

Koi Reisman może mieć do opowiedzenia nową historię.

Liczę na to, gdyż świadomość tego, co się stało, może stanowić pociechę dla mamy Harvey. Podczas procesu wojskowego siedziała obok mojego ojca. Teraz jej córka nie żyje, a ona nie może jej pochować ani nie usłyszy żadnego wyjaśnienia, gdyż nie możemy mówić o „Cichej Przecince” - ale Koi Reisman może.

\*

Wylatujemy z rejonu sztormu szybciej, niż się tego spodziewam, albo tracę poczucie czasu. Delphi powiedziała, że doznałem poważnego wstrząsu mózgu, a ja jej wierzę. Kręci mi się w głowie, mam mdłości, a mój niepokój wzrasta. Zamykam oczy i obserwuję jarzącą się ikonę neuronetki.

Mam złe przeczucia... odnośnie do Harvey, misji oraz tego, co się stanie.

Na uchu mam nadal pętlę audio, wyjętą z hełmu; wzmacniacz satelitarny jest w plecaku pod moim siedzeniem. Używam tego sprzętu, żeby się połączyć z Shimą.

- Anne, jesteś tam?

Nolan jest podobnie okablowany. Wiem, bo obraca się, żeby spojrzeć na mnie.

- Jestem, Shelley - zgłasza się Shima. - Raport sytuacyjny?

- Nie ma czego raportować. Warunki normalne. U ciebie wszystko w porządku?

- Potwierdzam. Za kilka minut startujemy. Czekamy tylko na Nolana, Flynn i ciebie.

- A gdzie, kurwa, jest Flynn?

- Załatwia coś. Wyluzuj, Shelley. Niebawem będziesz tutaj.

Gdy helikopter marynarki wojennej ląduje, świeci słońce. Wyglądam przez okienko. Znajdujemy się przed hangarem, w którym stoi nasz odrzutowiec, ale nikt nie wychodzi nam na spotkanie. Wrota hangaru są zamknięte.

Odzywa się jeden z pilotów śmigłowca:

- Rozkazy polecają, żebyście mieli hełmy na głowach. Pamiętajcie, żeby przyłbice były opuszczone. Miejcie je na sobie, póki nie znajdziecie się w budynku. Przyjdę je od was odebrać.

Nigdy nie wiadomo, kto patrzy, prawda? Sądzę, że Shima także się niepokoi.

Opuszczam przyłbicę hełmu, a potem wstaję. Głowa napierdziła mnie bardziej, niż przedtem. Mimo to nakładam plecak i przerzucam karabin przez ramię. Wsiadam, niosąc w jednej ręce rozbitą hełm, a w drugiej złożoną martwą siostrę.

Pomimo przyciemnianej przyłbicy światło dnia jest jak cios nożem po oczach. Ból sprawia, że się zataczam na betonie.

Nolan łapie mnie za ramię.

- Dobrze się pan czuje, poruczniku?

Knę pod nosem, gdy prowadzi mnie ku hangarowi. Otwierają się boczne drzwi dla personelu. Kiedy Nolan wpycha mnie do środka, walę z hukiem sprzętem o framugę. Większość świateł wewnątrz jest wyłączona, a upał panuje jak w Sahelu. Zbliżają się do mnie dwie rozmazane sylwetki, podświetlone przez blask wylewający się z otwartych drzwi odrzutowca. Jedną z postaci okazuje się Tuttle. Odbiera ode mnie martwą siostrę. Drugi to Moon. Bierze rozbitą hełm, który ściskam pod pachą, a potem uwalnia mnie od ztkh.

- Poruczniku - mówi, gdy ściągam z głowy hełm marynarki wojennej - wie pan, że chcieliśmy tam być, ale ten pierdolony pilot śmigłowca nie chciał nas opuścić.

- Wiem o tym. To nie wasza wina.

- Przepraszam, sir - dodaje Tuttle. -I jest mi naprawdę strasznie przykro z powodu Harvey.

- Taa. - Odwracam się i podaję hełm marynarki jednemu z członków załogi. „Cicha Przecinka” się skończyła. -Spierdalajmy stąd. Gdzie, do cholery, jest Anne?

- Tutaj - odzywa się za moimi plecami.

Odwracam się, a potem zginam, porażony bolesnym blaskiem z zewnątrz. Shima zamyka za sobą drzwi, pozostawiając w hangarze przyćmione światło, które wylewa się przez szklane ściany biur w głębi. Anne nie ma już na sobie burooliwkowego swetra. Z powodu gorąca rozebrała się i jest w podkoszulku na ramiączkach i szarych bojówkach. Na jej policzkach pod wizorem błyszczą krople potu.

- Ostatni raport sytuacyjny stwierdza, że masz paskudny wstrząs mózgu, więc przyciemniliśmy światła.

Stłumione światło łagodzi ból głowy, ale nie niepokój.

- Dziękuję, ma'am, ale musimy ruszać. - Niepokój może być skutkiem ubocznym kontuzji, ale jestem całkiem pewny, że nie to się dzieje w mojej głowie. - Co z Jaynie? W jakim jest stanie? Zabierzemy ją teraz czy później?

- Vasquez jest bezpieczna w szpitalu i na razie zostanie w nim, ale rokowania są dobre. Możesz przestać się tym przejmować.

Słyszę, że na zewnątrz śmigłowiec marynarki wojennej startuje z rykiem silnika.

- A jeniec? - pytam.
- To nie jest już nasze zmartwienie. Został przetransportowany w bardziej oficjalne miejsce.
- To musimy ruszać.
- Włóż sprzęt do odrzutowca i się umyj. Nadal czekamy na Flynn. Zabrała twoją paczkę do firmy kurierskiej, ale wróci...
- Masz z nią kontakt, Anne? Musi wrócić natychmiast. Coś jest nie tak. Nie wiem co. Nie z absolutną pewnością, ale czuję to.

Shima zna moją historię. Patrzy na mnie czujnie spoza błysków wizora.

- Mówisz, że Czerwień chce, żebyśmy zniknęli stąd jak najszybciej?
- Tak.
- Poruczniku, prosisz mnie, żebym pozostawiła Flynn samą sobie?
- Nie, ma'am. Ale możesz jej powiedzieć, żeby zagęszczała ruchy.
- Zrobię tak. A teraz wpakuj swój sprzęt. Ty też, Nolan!
- Tak jest, ma'am.
- Ale broń trzymajcie przy sobie - dodaje, odchodząc w stronę samolotu.

Moon ma mój ztkh. Wzruszeniem ramion zrzucam z siebie plecak i idę po broń. Kiedy mi ją wręcza, na mojej nakładce mruga link świadczący o ściąganiu plików. To program Joby'ego wysyła codzienny raport na temat stanu moich protez. Moje spojrzenie sprawia, że tag wskazujący postęp operacji usuwa się w bok, ogłaszając: „Przekaz zakończony”. Ale link się nie zamyka. Przeciwnie, tag się tualizuje, informując: „Trwa ładowanie plików”.

To się nie zdarzyło nigdy wcześniej.

- W porządku, poruczniku? — pyta Moon.
- Nie, coś się dzieje. Bierz broń.

Moon jest u mojego boku. Tuttle kilka kroków dalej. Nolan znajduje się obok odrzutowca i wkłada swoją martwą siostrę do luku bagażowego. Shima jest w połowie schodków, ale zatrzymuje się, odwraca do mnie i patrzy takim wzrokiem, jakby się martwiła tym, co zamierzam zrobić.

Powinna się martwić.

- Do samolotu! - wrzeszczę do niej. - Natychmiast! Zanim będzie za późno!

Może zawsze jest za późno.



**OKRES  
PRZEJŚCIOWY**

---

BOSKA ŁASKA

Co?

...i teraz wszystko jest nie tak, niepewne.

Nie wiem, gdzie jestem.

Niczego wokół siebie nie widzę.

Nie mogę się ruszyć, nawet podnieść palca. Czuję obecność własnego ciała, jego masę, to, że oddycham, ale przepływ informacji jest jednokierunkowy, tylko je odbieram. Sygnały nie wychodzą na zewnątrz, a ja nie mogę się ruszyć.

Powinno mnie to przerażać, ale nie odczuwam strachu. W ogóle niewiele czuję. Oczy mam chyba zamknięte, gdyż widzę jedynie ikony na nakładce, i to tylko dwie, wiem zatem, że nakładka także jest zepsuta. Jedna ikona informuje mnie, że jestem połączony z niestandardową siecią. Patrzę na tę ikonę, usiłując rozwinąć menu. Nic się nie dzieje.

Druga to swojska ikona neuronetki. Świeci się jasno na obrzeżach pola widzenia, a jej stały blask jest miarą potężnej ingerencji w moim mózgu, odbywającej się w czasie realnym.

Ktoś z niestandardowej sieci hula mi w głowie, i to nie Czerwień. Jestem tego pewny, nawet jeśli nie wiem, skąd czerpię to przekonanie. I nie wojsko. Nie grzebali nigdy tak głęboko.

Ktoś inny. Sprytniejszy. Uznaję, że doświadczam obec nie czegoś w rodzaju porażenia przysennego, podczas którego mózg jest odłączony od nerwów motorycznych. Wojsko nie umie tego zrobić... a jeśli nawet, to nigdy dotąd nie spróbowali tego na mnie. Potem przypominam sobie, co uczyniliśmy Carlowi Vandzie, co pomogła zrobić Delphi i moje znieczulone emocje zaczynają się budzić, ogarnia mnie przerażenie.

Gdzie jest, kurwa, mój oddział?

Może nie żyją.

Nie żyją?

Patrzę na żarzącą się ikonę neuronetki i próbuję sobie przypomnieć, co się stało, dlaczego jestem tutaj, dlaczego mam wrażenie, że członkowie mojego oddziału zginęli. Nie pojawia się żadne wspomnienie.

Nie muszę jednak polegać na pamięci organicznej. Mam także pamięć cyfrową, która zawiera nagrania wszystkiego, czego doświadczyłem podczas misji. Przesuwam spojrzenie, szukając menu. Czekam, żeby się pojawiło.

Niczego nie ma.

Czy to sen?

Szukam wspomnień, czegokolwiek. Pamiętam, że leciałem śmigłowcem marynarki wojennej.

Pamiętam to wyraźnie. Wydaje mi się, że usnąłem w trakcie lotu powrotnego, ale później... widziałem Shimeę. Wiem, że ją widziałem. Chciałem, żeby wsiadła do odrzutowca - chyba że to był sen.

Pamiętam cienkie snopy światła, przesywające mrok hangaru, oraz gęsty, lepki zapach krwi.

Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć niczego więcej?

Wskazówką jest płonąca ikona neuronetki. Mieszajami w pamięci krótkotrwałej. Nie chcę, żebym sobie przypomniiał, co zrobili z moim oddziałem.

Oni?

Nie wojsko i nie Czerwień. To już ustaliłem. I nie Uther-Fen, bo gdyby w mojej głowie byli najemnicy, to sprawiliby, żeby bolało bardziej. Dopilnowaliby, żebym pamiętał

dokładnie, jak mocno oberwaliśmy. Wypaliliby mi to w mózgu z wysoką rozdzielczością.

Zatem kto?

Wydaje mi się, że wiem. Moja pamięć długotrwała spisuje się nadal bez zarzutu. Wyraźnie pamiętam próbę porwania, do jakiej doszło w podziemiach sądu federalnego w Waszyngtonie. Myślę, że teraz to są ci sami ludzie. Podczas tej pierwszej próby posłużyli się nieostrą amunicją. Uważaliśmy, że postąpili tak dlatego, gdyż chcieli sobie zapewnić moją współpracę. Sądzę, że wciąż tego pragną i dlatego dbają o to, żebym nie pamiętał, co spotkało mój oddział. Znowu się przeliczyli. Pamiętam wystarczająco dużo.

\*

Mija dwadzieścia, trzydzieści minut. Może godzina. Nie wiem na pewno, skoro nie widzę zegara na nakładce, ale sytuacja się zmienia. Po pierwsze, gaśnie ikona neuronetki. Metabolizm mózgu jest szybki, więc po kilku sekundach nawiązuję ponownie kontakt z całym ciałem. Na wpół leżałem na wyściełanym siedzisku, ale teraz usiłuję się wyprostować. Ręce i nogi mam zdrętwiałe, a bok boli nadal w miejscu, na którym się opierałem. Wszystko mnie boli, zwłaszcza głowa, i nadal nic nie widzę, chociaż mogę mrugać, wiem zatem, że oczy mam otwarte. Powietrze, którym oddycham, jest gorące i stęchłe. Domyślam się, że mam na głowie kaptur. Usiłuję podnieść rękę, żeby to sprawdzić, ale przekonuję się, że nadgarstki mam luźno związane za plecami.

Pochodzące od silnika wibracje zauważam tylko wtedy, gdy przestaje on działać. Słyszę szelest towarzyszący ruchowi. Potem odzywa się jakaś kobieta:

- Ostrożnie, Crow. On jest niebezpieczny.

Ton władczy. Akcent amerykański. Południowy. Przypuszczalnie z Georgii.

Crow odpowiada jej głębokim męskim głosem, też z amerykańskim akcentem, ale

pozbawionym regionalnych naleciałości. Wyczuwam jego irytację.

- Może zaczekasz na zewnątrz?

Kobieta nie odpowiada, ale sędzę, że wychodzi. Po kilku sekundach słyszę za sobą chrząknięcie. Czyjeś ramiona obejmują mnie i stawiają na nogach. Próbuję uderzyć głową, dla samej zasady, ale to działanie sprawia, że muskularne ramię na mojej szyi zaciska się mocniej. Próbuję kopać, ale się przekonuję, że nogi mam skute kajdankami. Ramię na szyi napiera, aż tracę przytomność.

\*

Cienkie snopy słonecznego światła przebijają moje mroczne sny, a każdy jasny promień ma średnicę 7,62 milimetra. Kiedy czuję zapach krwi, budzę się ze wzdrygnięciem i przekonuję, że znajduję się w niemal kompletnej ciemności, ale nie mam przynajmniej kaptura na głowie i znowu widzę w słabym czerwonym blasku, rzucanym przez wpuszczane, okrągłe lampy za grubym szkłem. Siadam powoli, w czaszce mi dudni, a gardło mam tak wyschnięte, że przęłykam z trudnością. Przysięgam, że boli mnie każdy mięsień.

Znajduję się w bezokiennym pomieszczeniu o betonowych ścianach i swojskim umeblowaniu, na które składa się więzienny zestaw umywalki z kibelem w jednym rogu oraz wąska prycza, przykryta miękkim flanelowym pledem, pod przeciwległą ścianą. Siedzę na tej pryczy, nadal w mundurowych bojówkach i T-shircie śmierdzącym zastałym potem, co jest tym bardziej dokuczliwe, że otoczenie jest nieskazitelnie czyste. Zerkam w dół i przekonuję się, że nogi pryczy są przykręcone do podłogi. Widzę także, że moje robocie stopy są obnażone. Buty, które nosiłem podczas „Cichej Przecinki”, zniknęły. Tak jak kajdanki z nóg oraz więzy z nadgarstków. Patrzę na drzwi. Stalowe, bez klamki i widocznych zawiasów.

Kieruję spojrzenie na sufit. Świeże powietrze napływa z kratki nawiewu centralnego systemu wentylacyjnego, otoczonej przyćmionymi nocnymi światłami.

Sprawdzam nakładkę i przekonuję się ze zdziwieniem, że większość moich ikon wróciła - wyświetlacz czasu, aplikacja analizy emocjonalnej, a nawet apki łączności, kiedy jednak zagłębiam się w ich menu, to się okazuje, że nie ma żadnych danych ani historii. E-maile, esemesy, książka telefoniczna, nagrania wideo - wszystko zniknęło.

Encyklopedia jest jednak na miejscu. Otwieram ją tylko po to, żeby się co do tego upewnić, i przekonuję się, że wewnętrzna biblioteka, złożona z setek tysięcy artykułów, pozostała nietknięta.

Odzyskałem także ikonę standardowej sieci. To przekreślone czerwone kółko, co oznacza, że nie mam dostępu, ale nie jestem zupełnie wylogowany. Nie mogą mnie całkowicie wyłączyć, bo chcą mieć dostęp do nakładki, żeby manipulować moją neuronetką. Jestem więc połączony z prywatną siecią, pozbawioną kontaktu ze światem zewnętrznym. Realnie rzecz biorąc, prawdopodobnie nigdy więcej nie będę miał takiego połączenia. Jestem jak Vanda w tamtej piwnicy. Kiedy Anne Shima wysłała go tam, wiedzieliśmy wszyscy, że nie ujrzy on nigdy

więcej światła dziennego.

Pomimo tego zdecydowanego przekonania jestem głodny. Nie pamiętam, kiedy jadłem ostatni raz, i liczę na to, że moi porywacze zadbają o ostatni posiłek.

Opuszczam bose tytanowe stopy na podłogę. Ikona neuronetki jest niewidoczna, co wskazuje, że sama siatka jest nieaktywna, ale to bez znaczenia. Mleko się rozlało. Tamci byli w mojej głowie, skasowali wspomnienia w mózgu organicznym i opróżnili także nakładkę ze wspomnień cyfrowych.

Pod wpływem tych myśli ikona neuronetki ożywa, migając słabo, gdy wpisana w nią AI uruchamia standardowy program poprawiający mi samopoczucie.

Jaynie ostrzegła mnie, że powinienem się pozbyć neuronetki. Chyba powinienem był jej posłuchać.

Patrzę ponownie na godzinę na wyświetlaczu nakładki. Zakładając, że nie spierdolili mojego wewnętrznego zegara i że mnie pamięć nie zawodzi, to od chwili, gdy US Navy wysadziła mnie i Nolana na lotnisku w Brunswicku minęło dziewięć godzin i dwanaście minut. Potem coś się stało. Nie pamiętam co, ale po prostu wiem, że członkowie mojego oddziału nie żyją.

Podnoszę się z jękiem. Światła reagują na mój ruch, jaśniejąc nieco i ujawniając w czterech rogach celi lśniące obiektywy kamer.

Odlewam się, myję twarz, piję wodę i ślubuję w duchu odwet.

Przede wszystkim chcę, żeby moja nakładka zaczęła ponownie rejestrować, ale to się okazuje niewykonalne. Chociaż widzę ikonę nagrywarki, nic się za nią nie kryje. Program obsługujący zapis wideo został skasowany. Zdecydowany coś jednak osiągnąć, wychodzę na środek pomieszczenia i zwracam się do ścian:

- Nie śpię, więc załatwmy to.

Ktoś mnie obserwuje, gdyż przed upływem minuty otwierają się drzwi, za którymi widać dwóch strażników w granatowych mundurach bez insygniów, w martwych siostrach, kamizelkach kuloodpornych i hełmach z czarnymi przyłbicami, dzięki którym są anonimowi. Nie widzę żadnej broni, ale nie potrzebują jej, skoro wspomagają ich egzozkielety.

- Zamierzasz zrobić coś głupiego? - pyta jeden z nich. - Czy będziesz współpracował?

Poznaję ten głos. To Crow. Ten, który mnie dusił.

- Współpracował w czym? - pytam.

- We wszystkim, co ci się powie. W tej chwili ona chce, żebyś się umył i zjadł.

Ona? Kobieta o południowym akcencie?

- Zamierzasz się opierać?

Kuszące.

- Kim wy, kurwa, jesteście?

- Twoimi nowymi właścicielami. - Wskazuje swojego milczącego towarzysza, postać niższą o dobre dwadzieścia centymetrów, ale z powodu ryszunka nie wiem, czy to kobieta, czy mężczyzna.

Oboje, Crow i Milczek, robią krok wstecz, zostawiając wolną drogę.

- Na korytarz - rozkazuje Crow.

Zastanawiam się nad zademonstrowaniem próby oporu. Mogą albo przyjść po mnie i wywlec na zewnątrz, albo zamknąć drzwi i zostawić, żebym głodował przez kolejnych dwanaście godzin.

Głowa boli mnie nadal. Nie chcę, żeby ktoś rąbnął nią o ścianę, pogarszając wstrząśnienie mózgu, nie chcę też dalej głodować. Robię zatem, co mi kazano, i wychodzę na korytarz. Jest krótki, ma zaledwie osiem metrów długości. Na lewo ode mnie znajduje się dwoje drzwi, naprzeciwko siebie, po czym hol kończy się ślepo. Po prawej zamykają go stalowe drzwi bez klamki. Na wprost mnie jest wejście do jasno oświetlonej kabiny prysznicowej.

Crow wskazuje ją ręką.

- Masz trzy minuty na prysznic i przebranie się. Czyste ciuchy wiszą na ścianie. Jeśli się uwiniesz, będziesz jadł. Ruszaj.

Uznaję, że nie lubię Crowa. Na przekór poprzedniemu postanowieniu zastanawiam się, co by się stało, gdybym go zaatakował.

- Zbyt główkujesz, Shelley.

Przenoszę spojrzenie na milczącego towarzysza Crowa.

- To była wasza akcja, ta w podziemiach sądu w Waszyngtonie?

- To fiasko? - pyta Crow. - Nie, cholera. Jej. Dopiero się zaciągnąłem. Masz dwie i pół minuty.

Nawet gdyby się zdarzył cud i zdołałbym zabić Crowa oraz Milczka, to wciąż musiałbym się wydostać poza zamknięte drzwi. Rezygnuję więc i wykonuję polecenie; pozbywam się cuchnących ubrań, po czym zmywam z siebie sól i pot cudownie gorącą wodą. Nie ma brzytwy ani depilatora, więc zostaję ze szczeciną na gębie. Po wytarciu się nakładam luźne płócienne spodnie w elektryzująco zielonym kolorze i podobny T-shirt. Czuję się jak świeżące limonkowe lody na patyku.

- Obawiacie się mnie zgubić? - pytam.
- Ostrożności nigdy za wiele. Podobno Bóg jest po twojej stronie.

To dlatego tutaj jestem? Dlatego żyję, a mój oddział nie? Ogarnia mnie rozgoryczenie. Czerwień pozwala, żeby się to działo. Dlaczego? Bo nie widzi wszystkiego? Bo nie zawsze jest w danym miejscu? Bo pozostaje miejsce na przypadek? A może dlatego, że to niezbędny fragment opowieści?

Przeraża mnie myśl, że to może być prawda.

- Wyjdź na korytarz - mówi Crow — i pokaż dłonie.

Jestem zaprawiony w więziennej rutynie. Zakładają mi kajdanki na nadgarstki, po czym maszerujemy do stalowych drzwi na końcu korytarza. Otwierają się do wtóru elektrycznego brzęczenia. Za nimi korytarz ciągnie się dalej, ale zamiast kolejnych imponujących stalowych wrót znajduje się tam winda oraz zwykłe drzwi przeciwpożarowe oznaczone jako wyjście ewakuacyjne.

- Włóż - mówi Crow, kierując mnie naciskiem dłoni na barku do drzwi z boku.

W pokoju znajdują się plastikowy stół i dwa krzesła. Na stole greckie żarcie na wynos, do chuja pana. Jedzenie jest ledwo letnie - minęło pewnie ze czterdzieści minut od chwili dostarczenia go - ale teraz wiem, że znajduję się nadal w Ameryce Północnej. Crow obserwuje mnie spod drzwi, a ja jem - gyros, spanakopita, sałatka, a nawet porcja frytek. Zmiotam wszystko pomimo bólu głowy; kajdanki wcale mnie w tym nie spowalniają. Potem strażnicy odprowadzają mnie do celi.

- Nie zobaczę się z tą kobietą z Południa?
- Nazywa się Shiloh. Poznasz ją później.

Prawdę mówiąc, jestem wykończony. Kładę się na pryczy, czerwone światła przygasają, a ja zasypiam.

\*\*\*

Panuje rutyna - prysznic, jedzenie, sen. Broda mi rośnie, a ciało dochodzi do siebie. Zmęczenie znika i sen nie przychodzi już tak łatwo. Leżę na pryczy i myślę o Delphi, zastanawiając się, czy jest bezpieczna, czy wie, co się ze mną stało. Ciekaw jestem, czy organizacja zamierza mnie odbić, czy też uważają, że po prostu nie żyję. Nie wiem tyle, żebym mógł im zaszkodzić.

Po trzech dniach Crow przynosi wiadomość:

- Shiloh jest gotowa zobaczyć się z tobą.

Jak zwykle skuwają mi ręce, a potem Crow i Milczek odprowadzają mnie do pokoju, do którego dostarczane jest jedzenie. Tym razem stół jest pusty. Crow sadza mnie u jednego końca, zajmując pozycję za moimi plecami, a Milczek staje obok drzwi, które się otwierają przed upływem minuty.

Do pomieszczenia wchodzi biała kobieta w brązowych spodniach i czarnej bluzce z długimi rękawami. Twarz ma opaloną na złoto, nos pstrzą rzadko rozrzucone blade piegi, kasztanowe włosy to brązowy aksamit, a brązowe oczy podkreśla brązowa kredka. Pod względem fizycznym jest delikatna, nieco przy kości. Nie jest sportsmenką.

Oczywiście Shiloh to nie jest jej prawdziwe imię; nie bardziej, niż Crow jest nazwiskiem strażnika.

Kiedy siada przy przeciwległym końcu stołu, moja encyklopedia wyświetla wyniki procesu rozpoznawania twarzy. Identyfikuję ją dzięki wewnętrznej bazie haseł. Naprawdę nazywa się Jasmine Harris. Ma trzydzieści cztery lata, jest uznaną specjalistką w dziedzinie adaptacyjnych sztucznych inteligencji, oraz główną udziałowczynią Exalt Communications - tej samej firmy, o której szukałem informacji na widok ich węzłów sieci napowietrznej przy autostradzie I-80.

Może to jedynie przypadek, że słyszałem już o jej działaniach, ale najprawdopodobniej istnieje między nami związek, którego jeszcze nie dostrzegam.

Milczę, czekając, żeby się odezwała. Kiedy przyglądamy się sobie przez szerokość stolika, widzę błysk w jej prawym oku. To dość, żebym wiedział, że ma nakładkę. Jakby to spostrzeżenie pozwoliło jej mówić, zadaje pytanie:

- Wiesz więc, kim jestem?

Głos ma cichy, lekko ochrypły, zdecydowany. Pytanie nie jest zdawkowe. Jego celem jest skłonienie mnie do przemyślenia łączącej nas relacji: tego, że włamała się do mojej nakładki, że w związku z tym widzi to, co ja na niej widzę, że wie o wszystkim, co robię, i że potrafi kontrolować aktywność mojej neuronetki, a za jej pośrednictwem także i mnie.

Nie ma sensu zaprzeczać prawdzie. Kiwam głową i przyznaję:

- Znam twoje prawdziwe nazwisko.

W tym związku nic nie skorzystam na oszustwie. Prawda i fałsz wywodzą się z różnych obszarów mózgu, a skoro Shiloh ma dostęp do danych z mojej neuronetki, to będzie zawsze wiedziała, czy kłamię, czy nie.

Skoro mamy jasność w tej kwestii, Shiloh kontynuuje:

- Chciałabym, żebyś poznał moich współników. Przywitaj się, John.

Z głośnika w suficie rozlega się męski głos:



- Witaj, Shelley.

-I Mary?

Tym razem kobieta:

- Cześć.

Fałszywe imiona. Może nie są także autentycznymi ludźmi, ale Shiloh chce, żebym wierzył w ich istnienie i w to, że nie działa sama.

- Dla bezpieczeństwa John i Mary pozostaną zdalnymi obserwatorami. Ja będę twoim jedynym pośrednikiem. Twoją opiekunką, można powiedzieć.

To spory wysiłek, ale udaje mi się powstrzymać moją niewyparzoną gębę.

- To może powiesz mi, dlaczego tutaj jestem?

- Najpierw chciałbym ci opowiedzieć o EXALT.

Słowo wyskakuje pośrodku mojej nakładki, złożone wielkimi, wytłuszczonymi literami. Jakby mi rzucono coś prosto w twarz. Mrugam i wzdrygam się z przestachu, ale akronim wciąż tam jest: „EXALT”.

Walę pięściami w stół.

- Wypierdalajcie z mojej głowy.

Napis znika. Shiloh robi przeproszającą minę. W głośniku odzywa się John:

- Przepraszam, nie mam w tym doświadczenia.

Dupek. Przynajmniej wiem, że jest prawdziwy.

Pochylam się, piorunując Shiloh wzrokiem.

- Czego wy, kurwa, ode mnie chcecie?

- Świat się zmienia, Shelley.

- Rozejrzyj się, Shiloh. Już się zmienił.

Zbywa uwagę wzruszeniem ramion.

- To, co widzieliśmy do tej pory, to zaledwie początek. Wprowadzane są nowe reguły. Już postępujesz zgodnie z nimi. Tak jak i to partnerstwo. Zaczynamy rozumieć algorytmy, które determinują zachowanie się Czerwieni. Dlatego udało się nam sprowadzić cię tutaj, Shelley. Rozumienie to władza. Uczymy się przewidywać i wpływać na to, co robi Czerwień, a to

oznacza, że będziemy mogli obrócić konflikty i współzawodnictwo na naszą korzyść.

Taa, dobra. Kapuję już. Jaynie zwróciła mi na to uwagę całe miesiące temu, kiedy się przygotowaliśmy do misji „Brzask”: „Sądzę, że większość ludzi, którzy cokolwiek o tym wiedzą, nie chce się pozbyć Czerwieni. Chcą ją kontrolować, bo kto pierwszy zrozumie, jak się to robi, pokieruje sprawami”.

Shiloh jest jedną z tych osób, przekonaną o swojej błyskotliwości.

- Chcesz zostać rekinem? - pytam.

— A kto nie chce?

Ja, ale nie mówię jej tego. Ludzie pragnący rządzić światem nie są skłonni wierzyć, że niektórzy z nas odrzuciliby ten zaszczyt. Myślę o Jaynie, która kalkulowała po cichu, ile by ją kosztowało zbudowanie własnej Fortecy

Apokalipsy: „Trzeba kupy forsy, żeby kupić sobie taką prywatność”. Chciałaby mieć wybór, ale kiedy konstruktor bomb z Dnia Komy zaoferował fortunę za swoje życie? Nie mrugnęła nawet okiem.

Pieniądze i władza mnóstwo znaczą, ale nie są wszystkim.

- Bycie rekinem nie przysłużyło się Thelmie Sheridan -przypominam Shiloh.

- Zapewniło jej światową publikę. Płynące z Niameju zeznania obciążają wielu potężnych ludzi. To cud, że proces nie został przerwany.

Nie mówię jej o zamiarach Carla Vandy. Nie chcę przywoływać jego osoby.

- Jeśli chcesz wiedzieć - ciągnie Shiloh łagodnie, jakby przekazywała jakąś tajną informację - nikt z tych, którzy śledzą proces Sheridan, nie może wątpić w jej winę. Dowody, które dostarczyłeś...

- Doprowadził do tego pułkownik Kendrick, nie ja.

Przyznaje to skinieniem głowy.

- Jeżeli sędziowie nie są kompletnie skorumpowani, Sheridan zostanie skazana.

No proszę. Osiągnęliśmy przynajmniej tyle. To ulga. Cieszy mnie to nawet w mojej obecnej sytuacji.

Naciskam na Shiloh:

- Wiecie o tym, a mimo to ty i twoi wspólnicy chcecie nadal być rekinami? Bo istnieje pewna zasada Czerwieni, którą zrozumiałem, a głosi ona, że jeśli ktoś zbyt wyprzedzi przeciętność, to zostanie przycięty.

Nieprzejęta wzrusza ramionami.

- Zdarzyło się to tylko raz i spotkało Sheridan, ale na świecie działa nadal mnóstwo rekinów.

Spotkało też Vandę, ale mówię tylko:

- Jest jeszcze wcześniej.

- Prawda. Ale Thelmą Sheridan powodowały paskudne ambicje. Dopuszczała się okropnych czynów.

- Jak masowych morderstw.

- Tak. Nie uważaj mnie za naiwną, Shelley. Kiedyś dla niej pracowałam. Tak jak moi partnerzy. Wszyscy słyszeliśmy jej diatryby i znam jej obsesję z pierwszej ręki. Trwałam w tym, gdyż płacono mi bajecznie za robienie tego, co robiłabym za darmo — za próbę zrozumienia Czerwieni.

- Byłaś jedną z programistek w jej konsorcjum? To się działo naprawdę?

- Zdecydowanie. Kiedy jednak ją porwałeś, źródło pieniędzy wyschło.

- Mam nadzieję, że nie spodziewasz się przeprosin z mojej strony.

To wywołuje jej uśmiech.

- Nie. Wyszło na dobre, naprawdę. Skłoniło nas do założenia własnego konsorcjum. Tam, na zewnątrz, jest Dzikie Zachód, Shelley. Niesamowite okazje.

Ponieważ jestem uwięziony w ekranowanej piwnicy, dostępne mi możliwości nie robią na mnie najmniejszego wrażenia. Chcę jednak uzyskać więcej informacji, więc podtrzymuję rozmowę.

- Okazje do czego?

- Wymyślenia nowych historii.

Patrzemy na siebie, jakby to była jakaś znacząca chwila, moment objawienia, ale to bełkot. Pogrywa sobie ze mną, starając się rozbudzić moją ciekawość, wciągnąć mnie w to. Nienawidzę takich gier.

- Zapoznaj mnie po prostu z sytuacją.

- Chcę, żebyś zrozumiał, co już osiągnięto. John pokaże ci coś innego.

Tym razem jestem przygotowany. To artystyczna wizja napowietrznego węzła EXALT - siedem unoszących się sfer, ustawionych pionowo jedna nad drugą i połączonych kablami, odbija niebo.

- Rozmieszcza je wasza firma, co? To projekt rządowy.

- To nowy system łączności.

Kasuję obraz.

- EXALT, eksperymentalny labiryntowy system łączności.

- Pamiętasz - mówi z podziwem; ponieważ widzi, co mam na nakładce, wie, że nie czytam z encyklopedii. - EXALT to system komunikacji, który ma zastąpić przeciążone łącza satelitarne i kablowe oraz wyeliminować słabości obnażone przez Dzień Komy. To, na co patrzysz, to oczywiście tylko jeden węzeł rozciągniętej sieci napowietrznych wieży łączności. Każdy węzeł jest samowystarczalny, zaopatrywany w energię przez słońce i wiatr.

- Nie odfruwają?

- Owszem, ale niezbyt łatwo, i mogą zmieniać wysokość, żeby unikać prądów powietrznych albo wykorzystywać je w celu przemieszczania się. Jak powiedziałeś, oficjalnie to rządowy projekt stymulujący gospodarkę, ufundowany w celu wzmocnienia infrastruktury, z jednoczesnym ściąganiem ludzi z powrotem do pracy, ale finansowanie i nadzór federalny są... trudne do wyśledzenia. Coś jak z twoim reality show.

Rozumiem teraz, dlaczego opowiada mi o swojej pracy.

- Chcesz powiedzieć, że za EXALT kryje się Czerwień. Potwierdza wdzięcznym skinieniem głowy; królewski gest, dziwacznie wzmocniony przez jej nietradycyjną fryzurę spod maszynki do włosów.

- Exalt Communications powstało w oparciu o istniejące plany i nagle znalazły się fundusze, pozwolenia, zgody na wynajęcie podwykonawców. Powiedziałabym zatem, że tak - Czerwień chce tego. Bardzo. Nigdy więcej żadnych Dni Komy, a w dodatku mnóstwo nowych sposobów inwigilacji i oddziaływania. Posłużyliśmy się EXALT, żeby znaleźć ciebie, Shelley. Nie mamy dostępu do nadzoru satelitarnego, ale stworzyliśmy skuteczną sieć obserwacyjną.

Wypatrzyliśmy cię tydzień temu na parkingu hotelowym w zachodniej Pensylwanii. Twoja tożsamość została zarejestrowana przez program rozpoznawania twarzy, który działa w wizorach noszonych przez użytkowników systemu EXALT.

Wracam wspomnieniem do tamtej nocy, pierwszej poza Nowym Jorkiem, która była... siedem dni temu? Czy to możliwe? Zużyłem swoje życie, bo te dni, które mi zostały, nie są w istocie moimi. Mój czas się skończył wraz ze snopami słonecznego blasku, świecącego laserowo przez podziurawione pociskami ściany mrocznego hangaru cuchnącego krwią. Wszystko od tamtej pory to czas pożyczony.

- O czym myślisz, Shelley?

Odpowiadam zgodnie z prawdą:

- Nie wiem. — Biorę głęboki wdech i wracam do rzeczywistości. Najlepsze - jedyne - co mogę teraz zrobić, to zebrać informacje. - To ta dziewczyna z łomem - mówię. - Miała nowy wizor, chociaż głodowała.

- Tak, wtedy się zaczęło, ale byli inni obserwatorzy. -Dla Shiloh dziewczyna nie liczy się inaczej niż jako ruchoma platforma gromadzenia danych dla EXALT. - Kiedy znaleźliśmy już pojazd, którym się poruszasz, mogliśmy cię śledzić za pośrednictwem kamer drogowych. - Uśmiecha się protekcyjnie. - Numery rejestracyjne są automatycznie „zamazywane” ze względu na ochronę prywatności, ale to kpiny. Każdy dobry program analizy obrazu może zidentyfikować konkretne pojazdy, zwłaszcza jeśli jadą razem.

No proszę. Wiedziałem, że jesteście śledzeni. Uważałem jedynie, że za pośrednictwem dronów czy satelitów, a nie kamer drogowych. Oto, czym się kończy zbyt długie przebywanie w odległych miejscach. Zapominam mieć się na baczności w najprostszych sytuacjach.

— Straciliśmy wasz trop w północnym Iowa.

Zawiesza głos, jakbym miał obowiązek powiedzieć, gdzie byliśmy. Dziwię się, że jeszcze tego nie wie. Potem przypominam sobie: nie nagrałem naszej jazdy ani mojej napaści na Carla Vandę, w związku z czym w nakładce nie było żadnych cyfrowych wspomnień, które można by ukraść. Oczywiście mogłaby mnie zmusić do mówienia w taki sam sposób, w jaki skłoniliśmy Carla Vandę do zdradzenia jego tajemnic. Gdy przyśpiesza mi tętno, odwracam wzrok, ale Shiloh i jej partnerzy śledzą każde drgnięcie wykresów moich funkcji życiowych, nie jestem więc w stanie ukryć zdenerwowania.

Obserwuje mnie z namysłem, jakby starała się domyślić, co się dzieje w mojej głowie.

- Inny węzeł EXALT zauważył cię na lotnisku w Brunswicku. Niedługo potem znowu przepadłeś. Wiesz, że mamy wideo, które nagrałeś?

- Jeśli wykorzystacie je przeciwko mnie, obciążycie samych siebie.

- Nie mamy takiego zamiaru. Akcja, którą przeprowadziliście na pokładzie statku była imponująca i ważna, ale wtedy nie wiedzieliśmy, gdzie się podzialiście. Nie sądziłam, że wrócicie. Uważałam, że Czerwień będzie się starała utrzymać cię poza naszym zasięgiem. Ale nie zrobiła tego. A to oznacza, że miałeś się tutaj znaleźć, że to spotkanie jest zaplanowane. Nie powinieneś się opierać.

Taa. Ten pomysł już mnie prześladowuje.

- Pracujemy nad stworzeniem nowego, radykalnego, innowacyjnego odcinka twojej historii, Shelley. W poprzedniej historii byłeś sługą Czerwieni, uderzającym w jej wrogów, ochraniającym jej interesy, ujawniającym polityczną korupcję w celu osłabienia pozycji możliwych tego świata. My także służyliśmy Czerwieni - budując EXALT.

Gardzę wyrazem próżnego zadufania na jej twarzy.

- Wydaje ci się, że to dobrze wpływa na waszą karmę? Stawia Czerwień po waszej stronie?

- Wszystkie nasze symulacje pokazują, że szanse na sukces rosną dla tych, którzy służą celom i interesom Czerwieni. Znacznie. Nigdy jednak nie udało się nam stworzyć symulacji dla ciebie. Twoja historia się wyróżnia. Nie pasuje do niczego innego, co widzieliśmy. Naszym zdaniem twoja historia to metahistoria.

Tak brzmiała także teoria Lissy. Uważała, że reality show *Połączona grupa bojowa* miał wpłynąć na emocje i decyzje milionów widzów.

Shiloh przywołuje mnie do terażniejszości.

- Przeprowadzone badania wskazują, że twoja historia znajduje oddźwięk w bardzo zróżnicowanych grupach odbiorców. Jest różnie interpretowana i ludzie dochodzą do odmiennych wniosków, ale te konkluzje skłaniają poszczególne osoby do dokonania zmian w ich życiu. Ale dlaczego ty? Masz odpowiednie cechy. Jesteś wystarczająco — ale nie onieśmielająco - inteligentny, jesteś odważny, nie masz szacunku dla władzy, dobrze wypadasz przed kamerą...

- Czy to jakiś pierdolony casting?

- Te same cechy można *znaleźć* u setek tysięcy innych Amerykanów. Moja ulubiona teoria głosi, że Czerwień wybrała ciebie, gdyż jesteś zwornikiem przewidzianym na milion ruchów naprzód według jakiejś obecnie nieprzeniknionej logiki maszynowej.

Mogę nie być na tyle mądry, żeby kogoś onieśmielać, ale swoje wiem.

- Nie da się obliczyć przyszłości.

- Racja, ale da się skalkulować prawdopodobieństwo. Jeśli masz tysiące, prawdopodobnie miliony kandydatów -tak jak dysponuje nimi Czerwień - to niektóre z owych ścieżek zdarzeń losowych rozegrają się zgodnie z przewidywaniem. Jednak twoje znaczenie dla nas nie zależy od tego, dlaczego Czerwień zbudowała wokół ciebie metahistorię, ale od tego, że po prostu to zrobiła. Że istniejesz w stanie boskiej łaski.

Boska łaska? Sądzę przez chwilę, że się przesłyszałem, ale potem ogarnia mnie wściekłość, bo to, co zrobiłem, czego byłem świadkiem, co wycierpiałem, co przeżyłem, a inni nie, pewność, że Shiloh i jej kumple wymordowali członków mojego oddziału, żeby łatwiej było im mnie porwać - to nie jest boska łaska. To przekleństwo; to są próby, które przetrwałem i z którymi muszę żyć. Nie będę siedział cicho i słuchał, jak się to nazywa łaską boską.

- Jesteś popierdolona, paniusiu. Tak samo pokrecona jak Sheridan.

Wstaję. Jeśli o mnie chodzi, to ta rozmowa jest skończo-na, ale Crow ma inne zdanie. Wspomagany przez wsporniki ramienia, rzuca mnie z powrotem na krzesło. Nie siadam na nim. Skulony obracam się szybko. Splatam razem dłonie i zadaję cios w górę, waląc Crowa w jaja. Powietrze uchodzi z niego ze świstem, a on sam składa się wpoi. Odwracam się

ponownie, chwytam go pod brodę i rzucaam w tył, chociaż kaleczę sobie przy tym dłoń o dolną krawędź jego przyłbicy. To wszystko, co udaje mi się osiągnąć, bo Milczek trafia mnie z paralizatora.

To boli.

Kurewsko.

Tak, jakby mi odstrzelono robocie nogi.

Kiedy dochodzę do siebie, leżę na podłodze i gapię się w sufit, przerażony, bo nie mogę poruszyć nogami i nie widzę żadnych ikon na nakładce. Kurwa mać. Czy moja elektronika się usmażyła?

Pochyliła się nade mną czarna przyłbica.

- Wstawaj, kurwa - warczy Crow. Nadal jest zgięty w pasie, trzyma się jedną ręką za krocze i jak można sądzić z tonu jego głosu, powstrzymuje się, żeby nie urwać mi łba.

- Nogi mi, kurwa, nie działają.

Potem jednak drga prawa proteza, wysyłając do kręgosłupa błyskawicę bólu. Lewa ją naśladuje. Przez chwilę nie jestem w stanie oddychać z bólu, a potem szepczę:

- Niech mnie chuj strzeli.

- Nie kuś mnie.

Chwyta mnie hakami martwej siostry pod ramiona i dźwiga, po czym opuszcza na krzesło. Lewą dłoń mam umazaną krwią. Kapie na nogawkę spodni limonkowej barwy, a ból w nogach ustaje. Potem system się stabilizuje i ponownie mogę poruszyć palcami robocich stóp. Ignorując Crowa, obserwuję pod stołem ich działanie, kiedy je podwijam i rozginam.

Budzi się także moja nakładka, ikony ustawiają się elegancko na obrzeżach pola widzenia, zanim staną się niemal niewidoczne.

- Powiesz mi, po co to było? - pyta Crow zza moich pleców.

Podnoszę wzrok, patrząc na miejsce, gdzie powinna siedzieć Shiloh, ale nie ma jej tam. Rozglądam się i przekonuję, że wyszła z pokoju. Jesteśmy tylko ja, Crow i Milczek, który - która? - wrócił/a na swoje stanowisko obok drzwi.

- Zdawało mi się, że rozumiesz - ciągnie Crow — że nie masz wyjścia, więc nie masz o co się bić.

Ból zmalął, ale nie gniew, więc odpowiadając, zgrywam cwaniaka:

- Ucieczka to nie jedyna nagroda, o jaką walczę.

- Chciałbyś mnie zabić?

- I ją-

- Takie gadanie zabije ciebie, Shelley.

- To i tak jedynie kwestia czasu.

- Posłuchaj, koleś. To nieprawda albo przynajmniej nie musi nią być. Mają wobec ciebie plany. Jak cię Shiloh nazwała? Zwornikiem? Ale nie są sentymentalni. Nie będą cię tutaj trzymać, jeśli nie będziesz panował nad sobą.

Stoi nadal za mną, oszczędzając mi męki patrzenia na niego. Zamiast go oglądać, zginam nogi i robię inwentaryzację programów na nakładce. Wygląda na to, że system znowu działa.

- Następnym razem zapanuję nad sobą na tyle długo, żeby się zabrać najpierw do Milczka.

- Taa? Byłbym wdzięczny. Ale co cię tak wkurzyło, Shelley? Ta uwaga o boskiej łasce?

Przyglądam się krwi kapiącej z grzbietu mojej dłoni i nie odpowiadam. Prawdę mówiąc, Crow nie oczekuje tego.

- Ona tego nie rozumie — mówi. — Jest cywilem. Widzi chwałę, bohatera. A trupy, które się za tobą ciągną? Dla niej to tylko rekwizyty. Ból? To jedynie minorowy akord ścieżki dźwiękowej.

- Pierdol się.

- Nie przeginaj, żebym nie musiał wpakować ci kuli w łeb. Naprawdę tego nie chcę.

Chyba powinienem wierzyć, że Crow jest miłym facetem, że wiele nas łączy, ale trudno przejść mi do porządku dziennego nad tym, że z całą pewnością to on zaplanował misję, która doprowadziła do unicestwienia mojego oddziału.

Drzwi się otwierają. Shiloh wychyla się zza nich na tyle, żeby podać Milczkowi plastikowe pudełko. Apteczka pierwszej pomocy. Crow daje mi chwilę na oczyszczenie skaleczenia i sklejenie go. Potem mówi:

- Chodźmy. Z powrotem do celi.

Milczek wychodzi pierwszy. Mam podążyć za nim, Crow zaś za mną. Porusza się ostrożnie. Cierpi nadal i można założyć, że nie jest tak skoncentrowany, jak powinien. Ja też nie jestem w wielkiej formie, mięśnie mi drżą i są słabe z powodu przygody z paralizatorem, ale kiedy wychodzę za Milczkiem na korytarz, to świta mi, że mogę już nie mieć lepszej okazji do wyrwania się na wolność. Nie, żebym się spodziewał, że ucieknę, ale mogę przynajmniej wydostać się z tej ekranowanej radiowo piwnicy i nawiązać połączenie z siecią zewnętrzną.

Więc próbuję to zrobić.



Rzucam się na Milczka i wytrącam go - ją? - z równowagi, a potem biegnę z całych sił i zanim Crow wychodzi z pokoju, docieram do drzwi pożarowych. Tracę cenne pół sekundy na otwarcie ich. Potem gnam w górę po schodach, skacząc po trzy stopnie na raz i podciągając się na poręczy skutymi dłońmi. Gdy zakręcam na pierwszym podeście, ktoś wpada za mną na klatkę schodową.

Nie tracę czasu na sprawdzanie, kto to taki. Zauważam jednak, gnając w górę następnej kondygnacji, że ścigający mnie nie ma doświadczenia w chodzeniu w egzoszkielecie po schodach. To zachęcające. Docieram na szczyt i zakręcam za róg, ku następnej kondygnacji. Nie oglądam się. Nawet nie słucham tupotu ich stóp. Biegnę pod górę i pokonuję kolejną kondygnację schodów, a potem jeszcze jedną, patrząc na nakładkę z desperacką nadzieją w oczekiwaniu, że nawiąże łączność z siecią zewnętrzną.

Okazuje się, że łatwiej jest uciec Crowowi i Milczkowi, niż pozbyć się kajdanów neuronetki. Jestem w połowie następnej kondygnacji, gdy mój mózg ogarnia neurochemiczny sztorm. Zataczam się i obejmuję poręcz, żeby nie upaść. Próbuję się zmusić do zrobienia jeszcze jednego kroku, ale ciało mnie nie słucha. Jeden ze strażników dociera na kondygnację pode mną i zwraca w moją stronę czarną przyłbicę. Jestem całkiem pewny, że to Crow. W trzech długich susach dociera na podest, a ja nie mogę się ruszyć ani nie mam łączności ze światem zewnętrznym.

Tytanowy hak zamyka się wokół mojego posiniaczonego już ramienia.

- Niech cię szlag, Shelley.

Jednocześnie na podeście powyżej otwierają się drzwi i wychodzi z nich Milczek. Jestem obezwładniony i wzięty w dwa ognie. Kiedy jednak stalowe drzwi nade mną stają otworem, nawiązuję słabe połączenie z Chmurą - i zaczyna się automatyczne ściąganie danych.

Niech to szlag. Głupi program Joby'ego zajmuje pasmo przekazu. Jeśli zważyć na to, ile programów skasowała Shiloh, to dlaczego nie usunęła tego jednego? Łatwo zgadnąć: musiała uznać, że jest niezbędny do posługiwania się przeze mnie protezami.

Moja gorączkowa wiadomość czeka w kolejce i nie zostaje wysłana.

Nakładka pustoszeje.

Jestem wyłączony.

Porywacze nie są ze mnie zadowoleni. Karą jest dzień głodówki w samotności, żebym przemyślał swoje grzechy. Postanawiają urozmaicić sytuację, zabawiając się moją neuronetką.

Leżę na prycy, drzemiąc, gdy ikona neuronetki budzi się z blaskiem do życia. W ciągu kilku sekund mózg ogarnia tak intensywne doznanie szczęśliwości, że się zastanawiam, czy nawiedził mnie Duch Święty, a z całą pewnością powinny tu być puszyste króliczki w

wielkanocnych barwach oraz grządkki jaskrawych, wiosennych kwiatom z błękitnym niebem nad nimi. Pieprzyć te gołe betonowe ściany. Nie są realne. To projekcje negatywnej energii jakiegoś pacana.

Śmiech bulgocze mi prosto z brzucha. Nie głośny; to cichy chichot, zawór bezpieczeństwa dla upuszczenia nadmiaru radości, która grozi zaduszeniem mnie. To chichot, który trwa, aż całe moje ciało wpada w drgawki, oczy mi łzawią, a gdy się zwijam na posłaniu wokół brzemienia tej palącej euforii, to nie wiem już, czy się śmieję, czy płaczę.

Chcę tylko, żeby się to skończyło.

- Wypierdalajcie z mojej głowy - szepczę.

Możliwe, że mnie słyszą. Albo uznają może, że ten eksperyment to zły pomysł. Bez względu na powód ikona neuronetki gaśnie. Radość przemija. Wracam szybko do zwykłego stanu neutralnej niedoli. Ikona mruga, ale tym razem to jedynie zapisana w niej AI przeprowadza automatyczne, rutynowe działanie w celu zatrzymania huśtawki moich nastrojów i uratowania mnie przed mroczną beznadzieją.

Obracam się i patrzę w sufit. W podręczniku przetrwania jeńca wojennego wojsko sugeruje stworzenie obrazu motywacyjnego, który można mieć w umyśle podczas tortur lub załamania emocjonalnego. Moja motywacja to obraz hangaru, jego mrocznego wnętrza z laserowymi promieniami słonecznego światła, padającymi z przestrzelin w zamkniętych drzwiach pomieszczenia.

Shiloh i jej pozbawieni twarzy współpracownicy kazali zamordować członków mojego oddziału. Trzymam się tego. Nie pamiętam, co się stało, pamiętam jedynie ten obraz -to wystarczy.

\*

Ponownie próbują mieszać mi w głowie i nabierają w tym wprawy. Następnego dnia jestem spokojny i posłuszny, gdy Crow wręcza mi kajdanki i każe je zapiąć na nogach. Nie jem dużo. Pytam, czy mogę wrócić do celi i iść spać.

Shiloh nie ma w pokoju, ale Crow i tak zwraca się do niej.

- Odpuść, Shiloh. To człowiek, nie marionetka, i w takim stanie nie masz z niego żadnego pożytku. Jeśli chcesz, żeby współpracował, musisz skłonić go do tego dawnymi metodami - ubijając interes.

Potem eksperymenty z moją głową się kończą.

\*

Kiedy siedzę drugi raz przy plastikowym stole naprzeciwko Shiloh, mam w umyśle obraz wąskich snopów słonecznego światła. Dzisiaj kobieta ma na sobie białą bluzkę, zapinaną z góry na dół na perłowe guziki. Brązowe oczy podkreśliła wyszukany zielonym makijażem.

- Wszyscy możemy skorzystać - mówi. - Nasze cele nie są sprzeczne.

- Moim celem jest wypierdolić stąd. - Podnoszę z kolan skute dłonie. - Zdaje się, że macie coś przeciwko temu.

Mam także kajdanki na nogach i jestem świadomy chemicznych pęt w mózgu. Nie są teraz w użyciu, ale to się może zmienić od jednego kaprysu Shiloh. Crow w martwej siostrze stoi nade mną, gotowy siłą wymóc jej wolę.

- Nie udawaj głupka, Shelley. Nie jesteś tylko trybikiem w jakiejś maszynie wojskowej. Już nie. Masz rolę, obowiązek podejmowania misji, które służą celom Czerwieni.

- Gówno prawda. Mój oddział zrobił, co było trzeba. To wszystko. Czasami Czerwień pomagała nam, ale mylisz się, jeśli uważasz, że jest po stronie mojej, twojej czy kogokolwiek innego, więc jeśli dlatego ty i twoje konsorcjum sprowadziliście mnie tutaj, to na próżno.

Nie uśmiecha się, ale wygląda tak, jakby jej ulżyło; rozluźniona opiera się na krześle.

- Rozumiesz zatem podstawy. Czerwień nie jest ludzka, nie ograniczają jej ludzkie wartości, nie działa w oparciu o ludzkie koncepty, takie jak sprawiedliwość i lojalność. Jej głównym celem jest stworzenie środowisk, które jednocześnie mobilizują i nagradzają. Po części oznacza to bałkanizację społeczeństw, dzielenie ludzi na tak małe grupy, że liczą się w nich jednostki, zatem odniesienie sukcesu nie stanowi szansy jednej na milion.

- Maksymalizowanie potencjału największej liczby osobników.

- Nie, uważamy, że polega to raczej na dawaniu największej liczbie ludzi szansy na przeżycie ich własnej historii. Ale żeby była frapująca, opowieść wymaga trudów, wyzwania. Mogą być proste, jak pokonanie przez dziewczynkę strachu przed wypowiedzeniem się przed całą klasą, lub trudne, jak wyrwanie bomby atomowej z rąk terrorystów. - Po czym kończy wygłoszeniem banalnej prawdy: -Nie wszystkie historie kończą się szczęśliwie.

- Taa. Wiem coś o tym.

- Kolejnym celem Czerwieni jest zapewnienie ciągłości. Przypuszczamy, że Thelma Sheridan została „przycięta” nie dlatego, że zbyt często wystawała, ale dlatego, że zaatakowała infrastrukturę i zagroziła przyszłości samej planety.

- Chciałabyś w to wierzyć, bo twoim celem jest zostać rekinem, ale wynik mojego procesu przed sądem wojskowym zagraża pozycji wielu potężnych ludzi i jestem całkiem pewny, że Czerwień w tym uczestniczy.

- Czerwień wspiera sterowany chaos i wynikającą z niego pianę możliwości.

- Sterowany chaos? Tak nazywacie burdel, w którym żyjemy?

Uśmiecha się.

- To moje określenie. To, co nas spotyka, nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością. Chodzi o potencjał, nawet przy przeciwstawnych celach. Czerwień nie dąży do stworzenia spokojnego świata, gdyż ludzie nie chcą spokoju. Pragną wyzwania. Spójrz na siebie, szlachetnego wojownika kierowanego prawością i poczuciem honoru. Jesteś archetypem, Shelley, ale w pokojowym świecie byłbyś zbędny.

Nie miałbyś celu. Jest wielu takich jak ty. Chcą mieć szansę zostania bohaterami. Ocalenia innych. Zrobienia czegoś istotnego. Czerwień pozwala na to. Niech się świat zakołysze, zdestabilizuje. To stwarza okazje do prowadzenia eksperymentów społecznych i gier fabularnych na obrzeżach chaosu. Prawdziwych gier, w których ryzykuje się i często traci życie. Ale to jest kontrolowany chaos, co oznacza, że gra jest moderowana, zasięg każdego konfliktu ograniczony i nikt nie niszczy całego świata... albo przynajmniej tak będzie. Jeszcze do tego nie doszliśmy. Osiągnięcie tego stanu - na przykład wyeliminowanie zagubionych ładunków nuklearnych - to jest twoja gra, twoja historia.

- Chcesz więc, żebym toczył grę dla was? Dlatego tutaj jestem?

Ku mojemu zaskoczeniu kiwa głową. Pochyliła się, a jej spojrzenie nabiera nowej intensywności.

- Konsorcjum stworzyło scenariusz - mówi - który pozwoli nam podłączyć się do twojej metahistorii. Sprzymierzmy się z królem Dawidem, pomożemy ci w misji służącej priorytetom Czerwieni, dążąc jednocześnie do własnego celu.

- Czyli do czego?

Rozczarowanie marszczy jej czoło, jakby się spodziewała, że powinienem już to wiedzieć.

- Sam to już powiedziałaś. Chcemy być rekinami, a ta misja pozwoli nam zdobyć odpowiednią fortunę.

- Crow? - mówię, nie odwracając głowy.

- Taa, Shelley?

- Zwariowała?

Chichocze.

- Nie bardziej niż my wszyscy. Nie bardziej niż ty sam.

Wiem, że nie powinienem nic mówić, niczego jej dawać, ale chcę zburzyć spokojną pewność siebie, widoczną w jej wzroku.

- Będę musiał zniweczyć twój plan, Shiloh. To jest tak: nie jestem już tym, za kogo mnie uważacie. Wiem z dobrego źródła, że jestem skończony, że moja rola w tej historii się skończyła, że Czerwień skończyła ze mną. Być może dlatego udało się wam mnie porwać.

Shiloh zastanawia się nad tym przez chwilę z zadartą głową, stukając paznokciami w tablet.

- Z jakiego źródła? - pyta w końcu.
- Uwierz mi po prostu na słowo. Musisz zrewidować swoje plany.

Skupia spojrzenie na nakładce, sprawdzając coś.

- Wiesz, że nie kłamię - mówię.

Patrzy ponownie na mnie.

- Powtarzasz tylko to, co ci powiedziano. To nie czyni z tego prawdy. Nie dotarlibyśmy tak daleko, gdyby Czerwień nas nie wspierała.
- Chcecie w to wierzyć. Ale Czerwień ma to w dupie. I mnie, i was. Tak po prostu jest.
- Dobrze więc. Pogadajmy o czymś innym. Porozmawiajmy o Eduardzie Semaku. - Zadziiera głowę. - Słyszałeś o nim?

Eduard Semak.

Nie znam tego nazwiska. Ale i tak reaguję. Jakby było jakimś wyzwalczem. Jego brzmienie wywołuje reakcję neuronetki. Jej ikona mruga, a ja pojmuję, że Eduard Semak jest celem, za którym muszę podążyć.

Moje spojrzenie zatrzymuje się na ikonie encyklopedii wystarczająco długo, żeby jej menu się otworzyło, nie będzie jednak w niej tego, czego chcę się dowiedzieć o Eduardzie Semaku. Zwracam więc ponownie uwagę na Shiloh.

- Dlaczego powinienem go znać?

Informuje mnie skwapliwie:

- To rosyjski przemysłowiec, jeden z najbogatszych ludzi na świecie, kompletnie szalony. Paranoik i hipochondryk, przekonany, że Bóg i jego dzieci chcą go zabić. Stał się absolutnym odludkiem, który - dosłownie - wycofał się ze świata i zamieszkał w ciasnym i paskudnym habitacie orbitalnym.

Ikona neuronetki gaśnie, ale moje zainteresowanie nie.

- Mówisz o habitacie Sunrise 15?
- Słyszałeś o tej firmie?
- Budują rekinom leża.

Określenie musi ją bawić, bo się uśmiecha.

- A ty jesteś zabójcą rekinów.

Zastanawiam się przez chwilę, przypominając sobie własne grzechy... Shiloh się myli. Nie zabiłem nigdy rekina. Sheridan żyje i to nie ja zastrzeliłem Vandę.

- Mówię metaforycznie - ciągnie Shiloh, na wpół rozbawiona, a na wpół zirytowana. - Postawiłeś Thelmę Sheridan przed obliczem sprawiedliwości. Teraz chcę, żebyś się zabrał do Eduarda Semaka.

- Dlaczego? Co zrobił?

- Chodzi o to, co mógłby zrobić. Ścigałeś Thelmę Sheridan, bo użyła broni jądrowej, ale nie jest jedynym rekinem, który ją posiada. W porównaniu z Semakiem była płotką. Słyszałeś o zaginionych ładunkach nuklearnych z czasów zimnej wojny? Semak jest w to zamieszany. Ma tajny skład broni jądrowej. Nikt nie wie, gdzie dokładnie.

- To znaczy nikt oprócz niego samego.

- Tak.

Rozumiem, co mówi. Przypuszczam, że broń istnieje naprawdę, groźba zagłady, którą trzeba wyeliminować. Chcę doprowadzić do tego, żeby ładunki zostały znalezione. Znalezione i nieszkodliwe. Nie znalezione i oddane pod kontrolę Shiloh.

Wyczuwa moje podejrzenia.

- To byłaby twoja misja, Shelley, nie moja. Moim zadaniem jest ci powiedzieć, jak mógłbyś ją wykonać.

Chcę to zrobić. Powinienem. Słaby blask ikony neuronetki jest bladym odbiciem obsesji umacniającej się w mojej głowie.

Shiloh spogląda na mnie z niepokojem, śpiesząc z wyjaśnieniami:

- Semak ma nakładkę, Shelley, jak ty czy ja. Przechowuje na niej wszystkie najważniejsze dane. Zdobędziesz je i dowiesz się, gdzie są ładunki, a wtedy będziesz mógł przekazać te informacje odpowiednim władzom.

- Wiesz, jak wydobyć dane?

- Oczywiście. Przecież weszłam ci do głowy, prawda?

- Nie rób mnie w konia. - Shiloh nie powiedziała mi, jak się włamała do mojego systemu, ale się domyślam. - To, że jeden z twoich ludzi znalazł lukę w zabezpieczeniach moich konfiguracji, nie oznacza, że u Semaka będzie występował ten sam słaby punkt.

- Potrafię się włamać do jego nakładki - mówi, teraz zdecydowanie rozdrażniona. - Nie musisz się tym przejmować.

- Zatem pomartwmy się o motywy. Jesteś po stronie aniołów i chcesz usunąć ze świata zagubione ładunki jądrowe. Zgadza się?

- Oczywiście. Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

- To misja, na którą chcesz mnie wysłać, ale która stanowi jedynie przykrywkę dla tego, na czym naprawdę ci zależy. Chcesz poznać wszystkie istotne tajemnice Semaka. To znaczy numery kont bankowych? Hasła?

Kiwa głową.

- Także sposoby aktualizowania jego testamentu i pełnomocnictw.

- Testamentu? Nie spodziewasz się, że przeżyje przesłuchanie go przeze mnie?

- Oczekuję, że podda się naciskowi. Jednak nie ma potrzeby mu współczuć. To stary facet, któremu można wiele zarzucić. Bezlitosne morderstwa oraz powolną śmierć tysięcy ludzi za sprawą niszczenia środowiska naturalnego na masową skalę. Broń jądrowa, którą kontroluje, mogłaby zdeterminować los świata. Eduard Semak jest naprawdę złym człowiekiem.

- Skąd wiesz, jakie informacje przechowuje na nakładce?

- Jeden ze współników ma wysoki stopień dostępu tajnych śledztw federalnych.

Chcę dostać tę misję. A w każdym razie w mojej neuronetce działa program, który mi mówi, że tego pragnę. Eduard Semak jednak znajduje się poza moim zasięgiem.

- Mówisz, że jest na orbicie.

- Tak.

- To jakim cudem może to być zadanie dla mnie? Gówno wiem o kosmosie czy działaniu na orbicie. Powinnaś była porwać astronautę.

- Król Dawid ma większe szanse, żeby wypełnić tę misję, niż jakikolwiek astronauta. Czerwień cię wesprze, Shelley. Wiesz, że tak. Nie obchodzi mnie, co ci powiedziano. Twoja historia nie skończyła się jeszcze. To musi się stać, a ty będziesz miał większe szanse na przeprowadzenie tej operacji niż ktokolwiek inny.

Ikona neuronetki gaśnie i znika. To bez sensu, żebym się miał podjąć tego zadania, ale mam wrażenie, że to właśnie muszę zrobić.

Zastanawiam się przez moment, czy za moją konwersją kryją się Shiloh i jej partnerzy, ale nie wierzę w to. Nie po tym, gdy przetrwałem ich brutalne próby napisania na nowo moich skłonności. Nie wierzę, żeby dysponowała umiejętnością naśladowania przewodnictwa emocjonalnego, jakie otrzymuję ze strony Czerwieni.

Ruch źrenic Shiloh mówi mi, że spogląda ponownie na nakładkę. Pyta ostrym tonem:

- Co się dzieje z jego neuronetką? Kto nim manipuluje? Nie odpowiadam. Nie mówi do mnie. Sekundy mijają.

Wyobrażam sobie, że John i Mary wyjaśniają jej, że nie mają, kurwa, pojęcia, co się dzieje. W końcu Shiloh znowu spogląda na mnie.

- Nie jesteś połączony z Chmurą.

Nie chcę, żeby szperała mi w głowie, więc mówię jej prawdę:

- Nazwisko Eduarda Semaka wyzwoliło reakcję w prymitywnej AI, która kontroluje moją neuronetkę

Zadzierą głowę i otwiera ze zdumienia usta, rozumiejąc ze wygrała.

- Aprobata? - pyta. - Uprzednio zaprogramowana?

Wzdrygam się, zastanawiając się, kim ja, kurwa, jestem i co robię. Nie mogę spojrzeć jej w oczy, więc odwracam wzrok. Chcę tę misję. To jest słuszne. Jakim jednak cudem może być właściwe, skoro członkowie mojego oddziału nie żyją z powodu jej ambicji? Czy Czerwień pozwoliła, żebym się tutaj znalazł, zaprogramowany wstępnie do uczestniczenia w planie Shiloh?

- Shelley - mówi teraz ze swobodną pewnością siebie. - Nie walcz z tym. Wiesz, co musisz zrobić.

Chcę temu zaprzeczyć. Zaprzeczyć jej, bo to jest złe.

Jaynie przejęła dowództwo nad moim oddziałem, gdyż uważała, że nie zawsze jestem panem samego siebie - i miała rację. Kieruje mną program. Jednak świadomość tego nie wpływa na zmianę przeze mnie zdania. I tak wykonam tę misję.

\*

Jej plan jest prosty. Każdy habitat rekina jest sprzedawany na podstawie kontraktu, który działa jak umowa wspólnoty blokowej. Kontrakt przewiduje, że technicy Sunrise 15 będą odwiedzać każdy habitat w równych odstępach czasu w celu dostarczenia zapasów i przeprowadzenia obowiązkowych przeglądów. Będę uczestniczył w następnej wyprawie serwisowej do habitatu Eduarda Semaka, do kapsuły zapisanej w rejestrach firmy pod techniczną nazwą Orbital-4 lub O-4, ale popularnie zwanej Pustelnią Semaka. Pozostaniemy na stacji tyle czasu, ile trwa zazwyczaj przetransportowanie zapasów i dokonanie konserwacji - polegających głównie na wymianie podzespołów - a potem odlecimy.

„My” oznacza w tym wypadku mnie i pilota samolotu kosmicznego, pracującego dla Sidereal Transit Systems, firmy zakontraktowanej przez Sunrise 15 do wykonywania usług



transportowych na trasie Ziemia—orbita.

STS ukrywa się pod kryptonimem Amity. Shiloh zapewnia mnie, że w Sidereal Transit Systems mają jeszcze jednego współkonspiratora, który sfalszuje dane lotu, skasuje ślady mojej obecności oraz zadba o to, że wszystko będzie wyglądało tak, jakby Amity towarzyszył w locie wykwalifikowany technik z uprawnieniami, który wykona zaplanowane prace serwisowe.

Łatwizna.

Po wstępnym zapoznaniu mnie z istotą misji Crow i jego milczący towarzysz prowadzą mnie na wyższe piętro, do wielkiego pomieszczenia z dwoma makietami: habitatu rekina i kokpitu promu kosmicznego. Ściany sali są ekranowane radiowo, a Shiloh jest ulokowana bezpiecznie poza moim zasięgiem, w „pomieszczeniu kontrolnym” za grubą szybą ze szkła kuloodpornego, więc strażnicy zdejmują mi kajdanki.

Kiedy wychodzą, odzywa się Shiloh:

- Przyjrzyjmy się najpierw habitatowi - mówi, a jej głos dobiega z głośników sufitowych.
- Nie jest naturalnej wielkości?
- Jest. Wydaje się mały, bo odzwierciedla jedynie wymiary wewnętrzne.

Są skromne. Makieta ma zaledwie dwa metry wysokości, a długość oceniam na około osiem metrów. Na zewnątrz widać szereg występów — przypuszczalnie pojemniki lub szafy, gdy patrzeć od środka. Na końcu znajduje się właz.

- A jeśli Szalony Eduardo nie będzie życzył sobie gości i nie zgodzi się otworzyć drzwi?
- Szalony Eduardo nie będzie miał wyboru. Kontrola sprzętu jest obowiązkowa, więc wejście nie będzie zamknięte na głucho. Gdy Amity zadokuje prom, zdołasz otworzyć właz bez względu na to, czy Semak będzie cię chciał zobaczyć, czy nie. Otwórz go więc.

Stosuję się do jej wskazówek, gdy instruuje mnie, jak obsługiwać mechanizm. Kiedy owalna kłapa obraca się na zawiasach, schylam się, żeby zajrzeć do środka.

Wnętrze tworzą cztery płaskie ściany z wytłaczanego białego plastiku, schodzące się w zaokrąglonych rogach.

Zaraz przy wejściu narysowano markerem czarne kółko oznaczone słowem „kopuła”. Dalej ze ścian wystają uchwyty i dźwignie.

- Wejść do środka - popędza mnie Shiloh.

Schylam się i wchodzę przez właz. Podłoga jest bardzo gładka; pod robocimi stopami wydaje się śliska. Kiedy się prostuję, szoruję głową po suficie. Wnętrze wydaje się ciasne,

klaustrofobiczne. Wcale mi się nie podoba.

- Wyobraź sobie, że jesteś w stanie nieważkości - mówi Shiloh. - Unosisz się w powietrzu, mając ścianę zawsze w zasięgu ręki.

W rzeczywistości wyobrażam sobie śmiertelną nicość bezpowietrznej przestrzeni, czającą się po drugiej stronie nieskazitelnych ścian domu rekina.

Bardzo wiele rzeczy może pójść nie tak.

- Co z promieniowaniem? - pytam. - Nie jest zagrożeniem w kosmosie?

- Nie przez krótki okres twojego pobytu. Spędzisz w pustelni tylko pół godziny. Wejdiesz, wydostaniesz dane z głowy Semaka i wyjdiesz.

Wchodzę głębiej do kapsuły, starając się zrozumieć, dlaczego ktoś mógłby chcieć mieszkać w czymś takim. To jakby żyć w schronie przeciwoatomowym, kiedy na zewnątrz czeka cały cudowny świat. Szaleństwo. Nie można patrzeć na to inaczej. Eduard Semak jest wariatem.

Oczywiście moje życie także jest zwariowane.

Sześć metrów dalej znajduje się następny właz. Otwieram go i tarabanię się do kolejnego pomieszczenia, dużo mniejszego, długiego na półtora metra.

- Sypialnia - wyjaśnia Shiloh. - A także kapsuła ratunkowa.

Otwieram drzwi wnęki. Wisi w niej śpiwór. Znajduję trzy kolejne komory sypialne i toaletę. Potem wycofuję się przez główne pomieszczenie, wychodzę przez właz i patrzę na Shiloh.

- Jaką broń ma Semak?

- Żadnej, o ile wiemy.

- Żadnej?

- O ile wiemy. Ale to jest Eduard Semak. Nie dożył swojego wieku dlatego, że jest ufną duszą. Będzie miał tam broń. Strzałki, gazy, garoty... wszystko jest możliwe. Może pałkę...

- Drony z truciznami?

- Możliwe, ale niemal na pewno nie będzie miał broni palnej.

To chyba pokrzepiające.

- A co ja będę miał?

- Kamizelkę kuloodporną.

Kręcę głową.

- Pomyliłaś mnie z komandosem. Nie jestem w tym wyszkolony.
- Zadanie jest proste - stwierdza Shiloh. - Musisz jedynie zająć kryjówkę rekina, odciąć środki łączności i zapanować nad jej jedynym mieszkańcem. Wtedy wkroczy Amity.

Łatwizna.

Obracam się, patrzę na niedorzeczny habitat, Pustelnię Semaka, miliardowej wartości więzienie hipochondrycznego rekina, i zastanawiam się ponownie: Dlaczego ja? Dlaczego to moja misja? W tej historii musi być jakiś haczyk, którego nie dostrzegam.

Przechodzę do makiety promu. Jest bardzo prosta -zwykły cylinder z białego plastiku, krótszy niż trzy metry, z dwoma zamontowanymi w środku fotelami o wysokich oparciach. Wycięcie w ścianie walca za nimi udaje włącz, a przed nimi nijaki plastikowy blat imituje panel sterowniczy. Cylinder wisi u sufitu sali na czterech metalowych wysięgnikach, które są – jak podejrzewam – najdroższą częścią całego urządzenia. W tej chwili walec znajduje się w pozycji pionowej, celując kokpitem w strop, jakby pojazd był gotowy do startu, ale wsporniki mogą się poruszać, ustawiając go horyzontalnie.

- Wejść przez włącz i usiądź na fotelu po prawej stronie - instruuje mnie Shiloh.

Gramolę się niezdarnie, ale udaje mi się usiąść, a potem przypinam się pasami do fotela.

- Dla ciebie lot to łatwiejsza część misji - mówi Shiloh. - Nic poza podziwianiem widoków.

To sprytna konstrukcja, tania i funkcjonalna, ale pomi-ja pewien istotny czynnik.

- Co z nieważkością, Shiloh? Masz jakiś sposób, żebym to przećwiczył?

- Przykro mi, Shelley, ale nie - odpowiada słodkim głosem. - Żadnego basenu, tunelu aerodynamicznego ani przelotów samolotem stratosferycznym. Ale łatwo się przystosowujesz. Wiem, że dasz z siebie wszystko.

\*

W następnym tygodniu spędzam wiele godzin w pomieszczeniu treningowym, zaznajamiając się coraz lepiej z wnętrzem pustelni oraz ucząc się wsiadać do promu i opuszczać go w pozycji wertykalnej i horyzontalnej. Jeszcze więcej czasu spędzam z okularami VR na oczach, zapoznając się z oszczędnie zrealizowanymi scenariuszami, które pozwalają mi przećwiczyć postępowanie na wypadek, gdyby Semak spróbował przeciwdziałać wyłączeniu środków łączności, zaatakował mnie nożem, zatrutymi strzałkami lub pszczelimi dronami, miał pistolet czy spróbował zablokować włącz do kapsuły ewakuacyjnej.

- Na pewno będzie nosił maskę - ostrzega mnie Shiloh, a jej głos dudni spod sufitu. - Nosi ją zawsze podczas przeglądów konserwacyjnych, gdyż nie chce oddychać tym samym

powietrzem, co technicy. Zatem maska nie oznacza nadmiernej wrogości z jego strony ani tego, że zatrul atmosferę w habitacie.

Odsuwam przyłbicę, dzięki czemu widzę Shiloh na posterunku za szybą.

- A czy ja powinienem nosić maskę?

Shiloh kręci głową.

- Od razu by się zorientował, że nie jesteś serwisantem sprzętu i wysłałby sygnał alarmowy, zanim zdołałbyś przerwać łączność.

- Jak go mam obezwładnić? - Wskazuję swoje oczy. - Ma nakładkę, więc związanie go nie przeszkodzi mu w nadaniu sygnału. - Marszczę brwi, przypomniawszy sobie, że nazwała mnie zabójcą rekinów. - Nie spodziewasz się, że go z miejsca zamorduję?

Zadziera głowę.

- Miałbyś z tym problem?

- Tak.

- Byłeś gotów zabić Thelmę Sheridan.

Zgadza się - haniebny moment mojego życia, ukazany światu w ostatnim odcinku *Połączonej grupy bojowej*.

- Nie zabiliśmy Sheridan i nie musimy mordować Semaka.

Z mojej ręki zginęło bardzo wielu ludzi, ale ich śmierć była zawsze koniecznością. Jeśli nie będę musiał zabić Semaka, nie zrobię tego. Wolałbym go sprowadzić na Ziemię i postawić przed sądem, niż być jego katem.

Shiloh uśmiecha się, ubawiona moją hipokryzją.

- Byłam jedynie ciekawa. Nie chcemy, żeby Semak zginął — przynajmniej nie od razu. Jeśli umrze przed odcięciem łączności, to wywoła to z pewnością alarm.

Mój trening trwa. Powtarzamy bez końca wszystkie scenariusze. Pod koniec każdego dnia Crow przychodzi po mnie z kajdankami na ręce i nogi. Sam je sobie zakładam, nie chcąc się wdać w kolejną bójkę.

Potem nadchodzi dzień, kiedy zamiast zostawić mnie samego w pomieszczeniu treningowym Crow zajmuje posterunek przy drzwiach. Patrzę na niego pytająco, ale oczywiście jego anonimowa przyłbica nie zdradza niczego.

— Co jest?

Shiloh jest za szybą. Odpowiada przez głośniki w sali;

- Dzisiaj przyleciała Amity. Twoja partnerka podczas misji, pilot promu. To jedyna okazja, kiedy będziesz mógł z nią poćwiczyć.

Spoglądam ponownie na Crowa.

-I obawiacie się, że ją zabiję?

- A co by ci to dało? - odpowiada pytaniem.

To mi daje do myślenia, co nie zawsze jest dobrą rzeczą. Nie próbowałem uciec od momentu, gdy zgodziłem się na tę misję - Crow nie dał mi żadnej szansy - ale jeśli taka się nadarzy, to czy skorzystam z niej?

Moim obowiązkiem jest zrobić wszystko, żeby uciec, gdyż tak zostałem wyszkolony, ale chcę wykonać to zadanie.

Chcę tego.

Bo Jaynie ma rację, a ja jestem pierdoloną marionetką kierowaną przez program wpisany w moją neuronetkę.

Drzwi się otwierają. Wchodzi Amity. W każdym razie przypuszczam, że to ona. Jest kobietą średniego wzrostu i w średnim wieku, o pulchnej, nieco już zwiotczalej figurze, skrytej pod dżinsami i czarnym pulowerem z długimi rękawami. Krótkie, cieniowane włosy ma w ciemnym, interesującym, nienaturalnym odcieniu koloru rudego. Moja encyklopedia nie zawiera wpisów na jej temat, więc oznacza ją jako „nieznana”.

- To zaszczyt pana poznać, poruczniku Shelley - odzywa się zimnym tonem z lekkim rosyjskim akcentem. - Przyleciałam tutaj tylko na kilka godzin. Nie traćmy czasu.

Waham się. Podczas tej operacji mam być mięśniakiem. To oznacza, że powinienem być w stanie ją obezwładnić, wykorzystać jako zakładniczkę, jako ludzką tarczę, dzięki której kupiłbym sobie drogę na wolność.

Przerabiam w głowie kilka scenariuszy:

Rzucam się na nią, ona okazuje się czymś więcej, niż się >wydaje, i skręca mi kark.

Rzucam się na nią, ona się opiera, a w tym czasie Crow skręca mi kark.

Skaczę ku niej, pokonuję ją, omijam Crowa, ale zanim udaje się nam opuścić budynek, Crow zabija nas oboje, ponieważ lepiej jest odwołać misję, niż pozwolić mi uciec, skoro wiadomo, że zdradzę ich plan.

Nigdy nie pozwolą mi zbiec.

Będę więźniem nawet na pokładzie wahadłowca, bo nie jest tak, że mógłbym walnąć Amity w łeb i samodzielnie pilotować statek.

Postępuję więc rozsądnie. Patrzę jej w oczy i mówię:

- Powiedz mi wszystko, co muszę wiedzieć.

Chcę uciec, ale chcę także wykonać tę misję. Te dwa cele powinny stać w opozycji do siebie, ale nie stoją, gdyż w tym momencie nie ma mowy o ucieczce. To może się zmienić. Moja interpretacja „sterowanego chaosu” Shiloh sprowadza się do dalszego działania i przekonania się, co z tego wyniknie.

\*

Odgrywamy przebieg misji, poczynając od wejścia do kok-pitu samolotu kosmicznego. Amity wchodzi za mną, przyglądając się krytycznie, jak zapinam pasy.

- Musisz być szybszy - warczy. - Nie wiemy, co może pójść źle w habitacie. Jeśli trzeba będzie zniknąć błyskawicznie, musisz być przygotowany. Umieć zapiąć uprząż jedną ręką i po ciemku!

Opada na fotel pilota; język jej ciała komunikuje ponury gniew, nieproporcjonalny do mojej nieporadności, a ja zaczynam wyczuwać rozdźwięk w planach misji. A może nie jestem jedynym powołanym do służby?

- Na pewno chcesz w tym uczestniczyć? — pytam.

Zwraca ku mnie spojrzenie, które obiecuje straszliwe konsekwencje, jeśli nie będę ostrożny, ale mimo to posuwam się dalej:

- Może wiesz o czymś, o czym ja nie wiem? Znasz jakiś powód do odwołania operacji?

Ściąga brwi w grymasie oburzenia, który wskazuje, że się mylę.

- Rozumiesz, że to nie jest prywatna rozmowa? Że zarówno Shiloh, jak i Crow słuchają wszystkiego, co mówimy?

- Standardowe postępowanie.

- Jasne. - Odwraca się. - Przywykłeś do tego.

- A ty nie?

- Tylko wtedy, gdy jestem za sterami - mówi podniesionym głosem, patrząc w sufit. - Ale nie obchodzi mnie, że słuchasz, Shiloh. Znasz moje zdanie. - Odwraca się do mnie. - Nie ufam ci. Nie ufam powodującym tobą motywom. Jestem pomysłodawczynią tej misji, ty zaś nie jesteś moim kandydatem do miejsca w drugim fotelu.

Jej gniew jest zimny. Mój nie, gdy myślę ponownie o tym, że poświęcono mój oddział.

- Więc dlaczego tutaj jestem?

To Shiloh odpowiada przez głośniki w sali:

- Ponieważ plan misji został zrewidowany po tym, gdy start spalił dwukrotnie na panewce. Za pierwszym razem na przeszkodzie stanęły problemy techniczne związane z samolotem kosmicznym i lot został przełożony na inny termin. Potem nie zdołaliśmy wystartować w owym terminie, gdyż sekwencja absurdalnych opóźnień nie pozwoliła Amity dotrzeć na czas na platformę startową. Było dla mnie jasne, że Czerwień odwołała naszą operację.

- Uznałaś więc, że potrzebujesz mnie.

- Tak. I miałam rację. To twoja historia. Metahistoria króla Dawida. Pomagamy ci więc i zgarniamy własną nagrodę.

Shiloh jest pewna siebie i swojej wizji rzeczywistości, wierząc, że rozumie Czerwień w wystarczającym stopniu, żeby prowadzić tę bezlitosną grę. Nazywa mnie królem Dawidem. Widzę w niej potencjalnego Salomona, wyposażonego w dar mądrości i oczekującego w związku z tym ogromnego zysku, gdy zostanie wyniesiony do bogactwa i władzy przez Deus ex machina w postaci Czerwieni.

O ile historia potoczy się tak, jak Shiloh na to liczy. Mam wrażenie, że się rozczaruje, a szyderczy wyraz twa-rzy Amity sugeruje, że nie tylko ja uważam, iż Shiloh jest nieco zbyt pewna siebie.

- Zaczniemy od początku - mówi Amity. - Za kilka godzin muszę lecieć do domu. Nie możemy marnować czasu.

Tej nocy nie śpię do późna, czytając kolejny raz artykuł o Eduardzie Semaku w encyklopedii, a potem zagłębiam się w sieć tekstów o błędach w zabezpieczaniu broni jądrowej oraz ich tuszowaniu. Zasypiam dopiero przed północą, a o czwartej nad ranem budzę się ponownie z powodu dźwięku, jakiego nie słyszałem dotąd.

To rytmiczne ciche stukanie, jakby wykałaczką o metalową płytkę, nieznacznie jedynie wybijające się ponad szum klimatyzacji. Nie ruszam się. Tylko słucham. Dźwięk dobiega z góry. To przypuszczalnie jakiś owad, obijający się o ścianki przewodów wentylacyjnych, ale owady nie stukają zwykle w zawiłym rytmie: Stuk! Stuk-stuk-stuk, stuk-stuk--stuk, stuk-stuk-stuk, stuk-stuk-stuk, stuk! Powtórka.

Poruszając jedynie oczami, spoglądam w górę i widzę znajome, słabe, czerwone światło lamp sufitowych. Nie zauważam niczego więcej.

Wstaję. Dobra pora, żeby się odlać.

Jakby moje poruszenie się zaniepokoiło źródło dźwięku, tempo stukania się nasila, staje się

szybsze, bardziej uporczywe. Uznaję, że naprawę dobiega z przewodu wentylacyjnego, wchodzę więc na łóżko i przyglądam się uważnie. To pozwala mi zerknąć poza pręty kratki nawiewu, gdzie zauważam słaby bursztynowy blask. Z początku nie wiem, co to jest, ale potem mój mózg wypełnia kreatywnie mrok i uznaję, że patrzę na roboowada, takiego jak ten, który zaatakował Carla Vandę w sali sądowej. Bursztynowe światło sączy się z dwóch szczelin po obu stronach walcowatego korpusu, mniejszego od mojego małego palca, i złapane przez dolne powierzchnie jego złożonych skrzydeł ważki odbija się, ujawniając zakrzywione, cienkie jak igły odnóża mikrokorona. Z powodu skrzydeł roboowad jest nieco za duży, żeby się przedostać między prętami. Dźwięk wydaje jedna z nóg, która stuka szaleńczo, rytmicznie, ale sekwencja urywa się przed jej końcem, a na mojej nakładce zaświeca się na zielono ikona sieci.

Ponownie na początku uruchamia się program Joby'ego. Zanim udaje mi się to przerwać, następuje ściągnięcie danych, a potem zaczyna się ładowanie. Sytuacja, jakiej doświadczyłem już wcześniej. Napływa wspomnienie. To było w hangarze, tuż przed tym... co nastąpiło.

Ogarnia mnie panika. Próbuję przerwać proces, ale nie panuję nad nakładką. Program działa bez mojej zgody, a po chwili na wyświetlaczu pojawia się nowa ikona.

To link gen-komu.

Słyszę spokojny ton opiekunki; to Delphi.

- Potwierdź połączenie, Shelley.
- Delphi! Łączność potwierdzona! O mój Boże! Nic ci nie jest? Jak...?

Ale już wiem jak. Roboowad działa jak przekaźnik. Musi być ich cały szereg, aż ku powierzchni, a program Joby'ego otworzył im drogę.

- Sytuacja? - pyta Delphi. - Jesteś ranny?
- Nie, nic mi nie jest. Jestem zamknięty w celi.
- Masz kajdanki?
- Nie. Otwórz drzwi, a wyjdę.
- Czeka.

Ikona sieci jest czerwona. Brak połączenia.

Zeskakuję z łóżka i rozglądam się w poszukiwaniu jakiejś broni, ale robiłem to już tyle razy, iż wiem, że nic takiego tutaj nie ma.

Stoję obok drzwi, nasłuchując.

Tylko cisza.



Martwię się, że Crow mógłby patrzeć oczami umieszczonych w rogach celi. Nie chcę dać mu powodu podejrzeń, wracam więc na łóżko, kładę się i zamykam oczy, starając się spowolnić szalejące tętno.

Joby wysłał robala, żeby ten mnie znalazł. Wykorzystał własny program w celu nawiązania łączności.

Mocno mnie to dziwi. Nie jestem jego ulubieńcem i o ile wiem, Joby nie należy do Tajnej Strzały. Jednak tamtego dnia, kiedy biegłem w górę po schodach, wiedząc, że nie zdołam uciec, i chcąc jedynie dotrzeć wystarczająco wysoko, żeby nawiązać połączenie z siecią zewnętrzną, uruchomił się jego program, ściągając dane na temat protez wraz z koordynatami GPS mojego miejsca pobytu, bo zapomniałem wyłączyć tę funkcję, kiedy ruszyliśmy w pościg za *Niezbywalnym*... Naruszenie zasad bezpieczeństwa, które może mnie uratować.

Słabe nocne oświetlenie gaśnie, pozostawiając mnie w kompletnych ciemnościach. Szum klimatyzacji cichnie. Prąd jest wyłączony. Mam nadzieję, że węzły sieci w piwnicy też nie działają. Nie chcę, żeby Shiloh mieszała mi w głowie.

Jest tak cicho, że słyszę bicie własnego serca. Liczę jego uderzenia, żeby kontrolować upływ czasu. Kiedy doliczam do 473, słyszę strzały.

To sprawia, że zrywam się na równe nogi.

Odgłosy są odległe, odbijają się głucho od betonowych ścian. Pojedyncze lub trzypociskowe serie, rozdzielone przerwami ciszy. Od czasu do czasu kilka karabinów strzela równocześnie. Szacuję, że co najmniej pięć, sześć. Crow zarabia teraz na swoją pensję.

Chcę wiedzieć, kto tam jest. Kto po mnie idzie?

Ściany drżą na skutek wybuchu granatu.

Następuje cisza.

Przechożę przez ciemną celę i zajmuję pozycję obok drzwi. Jeśli Crow dotrze na dół pierwszy, to można słusznie założyć, że będzie chciał mnie zabić. Prawdopodobnie w żaden sposób nie będę mógł mu w tym przeszkodzić... wciąż jednak mogę spróbować wyrwać mu broń, zginąć w walce.

Ikona łączności świeci ponownie zielonym blaskiem. Link gen-komu jest aktywny.

- Sytuacja? - pyta Delphi, gdy słyszę zbliżające się dudnienie płyt stopowych martwych siostr; co najmniej dwie, może trzy pary.
- W porządku! Co się tam dzieje, do cholery?
- Opanowaliśmy budynek.

- Czy sieć w piwnicy nie działa?
- Potwierdzam. Jedyнным aktywnym łączem na dole jest nasze.

Na wieść, że Shiloh nie może się dostać do mojej neuronetki, żeby mnie załatwić, ogarnia mnie ulga.

- W której celi jesteś? - pyta Delphi.
- Pierwszej po lewej.
- Mam - rozlega się głos Jaynie.

Dudniące kroki zamierają po drugiej stronie drzwi.

- Nie rzuć się na mnie, Shelley, kiedy otworzę.
- Tak jest, ma'am - mówię ochrypłym nagle głosem.

Potężne zamki szczękają i puszczają. Drzwi się otwierają; do celi wpada promień czerwonego światła, a także zapach prochu i świeżego potu. Wyglądam na zewnątrz. Ciemne postaci spoglądają na mnie, wszystkie w kamizelkach i gnatach, z zatkniętymi lufami w dół. Twarze zasłaniają im czarne przyłbice hełmów, ale i tak wiem, kim są. Najbliżej mnie stoi Jaynie.

Nie było jej w hangarze. Po desancie na *Niezbywalnym* została przetransportowana do szpitala marynarki wojennej. Zastanawiam się, czy jej ramię pod rynsztunkiem jest nadal w szynie unieruchamiającej.

Obok niej stoi Flynn, najniższa z naszego oddziału. Do kieszeni udowej ma przypiętą małą latarkę ledową, świecącą na czerwono; to jedyne źródło światła w korytarzu. Flynn została zatruta przez drony podczas naszego ataku na Reyvik Biosystems. Nie dotarła na *Niezbywalnego*; została z Shimą w hangarze... czy jednak nie było jej w nim, Shima wysłała ją z jakimś poleceniem.

Spoglądam na trzecią postać...

- Opuść pomieszczenie - rozkazuje Jaynie. Słyszę jej głos podwójnie, bezpośrednio i przez gen-kom. - Wyjdź na korytarz.

Robię to. Rozlega się słabe skrzypienie i syk przegubów jej martwej siostry, kiedy mijam mnie i wchodzi do celi.

- Czysto.
- Rozumiem - odpowiada Delphi.

Biorę urywany wdech i pytam o to, co z całą pewnością nie może być prawdą:

- To ty, Nolan?

Odpowiada znajomym, przyjaznym głosem:

- Witam, poruczniku. Chyba myślał pan, że zginąłem.

Skoro Nolan nadal żyje... to czy myliłem się cały czas odnośnie do tego, co się stało?

- A Moon i Tuttle? Ocaleli? I Shima?

Kiedy Jaynie wraca na korytarz, w jej głosie pojawia się ton ostrości.

- Widziałeś, co spotkało Moona. Został zastrzelony na twoich oczach. Tak jak Shima.

Kręcę głową. Nie pamiętam tego.

- A co z Tuttle'em?

- Nie żyje - potwierdza, spoglądając w głąb korytarza. - Masz powód przypuszczać, że któraś z cel jest zajęta?

- Nie. Nie widziałem nigdy, żeby drzwi się otwierały. Nie widziałem innych więźniów.

- Czekaj tutaj, póki nie sprawdzimy.

Drzwi celi nie są pozamykane na klucz, a wszystkie są puste.

- Musimy się czymś zająć, zanim stąd znikniemy? - pyta mnie Jaynie.

Myślę o misji przeciwko Eduardowi Semakowi... na którą się zgodziłem, którą chciałem wykonać, której wciąż chcę się podjąć. Niech to chuj strzeli.

- Nie. Nie ma nic takiego.

- Utrzymać na razie pozycję w podziemiu - poleca Delphi. - Nadal czekamy na sygnał, że droga wolna.

- Zrozumiałam - odpowiada Jaynie.

- Kto jest na górze? pytam. — Z kim współdziałacie?

- Z drugim plutonem. Z drugim oddziałem polowym Tajnej Strzały. Uderzyliśmy wspólnie, napotykając niewielki opór. Wróg uważał, że jest bezpieczny, że go nie znajdziemy.

- To Joby Nakagawa odkrył, gdzie jestem, prawda?

Milczy. Sekundy mijają. Potem:

- Sądzę, że można tak powiedzieć. Oczywiście to także Nakagawa zrobił w twojej głowie

wyłam, przez który dostał się do niej nieprzyjaciel.

Czuję resztki paniki, która ogarnęła mnie kilka minut temu, kiedy program załadował się i uruchomił bez mojej zgody.

- Shima patrzyła na ciebie, kiedy to się stało - ciągnie Jaynie. - Jej wizor nagrywał. Zapis pokazuje, że padasz, jakbyś został trafiony, ale w hangarze nie było plam twojej krwi. Żaden ze strażników nie padł pod takim kątem, żeby cię trafić. Tamci dostali się do twojej głowy przez bramkę Nakagawy i powalili cię, wykorzystując neuronetkę.

Krzywię się, próbując sobie to przypomnieć, ale nic więcej nie pamiętam.

- Spieprzyli mi pamięć krótkoterminową. Pamiętam tylko zapach krwi - mnóstwa krwi — i promienie słonecznego blasku, przedostające się przez otwory po kulach w drzwiach hangaru... i że byłem pewny, absolutnie kurewsko pewny, że wszyscy w środku nie żyją. - Odwracam się do Nolana. - Byłeś w hangarze. Jakim cudem żyjesz, do cholery?

Podnosi rękę i dotyka boku hełmu.

- Dostałem tutaj. Wgniecenie. To była krwawa depilacja. Byłem nieprzytomny przez trzy godziny.

- Oddział nie miał szans - odzywa się z goryczą Jaynie. - Strzelcem był automatyczny snajper ustawiony w sąsiednim hangarze. Wystrzelił dziesięć celnych pocisków w siedem sekund, wykorzystując system sensoryczny, który widział przez ściany. Zaprogramowany do zabicia wszystkich oprócz ciebie. Chcieli cię dorwać ze względu na twoje powiązanie z Czerwienią, co?

- Tak. - Moon, Tuttle i Shima nie żyją z mojego powodu. - To ta sama grupa, która zaatakowała nas w podziemiach sądu. Od tamtej pory zwerbowali nowego najemnika. Zmienił taktykę.

- Już go nie mają - mówi Flynn, odzywając się pierwszy raz. - Przynajmniej jeśli był jednym z tych, których spotkaliśmy w drodze na dół. Nie mam nic wspólnego z tym, co się wydarzyło w hangarze, poruczniku. Chcę, żeby pan to wiedział. Nie było mnie tam tylko dlatego, że musiałam podrzucić pańską przesyłkę, to wszystko.

- Spokojnie. Kto powiedział, że miałaś z tym coś wspólnego?

- Oceniane są działania wszystkich - wyjaśnia Jaynie. - Moje także. Mnie też tam nie było. Obie mogłyśmy należeć do spisku.

- Nie jestem konspiratorką, sir - odzywa się ponownie Flynn lodowatym tonem.

- Nigdy tak nie uważałem, Flynn.

Dźwiga jednak brzemień poczucia winy i moje słowa nie pomagają.

- Kiedy wróciłam do hangaru i zobaczyłam, co zrobili... - Przerzywa i odwraca głowę w helmie w stronę pustki korytarza. - Zabili Moona, sir, tylko po to, żeby usunąć go z drogi. Zamordowali Tuttle'a. Sądziłam, że zaatakowali nas ci z Uther-Fen, i przysięgam, że zabiję ich wszystkich.

Ja także poprzysiągłem zemstę, ale wymieniłem to ślubowanie na misję, do której nigdy teraz nie dojdzie. Rozczarowanie jest głębokie i sprawia, że czuję się pozbawiony kontroli nad sobą, jakbym był nakręcaną zabawką - ustaw mnie w odpowiednim kierunku, uruchom, a ja tam pójdę.

Nie tym razem. Mój zespół ratunkowy zjawił się zbyt szybko.

- To, co się stało w tamtym hangarze... nie znalazło się nigdy w wiadomościach, co?

- Diabła tam - mówi Jaynie. -I nie trafi tam też ta operacja. „Czarny Feniks”. Taki ma kryptonim.

Włącza się Delphi:

- Możecie wyjść.

Biegniemy truchtem ku schodom. Pierwsze zwłoki, które mijamy, leżą tuż za drzwiami przeciwpożarowymi. To wielki facet. Jest bosy, tylko w bokserkach i kamizelce kuloodpornej, jakby spał, gdy nastąpił atak. Ma odstrzeloną grdykę. Ktoś ułożył go porządnie na plecach, zdjąłszy mu zakrwawiony hełm, który umieszczono obok jego głowy, w stylu portretowym, żeby zapewnić dobre ujęcie dokumentujące zgon. Biały, o opalanej twarzy; ma siwe, ostrzyżone maszynką włosy, krzaczaste brwi i zakrzywiony nos, oczy nadal otwarte; na jego jednodniowym zarostie wysycha krew.

Nie widziałem nigdy tej twarzy, ale znam go.

- To musi być Crow. Nosił zawsze martwą siostrę i hełm, ale dziś w nocy nie miał chyba czasu nałożyć sprzętu. Był w hangarze, Flynn. To była jego operacja.

- Pierdolony najemnik - mruczy. - Gnij w piekle.

Piętro wyżej znajdują się następne zwłoki, te z kolei w egzozkielecie. Podobnie jak Crow, najemnik także zwrócony jest twarzą ku górze, a hełm leży przy jego głowie. Milczek, jak wskazują gabaryty ciała. Oświetlam jego twarz, nadal jednak nie wiem, czy to mężczyzna, czy kobieta. Może ktoś mniej określony. Ma młodzieńczą, gładką, ciemnoskórą twarz o gęstych brwiach i ciemnych tęczęwkach, ledwie widocznych pod na wpół przymkniętymi powiekami. Na policzkach nie widać śladu zarostu, ale skuteczny depilator może w tym wypadku stanowić równie dobre wyjaśnienie jak tożsamość płciowa.

To jednak bez znaczenia.

Idę dalej.

Jeszcze jedno piętro, po czym Flynn otwiera drzwi do podziemnego parkingu, ale na podeście powyżej leży kolejny trup, wyłamuję się więc z szyku, żeby go obejrzeć.

To Shiloh. Położono ją tak samo jak pozostałych. Jej klatkę piersiową rozrywają rany wylotowe. Ma na sobie cywilne ubranie; nie nosiła kamizelki. Nie miała szans — tak samo jak Moon, Tuttle i Shima.

- Nie posłuchała, kiedy kazaliśmy jej paść - wyjaśnia Nolan. - Próbowwała uciec.
- Wierzyła, że Czerwień będzie po jej stronie.

Podłączenie się do metahistorii króla Dawida to głupi pomysł.

Schodzę z powrotem na dół.

\*

- Odjazd za trzy minuty! - ogłasza władczy męski głos, kiedy wchodzimy na parking. - Złożyć natychmiast sprzęt i broń!

Jedyne światło pada z otwartych drzwi dwóch furgonetek, ale to dość, żeby mi ukazać napięte twarze żołnierzy drugiego plutonu - jest ich dziesięcioro, wszyscy mi obcy, wszyscy z czarnymi neuroskalpami i ubrani w czarne mundury bojowe. Następuje krótka przerwa w ich cichych, skoordynowanych, pośpiesznych działaniach, gdy zwracają na mnie zaciekawione spojrzenia, a ja staję się nagle świadomy mojego neonowo zielonego więziennego drelichu, skołtunionej brody i niechlujnych włosów. Pozdrawiają mnie kiwnięciami głów i uśmiechami, po czym wracają do swoich zajęć, wkładając hełmy do worków i ładując wszystko na tył furgonetek.

Jaynie wskazuje gestem jeden z pojazdów.

- Wsiadaj. Zaraz wracam.

Nolan i Flynn idą z nią za samochód. Zbliżam się do drzwiczek, ale nagle dobiega mnie znajome brzęczenie. Stawia mi na sztorc włoski na ramionach. Odwracam się, gotów walczyć bądź uciekać, ale widzę, że to tylko jeden z roboowadów Joby'ego wylatuje z korytarza przez otwarte i zablokowane na oścież drzwi przeciwpożarowe. Na podłodze leży otwarty plastikowy futerał. Pięć latających mecharobali spoczywa już we wgłębieniach szarej gąbki która wyściela obie pokrywy walizeczki. Ostatni ląduje na niej, drepcze do wolnego gniazda, układa się w nim i nieruchomieje. Żołnierz drugiej drużyny zamyka walizeczkę i zabierają.

- Poruczniku Shelley.

Głos jest tak nieoczekiwany, że się wzdrygam. Opuściłem gardę; pozwoliłem nieświadomie, żeby obcy podszedł do mnie na odległość zasięgu ramion. Ikona neuronetki rozpała się, każąc mi się uspokoić, gdy odwracam się na spotkanie dowódcy drugiego oddziału.

Obserwuje mnie czujnie: chudy facet średniego wzrostu, liczący sobie dwa razy tyle lat co ja.

- Nie chciałem pana przestraszyć, poruczniku - mówi łagodniejszym tonem. - Chciałem tylko powiedzieć, że poznanie pana to dla mnie zaszczyt.

Ogarniam się na tyle, żeby odpowiedzieć rytualną formułką:

- Dziękuję, sir. Dziękuję, że po mnie przyszliście.

U mojego boku zjawia się Nolan. Hełm i gnaty zamienił na wizor.

- Chodźmy, poruczniku.

Kiwam głową, idę za nim i zajmuję miejsce na trzecim fotelu furgonetki. Jaynie wsiada za mną. Następni są dwaj nieznajomi żołnierze. Patrzą na mnie z triumfalnymi uśmiechami na twarzach, wsuwając się na siedzenia środkowego rzędu.

- Witamy, poruczniku.

- To była zajebista zabawa, pomóc panu wydostać się stamtąd, sir.

Drzwi się zasuwiają i światło gaśnie. Z tyłu furgonetki nie ma okien. Wrażenie jak w więziennej celi.

Zapala się inne światło, towarzyszące otwarciu drzwiczek z przodu. Flynn wsiada na miejsce pasażera. Dłońmi w rękawiczkach ściska swój ztkh, skierowany lufą w dół między kolanami. Jej fotel jest odsunięty do tyłu na tyle daleko, żeby miała miejsce na poderwanie broni, gdyby zaszła taka potrzeba.

Patrzy na nas kobieta zajmująca miejsce kierowcy.

- Wszystko zabezpieczone?

- Potwierdzam - odpowiada Jaynie. - Spierdalajmy stąd.

Rampa wyprowadza nas z parkingu w mrok przedświt. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. Przez przednią szybę widzę bardzo niewiele, tyle tylko, żeby wiedzieć, że mijamy puste parkingi i przeszklone budynki parku biznesowego. Latarnie uliczne się nie palą, nie ma świateł w oknach biurowców ani żadnego oświetlenia na parkingach. Tylko blask księżyca, który lśni w nienaruszonym szkle szyb, ale tu i ówdzie jest połykany przez bezdeny mrok za wybitymi oknami, po kilka w każdym mijanym budynku.

Zauważam tabliczkę pośrednictwa nieruchomości stojącą w ogrodzie chwastów i ogłaszającą dumnie dostępność luksusowej powierzchni biurowej, od 4 stycznia tego roku -niecałe dwa miesiące po Dniu Komy.

Zdiczały kot śmiga w poprzek trotuaru, wystrzeliwszy spośród zielska, a mnie zaczyna dręczyć nowe zmartwienie. Bóg jeden wie, co Shiloh wpakowała mi do głowy... może elektroniczny ładunek wybuchowy, zaprogramowany do automatycznego przeciążenia mojej

neuronetki i załatwienia mnie, jeśli ucieknę. Tężeję. Możliwe, że zacznę oddychać szybciej, pocić się, nie wiem, ale Jaynie odwraca się do mnie.

- Wyluzuj, Shelley. Wszystko w porządku.
- Moja nakładka to jeden wielki bajzel. Kompletnie splądrowana.

Delphi odzywa się w gen-komie:

- Rozumiem. Zreformatujemy ją. Ale to oznacza, że stracisz wszystkie prywatne dane...
- Odzyskam je z kopii zapasowej.
- ... i będziesz odłączony przez co najmniej godzinę.
- Cholera.
- Trzeba to zrobić - twierdzi. - Jak powiedziałaś...
- Wiem, przejęli nade mną kontrolę, więc zróbcie to... ale, Jezu, Delphi, tęsknię za tobą. Nic ci nie jest?

Jej odpowiedź jest w pełni profesjonalna:

- Inicjuję reformatowanie.

To pozostawia mnie z uczuciem pustki w trzewiach.

- Czekaj...

Zostaję odłączony od gen-komu. Wyświetlacz nakładki pustoszeje; pozostaje na nim tylko żółtopomarańczowy licznik w lewym dolnym rogu, który pokazuje „1%”. Po dłuższej chwili „2%”.

To wrażenie, że twoja kochanka zaczyna przecinać łączące was więzi? Taa, czuję to.

- Było jej bardzo ciężko - mówi Jaynie - gdy nie wiedziała, czy żyjesz... albo czy nie jesteś torturowany.
- Kapuję. - Skupiam spojrzenie na nocy za przednią szybą furgonetki, która wjeżdża po rampie na autostradę. Nikt nic nie mówi. - Przy okazji: dzięki, że mnie uwolniliście.
- Tkwimy w tym razem.
- Niewielu nas zostało - dodaje Nolan.

Po kilku minutach decyduję się zapytać, dokąd jedziemy.



- Do Wyomingu - odpowiada Jaynie. - To nasza kwatera główna. Przy odrobinie szczęścia dotrzesz tam tym razem.

\*

Może to kwestia szczęścia, a może tak przewidziano w scenariuszu, ale po południu docieramy na miejsce wyczarterowanym odrzutowcem. Na lotnisku, na którym lądujemy, znajduje się samotny hangar i dwa zbiorniki paliwa, jeden oznaczony: „Paliwo lotnicze”. Po drugiej stronie pasa startowego, na pastwiskach ogrodzonych siatką z drutem czastym, owce skubią trawę. Jest gorąco, a okolica głównie płaska, ale powietrze wydaje się rzadkie, co potwierdza, znajdujemy się na płaskowyżu.

W pewnej odległości od lądowiska stoi wielki garaż o czterech roletowych drzwiach, które są opuszczone. Jeszcze dalej, ale połączony z lotniskiem asfaltowym podjazdem, wznosi się piętrowy dom ranczerski. Otacza go weranda i trawnik, na którym rosną ocieniające ją drzewa. Na końcu trawnika stoi szklarnia. Kiedy ludzie mówią o „amerykańskim śnie”, to wydaje mi się, że mają na myśli takie miejsce jak to.

Drugi pluton formuje rząd w celu przetransportowania sprzętu na dwa pickupy. Jaynie zostawia ich z tym zadaniem.

- Chodźmy - mówi, i nasza czwórka maszeruje w stronę domu.

# PRZECIWKO BESTII

---

ODCINEK 3:

„WROTA NIEWAŻKOŚCI”

Pomija milczeniem mój więzienny strój i wyciąga do mnie rękę.

- Dobrze, że jest pan znowu z nami, poruczniku. O jednego straconego mniej, niż pierwotnie sądziliśmy.

Ściskam mu dłoń.

- Zbyt wielu zginęło, sir.

Oczy zwięza mu gniew, ale nie jest skierowany na mnie. Pułkownik patrzy w przeszłość.

- Śmierć Harvey to tragedia, ale takie było ryzyko misji, która okazała się sukcesem i uratowała mnóstwo istnień ludzkich. Jednak dla tego, co się zdarzyło w Brunswicku - jego spojrzenie skupia się ponownie na mnie - nie ma wytłumaczenia. Zawiedliśmy. Nasz wywiad zawiódł. -Odwraca się do Jaynie. - Zostaliśmy zaskoczeni, a wasz oddział zapłacił straszliwą cenę.

Rawlings to pompatyczny stary pierdziel i chociaż wiem, że jest gotów poświęcić służących pod nim żołnierzy, to wiem także, że nie zdradzi ani nie sprzeda nigdy misji. Może nie lubię go prywatnie, ale szanuję jego postawę.

Cofa się, przytrzymując otwarte drzwi.

- Wejdźcie do środka. Vasquez, masz z Shelleyem kwadrans na to, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Potem chcę was widzieć na dole, na odprawie w związku z Czarnym Feniksem.

Wchodzę za Jaynie do domu. Wnętrze zaskakuje mnie brakiem pseudowesternowych dekoracji. Przeciwnie, wystrój jest nowoczesny, ze stalowymi akcentami, utrzymany w szarościach, czerniach i bielach. Rozglądam się po wielkim pomieszczeniu w nadziei ujżenia Delphi, ale nie ma jej tu, więc zwracam się do Rawlingsa:

- Muszę się zobaczyć z Delphi. Z Karin... sir. Gdzie ona jest?

- Na dole, zajęta analizami wywiadowczymi. Powiem jej, że tutaj jesteś.

\*

Nie idziemy na górę.

- Kwaterował tam drugi pluton - wyjaśnia Nolan w drodze do korytarza wychodzącego z wielkiego salonu.

Przypuszczam, że był to dom rodzinny, ale wnętrze jest zaaranżowane raczej jak schronisko lub niewielki hotel. Większość pokoi znajduje się na piętrze, na parterze jednak są cztery sypialnie, każda z własną łazienką. Nolan otwiera drzwi przydzielonej mi kwatery.

- To dla pana - mówi.

Na łóżku czeka na mnie nowy szary mundur połowy bez dystynkcji.

Jestem pod prysznicem, zmywając z twarzy depilator wraz z dwutygodniowym zarostem, kiedy Delphi wchodzi tak cicho, że dopiero po chwili zauważam jej obecność - nie uśmiecha się, blond włosy ma zebrane w koński ogon, a jej jasnoniebieskie oczy obserwują mnie czujnie przez kłębiącą się parę.

- Jezu, Delphi.

Zakręcam wodę, odsuwam drzwi kabiny, biorę ręcznik i wycieram się na tyle, na ile pozwala mi czas niezbędny na zrobienie dwóch kroków, żeby do niej dotrzeć. Potem obejmuję ją, a jeśli ona nie odwzajemnia uścisku tak mocno, jak bym sobie tego życzył, to przynajmniej nie odpycha mnie.

- Cieszysz się, że wróciłem?

- Nie bądź durniem! Jasne, że się cieszę... a Rawlings oczekuje cię na dole za sześć minut. - Zbiera się jej na płacz. Słyszę go w jej głosie, ale stara się to pokryć łajaniem mnie. - Na litość boską, mógłbyś sobie ogolić głowę? Wyglądasz jak włóczęga. W jednej z szuflad powinna być maszynka.

Odsuwa się ode mnie i zaczyna jej szukać. Trzaska szufladami, aż ją znajduje.

- Dlaczego jesteś zła?

- Zajmij się swoimi włosami. - Cofa się do drzwi łazienki, patrząc na mnie z założonymi na piersi ramionami, a ja zaczynam przywracać moim włosom wojskowy sznyt. Jestem w połowie tego działania, gdy Delphi odzywa się ponownie, zagłuszając ciche brzęczenie maszynki: - Pamiętasz, co ci powiedziałam o Czarnym Krzyżu? Że myślałam, że tam zginąłeś?

Przyglądam się sobie w lustrze, czarne włosy spadają do umywalki.

- Pamiętam.

- Kiedy zniknąłeś ze wszystkich moich sensorów w ładowni *Niezbywalnego*, to było jak déjà vu.

- Zgłosiłem się, gdy tylko...

- A potem incydent w Brunswicku. Nie wiedzieliśmy, kto cię porwał. Nosili maski, a my nie potrafiliśmy zidentyfikować głosów. Wiedzieliśmy jednak dokładnie, jak cię załatwili, bo zadzwonił do nas twój kumpel Joby i powiedział nam o tym.

Nie sądzę, żeby Joby kwalifikował się na mojego kumpla, ale nie koryguję jej.

- Jaynie wspomniała mi o tym.

- Skończyłeś z włosami? Ubieraj się.

Idzie do drzwi, więc mogę podejść do leżącego na łóżku munduru.

-Nakagawa próbował się z tobą skontaktować, żeby ci powiedzieć, że włamano się do programu obsługującego twoją nakładkę. Jego asystentka zresetowała ustawienia i sprzedała kod - tak przynajmniej powiedział. Nie odpowiadałeś jednak na wezwania ani na e-maile. Potem dostał paczkę, tę, którą Flynn wysłała za ciebie, zadzwonił więc pod numer z przekazu pocztowego. To był numer Shimy, ale rozmowa została przekierowana do Rawlingsa. Wiedzieliśmy więc. Porwał cię ktoś zdeterminowany, dysponujący forszą i umiejętnościami technicznymi kogoś wtajemniczonego. Podejrzewaliśmy Uther-Fen lub prywatną armię prezydenta. Tak czy inaczej, nigdy byśmy cię nie odbili,

- Nie ma mowy, żebym im kiedykolwiek uciekł, Delphi, Trzymali mnie pod ścisłym nadzorem, próbowałem jednak wysłać ci wiadomość. Pewnego dnia dotarłem tak wysoko, że nawiązałem połączenie z siecią zewnętrzną.

Wkładam kurtkę mundurową, gdy zostaję wreszcie nagrodzony uśmiechem.

- Owszem - szepcze. - To także był program Joby'ego. To był początek planowania misji „Czarny Feniks”

Potem pozwala mi się pocałować, ale to nie jest to samo. Raczej jakbym smakował jej niechęć. Chyba nie wybaczyła mi. Może nigdy nie wybaczy.

\*

Jaynie czeka na nas na końcu korytarza. Idziemy do piwnicy, gdzie duże wrażenie robi na mnie specjalna sala odpraw, wyposażona w trzy krótkie rzędy foteli kinowych, podium i wielki monitor na ścianie. Brakuje jedynie analityków, ale okazuje się, że uczestniczą w spotkaniu zdalnie, za pośrednictwem łącza, które organizacja uważa za bezpieczne.

Powodzenia.

Rawlings jest już na miejscu, w pierwszym rzędzie; siadam na jego drugim końcu, pozostawiając między nami wolne miejsce dla Delphi, ale ona nie siada. Staje z przodu, w rogu pomieszczenia, pod szklanym oknem kamery, gdzie ze skrzyżowanymi ramionami opiera się o ścianę. Chcę pochwycić jej wzrok, ale nie patrzy na mnie.

Jaynie wsuwa się do drugiego rzędu i zajmuje środkowe miejsce.

Z ukrytego głośnika płynie kojący, bezpłciowy głos:

- Ze względów bezpieczeństwa chcemy ograniczyć do minimum informacje o analitykach uczestniczących w tej odprawie, wobec czego będziemy korzystać ze wspólnego zsynchronizowanego głosu. Możecie nazywać nas Jonesem.

Nie lubię syntezatorów mowy, drażnią mnie, ale przynajmniej ten nie odstręcza dudniącym

męskim głosem, jakim posługiwałem się na pokładzie *Niezbywalnego*.

Na początku Jones prosi mnie, żebym opisał, co się stało w hangarze. Nie mam wiele do opowiedzenia. Jestem bardziej szczegółowy, kiedy przechodzę do relacji z budzenia się, najpierw z kapturem na głowie, a później w celi. Analitycy zadają pytania, wracając ciągle do tych samych kwestii. Chcą, żebym przypomniał sobie wszystko, co wiem na temat Crowa i Milczka. Wypytyują dokładnie o manipulowanie moją neuronetką, o wpływ paralizatora na mój osprzęt, o próbę ucieczki, o to, co Shiloh wiedziała o Czerwieni oraz co mówiła o swoich celach. Żadne z moich przeżyć nie zostało zarejestrowane, przynajmniej nie przeze mnie, więc staram się ze wszystkich sił przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów.

Może to sprawa wyobraźni, ale wydaje mi się, że pomimo zsyntetyzowanego głosu rozmówców słyszę narastające podniecenie w kadencji ich pytań, jakbyśmy się zbliżali do tematu, który tamtych interesuje naprawdę. Mijają dwie godziny odprawy, gdy na monitorze rozbłyskuje obraz przedstawiający makietę Pustelni Semaka.

- Porozmawiajmy o tym - mówi Jones.

Spoglądam na Delphi. Nie patrzy na ekran ani nie nosi wizora. Obserwuje mnie. To wskazuje, że widziała już habitat, miała czas się nad tym zastanowić i być może odgadła jego cel.

Wstydę się, że przystałem na tę misję, że szkolono mnie do jej wykonania, ale wstyd czy nie, wewnętrzny przymus działa nadal. Pytam sam siebie: Czy to tylko z powodu Czerwieni odgrywającej władzę marionetek? Czy też zgadzam się na sugestie, bo jestem adrenalinowym ćpunem, który pragnie być bohaterem bez względu na to, jak szalona jest misja? Shiloh powiedziała, że podobni mnie nie chcą pokoju. Pragniemy wyzwania. Może miała rację.

We wzroku Delphi widzę narastający gniew i klnę się na Boga, że czyta mi w myślach. Odwracam więc spojrzenie. Patrzę na ekran.

- Poruczniku Shelley? - ponagla Jones. - Może pan powiedzieć, co widzi na monitorze?

- Tak. To makietę habitatu orbitalnego firmy Sunrise 15, zamieszkanego przez rekina finansowego, Eduarda Semaka,

- Co interesowało Exalt Communications w Pustelni Semaka?

Ikona neuronetki się nie świeci, ale mimo to doznaję wrażenia, że powinienem bardzo uważać na słowa.

- Sądziłem, że Semak dysponuje pewną liczbą ładunków nuklearnych oraz że informację na temat miejsca ukrycia tego arsenału można wydobyć z jego nakładki. Shiloh wymyśliła misję polegającą na odwiedzeniu go na orbicie i uzyskaniu tych danych. Makietę stworzono po to, żebym mógł się zapoznać z rozkładem i elementami stacji.

- Ty? - pyta Jaynie, zaskakując mnie. Odezwała się pierwszy raz, odkąd weszliśmy do sali.

Odwracam się, żeby spojrzeć na nią. Delikatne brwi ma uniesione, a na pełnych ustach majaczy zimny półuśmiech, który mówi mi, że ona już wie, o co naprawdę chodziło Shiloh i EXALT.

Nie jest to temat, który chcę rozwijać w obecności Rawlingsa oraz analityków.

- Posłuchajcie - mówię, wstając. Potrzebuję przerwy, muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Kiwam głową Jaynie, licząc na to, że wyjdzie ze mną na zewnątrz, Delphi wygląda na zaniepokojoną. Jej też daję znak, a potem wbiegam truchtem po schodach, ignorując sprzeciw Rawlingsa i Jonesa. Na górze się oglądam. Jaynie i Delphi są zdziwione, ale obie idą za mną, jak na to liczyłem.

Wychodzę na werandę, a potem schodzę po kilku stopniach na podjazd. Nadchodzi zmierzch. Zwalniam, żeby Jaynie i Delphi dogoniły mnie, a potem idziemy razem w stronę lotniska; moje tytanowe stopy stukają cicho o asfalt, świerszcze zaś bombardują wieczór, współzawodnicząc ze sobą w konkursie brzęczenia i świergotania. Bez słowa z mojej strony Jaynie zdejmuje wizor i wyłącza go. Zerkam na nakładkę, żeby się upewnić, że nie nagrywa.

- Co z tobą? - pyta Delphi gniewnym szeptem.

Cichym głosem przekazuję jej prawdę:

- Shiloh chciała, żebym wykonał to zadanie, gdyż uważała, że Czerwień mi pomoże.

-I zgodziłeś się na to?

Jest wściekła, ale nie zamierzam kłamać.

- Wiesz, jak to jest, Delphi. Miałem przeczucie.

- Pierdolony król Dawid - odzywa się cicho Jaynie. -Wiesz co, Shelley, niemal umarłam na tamtym statku, ale pamiętam, że obiecywałeś, że skończysz z tym. Nigdy więcej, powiedziałeś. Teraz jednak Czerwień chce tobą pogrywać, kierować ponownie jak marionetką, a ty się na to zgadzasz.

Czasami człowiek zostaje powołany do zrobienia czegoś. Tak się po prostu dzieje. Nie jest to jednak spór, który mogę wygrać, więc odpuszczam to sobie i przechodzę do szczegółów misji.

- Przy wsparciu organizacji możemy wciąż przeprowadzić tę operację. Trzeba to zrobić, i to jedynie dwuosobowa misja. Ja i pilot samolotu kosmicznego. Zatem zagrożenie dla ludzi jest niewielkie.

- Pieprzyć to - mówi Jaynie. - Jeśli Tajna Strzała wchodzi w to, to idę.

- Nie możesz. Plan misji zakłada...

- Czy atomówki istnieją naprawdę?

Wzdycham, odsuwając nieco kłótnię na dalszy plan.

- Muszą istnieć. Czerwień wiedziałaby o tym, prawda? Jednak dla Shiloh ładunki stanowiły jedynie pretekst. Akcję maskującą.

Jaynie potwierdza skinieniem głowy. Motywu domyśliła się już w sali odpraw.

- Chodziło im o fortunę Semaka.

- Tak. A my możemy ją zdobyć, jeśli chcemy.

Delphi zatrzymuje się gwałtownie.

Jaynie odsuwa się, patrząc na mnie.

- Żartujesz, co?

- Nie.

Delphi wygląda na zszokowaną.

- Nie myślisz poważnie o ukradzeniu tej forszy. To nie pasuje do twojego profilu psychologicznego. Ani trochę.

Świerszcze świergoczą i brzęczą, a lekki wiatr szeleści w trawie. Dziesięć lat temu wystarczyłoby to, żeby zagłuszyć naszą rozmowę, ale dzisiaj? Dobry procesor może odfiltrować wszystko oprócz naszych szeptów, ale tylko wtedy, jeśli Rawlings ma detektory dźwięku, rozmieszczone wzdłuż drogi. Zakładam, że nie ma.

- Zaczynam uważać, że Eduard Semak nie jest tak szalony, na jakiego wygląda. Urządził sobie na orbicie własny mały świat. To jest to, czego ty chcesz, Jaynie, prawda? -Odwracam się do niej. - Pragniesz własnego małego świata, do którego Czerwień nie mogłaby dotrzeć, żeby kierować tobą jak marionetką. Ale do tego potrzebujesz fortuny rekina.

- To szaleństwo, Shelley - stwierdza Delphi, i wcale nie szepcze.

- I co z tego? To nie znaczy, że nie możemy tego zrobić.

- Dlaczego, Shelley? — pyta Jaynie. — Dlaczego chciałbyś się tego podjąć? Skorzystać z tej szansy?

- Bo ją mamy. Szansę, żeby coś zmienić. Nie chcesz, żeby Czerwień opowiadała twoją historię za ciebie, to opowiedz własną.

Odwracam się do Delphi.



- Będiesz moją opiekunką...
- Naszą - poprawia mnie Jaynie. - Jeśli mamy to zrobić, to uczestniczę w tym.

Skupiam uwagę na Delphi.

- Musisz więc wymyślić, jak to zrobić. Wysłać dane na temat ładunków jądrowych do wydziału wywiadu, a zatrzymać informacje finansowe.

Pomimo chóru świerszczy słyszę słabe brzęczenie zbliżającego się szperacza. Nasz czas się skończył, zmieniam więc ton rozmowy. Obejmuję Delphi i całuję ją w policzek.

- Nie gniewaj się, proszę. Wiesz, jak to jest. - Wszyscy się odwracamy, obserwując krążącego wokół nas szperacza. - To jak Czarny Krzyż, jak *Niezbywalny* — czasami musisz po prostu coś zrobić, czy tego chcesz, czy nie.

- Ty chcesz - rzuca oskarżycielsko, odsuwając się ode mnie. W jej głosie pobrzmiewa cierpki ton, i to nie tylko na użytek słuchającego Rawlingsa. - Wierzysz we własną legendę. Król Dawid. Nie możesz się doczekać.

Ma rację, ale w obecnej sytuacji błędem byłoby to potwierdzić lub temu zaprzeczyć. Wracamy więc do domu w milczeniu.

\*

Podczas operacji „Czarny Feniks” drugi pluton zabrał wszystkie tablety, laptopy, wizory i nośniki danych, jakie udało się im znaleźć. Analizowanie działalności Exalt Communications dopiero się zaczęło, ale w czasie trwania odprawy Jones potwierdza, że odkryto zapisy wspierające moją relację o planowanej misji w celu zdobycia informacji o położeniu magazynu broni Semaka.

- Plan operacji przygotowanej przez EXALT zostanie Poddany ocenie - informuje nas Jones, zdradzając entuzjazm analityków, pomimo syntetycznej natury głosu.

Do tej pory Tajna Strzała przeprowadziła pomyślnie trzy akcje: „Brzask”, „Cichą Przecinkę” i ostatnią, „Czarnego Feniksa”. Pewność siebie wzrasta.

Tego wieczoru, po późnej kolacji, Rawlings odciąga mnie na stronę.

- Podpalił pan lont, poruczniku. Organizacja chce przeprowadzić tę operację. Pozostaje mnóstwo pytań, ale zgodzono się wstępnie, że mamy odpowiednie umiejętności oraz ludzi, żeby wykonać misję.

Chcę wyrazić swoją aprobatę, ale bez zbytniego entuzjazmu, więc mówię:

- Sądzę, że powinniśmy to poważnie rozważyć, sir.
- W najbliższych dniach przyjrzymy się każdemu elementowi planu. To zadanie w rodzaju

tych, dla których istniejemy - poważne działanie poza jurysdykcją władz konstytucyjnych. Może pan o tym nie wiedzieć, poruczniku, ale pogłoski o atomówkach Semaka krążą od lat. Jeśli poznamy lokalizację tajnego składu oraz zdobędziemy informacje o chroniących go zabezpieczeniach, to może dałoby się w końcu coś zrobić.

Kiedy rozstaję się z Rawlingsem, jest niemal północ. W domu panuje cisza. Tylko w salonie palą się dwa światła. Zastaję tam Delphi. Siedzi na szezlongu, ale wstaje na mój widok i krzyżuje ramiona na piersi.

- Dobre wieści? - pyta, gdy podchodzę do niej.
- Wszyscy przyjaciele Rawlingsa chcą to zrobić.
- Jeśli dane wywiadowcze są prawdziwe, to to musi być zrobione.

Każde jej słowo jest rzeczowe i przemyślane. Znajduje się w nastroju opiekunki, ale od czasu mojego powrotu trzyma się tak bardzo na dystans, że nawet chłodne stwierdzenie odbieram jak ofertę pojednania.

- Chcesz wziąć w tym udział? We wszystkim?
- To nie takie proste. Musimy porozmawiać.

Po takim stwierdzeniu nigdy nie następuje nic dobrego.

Wracam błyskawicznie myślą do naszej pierwszej nocy spędzonej w jej pokoju hotelowym. Chciałbym, żebyśmy znowu tam byli.

- Kocham cię, Delphi. Naprawdę.

Ucieka spojrzeniem.

- Ja też cię kocham, i na tym polega problem. Shelley...
- Spójrz na mnie.

Robi to, ale jest ponownie mocno wycofana.

- Wyjdźmy na zewnątrz.

Idę za nią na werandę, gdzie otacza nas cichy chór świerszczy i duszny zapach nocnego powietrza. Nie ma tutaj nikogo. Słabe światło sączy się przez żaluzje; jest go dość, żebym widział jej sylwetkę, gdy podchodzi do poręczy i się odwraca.

- Wiesz, że ten ganek znajduje się pod obserwacją Rawlingsa? - przypominam jej.
- Dzięki temu nie będę musiała się powtarzać.

- Sądziłem, że chodzi o ciebie i o mnie.

- Chodzi o zadanie.

Nie wiem, czy wróży mi to dobrze, czy nie, ale dowiem się niebawem. Podchodzę do niej i opieram się biodrem o barierkę, na tle rozgwieżdżonej ciemności.

- Mów.

- Zanim wyruszyłeś, powiedziałam ci, że wiem, co robię, wiążąc się z tobą, ale nie wiedziałam. Wierzyłam, że sobie poradzę. Myliłam się.

Dobra, teraz wiem, dokąd to zmierza.

- Myślisz o tym, co zaszło na pokładzie *Niezbywalnego*. - Pod koniec misji Delphi niemal się załamała, zmuszając tym Shimę do przejęcia roli mojej opiekunki. - Musisz o tym zapomnieć. „Cicha Przecinka” zakończyła się sukcesem, a ty miałaś w tym wielki udział.

- Pułkownik Rawlings uważa, że potrzebujesz nowego opiekuna.

- Niech idzie do diabła. Chcę ciebie. I potrzebujemy cię, jeżeli mamy to załatwić w taki sposób, jak to omawialiśmy.

- Rozumiem, ale nie wiem, czy jestem w stanie zrobić to ponownie. Było źle, Shelley. Kiedy straciłam z tobą kontakt, odczułam to jak powtórkę z Czarnego Krzyża. Byłam pewna, że nie żyjesz, i umierałam w duchu.

- Nie wycofałaś się jednak. Trwałaś na posterunku, gdy się zgłosiłem ponownie. Jesteś najlepszą opiekunką, Delphi, jaką kiedykolwiek miałem.

- Byłam. - W ciemności wyciąga niepewnie rękę, żeby przesunąć dłoń po mojej świeżo ogolonej głowie. - Może powinnam się okablować, tak jak ty.

Ujmuję jej dłoń, przyciągam do ust i całuję.

- Nie potrzebujesz tego cholerstwa.

Słyszę jej westchnienie.

- To trudno... wyrazić. Kiedy prowadzimy operację, nie ryzykuję życia. Nikt do mnie nie strzela. Musisz jednak zrozumieć, jaką nieznośną udręką jest siedzieć w pokoju i patrzeć biernie, bezradnie, jak śmierć dopada kogoś kochanego... słyszeć, jak się to dzieje, i nie móc niczego zmienić.

Wiem, jak to jest. Przemyka mi w pamięci mdlące, zrące przerażenie, które poczułem, gdy się dowiedziałem, że Lissa nie żyje.

- Kiedy zaginąłeś, a ja nie wiedziałam...

- Ciii... - Przyciągam ją do siebie. Głaszczę po włosach, całuję po twarzy. - To już minęło. Przeszliśmy przez to. A ta nowa misja, jeśli ją w ogóle dostaniemy...
- W ogóle nie rozumiesz, Shelley! - Odsuwa się. - Chcę ci powiedzieć, że Rawlings ma rację. Potrzebujesz nowego opiekuna.
- Nie. Jeśli mamy zrobić to, o czym rozmawialiśmy, potrzebujemy ciebie. Tylko na tę jedną misję. Łatwą. Żadnej broni palnej ani granatów. Tylko samotny stary szaleniec. Dasz radę, Delphi. A potem możesz się wycofać. Ty i Jaynie. Jeśli tego chcecie.
- A ty? Czego ty chcesz?

Jest późno, chwytam więc byka za rogi.

- Chcę przestać teraz gadać o tym całym szajsie. Chcę iść z tobą do łóżka, Delphi. Chcę się z tobą kochać.

Milczy przez chwilę. Potem przysuwa się, żeby pocałować mnie w kącik ust.

- Dobra. Ja też tego chcę.

\*

Budzimy się i poznajemy werdykt w sprawie Sheridan.

Została uznana za winną zbrodni przeciwko ludzkości w związku z zaangażowaniem w nuklearny terroryzm w Dniu Komy. W celu uszanowania tych sędziów trybunału międzynarodowego, których kraje zabraniają stosowania kary śmierci, rekomendowanym wyrokiem jest dożywotnie więzienie.

Pułkownik Kendrick byłby z tego zadowolony.

Większość obserwatorów chwali Ahaba Matugo za nadzorowanie wzorcowego postępowania karnego. W trakcie wywiadu mediota z Japonii pyta go o opinię na temat wypowiedzi Sheridan o Czerwieni.

- Jak pan sądzi, czy ona istnieje naprawdę?

Matugo siedzi w wyściełanym fotelu w jakiejś bogato wyposażonej bibliotece z meblami z ciemnego drewna, ozdobionej afrykańskimi sztychami. Jest żołnierzem i uczonek; wrodzone poczucie własnej godności odzwierciedlają jego postawa oraz powściągliwa mina, które sprawiają, że wydaje się starszy, niż jest. Jednak krótkie, mocno kręcone włosy nie ujawniają śladów siwizny, a skóra twarzy o wyrazistych, regularnych rysach jest gładka. Na pytanie medioty odpowiada bez wahania zdecydowanym tonem:

- Wyniki zamówionych przeze mnie badań wskazują, że tak, coś istnieje, coś o rozległym zasięgu i wpływach, zdolne reżyserować zbiegi okoliczności - siła przerażająca w takim samym

stopniu, jak wszystko, co dysponuje ogromną władzą.

- Sądzi pan zatem, że obawy pani Sheridan były uzasadnione? - docieka mediota. - Nawet jeśli podjęła niewłaściwe działania?

- Nie, wcale tak nie uważam. Ktoś musi sprawować władzę. Zaakceptujmy to, a wówczas pozostaje pytanie:

Komu ufamy? Do tej próby wymierzenia sprawiedliwości -wykonuje mglisty gest ręką - która zyskała tyle pochwał, nie doszłoby bez subtelnego wpływu owego tajemniczego jestestwa, bez Czerwieni.

Pochyla się w fotelu.

- Czerwień istnieje i pozbycie się jej - o ile chcielibyśmy tego - przekracza, technicznie rzecz biorąc, nasze możliwości. Nie popełniamy błędu - jest niebezpieczna. Nikt nie rozumie w istocie jej celów. Nie wiemy, czy ma w ogóle jakiegokolwiek inne zamiary poza tym jednym - utrzymać prosperity na rynku lub rynkach, na wielu polach, na których możemy szukać, i może znaleźć to, co pobudza nasze dusze. To nie zawsze jest dobre, gdyż dusza ludzka jest równie często zepsuta, jak i piękna, ale to z całą pewnością jest lepsze od nuklearnej anihilacji, zanieczyszczenia środowiska czy zmian klimatycznych, które tutaj, w strefie równikowej, zabijają nas naprawdę. Tragedia rasy ludzkiej polega na tym, że rzeczywiście potrzebujemy tego bytu, gdyż nie jesteśmy wystarczająco śmiali lub mądrzy, żeby samodzielnie dorównać naszym możliwościom.

Później zbieramy się przy kawie, żeby uczcić wyrok skazujący. Rawlings wygłasza krótką mowę o tym, że ci, którzy zginęli, nie umarli na próżno. Gratulujemy sobie wzajemnie. A potem wracamy do naszych spraw.

Delphi idzie do piwnicy, żeby pomóc Jonesowi w analizach dowodów zebranych podczas misji „Czarny Feniks”. Ja spędzam następne dwie godziny na wspólnym treningu fizycznym obu plutonów, podczas którego wyraźnie się ujawnia ogromny spadek mojej kondycji fizycznej. Dostaję godzinę na prysznic, zjedzenie czegoś i próbę przekonania własnego ciała, że jest mu tutaj lepiej niż w więzieniu. Potem następuje czterogodzinna szczegółowa odprawa. Po jej zakończeniu Rawlings odciąga mnie na stronę i stara się przekonać, że muszę mieć nowego opiekuna, ale nie zgadzam się z nim.

- Delphi jest najlepsza - upieram się. - Jeśli mamy to zrobić, chcę pomocy najlepszych.

\*

Czas wolny mam dopiero późnym popołudniem, a wtedy jedyne, czego chcę, to siedzieć na werandzie w bujanym fotelu - i robię to.

Z mojego punktu obserwacyjnego na ganku widzę jednopasmową drogę asfaltową, która wspina się na odległe o jakieś siedemset metrów wzniesienie, po czym znika za nim. Na równinie, na wschód od szosy, rosną wysokie drzewa okryte świeżą zielenią, a ich korony

migoczą, kołysane lekkim, stałym powiewem. Moja nakładka identyfikuje je jako topole amerykańskie. Niebo jest jasnoblękitne, z kilkoma zaledwie chmurkami; krążą na nim leniwie dwa jastrzębie. Obserwuję je przez minutę, aż coś innego przykuwa moją uwagę: ledwo zauważalny niebieski błysk, niczym cienkie jak włos pęknięcie firmamentu.

Dron nadzoru. Delphi, reformatując mnie, przywróciła mi wszystkie uprawnienia dowódcze, więc podłączam się do widoku z anioła. Leci nad drogą z południa. Na autostradzie daleko za nim widzę skąpy ruch. Na wschodzie zbierają się burzowe chmury. Kiedy dron przelatuje cicho nad zagajnikiem topól, spoglądam na błyszczący strumień płynący pod drzewami. Są w nim ryby, w gałęziach drzew trzepoczą ptaki, a dobrze wydeptaną ścieżką, prowadzącą spomiędzy topól ku drodze, idzie samotna osoba. Anioł identyfikuje ją jako Mandy Flynn. Ma na sobie brązowe bojówki, T-shirt, wizor i neuroskalp. Spogląda w górę na werandę, na której siedzę, prostuje barki i podejmuje poprzednie tempo, zbliżając się do domu.

Coś się dzieje.

Obserwuję ją oczami anioła, póki dron nie odlatuje w swoją stronę. Po chwili Flynn stoi przede mną na trawniku.

- Poruczniku?

W jej zielonych oczach widać niepokój. Jest zaraźliwy. Wstaję i podchodzę do schodków.

- Mógłby pan pójść ze mną i rzucić na coś okiem, sir? To nie potrwa długo.

- Coś nie tak, Flynn?

- Nie, sir. Nie. Nie tak, jak pan myśli. Proszę po prostu pójść ze mną.

- Dokąd.

- Niedaleko.

Prowadzi mnie z powrotem na asfaltową drogę, oglądając się co kilka kroków, ale nie patrząc mi w oczy. To wprawia mnie w skrajne zdenerwowanie. Ten stan wywołuje we mnie wszystko, co jest nieoczekiwane bądź niewyjaśnione.

- Flynn, co do...?

- Odrobinę dalej, sir.

Nie chce powiedzieć, o co chodzi. Mówię sobie, że muszę to uszanować, gdyż łączy nas zaufanie, definiuje lojalność. Flynn nie było z nami w hangarze, ale gdybym pozwolił sobie myśleć, że mogła nas zdradzić, byłoby to zdradą tego, kim jesteśmy. Idę więc w milczeniu, wstydzając się swoich wątpliwości.

Docieramy do ścieżki, którą widziałem wzrokiem anioła. Rosnąca pod drzewami wiosenna

trawa została skoszona na taką wysokość, że łatwo się w niej idzie. Strumień płynie gdzieś przed nami, ale zanim do niego docieramy, wchodzimy na polanę. Pośrodku stoi pomnik - szary, granitowy obelisk, niemal dwumetrowej wysokości, ustawiony na gładkim, okrągłym cokole z jakiejś żywicy, która sprawia wrażenie czarnego szkła.

Na tej podstawie, plecami do monumentu, siedzi Matt Ransom w biało-szarym polarnym kombinezonie, jakie nosiliśmy w czasie misji „Brzask”. Podnosi głowę, patrzy mi w oczy, a potem znika.

Odskakuję w tył, sięgając po broń, której nie mam.

- Jasny gwint!

Serce wali mi młotem w piersi, gdy się odwracam i trę oczy, jakbym mógł je zrestartować. Zdawało mi się, że dobrze sobie radzę z całym tym szajsem, ale skoro zaczynam mieć zwidy..

Flynn dotyka mojego ramienia.

- W porządku, poruczniku. To tylko to miejsce. Jest dla nas. Żebyśmy o nich pamiętali, rozumie pan?

- Co ty mówisz?

- Widział pan Ransoma, prawda? Tak to działa.

Oboje obchodzimy pomnik. Szukam nazwisk poległych, ale widzę jedynie kryptonimy misji: „Brzask” i „Cicha Przecinka”.

- „Cicha Przecinka” będzie zawsze tajemnicą - odzywa się Flynn przepaszającym tonem. - Tak powiedział pułkownik Rawlings, więc nie umieszczamy nazwisk na obelisku. - Dotyka wizora. - Ale są tutaj. Możemy ich zobaczyć. Pan i ja, sierżant Nolan i kapitan Vasquez. I Rawlings. Tylko my.

Podnoszę wzrok i miga mi postać Jaydena Moona między drzewami, obok ścieżki, którą tutaj przyszlismy. Wysoki i chudy, uśmiecha się do mnie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. To jest półsekundowe wybaczenie, a potem znika bez śladu.

Znowu oddycham.

- To projekcja na pańskiej nakładce - wyjaśnia cicho Flynn.

- Taa. Jak zdobyłaś dostęp?

- Delphi to skonfigurowała.

Siadamy na czarnym, żywicznym cokole obelisku. Drzewa szumią w górze, strumyk szemrze, ptaki śpiewają do siebie, i z wolna, gdy dzień się chyli ku końcowi, dostrzegam pozostałych: Vanessę Harvey, Samuela Tuttle'a, Anne Shimę i Stevena Kendricka.

- Kiedy pana nie było - mówi Flynn - uważaliśmy przez te pierwsze dni, że już pana nie zobaczymy.

- Umieściłaś mnie tutaj, Flynn?

Wzrusza ramionami. To nie jest pytanie, na które chciałaby odpowiedzieć.

- Ten pomnik... to był twój pomysł, co?

Ponownie wzrusza ramionami, unikając mojego wzroku.

- Dobrze zrobiłaś - chwalę ją.

Formalnie rzecz biorąc, Eduard Semak nie jest problemem Amerykanów, ale nikomu nie podoba się pomysł, że zagubione ładunki jądrowe mogą pewnego dnia zostać użyte przeciwko nam. Zatem po piętnastu dniach, poświęconych na ocenę zdobytych plików, analitycy ogłaszają nową misję, pod kryptonimem „Wrota Nieważkości”.

Plan jest prowizoryczny i ma wiele niewiadomych.

Jedną z nich jest Amity.

W trakcie pierwszej odprawy powiedziałem Jonesowi o jej wizycie na dzień przed atakiem.

- Nazywaliśmy ją Amity, lecz to nie jest jej imię. Nie potrafiłem jej zidentyfikować, ale mówiła z lekkim rosyjskim akcentem.

Podczas późniejszego spotkania analitycy pokazali mi zdjęcie.

- Tak - potwierdziłem. - To ona.

Dowiedziałem się, że naprawdę nazywa się Uljana Kur-nakowa. Jest nowym nabytkiem wśród sześciu pilotów latających dla Sidereal Transit Systems. Wcześniej przesłużyła rzekomo dwadzieścia pięć lat w rosyjskich siłach powietrznych. Analitycy nie znają szczegółów.

- Przebieg jej kariery to wielka niewiadoma - przyznaje Jones, gdy spotykamy się ponownie w sali odpraw, żeby omówić plan „Wrót Nieważkości”. - Nie znamy szczegółów jej życia prywatnego, więc nawet się nie domyślamy kierujących nią motywów. Mogła wymyślić ten plan, żeby przejąć kontrolę nad życiem i bogactwami Semaka, z powodu urazy, za sprawą zwykłych motywów najemniczki albo z jakiejś innej przyczyny, która przyszła jej do głowy.

Syntetyczny głos nie przekazuje frustracji, ale wyobrażam sobie, że i tak ją słyszę.

Analitykom nie udało się także połączyć Uljany Kurnakowej z Exalt Communications. Nie jest żadną z dyrektorek, udziałowczyń, pracowniczek ani nie jest związana z kimś takim, więc Jones uważa ją za osobę postronną, współpracującą dla korzyści doraźnych.



- Mogłaby być więc otwarta na zawiązanie nowego sojuszu z nami.

Jestem sceptyczny i przypominam im o jej wrogości wobec mnie.

- Nie chciała, żebym w tym uczestniczył. Nie kupowała forsowanej przez Shiloh taktyki króla Dawida.

- Jednak nawet jeśli się jej to nie podobało - mówi Delphi - to i tak chciała wykonać to zadanie z tobą. Jest więc zmotywowana.

- Od tamtej pory zabiliśmy Shiloh i Crowa. To mogło ją zniechęcić.

- Nie zapadła się pod ziemię. Nie zniknęła.

- Dwadzieścia pięć lat służby, o której nic nie wiemy -zastanawia się głośno Jaynie. - Umiałaby zniknąć, gdyby tego chciała, nie sądzisz, Jones?

- Rozsądne przypuszczenie - potwierdza Jones.

- Ale nie zniknęła. Co oznacza, że nie jest strachliwa. Poza tym ona chciała, żebyś wiedział, Shelley, że ta operacja jest jej pomysłem. Nie zdziwiłabym się, gdyby to ona zwerbowała Shiloh, a nie na odwrót. To pragmatyczka. Zrobi, co musi zrobić, żeby dostać to, czego chce, a tym samym możemy przeciągnąć ją na naszą stronę, jeśli zabierzemy się do tego właściwie.

Jeśli zrobimy to źle, „Wrota Nieważkości” się nie otworzą. Istnieje znikoma szansa, że moglibyśmy przekupić innego pilota, ale wolę takiego, który pozbył się już skrupułów.

Wywiązuje się długa dyskusja na temat najlepszego sposobu dotarcia do Kurnakowej. W końcu zapada zgoda, że to ja powinienem ją zwerbować, gdyż coś nas już połączyło, nawet jeśli nie w pozytywnym sensie.

- Nieważne, czy cię lubi - stwierdza Jones. - Liczy się słuszność oraz organizacja, która stoi za tobą. Jeśli pragnie tego wystarczająco mocno, będzie z tobą współpracowała. Jeśli nie, jeśli uznała już, że to był błąd, to nie ma znaczenia, kogo wyślemy. Nie zgodzi się współdziałać.

Lecę zatem do San Antonio.

- Nie sam — sprzeciwia się Rawlings. — W zewnętrznym świecie jesteś celem. Było na to dość dowodów. Pojedzie z tobą druga drużyna, żeby dopilnować, że wrócisz.

- Nie, pułkowniku. To nie jest dobry pomysł.

Jaynie popiera mnie.

-Kurnakowa uzna, że to szwadron śmierci. Polecę z Shelleyem. Dwoje wystarczy. A jeśli wpadniemy w kłopoty? Wtedy możecie wysłać wsparcie.

- Ja też jadę - oświadcza Delphi.

I tak po prostu wali mi serce.

- Nie masz odpowiedniego wykształcenia, żeby działać w terenie - oponuje zdumiona Jaynie.

Delphi opiera się swobodnie w fotelu.

- To nie jest akcja bojowa, tylko wycieczka do San Antonio.

Przyglądam się jej, czekając na nieuchronne migotanie ikony neuronetki.

Rawlingsowi nie podoba się ten plan.

- Tylko niezbędny personel. Nie ma potrzeby, żebyś leciała.

- Chcę tego.

Jaynie krzyżuje ramiona na piersi i opiera się w fotelu, przechylając głowę, żeby spojrzeć na mnie.

- Masz jakieś zdanie w tej kwestii?

Logicznie rzecz biorąc, Rawlings ma rację, ale zostawiłem Lissę i straciłem ją.

Delphi wie, o czym myślę.

- Nikt z nas nie jest bezpieczny - przypomina mi. - Nigdzie. Chcę powiedzieć, że to misja dyplomatyczna, a ani ty, ani Vasquez, nie jesteście znani z dyplomatycznego podejścia. Jadę więc.

\*

Nie wyruszamy od razu. Potrzebuję więcej czasu na dojście do siebie i odzyskanie kondycji, mija więc dziesięć dni, zanim mały, wycarterowany, czteroosobowy samolot śmigłowy zabiera nas do San Antonio.

Delphi była zajęta współpracą z zespołem wywiadu Tajnej Strzały, a zespół był zajęty śledzeniem Kurnakowej. Wiemy więc, że jest w mieście, wiemy, gdzie mieszka, znamy numer jej telefonu oraz trasę, którą porusza się regularnie między ekskluzywnym apartamentem a kompleksem startowym Sidereal Transit Systems.

Kiedy lądujemy, dzwonię do niej, korzystając z telefonu dostarczonego przez Rawlingsa. Rozmowa zostaje przekierowana na pocztę głosową. Mówię: „Nadal możemy to zrobić, Amity. Zadzwoń do mnie. Pogadajmy”.

Kurnakowa oddzwania w chwili, gdy odbieramy wynajęty samochód. Głos ma cichy z napięcia.

- Niemal miesiąc milczenia, a potem się odzywasz. Wycofali się? Czy zostali spaleni?

- Spaleni.
- Przez kogo?
- Moich ludzi.
- Mówiła, że jesteś sam.
- Miała taką nadzieję.

Mija kilka sekund, w czasie których Kurnakowa zastanawia się nad tym. Potem odzywa się pogardliwym tonem:

- Dzwonisz do mnie teraz, bo ci się wydaje, że możesz zbić fortunę?
- A dlaczego ty to robisz?

Waha się ponownie.

- Eduard jest powodem, dla którego latam w STS. Załatwił mi tę robotę... i uważa, że wszystko jest w porządku, rozumiesz?
- Ale nie jest?
- Nigdy nie będzie.

Szuka zatem sprawiedliwości. Wiem coś o tym. Znam to uczucie. Będzie się wahała i negocjowała, ale chce tego rozpaczliwie, więc w końcu zrodzi się kruche zaufanie. A misja? Jeśli zdołamy złożyć wszystkie elementy, zaczniemy działać.

\*

Spotykamy się twarzą w twarz w anonimowym biurze, wynajętym na jeden dzień w parku biznesowym. Kurnakowa doprecyzowuje sytuację.

- Ja zapewniam transport, tak? Dostęp? Wy organizujecie wszystko inne.

Siedzimy wokół nijakiego stołu, a kremowej barwy żaluzje osłaniają nas przed ostrym, teksańskim słońcem. Delphi przejmuje ster rozmowy.

- Zapewniamy wsparcie naziemne, nadzór, pomoc po misji, łącznie z aspektami prawnymi, i oczywiście Shelleya, wyszkolonego do przeprowadzenia samego ataku.
- Też jestem żołnierzem - mówi Kurnakowa, patrząc na mnie. - Zrobię, co będzie trzeba.

Kiwam głową. To definicja tego, czego się podejmujemy. Nie chcę wnikać zbyt głęboko w to, co jest dobre, a co złe. Wątpliwości wsączają się jak woda w drobne szczeliny naszych przekonań i kiedy zostawić nas chłodnym, ponurym rozmyślaniom o tym, co to wszystko

oznacza, to owe wątpliwości mogą zamarznąć i rozsadzić fundamenty kierującej nami woli. Powtarzam więc sobie tak często, jak trzeba, to, co powiedziała mi Shiloh, a co od tamtej pory sam potwierdziłem: Eduard Semak jest bardzo złym człowiekiem.

Jaynie decyduje się na swój ruch. Pochyla się, opiera jeden łokieć na stole i mówi:

- Ja też wyruszam na tę misję.
- Nie - sprzeciwia się Kurnakowa. - To niemożliwe. Lecieć może tylko jedna osoba.
- Musisz przygotować miejsce dla dwojga.
- Nie. Tego nie da się zrobić. Shelley zajmie miejsce technika. Dodanie kolejnego pasażera wymagałoby zmiany planu startowego, a to zwróciłoby na nas uwagę, której nie pragniemy, oraz wywołałoby pytania, na które nie możemy odpowiedzieć. Zatem nie. Może lecieć tylko jedna osoba.
- Zatem ja nią będę - stwierdza Jaynie. Podnosi rękę, żeby uprzedzić mój protest. - Korzystam ze starszeństwa stopnia.

I tak się sprzeciwiam.

- Nie szkolilaś się do tego.
- Jest na to czas.
- Nie ma urzędnika treningowego.

Delphi przerywa nam ostrym głosem:

- Decyzja nie należy do żadnego z was. Podejmą ją planiści misji.
- Zostanie podjęta przeze mnie - zaprzecza Kurnakowa, stukając w blat stołu porządnie wymanikiurowanymi paznokciami. Zwraca spojrzenie na mnie. - Shiloh cię wybrała. Nie zgadzałam się z tym. Uważałam to za irracjonalną decyzję - ale ona nie żyje, a ty, król Dawid, żyjesz, jesteś wolny...

-I chętny.

Kurnakowa kiwa głową.

- Skoro tak mówisz. - Odwraca się do Jaynie. - Szanuję starszeństwo stopni, ale w tym wypadku zastosujemy się do pierwotnego planu misji. To będzie Shelley... o ile w ogóle polecimy. - Jej wzrok wędruje ku mnie. Podnosi rękę, dotykając palcem kącika oka. - Semak ma nakładkę. Znasz tę technologię?
- Shiloh mówiła o tym - stosuję wykręt.

- Dane, które chcemy zdobyć, znajdują się w jego nakładce. - Dłoń Uljany wraca na stolik. - Shiloh wiedziała, jak je stamtąd wydostać. Dzięki temu była dla mnie przydatna. - Zatacza ręką półkole, ale nie jest jasne, czy wskazuje stół, czy cały świat. - Cała nasza gadanina psu na buty się zda, jeśli nie zdołamy przejąć kontroli nad nakładką Semaka, poznać wszystkich jego haseł i prywatnych plików. Tę umiejętność muszą wnieść do misji wasi ludzie... albo nie będzie żadnej misji.

Delphi pochyla głowę, uśmiechając się z wyrachowaniem.

- Mamy współpracownika, który jest zaznajomiony z takim ściąganiem danych. Więc tak, będziemy w stanie to zapewnić.

Zerkam na Jaynie. Ma na twarzy wojowniczy wyraz, który mówi mi, że dyskusja o tym, kto weźmie udział w operacji, nie jest jeszcze skończona. Kiedy jednak unoszę pytająco brew, chcąc wiedzieć, czy potwierdza opinię Delphi, w odpowiedzi kręci nieznacznie głową.

Kurnakowa to zauważa. Stuka ponownie w blat stołu.

- Będę chciała dowodu, że to potraficie.
- Przed upływem tygodnia - zapewnia ją Delphi.

W związku z tym, że lot Sidereal Transit Systems w celu odwiedzenia Eduarda Semaka jest zaplanowany za dwanaście dni, to bardzo blisko terminu startu, ale ku mojemu zaskoczeniu Kurnakowa przystaje na to.

- Niech tak będzie. - Opuszcza wzrok, jej palce wystukują powolny rytm. - Misja została odłożona już dwukrotnie. Myślę, że to niebezpieczne opóźnić ją ponownie. To bardzo stary facet, bardzo słabowity. - Spogląda na mnie. - Chcesz to zrobić, królu Dawidzie. I ja tego chcę. Jeśli jednak on umrze, zanim tam dotrzemy, będzie za późno. Żadne z nas nie dostanie tego, co chce.

A czego ona pragnie? Składam swoje życie w jej ręce, więc chcę ją zrozumieć.

- Tu nie chodzi tylko o forszę, prawda, Uljano? Nie, jeśli chodzi o ciebie. O czymś nam nie mówisz. Dlaczego go nienawidzisz?

Odchyła się z wojowniczym spojrzeniem.

- A kto by go nie nienawidził? To człowiek, który zasługuje na nienawiść. Człowiek, który czerpie rozrywkę z korumpowania wszystkich wokół siebie. Nienawidzą go jego własne dzieci. Nienawidzą go wnuki. Nie ma na całym świecie ani jednej osoby, która będzie go żałowała, kiedy umrze.

Jej spojrzenie ostrzega mnie, żebym nie zadawał więcej pytań, ale i tak to robię.

- I zamierzasz go zabić?

Przygląda mi się przez kilka sekund.

- Już raz to powiedziałam, poruczniku Shelley - mówi. - Jestem pomysłodawczynią tej operacji i przeprawa-dzimy ją tak, jak została zaplanowana. Moim celem jest ujrzeć Eduarda Semaka odartego z władzy. Chcę, żeby poznał, czym jest bezradność. Chcę, żeby nie mógł więcej szkodzić światu. O tym, co się zdarzy później - obraca prawą rękę dłonią do góry - zdecyduje los.

Ładna przemowa, ale wciąż nie wyjaśnia wszystkiego.

Jaynie wykorzystuje moje wahanie.

- Wycofujesz się, Shelley?

-Nie.

Mówię sobie, że dopóki Kurnakowa będzie wykonywała tę misję zgodnie z planem, to nie ma w istocie znaczenia, dlaczego to robi.

- No to do roboty - rzuca Delphi szorstkim tonem. -Zanim się rozstaniemy, musimy przedyskutować sprawę łączności i logistyki.

\*

Jest środek czerwca i San Antonio smaży się w czterdziestosześcioletnim upale. Nie czuję bezpośrednio robocimi stopami parzącej powierzchni asfaltu parkingu, ale czuję ciepło płynące przez złącza tytanu z żywą kością ud. Powietrze w samochodzie nie nadaje się do oddychania, a fotele parzą. Delphi uruchamia silnik i włącza klimę na maksa. Jaynie zajmuje miejsce obok kierowcy, a ja jestem młodszym oficerem, który utknął z tyłu.

W San Antonio nie wybuchła żadna bomba, ale siedem miesięcy po Dniu Komy jego skutki są nadal widoczne. Jest późne przedpołudnie dnia roboczego, ale parking kompleksu biurowego jest zajęty tylko w połowie. W drodze do wyjazdu mijamy kilka zakurzonych samochodów stojących na kapciach i porzuconych przez właścicieli, którzy przypuszczalnie nigdy nie wrócą.

Kiedy wyjeżdżamy z parkingu i włączamy się do ruchu, Jaynie mówi:

- Nie podoba mi się oddanie Kurnakowej kontroli nad misją.

- A ja nie chcę, żeby Shelley na nią leciał - odpowiada Delphi. - Ale prawda jest taka, że on przeszedł szkolenie, a ty nie. I nie odniosłam wrażenia, żeby Kurnakowa uważała tę kwestię za otwartą. Wybór mamy taki, że albo możemy pozwolić Shelleyowi lecieć, albo odwołać operację.

Pochyliłam się z dłonią na oparciu fotela Jaynie.

- Nie chcę odwoływać misji. Musimy ją wykonać.

Jaynie spogląda na mnie przez ramię, wzrok ma inkryminujący, chociaż nie bardzo wiem, o co mnie oskarża. Odwraca się do Delphi i pyta:

- Kogo miałaś na myśli, kiedy wspomniałaś o współpracowniku zajmującym się ściąganiem danych?

Widzę we wstecznym lusterku, że Delphi marszczy brwi.

- Nie zajmuje się tym... jeszcze nie... ale rozumie ten proces.

Nie to chcę usłyszeć.

- Co to znaczy? Możemy to zrobić czy nie? Z tego, co powiedziałaś Kurnakowej...

- Nadal mamy tydzień na dopracowanie szczegółów.

- Kim jest ten współpracownik? - docieka Jaynie.

Delphi prostuje barki w taki sposób, w jaki robią to ludzie, którzy czują się niezręcznie, a chcą wyglądać na wy-luzowanych.

- Joby Nakagawa współpracuje z nami jako technik informatyk...

- Nakagawa? - przerywa jej Jaynie. - To cholerne ryzyko. To jego program pozwolił Shiloh włamać się Shelleyowi do głowy.

Myśląc o implikacjach, jestem wstrząśnięty. Joby traktuje swoją pracę śmiertelnie poważnie, ma ognisty temperament i lubi myśleć o sobie, że jest najmądrzejszy. Popełnił jednak fundamentalny błąd. Zaufał niewłaściwej osobie. Pozwolił, żeby do mojej nakładki miała dostęp jego asystentka, która sprzedała mnie Shiloh.

- Musiał być mocno wkurzony, kiedy się zorientował, co zaszło - mówię.

- Zimna furia - potwierdza Delphi. - Odkrył miejsce twojego pobytu dzięki uaktualnieniom, które zdołałeś przesłać, a kiedy się dowiedział, że wkraczamy samodzielnie, dał nam roboowady w celu przeprowadzenia operacji. -Zerka na Jaynie. - Przy okazji - spisały się znakomicie. Żadnego wyłomu w zabezpieczeniach.

- Dobra nasza.

- Chciał, żeby Shiloh oberwała.

Nikt mi nigdy nie powiedział, co spotkało asystentkę Joby'ego. Nie podnoszę tematu. Naprawdę nie chcę wiedzieć. Wobec tego pytam o coś innego:

- Czy Joby wie, jak ściągnąć dane z nakładki Semaka?

- Teoretycznie - odpowiada Delphi. - Praktycznie? Nie byłam w stanie uzyskać od niego

zdecydowanej odpowiedzi, ale kiedy mu powiedziałam, że jedziemy do San Antonio, to kazał przywieźć cię do laboratorium. - Uśmiecha się z lekkim niepokojem. - Powiedział, że przydałby mu się królik doświadczalny.

\*

Tereny sąsiadujące z autostradą wyglądają na zapuszczone i zniszczone. Elektryczność jest droga, a mnóstwo ludzi nie ma pracy. Ci, których nie stać na klimatyzację, wyszli na zewnątrz i ustawili prycze, stoły i kuchenki na propan-butan pod prowizorycznymi zadaszeniami z prześcieradeł. Osłonięte są także ogródki warzywne, a dzieciarnia bawi się pod spryskiwaczami.

Szczęściem dla nas klimatyzacja będzie działała w Kelly Army Medical Center, gdzie Joby ma swoje laboratorium. Samowystarczalny energetycznie budynek był oazą w chaosie panującym po Dniu Komy. Po akcji w Czarnym Krzyżu spędziłem tam tydzień z Lissą, gdy naprawiano moje dodatki czyniące ze mnie cyborga. Potem wyjechałem na misję „Brzask” i nigdy więcej nie ujrzałem Lissy.

Od tamtej pory tyle się wydarzyło, że mam wrażenie, jakby to było w innym życiu. Kiedy skręcamy na podjazd, biorę się w garść, spodziewając się napływu wspomnień, ale to nie przeszłość mnie dopada, tylko przyszłość - pustka zaprzepaszczonego życia Lissy, wszystko to, co mogłaby zaoferować światu, mnie... zredukowane do zera. Nie ma nawet jej prochów.

Delphi zatrzymuje samochód przed posterunkiem kontrolnym i przygląda mi się badawczo niebieskimi oczami we wstecznym lusterku.

- W porządku?

Jaynie zerka przez ramię, zastanawiając się, o co chodzi, a ja przyjmuję kamienny wyraz twarzy.

Wojna kradnie przyszłość. W Dniu Komy anihilowała mniej więcej dziewięćdziesiąt trzy tysiące istnień.

To może się zdarzyć ponownie. Ale niech mnie szlag, jeśli dojdzie do tego na mojej służbie.

- Nic mi nie jest - zapewniam Delphi. - Chcę tylko mieć pewność, że „Wrota Nieważkości” mają zielone światło. To wszystko.

Żandarm na posterunku sprawdza naszą tożsamość, odhaczając nazwiska na liście gości Joby'ego.

- Może pani jechać - zwraca się do Delphi. A potem dodaje: - Dziękuję za waszą służbę, poruczniku Shelley, sierżant Vasquez. Poruczniku? Witamy ponownie.

\*



Uciekamy jak najszybciej z bezlitosnego żaru parkingu w cień panujący pod portykiem, a potem poza szklane drzwi wejściowe centrum medycznego, gdzie wita nas boski powiew klimatyzacji oraz uśmiechnięci przedstawiciele personelu pielęgniarskiego i pomocniczego o znajomych twarzach. Kiedy tutaj przebywałem, pomogło mi wielu ludzi. Przechodząc przez lobby, wymieniam z obecnymi objęcia, uściski dłoni i pozdrowienia.

- Witamy ponownie, poruczniku Shelley.
- Cieszę się, że widzę pana tym razem w jednym kawałku!
- Najlepsze, co kiedykolwiek zrobił prezydent, to to, że was ułaskawił.
- Wiemy, co pan dla nas zrobił, i nie obchodzi nas, co mówią o panu medioci.

\*

Zjeżdżamy windą do podziemia. Korytarz jest pusty. Po drodze mijamy kostnicę. Naciskam klamkę drzwi laboratorium Joby'ego; nie są zamknięte.

- Przygotujcie się - ostrzegam.

Popycham drzwi i zaglądam ostrożnie do środka.

Główne pomieszczenie laboratorium wygląda dokładnie tak, jak je zapamiętałem. Rupieciarnia, pełna wiszących u sufitu modeli samolotów, sterowców i pojazdów raketowych; pod ścianami stelaże z robocimi protezami. Z boku, na stołach warsztatowych, piętrzy się sprzęt, ale środek pomieszczenia jest pusty i niezabałaganiony, przy czym dalszą część podłogi pokrywa beżowy dywan.

Nie widzę Joby'ego, ale w przeciwległym rogu są otwarte drzwi.

Wchodzę pierwszy. Za mną Delphi i Jaynie. Panuje cisza, póki drzwi za nami się nie zatrzasną. Potem rozlega się ciche brzęczenie. To dźwięk, który już słyszałem, więc reaguję odruchowo, odwracając się i schylając na widok eskadry trzech małych, czarnych, pszczelich dronów, która podrywa się ze stołu warsztatowego i śmiga w naszą stronę. Albo raczej w moją. Urządzenia są replikami dronów ochrony, które zaatakowały nas w budynku Reyvik Biosystems i użądliły Flynn. Odsuwam się od obu kobiet. Drony podążają za mną, tworzą formację odwróconego V i mierzą w moją twarz.

- Niech cię szlag, Joby! - klnę, schylając się nisko.

Eskadra przelatuje mi nad głową.

- Powiedziałeś, że te są lepsze.

Widzę go przelotnie w drzwiach w głębi pomieszczenia, ale nie śmiem oderwać wzroku od pszczelich dronów, gdyż te zawracają i obierają ponownie na cel moją facjatę. Tylko jednej

części mojego ciała nie grożą ich szklane igły, więc jej używam. Przenoszę ciężar na jedną nogę, a drugą wykonuję wysoki wykop w kierunku najbliższego latającego mechaowada. Robocie palce się zwierają, gwałtowny cios posyła drona pod sufit. Ku mojemu zaskoczeniu pozostałe dwa urządzenia podążają za nim i krążą wokół niego, gdy tamten stabilizuje lot, podskakując chybotliwie nad moją głową.

- Solidna robota - chwali Jaynie. -I mam na myśli zarówno nogi, jak i jadowite drony. A teraz zabierz je.

- Nie zrobiłem ich - stwierdza Joby z irytacją. - To masowa produkcja, o bardzo prymitywnym instynkcie stadnym.

W czasie jego wyjaśnień trzy małe drony ustawiają się w linii, przelatują mu z brzęczeniem nad głową, po czym znikają na zapleczu.

Zapada cisza. Joby patrzy na mnie; jasne brwi pod grzywką blond włosów ma ściągnięte w grymasie niezadowolenia. Ma jedynie sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, ale wysportowaną sylwetkę, z mięśniami wyćwiczonymi na siłowni.

- Przepraszam, że cię zhakowano - mówi.

Przeprosiny z jego strony są tak nieoczekiwane, że niemal proszę go, żeby powtórzył, ale powstrzymuję się i mówię coś bardziej dyplomatycznego:

- Nie wiedziałem, że dysponujesz takim dostępem do mojej nakładki.

Wzrusza ramionami.

- Właśnie o tym mamy pogadać.

Wchodzi do laboratorium, rozgląda się, zauważa składany fotel i stawia go na środku dywanu.

- Usiądź tutaj.

- Co chcesz zrobić?

- Po prostu usiądź.

Siadam, bo chcę mieć to z głowy.

Jaynie staje metr dalej ze skrzyżowanymi ramionami; pocieszająca obecność. Nie ufa Joby'emu i wygląda na gotową interweniować, gdyby musiała, natomiast Delphi weszła w tryb opieki. Okrąża powoli pomieszczenie laboratoryjne, szukając uważnie zagrożeń i wracając co kilka sekund niespokojnym spojrzeniem do Joby'ego w celu oceny niebezpieczeństwa.

Ten wyjmuję z kieszeni małe urządzenie, którego wcześniej nie widziałem. To biały, plastikowy walec o średnicy dwóch i pół centymetra, a długi na pięć. Na jednym końcu znajduje się czarny, kielichowaty kapturek z miękkiego tworzywa.

- Do każdej nakładki jest dostęp, tylne drzwi, które można otworzyć, jeśli się dysponuje odpowiednimi kluczami...

- Czekaj no. - Czytałem dokumentację dotyczącą słabych punktów zabezpieczeń. - Nigdy nie słyszałem nawet plotek o tylnych drzwiach.

Joby wzrusza ramionami.

- Nie jest to coś, czym producent chciałby się chwalić.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Tajemnica handlowa.

- Dupek.

- Kutas. W każdym razie - podnosi mi przed oczy urządzenie - to jest dowód, że Jasmine Harris wiedziała.

Jasmine Harris? Ach, racja, to prawdziwe nazwisko Shiloh.

- To się nazywa wyzwalacz optyczny - mówi Joby, trzymając urządzenie pionowo, niczym czarny kwiat na białej łydydze. - Znaleźliśmy go w budynku, w którym cię przetrzymywano. Oczywiście nielegalny w posiadaniu Exalt Communications, ale bezprawne było w końcu to, że cię więzili, więc ten drobiazg mieli w dupie.

- Taa. - Nie jestem pewny, czy Joby wie, że ludzie Shiloh przetrzebili o połowę mój oddział tylko po to, żeby było im łatwiej mnie pojmać, ale nie jest to coś, o czym chcę mówić. - Dzięki, że pomogłeś mi się stamtąd wydostać.

Joby marszczy brwi.

Miałbym stać z boku i pozwolić, żeby ktoś spieprzył jeden z moich projektów? - rzuca drwiąco.

- Taa, jak chcesz.

Sięgam po wyzwalacz, nie wiedząc, czy mi go da, ale to robi. Obracam urządzenie w dłoniach. Z boku ma przesuwany włącznik, a na obu końcach soczewki, z których jedna znajduje się na dnie czarnego, plastikowego kielicha, będącego niemal na pewno okularem. Spoglądam na Joby'ego.

-I co to ma wspólnego z włamaniem się do nakładki?

Uczyniwszy z kciuka i palca wskazującego kółko, Joby zerka przez otwór.

- Przyłóż do oka.

- Nie ma, kurwa, mowy. - Oddaję mu aparacik. - Przyłóż do swojego. Też masz nakładkę.

Odbiera urządzenie z chytrym uśmieszkiem, który mówi, że daleko mi od wywinięcia się od tego, co mu chodzi po głowie. Podnosi wyzwalacz do swojego oka. Spod krawędzi okularu błyska światło. Joby opuszcza urządzenie i wzrusza ramionami.

- Nic... ponieważ jest dostrojony do ciebie. - Oddaje mi ustrojstwo. - Spróbuj, fiucie. Nie zabije cię.

Jakbym miał dwanaście lat. RzUCA mi wyzwanie, więc je podejmuję. Przykładam sprzącik do oka. Światło rozbłyskuje na pół sekundy, co wystarcza, żebym dostrzegł długi, czarno-biały ciąg liter, cyfr, symboli i kodów paskowych. Odrywam aparat od oka, ale jest za późno. Wszystkie uśpione ikony zniknęły z mojej nakładki, zastąpione przez pojedynczy obrazek, który rozkwita pośrodku pola widzenia, powiększając się, aż nic spoza niego nie widzę.

- Co jest, kurwa?

Delphi przysuwa się tak blisko, że czuję jej przyciąganie grawitacyjne.

- Co się dzieje?

- Zostałeś odblokowany — mówi Joby.

Czuję, że Delphi łapie mnie za ramię.

- Powiedz, co jest grane, Shelley.

- To cholerstwo, ten wyzwalacz optyczny, usunął ikony z mojej nakładki, a na ich miejsce wprowadził nową - czerwone kółko z trzema tępyimi strzałami wewnątrz kręgu, skierowanymi na zewnątrz. Znajduje się dokładnie pośrodku mojego pola widzenia, więc nic nie widzę.

- Nie wstawaj - radzi Joby. - Możesz się przewrócić.

- Do kurwy nędzy, Joby! Co ten badziew zrobił z moją nakładką?

- Otworzył służbowe tylne wejście. Istnieje tam na wypadek. gdyby FBI chciało sprawdzić, co zmagazynowałeś w swojej głowie. A teraz wyluzuj, dobra? Przyłóżę wyzwalacz! ponownie do twojego oka. Nie uderz mnie.

- Kurwa - szepczę.

Delphi wzmacnia uścisk na moim barku, ale siedzę spokojnie, gdy Joby przyciska mi delikatnie urządzenie do lewego oczodołu. Czerwone strzały zieleńieją.

- Co się dzieje?

- Pobieranie informacji. Wszystko, co jest na twojej nakładce, zostaje zapisane w wyzwalaczu.

- Czekaj! - Odsuwam się od urządzenia i strzały czerwienieją ponownie. - To moje dane!
- Widziałem je już, i nie są znowu takie ciekawe.
- Zabierz mi sprzed oczu te pierdolone strzałki.
- Nie uderz mnie.

Ponownie zasłania mi oko urządzeniem. Widzę przepływający błyskawicznie strumień czarno-białych symboli, a potem obca ikona znika. Moja nakładka odzyskuje dawny wygląd.

- Skopiowanie wszystkiego trwałoby znacznie dłużej -odzywa się Joby, odsuwając ode mnie wyzwalacz optyczny - ale masz pojęcie, jak to działa.
- Idea sprowadza się zatem do tego, że wsadzam tę rzecz Semakowi w oko, a ona kopiuje wszystko, co tamten ma na swojej nakładce?
- Nie, kurwa. Niczego nie kopiuje.
- Nakagawa powiedział, że jest dostrojona do ciebie -przypomina mi Jaynie.
- Właśnie. - Joby obraca wyzwalacz w palcach. - Każda nakładka jest produkowana z unikatowym kodem dostępu, który musi zostać zeskanowany do wyzwalacza optycznego, zanim może dojść do synchronizacji.

Dobra, widzę, do czego to zmierza.

- A ty nie masz kodu Semaka?
- Nie mam nawet własnego.
- Czekaj... to jakim cudem masz mój kod dostępu? Skąd go wzięłeś?

Joby uśmiecha się cynicznie.

- Z twoich wojskowych akt personalnych. Kiedy po akcji w Czarnym Krzyżu zakładano ci nową nakładkę, ktoś postanowił skopiować twój rzekomo tajny kod dostępu. Nie mam pojęcia, w jaki sposób go zdobyli ani dlaczego, ale przynajmniej wiemy teraz, że jest właściwy, a urządzenie działa.

Jaynie nie ma wiele cierpliwości dla bzdur.

- Tak dla jasności - odzywa się lodowatym tonem. -Wśród materiałów zdobytych podczas akcji „Czarny Feniks” nie znaleziono kodu dostępu nakładki Semaka?
- Nie. Przeszukałem wszystko i nie znalazłem niczego. Jeśli Jasmine Harris miała ten kod, to przechowywała go prawdopodobnie na własnej nakładce.

- Jeśli go miała - mówi Delphi z namysłem. - Sądzisz, że tego im brakowało?

- Zgaduj-zgadula? - pyta Joby. - Nie, Harris miała kod, i to od początku. Głupotą byłoby ryzykować, gdyby nie była pewna, że może się włamać do nakładki Semaka. Zaatakowała budynek sądu federalnego, a gdy to się nie udało, zabiła członków Oddziału Apokalipsy...

Wie zatem.

- ...więc musiała być pewna.

- Jak zdobędziemy kod? - pyta Jaynie.

Joby odbija piłeczkę.

- A jak zdobyła go Harris?

- Powiedziałabym, że przekupiła kogoś.

- Myślę, że jest bardziej prawdopodobne, że to była wewnętrzna robota, że miała w swojej organizacji kogoś, kto pracował dla producenta - kogoś z wysokim poziomem dostępu, kto mógł niezauważenie skopiować kod.

- Możemy ponownie przeanalizować zdobyte informacje - mówi Delphi, chodząc swoim niespokojnym krokiem po pomieszczeniu. - Mogą istnieć wskazówki na temat tej osoby...

Kiedy rozmawiają, wstaje, składam fotel i odnoszę go pod ścianę, milcząc z powodu niepokojącego podejrzenia, że wszystko to miało się zdarzyć i zostało zaplanowane wiele lat temu.

Przerywam ich dyskusję.

- Joby. - Wszyscy troje odwracają się do mnie. - Jak wysoko, twoim zdaniem, trzeba się znajdować w hierarchii korporacyjnej, żeby mieć tego typu dostęp?

Joby podaje Jaynie wyzwalacz optyczny.

- Dlaczego pytasz? Znasz kogoś? Ktoś jest ci winny przysługę?

Żartuje, ale w istocie znam kogoś takiego.

- Mark Graham, mój kuzyn. Jest inżynierem cybernetykiem. Jednym z założycieli firmy. Wyposażył mnie w pierwszą nakładkę na rok przed tym, zanim produkt został oficjalnie dopuszczony do sprzedaży.

Może pierwszy raz w życiu Joby wydaje się być pod wrażeniem.

- Nie zalewasz?

Wymieniamy spojrzenia, jakby żaden z nas nie był w stanie uwierzyć, że to zbieg okoliczności. Adrenalina buzuje mi w żyłach, gdy staram się oszacować prawdopodobieństwo, że będę znał jednego z kilkorga zaledwie ludzi na świecie, który może zdobyć niezbędny nam kod... I pytam sam siebie: Czy ta intryga układa się jak puzzle, bo Czerwień zaplanowała to w ten sposób jeszcze wtedy, gdy byłem naiwnym dziewiętnastolatkiem? To z całą pewnością niemożliwe. Nie żyjemy w deterministycznym wszechświecie. Żadne jestestwo nie byłoby w stanie wejrzeć na ponad pięć lat w przyszłość i przewidzieć, że znajdziemy się tu i teraz.

- To nie jest w istocie przypadek - stwierdzam.
- To kurewsko dziwne - przyznaje Joby.
- Nie, to nie jest takie dziwne. - Chcę, żeby to było wytłumaczalne, więc to wyjaśniam: - To prosty związek przyczynowo-skutkowy. Jedyńm powodem, dla którego mam nakładkę, jest to, że mój kuzyn pomagał je projektować. Zainteresował mnie tym i załatwił jedną wcześniej...
- Dał ci to, czego potrzebowałeś, żeby ściągnąć na siebie gliny - mówi Jaynie z namysłem.
- Hej, to nie była jego wina.

Unosi brew.

- To nielegalne nagranie wideo, które nakręciłeś nakładką, jest jedynym powodem, dla którego znalazłeś się w wojsku.
- Taa, ale to było moje działanie, nie jego.
- Jezu - odzywa się Joby. - Ona się z tobą zgadza. To nie jest szansa jak jeden do miliarda, że znasz Grahama. Jesteś tutaj przede wszystkim dlatego, że go znasz.

Delphi krzyżuje ramiona na piersi, najwyraźniej zniecierpliwiona.

- Shelley, czy możemy po prostu zadzwonić do twojego kuzyna przez bezpieczne łącze i załatwić to?

Jestem jej wdzięczny za zmianę tematu, ale to nie będzie takie łatwe, jak na to liczy.

- Mark nie zrobi tego przez telefon. To nie jest drobna przysługa. Rozważy to tylko wtedy, jeśli będzie mógł zajrzeć mi do oka, przeczytać numer seryjny nakładki i upewnić się, że nikt go nie oszukuje ani nie trzyma mi pistoletu przy głowie. Musimy się więc z nim spotkać.

Jaynie wygląda na zrezygnowaną.

- Z powrotem do Nowego Jorku?
- Do Waszyngtonu. Mark mieszka na przedmieściach stolicy, w Marylandzie.

\*\*\*

Bilety lotnicze są reglamentowane i bukowane z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, wybieramy więc pociąg. Rawlings nie jest z tego zadowolony. Twierdzi, że mamy bardzo wielu wrogów i jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie, ale w trakcie dwóch dni, jakie zajmuje nam dotarcie do Waszyngtonu, nikt nie próbuje nas zabić ani porwać. To miłe.

Po drodze oglądamy drugi odcinek *Przeciwko bestii*. Nosi tytuł *Agencja cieni*, a Koi Reisman zmontowała go tak jak dramat polityczny. Fabuła skupia się na agentach FBI, przedstawionych w pierwszym odcinku, prowadzących uporczywe śledztwo w związku z ładunkiem jądrowym w Dystrykcie Kolumbii. Niezniechęceni przez gry władzy i utrudnienia z góry, nie poddają się, aż wiarygodne źródło informuje ich o starym i dawno temu pogrzebanym skandalu łączącym prezydenta z Carlem Vandą i - w rezultacie - z tuszowaniem Dnia Komy.

To związek, który może pogрузić rząd.

Gdy starsza stopniem agentka zastanawia się, jak najlepiej byłoby postąpić, nadchodzą nowe dane wywiadowcze. Wstępnie zlokalizowano dwie kolejne bomby atomowe. Obawiając się, że jej przełożeni mogą ukrećić łeb sprawie, agentka ignoruje zasady postępowania i wraz ze swoimi ludźmi wspiera nielegalną misję tajnego oddziału, który ma potwierdzić obecność ładunków nuklearnych na pokładzie *Niezbywalnego*.

Wynikająca z tego krwawa, tragiczna potyczka zajmuje nie więcej niż czterdzieści sekund programu. To tylko błysk ognia wylotowego z luf, dyszenie i ujęcia z punktu widzenia uczestników anonimowego - do końca - oddziału, ale ładunki jądrowe zostają odzyskane, po czym pada obietnica, że zostaną one przetransportowane do chronionego ośrodka i zdemontowane.

Koi Reisman powiedziała, że to nie jest już mój show. Miała rację i jestem jej za to wdzięczny, ale to nie znaczy, że moja historia się skończyła.

\*\*\*

Kuzyn Mark odbiera nas z dworca elektrycznym sedanem o przyciemnianych szybach. Jest starszy ode mnie o dwanaście lat i cięższy o kilka kilogramów. Ma porządnie przystrzyżoną brodę i kasztanowe włosy, które zaczynają ujawniać pierwsze ślady siwizny. Kiedy wsuwam się obok niego na miejsce pasażera, obdarza mnie nerwowym uśmiechem.

Przedstawiam go Jaynie i Delphi.

- Nie rozmawiajmy, póki nie znajdziemy się w domu -mówi.

Ma ekranowane, dźwiękoszczelne pomieszczenie, zbudowane w piwnicy, którego używa, gdy pracuje w domu. Na ścianach wiszą monitory, jest pulpit do pracy na stojąco, dwie sofy i pufy na wykładzinie dywanowej. Mark zamyka drzwi, odcinając cichy szum urządzeń kuchennych działających na górze. Odwraca się do mnie.



- Poważnie mnie przerażasz, Jimmy.
- Potrzebujemy tego, Mark. Nie prosiłbym, gdyby to nie było cholernie ważne.
- Widziałem *Agencję cieni*. Sprawia wrażenie fikcji, ale w maglu buzuje od plotek. Wieść głosi, że prezydent łąta swój złoty spadochron. Nie wiem, czy zamierzaliście pogrążyć obecną administrację, kiedy odbywaliście misję „Brzask”, ale wygląda na to, że się wam udało.
- Prezydent jest skomplikowanym człowiekiem - mówię wymijająco.
- Tak jak i ty, kuzynie. Strzelanina pod koniec programu? Miałem wrażenie, że oglądam ją częściowo twoimi oczami.
- Zgadł pan - wtrąca się Jaynie.

Zdejmuje kurtkę, żeby mu pokazać bladą, świeżą bliznę po postrzale. Nadal nosi szynę ramienną.

- Jasny gwint - szepcze Mark.
- Kolejna misja jest w stadium planowania - informuje go Jaynie. - Ma podobny cel.

Przedstawiam mu główne punkty operacji. Oczywiście Mark ma nakładkę i chociaż jest zbyt uprzejmy, żeby to powiedzieć, wiem, że korzysta z programu analizy emocjonalnej dla sprawdzenia naszej prawdomówności i szczerości.

Delphi podsumowuje moją wypowiedź:

- Jeśli uzyskamy dostęp do nakładki Semaka, poznamy lokalizację jego ładunków jądrowych, po czym przekazemy te informacje służbom, które mogą je znaleźć.

Mark patrzy na mnie z prawdziwym niepokojem.

- Dlaczego to jesteś ty, Jimmy? Odegrałeś swoją rolę. Zrobiłeś dosyć. Ktoś inny powinien lecieć.
- Decyzja nie należy do nas - odpowiada za mnie Jaynie.

Mark przygląda się jej uważnie, ma zamyśloną minę, jakby FaceValue dostarczało mu sprzecznych informacji, ale potem wzrusza ramionami.

- Dobra, rozumiem, że nie możecie powiedzieć mi wszystkiego. - Wyjmuje z kieszeni tablet wielkości dłoni. - Macie wyzwalacz optyczny?

Jaynie podaje mu urządzenie.

Mark pokazuje nam, jak bocznym suwakiem skasować pamięć wyzwalacza. Stuka w tablet, aż ten wyświetla długi ciąg liter, cyfr i symboli.

- Moja firma oceniła ponownie zasady bezpieczeństwa w świetle włamu, który ujawniłeś, Jimmy.

- Wiesz zatem, kto pracował dla Jasmine Harris? - pytam.

- Powiedzmy, że wiem, w jaki sposób zdobyła kod. -Stuka w ramkę tabletu. - Zlikwidowaliśmy lukę, która pozwoliła na to. Musisz zrozumieć, że nie będę w stanie zrobić tego ponownie.

- Wiesz, Mark, że nie prosiłbym o to, gdyby...

- Wiem. - Skanuje ciąg danych wyzwalaczem optycznym, który piśnięciem potwierdza przekaz. Potem podaje urządzenie Jaynie. - Dzięki temu zrobicie to, co musicie.

- Mark... - Urywam. Nie chcę go narażać, ale jest jeszcze jedna kwestia, w której mógłby mi pomóc. - Znasz innych żołnierzy PGB, którzy używają nakładek?

Od razu staje się podejrzliwy.

- Nie, ale sprzedaliśmy niemal dwieście tysięcy systemów, więc sądzę, że to możliwe. Dlaczego pytasz?

- Powinni być inni tacy jak ja. - Prosiłem Jonesa, żeby to sprawdził - i to nie raz - ale nie uzyskałem żadnej odpowiedzi. - Chcę wiedzieć, czy to prawda. Chcę wiedzieć, kim są.

Następuje niezręczna chwila, gdy ucieka wzrokiem w bok. Kiedy patrzy na mnie ponownie, oczy ma zmrużone.

- Nie sprawdzę tego dla ciebie.

- Mark...

- Opuść, Shelley - ostrzega mnie Jaynie. - Dostaliśmy to, czego potrzebowaliśmy w celu wsparcia naszej misji. Naleganie na coś więcej stanowi ryzyko i podaje w wątpliwość naszą uczciwość.

Wszystko to prawda, ale nie chcę opuścić. Mark jest moim ostatnim, najlepszym źródłem informacji. Ma bezpośredni dostęp do nazwisk wszystkich tych, którzy chociaż raz zostali wyposażeni w nakładki.

- Słuchaj, to nie jest tak, że proszę cię o kolejne kody. Nie chcę nikogo skrzywdzić. Muszę tylko wiedzieć...

Urywam, zastanawiając się, dlaczego to jest dla mnie takie ważne.

Jaynie też chce to wiedzieć.

- Wiedzieć co, Shelley? Dlaczego to ma znaczenie?

Chcę po prostu wiedzieć, że nie jestem jedynym żołnierzem w służbie Czerwieni. Jeśli są inni, którzy zachowali anonimowość, to chcę być przekonany, że mnie osłaniają, że będą w stanie wkroczyć i uratować sytuację, jeśli ja spierdołę wszystko.

- Proszę tylko o nazwiska, nic więcej. Powiedz mi, czy są inni żołnierze wyposażeni w nakładki... i czy nadal żyją.

Mark krzyżuje ramiona na piersi. Przybiera uparty wyraz twarzy.

- Jeśli istnieją, jeśli nadal żyją, to nie narażę ich bezpieczeństwa ani przyszłości firmy, zbierając te informacje. Przykro mi, Jimmy. Mnie też obowiązuje lojalność.

\*\*\*

Na dworcu musimy się zjawić nie wcześniej niż po północy, zamawiamy więc pizzę, a potem siadamy w salonie i gadamy. Mark mówi mi, że ojciec dobrze sobie radzi, ma nowe mieszkanie i myśli o włączeniu się do lokalnej polityki, co mnie zdumiewa. Nigdy się nie angażował, ale teraz jest wściekły i zdecydowany odzyskać swój świat.

Rozmowa schodzi na wyrok skazujący w sprawie Sheridan, gdy rozlega się cichy, tonowy dźwięk alarmu. Spoglądam na Marka, który marszczy brwi na widok czegoś na swojej nakładce.

- Przy krawężniku zatrzymał się czarny SUV - oświadcza. - Dokładnie na wprost domu. Dwie kobiety, jeden mężczyzna, podeksytowani. Ubrani na ciemno, noszą wizory, z bronią pod marynarkami.

- Nadal w kaburach, tak? - pytam.

- Na razie. Dobra, dwójka zostaje przy samochodzie. Tylko jedna kobieta podchodzi do drzwi, to dobry znak. Zidentyfikowana z dziewięćdziesięciopięcioprocentowym prawdopodobieństwem jako agentka Secret Service. Tak jak druga kobieta. Facet musi być nowicjuszem. W jego wypadku to zaledwie czterdzieści dziewięć procent.

- Dobry system bezpieczeństwa - mówi Delphi.

- Dzięki.

Nie chcę zostać ponownie aresztowany, ale nie chcę także wpakować Marka w kłopoty.

- Ja otworzę — mówię.

Sprzeciwia się uprzejmie. Ignoruję to. Pokazawszy gestem Delphi, żeby siedziała cicho, idę do drzwi. Jaynie rusza za mną.

Przez zasłony widzę, że na ganku zapala się światło. Jaynie staje z boku, więc nie będzie widoczna, gdy otworzę drzwi... co robię powoli, żeby nie przestraszyć agentki.

Kiwa głową na mój widok, i przez chwilę przyglądamy się sobie nawzajem, gdy jej przejrzysty wizor potwierdza moją tożsamość, a moja nakładka poszukuje jej danych personalnych. Kobieta jest po czterdziestce, ma metr siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, czarne włosy z porządną trwałą i zdecydowane latynoskie rysy, ale mojej encyklopedii nie udaje się jej przypisać żadnego nazwiska.

- Poruczniku Shelley - mówi, pokazując odznakę - mogę wejść?

Oglądam się na Marka, pytając go wzrokiem o zgodę. Wzrusza ramionami. Jeśli ma cokolwiek do ukrycia, to jest to dobrze schowane. Otwieram więc szerzej drzwi i wpuszczam kobietę.

Wchodząc, skanuje pokój wizorem. Jej spojrzenie zatrzymuje się najpierw na Jaynie, która sprawia groźne wrażenie w obcisłej, czarnej, sportowej koszulce, z czarnym neuroskalpem i wizorem. Agentka się uśmiecha.

- Sierżant Vasquez.

- Ma'am.

Następnie jej wzrok zawisa na Delphi. Bez wątpienia udaje się jej zidentyfikować ją jako Karen Larssen, moją byłą opiekunkę, ale jest na tyle dobrze wychowana, że nie mówi tego. Odwraca się do mnie z ożywionym spojrzeniem.

- Poruczniku...

- Nie jestem już oficerem.

- Oczywiście. Przepraszam. Panie Shelley... i pani Vasquez, jutro w południe odbędzie się w Białym Domu pewna ważna uroczystość. Nie spodziewano się, że wy dwoje będziecie mogli w niej uczestniczyć, ale skoro jesteście na miejscu...

- Wyjeżdżamy w nocy - przerywa jej Jaynie.

- W takim razie prezydent prosi, żebyście odložyli swój wyjazd.

Prezydent o to prosi?

- Co to za uroczystość? - pytam.

- Nie wolno mi powiedzieć, ale ma to decydujące znaczenie dla przyszłości kraju. Jutro o ósmej rano przyjedzie po was samochód. Zostaniecie poinformowani o charakterze ceremonii, kiedy dotrzecie do Białego Domu. Nie będzie się od was wymagać niczego poza waszą obecnością.

Zastanawiam się, czy to jakiś podstęp, ale jeśli tak, to po co odgrywać całą tę maskaradę? Gdyby chcieli, mogliby nas teraz aresztować.

Spoglądam na Delphi, chcąc poznać jej opinię. Po jej minie widać wyraźnie, że pomysł się jej nie podoba.

- Nie masz odpowiedniego ubrania - mówi. - Ani nie ma go Vasquez.

Agentka marszczy brwi, waha się. Potem jej wizor miga i kobieta się rozluźnia.

- Formalny strój zostanie dostarczony.

Nie jestem ulubionym bohaterem wojennym prezydenta, ale to nie oznacza, że Jaynie i ja nie możemy być dla niego użyteczni, uwierzytelniając naszą obecnością wszystko, co zamierza ogłosić. Nie chcę tam iść. Nie chcę zostać wykorzystany w celach propagandowych przez tak skorumpowany reżim jak ten, ale gdyby Kendrick był tutaj, toby mi powiedział, żebym się zamknął, kurwa, i uszanował prośbę naczelnego dowódcy.

- Nie jesteś przeciw, Jaynie?

Krzyżuje ramiona na piersi.

- To zaproszenie od prezydenta. Odmów, a następnym razem może nie być taki uprzejmy.

Myślę, że Jaynie się myli. Nie sądzę, żeby był kolejny raz; nie uważam, żeby mógł się zdarzyć. Nagranie wideo z przesłuchania Carla Vandy nie zostało jeszcze upublicznione, ale to tylko kwestia czasu.

- Idziecie więc? - stwierdza agentka oschle, komunikując nam swoje zdanie uniesioną brwią.  
- Bardzo dobrze. - Otwiera drzwi. - Proszę nie rozmawiać o tym z nikim, kto mógłby to przekazać mediom.

Po odjeździe czarnego SUV-a Mark sprawdza, czy na chodniku i ganku nie ma pluskiew podsłuchowych.

Pomagam Delphi przebukować nasze bilety kolejowe.

O dziesiątej rano jesteśmy z Jaynie z powrotem w Waszyngtonie. Mam na sobie idealnie skrojony szary garnitur; ona jest w ciemnoniebieskim luźnym żakiecie i powłóczystych spodniach, co w jakiś sposób sprawia, że jej neuroskalp wygląda jak celowy element stroju, a nie proteza emocjonalna, którą jest w istocie.

Dzielimy miejsce w pokoju narad z dwiętnastoma innymi zdezorientowanymi obywatelami. Dzięki nakładce identyfikują ich jako szanowanych, emerytowanych polityków i oficerów wojska. Najwyraźniej prezydent jest zdecydowany uprawomocnić tę uroczystość najbardziej, jak się da.

Wchodzi szefowa jego kancelarii i cichy szmer rozmów cichnie. Zajmuje miejsce na podium - mniej więcej czterdziestoletnia, jasnoskóra kobieta, której afrykańskie korzenie zdradzają jedynie pełne wargi, duże oczy i grube czarne włosy.

- Dziękuję wszystkim państwu, że się zjawiliście, pomimo zaproszenia was w ostatniej chwili. Wasza dzisiejsza obecność pomoże zapewnić gładkie przekazanie urzędu i przekona obywateli do obdarzenia zaufaniem decyzji prezydenta. Zostałam upoważniona do poinformowania państwa, że wiceprezydent Thompson, przy zachęcie ze strony prezydenta, postanowił zrezygnować z urzędu ze skutkiem natychmiastowym, od teraz, to jest od dziesiątej rano, ze względu na szereg zarzutów, które zostaną mu niebawem przedstawione - chodzi o oskarżenia, które wynikają z toczącego się, szeroko zakrojonego śledztwa dotyczącego korupcji systemu władzy i handlu wpływami, co zaowocowało zdradą w postaci Dnia Komy. - Jej spojrzenie przenosi się na mnie i na Jaynie. - Jest tutaj z nami były porucznik James Shelley oraz była sierżant Jaynie Vasquez, których patriotyczne działania zapoczątkowały dążenia do poznania prawdy i wymierzenia sprawiedliwości, co doprowadziło do rezygnacji pana Thompsona z urzędu. Poruczniku Shelley, sierżant Vasquez, jestem pewna, że będę wyrazicielką wszystkich obecnych tutaj, kiedy powiem: dziękujemy wam obojgu za waszą służbę.

Obdarza nas wątlym uśmiechem zaciśniętych ust, a potem obejmuje spojrzeniem wszystkich zgromadzonych.

- Panie i panowie, nominację na stanowisko wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych otrzymała sędzia i była pułkownik Susan Monteiro.

Odwracam się, napotykając niedowierzające spojrzenie Jaynie. Sędzia Monteiro, która mniej niż dwa miesiące temu była gotowa skazać nas oboje na dożywocie, będzie drugą najważniejszą osobą w państwie. Jaynie kręci głową, ja się uśmiecham, po czym wstajemy oboje, żeby się przyłączyć do aplauzu i okrzyków aprobaty, witających Susan Monteiro, która zajmuje miejsce na podium.

\*

Monteiro jest ubrana po cywilnemu, ma na sobie żakiet i spódniczkę, ale poza tym wygląda mniej więcej tak samo, jak w sali sądowej; jej rzeczowy wyraz twarzy stanowi pokrzepienie w ciężkich czasach.

Przed publiczną prezentacją rozmawia z nami, ze mną i Jaynie. Siedzimy w wyściełanych fotelach, skryci w ekranowanej alkowie, a dwaj agenci Secret Service stoją na warcie kilka kroków dalej.

- Pani Vasquez, panie Shelley. - Monteiro patrzy kolejno na każde z nas. - Znaleźliście się tutaj dzisiaj na moją osobistą prośbę. W trakcie omawiania mojej nominacji prezydent nawiązał do niektórych waszych działań. Jestem przekonana, że w obecnej sytuacji takie posunięcia są niezbędne, a wy kontynuujecie służbę dla naszego kraju, proszę jednak, żebyście nie zrozumieli błędnie swojej obecności tutaj jako nieograniczonej aprobaty. Stany Zjednoczone zbudowano na podstawach prawnych i zamierzam dopilnować, żebyśmy do nich wrócili.

- Mam nadzieję - mówię.

I szczerze w to wierzę.

Ale to jest Waszyngton. Nikogo nie obdarza się prezentami czy przywilejami bez oczekiwania, że je odwzajemni. Monteiro nie mogłaby zapewnić sobie nominacji bez wyrażenia zgody na oddanie pewnych przysług.

Opiera łokieć na podłokietniku fotela, a brodę na dłoni, i funduje nam autoironiczny uśmiech.

- Droga wstecz jest kręta - przyznaje. - Jak wiecie, wymieniamy niekiedy uczciwość w zamian za stabilność kraju. Wymiar sprawiedliwości nie jest doskonały.

- Jednak śledztwo się nie skończyło - mówi Jaynie.

- Trwa - przyznaje Monteiro.

I w końcu dosięgnie prezydenta. Może już się tak stało.

Muszę przyznać, że prezydent nieźle przygotowuje legalną, spokojną i odpowiedzialną sukcesję. Wykorzystał groźbę w postaci nadciągających oskarżeń, żeby się pozbyć skompromitowanego wiceprezydenta, którego zastępuje znaną i podziwianą w całym kraju kandydatką, a kiedy ta obejmie urząd, będzie mogła ulaskawić tych, którzy ją nań wynieśli.

- Nie będzie więcej procesów, prawda? - pytam.

- Kraj wycierpiał wystarczająco dużo, panie Shelley. Pora na leczenie ran. Na uczynienie państwa silniejszym, niż było. Dzień Komy ujawnił nasze słabości, a ponieważ nie chcemy powtórzyć poprzednich błędów, wprowadzamy zmiany w ważnych systemach. Słyszał pan o sieci łącznościowej EXALT?

Wzmianka o EXALT wstrząsa mną, ale Jaynie pochyła się, zapewniając mi osłonę.

- Tak. EXALT to system rozproszony. Ma być bardziej odporny od sieci łączności, którą zastępuje, pozbawiony jej wrażliwych wąskich gardeł. Trudniejszy do zniszczenia. Odporny na impuls elektromagnetyczny.

Monteiro wyraża aprobatę skinieniem głowy.

- Właśnie. To kwestia obronności; EXALT jest przykładem kreatywności, jakiej potrzebujemy, żeby nie doszło do kolejnego Dnia Komy.

Shiloh wierzyła, że EXALT to środowisko Czerwieni. Zastanawiam się, czy Monteiro o tym poinformowano. Pytam:

- A co z Czerwienią?

Wzdycha i odchyła się w fotelu, najwyraźniej rozczarowana moim pytaniem.

- Znam czynnych żołnierzy. Wiem, że często wymyślacie własne mitologie. Możecie jednak

być pewni, że nasze bezpieczeństwo informatyczne stale wzrasta.

Zatem polityka rządu nie zmieniła się od czasu, gdy major Perkins - po naszym ułaskawieniu - zapewniła nas, że Czerwień to jedynie popularny mit. Nie próbuję wyperswadować tego Monteiro. W pewnym sensie nie ma znaczenia, w co ona czy ktokolwiek inny wierzy, gdyż istnienie Czerwieni nie zależy od czyichkolwiek przekonań. Ona istnieje bez względu na to, czy zgodzimy się ją widzieć, czy nie.

Monteiro wstaje. Jaynie i ja podążamy za jej przykładem; podajemy sobie ręce.

- Życzę wam szczęścia.

- A my pani - odpowiada Jaynie. - To jedna z decyzji prezydenta, z którą mogę się zgodzić.

Monteiro się śmieje.

- Powinnaś. Wy dwoje uczyniliście mnie sławną. To dzięki wam znalazłam się tutaj.

\*

Po ceremonii następują wywiady i robię co w mojej mocy, żeby wspomóc nominację, zapewniając każdego pytającego mnie mediotę, że mam pełne zaufanie do Susan Monteiro. Nie odpowiadam jednak na żadne inne pytania.

- To jej dzień.

Gdy tylko mamy to z głowy, wymykamy się i przebieramy w nasze ciuchy. Samochód odstawia nas na dworzec kolejowy, gdzie czeka na nas Delphi.

Zdobyliśmy to, czego potrzebujemy, żeby się zabrać do Semaka. To będzie nasza ostatnia misja, tym razem jestem tego całkowicie pewny, gdyż wiceprezydent Monteiro położy kres podobnym operacjom. I dobrze. Tego chcemy -realnych rządów prawa, sprawowanych przez ludzi i dla ludzi - ale jeszcze tego nie osiągnęliśmy.

\*

Dni mijają bardzo szybko, gdy wkraczamy w początek lata na rozgrzanych wyżynach Wyomingu. Gorączka w Waszyngtonie jest większa. Pierwszy raz od dziesięciu lat Kongres działa zdecydowanie, szybko aprobując nominację Susan Monteiro, która zostaje zaprzysiężona na wiceprezydenta. W całym kraju ludzie oczekują rezygnacji prezydenta, który ma zostać ułaskawiony przez wyznaczonego następcę, ale to są przyziemne rozważania, które nie należą już do mojego świata.

O czwartej trzydziści nad ranem zegniam się z Delphi przed hangarem prywatnego lotniska Tajnej Strzały. Niczego nie obiecuję. Ona też nie. Oczy ma suche, gdy całuje mnie ostatni raz, a potem mówi:



- Postaraj się wrócić.

Kiwam głową. Zrobię, co w mojej mocy.

Przestudiowałem każdy etap misji, obejrzałem nagrania ze startów i operacji dokowania samolotu kosmicznego, spędziłem sporo czasu na symulacjach VR, ale gdy znajduję się na platformie startowej, perspektywa lotu przeraża mnie w dalszym ciągu.

Pierwszy raz widzę pojazd, gdy zbliżamy się do portu kosmicznego, który leży pięćdziesiąt kilometrów od San Antonio i w którym znajduje się kompleks startowy Sidereal Transit Systems. Prowadzi Uljana Kurnakowa. To dobrze, bo od pierwszej chwili rakieta stojąca na wyrzutni przykuwa mój wzrok. Im bliżej podjeżdżamy, tym robi się większa.

- Dwadzieścia milionów dolarów na niską orbitę - odzywa się rzeczowym tonem Kurnakowa.  
- To ułamek kosztów sprzed kilku lat.

Strażnik przy bramie obrzuca mnie pobieżnym spojrzeniem, po czym machnięciem ręki każe jechać dalej.

W minionym roku loty na niską orbitę Ziemi stały się przedsięwzięciem rutynowym, finansowanym przez rekiny, które podbiły już świat i ruszają dalej.

Kiedy droga zakręca w pobliże wyrzutni, Kurnakowa zjeżdża na bok i się zatrzymuje. Wsiadamy i stajemy na chwilę przy ogrodzeniu, patrząc na fantastyczną maszynę. Sama rakieta ma dwa stopnie i wznosi się na wysokość niemal siedemdziesięciu metrów. Na szczycie, w miejscu klasycznej stożkowej kapsuły, znajduje się mały samolot kosmiczny *Lotus*, konstrukcja Sidereal Systems, osadzony ogonem w dół, a jego spłaszczony kadłub jest jedynie nieznacznie szerszy od średnicy rakiety i zwiększa jej wysokość o niecałe dwanaście metrów. Z zawadiackimi, zadartymi w górę skrzydłami, agresywnym dziobem, białą powierzchnią grzbietu i czarnym ogniotrwałym brzuchem, *Lotus* wygląda jak dziecięca zabawka zatknięta na czubku monstrualnego, noworocznego fajerwerku.

Odwracam się do Kurnakowej.

- Czy zdarzył ci się kiedykolwiek klient, który zapłacił, po czym się wycofał w ostatniej chwili?

Patrzy na mnie przez przyciemniony wizor.

- Jeszcze nie. Będiesz pierwszy?

- Płacę?

- Oczywiście. Shiloh kupiła ci bilet.

Łapówka, dzięki której zostanę zapisany w książce lotu jako prawdziwy serwisant. Jeśli będę miał odpowiednie papiery, nikt nie zada żadnych pytań. Przynajmniej w teorii.

- Zdradzę ci małą, wstydliwą tajemnicę - mówi Kurnakowa. - Prawo nie znaczy wiele dla ludzi, którzy płacą dwadzieścia milionów dolarów za dostarczenie zakupów. Najszybszy sposób na utratę pracy w STS to powiedzieć „nie”, gdy któryś z naszych klientów prosi o drobną przysługę.
- To nie jest drobna przysługa.
- Cena twojego biletu to też nie są grosze. Nie martw się. Będzie dobrze.

\*\*\*

Być może personel STS jest przyzwyczajony do działania poza granicami standardowych procedur, ale kiedy się odprawiamy, odnoszę wrażenie, że Kurnakowa przeciąga strunę, jeśli chodzi o małą przysługę związaną z tym startem.

Mam styczność tylko z dwójgim ludzi. Oboje są zdenerwowani. Żadne nie patrzy mi w oczy, spoglądają jedynie na Kurnakową w oczekiwaniu na wskazówki. Biorę z niej przykład i nic nie mówię, tylko robię, co mi każą. Jeśli wszyscy udamy, że to się nie dzieje, to nic złego z tego nie wyniknie, prawda?

Niedługo potem, ubrani w niebieskie kombinezony i elastyczne, ognioodporne kamasze, jedziemy z Kurnakową windą na szczyt wyrzutni. Pod kombinezonem mam kamizelkę kuloodporną, a w jej wewnętrznej kieszeni wywalacz optyczny. Mam także zapieczętowany pakiet z maską usypiającą. Przetestowaliśmy ją na Nolandzie; załatwiła go w dziewięć sekund.

*Lotus jest* ustawiony do startu w pozycji pionowej, wchodzimy więc do niego przez właz znajdujący się tuż pod i za dwoma skierowanymi do przodu fotelami, przeznaczonymi dla pilota i serwisanta. Za nimi zamknięte są pojemniki z ładunkiem, każdy o gabarytach odpowiadających metrowej średnicy włazu. Dwa fotele ratunkowe przy burtach zostały złożone i zabezpieczone.

Kurnakowa daje znać gestem, żebym wszedł pierwszy. Zatrzymuję się we włazie na tyle długo, by zzuć kamasze. Nienoszenie ich podczas lotu jest naruszeniem regulaminu, ten jednak nie został napisany dla cyborgów o robocich stopach. Buty zapewniają ochronę na wypadek pożaru, ale ja ich nie potrzebuję, a noszenie obuwia ogranicza moje możliwości. Wszystko, co mogę zrobić z butami, to w nich stać bądź iść - a tam, dokąd się udajemy, nie czeka mnie żadna z tych opcji, moje stopy potrafią natomiast dużo więcej.

Oswobodziwszy je, wspinam się na fotel obok miejsca pilota, kładę się tam na plecach i przypinam pasami, jak to robiłem przed tygodniami, ćwicząc w atrapie, którą zbudowała dla mnie Shiloh. Trudno jest patrzeć w błękitne niebo przez segmentowe okno. Obok mnie pojawia się Kurnakowa, sprawdza moją uprząż i z aprobatą kiwa głową. Potem sadowi się w fotelu pilota.

Oczywiście wszystko nagrywam.

Uljana rozmawia ze swoim opiekunem - mężczyzną o przyjaźnie mdłym głosem,

reprezentującym kontrolę naziemną. Razem przeprowadzają procedurę przedstartową, a ja ustanawiam własną łączność, korzystając z tego samego systemu przekazu satelitarnego, którego używaliśmy na pokładzie *Niezbywalnego*. Otworzywszy link na nakładce, mówię:

- Hej, Delphi, jesteś tam?
- Słyszę cię, Shelley - odpowiada chłodnym głosem opiekunki. Po chwili, oceniwszy dane płynące z mojej neuronetki, dodaje: - Jesteś nieco podjarany.
- Chcę tylko, żeby to się już stało.

Nie sądziłem, że kiedykolwiek w życiu będę aż tak podniecony. Jakbym był znowu dzieckiem podeksytowanym samym faktem, że w ogóle tu jest, że ma zrobić to, co wydawało się zawsze niemożliwe - polecieć w kosmos, na niską orbitę, na której w całej historii Ziemi znalazło się niecałe dwa tysiące ludzi. Eduard Semak jest jeszcze tak daleko, że nie mogę się nim przejmować, a skutki misji zbyt odległe, żeby je rozważać. Boję się teraz tylko tego, że zaraz wkroczy jakiś przełożony albo przedstawiciel rządu i anuluje lot, ale nic takiego się nie dzieje. Odliczanie wsteczne, bez żadnych przeszkód, osiąga zero. Następuje zapłon pierwszego stopnia rakiety, a wtedy Delphi porzuca rezerwę opiekunki, żeby szepnąć mi do ucha na pożegnanie:

- Kocham cię.

Nikt nie może nas teraz zatrzymać.

Jesteśmy otoczeni drżącym rykiem, gdy grawitacja się poddaje, a my wznosimy się powoli w błękit.

Błękit ciemnieje i przechodzi w czerń. Pojawiają się gwiazdy.

Włącza się ciąg drugiego stopnia, co wynosi nas na orbitę, ale nadal całe godziny dzielą nas od spotkania z podniebną pustelnią Eduarda Semaka. Kurnakowa rozmawia z kontrolą naziemną, lecz kiedy okrążamy świat, nie mam nic do roboty, więc podziwiam przytłaczające piękno tego miejsca, któremu zagroziliśmy naszymi wojnami i które skazaliśmy naszymi truciznami. *Lotus* wlatuje z jasności w noc rozjaśnioną elektrycznym blaskiem światła, wyznaczających kontynenty i obrysowujących oceany; po chwili znowu jest dzień i kąpiemy się w jasnoniebieskim odbiciu Pacyfiku, a ja nie potrafię przestać chłonąć tego obrazu. Astronomowie mówią o znalezieniu ziemiopodobnych planet krążących wokół innych gwiazd, ale to hiperbola słowna, bezsensowne generalizowanie. Jest tylko jedna ziemiopodobna planeta. Zawsze będzie tylko ta jedna, delikatna, i jeśli trzeba chłodnych manipulacji niezgłębionej sztucznej inteligencji, która by zaprowadziła równowagę i ochroniła to bezcenne miejsce przed gotowymi je podpalić szaleńcami, to niech tak będzie. Ja na przykład jestem dumny, że służę jako żołnierz w tej wojnie.

\*

- Gotów? - pyta Kurnakowa, zakończywszy ostrożnie manewr dokowania, spinający włązy

*Lotusa* i Pustelni Semaka.

Semak nie odpowiadał na wezwania radiowe, ale Kurnakowa zbywa to wzruszeniem ramion.

- Przyleciał tutaj ponad rok temu, na długo przed Dniem Komy. To czwarta wizyta serwisowa. Semak nie może bez nas żyć, ale nie lubi naszej obecności.

Mądry facet.

Mam plaster zmniejszający reakcję ucha wewnętrznego, więc zarówno żołądek, jak i mózg znoszą dobrze stan braku ciężenia. To niesamowite wrażenie być pozbawionym więzów grawitacji. Z początku trzymam się kurczowo siedzeń i uchwytów, ale bardzo szybko rezygnuję z tego i pozwalam sobie uwierzyć w magię poruszania się w nieważkości. Ćwiczę, wykorzystując dostępną przestrzeń *Lotusa*. Po kilku minutach zaczyna to być zupełnie naturalne, jakbym śnił o tym setki razy albo żył w ten sposób w innym życiu.

- Jestem gotów - mówię jednocześnie do Kurnakowej i Delphi.

Docieram do wjazdu, sprawdzam stan, a potem otwieram go, jak mnie tego nauczono.

\*

Po drugiej stronie panują ciemność i chłód. Wydaje mi się, że jest ze szesnaście stopni, ale zimno nie eliminuje zapachu charakterystycznego dla obecności człowieka. To nie smród - system oczyszczania powietrza jest na to zbyt zaawansowany - jedynie nieznaczna, pismowa woń, definiująca to miejsce jako czyjś dom, chociaż, ku mojemu zaskoczeniu, nie widzę jego gospodarza.

Tuż za wjazdem jest pomieszczenie magazynowe, oświetlone przez słaby blask padający z wnętrza *Lotusa*. Dalej znajduje się kopuła otoczona pierścieniem sferycznych iluminatorów o średnicy pół metra i na tyle wypukłych, że podryfowawszy tam, dostrzegłbym zewnętrzną powłokę habitatu oraz wszystko, co znajduje się za nim. Z mojego obecnego miejsca we wjazdzie widzę Ziemię w całym jej błyszczącym, nocnym splendorze.

W habitacie także panuje noc. Jedyne światła to bladozielone punkty, sześć metrów w głębi komory głównej, otaczające zamknięty wjazd wewnętrzny. Za nim znajduje się kapsuła ewakuacyjna jednorazowego użytku. Zdaniem Kurnakowej Semak korzysta z niej jak z sypialni. Przypuszczam, że jest w niej teraz. Nie mógłby być nigdzie indziej. Dlaczego jednak się ukrywa? Nie powinien wiedzieć, że jesteśmy wrogami.

Satelitarny system łączności, który uruchomiłem, przekazuje mi czysty głos Delphi:

- Droga wolna.

Wsuwam się do komory.

Wygląda inaczej niż makieta, na której ćwiczyłem. Wydaje się mniejsza i ciaśniejsza; to efekt,

o który winię wykładzinę z grubej, włochatej, jasnobrązowej tkaniny, pokrywającą ściany, pierwotnie białe i plastikowe. Za wykładziną spodziewam się ukrytego sprzętu, drzwiczek rewizyjnych, świateł czuwania i pojemników magazynowych. Na tkaninie równo, choć odręcznie, narysowano czarnym markerem szachownice, a do nich przypięto szmaciane figury, w trakcie rozgrywek. Obok każdej szachownicy znajduje się plastikowa etykieta opisana cyrylicą. Gdy przyglądam się kilku pierwszym napisom, moja encyklopedia podsuwa wątpliwe tłumaczenia.

- To nazwiska - mówi zaskoczona Delphi.

Nazwiska z całego świata; czy to oznacza, że każdy mecz jest toczony z innym przeciwnikiem? Nie zadaję jednak tego pytania na głos, gdyż mam być technikiem skupionym na wykonaniu swojej pracy.

- Dziwne, że nie gra w szachy elektroniczne - zastanawia się Delphi.

Na planszach i wokół nich jest pełno drobnych śmieci - okruszków, siwych włosów, skrawków plastiku - które utknęły w tkaninie. Dotykam jej; wydaje się lepka.

Nie wszystko jest nią wyścielone. Chociaż panelowe światła się nie palą, widać je w otworach wyciętych w wykładzinie. W komorze są także rozmieszczone cztery błyszczące punkty. Połącz je linią, a wyznaczą spiralę. Kiedy szybuję obok pierwszego z nich, zwraca na mnie szkliste oko, co sprawia, że po jego powierzchni przesuwają się odpryski odbitego światła - obiektyw ruchomej kamery.

- Obserwuje cię - ostrzega Delphi.

Zastanawiam się, czy śledzi mnie także Czerwień, ale to nie ma znaczenia. Ona i tak tutaj jest i spogląda na wszystko moimi oczami.

Niemniej świadomość tego, że jestem obserwowany,

czyni moje pierwsze zadanie dużo ważniejszym: mam odciąć habitat od Chmury pod pretekstem, że wymieniam istotny podzespół systemu łączności. Na razie ignoruję obecność Semaka za zamkniętym włazem, gdy Delphi pomaga mi w poszukiwaniu zasobnika z hardware'em. W makiecie jego położenie było wyraźnie widoczne, ale tutaj jest ukryty za brązową tkaniną. Szacuję jego położenie na jakiś metr za pierścieniem iluminatorów, po czym obmacuję wyściółkę.

- To wygląda na klapki w wykładzinie - mówi Delphi. -Pociągnij którąś.

Robię to, marszcząc szachownicę z meczem przypisanym Midoriemu. Klapka odrywa się z trzeszczącym odgłosem rzepu, odsłaniając szafki.

- Dobra, wiem, przy czym teraz jesteś. Przesuń się w górę, w kierunku własnej głowy. Dalej. Tutaj. Sprawdź tę.

Odrywam wskazaną przez nią klapkę, odginając szachownicę oznaczoną jako „Nasir”.  
Odsłania się pojemnik, którego szukam.

- Znalazłeś? - pyta niespokojnie Kurnakowa. Zerkam przez ramię i widzę, że wypływa z wjazdu, podświetlona od tyłu przez panel sterowniczy samolotu kosmicznego - aureola połamanego światła, przefiltrowanego przez jej polatujące rude włosy.

- Taa, znalazłem.

Otwieram zasobnik.

- Wygląda dobrze - stwierdza Delphi.

Podzielam ulgę brzmiącą w jej głosie: zamknięte wewnątrz podzespoły wyglądają dokładnie tak samo, jak te widziane przeze mnie w makiecie. Rzut okiem za siebie upewnia mnie, że Kurnakowa realizuje nasz scenariusz. Zniknęła z pola widzenia, wracając za konsolę *Lotusa*. Sięgam do wnętrza pojemnika, tak jak to robiłem wiele razy w makiecie habitatu, łapię za uchwyt elementu oznaczonego jako CA-147...

- Cholera! - klnie Kurnakowa.

Zamieram przestraszony. Uljana jest z powrotem we wjeździe.

- Dlaczego wyłączyłeś moduł przed zaplanowanym czasem? Nie jesteśmy gotowi! Nowe podzespoły trzeba jeszcze wypakować, a łączność już padła! - To są dokładnie te słowa, które powtarzaliśmy; słowa potwierdzenia, że udało mi się przerwać kontakt stacji z Chmurą... chociaż tego nie zrobiłem.

- Nie wyjąłem jeszcze modułu.

- Czekaj... nie działał, gdy go znalazłeś?

Wysuwam delikatnie podzespół. Wychodzi swobodnie, bez oporu.

- Tak, był już odłączony.

Spoglądamy oboje w stronę wewnętrznego wjazdu, otoczonego wianuszkami słabo świecących zielonych punktów.

- To wyjaśnia, dlaczego pan Semak nie odpowiadał na moje wezwania! - mówi Kurnakowa ze sztuczną pewnością w głosie.

- Coś jest nie tak, Shelley - szepcze mi Delphi do ucha. -Działaj z najwyższą ostrożnością.

- Mogło się rozłączyć przypadkowo? - zastanawiam się głośno.

Może Semak zapragnął większej prywatności, niż już sobie ją kupił. Może dzwoniło do niego zbyt często z centrów obsługi klienta. Może jego dzieci budziły go o różnych porach, żeby

sprawdzić, czy już umarł i zostawił im fortunę.

- Nie sądzę - odpowiada Delphi. - Dzieje się coś innego.

Kurnakowa jest nawet bardziej zdenerwowana.

- Teraz, Shelley - mówi szeptem. - Musisz teraz wykonać swój ruch.

Tak. Ponieważ łączność nie działa, następnym posunięciem jest zapanowanie nad Eduardem Semakiem. Odgrywam swoją rolę bez względu na to, czy jest cokolwiek warta.

- Sądzę, że musimy porozmawiać z panem Semakiem.

Uderzam robocią stopą o wyściółkę ściany, niezbyt mocno, żeby poszybować w głąb komory. Ze wszystkich stron otaczają mnie szachownice. Setka. Dwieście? Może Eduard zerwał łączność, żeby mieć czas zastanowić się nad kolejnym ruchem?

Wszystkie oczy kamer poruszają się, śledząc mój lot.

Docieram do wjazdu kapsuły ewakuacyjnej. Jest zamknięty, ale nie zablokowany. Nie można wiedzieć, co czeka po drugiej stronie, póki się go nie otworzy. Wyobrażam sobie broń strzałkową, jakiej używał Carl Vanda. Dlaczego nie pomyślałem o przywiezieniu ze sobą któregoś z mecharobali Joby'ego? Mógłbym posłać takiego przodem na rekonesans.

- Panie Semak - odzywam się na wypadek, gdybyśmy całkowicie błędnie rozumieli sytuację.  
- Musimy z panem porozmawiać.

Nie odpowiada. Nie mam pojęcia, czy słucha.

- Otworzę wjazd - zwracam się do Delphi. Jaki mam wybór?

- Będzie podwójny - przypomina mi. - Prawdopodobnie ten drugi też zamknął.

Ma rację. Gdy otwieram luk, widzę za nim kolejną pokrywę.

- Panie Semak! Jeśli mnie pan słyszy, proszę podejść do wjazdu.

Gdybym miał swój ztkh, nie byłoby problemu. Mógłbym skorzystać z kamery lufowej, żeby zerknąć do wnętrza. To mi podsuwa pewien pomysł.

- Kurnakowa?

- *Da?*

Rolę technika odgrywam bardzo realistycznie.

- W przyborniku z narzędziami jest kamera diagnostyczna. Możesz mi ją podać?

- Tak, tak. Obróć się, pošlę ją do ciebie.

Odwracam się i widzę koziołkujący w moją stronę pręt, nie grubszy od małego palca, z rozszerzonym kapturkiem na jednym końcu, bardzo podobny do wyzwalacza optycznego. Na drugim końcu błyska soczewka obiektywu kamery.

Chwytam kamerę i przyglądam się jej pobieżnie. Pręt jest elastyczny, więc zginam go pod kątem prostym. Potem zwalням rygiel pokrywy włazu i osuwam ją na cal. Od razu słyszę Semaka; mówi coś, gada, wylewa z siebie spanikowanym, starczym głosem nieprzerwany strumień rosyjskich słów, które nakładka pomocnie tłumaczy, przekazując szeptem znaczenie wprost do moich uszu:

- Przyszli po mnie. Przyszli! Przyszli po mnie!

Włączam kamerę, wsuwam w szczelinę, zerkam na obraz w okularze i klnę:

- Cholera!

Odrzuciwszy kamerę, otwieram klapę włazu na całą szerokość.

Semak nie ma broni. Jest tylko bladym, niedożywionym, przerażonym starcem o strąkowatych siwych włosach i strąkowatej siwej brodzie, a jego zniszczona przez wiek twarz jest spuchnięta wskutek długiego pobytu w stanie nieważkości. Ma na sobie wciągana przez głowę koszulę z bocznymi klapkami, które są przypięte rzepami do bezkształtnych, ciemnoniebieskich, flanelowych spodni, żeby te nie odleciały w zerowej grawitacji. I jak to przewidziała Shiloh, jego hipochondria jest wyraźnie widoczna -ma na twarzy ciemnozieloną maskę wykonaną z biotkanki, która zakrywa mu usta oraz nos i jest połączona elastycznym przewodem z małym zbiornikiem tlenu w przedniej kieszeni bluzy, żeby nie musiał wdychać moich wyziewów, co jest okej. Nie ma sprawy. Maska nie powstrzymuje w najmniejszym stopniu jego gadaniny.

Problem polega na tym, że rozmawia przez radiostację. Nie przez urządzenie, które jest elementem systemu łączności habitatu. To coś innego, starszego, z mikrofonem, który się trzyma w dłoni, oraz z tarczami, a nie z ekranami dotykowymi. Radiostacja znajduje się w otwartej skrzynce tuż nad zagłówkami dwóch foteli lądowniczych, które wypełniają ograniczoną przestrzeń kapsuły. Aparat wygląda tutaj absolutnie nie na miejscu, jak przedmiot z innej epoki. Pomimo wieku działa. Wiem, bo Semakowi odpowiada jakaś kobieta. Głos ma niski i myślę, że jest w zaawansowanym wieku średnim. Mówi z pogardliwym sarkazmem, łatwo słyszalnym nawet w głosie tłumacza:

- Nie przyszli po ciebie, papciu.

Rzucam się w kierunku Semaka. Puszcza mikrofon i wywija się, ale nie ma dokąd uciec. Łapię go, obejmuję ramionami, po czym wpadam na ścianę. Odbijam się z powrotem w malutkiej kapsule. Uderzam się w głowę. Muszę wyhamować impet, ale nie mam wolnej ręki. Posługuję się więc stopami. Robocie elementy prawej zaciskają się wokół uchwytu, a lewą chwytani się podłokietnika fotela lądowniczego. Przez chwilę kołyszę się i podskakuję. Potem opanowuję



sytuację.

Czuję na ramionach i piersi strzelanie stawów Semaka, kruchych, starych, obleczonych jedynie cienką warstwą ciała. Bojąc się, że połamię mu żebra, zwalniam uchwyt. Semak oddycha łapczywie przez swoją maskę, podczas gdy kobieta, której przetłumaczone wypowiedzi słyszę cały czas, mówi:

- To czynności serwisowe, papciu. Wiedziałeś o nich. Narzekałeś na nie przez cały tydzień!

Semak wyrywa się, ale od roku przebywa w stanie nieważkości, więc jest prawie bezsilny. Uznaję, że utrzymam go jedną ręką, kiedy drugą zerwę maskę z jego twarzy.

- No więc dobra - ciągnie kobieta, kiedy wyjmuję z kieszeni maskę usypiającą. - Możesz mi nie odpowiadać.

Rozrywam zębami pakiet, a potem przyciskam maskę do nosa i ust Semaka. Zamiast dostarczyć mu tlenu, doda środek usypiający do każdego haustu powietrza, jaki zaczerpnie.

-I tak nie mam czasu z tobą gadać. Muszę się rozłączyć.

Semak jest wojownikiem i nie poddaje się bez walki. Sądzę, że wstrzymuje oddech, ale to jedynie kwestia czasu. Wije się, robi krótki wdech, a gdy Kurnakowa zagląda do wnętrza, stary omdlewa mi w ramionach. Przesuwam pasek maski na jego potylicę, żeby mieć pewność, że Semak pozostanie nieprzytomny, a potem go puszczam.

Kurnakowa patrzy wilkiem na radiostację.

- Co to, kurwa, jest?

Odosobnienie Eduarda Semaka jest nie tylko fizyczne. Starodawne radio, wyłączony system łączności, ręcznie obsługiwane szachownice - wszystko to wskazuje na strach przez elektroniczną inwazję. Doszedł do wniosku, że będzie następnym rekinem wziętym przez Czerwień na cel? Prawdopodobnie nie sądził, że kiedy dojdzie do ataku, to przyjmie on postać napaści fizycznej.

Radio pozostawiam włączone. Skoro nie jest używane, będzie nieszkodliwe, a martwię się, że gdybym zaczął wyłączać sprzęt, mogłoby to spowodować wysłanie sygnału alarmowego. Naszym priorytetem jest przejście do następnego etapu operacji.

Wyjmuję wyzwalacz optyczny z załadowanym wcześniej kodem, który umożliwi dostęp do nakładki Semaka. Jeśli nie zadziała, nasza misja spali na panewce, a magazyn ładunków nuklearnych pozostanie zagrożeniem dla świata.

Zadziała. Musi.

Każdej akcji odpowiada reakcja, równa co do siły i przeciwnie skierowana. Wobec braku ciążenia bezwładne ciało Semaka odpływa, gdy próbuję przycisnąć wyzwalacz optyczny do jego

oka.

- Przypnij go do siedzenia! - poleca niecierpliwie Kurnakowa, ruszając mi z pomocą.
- Nie, będzie szybciej, gdy go po prostu przytrzymam.

Zakotwiczam się ponownie stopami i przyciągam głowę Semaka do swojej klatki piersiowej. Trzymam go jedną ręką, dwoma palcami rozchylając mu powieki. Drugą ręką przyciskam wyzwalacz do jego oka. Następuje rozbłysk światła. Po kilku sekundach Delphi potwierdza:

- Działa. Ściąganie danych w toku.

Jak na razie wszystko dobrze.

Twarz Kurnakowej za przyciemnianym wizorem wygląda na spiętą; jest zarumieniona.

- Ile czasu do końca?
- Nie wiadomo - odpowiada Delphi.

Wyzwalacz nie daje możliwości żadnych wybiórczych działań. Ściąga wszystko, co jest zmagazynowane w nakładce - śmieci razem z samorodkami złota.

- Niech to się szybko skończy - szepcze Kurnakowa, jakby rzucała zaklęcie. Potem bierze gwałtowny wdech i przybiera surową minę. - Wyładuję zapasy. Wzbudzimy podejrzenia, jeśli wrócimy z pełną ładownią.

Kiedy trwa ściąganie danych, obserwuję jej pracę. Z energiczną skutecznością wyciąga z *Lotusa* pełne zasobniki i wymienia je na puste, zmagazynowane na stelażach za materiałowym pokryciem ścian.

- Załatwione - odzywa się Delphi. - Mamy wszystko.

Wyłączam wyzwalacz optyczny i odsuwam go, pozwalając nieprzytomnemu ciału Semaka unosić się w ograniczonej przestrzeni jego kapsuły.

Plan zakłada, że skopiujemy dane dla zespołu wywiadu Jonesa, ale Delphi opóźnia ten transfer, otwierając pliki i dając je do przeszukania AI. Jeśli uda się jej znaleźć dane finansowe, wytnie je i wyśle Jonesowi okrojoną wersję.

- Nic nie jest zaszyfrowane - mówi ze zdumieniem. - Musiał być pewny, że ma tak silne zabezpieczenia, że nikt nie zdoła się włamać.
- Prawdopodobnie nie połączył się nigdy bezpośrednio z Chmurą.

I ukrywał się jednocześnie we własnej elektronicznej fortecy.

- Sprawy mają się dobrze - mówi Delphi cicho.

Znalazła zatem dane finansowe. To, czy ona i Jaynie będą mogły cokolwiek z nimi zrobić, to zupełnie inna kwestia. Teraz naprawdę chcę się czegoś dowiedzieć o tych ładunkach jądrowych.

- Co z magazynem broni? Są informacje o jego lokalizacji?
- Jest mnóstwo plików. Nie wiem, co jest... - Urywa. -Czekaj. Coś poszło nie tak. Muszę spróbować ponownie przesłać to do Jonesa.

Wydobyła więc to, czego chciała.

- Bomby, Delphi. Chcę mieć potwierdzenie, że mamy potrzebne dowody, żeby przywieźć Semaka.

- Tak, tak, dane są tutaj. Obejmują całe lata wstecz. Ładunki znajdują się w różnych miejscach. Nie wiadomo, czy informacje są aktualne, ale jest tego dość, żeby...

O mój Boże.

Zaskoczenie pobrzmiwające w jej głosie przyprawia mnie o silniejsze bicie serca.

- Co, Delphi? O co chodzi?
- Jeden z wymienionych schowków broni to Pustelnia Semaka. Czy to możliwe?

Kurnakowa pojawia się w luku. Kłykcie palców ściskających obręcz włazu ma białe.

- Możliwe - mówi. - I prawdziwe. Sama przywiozłam tutaj to urządzenie i wezmę je dzisiaj z powrotem, jeśli wcześniej Eduard nie zabije nas i połowy świata.

Odpycha się od włazu i wlatuje do kapsuły, a potem odsuwa na bok dryfujące ciało Semaka, oczyszczając sobie drogę do najbliższych drzwiczek schowka znajdującego się naprzeciwko foteli lądowniczych.

Otwiera drzwiczki.

Za nimi nie kryje się nic przerażającego, tylko zwykła aluminiowa walizeczka i metalowy walec, mniej więcej trzydziestocentymetrowej średnicy, długi na jakieś osiemdziesiąt centymetrów, barwy matowego srebra. Cylinder jest umocowany na miejscu dwiema stalowymi obejmami zaciskowymi. Z walizeczką łączą go przewody elektryczne.

Kiedy spotkaliśmy się w San Antonio, chciałem pojąć motywy, które skłoniły Kurnakową do podjęcia tej misji. Przypomina mi się, co wówczas powiedziała:

„To człowiek, który zasługuje na nienawiść. Człowiek, który czerpie rozrywkę z korumpowania wszystkich wokół siebie”.

- Byłam głupia - mówi cierpko.

\*

Pospiesznie wyjaśnia zadyszczanym głosem:

- Załatwił mi tę pracę. Byłam jego własnością. Kiedy poprosił o przetransportowanie swoich ruchomości, zrobiłam to, nie zadając pytań. Skrzynia była wielka i ciężka. Pozwolił mi wierzyć, że to złoto. Lite złoto. - Kręci głową nad absurdalnością sytuacji. - Kto potrzebuje złota na orbicie? Kto? Tylko zniedołężniały, niepewny siebie mężczyzna. Wierzyłam w jego maskaradę. Naprawdę. - Kręci ponownie głową, krótkie włosy stanowią ciemne, polatujące obramowanie jej bladej twarzy.

- Shelley - odzywa się Delphi ze sztucznym spokojem w głosie. - Jones chce, żebyś się przysunął bliżej. Chcą wyraźniejszego obrazu.

Pomimo panującego w habitacie chłodu, na skórę występuje mi pot. Miga mi wspomnienie Czarnego Krzyża i ładunku jądrowego, zdetonowanego nisko nad powierzchnią ziemi. Wybuch nastąpił ponad piętnaście kilometrów dalej, ale omal mnie nie zabił.

- Nie dotykaj tego - ostrzega Kurnakowa. - Ten stary troll uzbroił przypuszczalnie głowicę tak, żeby wybuchła, kiedy ktoś zacznie przy niej majstrować.

Kurwa mać.

Jeśli jednak dojdzie do eksplozji, to nawet się o tym nie dowiem.

Rękawem ocieram pot z czoła. Potem chwytam się krawędzi schowka, obracam i przysuwam, żeby przesłać bardziej szczegółowy obraz. Na metalowej obudowie znajduje się numer seryjny.

- Czekaj - mówi Delphi.

Zamiast tego oddalam się, pozostawiając nieco przestrzeni między sobą a ładunkiem nuklearnym. Potem zwracam się do Kurnakowej:

- Kurwa mać, dlaczego nie powiedziałaś nic wcześniej?

- A mogłam być pewna, że wzięłbyś wtedy udział w misji? Teraz jesteśmy tutaj. Nie mamy wyboru. Jesteś, kim jesteś, i zrobisz to, co trzeba zrobić.

Ma oczywiście rację. W mojej głowie działa program określający pracowicie nowy cel, aktualizujący scenariusz, którym się będę kierował.

Zdyszana Delphi wraca na linię gen-komu.

- Mam potwierdzenie, Shelley. Jones mówi, że numer seryjny identyfikuje ładunek jako głowicę nuklearną zdemontowanej, niesterowanej bomby B61, która zginęła w 2010 roku z magazynu broni NATO w Belgii, chociaż raport stwierdza, że później ją odzyskano.

Zwyczajowe kłamstwo w celu zatuszowania zaniedbań w systemie bezpieczeństwa.

- Wiesz, co to czuwak? - pyta Kurnakowa.

Pocę się jeszcze mocniej.

- Tak.

Wskazuje swoje oko.

- Semak sprząął ze sobą głowicę w taki sposób, że moment detonacji jest zawsze nieznacznie odległy w czasie, ale odwlekany nieustannie przez program działający w jego nakładce. Jeśli sygnał z nakładki zaniknie, ponieważ Semak zostanie zabrany z pustelni albo umrze...

- Bomba wybuchnie - kończę za nią.

Głos ma cichy, ale każde słowo jest obarczone ponurym ciężarem:

- Naturalnie nie zweryfikowałam jego twierdzeń, ale nie mam żadnego powodu, żeby mu nie wierzyć. Błędem jest uważać go za zwykłego przestępcę. Jest kimś więcej. To swego rodzaju genialny majsterkowicz. Paranoiczny geniusz. Egoistyczny. Okrutny. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek przyjdą po niego, to nic nie dostaną.

- Oni?

- Ktokolwiek. Ma wielu wrogów, prawdziwych i urojonych.

- Powiedział ci to wszystko?

- Tak. Flirtował ze mną, gdy dostarczyłam ładunek. Odgrywał rolę miłego staruszka. Ale podczas mojej kolejnej wizyty pokazał mi, co zrobił... co ja zrobiłam. Chciał, żeby ktoś o tym wiedział. Chciał się tym pochwalić.

Semak dryfuje ku niej. Kurnakowa patrzy na niego z obrzydzeniem.

- Delphi? - pyta. - Znalazłaś program kontrolujący bombę?

- Czekamy na Jonesa. Bądźcie w pogotowiu.

- Nie budź się jeszcze - szepcze Kurnakowa Semakowi do ucha. Spogląda na mnie. - Powiedział mi o tym, gdyż sądził, że tego nie zdradzę. Za dostarczenie mu „złota” otrzymałam mnóstwo forsy, zostałam więc współniczką w jego przestępstwie. Poza tym uważał, że będzie żyć wiecznie. - Odwraca się ponownie do Semaka. - Myślę jednak, że nie zostało ci wiele czasu.

Bomba wydaje się nieszkodliwa. Cicha. Nieaktywna. Żadnych migających światełek, wskaźnika stanu ani cyfrowego licznika odmierzającego czas do momentu apokalipsy. Nie ma mowy, żeby wiedzieć, czy historia Kurnakowej jest prawdziwa, ale FaceValue mówi mi, że ona w nią wierzy.

- To dlatego potrzebowałam Shiloh - kontynuuje Ulja-na. - Do zhakowania nakładki trolla i unieszkodliwienia tej małej bomby, którą pomogłam mu stworzyć.

Semak zaczyna odpływać od nas. Kurnakowa chwyta go za koszulę, zatrzymując blisko siebie. Wygląda żałośnie, nędznie - po prostu zniszczony starzec. Ale to pozory.

Iluzja pryska, gdy stary rekin wpada w drgawki. Wierzga nogami. Jego powieki drżą. Maską usypiająca musi wysychać. Przysuwam się bliżej.

- Delphi, powiedz Jonesowi, że musimy mieć ten program natychmiast. Semak będzie niebawem przytomny.

A jeśli się ocknie? Ile czasu minie, zanim zdetonuje ładunek?

Kurnakowa chwyta mocniej koszulę Semaka.

- Nie możemy pozwolić, żeby się obudził - warczy. - Nie pozwolimy.

- Rozumiem - potwierdza Delphi. - Nie daj mu się ocknąć, Shelley. Nie zabij go, ale poza tym zrób wszystko, co musisz.

- Mówisz, Delphi... że chcesz, żebym go walnął w łeb?

- Potwierdzam.

Dopuszczałem się strasznych rzeczy, ale tylko w ogniu walki. Nigdy wcześniej nie uczyniłem niczego podobnego.

- Uważasz, że możesz się zawahać? - pyta mnie Kurnakowa.

- Nie. Zrobię to. Przytroczy go do fotela.

Wiem, co może zdziałać ładunek nuklearny na orbicie. Jeśli wybuchnie, Kurnakowa i ja umrzemy natychmiast. Miliony innych zginą później. Eksplozja nie tylko zniszczy setki ważnych satelitów, ale z tej wysokości impuls elektromagnetyczny załatwi urządzenia elektroniczne na całym kontynencie i wywoła wojnę światową.

Oczywiście zadanie ciosu w stanie nieważkości jest cholernie trudne. Zapieram się i ćwiczę kilka razy na pustym fotelu. A kiedy Semak zaczyna kasłać i jęczeć pod maską, kładę temu kres.

\*

- Jesteśmy gotowi do dalszego działania - odzywa się Delphi głosem tak wypranym z emocji, że od razu się orientuję, jak bardzo jest przerażona.

- Co mam robić?

Kurnakowa zapała się we włazie kapsuły i czeka.

- Nic. Nic nie musisz robić. Uznałam po prostu, że chcielibyście wiedzieć. Jones znalazł program. Podłączają się do nakładki Semaka.

- Teraz?

-Tak.

Starzec jest przypięty do fotela, z nosa wydostają mu się bąble krwi. Wiszę nad nim, słuchając jego oddechu, gotów interweniować ponownie.

- Załatwione - stwierdza Delphi.

Nie rozumiem. Tak jak Kurnakowa. Jednocześnie wyrażamy zdumienie.

- Co? Co jest załatwione?

- To chyba wbrew zasadzie budowania napięcia - odpowiada Delphi, śmiejąc się cicho, z zażenowaniem - ale Jones wyłączył system zapłonu. A teraz skasował program z nakładki Semaka. Dobra... dobra... a teraz zdezaktywowali samą nakładkę. Więc załatwione. Semak nie ma już dostępu. Nie może kontrolować niczego w habitacie. - Znowu ten słaby, cichy śmiech, który mi mówi, że z wielkim trudem panuje nad sobą. - Idę na przerwę, Shelley. Służbę obejmuje Vasquez.

Link gaśnie, zanim jestem w stanie powiedzieć cokolwiek, ale natychmiast włącza się Jaynie.

- Shelley?

- Jestem - odpowiadam automatycznie, ale myślę jedynie o tym, że Delphi nie zostawiła mnie w ten sposób nigdy wcześniej.

- Najgorsze za wami - zapewnia mnie Jaynie. - Ale nie skończyliście jeszcze.

Moje pierwsze zadanie polega na przetransportowaniu Semaka do *Lotusa*. Stary jest nadal nieprzytomny, oczy ma zamknięte. Krew pod nosem wyschła, nie widzę więc jej bąbli, które upewniały mnie, że Semak oddycha, i nie jestem wcale pewny, czy żyje. Pochyliłam się zatem, przysuwam ucho do jego ust i czuję słaby powiew, a wtedy starzec odzywa się do mnie po rosyjsku ochrypłym szeptem. Moja nakładka tłumaczy; jej bezpłciowy głos słyszę ze standardowym natężeniem:

- Sądzicie, że wygraliście. Nie wygraliście.

- Jeszcze nie - odpowiadam mu szeptem. - Ale niebawem wrócimy do świata.

Steruję nim, wypychając go z kapsuły do komory głównej. Próbuje się opierać, chwytając się obręczy wjazdu, a potem uchwyty ściennego, ale jest słaby. Łatwo jest odgiąć jego długie palce. Do chwili, gdy wpakowuję go do *Lotusa*, Kurnakowa wyciągnęła ze stelaża składany fotel

ratowniczy i przymocowała go do pokładu samolotu kosmicznego. Przypinamy Semaka pasami. Potem związuję mu ręce opaską zaciskową za oparciem.

\*

Nawet niewielki ładunek nuklearny może wywołać potężny impuls elektromagnetyczny, jeśli wybuchnie nad atmosferą, więc skradziona głowica wróci na Ziemię wraz z nami. Patrzę z powątpiewaniem na ładunek.

- Co z promieniowaniem, Jaynie? Chcę znać pełne ryzyko. Co to szpejo mi robi?

Milczenie.

- Nic - odzywa się Jaynie po chwili. - Nie martw się. Jones mówi, że radiacja emitowana przez niezdetonowaną bombę jest bardzo niska.

Dobra, w porządku.

Jaynie wyznacza mnie do pracy z piłą elektryczną, którą przecinam opaski mocujące głowicę nuklearną. Okazuję się w tym dobry, gdyż w ciasnej przestrzeni mogę się zaprzeć stopami w odpowiedniej pozycji i dzięki temu swobodnie obsługuję piłę.

Kurnakowa przeszukuje pustelnię. Z głównej komory słyszę odrywanie rzepów, zgrzytanie pokryw pojemników oraz mruczenie pod nosem Uljany inwentaryzującej znaleziska.

Gdy wykonuję ostatnie cięcie uwalniające głowicę, Kurnakowa ogłasza przez gen-kom:

— Znalazłam.

- Co znalazłaś? - pytam, wsadzając piłę i metalowe opaski do plastikowej torby.

- Resztę B61.

Idę zerknąć.

\*

Kurnakowa odsłoniła za szachową wykładziną wielki schowek. W środku, w czystych, plastikowych woreczkach, ściągniętych razem elastycznym sznurem, znajdują się zdemontowane części maszynowe. Są tam kable, przekładnie, obudowy stalowe i inny złom, którego nie rozpoznaję.

- Zbierzcie wszystko - poleca Jaynie. - Nie chcemy, żeby zostało tam cokolwiek, co ma związek z ładunkiem jądrowym.

- Zatajanie? - pytam.

Chcę, żeby to potwierdzono.



- Tak.

Włącza się Rawlings, łamiąc protokół misji.

- Jeśli rzecz wyjdzie na jaw, będzie poważnym incydem oraz potencjalnym pretekstem do tego, żeby wojsko umieściło własne ładunki jądrowe na orbicie, naruszając traktat międzynarodowy.

Jaynie myliła się, twierdząc, że najgorsza część misji jest już za nami.

Pomagam Kurnakowej rozwiązać elastyczny sznur spinający razem pakunki. Robimy z niego pętlę, a potem wyciągamy części z zasobnika. Za nimi znajdują się większe elementy: lśniąca srebrna sekcja ogonowa bomby, przystrojona czterema wygiętymi lotkami; pusta środkowa część korpusu, oznaczona numerem seryjnym, oraz szary stożek z czarnym czubkiem.

To są potężniejsze symbole armagedonu niż nieszkodliwie wyglądająca główka. Zajmowanie się nimi jest surrealistycznym doświadczeniem rodem z koszmaru, dziwacznym i przerażającym. Konsternującym. W jaki sposób się tutaj w ogóle znalazły? Nie są małe. Każdy kilogram masy przywieziony na orbitę samolotem kosmicznym to ogromny koszt, ale dla Semaka cena nie gra roli.

Jak go nazwała Kurnakowa? Genialny majsterkowicz. Chciał sam rozmontować bombę albo nie miał innego wyboru. Gdyby nakazał rozebranie B61 i przysłanie tylko najważniejszych elementów, to posłuchano by go? Każdy, kto umiałby to zrobić, wiedziałby z pewnością, że naraża na niebezpieczeństwo siebie i rodzinę. Lepiej obiecać zapłatę nieświadomemu podwładnemu, któremu można zaufać, że dostarczy skrzynię, nie zadając zbędnych pytań.

Przenosimy do *Lotusa* części bomby i przymocowujemy je.

W schowku pozostaje tylko jeden przedmiot: metrowej długości tłumok ciasno zwiniętego, burego materiału.

- To część urządzenia? - pytam Jaynie. - Czy zostawiamy to tutaj?

- Jones mówi, żeby zabrać. To spadochron.

\*

Na końcu przenosimy główkę. Kurnakowa pomaga mi nią manewrować. Robimy to bardzo, bardzo powoli, obawiając się, że się nam wymknie. Z łatwością można sobie zmiażdżyć palce, połamać kończyny, uszkodzić wnętrze pustelni, albo - co gorsze - *Lotusa*.

Semak jest przytomny, oczy ma otwarte i obserwuje nas, gdy sprowadzamy bombę na pokład. Oddycha szybko i płytko; krew w postaci bąbli wydostaje się ponownie z jego nosa.

Za sprawą milczącej umowy przenosimy główkę na tył statku, jak najdalej od naszych foteli. Potem ją przywiązujemy. W chwili gdy to kończymy, odzywa się radiostacja pokładowa.

Kurnakowa rusza, żeby odpowiedzieć, polecając mi:

- Sprawdź wszystko jeszcze raz.

Opuszczając *Lotusa*, słyszę, że informuje kontrolę naziemną, iż Eduard Semak będzie pasażerem podczas lotu powrotnego, gdyż kiepski stan zdrowia zmusza go do ewakuowania się z pustelni. Zostawiam za sobą potok pytań, które to wywołuje. To moja ostatnia wycieczka w stanie nieważkości, wyciskam więc z niej wszystko, co się da, i szybuję swobodnie przez całą komorę główną aż do kapsuły. Zamykam pokrywy wszystkich schowków, a potem chwytam torbę z porzuconymi metalowymi szczątkami. Mam już opuścić kapsułę, gdy ze starodawnej radiostacji dobiega głos. To nie kobieta, która mówiła poprzednio, tylko młody mężczyzna. Domaga się od Semaka odpowiedzi, potwierdzenia, że wszystko jest w porządku.

Jaynie odzywa się przez gen-kom:

- Nadeszły nowe rozkazy. Odłóżcie start.
- Zrobiliśmy to, po co tutaj przylecieliśmy - protestuje Kurnakowa. - Jesteśmy gotowi do odlotu.
- Nowe rozkazy - powtarza Jaynie. - Pod żadnym pozorem Eduard Semak nie może być transportowany amerykańskim statkiem. Nie pozwolą mu wylądować na terytorium USA.

Jestem już z powrotem przy włączu *Lotusa*.

- Czyja to decyzja, Jaynie?
- Przekazał ją Jones. Pochodzi od „najwyższych władz”.

Od pierdolonego prezydenta?

- Wierzysz w to?
- Tak - upiera się z rzadkim u niej niepokojem w głosie.
- Nie zostawię go, żeby dokonał tutaj żywota - ostrzega Kurnakowa. - Semak to kryminalista. Postawiłeś Thelmę Sheridan przed sądem, Shelley. Semak także musi przed nim stanąć. Mamy dowody...

Jaynie przerywa jej:

- Zostanie przekazany władzom Rosji...

-Ale...

- Zamknij się, kurwa, i słuchaj! To nie jest zabawa. Rozkazy polecają wam przenieść Semaka do kapsuły ewakuacyjnej. Przypnijcie go do fotela lądowiczego. Zamknijcie kapsułę, a potem zrzucicie skurwiela z powrotem na Ziemię. Czy to jasne?

Jaynie wie więcej, niż nam mówi. Zaniepokojony ton wskazuje, że stawki poszły w górę dużo wyżej, niż chcę to sobie wyobrażać, ale nie muszę znać szczegółów. Jedyne pytanie brzmi: Czy jej ufam?

Łatwo na nie odpowiedzieć.

- Czy to jasne? - powtarza Jaynie.
- Tak jest, ma'am, jasne. - Ruszam, żeby odwiązać Semaka. - Wykonuję rozkaz.

Kiedy wracamy z Semakiem do jego pustelni, przewraca oczami i odsłania zniszczone zęby w grymasie rozbawienia.

- Przegraliście - szepcze, tym razem po angielsku. Kiedy jednak przytraczymy go do jednego z foteli lądowniczych, zmienia minę. W głosie pojawia się ponownie strach. - Co się dzieje? Co robicie?
- Tęsknią za tobą w domu - informuje go Kurnakowa.

Nie sądzę, żeby ktokolwiek naprawdę za nim tęsknił.

Podejrzewam, że Rosjanie, tak jak my, są zainteresowani przede wszystkim danymi, które przechowuje w nakładce.

Zamykamy właz i zabezpieczamy go. Potem wracamy do *Lotusa*.

Odłączenie kapsuły odbywa się z Ziemi. Obserwujemy z Kurnakową przez okienka *Lotusa*, jak zasobnik oddala się od pustelni. Następuje zapłon rakiet i kapsuła odlatuje.

- Nasza kolej - mówi Kurnakowa. - Gotów na powrót do domu?

Żałuję, że nigdy tutaj nie wrócę. Należę jednak do niewielkiego grona szczęściarzy. Doświadczyłem tego przynajmniej raz.

- Tak, jestem gotowy.

Przeprowadza manewr rozdzielenia z habitatem, uruchamia silniki rakietowe, po czym odlatujemy.

Po konsultacjach z kontrolą naziemną STS Kurnakowa wykonuje manewr zejścia z orbity i zaczynamy spadek. Pod nami przepływa Afryka, odległa i piękna. Przetaczają się pustynie Bliskiego Wschodu. Indie. Wchodzimy w atmosferę, dziób *Lotusa* jest zadarty.

Szybkość opadania kompresuje powietrze przed nami, powodując jego rozgrzewanie się i świecenie - to plazma, która z początku jest jasnoróżowa, a potem ciemnieje, przechodząc stopniowo w pomarańczową czerwień. Przesłania nam widok i przerywa połączenie z kontrolą naziemną, ale opadamy gładko. Nie trzęsie.

Mijają minuty, a potem Kurnakowa upoważnia pilota AI do przechylenia *Lotusa* na bok i zaczynamy długi kontrolowany spadek. Kolejny skręt i jeszcze jeden. Pojazd jest zwrotny.

- Moglibyśmy wytracać prędkość szybciej - mówi Kurnakowa. - Gdybyśmy musieli, moglibyśmy wylądować teraz na Hawajach, w Kalifornii lub w Meksyku.

Mapa na panelu sterowniczym pokazuje, że przelecieliśmy z dnia w noc.

- Będziemy opadać lotem ślizgowym, wlatując nad kontynent wysoko i powoli, żeby zmniejszyć huk...

Kiedy mija zanik łączności, radio budzi się do życia. Naziemny kontroler Kurnakowej odzywa się ponownie znajomym już teraz głosem, tym samym przyjacielskim, powolnym tonem, jakim się posługiwał podczas całego lotu, ale jego przekaz nie jest już zwyczajny:

- *Lotus*, twój plan lotu został zrewidowany. Wysyłam nowe koordynaty nawigacyjne. Lądowanie w punkcie szesnaście czterdzieści pięć północ, jeden sześćdziesiąt dziewięć trzydzieści jeden zachód.

Kurnakowa pochyla się, napinając pasy, i patrzy wilkiem, gdy *Lotus* analizuje instrukcje, zaznaczając pokornie pozycję na mapie. Bardzo daleko od San Antonio. Za ledwie punkcik na Oceanie Spokojnym, na południowy zachód od Hawajów.

- Powtórz, STS.

- Lądowanie przekierowane na lotnisko awaryjne na Atolu Johnstona.

Na mapie samorzutnie pojawia się czerwona krzywa zmienionej trajektorii lotu i *Lotus* zaczyna kolejny stromy ślizg.

Kurnakowa odstępuje od zrutynizowanego sposobu porozumiewania się:

- O czym ty gadasz, Gene? Nie ma żadnej sytuacji awaryjnej. Warunki w normie.

- Przeciwnie, *Lotus*. Sytuacja awaryjna wymusza natychmiastowe lądowanie. Oszacujemy ją ponownie, gdy znajdziecie się na ziemi.

Światła panelu sterowniczego odbijają się w warstewce potu błyszczącego na policzkach Kurnakowej, gdy ta patrzy ponuro na mapę.

- STS, jakie są warunki na lądowisku awaryjnym?

- Znośne, *Lotus*. Pąs startowy został przebudowany półtora roku temu.

Jej profesjonalizm ustępuje niesmakowi.

- A ile huraganów przetoczyło się przez atol od tamtej pory, Gene? Pas został oczyszczony? Sprawdzony?

Oficjalny ton głosu Gene'a staje się nieco bardziej osobisty.

- Pas nie jest podświetlany, Uljano. Będą tam jednak śmigłowce marynarki wojennej, które go oznaczają.

Kurnakowa wyłącza mikrofon. Potem opiera się w fotelu ze wzrokiem wbitym w panel sterowniczy.

- Przykro mi, Shelley.

Korzystam z przekaźnika satelitarnego, żeby się połączyć przez gen-kom.

- Jaynie?

- Jestem.

- Nie wracamy. Przekierowano nas na Atol Johnstona z powodu nieokreślonej i niepotwierdzonej sytuacji awaryjnej. Mówią, że będziemy mogli wylądować, ale może dojść do kraksy.

- Dobra - odpowiada. - Sprawdzę, czego możemy się dowiedzieć, co możemy zrobić. Jesteście w stanie zboczyć i wylądować gdzieś indziej?

- Nie - odpowiada Kurnakowa. - Kontrolę przejął komputer pokładowy.

- Rozumiem.

Nasze długie opadanie trwa przez pełen obrót wokół Ziemi. Lecimy w atmosferze po spirali, wytracając szybko prędkość. Nie potrafię się opanować. Oglądam się za oparcie fotela, żeby spojrzeć na głowicę jądrową, przytroczoną pasami do pokładu. Wygląda tak samo nieszkodliwie jak zawsze; zwykły, prosty, stalowy cylinder, niezdradzający swojego straszliwego potencjału. Jednak bardziej niebezpieczne od fizycznej mocy są teraz implikacje jego istnienia i historii. Głowica jest świadectwem luki w zabezpieczeniach nuklearnych, tak w przeszłości, jak i obecnie, oraz bezradności systemu technicznego, który stworzyliśmy w oparciu o nasze satelity i wszechobecną elektronikę.

Gdyby Semak zdetonował ładunek jądrowy na orbicie, mógłby wywołać wojnę światową. Nie stało się tak. Żeby do tego nie doszło, sprowadziliśmy urządzenie na dół, ale teraz i Rosjanie, i Amerykanie mają problem, bo jeśli wieść się rozniesie, że obie strony pozwoliły na to, żeby na orbicie znalazła się bomba atomowa, to stare traktaty zostaną zerwane i rozpocznie się wyścig zbrojeń w kosmosie. Zwiędną nawet marzenia rekinów, gdy prywatna przedsiębiorczość zostanie zdławiona ze względu na obawy dotyczące bezpieczeństwa, co sprawi, że takie firmy jak STS zmarnieją ze szczeniem.

Żeby temu zapobiec, zawraca się teraz czas, przepisuje historię, dopasowuje na siłę fakty do wygodnej politycznie narracji. Znaleziona przez nas głowica zniknie ponownie, Semak nie przeżyje swojego ryzykownego lotu w kapsule ewakuacyjnej, Kurnakowa zginie w tragicznym

wypadku na Atolu Johnstona, a mnie przy tym nigdy nie będzie.

Najgorsze, że rozumiem, dlaczego muszą to zrobić.

Nie, żebym chciał w tym współuczestniczyć.

- Jaynie.
- Jestem, Shelley.
- Pogadaj z Jonesem. Jeślibyśmy odzyskali kontrolę nad komputerem pokładowym...

Lśnienie plazmy znika, ale nocne niebo rozpala ponownie biały, oślepiający rozbłysk wybuchu. Równie szybko jak światło, przychodzi zrozumienie - strzelają do nas. Następuje wstrząs; nie trafili nas bezpośrednio.

Może nas ocaliła nasza prędkość, może znikoma sylwetka samolotu kosmicznego nie była zaprogramowana w ich systemie naprowadzania, a może Czerwień próbuje to rozgrywać nieco dłużej?

Fala uderzeniowa eksplozji miażdży tę nadzieję. Wali w nas, kiedy spadamy nadal wzdłuż stromej trajektorii. Rozlega się brzęczący protest alarmu, gdy *Lotusem* szarpie i kołysze, po czym pojazd przewraca się przez dziób, gwałtownie i szybko, w związku z czym linia sztucznego horyzontu na panelu sterowniczym znajduje się do góry nogami, a ja wiszę w pasach upręży. Następna uderza prawda: pocisk wybuchł tak, jak zamierzono, przed nami, żeby uniknąć minimalnego choćby ryzyka bezpośredniego trafienia w głowicę jądrową, bo sama fala uderzeniowa wybuchu zdoła zwalić nas na ziemię.

Odłamki eksplozji uderzają w samolot kosmiczny z rozdzierającym uszy zgrzytem. Komputer pokładowy jest przeciążony i przerywa program lądowania, oddając kontrolę Kurnakowej. Ta chwytła stery.

- Kurwa mać! - wrzeszczy, gorączkowo starając się obrócić nas głową do góry. - Obróć się, skarbie! Spróbuj!

*Lotusem* miota na boki. Latam w swojej upręży. Kadłub wibruje szaleńczo, skądś dobiega wysoki, metaliczny zgrzyt, z jakim statek zaczyna się rozpadać, ale sztuczny horyzont na panelu sterowniczym pokazuje, że lecimy znowu w prawidłowym położeniu.

Potem we wnętrzu *Lotusa* zapada ciemność, gdy nawala elektryka.

Słaby księżycowy blask omywa panel sterowniczy. Przekaznik satelitarny jest nadal z nim spięty. To urządzenie polowe, niezależne od *Lotusa*, i działa na baterie.

- Jaynie!
- Czekaj. Rozmawiamy z kontrolą naziemną STS...

- Spadamy, Jaynie! Powiedz Delphi, że ją przepraszam.

Kurnakowa, zmagając się ze sterami, na przemian klnie i błaga *Lotusa*, żeby zadarł dziób. Skaczę myślą ku Delphi, która to słyszy. Nie musi dłużej tego robić. Dysząc ciężko, wyciągam rękę i wyłączam przekaźnik satelitarny.

*Lotusem* trzęsie nadal i szarpie. Niedługo statek rozpadnie się na kawałki.

Przynajmniej misja się powiodła. Było warto. Wydostaliśmy informacje od Semaka, a potem wyszliśmy poza plan i zwróciliśmy światu zaginioną głowicę jądrową. Niebawem spocznie na dnie Pacyfiku, ale załoga łodzi podwodnej z pewnością ją wydobędzie.

Zastanawiam się: Czy ta historia ma się tak skończyć?

Sądzę, że tak. Przeżyłem swoje. Odegrałem swoją rolę. Zapraszamy na finał.

Pierdolić to.

Nie chcę, żeby to się skończyło. Nie chcę, żeby było po wszystkim. Szukam więc możliwości. Chwytam się różnych pomysłów. Jakichkolwiek. Nie ma mowy, żeby *Lotus* wytrzymał tak długo, by wylądować, ale może nie musi tego robić. Odpinam uprząż. Statek podskakuje, rzucając mnie na panel sterowniczy. Potem zapieram się jednak.

- Spowolnij lot! - wrzeszczę do Kurnakowej. - Zmniejsz jak najbardziej naszą prędkość!

Patrzy na mnie, w jej oszalałych oczach lśni blask księżyca.

- Próbuję dolecieć do Johnston!

- Nigdy tam nie dolecimy! Wyskoczmy. Pamiętasz? B61? Mamy jej spadochron!

- Odjebało ci!

Bez jaj.

- To się nie uda - twierdzi z uporem, jakby pomysł ją obrażał. - Mówisz tak, bo nie masz pojęcia, jak szybko lecimy!

- To nas spowolnij, kurwa! Chcesz umrzeć?

Przełażę nad fotelem dokładnie w chwili, gdy samolot kosmiczny ucieka spode mnie. Tylko dzięki temu, że trzymam się oparcia, nie rzuca mnie na sufit. Kiedy stoję ponownie na nogach, Kurnakowej udaje się zapanować nad *Lotusem*. Pojazd nadal trzęsie i szarpie, ale lecimy poziomo. To interludium spokoju, ale trwa jedynie chwilę. Następuje ogłuszający trzask, wiatr świszczy, wciskając się do kadłuba, a ja jestem ponownie w stanie nieważkości, Kurnakowa jednak toczy nadal swoją bitwę. Zadziera dziób samolotu i zmniejsza szybkość naszego opadania. Gdybyśmy lecieli wciąż z prędkością naddźwiękową, pojazd z pewnością rozleciałby się już na kawałki.

Rzucam się na spadochron i walę w otwierane jednym ruchem klamry, mocujące go do pokładu. Potem wlokę do fotela katapulty, który przygotowaliśmy dla Semaka. Stawiam na to, że fotel ma tytanową ramę. Trzymam się na miejscu stopami i łączę spadochron z fotelem, używając zaciskowego pasa ładunkowego i krętlika osprzętu spadochronu. Potem odczepiam siedzisko od pokładu. Moja teoria zakłada, że gdy fotel spadnie pod moim i Kurnakowej ciężarem, to wystarczy tego, żeby spowodować otwarcie się czaszy - albo przynajmniej stałoby się tak w komiksowym wszechświecie, w którym rządzą superbohaterowie. W realu? Rama fotela przypuszczalnie się złamie.

Jak powiedziała Kurnakowa, odjechało mi.

Trzymam fotel stopą, żeby mieć go blisko siebie, a potem pochylam się nad Kurnakową i wrzeszczę, chcąc przekrzyczeć ryk wiatru.

- Jak szybko lecimy?
- Nieważne! Spadamy!
- Chodź ze mną! - Sięgam ponad oparciem, żeby wyjąć ją z uprzęży.

Odpycha moje ręce. To instynktowna reakcja. Nie walczy ze mną. Nie naprawdę, gdyż chwilę później zwalnia sprzączkę, wysuwa się z pasów i przetacza ponad fotelem.

*Lotus* zaczyna stawać ponownie dęba. Chwytam Kurnakową i rzucam się na fotel lądowniczy, zanim ten wyslizgnie się nam. Trzymam ją na kolanach, ściskając jednocześnie ramę robocimi stopami.

- Opasz nas uprzężą!

Pokład się przechyla i kadłub trzeszczy. Znad naszych głów odrywa się fragment poszycia. Potem kolejny. Sekundy dzielą nas od katastrofalnej porażki.

Kurnakowa wykręca się, łapiąc jeden koniec uprzęży fotela. Ja chwytam drugi w chwili, gdy kadłub rozpada się z rozdzierającym uszy zgrzytem. To, co widzę, jest jak stopklatka skomponowana z księżycowego blasku: zamrożone w czasie płaty i drzazgi kadłuba, zawieszane w uścisku huraganowego wiatru.

Ułamek sekundy później szczątki uderzają. Ciało Kurnakowej osłania moje. Czuję spazmy jej bólu. Czuję smak jej krwi w rozdzieranym powietrzu. A potem kobieta znika. Przepada w ryczącej ciemności.

Siedzę nadal w fotelu, stopy mam zaciśnięte na jego ramie, jedną ręką trzymam w śmiertelnym uścisku połowę uprzęży. I spadam tyłem. Bóg jeden wie, czy drogę mam wolną od odłamków. Przekładam z wysiłkiem pasy nad głową i zmagam się ze sprzączką, raz, drugi, potem klamra zatrząskuje się w chwili, gdy czasza spadochronu się uwalnia, a po ryku falującego płótna następuje głośny trzask, jak wystrzał z mózdzierza, który gasi gwiazdy. Ręka



boska sięga w dół z mrocznej pustki i hamuje mój pęd tak gwałtownie, że wszystkie kości chcą mi wyskoczyć ze stawów, płuca się zapadają, a mózg wali o wnętrze czaszki.

\*

Świat rodzi się ponownie, a ja nadal spadam. Trzeba kilku sekund, żeby dotarło to do mnie. Potem przychodzi zaskoczenie, że nie umarłem - jeszcze nie. Chociaż to nie potrwa długo. Kurwa mać.

Próbuję się zorientować w sytuacji. Wiatr dmie, rani mi oczy, ryczy w uszach, odziera ciało z ciepła, zgniata materiał kombinezonu w pomarszczone fale i szarpie szaleńczo płótnem nad moją głową.

To płótno to mój spadochron. Działa? Czasza jest rozłożona, ale czy całkowicie, czy też stanowi splątany tłumok, podążający za mną podczas długiego upadku?

Z powodu pędu powietrza oczy mam zamknięte do postaci szparek, ale wyginam kark, żeby spojrzeć w górę. Nic tam nie ma... Może to dobry znak? Gdyby spadochron nie był rozwinięty, widziałbym gwiazdy.

Prawda?

Może patrzę w górę na zwał chmur.

I tak nic na to nie poradzę.

Spoglądam w dół.

Widziałem Ziemię z orbity. To rześście oświetlona planeta. Nie ma na świecie wielu miejsc, które są nadal ciemne nocą. Kiepsko dla mnie, że środek Pacyfiku jest jednym z nich. Nie widać ani jednej jaskrawo żółtej iskry, ani kropki elektrycznej bieli. Żadnych świateł statków ani brzegu. Widzę jedynie błyszczące światło księżyca, odbite i załamane w postaci delikatnych, wygiętych, wijących się linii wodnych.

Obracam się, żeby spojrzeć za siebie. Ten ruch sprawia, że zataczam się niczym bąk, jakbym siedział na jakiejś pierdolonej huśtawce w lunaparku, ale patrzę w przeciwną stronę... gdzie nie widać nic ponad księżycowy blask na wodzie, nieskończonej wodzie.

Wiruję i kręcę się, dysząc ciężko.

Jak bardzo się zgubiłem?

Muszę wiedzieć.

Sprawdzam więc GPS. W tym celu muszę zacisnąć powieki, żeby odciąć się od wiatru, który pragnie zniszczyć soczewki mojej nakładki. Mija kilka kolejnych sekund, zanim soczewki nawilżą się ponownie. Potem otwieram menu. Rozwijam mapę. Nic na niej nie ma, gdyż

spadam na Ziemię w środku pierdolonej pustki. Robię odjazd, co ukazuje wyspy, które mogą leżeć równie dobrze milion mil dalej. Nie zawracam sobie głowy identyfikowaniem ich, bo to, kurwa, nie ma najmniejszego znaczenia. Obchodzi mnie wyłącznie, ile czasu mi pozostało, zanim walnę. Rozchylam więc powieki do postaci szczelin i patrzę w dół.

Odnoszę wrażenie, że spadam zbyt szybko.

Takie bomby jak B61 są wyposażone w spadochrony częściowo po to, żeby złagodzić ich upadek, ale głównie w celu spowolnienia ich lotu, żeby transportujący je bombowiec miał czas uciec, zanim się rozpęta pierdolony armagedon. Byłem żołnierzem walczącym w wojnie przeciwko armagedonowi i jestem z tego dumny, ale żołnierzy oczywiście można zastąpić.

Och, bez trudu widzę teraz długie grzywy i zbocza fal, na których szczytach lśni księżycowy blask.

Niebawem.

Spadam zbyt szybko. Jestem tego pewny.

Przepraszam, Delphi.

Tym razem nie wrócę na pewno.

Im bardziej zbliżam się do błyszczącej ciemności, tym szybciej wydaję się spadać. Z dłonią na zatrzasku upręży obserwuję błyski księżycowego światła - bardzo trudno określić, jak daleko mam do powierzchni - a potem już wcale nie. Gdy zaledwie kilka metrów niżej piana odrywa się od szczytu fali, otacza mnie zapach morza.

Uderzam w klamrę upręży, odpycham kopniakiem fotel i spadam nogami w przód do wody.

Byłem dużo wyżej, niż mi się zdawało. Kiedy uderzam w powierzchnię oceanu, to jak cios młotem. Jeśli w płucach pozostała mi chociaż odrobina powietrza, to pod wpływem wstrząsu ucieka. Nurkuję w kompletną ciemność, w otoczeniu chmary bąbli, które gnają po skórze twarzy i dłoni.

\*\*\*

Pragnę odetchnąć, ale gdzie jest powierzchnia wody?

Nie panikuj.

Gdzieś nade mną unosi się spadochron, całe metry kwadratowe opadającego na mnie materiału. Gdzieś w mroku, splecione w niewidzialną sieć, toną linki sterownicze.

Wybieram kierunek i płynę. Pracuję mocno ramionami, kopię nogami... i dowiaduję się czegoś nowego. Pomimo ich genialnej konstrukcji moje robocie stopy nie nadają się do pływania, gdyż są tak wspaniale wykonane, że tną wodę bez specjalnego oporu.

Mimo to macham nimi, wierzę, myśląc o Harvey, zagubionej przy burcie *Niezbywalnego*. Osprzęt pociągnął ją w głębinę, wiem jednak, że nie wpadła w panikę. Zachowałyby spokój, starając się uwolnić - próbowałyby, ale nie wydostała się na powierzchnię.

Nie wiem, czy odpłynąłem na tyle daleko, żeby ominąć czasę spadochronu, ale zrobiłem, co mogłem. Muszę się wynurzyć. Płynę więc w górę, w górę, w górę, puste płuca ogarnia mi ogień; nie zapewniają mi żadnego wyporu. Wszystko jest walką, i po co?

Żeby odetchnąć ponownie.

Oddychać. Tylko to się liczy.

Przy powierzchni wody płynę z taką prędkością, że wyskakuję na wysokość pasa w rozbryzgu błyszczącej piany.

\*

Widzę nad sobą garbaty księżyc, garść jasnych gwiazd i błyszczące światła samolotu pasażerskiego, tak odległego, że nie dociera do mnie odgłos jego silników. Przetaczają się długie fale, unosząc mnie i opuszczając, znowu i znowu.

Oddycham.

Znajduję się w objęciach ciszy, która wcale nią nie jest, gdyż zakłóca ją szum wiatru i chlupotanie wody w uszach, kiedy się unoszę, jedynie z twarzą na powierzchni, bardzo świadomy rozciągającej się pode mną nieskończonej głębi.

Nie ma żadnego powodu na świecie, żebym żył.

Obserwuję samolot, aż znika.

Trochę dłużej.

\*

Dziwne rzeczy się dzieją na krawędzi życia. Tam zawsze rozgrywają się historie.

Palce mam pomarszczone i odrętwiałe, uszy bolą od zimnej wody, oczy pieką od soli, i myślę, że muszę spłacić dług, zanim odejdę. Duch, zjawa, tutaj, na progu śmierci. Harvey, przyjdź odprowadzić mnie do Walhalli. Albo Lisso, pokaż mi drogę na Pola Elizejskie. Do diabła, ucieszyłbym się, gdyby zjawił się Matt Ransom, gotowy zawlec mnie do nieba bądź piekła, w dupie mam dokąd, póki tylko jest tam coś.

Nie przychodzą.

Ale dlaczego mieliby się zjawić? To przeze mnie umarli.

Widzę słabe mruganie ikony neuronetki, pierwsze, jakie zauważam. Mogę się założyć, że będę

widział tego więcej. Nie chciałbym wspominać własnej śmierci jako traumatycznego przeżycia.

Kurwa mać.

Cholernie szkoda, że nie dysponuję połączeniem satelitarnym, bo mam cholernie dobre nagranie wideo. Wysłałbym je światu, gdybym mógł.

Nie, żeby to miało znaczenie.

Za sto lat gówno będzie kogoś obchodziło, czego dokonałem.

Do diabła, za rok to będzie przebrzmiała historia wobec nowego kryzysu na tapecie.

Świat idzie naprzód. Nikt z nas nie liczy się zbyt. Reki chcą to zmienić, chcą wierzyć, że coś znaczą.

Cholera, wszyscy tego chcemy.

Wysoko, wysoko nad głową przelatuje samolot pasażerski. Moja nakładka się budzi, wykrywając połączenie z Chmurą. Obserwuję drżenie ikony sieci i serce zaczyna bić mi odrobinę szybciej. Jednak połączenie zostaje odrzucone, a potem samolot wylatuje poza jego zasięg.

Nie chcę fałszywej nadziei. Nie potrzebuję jej. Umrę; pozwólcie mi umrzeć.

Marznę, jestem wyczerpany i chcę spać.

Przypominam sobie, że neuronetka może mi w tym pomóc.

Zatem koniec ze mną?

Może tak.

Zmartwychwstałem zbyt wiele razy.

Zamykam spuchnięte od soli powieki i przedzieram się wzrokiem przez drzewko menu na nakładce. Najpierw wyłączam dostęp do sieci. Żadnych fałszywych nadziei.

Potem sen.

Słowo, myśl. Tylko tyle trzeba.

\*

Nie robię tego.

Po co popędzać śmierć? Zjawi się tutaj niebawem.

\*

Słyszę różne rzeczy: wiatr, bicie serca, ryby wyskakujące z wody, jej bulgotanie w uszach, niskie basowe dudnienie. Poruszam się, otwieram oczy, zadzieram głowę... i już nie słyszę tego nikłego dźwięku. Pozwalam więc, żeby woda wypełniła mi ponownie uszy, i wtedy słyszę ponownie -dudnienie odległego silnika.

Żadnej fałszywej nadziei. Tylko o to proszę.

Płynę w pozycji pionowej, trzymając głowę nad wodą, więc nie muszę tego słuchać.

Fala wzbiera pode mną i unosi mnie. Kiedy opadam poza jej grzbiet, jakiś ruch przyciąga mój wzrok. Wysoko ponad nieustannym falowaniem wody. Cień, kształt, poruszający się po oblanym księżycowym blaskiem niebie. Leci wysoko, trzydzieści stopni poniżej zenitu. To nie jest samolot pasażerski; nie ma świateł. Widzę go jedynie dlatego, że światło księżycy pada na jego szare, deltoidalne skrzydła podczas szybkiego lotu między horyzontami.

To dron szpiegowski — większy, szybszy, wyżej latający od aniołów, których używaliśmy w PGB.

Dlaczego?

Dlaczego się tutaj znalazł? Jeśli marynarka zjawiała się w poszukiwaniu głowicy jądrowej, powinni byli przybyć okrętem podwodnym. Dron im nie pomoże.

Dlaczego leci tak nisko, że mogę go zauważyć?

Mrugam z powodu soli w oczach i obserwuję urządzenie, aż znika po kilku sekundach w oddali, zostawiając mnie samego na pustym środku nicości.

Może wróci.

Nieważne.

Unoszę nad wodą tylko głowę, więc jestem jedynie punkcikiem, pyłkiem w podrzucanej falami, błyszczącej, rozległej nocy; ciało mam równie chłodne, jak kołyszący mnie ocean. Na tym tle dźwiękowym nie zauważyłaby mnie nawet AI.

Żadnej fałszywej nadziei.

Zamykam ponownie oczy, więc widzę jedynie ikony na nakładce. Wzrok zatrzymuje się na czerwonym „iksie” oznaczającym brak dostępu do sieci, odrzucenie wszystkich połączeń. Wyskakuje menu, podsuwając opcje. Odwracam spojrzenie.

Lissa odzywa się zirytowanym tonem:

- Włącz to ponownie, idioto.

Jasny gwint. W końcu przemawiają duchy.

- Lissa? - pytam ochrypłym szeptem, wiedząc, że jej głos to złudzenie, że naprawdę nie ma jej tutaj, ale chcę ciągnąć tę grę. - Skarbie?

Nie ma odpowiedzi. Z nawyku robię jednak, co mi kazała. Patrzę ponownie na ikonę, menu się otwiera, a ja włączam dostęp do sieci.

Od razu nawiązuję kontakt. Pojawia się jako zamknięta sieć, nie Chmura, ale na drugim końcu jest ktoś, kto mnie zna, bo po upływie kilku sekund odbieram wiadomość. Nie poznaję jej źródła, ale ma mój kod dostępu, więc dociera do mnie: „Odpowiedz, podając swoje koordynaty GPS”.

Jaynie uważa, że pragnę śmierci, ale muszę jej ponownie udowodnić, że się myli. Nie wiem, kto mnie szuka, ale załączam koordynaty do wiadomości i wysyłam ją, kurwa.

# **DOKUMENTACJA UZUPEŁNIAJĄCA**

---

ROZMOWA  
POŻEGNALNA

Zaznaczając się ostrymi krawędziami na tle oblanego księżycowym światłem nieba, majaczy nade mną wysoka sylwetka starego okrętu, być może niszczyciela. Nie ma żadnych świateł,

nie widzę więc bandery. Żadnego dźwięku, tylko wiatr i pomruk silników pracujących na jałowym biegu.

Chcę krzyknąć, zawołać o pomoc, dać znać o swoim istnieniu, ale coś mi mówi, żeby tego nie robić. Mam przecucie - silne - że ta operacja wymaga ciszy. Tkwię więc pionowo w wodzie, obserwując okręt, a pode mną przetaczają się długie fale.

Na wyświetlaczu nakładki mija trzy i pół minuty. Słyszę szybki oddech. Obróciwszy głowę, zauważam pływaka w odległości niecałego metra. Blask księżycy odbija się od faset jego maski. Odzywa się cicho, z akcentem, który zdradza go jako Amerykanina:

- Jesteśmy po tej samej stronie, okej?

Zastanawiam się, jaka to strona, ale nie pytam ani nie zaprzeczam. Dobrze mi z tym. Wszystko wydaje się w porządku.

- Cicho i szybko - mówi, podpływając bliżej.

Obejmuje mnie ramionami, a wtedy jego kamizelka ratunkowa wypełnia się powietrzem, po czym ruszamy, ciągnięci w wodzie, zostawiając za sobą skromny, bulgoczący kilwater. Zanurzamy się dwukrotnie, gdy przetaczają się nad nami fale, a potem jesteśmy przy burcie okrętu. Kosz ratowniczy czeka.

Wiem, że powietrze nie może być takie zimne, jak się wydaje, ale w czasie tych kilku sekund, jakie zajmuje wciągnięcie nas na pokład, zaczynam drżeć. Nie mogę tego opanować.

Pokład jest pusty, jeśli pominąć samotnego faceta, który łapie mnie za ramię i podtrzymuje, zanim mam okazję poddać próbie możliwości ustania na własnych nogach. Prowadzi mnie przez drzwi do wąskiego, klimatyzowanego korytarza, oświetlonego przez ciemnoczerwone lampy.

- Musimy ruszać niezwłocznie - szepcze mój towarzysz.

Jest większym facetem ode mnie - barczystym, ciemnoskórym i ciemnowłosym, o szerokiej, władczej twarzy. Być może Polinezyjczyk. Ma na sobie czarny pulower z długimi rękawami, za to bez identyfikatora, oraz ciemne bojówki, które mogą być częścią umundurowania załoganta marynarki wojennej, ale trudno to stwierdzić z powodu lichego oświetlenia. Wzdłuż krzywizny szczęki błyszczy coś, co wygląda na wytatuowaną antenę nakładki. Za plecami słyszę kroki pływaka.

- Żadnego błędu, Kanoa - mówi cichym, ale triumfalnym głosem. - I wyprzedziliśmy satelitę. Dwanaście sekund zapasu.

- Zamknij się - radzi mu Kanoa. - Nie jesteśmy bezpieczni.

Gdy szybko idziemy ciemnymi korytarzami, ledwo mogę się utrzymać na nogach. Docieramy do zamkniętego wjazdu. Kanoa przytrzymuje nadgarstek przy płycie sensora, aż odskakuje



elektronicznie sterowany zamek, po czym otwiera właz.

Po drugiej stronie widać kolejne ciemnoczerwone lampy, oświetlające wspólną kabinę z czterema kojami od podłogi do sufitu, oraz przykręcony do podłoża plastikowy stół z siedziskami. Wchodzimy. Pływak za nami. Kiedy zatrzaskuje właz, zamek szczęka i brzęczy.

- Wszystko zabezpieczone — oświadczą, gdy zapalają się jasne światła.

Kanoa prowadzi mnie obok ław i prycz w stronę kabiny natryskowej.

- Zdejmij mokre ciuchy - poleca, kierując na mnie prysznic letniej wody.

Mam minutę na spłukanie z siebie soli. Potem wychodzę, żeby pływak - nazywa się Griffin - mógł wziąć tusz. Pierwszy raz mogę mu się przyjrzeć. Chudy biały facet o wąskiej twarzy i jasnych włosach ostrzyżonych maszynką. Ponieważ szukam tego wzrokiem, zauważam złoty tatuaż anteny wzdłuż szczęki.

Nadal drżąc, nakładam ciuchy, które wręcza mi Kanoa. To kopia tego, co sam nosi: szaroniebieskie spodnie i czarna bluza.

Na stole czeka gorąca kawa. Owinięty w koc, siadam na ławce, starając się powstrzymać drżenie rąk i nie rozlać kawy. Kiedy próbuję się odezwać, gardło mam tak spuchnięte, że zdobywam się jedynie na ochryply szept, którym stwierdzam oczywistość:

- Nie należycie do regularnej marynarki wojennej.

Kanoa nalewa mi kolejną porcję kawy. Siedzi naprzeciwko, wpatrzony we mnie ciemnymi oczami.

- Tak jak ty, jesteśmy zawodowymi żołnierzami wyposażonymi w neuronetki i nakładki, którzy pracują dla Czerwieni.

To wstrząs, usłyszeć to wprost, ale FaceValue potwierdza, że tamten mówi prawdę - przynajmniej taką, jaką ją widzi.

- Podobnie jak ty, zostaliśmy wyznaczeni do zajmowania się potencjalnymi zagrożeniami egzystencjalnymi. Do pilnowania, żeby żaden niezależny gracz nie miał okazji zrobić tego, co uczyniła Thelma Sheridan w Dniu Komy. To tajna wojna, zaledwie jej początek. Czarny Krzyż, „Brzask”, „Cicha Przecinka”, „Wrota Nieważkości”...

- Wiecie o „Wrotach Nieważkości”?

- Te misje to niektóre z potyczek wstępnych. Były inne starcia, o których nigdy nie słyszałeś. I będą kolejne. Musisz zdecydować, czy chcesz nadal w nich uczestniczyć.

Pochyliam się, ożywiony wspomnieniem świata widzianym z orbity - tej pięknej, kruchej, niemożliwej do zastąpienia planety, która jest naszym domem.

- Oczywiście chcę brać w tym udział.

Griffin, ubrany teraz tak jak my, siada obok Kanoy. Wymieniają przeciągłe spojrzenia. Mam wrażenie, że odbywa się rozmowa, myśli są wychwytywane przez ich neuronetki, tłumaczone i przekazywane między nimi jako słowa, ale nic z tego nie słyszę, bo nie jestem podłączony do ich sieci.

Po chwili Kanoa kiwa głową. Patrzy na mnie przez szerokość stołu.

- Jeśli chcesz, możesz wrócić do domu. Kiedy jednak Susan Monteiro zostanie zaprzysiężona na prezydenta, zlikwiduje Tajną Strzałę.

Nie ma potrzeby pytać, skąd o tym wie. Powiedział mi już, że pracuje dla Czerwieni.

Griffin chce się upewnić, że zrozumiałem:

- Jeśli wrócisz do domu, Shelley, znajdziesz się na emeryturze.

Kanoa nie nosi żadnych oznak swojego stopnia, ale jest jasne, że to on jest dowódcą tej grupy, więc swoje pytanie kieruję do niego:

- A jeśli nie wrócę do domu?

- Werbuję.

\*

Nieliczni, którzy wiedzą o „Wrotach Nieważkości”, uważają tę misję za sukces bez względu na poniesione straty. Magazyn skradzionych ładunków nuklearnych Eduarda Semaka został zabezpieczony, a głowica B61, którą przetrzymywał na orbicie, nie stanowi już zagrożenia. Została podjęta z dna oceanu przez amerykański okręt podwodny i zaplanowano jej rozbicie.

Sam Semak nie przeżył lądowania, a pochodzące z nieznanego źródła fundusze, oceniane na około dwa i pół miliarda dolarów, zostały pomyślnie przelane na konta nowych właścicieli.

Misję *Lotusa* dotknęła tragedia w postaci śmierci Uljany Kurnakowej oraz jej serwisanta. Pomimo intensywnego przeszukiwania powierzchni morza ich ciała nigdy nie odnaleziono.

Nie będę się wyrywał przed szereg, żeby to sprostować.

Mam poczucie winy, kiedy myślę o Delphi, ale tak jest lepiej. Przeszła wystarczająco dużo ciężkich prób, zbyt wiele razy widziała, jak ginę. Nie zafunduję jej tego ponownie - a to się znowu zdarzy.

To nie koniec.

# PODZIĘKOWANIA

W czasie pisania *Ciężkich prób* otrzymałam wsparcie ze strony wielu tych samych osób, które udzieliły mi wspaniałomyślnie pomocy przy powstawaniu jej poprzedniczki, *Czerwieni*. Są to: Nancy Jane Moore, Edward A. White, Dallas Nagata White, Vonda N. McIntyre, Jeffrey A. Carver i Chaz Brenchley.

Judith Tarr była ponownie moją pierwszą redaktorką, wspomaganą przez wnikliwość Joego Montiego, redaktora w wydawnictwie Saga Press.

Dziękuję wam wszystkim za waszą pomoc, cierpliwość, mądrość i czas. Dziękuję także mężowi, Ronaldowi J. Nagacie Sr., którego nieustanna pomoc umożliwia mi pisanie.

Oczywiście pisarz jest nikim bez czytelników. Dziękuję wszystkim, którzy spędzają czas w światach z moich historii. Jestem bardzo wdzięczna za zainteresowanie i zachęty z waszej strony.

Jeśli spodobały się wam *Ciężkie próby*, zastanówcie się, proszę, nad zrecenzowaniem ich na blogu lub stronie księgarni internetowej albo wspomnijcie o nich w waszych ulubionych mediach społecznościowych. Nie zapomnijcie poszukać także ostatniego tomu trylogii „Czerwień”, również z wydawnictwa Saga Press. Żeby być na bieżąco z moimi ostatnimi książkami i opowiadaniem, odwiedźcie, proszę, moją stronę [MythicalIsland.com](http://MythicalIsland.com) i zarejestrujcie się w celu otrzymywania okazjonalnych newsletterów.

Linda Nagata, styczeń 2015